

# Obrączka z tombaku

Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego

RYSZARD STROŃSKI

# Obrączka z tombaku

*Uchodźcy ze swojej ziemi – to jeszcze nic.  
Gorsi są uchodźcy ze swoich czasów.*

Julian Tuwim

Warszawa 2009

Redakcja, korekta  
*Elżbieta Groszek*

Projekt okładki  
*Agata Groszek*

Wybór ilustracji  
*Autor*

Skład i łamanie  
*OFI, Warszawa*

© Copyright by Ryszard Stroński  
© Copyright by Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego

Wszelkie prawa zastrzeżone. Każda reprodukcja lub adaptacja całości bądź części niniejszej publikacji, niezależnie od zastosowanej techniki reprodukcji (drukarskiej, fotograficznej, komputerowej i in.), wymaga pisemnej zgody Autora i Wydawców.

Wydawcy:  
Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego  
Al. Wilanowska 204, 02-730 Warszawa  
Tel./faks (0-22) 843-38-76, 843-78-73  
e-mail: mhprl (0) mhprl.pl www.mhprl.pl

Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR  
03-982 Warszawa, ul. Dedala 8/44  
tel. 0-602-247-367, fax 615-34-21  
e-mail: oficyna@aspra.pl  
www.aspra.pl

ISBN 978-83-60093-81-08  
ISBN 978-83-7545-071-2

Wydanie pierwsze

*Tobie...*

# Przedmowa

„Obrączka z tombaku” jako tytuł życiorysu-sagi, charakterystycznego dla całej generacji jest tytułem wieloznacznym i trochę przewrotnym. Można go bowiem rozumieć jako tytuł jednego z rozdziałów, w którym taka obrączka występuje jako element charakterystyczny dla opisywanego wydarzenia. Tu akcent pada na słowo „obraczka”. Można też jednak bardziej zaakcentować słowo „tombak”, i tu mielibyśmy do czynienia z dwoma interpretacjami, obie- ma znacznie szerszymi niż ta powyżej. Otóż pierwsza, to tombak jako ersatz, substytut tego, co prawdziwe, jakościowe, wartościowe. I taki tombak, zaakcentowany w tytule, może być pewnego rodzaju symbolem, że całe to życie, a przypomnijmy, książkę można czytać jako świadectwo pewnego pokolenia, to było tak trochę NA NIBY. Brak było wszystkiego, co stanowi o jakości egzystencji człowieka – prawdziwej obrączki, prawdziwej kawy, prawdziwych wartości, prawdziwej ojczyzny wreszcie. Wszystko było ersatzem, wszystko było tylko udawaniem, mistyfikacją, grą pozorów, a ludzie, którzy przez to przeszli, to też niby-ludzie. Bez życiorysów, bo jeśli nawet coś fizycznie piszą, to jest to wymyślone bez poglądów, bo to, co głoszą, to jest to, czego inni oczekują albo przed chwilą przeczytali w gazecie lub usłyszeli w telewizji.

Ale można też tę „tombakowość” z tytułu rozumieć szerzej, głębiej, a przede wszystkim pozytywnie. Otóż nie jako symbol, ale skrót myślowy, który można określić najkrócej: MIMO WSZYSTKO. I taka właśnie interpretacja tytułu powstała u mnie po lekturze książki Ryszarda Strońskiego. To jest życie człowieka na zawsze wyrwanego ze swojej małej ojczyzny, doświadczonego we wczesnym dzieciństwie okrucieństwem wojny na pograniczu politycznym i kulturowym, rzuconego na ziemię obce kulturowo i historycznie. Zaczynającego z młodzieńczym entuzjazmem nowe życie z wiarą w ideały i wewnętrznym obowiązkiem budowania. Czego? No właśnie: praktycznie wszystkiego; nowego ustroju, w który naiwnie acz szczerze wierzył, nowego miejsca na ziemi, rodziny, a nawet fizycznie – nowej fabryki. Ale w tej książce nie ma patosu, nie ma ani ideologicznego nawiedzenia, ani bogoojczyźnianej troski o wartości. Jest aktywny człowiek, z ambicjami, odpowiedzialnością, troską o losy najbliższych i życzliwy dla innych. Jako czytelnik rękopisu, krzywiłem się, gdy czytałem fragmenty o PZPR-owskich bonzach, zwyczajach partyjnego „dworu”, intrygach. Ale właściwie dlaczego...? Takie były wtedy „dekoracje” człowieka. Oczywiście nie każdego, nie każdy był w ZMP, aktywistą w PZPR, konsulem w ZSRR. Ale gdy zawęzić tę grupę do ludzi ambitnych, inteligentnych, z żyłką do działania,

a w dodatku „bez ziemi”, to losy te robiły się bardzo podobne. A co do „dwo-ru” – to tu już nie ma dużej odmienności od tego, co dzieje się dzisiaj, bo to są odwieczne, uniwersalne mechanizmy, wszędzie i zawsze.

Tak więc, gdy czyta się „Obrączkę z tombaku” bez ideologicznych uprzedzeń, negowania a priori wszystkiego, co było pozytywne przed 1989 rokiem, wykreślenia lat PRL-u z ciągłości bytu państwowego Polski, to widzi się po prostu interesującego człowieka, ciekawie opowiadającego o swoim życiu.

Na koniec powróć do różnych skojarzeń, które przywołuje słowo tombak, zestawiając je ze zdarzeniem, dla którego zostało użyte. Otóż małżeństwo zawarte „za pomocą” tombakowej obrączki okazało się szczęśliwe i trwałe, przeżyło 55 lat w „złotej” kondycji...

*Karol Szydelko*

## Kilka słów

Pewnego przedpołudnia, idąc po wodę oligoceńską, podsłuchałem przypadkowo rozmowę dwóch emerytów.

– Wiesz, k..., że gdyby nie ta woda, to już by człowiek z domu się nie ruszył – mówi jeden o lasce.

– Ja też, cholera, albo śpię w dzień, albo po wodę czasami mnie stara wygoni – mówi drugi ze szmacianą torbą.

– Żeby jaka pogoda jeszcze, a tak, to telewizor, bańka, woda, żyć się nie chce, coraz bliżej do zas... śmierci – znowu ten pierwszy.

– No tak, tak, ale co robić? – podsumował drugi.

Szybko wyprzedziłem obu. Nalałem oligocenki do bańki po żywcu zdroju, ukradkiem zerkając na nieogolonych kolegów emerytów. W uszach wciąż brzmiały mi słowa: „No tak, tak, ale co robić?”. Długo potem w moim pokoju rozmyślałem, czym się zająć, jeśli pożyję jeszcze kilka lat. Co robić, by nie spać w dzień...? Może pisać?! Uczepiłem się tej myśli jak pijany płotu. No dobrze. Ale o czym? O sobie? O swoim życiu? Każde jest powieścią, ale chyba nie moje... Wciąż miałem wątpliwości, czy warto grzebać w przeszłości. Co było, to było, wszystko się skończyło.

Na jakiś czas musiałem te rozważania odłożyć, ponieważ czekała nas, chyba już piętnasta w życiu, przeprowadzka, tym razem z Mokotowa na Kabaty, gdzie przez pewien czas mieliśmy się z żoną zaopiekować psem i mieszkaniem dzieci, w związku z ich wyjazdem za granicę. Po powrocie córki i zięcia z Frankfurtu nad Menem, sprzedaliśmy nasze mieszkanie na Mokotowie i zamieszkaliśmy nieopodal Lasu Kabackiego, gdzie mam swój pokój i biurko, na którym piszę te słowa. Może tutaj uda się przewinąć rolę minionego czasu, by wrócić do epoki moich rodziców i dziadków. Wybiorę zdarzenia, których byłem świadkiem, a które być może pozwolą na nowo stworzyć obraz tamtych dni. Postaram się nie pominąć nowszych czasów. Zajrzę w różne zakamarki, przywołam historyjki, anegdoty, opiszę przeżycia moich bliskich i innych osób zaplątanych w mój czas, w dzieciństwo, młodość i dojrzałość z jej wyborami i rozterkami, w miłość i starość, w wojnę i pokój. Postaram się też pamiętać, by nie gloryfikować i nie przejawskawiać przeszłości, kierując się słowami księdza profesora Michała Hellera: „Prawdziwa historia nie jest historią wojen, głupoty i zbrodni, tym, co się zwykle za historię uważa. Prawdziwa historia to historia człowieka, który co rano wstając z łóżka, zastanawia się, czy dożyje do wieczora”.

Myślę, że nadszedł właściwy moment, gdy ze wszystkiego można się zwie-  
rzyć. Ten moment to starość, która ma siostrunię, znaną wszystkim, śmierć. Jest  
niezrównoważona, zachowuje się nieodpowiedzialnie. Przychodzi nieproszona  
i nigdy się nie umawia. Diabli wiedzą, kiedy wpadnie. Trzeba się pośpieszyć  
z tym pisanem. Dlatego już na wstępie zacytuję fragment wiersza Zbigniewa  
Herberta:

*(...) nie zdążę już  
zadość uczynić skrzywdzonym  
ani przeprosić tych wszystkich  
którym wyrządziłem zło  
dlatego smutna jest dusza moja (...)*

Chętnie wracam do mojego pokoju, siadam do komputera i piszę. Zna-  
łem sens w dalszym byciu wśród żywych. Pojawia się nadzieja, bez której smu-  
tek odebrałby chęć do czegokolwiek. Nie mam już odwrotu. Maria Dąbrowska,  
nagromadziwszy sporo materiałów do książki *Historia człowieka myślącego*, napi-  
sała: „No, a teraz – naprzód wiara, iść przytomnie”, skoro tak się uwikłałam, że  
nie mam już możliwości ‘załatwienia odmownie’”. Słowa te wyrażają mój obecny  
stan ducha i moją determinację.

1933–1953

## Depozyt pamięci

Dawno, dawno temu, w pierwszej połowie ubiegłego wieku, w małym domku nieopodal fabrycznych budynków z czerwonej cegły, ogrodzonych wysokim murem, naszpikowanym szkłem z potłuczonych butelek, ochraniającym przed złodziejami miejską rzeźnię i ubojnię, 8 czerwca o godzinie 5 rano, pojawił się na świecie chłopiec. Świat, na który przyszedł w 1933 roku, dał Niemcom nowego kanclerza, Adolfa Hitlera. To wydarzenie nadało kierunek życiu chłopca. Zaważyła na nim wojna i wszystko to, co ze sobą niesie.

Przygotowując się do pisania wspomnień, zjrzałem do gazet. Chciałem wiedzieć, czym żyła Rzeczpospolita w momencie mego przyścia na świat i dołączenia do narodu. O moich narodzinach nie znalazłem najmniejszej wzmianki... Najważniejszym wydarzeniem tego dnia w Polsce był pierwszy spacer marszałka Piłsudskiego z nowym psem wilczurem o imieniu Pies. Czasami wszystko zależy od tego, kto trzyma smycz...

W moim narodzeniu się pomogła stara Ukrainka, znana w okolicy doświadczone babka-akuszerka. Została wezwana w nocy przez moją babcię Marię. Tata pracował na nocnej zmianie w parowozowni. Nie było go, kiedy mama rodziła. Wieści o wielkim doświadczeniu babki-akuszerki okazały się, niestety, mocno przesadzone: po tym, jak już poszła do domu, babcia Maria zajrzała do kołyski i zobaczyła mnie... we krwi po same pachy. Nie dawałem żadnych oznak życia.

– Mamo, pędź po Kazia, na pewno będzie w parowozowni, powiedz, że mamy syna, niech przybiegnie i go ratuje! – krzyczała moja mama, leżąc bez sił po ciężkim porodzie. – Przysuń mi jeszcze kołyskę! Może to pępownina?

Nawet nie umył rąk – wspominała po latach babcia położniczą interwencję ojca – poprawił akuszerską robotę, zawiązał ponownie po ślusarsku pępownię, przywalił dłonią w tyłek noworodka i natychmiast wrócił do parowozowni, upewniwszy się wcześniej, że przywrócił życie swojemu synowi.

Jakie ono będzie? Czy spędzi je tutaj, w Dubnie, tym prastarym mieście kresowym, dzisiaj zupełnie zapomnianym, czy całkiem gdzie indziej?

Gdy trochę podrosłem, każdej niedzieli uczestniczyłem w nabożeństwie w kościele pod wezwaniem św. Jana Nepomucena. Chodziliśmy tam z mamą,



...ostatnie zdjęcie przed wojną...

jej przyjaciółką Eugenią (moją matką chrzestną), jej córką Zosią i moim bratem Adamem. Pewnego razu, po mszy, mnie, Adama i Zosię zaprowadzono do studia fotograficznego, gdzie zrobiono nam, jak się później okazało, ostatnie zdjęcie przed wojną.

W czasie okupacji, wbrew wszelkim przeciwnościom, udało się rodzicom doprowadzić nas do pierwszej komunii, a nawet zorganizować pamiątkowe zdjęcia. Na jednym z nich, z 1942 lub 1943 roku widać tę samą trójkę. W zgodzie z panującą wówczas modą, wymuszoną przez wszy, ja i Adam jesteśmy ogoleni do gołej skóry. Popracował nad tym dziadek Michał.

Do tego wydarzenia jest jeszcze jednak daleko. Teraz mam kilka lat i ganiam z chłopakami przez groble, drewniane mosty na Surmiczach, przedmieściu Dubna, do zamku Ostrojskich, gdzie niedaleko, opuszczając mokradła i łąki, przepływa Ikwa.

*(...) gród wołyński – jeden z wielu,  
w powietrzu ostry zapach chmielu,  
A tam gdzie Ikwy ciemna woda,  
Spogląda z zamku księżna młoda (...)*

Za Ikwą zapuszczaliśmy się na czeskie plantacje chmielu. (Czesi pojawili się na Wołyniu wraz z Niemcami po powstaniu styczniowym 1863 roku. Pozwolono im wykupić, skonfiskowane przez władze carskie za udział w powstaniu, polskie majątki szlacheckie. Taki sam los spotkał za wspieranie powstania majątek Strońskich, składający się z kilkunastu wsi i dworu w Iwanu na Podolu). Bawiliśmy się na terenie suszarni chmielu albo robiliśmy tunele na polach konopi. Ukrywaliśmy się w chabaziach, łośpuchach i łożach. Przeganiano nas stamtąd, strasząc szepietuchą, która mogła nas zamienić w zająca lub szczura. Uciekając, rozbijaliśmy sobie



...ta sama trójka...





Ludwik Stroński z Tatianą Gocan, przyszłą mamą autora

kolana, nosy i tyłki, rozdzielaliśmy portki! Zabieraliśmy naszym mamom z płyt kuchennych fajerki i biegaliśmy za nimi, popychając je, fikuśnie wygiętą kluczką z grubego drutu. W okresie świąt wielkanocnych, katolickich czy prawosławnych, organizowaliśmy konkursy mocnego jajka. W umiejętny sposób należało uderzyć i rozbić czubek kraszanki przeciwnika. Jeśli po dwukrotnym uderzeniu ta sztuka się udawała, jajko zagarniało się do własnej kieszeni. Robiliśmy... kupę do pustych pudełek po tytoniu i kładliśmy je na ścieżkę. Gdy ktoś pokusił się i schował taki pakiecik do kieszeni, biegliśmy za nim, wołając: gówniarz, gówniarz! Radości nie było końca, tym bardziej, że kandydatów na „gówniarzy” było wielu. Tytoń i papierosy były drogie. Często kupowano je na sztuki.

Niekiedy ojciec zabierał nas do parowozowni. Tam pomagaliśmy mu czyścić smalcem lokomotywę. Czasami całą rodziną chodziliśmy do nieodległej wsi Tarakany, gdzie pod mostem na Ikwie kąpaliśmy się i łowiliśmy sumy na bambusowe wędki.

Gdy było ciemno, gnało nas pod XVI-wieczną żydowską bożnicę – synagogę. Podkradaliśmy się pod koszary Wojska Polskiego, gdzie ćwiczyła kawaleria. Od czasu do czasu udawało nam się dostrzec stryjka Ludwika Strońskiego na koniu – był rusznikarzem i oficerem kawalerii. Zimą, na zboczach niewielkich Gór Pelczańskich zjeżdżaliśmy bądź skakaliśmy ze zbudowanej własnoręcznie ze śniegu skoczni. Wystrugane ze sztachet narty przywiązaliśmy drutem do butów. Mieliliśmy także łyżwy z zakręconymi czubkami, niektórzy po jednej. Ślizgaliśmy się na nich po Ikwie.

Najciekawiej było w styczniu. Na święto Jordanu wierni kościoła prawosławnego budowali na rzece lodowe ołtarze. Ukraińcy wyrąbywali siekierami przeręble w kształcie krzyża. Na ołtarzu ustawiano krzyż z lodu. Pop trzykrotnie zanurzał w rzece niewielki złoty krzyż. Tym gestem święcił wodę na pamiątkę chrztu Chrystusa. Następnie, na wezwanie popa, mój ukraiński kolega asystujący kapłanowi wyjmował zza pazuchy białego gołębia i wyrzucał go w górę. Ptak, wznosząc się, rozpościerał skrzydła nad głowami wiernych, symbolizując Ducha Świętego. Przypominam sobie, opowiadaną w tamtym czasie, anegdotkę związaną z tym świętem. Otóż pop śpiewnie po trzykroć wzywa Ducha Świętego, by ukazał się wiernym: – *Booożyj Duuuuchu woznesysiaa!* [ukr., Duchu Święty, wznies się!] Tymczasem chłopiec, który trzymał gołębia pod kożuchem, stwierdził z przerażeniem, że ptak się udusił, a więc, też śpiewając, odpowiada: – *Neeema Duuuucha, bo wduszywsiaaa!* [ukr., Nie ma Ducha, bo się udusił!] Śpiewany dialog między popem i chłopcem nie ustaje:

- *Booożyj Duuuuchu, woznesysiaaa!*
- *Neeema Duuuucha, bo wduszywsiaaa!*
- *Booożyj Duuuuchu, woznesysiaaa!*
- *Jaaak neee wiryyysz, poodywysiaaa!*
- [ukr., Jak nie wierzysz, to popatrz!]

I chłopak wyrzuca w górę martwego gołębia...

Przyszła wojna, a wraz z nią przybyło nam pomysłów na dobrą zabawę. Zapominaliśmy o strachu i niebezpieczeństwie. Nikt z nas jednak nie chciał być ani Niemcem, ani banderowcem. Podczas okupacji Dubna przez Niemców, gdy na placu ćwiczyli ukraińscy policjanci, biegaliśmy wokół, przedrzeźniając ich. Ukraińcy śpiewali:

*Na Ukrainie stało zwistno, szto żydiwskie kubło trysło.*

[ukr., Na Ukrainie już wiadomo, że rozpadło się żydowskie gniazdo.]

*Strumko! W prawo hłań!*

[ukr., Bacność! Na prawo patrz!]

*Tam biut szablamy w prawo w liwo,*

[ukr., Tam tną szablami w prawo, w lewo,]

*Szczoby serce ne bołilo!*

[ukr., Żeby serce nie bolało!]

Zmienialiśmy ostatnią zwrotkę, śpiewając: *Krutiat żarna w prawo w liwo, szczoby jisty ne chołilo!* [ukr., Kręć żarna w prawo, w lewo, żeby jeść się nie zachciało!] Policjanci jeszcze bardziej się denerwowali, gdy ich *Na ramię broń!* przekręcaliśmy na *Żeleziaku na puziaku i na pleczy hop!* [ukr., To żelastwo wrzuć na brzuch i na plecy hop!], a komendę *Na koń!*, zmienialiśmy na *Kinul sraku na kulbaku!* [ukr., Wrzucił srakę na kulbakę!] Kiedyś nie udało mi się uciec i mocno dostałem w skórę od Ukraińca za niewinny dwuwiersz:

*Tam jest góra, a tam dolina*

*Będzie w dupie Ukraina.*

Później, gdy w 1944 roku znowu przyszła Armia Czerwona, rzucaliśmy granatami i strzelaliśmy z automatu na gliniankach, puszczałyśmy fajerwerki. Skonstruowaliśmy także kilka małych wyrzutni na podobieństwo radzieckich katiusz oraz jedną dużą. Jej wybuch niemal doprowadził do III wojny światowej...

Do powstania dużej „katiuszy” potrzebne było rozbicie pięciu sporych bomb. Specjalistą od rozkręcania pocisków, z których wydobywaliśmy „makaronowy” proch i dynamit w pięknych jedwabnych woreczkach, był mój starszy brat Adam. Nie chciał narażać mnie na niebezpieczeństwo, więc zwykle stałem na czatach. Zdobyliśmy proch, długi jak dwudziestocentymetrowy makaron, z dziurką w środku – pełnił rolę niełatwo wówczas dostępnego lontu. W głębokiej jamie umieściliśmy kilkadziesiąt woreczków dynamitu, na który warstwami ułożyliśmy cegły, kamienie, stare materace, proch, papę, ziemię, żelastwo, pogięte rondle, patelnie, dziurawe beczki i przestzelone kanistry, znowu proch,

wapno, puste gilzy po pociskach czołgowych i na koniec koński nawóz. Przez otwór, wywiercony stalowym drutem, na sam spód napełnionej jamy wprowadziliśmy „makaronowy” proch, tak aby mógł zastąpić prawdziwy lont. Od tego miejsca, gdzie wystawał, przeciągnęliśmy „makaroniki” jeden za drugim, na daleką odległość, za drewnutnię. Było późne popołudnie. Zapaliliśmy nasz lont i – wstrzymując oddech – czekaliśmy w niepewności, leżąc na ziemi, czy ogień płynnie przesuwając się po prochu, trafi w wyznaczone miejsce. Trafili!!! Jezus Maria! Ogłuszający huk! Patelnie, wiadra, kanistry i beczki lecąc, wydawały jęki, piski, świszczwały. Fruwały kłody, drewnutnia zapaliła się; ogień rozniecił płonące materace i gnój koński! Wyły syreny, długo i przenikliwie wzywały ludzi do schronów. Na stacji kolejowej, gdzie stał transport z radzieckim wojskiem, rozległy się serie z automatów. Wybuchła panika! Daliśmy drapaka w kierunku szkoły leśnej, gdzie ukryliśmy się pośród tysięcy małych choinek. Niestety, nie na długo. Znalezione nas w sosenkach. Musieliśmy się poddać zjednoczonym siłom żołnierzy, rodziców i kolejarzy... Później długo bolały nas pupy po kontakcie z różgami i kolejarскими pasami. Na tym kłopoty jednak się nie skończyły. Trzeba było jeszcze przekonać komendanta eszelonu, radzieckiego pułkownika, że ten ogromny wybuch nie był skierowany przeciwko Armii Czerwonej. Jego obawy rozwiła ostatecznie skromne przyjęcie, na które został zaproszony. Pułkownik zresztą okazał się, jak by się dziś powiedziało, trendy i cool! Często przynosił nam *swiniuju tuszonku* [ros., mielonkę wieprzową], a bratu pięknie opatrzył rękę po wybuchu zapalnika do granatu ręcznego. Przy tej okazji postanowił zamieszkać w naszym domu na kwaterze, gdzie wszyscy mówili po rosyjsku, a wujek Janek grał na gitarze i śpiewał wesołe rosyjskie piosenki. Jedną z nich zapamiętałem. Czy dokładnie...?

*Mama, ja dwornika lublu.*

*Dwornik utrom ubirajet*

*I zapiski sobirajet.*

*Mama, za dwornika pojdu.*

*Mama, ja doktora lublu.*

*Doktor dielajet uborty,*

*Posylajet na kurorty.*

*Mama, za doktora pojdu.*

*Mama, ja lotczyka lublu.*

*Lotczyk wysoko letajet,*

*Mnogo dienieg pohuczajet.*

*Mama, za lotczyka pojdu.*

*Mama, ja powara lublu.*

*Powar warit nam kompotik,*

*Naliwajet nam w żiwotik.*

*Mama, za powara pojdu.*

Piosenka mówi o niezdecydowanej dziewczynie, która co pewien czas informuje matkę, że wyjdzie za mąż: a to za dozorcę, który dobrze sprząta, a to za lekarza, który robi aborcje i wysyła do kurortów, a to za lotnika, który wysoko lata i dobrze zarabia, wreszcie za kucharza, który gotuje dobry kompot.

Zimą, jeśli lód był dostatecznie gruby, wypuszczaliśmy się daleko na łyżwach, tam gdzie Ikwa była szeroka i głęboka. Leżąc na przejrzystym lodzie, oglądaliśmy kadłub skutego lodem rosyjskiego myśliwca i szczątki ciała pilota. Najmilej wspominam moment ucieczki własowców przed Armią Czerwoną. Uciekając w popłochu, zostawili na łące swoje wozy i wygłodzone konie. Adam i ja zdołaliśmy jednego z nich przyprowadzić do domu. Ojciec pozwolił nam zatrzymać tego spokojnego wałacha. Mieliśmy własną „naszą szkapę”! Uczyliśmy się na niej jeździć. Rosjanie pozwalali dzieciom na wiele: wchodziliśmy do czołgów i kabin wyrzutni rakietowych, katusz i kukuruźników, strzelaliśmy z moździerzy.

Często graliśmy w szpaka. Gra polegała na wybijaniu jednym kijem drugiego, krótkiego, piętnastocentymetrowego kijka z dołka, wygrzebanego na powierzchni jednego metra kwadratowego. Jeden z kilku graczy w polu musiał złapać kijek i z powrotem wrzucić go do kwadratu, którego broniono za pomocą dłuższego kijka. Liczono jakieś punkty. Nigdy potem nie spotkałem się już z podobną grą.

Było trwożnie i biednie: chleb polany wodą i posypyany żółtym cukrem (jeśli w ogóle się zdarzał), solone śledzie, kasza na okrągło, smażone wróble i młode wrony, ale i kradzione Niemcom kury, wędliny i słonina. Pety, machorka, lampy karbidowe i naftowe z łusek po kulach przeciwlotniczych, buty robione z paszków knotowych i opon samochodowych.

Jakkolwiek dziwnie to zabrzmiałoby, miałem szczęście, że doznałem w dzieciństwie tylu wrażeń, miłych i strasznych, wśród takich samych chłystków jak ja: Ukraińców, Żydów, Czechów, Rosjan i Niemców, w mieście nad Ikwą rozślawioną przez Juliusza Słowackiego. Byłem tam szczęśliwy i nieszczęśliwy, syty i głodny, bity i przytulany, poniżany, wylękniony, struchlały i odważny, widziałem śmierć, pożary i doznałem radości wyzwolenia. Wspaniałe dzieciństwo! Gdyby nie wszy i trupy! Gdyby nie strach w oczach rodziców, że przyjdą nocą...

Rosłem i wychowywałem się w mieście, gdzie dwukrotnie w 1781 roku gościł król Stanisław August Poniatowski, gdzie przez jakiś czas żył i dawał swoje przedstawienia Wojciech Bogusławski, dyrektor Teatru Narodowego, gdzie w 1813 roku zmarł Tadeusz Czacki, a w roku 1847 był Honoriusz Balzac, jeżdżąc do pałacu Hańskich w Wierchowni. W mieście, gdzie była jedna z największych we wschodniej Europie gmina żydowska, w mieście, będącym ośrodkiem kolonistów czeskich. Miałem ciekawe dzieciństwo, mimo wszystko szczęśliwe! Opuszczałem moje miasto, mając 12 lat. Ale tak naprawdę nigdy z niego nie wyjechałem, nie pozwalała na to nostalgia...

Lato 1939 roku było ciepłe i słoneczne, jesień także bezchmurna i kolorowa. Siedemnastego października wojska sowieckie „wyzwoliły ludność Wołynia od ucisku pańskiej Polski”. Nie pytając nikogo o zgodę, nowa władza nadała wszystkim obywatelstwo Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. I od tej pory we wszystkich dokumentach pisano, że urodziłem się w ZSRR. Uświadomiłem to sobie, kiedy nie tak dawno zmieniałem mój stary dowód osobisty na nowy plastikowy. Burmistrz Gminy Warszawa-Ursynów w dniu 18 września 2002 roku jednym podpisem ostatecznie przywrócił mi moje prawdziwe miejsce urodzenia. Nikt już nie obali tej prawdy, że urodziłem się w polskim Dubnie na Wołyniu należącym obecnie do wolnej Ukrainy.

Oto, jak zmienił się świat przez te 63 lata. Myślałem o tym wszystkim, przeglądając ocalałe resztki dokumentów rodzinnych. Natknąłem się na akt wydany przez Starostwo Krzemienieckie L.343 z dnia 14.01.1922 roku, zatytułowany „Akt uznania obywatelstwa”. Mój dziadek Piotr Stroński oświadcza w nim, że chce być obywatelem polskim, że swoje polskie pochodzenie odpowiednio dokumentuje i, składając te dokumenty w dniu 9 grudnia 1921 roku, zrzeka się obywatelstwa rosyjskiego, które mu kiedyś siłą było narzucone. Na podstawie tych dowodów, dziadkowi przywrócono obywatelstwo Państwa Polskiego. Dziadek wyzwał się z niewoli rosyjskiej, przyjmując obywatelstwo „pańskiej” Polski „uciskającej” ludność Wołynia i Podola. Ja zaś, 17 lat po uzyskaniu przez dziadka obywatelstwa polskiego, zostałem „wyzwolony” przez Armię Czerwoną od takiej dziadkowej Polski, by zostać obywatelem ZSRR, kraju, *gdzie tak wolno dyszyt człowiek* [ros., gdzie tak swobodnie oddycha człowiek]. Taki łańcuszek zdarzeń poukładał się w mojej głowie dopiero teraz. Uświadomiłem sobie jednocześnie, że jednak bardzo mało wiem o przeszłości moich rodziców, dziadków i dalszych przodków.

„Jakie to smutne, że starzy ludzie tak bardzo lubią opowiadać o swojej przeszłości, a młodzi, jeśli w ogóle raczą słuchać, słuchają nieuważnie, zapamiętują niewiele, nie pytają o szczegóły, zapominają zaraz o tym, co usłyszeli” – pisze w swojej książce *W ogrodzie pamięci* Joanna Olczak-Ronikier.

Tak, to prawda, mało słuchałem, gdy byłem młody. Prawie nigdy o nic nie pytałem. Dzisiaj mam za swoje, zbieram strzępki wspomnień, scalam, co się da scalać. Nieraz stoję zdumiony przed faktami z przeszłości, żałuję i się wstydzę. Gdybym wówczas je znał, mój stosunek do rodziców i dziadków byłby na pewno inny. Mocniej bym ich kochał, bardziej cenił i szanował. A i teraz żyłoby się łatwiej, bez wyrzutów sumienia, że ojcu i matce nie poświęciło się odrobiny więcej czasu, że nie interesowało się, jak sobie radzą, o czym myślą, czy mają jakieś marzenia. Po prostu byłem głupi! Teraz z trudem staram się uchronić to, co pozostało w przekazach, listach, nielicznych dokumentach i na starych fotografiach.

W tej chwili pomyślałem o babci Marii. I to zapewne myśl o niej uruchomiła mój depozyt pamięci; nagle przypomniałem sobie kołysankę, którą śpiewała mi blisko 67 lat temu. Ale gdzie? W Dubnie czy Radziwiłowie?



Akt uznania obywatelstwa

Lulaj, mój sokole  
 Oczka swoje zmrucz  
 Śpij już ptaszki, śpi już myszka  
 Zaśnij, wnuczku już...

Dobrze babciu, idę spać. Ale od jutra pomagaj mi w tym pisaniu...

Pada deszcz, niskie ciśnienie, wyłączyłem telewizor, jest sennie i smutno. Cecylia, moja żona pojechała z naszym synem do Wólki (w Woli Soleckiej), na groby najbliższych. Taki dzień wywołuje różne myśli. Trzeba jednak wziąć się w garść! Babciu, piszemy dalej! W tej ostatniej podróży do zakamarków pamięci każdy przesuwający się przed zamkniętymi oczami obraz na pewno przypomni tamtych ludzi, tamte klimaty, zapachy. To już bardzo odległy czas. Żyję w innym świecie. Wokół wszystko się zmieniło: domy, autobusy, krawaty, majtki kąpielowe. Tak czy owak, parszywie jest, gdy człowiek się starzeje. Ale mimo to, będę się starał. Tę historię, która działa się na moich oczach, nieraz szybciej niż byłem w stanie ją śledzić, jakoś uda mi się chyba opisać.

Nie byłem zaślepiony budowaniem swojego bytu i gromadzeniem bogactwa. Uczestniczyłem przede wszystkim, a może tylko tak mi się wydawało, w urzędzistwianiu „powszechnego dobrobytu” tu, na tej ziemi. Jedynym prywatnym celem, jaki realizowaliśmy z żoną, było zadbanie o wykształcenie córki i syna. Dobrze, że trafiliśmy na czas, gdy istniała Polska Ludowa, dzięki której bez wysiłku finansowego nasze dzieci ukończyły studia magisterskie. Dzisiaj z dumą i ogromną radością gromadzimy ukazujące się o nich w mediach notki:

Elżbieta. Wydział Handlu Zagranicznego SGH. Redaktor, dziennikarka, początkowo w Informacyjnej Agencji Radiowej. Jednocześnie spikerka i lektorka w Polskim Radiu. Współpracowała z programami informacyjnymi TVP. Pracowała w PAP, BBC, w warszawskim radiu PIN oraz radiu TOK FM. Jest lektorką filmów naukowych, dokumentalnych i przyrodniczych.

Waldemar. Studia filmowe w czeskiej Pradze. Reżyser, realizator programów telewizyjnych. Nagrodzony m.in. za realizację koncertu Garou podczas festiwalu w Sopocie w 2002 r. Pracuje przy realizacji Festiwalu w Opolu, Sopocie, Country-Mragowo, Rawa Blues



Elżbieta



Waldemar

*i wielu innych. Zrealizował koncert Jana-Michela Jarre'a z okazji 25-lecia Solidarności i koncert 80-lecia Polskiego Radia.*

Mam swój ostatni w życiu pokoi, moje centrum świata; swój socjalizm, sprawiedliwość, równość, dekalog, społeczeństwo dobrobytu, drugą Japonię, wartości chrześcijańskie, aborcję z eutanazją, małżeństwa homo, radio Rydyka, sex shopy, Internet, antysemityzm, tolerancję, IV RP, papieża, SLD, PO, LPR, PD, Sejm, supermarket Hit, Irak, Boga, Honor i Ojczyznę, PiS, Donalda i Kaczorę. Wszystko to także minie, jest ulotne. Ja nie piszę historii moich czasów. Nie przedstawię tu wszystkiego, co zachowałem w pamięci, ponieważ musiałbym dotknąć nieraz spraw przykrych dla osób cieszących się życiem wśród

swoich bliskich. A teraz, na domiar złego, zaczyna się, jak u większości osób w moim wieku, proces zapominania. Ledwie coś napiszę, od razu mam wątpliwości, czy to było tak, czy może jednak zupełnie inaczej.

W czasie, który mnie wybrał, zaszło tyle niezwykłych wydarzeń, że trudno stwierdzić, iż dni i lata były do siebie podobne. Na pytanie: Jak ci upłynęło życie?, mógłbym oczywiście odpowiedzieć: Co tu opowiadać, życie jak życie, a dzień jak co dzień. Co było, to było. Nie ma o czym mówić. To oczywista nieprawda. Życie każdego człowieka jest bogate w zdarzenia. Chcę zatem opowiedzieć o fragmentach mojego, które rozegrało się między Dubnem a Warszawą, między Wołyniem a Mazowszem. Będą to wspomnienia z mniej lub bardziej odległej przeszłości; opiszę nie fakty epokowe, raczej marginalne, jednostkowe, dotyczące nieraz sfery obyczajów czy zwyczajów. Być może złożą się one na mniej czy bardziej barwną mozaikę codzienności lat 1933–2004, na które przypadła ogromna większość mojego życia. Wszystko to będę starał się opisywać najwierniej, choć wiadomo, że nikomu nie udaje się przedstawić minionych czasów takimi, jakimi były w rzeczywistości. Jest, co prawda, pewna niepisana zasada, która brzmi: Co myślisz, tego nie mów; co mówisz, tego nie pisz; co piszesz, tego nie drukuj. Jednak kłamka zapadła!

## Schrony

Moje życie w Dubnie do 1944 roku było pełne wydarzeń. Przed ukończeniem siedmiu lat świat wydawał mi się beztrudny. Jeździłem na wakacje do dziadków do Radziwiłłowa, małego miasteczka, w którym było 780 domów i mieszkało około 5500 osób. Obserwowałem handel bydłem, bawiłem się nad rzeką i w młynie, przyjaźniłem się z liliputami, artystami słynnego cyrku Staniewskich, przyjaciółmi wujka Janka. Łowiłem rękoma ryby i raki. Pomagałem babci przenosić balię z wodą, gdy szorowała posadzki kościoła (otrzymywała za to nędzne wynagrodzenie od księży). Wygrywałem melodie na metalowej tarze. Raz, w Dubnie, a może w Radziwiłłowie, kupiłem u prawdziwego Żyda z pejsami słodkie drożdżowe bułki, którymi objadłem się do nieprzytomności. Pieniądze na nie wziąłem z maminej mufki, gdzie je przechowywała. Wtedy, po raz pierwszy zbił mnie ojciec. Nie umiał bić. Kopał. Uratowała mnie mama, przykrywając własnym ciałem. Tę naukę zapamiętałem na całe życie.

Żyłem zatem w tym polsko-ukraińsko-żydowskim mieście z kilkunastoma lepszymi ulicami, zamkiem nad rzeką Ikwią, bożnicą, kościołami i cerkwiemi. W roku moich urodzin Dubno liczyło 12 500 mieszkańców i 1417 domów. Oznacza to, że przeciętnie w każdym z nich mieszkało około dziewięciu osób. Było ciasno i biednie, bardzo biednie! Żyli tu ludzie różnych narodowości, religii i kultur: Polacy (katolicy), Czesi (husyci), Ukraińcy (prawosławni), Niemcy (protestanci) i Żydzi. Wszyscy podobni do siebie. Kochali się, rodzili dzieci, pracowali, umierali. Złych i dobrych tyle samo. Bez różnicy. Tak jak smutków w życiu, jak radości. Wspomina o tym Ryszard Kapuściński w swojej książce *W galicyjskim mateczniku*. Píše, że jeszcze na początku XX wieku nie trzeba było podróżować do Afryki, wystarczyło wybrać się do Brodów, Czerniowca, Łucka, Dubna bądź Lwowa. „W tamtych latach głodu [...] jedynie trumniarz miał dobrze, ponieważ każdej zimy kraj nawiedzała grypa, czarna śmierć, i prawie codziennie nad dachami [...] odzywały się dzwony obwieszczające czyjś zgon”. To były czasy dzieciństwa i młodości moich rodziców. Mimo to, w tamtym świecie biedy, analfabetyzmu i plemiennych zwyczajów nie było ślepej, agresywnej nienawiści, którą rozpętała dopiero I wojna światowa, a II, po krótkim okresie międzywojnia, dopełniła ostatecznie. A to już były czasy mojego dzieciństwa. Wtedy na stałe zagościły wrogość i agresja. Rozpoczęło się i nabrało przyspieszenia moje świadome życie. Uczyłem się, kto jest dobry, a kto zły. Ważną wskazówką była obserwacja żołnierzy, ich zachowań: stosunek do dzieci, kobiet, starców, mieszkańców tej ziemi. Przez miasto mojego dzieciństwa przetaczały się zawieruchy wojenne, a wraz z nimi nacjonałisci ukraińscy, Armia

Czerwona, Niemcy, własowcy, Węgrzy, Wojsko Polskie II RP, Wojsko Polskie ze wschodu.

W piątek, 1 września 1939 roku, gdy Niemcy napadły na Polskę, miałem sześć lat i trzy miesiące. Rodzice chcieli zapisać mnie do pierwszej klasy. Jednak w związku z zaistniałą sytuacją, zezwolili mi tylko na odprowadzenie do szkoły Adama i Zosi – oni mieli rozpocząć naukę w klasie trzeciej. Dostali plan lekcji, który miał obowiązywać od poniedziałku 4 września, ale nauki już nie było... Między 10 a 15 września przez Dubno przejechało wiele limuzyn, którymi uciekali w stronę granicy rumuńskiej starostowie i wojewodowie. Widziałem długie, nieprzerwane kolumny samochodów zatłoczonych dygnitarzami, wysokimi oficerami sztabowymi, ich rodzinami i różnymi wysoko postawionymi osobistościami. Ostatni wyjechał starosta dubieński. To był koniec. Kropkę nad i postawiła Armia Czerwona, która pod pretekstem ochrony swoich „braci” tej samej krwi, Białorusinów i Ukraińców mieszkających na terytorium Polski, wkroczyła 17 września 1939 roku do Rzeczypospolitej. Żołnierze maszerując, śpiewali: *A Polszy i nie widno, i nie słyszno! I nie budiet nikogda! Ha-ha-ha!!!* [ros., A Polski ani nie widać, ani nie słychać! I nigdy jej nie będzie! Cha, cha, cha!!!]

„Polscy kapitaliści i obszarnicy ujarzmili lud pracujący Białorusi Zachodniej i Ukrainy Zachodniej, i Armia Czerwona zdecydowanym ciosem musi rozgromić państwo burżuazyjne i wojsko polskie oraz wyzwolić robotników i chłopów ludu pracującego Białorusi i Ukrainy” – pisała w tym czasie radziecka „Prawda”.

Polskie jednostki zazwyczaj nie podejmowały walki i wycofywały się na południe i zachód, gdzie składały broń przed oddziałami sowieckimi. 31 października 1939 roku Władysław Mołotow, minister spraw zagranicznych ZSRR oświadczył: „Polska, bękart wersalski, przestała istnieć”. Mieszkańcom terenów włączonych do ZSRR, zgodnie z dekretem Rady Najwyższej z 29 listopada 1939 roku, nadano obywatelstwo radzieckie, i na tej podstawie 150 000 Polaków powołano do Armii Czerwonej. Pozostali mieli być uczynieni prawomysłnymi obywatelami lub unicestwieni. Służyły do tego system szkolny, przymusowe przesiedlenia i rozstrzeliwania.

Powstaje radziecka Ukraina. Zostaję pionierem, członkiem masowej dziecięcej organizacji komunistycznej w ZSRR. Najmłodsza grupa, do której należę, nosi nazwę *oktiabriata* [ros., oktiabr’ – październik; w tym miesiącu w roku 1917 w Rosji rozpoczęła się rewolucja październikowa, która zapoczątkowała wojnę domową, zakończoną ostatecznie w 1922 roku, utworzeniem ZSRR]. Zakładają mi uroczyste *krasnyj galstuk* [ros., czerwony krawat]. Uczą na pamięć: *Nam żywiotsa horoszo pri sowietskoj vlasti!* [ros., Dobrze nam się żyje pod władzą radziecką]. Śpiewamy po ukraińsku hymny pochwalne na cześć „Śnieżnobiałego orla” – Stalina:

*Izza hir ta zza vysokich  
Sniżnokrył oroł letyt,  
Słowo Stalina miż namy  
Wola Stalina miż nas!...,*

co znaczy: zza wysokich gór leci śnieżnoskrzydły orzeł; słowo i wola Stalina są między nami... Wzmaga się nienawiść między Polakami, Żydami i Ukraińcami. Uczymy się ukraińskiej piosenki:

*Szcze nedawno szlacheckije katy  
Perekrajały ridni pola,  
A teper ty mohutnia, jedyna,  
Wilna, radisna ty jak wesna!*

Jej słowa po polsku: Jeszcze nie tak dawno rodzime pola były podzielone przez szlacheckich katów, a teraz ty (w domyśle: ojczyzna) jesteś potężna, zjednoczona, wolna i radosna jak wiosna.

Sowieci, obok terroru i brutalnego rygoru NKWD (centralny organ administracji państwowej w sowieckiej Rosji (od 1917 r.) i ZSRR (w latach 1934–46) oraz policja polityczna), wprowadzili także na przykład możliwość rozwodów. Wtedy moi rodzice mogli uregulować swoje sprawy osobiste. Przed wojną rozwody były niedopuszczalne. Rodzice byli razem od chwili rozstania się taty z jego pierwszą żoną, Ukrainką. Teraz mogli usankcjonować prawnie swój związek. Ojciec przeprowadził rozwód za jedyne 3 ruble. Gdyby miał taką możliwość w II Rzeczypospolitej, to i tak na sfinalizowanie rozwodu nie starczyłoby mu pieniędzy.

Do pierwszej klasy ukraińskiej szkoły w Podborcach, wsi odległej o 2 kilometry od stacji kolejowej, przyjęto mnie we wrześniu 1940 roku. Władze oświatowe radzieckiej Ukrainy nie zdążyły jednak wydać mi świadectwa, ponieważ czerwonych okupantów, po kilkunastu miesiącach panowania, zastąpili brunatni, niedawni sojusznicy tych czerwonych, napadając na nich 22 czerwca 1941 roku. Dopiero co Polakom bliżej było na Syberię lub do Kazachstanu, teraz gwałtownie zmalała odległość do Auschwitz...

Na ulicach Dubna leżeli martwi ludzie i konie, sterczały rozbite sowieckie samochody i czołgi. Na Surmiczach przez wiele upalnych tygodni straszyły spuchnięte i poczerniałe trupy młodych radzieckich żołnierzy. Jeszcze przed nadejściem Niemców znikły wszystkie towary. Nie mieliśmy nawet chleba ani kartofli. Grabieże mieszkań i magazynów, nie wyłączając kościołów i cerkwi, były na porządku dziennym. Kolejna okupacja wprowadzała swoje porządki i terror, potęgując nieufność i strach; sąsiad innej wiary i języka stawał się wrogiem. Jedni i drudzy okupanci stworzyli świat, w którym nieustannie

polowało się na ludzi. Sowieci wysyłali Polaków na wschód na Syberię, hitlerowcy na zachód, do obozów koncentracyjnych i niemieckich fabryk zbrojeniowych.

Ciocia Zofia, siostra mamy, znalazła się w Düsseldorfie w fabryce bomb. Dzięki pomocy rosyjskiego lekarza, także niewolnika, który nauczył ją, jak udawać chorą na serce (przyjmowała jakieś medykamenty, powodujące szmery czy też kołatanie), została zwolniona i szczęśliwie wróciła do Dubna. Tata został powołany do pracy na kolei jako maszynista. Brat ojca, stryjek Ludwik dostał nakaz pracy w Wojskowym Parku Naprawy Samochodów [HKP – Heeres Kraftfahrpark] jako spawacz. Przedwojenny plutonowy, kawalerzysta i świetny rusznikarz miał okazję, pracując w tych warsztatach, reperować zdobyczną broń, która w przyszłości przydała się polskiej partyzantce i samoobronie. Dzisiaj już wiem, skąd tata, którego nieprawdopodobnie podziwiałem, miał zawsze odpowiednio sprawną broń. Uczył nas, jak się nią posługiwać w razie napaści Ukraińców. Dzisiaj także rozumiem, dlaczego niemiecki żołnierz, który w czasie ćwiczeń dostał pięścią w twarz od oficera, krzyknął po polsku: „O Boże! Jezus Maria! Za co?”. Byli to Ślązacy, młodzi rekruci. Wtedy jednak nie pojmowałem, co się dzieje: niemiecki oficer ćwiczy niemieckich żołnierzy, bije jednego z nich, nazywając go polską świnia, a ten po polsku zwywa Boga!

1 września 1941 roku Niemcy pozwalają otworzyć szkoły podstawowe i średnie; do mojej klasy drugiej nie przyszli już żydowscy koledzy. Teraz chodzili po ulicach z gwiazdami Dawida na piersiach i plecach oraz z żółtymi opaskami na rękawach. Żydzi przestali handlować. Nie słyszałem już na ulicach ich nawoływania: „Garki drutujeee, garki, nosze [noże] oszszeee [ostrzę]! Matki, matki, dajcie szmatki, ja wam igł [igły] dam!”.

Niedługo cieszyliśmy się nauką. Po trzech miesiącach, w listopadzie 1941 roku, szkoły zamknięto, a młodzież zapędzono do pracy na rzecz zwycięstwa Rzeszy. Wprawdzie nadal chodziliśmy do szkoły, ale tylko po to, by w karnym szeregu maszerować stamtąd do chmielarni i cały dzień kroić chleb na suchary dla niemieckich żołnierzy. Co to oznaczało dla 8-letniego chłopca, lepiej nie mówić! To była ciężka praca. Mdły zapach chleba, brak wentylacji, pęcherze na rękach, ból w plecach od przenoszenia i wpychania wielkich drucianych siatek napełnionych pokrojonym chlebem na wysokie półki rusztowań suszarni. Od czasu do czasu tę mękę osładzała nieco zapłata w postaci kilku sucharów, które niosłem do domu jak najdroższy skarb.

Pewnego dnia – urozmaicenie: pod konwojem zaprowadzono nas na bocznice kolejową, żebyśmy rozładowali kilkanaście wagonów zgniłych, zakrwawionych, zaropiałych, cuchnących, zawszonych sienników i materacy z jakichś wojskowych lazaretów. To nie była robota dla „nadludzi”. Mogły to zrobić tylko „polskie świnie”, którym do pomocy przygnano z getta małe „świnie żydow-

skie”. Materace i sienniki wywlekliśmy z wagonów, układając coraz wyższe stosy do spalenia. Potykaliśmy się i wywracaliśmy, popędzani przez podpitych żołnierzy. To wywoływało ich rechot i zachęcało do agresji. Popchnięty kolbą karabinu, upadłem. Konwojent klnąc, podniósł mnie za kołnierz, i ciągnąc, powlókł na tory. Przyłożył moją głowę do zderzaka stojącego wagonu, do którego powoli zbliżały się dwa inne wagony pchane przez małą lokomotywę. Darłem się, wrywałem i kopalem, a żołnierze bili brawo z radości, pełni aprobaty dla tak dobrego pomysłu ich kompana. Widziałem, jak powoli maleje odległość między zderzakami, które za chwilę zmiażdżą moją głowę. Przestałem już wzywać na pomoc mamę i tatę, nie miałem siły płakać. Do dzisiaj w uszach słyszę ten przerażający krzyk dzieci, które nie zważając na strzały z karabinu, biegły do małej lokomotywy, w której maszynistą był... mój tata!

– Tam jest „Struna ryża”! (To było moje przezwisko – byłem bardzo piegowaty). Zabiją go! To syn, pana syn, Rysiek!

– Kto zabije, jaki Rysiek, co on tam robi?!

– Pan go zabije, nie jechać, nie jechać!!!

Gdy tata wreszcie zrozumiał, zahamował! Prawie w ostatniej chwili... Wy-skoczył z parowozu, przybiegł do Niemca: „Mój, syn, mój syn, błagam, bitte! [niem., proszę] Gott [niem., Bóg], bitte, bitte!”. Nadczłowiek popchnął mnie w ręce ojca. Przedstawienie się udało. Niemcy mieli rozrywkę! W ten sposób ojciec po raz trzeci dał mi życie: spłodził mnie, świeżo narodzonemu zawiązał pępowinę, ocalił przed niemieckim barbarzyńcą.

Kilka kilometrów dalej w stronę Gór Pełczańskich odbywało się zabijanie ludzi. Podkradałem się z chłopakami i zza pagórka oglądaliśmy rzeź żydowskich dzieci, kobiet i mężczyzn. Faszystowska policja ukraińska i Niemcy mieli wprawę recydywistów. Niemowlęta podrzucano i strzelano do nich jak do kaczek. Inne chwymano za nóżki, rozbijano ich główki o pień lub betonową zaporę. Krzyk dorosłych i dzieci, płacz żydowskich niemowląt mieszał się z hukiem wystrzałów, szumem wołyńskich lasów, dźwiękiem dzwonów z kościołów i cerkwi, błagających niebios o litość i nadzieję. Nie było odzewu! Ciemność była silniejsza, diabeł był zwyciężcą.

Shukając w Bibliotece Narodowej danych dotyczących liczby zamordowanych w Dubnie Żydów, natknąłem się na wiersz Tadeusza Borowskiego z 1944 roku o dzieciach Oświęcimia i Dachau pt. „Kolęda o niemowlątku”:

*Nad stajenką krązą święci  
Zachłyśnięci, wniebowzięci  
A na ziemi nie ma święta  
Dusi pętla niemowlęta  
Raj w kadzidlach, niebo w kwiatach  
A na ziemi trupi zapach.*



Pisząc te słowa dzisiaj, nie mogę zrozumieć, jak można było wtedy, żyjąc w otoczeniu tej niesprawiedliwości ludzkiej i boskiej czynić przygotowania do pierwszej komunii świętej. Nawet te skromne komunijne stroje w tamtym ponurym czasie były niestosowne, bezczelne. Obrażały! Czy tego nikt nie dostrzegał? Gdzie była chrześcijańska skromność i solidarność z umęczonymi i mordowanymi ludźmi? W jaki sposób zapach kadzideł i kwiatów na ołtarzach mógł współistnieć z rozprzestrzeniającym się wokół trupim zapachem? W miarę upływu lat patrzę z coraz większą litością na ówczesnych ludzi, upokorzonych, miotających się bezradnie. Na mnie samego, też upokorzonego, bo nie mogłem stanąć w obronie innych ani siebie tylko dlatego, że nie urodziłem się 10 lat wcześniej. Mimo to, włączałem się do bitwy jak umiałem. Wszyscy wierzyliśmy, że nawet najmniejsze działania przeciwko wrogowi przyspieszają jego upadek. Najważniejsze było nie dać się zabić. W tym celu należało budować schrony. Instrukcji nikt nie miał. Ojcowie i dziadkowie do sztuki konstruowania schronów wnosili doświadczenia z I wojny światowej. Dzieci były bardzo wydajną i aktywną grupą roboczą. Łączyły pracowitość z zabawą: nareszcie będziemy mieli własny domek ukryty pod ziemią, z tajemniczymi przejściami i drewnianymi łózkami! Komin będzie wystawał ponad pokrzywy, a może jeszcze tatuś zainstaluje prawdziwy peryskop!

Pierwszy schron, powstały tuż przed wybuchem wojny, w ogrodzie, nie był udany. I na szczęście do niczego się nie przydał. (W dodatku brat przy jego budowie niemalże pozbawił mnie palucha u lewej nogi). Była to właściwie ziemianka, przykryta kolejowymi podkładami przysypanymi warstwą ziemi i zielskiem. Zbudowaliśmy ją w sadzie pani Marusi, gdzie wynajmowaliśmy mieszkanie po tym, jak wyrzucono nas z naszego domku na Surmiczach.

– Chłopcy, macie tutaj łopatę, natnijcie dużo łopianu i innego zielska, zamaskujcie schron. Za kilka godzin wrócę z pracy. Ale jeśli skończycie wcześniej, to przyjdźcie na rampę, będziemy przetaczać wagony – powiedział tata.

Z ochotą zabraliśmy się do pracy. Chwytałem za górne części ogromnych liści i zapierając się nogami, ciągnąłem je ku sobie, a brat ukosem, ostrzem łopaty, odcinał je od korzeni. Wtedy wywracałem się, a liście łopianu przykrywały mnie całego. Było dużo śmiechu i zabawy. W pewnej chwili ostrze łopaty, zamiast w korzeń, trafiło w moją nogę. Upadłem z wrzaskiem. Na ten krzyk przybiegła mama. Wokół krew, a u nogi dyndający duży palec. Adam popędził po ojca. Pani Marusia i mama zanieśli mnie do mieszkania. Udało im się zatamować krew. Przybiegł ojciec, zarzucił mnie na plecy i wszyscy pobiegli do lekarza, do pana Szklarenki.

– Panie Kaziu, nie ma tragedii, jeszcze się nie wykrwawił, połóż go pan na kozetce, zaraz zatamujemy i będzie superultramaryna i miód – mówi wesoło pan Szklarenko i gumą krępuje prawą nogę.

– Panie doktorze – denerwuje się mama – to przecież nie ta noga!

– No oczywiście, pani Tosiu, trochę się pomyliłem, teraz będziemy krępo-

wać lewą nóżkę – mówi, jak zwykle pachnący alkoholem pan Szklarenko, podsuwając mi pod nos tampon waty przesyconej jakimś mdłym zapachem.

Gdy się obudziłem, było już po wszystkim: przyszyty paluch i pięknie obandażowana stopa. Będzie się czym chwalić przed chłopakami, pomyślałem. Po kilku dniach noga spuchła, miałem wysoką gorączkę. Pamiętam niosącego mnie na rękach do szpitala, płaczącego ojca. Zawsze, gdy przy pożegnaniach lub powitaniach całowałem jego spracowane dłonie, to wydarzenie odżywało w mojej pamięci. W czasie, gdy chorowałem, przeczytał mi jedyną w życiu bajkę, o diable Borucie. Mój dobry tato, zrobiłeś wszystko, na co cię było wówczas stać. Dziękuję!

Z tej ziemianki, przy budowie której ucierpiał mój paluch, nigdy nie skorzystaliśmy. Rejon stacji był ostrzeliwany i musieliśmy uciekać do pobliskiej wsi o nazwie Czeski Strakłów. Ukryliśmy się w sadzie pod jabłonią, a wieczorem ku naszemu przerażeniu do wsi i sadu weszło polskie wojsko i rozlokowało w nim działka przeciwlotnicze.

Przeżyliśmy dwa naloty. Przed wybuchami bomb i odłamkami miały nas chronić pierzyny, w które byliśmy zawijani przez mamę. Podobno odpryski i zabłąkane kule traciły szybkość, wpadając w pierze. Na szczęście nie było okazji do sprawdzenia kuloodpornej przydatności pierzyn...

Wkrótce znowu miałem powód do płaczu. Wraz z gałęzią, trafioną odłamkiem, spadło na moją głowę ogromne jabłko. Bolało okropnie – wyrósł guz jak śliwka. Tymczasem noga goiła się, palec się zrastał.

Prawie zdrów, 17 września byłem gotowy na „powitanie” radzieckich „wyzwolicielei”, którzy po wkroczeniu do Polski, w zaufaniu mówili nam, że Niemcom nie wierzą, i że sojusz z nimi będzie krótkotrwały. Radzili budować schrony. Wyprowadziliśmy się od pani Marusi. Zamieszkaliśmy jeszcze bliżej stacji, w pożydowskim mieszkaniu. Poprzednich mieszkańców, z niewiadomych przyczyn, Rosjanie aresztowali i dokądś wywieźli.

Na drewnianych framugach drzwi znalazłem przybite gwoździkami małe futerały z blachy z zapisanymi zwitkami pergaminu wewnątrz. Dzisiaj wiem, że były to tak zwane mezuzy z wypisanymi wersetami Pięcioksięgu, uważane przez religijnych Żydów za talizmany chroniące mieszkańców przed złem. Tata przytłoczył je z powrotem. Dzięki temu, być może, przeżyliśmy szczęśliwie najtrudniejsze chwile w naszym wojennym czasie. A poprzedni mieszkańcy tego domu? Kto to może wiedzieć?

Z Radziwiłłowa do nas, do Dubna, przyjechali dziadkowie. Bali się rozstania w tej wojennej zawierusze.

– Wolę zginać ze wszystkimi. Nie chcę, by znowu ta wojna rozproszyła nas po świecie, jak moje dzieci – powiedziała wtedy babcia.

– W razie czego naszym schronieniem będzie piwnica, trzeba ją tylko trochę wzmocnić – powiedział tata.



– Pewno, po co szukać gdzie indziej, tutaj jest blisko, tylko podnieść klapę i siup, pod podłogę – zgodziła się, zawsze praktyczna, babcia.

– Ściany i dach tej chałupy chyba są dostatecznie mocne, Kaziuniu? – ni to spytała, ni to stwierdziła delikatna ciocia Zosia, przyciągając do siebie swoją nieodłączną walizeczkę.

– Nie gadajcie tyle o tej piwniczce, bo jeszcze wywołacie wilka z lasu. Lepiej Rysiu zanieś do niej świecę i karbidówkę. Adasiu, przyniósłbyś czystego piachu z dworu, rozsypiecie z Rysiem w piwnicy, może nie będzie tam takiego grobowego zaduchu – rozporządziła mama.

– Gadasz, Tosiu na nas, że wywołujemy jakiegoś wilka, a sama mówisz o grobowym zaduchu – odezwał się zwykle małowówny dziadek Michał.

Nagle coś huknęło, nieopodal wybuchły granaty. Szybko stwierdziliśmy, że cała rodzina nie da rady w krótkim czasie znaleźć się w piwnicy. W otworze, zamykanym klapą, spotkali się wszyscy naraz: Adam, ja, ciocia Zosia, dziadek Michał, mama, tata i na koniec spóźniająca się babcia Maria, o której wszyscy sądzili, że jest już na dole.

– Klapa, zamknąć klapę, szybko!

– Zaraz, zaraz, zapomniałam, już to rooo...

Gruchnęło tuż obok. Z półki wprost na głowę babci spadł blaszany garnuszek do wody.

– Już nie żyję, zabili mnie, żegnajcie dzieci – zawołała i osunęła się na nasze ręce.

Powstał tumult. Każdy, jak tylko umiał, usiłował przywrócić babcię do życia. Było wesoło, kiedy okazało się, że babci nic się nie stało. Od tej pory przy każdym dalekim odgłosie wybuchających bomb wołaliśmy: Już nie żyję, zabili mnie, żegnajcie dzieci!

Nie było jednak co się dziwić przewrażliwieniu naszej biednej babci. Jakiś czas wcześniej, do domu, w którym mieszkaliśmy, nocą wpadła bomba samolotowa. Przebiła dach, dwie boczne ściany, przeleciała nad łóżkiem moim i brata, i zatrzymała się w następnym pokoju. Po drodze swoim impetem zwinęła metalowe łóżko, na którym spała babcia. Wydobywanie jej z metalowej pułapki nie było łatwym zadaniem, nawet dla tak zdolnego ślusarza, jakim był mój tata. Wreszcie, po długim czasie, babcia, prawie nieprzytomna, wysunęła się na podłogę z czegoś, co łóżka już wcale nie przypominało. Tuż obok leżał niewybuch.

Dopiero trzeci schron, dla ponad 30 osób, zbudowany wysiłkiem kilku rodzin (w pracy nad tą budowlą starałem się nie ustępować starszym) spełniał wszelkie wymogi. Wejście tym razem było znacznie poszerzone. Do schronu można się było dostać także z kuchni. Dodatkowe wyjście ukryto w drewni. Bunkier ten był tak chytrze pomyślany, że jego główna część, dachowa, między kuchnią a drewnią, znajdowała się na zewnątrz obu tych obiektów. Został pokryty pięcioma warstwami. Były to kolejno: podkłady kolejowe wraz z papą i piaskiem, szyny,

ziemia zmieszana z gliną, cegły oraz gruz, i na koniec znowu podkłady przysypane metrową warstwą ziemi obłożonej darnią. Wewnątrz znalazły się prycze z siennikami, na środku koza na brykiety z rurą wysuwaną na zewnątrz. U powały wisiały karbidówki kolejowe, a we wnękach umieszczono zapasowe lampy na naftę, kopające, zrobione z łusek po nabojach przeciwlotniczych, jak również wiadra z wodą i zapasy żywności. Tak, oczywiście, wychodek też był!

Po środku schronu stał stół, przy którym z racji ciasnoty jedliśmy posiłki na raty. Najczęściej grano też przy nim w karty (w tysiąca, sześćdziesiąt sześć i durnia), dyskutowano lub wspomniano przeszłość.

Mocniejsze światło w kącie, zainstalowane przy prowizorycznej umywalce, pozwalało kobietom usuwać z dziecięcych głów, powszechnie występujące wówczas wszy i gnidy. Tych owadów i ich jaj poszukiwano także w szwach i załawkach koszul.

Zdarzało się, że ze schronu nie można było wyjść przez wiele dni. Bombardowanie i ostrzał pobliskiej stacji, koszar, parowozowni, ramp i fabryki, trwały nieustannie. Wiadra z fekaliami wynosili mężczyźni, którzy starali się też o opał i wodę.

Ktoś przyniósł stare gazety do spalania w piecyku, inny gitarę, książki, pocztówki. Tata skonstruował radioodbiornik słuchawkowy na kryształki. Organizowaliśmy różne zgaduj-zgadule, graliśmy w piotrusia, chińczyka i warcaby. Słuchaliśmy opowiadań starszych lub podsłuchiwalismy ich. Karcili nas za to. Straszyl, że wyrosną nam ośle uszy i mówili, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

W długie wieczory, często do północy, mama i babcia w świetle lampy naftowej ślezczały nad igłą. Cerowały i obszywały rodzinę, ale szyły także dla innych, dorabiając na utrzymanie.

Lubiłem zbierać stare pocztówki, gazety, książki. Dalsze losy mojego życia, ustawiczne przeprowadzki, ewakuacje i przesiedlenia, wszystkie te skarby rozproszyły. Ale niedawno znalazłem w książce zakładkę – fragment starego tygodnika „Głos Wołynia”, przyniesionego do schronu wówczas, kiedy się w nim ukrywaliśmy. Z rozrzewnieniem czytam: „W niedzielę 3 stycznia 1932 roku w Ratuszu w Dubnie Teatr Polski im. J. Słowackiego wystawił krotkowiłę w 4 aktach „Jedynaczka króla czekolady”. Sala była nabita. Nie tylko siedzieć, ale nie było gdzie stać”. Czy moi rodzice byli wtedy na tym przedstawieniu?

Inna wiadomość z tego tygodnika: „Onegdaj na zamku dubieńskim odbył się wielki bal charytatywny zorganizowany przez Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet w Dubnie. Zysk jak zwykle zostanie przeznaczony na dożywianie dzieci bezrobotnych. W ostatnim miesiącu dzieci te otrzymały 197 sztuk odzieży cieplej. Wydano 3433 obiady bezpłatnie”. Zabrzmiało jakoś tak współcześnie, jak bym przytaczał wiadomość z dzisiejszych gazet... Zrobiło mi się smutno. Poczulem się winny za ten stan rzeczy. W moim rozumieniu większą część życia

poświęciłem przecież na to, by żadna gazeta nie zamieszczała już nigdy takich wiadomości. I co? Tak niewiele zdziałalem?

Ale wracajmy do schronu. Jest trochę spokojniej, nie musimy się kryć. Można umyć się w normalnych warunkach, a także wyjść i trochę pohandlować. Kobiety gotowały bieliznę, by zniszczyć gnidy. Mężczyźni zdobywali jedzenie. Dzieci kradły węgiel i drewno na opał. Dziadek szatkował liście tytoniu na skręty. Babcia obierała kartofle, przebierała groch i fasolę, cerowała skarpety. Ciotka Zosia z nieodłączną walizeczką (bo a nuż trzeba będzie uciekać do schronu), w której były zapasowe majteczki, staniczek, koszulka nocna, pantofelki od Baty, pasta do nich (firmy Dobrolin), dwa pachnące mydła, proszek do zębów, zalecony przez dentystę Kagana, bukiet sztucznych kwiatków odpięty z sukni balowej, jeszcze z Radziwiłłowa i, najważniejszy skarb, zdjęcie jedynej miłości życia, Janka, porucznika Wojska Polskiego, z którym tańczyła na pamiętnym balu przebrana za serce.

Dentystę Kagana dobrze sobie przypominam. Kilka razy siedziałem u niego na fotelu. Wiele lat po wojnie, jeszcze w latach 60. ubiegłego wieku, rodzice chwalili sobie jego plomby. W książce Karola Koseka *Wspomnienia z Wołynia 1939–1944* czytam: „W zasadzie Żydów zabijano stale od pierwszego dnia po wkroczeniu do Dubna 25 czerwca 1941 roku. Poniżano ich godność, głodzono, grabiono. Niemcy wyzyskiwali Żydów do granic swojej sprawności organizacyjnej: wyzyskiwali ich siłę fizyczną i zdolności umysłowe. Na przykład najlepszym dentystą w Dubnie był – od czasów polskich – Żyd Kagan. Trudno się było do niego dostać. Leczył moją rodzinę. Przeżył okupację sowiecką, a za okupacji hitlerowskiej... też leczył: nas i Niemców [...], którego z getta sprowadzano pod specjalną opieką do jego przedwojennego prywatnego gabinetu(!), ale Kagan leczył, też morderców swego narodu, zgodnie z etyką lekarską, jak każdego z nas i każdego z Żydów... w getcie”.

Częstym tematem rozmów w schronie były rozmowy o... schronach. Który w okolicy jest najlepszy i najmocniejszy? Zawsze wychodziło na to, że nasz! Dodawano sobie otuchy: Jest nie do przebicia, nawet przez wielotonową bombę! W końcu dziadek Michał stwierdził lakonicznie: Niech się wam nie wydaje, żeście go okryli figami, było to zwykłe końskie gówno. Ten schron będzie najmocniejszy, w który do końca wojny nie trafi żadna bomba, ot, co, i koniec głupiego gadania. Lepiej módlmy się, żeby jaka swołocz nie wałnęła nam granatu przez wejście lub komin. Od tego czasu komin (prawie jak peryskop) został zdemontowany. Wodę na herbatę gotowano, jeśli był spokój na zewnątrz.

Zbliżał się koniec niemieckiego panowania. Niemcy uciekali. W oddali grały katusze, szynowa broń raketowa. Odpowiadały im niemieckie „waniuszki”, podobna, sprzężona broń raketowa. Wtedy mówiliśmy, że Waniusza żeni się z Katuszą.

\* \* \*

...Nagle ktoś niecierpliwie dobija się do drzwi w kuchni, słychać szwargot niemieckiej mowy. Dziadek otwiera zasuwę, silnie kopnięte drzwi uderzają go w czoło. Krew zalewa mu twarz. Niemcy z automatami w gotowości wpadają do środka, pytają o drogę w kierunku Tarakanów. Jeden z nich strzela serią w sufit. Kobiety i dzieci płaczą. Młodszy mężczyźni trzymając w rękach nagany i granaty, ukrywają się pod pryzmami.

Jakiś silny wstrząs od padającej bomby płoszy Niemców. Wybiegają. Słychać oddalający się odgłos tankietki. Zalega cisza, którą przerywa nagle krzyk babci na widok zakrwawionego dziadka.

– K... mać, znowu mnie dopadli, jak wtedy w Kaliszu! Ale wtedy to chociaż od normalnego bombardowania, a nie jakichś zas... drzwi – wściekał się dziadek, dodając, że już nigdy do drzwi się nie dotknie.

– Otwierajcie sobie sami i wpuszczajcie, kogo chcecie – zakończył.

Na wojnie jednak wszystko dzieje się błyskawicznie. Wokół słychać pojedyncze wystrzały karabinowe i serie z automatów. Znowu ktoś się dobija.

– Panie Michale, panie Gocan, niech pan im otworzy! Pan jest już stary, uszanuj pana, to chyba Ruscy, pan mówi przecież jak ich rodak! – zewsząd słychać prośby kobiet i dzieci.

Babcia Maria trzyma dziadka za rękaw, nie puszcza go do drzwi.

– Kto tam? Tu są tylko starzy ludzie! – krzyczy w końcu po polsku dziadek.

– Dziadku, otwórz, chcę pić! – padła prośba po rosyjsku.

Wszyscy zbili się w gromadkę, bojąc się, że wyzwoliciele będą podrywać gardła, kraść i gwałcić. Tymczasem do kuchni wpada, z workiem na plecach, ośnieżony młody rosyjski żołnierz. Automat wisi mu na ramieniu. Chłopak jest zupełnie nieprzygotowany do odparcia ataku, gdyby go taki spotkał.

– Dziadku, daj wody, chce mi się pić!

Dziadek podaje mu wodę w blaszanym kubku. Tym, który na szczęście nie spowodował śmierci babci, chociaż tak jej się wydawało.

– Dziękuję, dziadku! – Żołnierz gorączkowo pije, cofając się do drzwi, odwraca się i jeszcze z kubkiem przy ustach wybiega w budzący się dzień. Słyszymy jego: Urrra, urrr...!

Powoli wszystko cichnie. Już nikt nie będzie spał tej nocy, która ustępuje nowemu, śnieżnemu i mroźnemu dniu. Jasny poranek. Wychodzimy, proszą białutki śnieg, a jego płatki padają na... twarz leżącego żołnierza, który patrzy na nas swoimi szeroko otwartymi niebieskimi oczami, zdumiony. W rękę trzyma babciny kubek. Stoimy nad ciałem tego chłopca, niektórzy klęczą. Wszyscy płaczą. Byliśmy wolni! Długo nie mogłem pogodzić się z tym, że naszą wolność okupił swoim życiem zaledwie o kilka lat starszy ode mnie kolega. Nigdy nie zapomnę jego słów: Dziadku, pić, wody!...

\* \* \*

Przyszła wiosna, ziemia powoli rozmarza. Za drewnutnią była szkółka drzewek iglastych, obsadzano nimi tory kolejowe, przejazdy i gazony stacyjne. W jej kierunku, z łopata i kilofem na ramieniu idzie stary Żyd, pan Goldstein, czyściciel kotłów parowozowych, przyjaciel dzieci. Mnie i Adama darzy szczególną sympatią, bo nasz tata uratował go od niechybnego rozstrzelania przez Niemców.

– Po co pan tam idzie? – pytamy.

– Lepiej ze mną nie idźcie, wykopię kilka choineczek i tyle – odpowiada.

– Pomożemy panu! – nie ustępujemy.

Zatrzymał się, popatrzył na nas, na mnie, brata i Wasylka, naszego ukraińskiego kolegę, jakby coś rozważał.

– No dobrze, chodźcie, ale żebyście nie żalowali! – zgodził się niechętnie.

W prawym rogu choinkowego pola, miejscu naszych dziecięcych zabaw w podchody i w chowanego, była niewielka polanka. Pan Goldstein za pomocą kilofa i łopaty odgarnął warstwę ziemi. Za chwilę na polankę przyszło kilkunastu czerwonoarmistów z noszami. Zaczęła się ekshumacja. Jeden z żołnierzy wbił szpadel w ziemię. Ostrze łopaty ześlizgnęło się z czegoś, straszliwie zgrzytając. Trafiło w czaszkę. Tego dźwięku nie zapomnę do końca życia.

Żołnierze biorą za ręce i nogi swoich martwych kolegów, którzy zaledwie kilkadziesiąt dni wcześniej zginęli podczas wyzwalań Dubna. Kładą ich na nosze. Rozpoznaliśmy żołnierza, który zginął na progu naszego domu. Był starszy ode mnie dziewięć lat.

## Żółty cukier i buciory

Plagi czasu wojny odczuwaliśmy mniej dotkliwie, a i uśmiech częściej pojawiał się na naszych twarzach, jeśli żołądki były pełne. Wielu ludzi zrobiło zapasy żywności. Tata mojego kolegi, sklepikarz, postąpił podobnie. Któregoś dnia Stefek pochwalił się, że na ich stryszku są worki z jakimiś orzechami. Były to migdały. Zakradając się tam co jakiś czas, zjedliśmy ich prawie pół worka. W końcu wpadliśmy. Ojcowski kolejarski pas do dziś staje mi w pamięci, gdy sięgam po migdały, które ponoć skutecznie usuwają zgagę.

Mama, jak już wspominałem, szła różne fatalaszki. Chodziły potem z babcią Marią, jak mówiły, *na selo ludej duryty* [ukr., na wieś, by ludzi namówić do kupna], aby wymienić je na cebulę, smalec, kartofle, kaszę i mąkę.

Gdy na stacji pojawiał się pociąg sanitarny, wiozący ze wschodu do Rzeszy pokonanych żołnierzy niemieckich, biegliśmy na tory handlować cebulą i soloną słoniną. Za nasz towar najczęściej płacili nam cukierkami i prezerwatywami. Te ostatnie niejednemu z powracających były już niepotrzebne. Wielu z niedysiejszych bohaterów, ciężko rannych, nie miało rąk lub nóg.

Prezerwatywy sprzedawaliśmy starszym chłopakom, a pieniądze oddawaliśmy rodzicom. I tak to szło! Handlując wszystkim, czym się dało, starałem się dorównać starszym. Nieraz zarobiłem więcej za pokaz jedzenia szkła ze zużytych żarówek, przy akompaniamencie harmonijki ustnej kolegi ze Lwowa.

Zbieraliśmy niedopałki. Mój pierwszy pet, podniesiony z peronu 2. stacji kolejowej w Dubnie, zawierał sporo machorki, był starannie skręcony w gazetę sklejoną śliną. Nie wszystkie niedopałki były takie. Na peronie 1. trafiały się niekiedy w lepszym gatunku, z niezłym tytoniem i w białych bibułkach. Z tego peronu odjeżdżali ważniejsi pasażerowie: Niemcy, Węgrzy i ukraińscy policjanci. Obstawiała go grupa starszych chłopaków. Z tego powodu wybuchały częste bójki, szczególnie w momentach odjazdu pociągów do Równego, Łucka bądź Lwowa. Operacja wykruszania tytoniu z petów odbywała się już jednak w pokojowej atmosferze, wśród ogromnych zwalisk drewna, przeznaczonego dla III Rzeszy, które zwożono z okolicznych lasów.

Zebrany tytoń był dzielony sprawiedliwie: starsi otrzymywali wszystko, a młodszy mogli sobie zapalić w ich towarzystwie! Przywódca robił dużego skręta w gazecie, ślinił ją, starannie ścieniając brzeg, który następnie przesuwiał leciuteńko między zębami. Tak spreparowany papieros rozpoczynał wędrówkę z ust do ust, niczym fajka pokoju. Każdy mocno się zaciągał. Pierwsze hausty śmierzącego dymu, zmieszanego z wonią palącej się gazety i zapachem żywicy z nagromadzonego drewna, powodowały kaszel, wywoływały łzy i ślinotok. Smród z lekcji palenia przynosił ze sobą do domu. Nauka zawsze kosztuje. Dostawałem nieźle w tyłek. Jednak warto było ponieść taką ofiarę. Wreszcie nauczyłem się palić, a nawet niwelować zapach tytoniu. Dorównywałem bratu. Byłem dorosły! Z mniejszymi już zatem oporami brat i starsi chłopcy zabierali mnie na różne akcje, jak rozbijanie pocisków armatnich i bomb na odległym cmentarzu czy kradzież węgla z wagonów.

Kilku chłopców zrzucało bryły węgla na tory, inni zbierali urobek do worków. Ja byłem zbieraczem. Worki z węglem ukrywaliśmy w najrozmaitszych skrytkach, w nocy zaś starsi chłopcy nosili je do odbiorców. Za zdobyte pieniądze kupowaliśmy najczęściej cebulę do dalszego handlu z Niemcami i Węgrami. Ci ostatni chronili mieszkańców okolicy stacji Dubno przed banderowcami; byli u nas częstymi gośćmi. Jeden z nich zakochał się w cioci Zosi. Jego samochód notorycznie psuł się pod naszym domem. Żołnierze węgierscy przynosili wtedy z auta butlę wina, ciotka śpiewała, wujek grał na gitarze, a zakochany oficer węgierski wraz z kolegami płakali i klęli na swój rząd, który zmusił ich do wojny po stronie Niemiec. Pokochałem wtedy Węgrów. Chętnie oddawali nam broń, z której okradali Niemców, a którą następnie tata dostarczał, korzystając z łącznika, 27. Wołyńskiej Brygadzie AK. Był nim pan Moroz, kolega szkolny wujka Janka, karzeł z cyrku Staniewskich.

Dziadek Michał produkował mydło. Padlinę końską zdobywaliśmy w okolicznych wioskach, a kości zwierzęce przynosił z wysypiska rzeźni miejskiej.

To był trudny do pozyskania towar. Łój i sodę kaustyczną dostarczał wujek Janek. Mydło, zanim jeszcze zaczęły się mordy ukraińskie, było wymieniane w okolicznych wioskach na artykuły żywnościowe.

Jeśli w domu był smalec lub słonina, wybieraliśmy się z ojcem na polowanie na wrony, a właściwie żeby wybierać młode ptaki z gniazd. Kilkanaście podrośniętych usmażonych wron wystarczało na zaspokojenie głodu 10-osobowej rodziny. Znacznie trudniej było zdobyć nie mniej smakowite wróble. Podczas ich smażenia z patelni dochodziły dziwne piski, jakby ćwierkanie, ale to nie zniechęcało nas do jedzenia...

Przed bramą zakładów mięsnych Niemcy ustawili żelazną klatkę, w której zamykali pracowników przyłapanych na kradzieży, zanim wywieźli ich do obozu. To miało odstraszać od tego procederu. Ludzie byli jednak głodni i mimo częstych kontroli niemieckiej straży zakładowej, nie przestawali kraść mięsa: głód był silniejszy niż strach. Pamiętam szubienicę i tłum spędzonych w jej pobliżu pracowników rzeźni – mieli przypatrywać się egzekucji. Skazaniec zerwał się ze sznura i upadł na bruk. Nawet najokrutniejsi barbarzyńcy często w takich okolicznościach darowywali życie skazanemu na śmierć. Ale nie w tym wypadku. Strzał z pistoletu dopełnił reszty.

W tym czasie, w latach 1942–1944 w rzeźni pracowali wujek Janek i moja matka chrzestna. Te żelazne klatki to takie „Niemców strachy nie na Lachy” – mawiał wujek, przynosząc na sobie, przemysłnie ukryty, trefny towar. Chrzestna nie była gorsza. Po wypłataniu jej z polci słoniny, pęt kielbas i innych dóbr, mama zabierała się do smażenia kotletów mielonych. Wujek brał gitarę i po kilku kieliszkach samogonu wszyscy na chwilę zapominali o otaczającej ich okrutnej rzeczywistości.

Ojciec mój z wujkiem i kilkoma przetokowymi (robotnikami kolejowymi) wymyślili ciekawy sposób na zdobywanie pożywienia. W tych akcjach aktywnie uczestniczyliśmy z bratem – ze względu na nasz wzrost. Tuż przed wieczorem parowóz powoli przetaczał wagony z bydłem do rzeźni. Tymczasem my, z workami w rękach, siedzieliśmy ukryci na tendrze. Wujek, już wcześniej, ukradkiem pootwierał zagrody dla kur, także przeznaczonych na ubój. Te porozłaziły się po całym placu. Gdy rozładunek wszelkiej rogacizny zbliżał się ku końcowi, a zmrok powoli zapadał, kury zaczynały szukać grzęd. Znajdowały je również na wszelkich możliwych wystęпах pod wagonami. (Specjalne pręty w wiadomym celu przetokowi umiejętnie skonstruowali wcześniej). Niektórym ptakom trzeba było pomóc, wchodziliśmy więc z braciżkiem pod wagony i usadawialiśmy potulne kurki w ściśle określonych miejscach. Tata powoli wyjeżdżał za bramę fabryki. Ptactwo zachowywało się w miarę cicho, a polski strażnik na wszystko był głuchy i ślepy. Na najbliższej bocznicy wchodziliśmy z bratem pod wagony i, świecąc latarkami, zagarnialiśmy kury do worków. Nie trzeba dodawać, że rosół w tych czasach był nie tylko zwykłym jedzeniem, ale przede wszystkim pożywym, przywracającym siły wywarem.

Metod na zdobycie jedzenia mieliśmy sporo. Jedna z nich polegała na tym, by w czasie załadunku, na przykład herbatników bądź tytoniu, na ogromne fury ciągnięte później przez konie, zakraść się pod plandekę ostatniej z nich, i w drodze na rampę powoli zrzucać produkty, które inne chłopaki zgarną do worka. Specjalizowałem się jako „podplandekowiec” dopóty, dopóki pewnego razu nie zaczął do nas strzelać jakiś nerwowy niemiecki policjant.

Gdy w lipcu 1943 roku Ukraińcy zaczęli mordować Polaków na Wołyniu, sytuacja stała się groźna. Rodzice bali się o nasze życie, mimo że stacja kolejowa, obok której mieszkaliśmy była chroniona przez batalion węgierski.

Ojciec nauczył mnie i brata posługiwać się rewolwerem i granatami – broń ta była poutykana za krokiewiami na strychu domu. W okna zaś wstawione były dykty mające chronić przed wrzuceniem granatu. Mimo to matka uważała, że będzie lepiej, gdy ojciec będzie zabierał nas do parowozu i ukrywał w węglu na tendrze. Pewnego wieczoru bez zgody Niemców znaleźliśmy się w parowozie.

Ojciec prowadził pociąg do Równego. Przed lokomotywą, na płytkiej platformie jechali uzbrojeni Niemcy.

W drodze powrotnej, nocą, widzieliśmy łuny palonych polskich wsi i pociągi wysadzone w powietrze przez radziecką partyzantkę. Nasz parowóz zatrzymano przed miejscem jakiejś katastrofy kolejowej. Zniszczono pociąg towarowy z cukrem. Rano, kiedy świtało, ojciec przyniósł nam trochę słodkich kryształków. Były żółte, pachniały burakami.

– Mam cały worek, zebrałem z wykolejonych wagonów – powiedział.

Tak poznałem smak żółtego cukru.

Potem często wspominał ten moment, gdy dwa kwadransy przed nami, poza kolejnością, „cukrowy” pociąg dostał zgodę na jazdę.

W czasie jednej z takich podróży, nasz pociąg został zatrzymany przez tłum Polaków, mieszkańców płonącej właśnie na horyzoncie wsi. Ojciec rozpoznał rodzinę dalekich kuzynów. Wziął ich do kabiny parowozu. Powiedzieli, że Ukraińcy spalili wszystkie polskie domy i wymordowali dziesięć polskich rodzin. Spalono także kościół katolicki razem z księdzem Tadeuszem Strońskim.

\* \* \*

Przed knajpą, jedyną w osiedlu, niedaleko dworca kolejowego, zatrzymało się auto na holzgas (gaz drzewny). Z kabiny samochodu wyszło dwóch Niemców. Z pudła załadowanego górą buciurów zsunęło się kilku innych.

– Wasyl, patrz! – krzyczę pod wiatr i wzmagając się śnieżną zadymką – to są buty wartownicze!

– *Baczu! Ne krycz, a to poczujut!* [ukr., Uważaj! Nie krzycz, bo usłyszą!] – mój ukraiński kolega zakrył mi usta grubą króliczą rękawicą.

Takie obuwie widzieliśmy niejednokrotnie. W silne mrozy żołnierze zakładali je na swoje podkute skórzane buty, chroniąc nogi przed odmrożeniem. Te zewnętrzne były duże i ciężkie, z mięsistego filcu, na grubych drewnianych podszwach. Trudno było w nich chodzić po śniegu. Dlatego też wartownicy idąc, powłóczyli nogami, tworząc głębokie bruzdy.

Coraz większa zadymka, pada gęsty śnieg, wzmaga się lodowaty wiatr.

– Wiesz co? – mówi Wasyl – ściągnijmy parę butów! Niemcy piją u Czecha, *nykto nas ne pobaczy* [ukr., nikt nas nie zobaczy]. Stań z tej strony samochodu na warcie, a ja z drugiej szarpnę *czerewiki* [ukr., trzewiki] i ucieknę z nimi pod most.

– Dobra – odpowiadam – i chyłkiem podkradam się do samochodu.

Zanim objąłem posterunek, Wasyl skoczył. Już jest przy samochodzie, wspiął się na koło. Zaraz spadł w śnieg razem z buciorami. Podbiegłem i pomogłem mu wstać. Zarzucił buty na plecy i ruszył przez zaśnieżoną łąkę w kierunku Ikwy, do mostu.

Rozległo się ujadanie psa i krzyk syna właściciela restauracji, członka Hitlerjugend. Darł się wniebogłosy, wskazując palcem kierunek ucieczki mojego przyjaciela. Z gospody wypadli żołnierze, któryś strzelił w kierunku Wasyla. Dzięki zadymce, strzał okazał się chybiony.

Wasyl grzęźnie w śniegu, jeszcze trochę i skryje się pod drewnianym mostem nad zamarzniętą rzeką. Przyciąłem się za bramą domu piekarza. Za chwilę wspiąłem się na nią i widzę, jak chłopak pada, szarpie się z butami, ciągnie je po puszystym śniegu, który jak na złość przestał padać. Widoczny jak na dłoni. Nie mogę mu w niczym pomóc!

Wiem, że ukradł buty, żeby pomóc chorej mamie i młodszej siostrze, chciał je zamienić na jedzenie dla nich. Ojca, Ukraińca, zamordowała Ukraińska Powstańcza Armia za to, że nie wykonał rozkazu i nie zabił swojej żony Polki, mamy Wasyla i jego siostrzyczki.

Zaczęto strzelać w kierunku „złodzieja”. Niemcy biegną w grząskim śniegu, ciężko im w szynelach i z karabinami w rękach. Obławę prowadzi nasz rówieśnik, hitlerowski harcerz, syn czeskiego folksdojca, który z ganku swojego domu obserwuje poczynania synka.

W końcu żołnierz wermachtu dopadł Wasyla. Przywlekli skopanego chłopaka i rzucili go twarzą w śnieg pod drzewo na rozdrożu dróg do Podborców, Czeskiego Strakłowa, Tarakanów i Surmicz. Oficer podkutym butem zaczął miażdżyć jego głowę, tak jak się to robi z karaluchem. Kręcił raz w prawo, raz w lewo...

Krew zabarwiła śnieg. Wojskowy z nogą na głowie jęczącego Wasyla palił papierosa. Gromadzili się ludzie. W końcu przyjechała policja na motocyklu z koszem. Wrzucili zdobycz do kosza i odjechali. Podobno wywieźli Wasyla do jakiegoś obozu w Generalnej Guberni. Nie spotkaliśmy się już nigdy. Czy przeżył?

Niedawno byłem w Dubnie. Patrzałem na miejsce, gdzie 60 lat wcześniej Niemiec znęcał się, Wasia, nad tobą. Wówczas nie miałem pojęcia, że robił to człowiek, który na sprzączce pasa opinającego jego żołnierski brzuch, obok swastyki miał wytłoczone słowa: „Gott mit Uns” [niem., Bóg z nami]. Dowiedziałem się, że Czech – restaurator dawno umarł, zaś jego syn wyjechał z matką razem z uciekającymi Niemcami. Dokąd? Czy żyje? Jak wychował swoje dzieci? Jak żył z tak obciążoną pamięcią? A czy ja, 10-letni wtedy chłopak, mogłem coś zrobić, by uratować ciebie, mój ukraiński przyjacielu?

Nie wiem, czy kiedykolwiek przeczytasz te słowa, ale wszystko na tym świecie jest możliwe. Chcę ci powiedzieć, że w okresie świąt Bożego Narodzenia na przełomie lat 1943/1944, jak co roku, z całą naszą bandą chodziliśmy z gwiazdą. Za to, co ci zrobili, postanowiliśmy spuścić manto chodzącym z gwiazdą „oficjalną”, z którą kołędował Pepik. Napadliśmy na nich. Po krótkiej walce ich gwiazda została zniszczona, a Pepik był obity, miał podarty kożuch i mundur Hitlerjugend. Nóż hitlerowca znalazł się w moim posiadaniu. Największy wycisk dostał Pepik od miejscowego, wołyńskiego, szesnastoletniego jakały, Niemca Hansa, który trzymał z nami, dziećmi rodzin kolejarskich.

I jeszcze ci powiem, Wasia, że wiele narodów rozlicza się teraz ze swojej przeszłości, ukazują się różne ciekawe opracowania i książki. Na przykład Sven Hassel w książce *Widziałem, jak umierają* nawiązuje do napisu na kłamrach pasów hitlerowskich żołnierzy:

– „Dlaczego mamy napisane „Gott mit Uns” na kłamrach naszych pasów?” – pyta jeden z bohaterów książki.

– „Bo tylko On jeden jest z nami” – słyszy w odpowiedzi. – „On pilnuje, abyśmy nie wygrali. Abyśmy za dużo nie wyrosli z naszych spodni. Gdy tylko dostaniemy dobrego łupnia w makówkę, robimy się znów miłym, przyjemnym narodem. Na następne 25 lat, czy coś koło tego.

– Czy to jest cholerny fakt? Czy my w Niemczech jesteście naprawdę taką kupą gówna?

– Wiesz, gdy zaczynam o tym myśleć, okazuje się, że wszyscy Niemcy, jakich znam, to zgniłe skurwysyny!”.

Taki dialog toczą między sobą bohaterowie wspomnianej książki podczas chaotycznego odwrotu wojsk niemieckich spod Moskwy. Niestety, potem okazało się, że zbrodnie nie były tylko domeną tamtych czasów. Popołniają je inni ludzie, dzisiejsi, wprzęgnięci w rydwan wojny. Wszyscy idą na nią z imieniem swojego boga i pod nadzorem swoich kapelanów, czy jak tam oni siebie nazywają!

My, nasze pokolenie, mój Wasylu, Pepiku, Hansie, odchodzimy. Za mali byliśmy, by walczyć w wojskowych szeregach po której bądź stronie. Pepik zapewne nie miał pojęcia, co złego zrobił. Może chodziło mu tylko o to, żeby złapać złodzieja. Skąd mógł wiedzieć, że złodziej niejedno ma imię, zależnie od okoliczności. Tak jak wojny sprawiedliwe i niesprawiedliwe! Może gdybyśmy byli na wojnie, też dopusz-

czalibyśmy się okropnych czynów – podpalalibyśmy wsie, gwałcili, wybijali złote zęby i rabowali. Na wojnie żyje się chwilą, strachem i niepewnością jutra, i to zapewne wyzwała u ludzi najniższe instynkty. Szukam okoliczności, które pozwoliłyby zrozumieć czas pogardy dla niemowlęcia, dziecka, starca, Żyda, Polaka, Niemca, Ukraińca... Myślę, że świat się zmienia, że ta straszna wojenna przeszłość nie poszła na marne. Mam nadzieję, że ludzie teraz są inni, mają wyrzuty sumienia, myślą!

W maju 2004 roku gazety donosiły: „Szok przerażenia ogromem zbrodni hitlerowskich dokonanych w byłym obozie koncentracyjnym Stutthof wywołał u 24-letniego Ludwiga K. decyzję wyrzeczenia się własnej narodowości. Student z Berlina po zwiedzeniu w zeszłym tygodniu ekspozycji [...] wyrzucił do śmietnika swoje dokumenty tożsamości, przestał porozumiewać się w rodzimym języku i na koniec odmówił powrotu do kraju z grupą wycieczkową, z którą przyjechał do Polski”.

## Tata, mama – sprawiedliwi wśród narodów świata

Nasza dziecięca paczka kurczy się. Jest nas coraz mniej. Koledzy i koleżanki z żółtymi gwiazdami Dawida na nędznych ubraniach i kurtkach znikają bez śladu. Wciąż słyszę od różnych ludzi: Uważaj, bądź ostrożny! To Żydek, tamten mały Czech należy do Hitlerjugend, inny to synek ukraińskiego bandyty, a ta, to córka niemieckiego kolonisty, szpieguje.

– Bawcie się koło domu – przypomina mama – pamiętajcie!

Już nie gramy w szpaka, nie robimy skrętów z machory wykruszanej z petów. Daleko za miastem każdej nocy widać łuny pożarów. To palą się polskie osady, wioski i pojedyncze chutory.

Kiedyś zastanowiło nas dziwne zachowanie rodziców. Postanowiliśmy z bratem wysledzić, dlaczego tata i mama wstają w nocy i coś wynoszą z domu. Wypęliśmy przez okno i zobaczyliśmy, jak otwierają drewnutnię. Znajdowały się w niej nasiona buraka cukrowego, złożone tam przez znajomego gospodarza, któremu Ukraińcy spalili stodołę. Tata miał w ręku wiadro, mama dzbanek i latarnię naftową. Wiedzieliśmy już wcześniej, że w wiadrze były gotowane ziemniaki. Kogo oni tam karmią? Skradając się, uderzyłem głową o drąg przeciwpożarowy. Narobiłem hałasu, wpadliśmy w ręce strwożonych rodziców. Tata wepchnął nas do drewnutni, położył palec na ustach, nakazując całkowitą ciszę.

– Porozmawiam z wami później. Jeśli nie chcecie, by Niemcy nas zabili, musicie o wszystkim, co tutaj zobaczycie, na zawsze zapomnieć – powiedział stłumionym głosem.

Tajemniczość, noc, latarnia słabo oświetlająca głębię drewnutni zasypanej do połowy nasionami, z których, na sygnał taty, zaczęły wysuwać się głowy, tułowie i ręce mężczyzn – wszystko to spowodowało, że mimo bliskości rodziców, ogarnął nas lęk. Żydzi zjedli łapczywie kartofle, popili jakimś napojem, który podawała im mama, i natychmiast ukryli się wraz z głową w buraczanych nasionach. Po latach dowiedziałem się, że oddychali za pomocą trzcinowych rurek.

W domu ojciec opowiedział nam o wszystkim.

– To są nasi znajomi, koledzy z parowozowni, odkryliście naszą tajemnicę, oni odejdą za dwa dni, będą mieli lepszą kryjówkę. Ufałem wam podczas zdobywania broni dla 27. Wołyńskiej Dywizji AK i nadal ufam. Idźcie teraz spać.

Rzeczywiście, dwa dni później Żydzi odeszli nocą. Za drewnutnią, gdzie często bawiłem się z chłopakami, mieli zakopane pod ceglami małe zawiniątko. Prosił ojca, by je wykopał i przyniósł przed ich odejściem. W tym zawiniątku było kilka obrączek, złoty zegarek i łańcuszki. Żegnając się z tatą i mamą, dawali jej ten mały zegarek. Nie wzięła. Dwa dni później ktoś zastukał nocą w okno. Wyszedł tata. Po powrocie do mieszkania, położył zegarek na stole i powiedział:

– Tosiu, oni dziękują ci za wszystko i wierzą, że to złoto może się nam kiedyś przydać. Mówią też, że gdyby mogli, to osobiście ucałowałiby twoje ręce.

Za niespełna trzy lata zegarek ten uratował życie mojemu bratu, gdy leżał z gruźlicą kości w szpitalu w Poznaniu. Kupiliśmy za niego trudno wówczas dostępne lekarstwa, między innymi penicylinę.

Za pomoc Żydom groziło rozstrzelanie. Ale o tym się nie myślało, gdy w odruchu rozpacz, żalu i litości postępowało się tak, jak nakazywały uczucia i serce. Nie było zimnej kalkulacji. Inaczej nie mogę sobie dziś wytłumaczyć zachowania mojej mamy, kiedy to błyskawicznie podjęła decyzję o podaniu kanapki panu Liderowi. To był nasz znajomy szewc, powszechnie szanowany. Wielu ludzi wiedziało, że ukrywał się w jakimś grobowcu na cmentarzu.

Mama smażyła kotlety mielone z szabrowanego z rzeźni mięsa.

– Mamo – wpadam do kuchni – pan Dowhałuk z jakimś Niemcem prowadzi pod karabinem pana Lidera.

– O Boże, chcą go zabrać do getta, ktoś musiał zdradzić, że ukrywa się na cmentarzu.

Wybiegamy przed dom.

– Pani Tosiu, jeść, chleba, jeść, proszę!... – woła pan Lider.

Mama natychmiast wpada do kuchni i na kawałku chleba wynosi kotlet mielony, wołając do naszego znajomego policjanta, Ukraińca, by się zatrzymał.

– Synu, masz to i zanieś panu Liderowi, szybko!

Dowhałuk zatrzymał się, zdjął czapkę z głowy, kłaniając się mamie. Popchnął kolbą Żyda do rowu, wyjął papierosy, poczęstował Niemca. Siedli w rowie. Zapalili. Dobiegłem do pana Lidera, rzuciłem jedzenie i szybko schowałem się za najbliższe

drzewo. Żyd jadł żarłocznie i płakał. Powoli zbierali się gapie i dzieci. Podjechali jacyś żandarmi. Któryś z nich coś tam wrzasnął. Ukrainiec z Niemcem skończyli palić. Żyd siedział, kiwał się i płakał. Dowhałuk przydepnął peta nogą, zdjął karabin z ramienia, zarepetował i dotykając lufą głowy Żyda, pociągnął za spust. Znajomy Ukrainiec darował życie mamie i mnie, odebrał je nakarmionemu.

Zimą, późnym wieczorem, przyszli po ojca Niemcy. Z oddali słychać było wybuchy bomb i artyleryjską kanonadę. Zbliżał się front. Maszyniści, którzy mieli prowadzić ostatni pociąg z nagrabionym dobytkiem, uciekli. Tata nic o tym nie wiedział – też by się ukrył. Nie pomogły błagania mamy, płacz mój i Adama. Pożegnaliśmy ojca. Nie dali nam go odprowadzić. Do stacji kolejowej było zaledwie 500 metrów. Myśleliśmy o najgorszym.

Nie minęła jeszcze godzina od wyjścia taty, kiedy nagle usłyszeliśmy głośnie walenie w drzwi. To był on!

– Tosiu, otwórz, uciekłem, na szafie jest rewolwer, daj mi go! Nie zapalaj lampy! Nie otwierajcie nikomu, idźcie do łóżek, ja pobiegnę tylnym wejściem, schowam się w szkółce leśnej! Może tam nie będą mnie szukać! – rzucił w pośpiechu i wybiegł.

Po kilkunastu minutach już tłuką kolbą w drzwi. Zrywają nas z łóżek, stawiają pod ścianą dziadka, babcię, ciotkę Zosię, mnie i Adama. Mama, popychana kolbą karabinu, pokazuje wszystkie zakamarki. Nikogo nie znajdują, ale zauważają niedomknięte tylne drzwi, wypadają nimi z wrzaskliwym szwargotem i pędzą za drewnutnię. Gdzieś od strony stacji rozlegają się wybuchy bomb. Później okazało się, że był to nalot rosyjskich kukuruźników, które lotem szybowcowym nadleciały nad pociąg, zrzucając wiązki granatów. Samoloty te były postrachem Niemców. Pojawiały się niespodzianie i siały śmierć.

Pociąg odjechał bez taty, pozostawiając na stacji kilka rozwalonych wagonów. Wtedy jeszcze o tym nie wiedzieliśmy. Znaleziono jakiegoś człowieka umiającego prowadzić parowóz. Byliśmy przerażeni, sądząc, że być może schwytano naszego ojca. Minęły już dwa dni i nic nie wskazywało na to, że udało mu się umknąć Niemcom... Co się dzieje z tatą?

Pojawił się w domu trzeciego dnia o świcie. Okazało się, że uciekając, wpadł w dół przeciwczołgowy, z którego nie mógł się wydostać. Jama miała ponad dwa metry. Bał się krzyczeć. W końcu dał za wygraną, owinał się szczelnie w swój kolejarski kozuch i zasnął. Śnieg zasypał ślady.

– Dopiero wczoraj jakieś psy zaczęły nade mną czekać. Na szczęście znaleźli mnie swoi z parowozowni. Przesiedziałem jeszcze tę noc u Stefana, żeby upewnić się, że nasz dom nie jest obserwowany...

– Kaziu, ale jak ty wtedy zdołałeś im uciec z parowozu? – pyta mama.

– Po drodze zobaczyłem, że Niemcy prowadzą Goldsteina. Znaleźli go w starych kotłach parowozowych. Gdy mnie zauważył, zawołał, żeby go ratować przed rozstrzelaniem. Natychmiast oświadczyłem, że to jest mój pomocnik, palacz i że bez niego nie pojedę!

– I co, tak łatwo uwierzyli? – pytamy.

– Ależ skąd! Ulegli wyłącznie dzięki temu, że byłem w tamtym momencie jedynym maszynistą, i słychać było zbliżający się front.

Przy parowozie Niemcy postawili tylko jednego wartownika. Po pozornej kontroli technicznej lokomotywy, ojciec nakazał panu Goldsteinowi, by ten wspiął się na parowóz i zszedł ostrożnie z drugiej strony, a następnie starał się uciec między wagonami do parowozowni, którą znał jak swoje pięć palców.

– Po kilku minutach ja powoli wszedłem na parowóz, za mną wartownik. Chyba dotąd tam leży... Uciekłem tą samą drogą – powiedział tata. – A resztę sami wiecie. Znowu się udało!

Po wyzwoleniu pomagaliśmy panu Goldsteinowi przy ekshumacji żołnierzy radzieckich.

Kochałem moich rodziców. Byli skromni, pracowici i szlachetni. We wszystkim, co robili, nigdy, w najmniejszym stopniu, nie kierowali się wyrachowaniem.

Gdzieś, w jakiejś środowiskowej gazetce, przeczytałem fragment listu, jaki otrzymał autor felietonu od Aleksandra Biełousa, 81-letniego skrzypka z Hajfy w Izraelu: „Szlachetny Polak jest szlachetnym bez względu na pochodzenie, a sukinsyn Żyd jest kanalią też bez względu na pochodzenie. I odwrotnie”. Dlatego, myślę, że nie należy stawiać pytania: Kim byłeś w przeszłości?, ale: Jaki byłeś? Wiem, jacy byli moi rodzice. Czy mogłem być inny?

## A jeszcze dawniej?

„Doliwczycowie czerwonego pola na tarczy zażywają zwykli. Nad hełmem i koroną trzy róże, wprost do góry jedna nad drugą idą między trąbami” – pisał Kasper Niesiecki w swoim *Herbarzu*. To piękny i klasyczny opis herbu DOLIWA.

Niestety, o posiadaczach tego herbu Jan Długosz w swoich *Insygniach* wyraża się nieco mniej pięknie i najpewniej prawdziwie: „DOLYWA – a castro, Lyw in Masovia denominata. Genus Polonicum; viri ad potationem et largicionem proclivi”, co oznacza po łacinie: „DOLIWA – nazwa od mazowieckiego grodu Liw. Ród polski; mężowie skłonni do pijatyki i rozrzutności”. Może jednak nie zawsze tak było?

Kasper Niesiecki we wspomnianym wyżej *Herbarzu* na stronie 356 pisze: „Jadźwingowie, już sztuką, już przez potęgę dostać chcieli zamku liwskiego w Mazowszu [...]. Ale podstęp jednego z polskich rycerzy, który podłych Jadźwingów wprowadził w zasadzkę [...] sprawił, że Hetman sprawę o wszystkim wzięwszy, toż samo miejsce, które Jadźwingom [...] naznaczył, wojskiem opasał, umówionej także godziny wyglądając. Jadźwingowie żadnej się zdrady nie



Certyfikat szlachectwa

obawiając, jak na pewne ku zamku ciągną, gdzie, gdy się z nimi wojsko nasze potkało, przestrzeni pierzchli, drudzy na polu legli. Zwycięstwa tego autorowi nie tylko obszerne włości w nadgrodzie król nadał, ale też do jednej róży jeszcze dwie drugie przydał... Przecież są niektórzy, którzy powiadają, że ten herb nie w Polsce się urodził, ale z cudzych krajów do nas przybysz... i w Saksonii podobnie się klejnoty znajdują”.

Jak było, tak było, ale pewnie jakiś rycerz ze Stroni lub Stronia wyruszył do Liwa, gdzie się wyróżnił i odtąd pieczętował się herbem DOLIWA.

Ostatecznie kropkę nad i stawia Wacław Potocki w *Początku Herbów* na stronie 277 w wierszu pod tytułem „Początek”:

Porajem się herb polski, jedna Róża, mieni,  
Po tym trzema kwiatami w Doliwie rumieni.  
Widywałem, że tę krew, którą cyrulicy  
Puszczają, pod Różą, więc leją ogrodnicy.  
Któż skrytych dociec może tajemnic natury?  
Krzewi się i rumieńsze snadź rodzi purpury.  
Taż przyczyna Doliwie, że z jednego kłacza  
Rycerską kwią oblana, na trzy się rozłącza.  
Insze herby z obcego przynoszone kraju,  
Ta swe kwiaty z korzenia puściwszy Poraju,  
W Mazowszu, kiedy Poraj tamto gromi książę  
Pod Liwą, starym zamkiem najpierwej zawiąże,  
Kwitną w obozach, kwitną senatorskie stolki  
Zasiadając, wesole podnoszą wierzchołki.

W różnych okresach historii Polski, na stronach ksiąg, encyklopedii, czasopiśmie i gazet pojawia się nazwisko mniej lub bardziej zasłużonych Strońskich.

W spisie szlachty polskiej z 1887 roku figuruje Stroński „z Stroń z Stronia w Sądce, który tam się znaczy już w 1460 roku”. Inny, Leonard Stroński, „Komornik Jego Królewskiej Mości w 1576 roku kwituje Jana Górskiego, sędziego ziemskiego i poborcę nurskiego, liwskiego i kamienickiego z odbioru 10 zł polskich”. Sebastian Stroński zaś „w 1578 roku opłaca pobór ze wsi Wolicy i Stroni woj. krakowskie pow. Sondecki”. Jest także zapis, że „Strońscy h. Doliwa (1584) idą z Silnickich z Stroniowa w Sieradzkim”.

W jednym z czasopiśmie z okresu po powstaniu styczniowym 1863 roku czytałem, że Stroński, aptekarz z Warszawy (na Solcu) za produkowanie potajemnie bomb dla powstańców został skazany na wieczne zesłanie na Syberię.

W XVI wieku część mazowieckich Strońskich kupuje dobra ziemskie w Galicji i na Podolu.



Bogacą się, tracą majątki i znów walczą, by w tej krainie, miejscu życia wielu narodów i ustawicznych powstań, utrzymać się na powierzchni bytu.

Z tych właśnie Strońskich, o czym wspomina *Encyklopedia powszechna, tom 24* (Starowiercy–Tarnogrodzka konfederacja, Warszawa 1867. Nakład, druk i własność S. Orgelbranda [księgarza i typografa]), wywodzi się „Franciszek Stroński, doktor filozofii, rodem z Galicyi. Nauki odbywał we Lwowie, kończył zaś w Wiedniu. Potem był profesorem w Uniwersytecie Lwowskim, później bibliotekarzem tamże, w ostatku przeniesiony do Krakowa na taką posadę, umarł w roku 1865. Wydał z druku: 1) *Wypisy dla użytku klas niższych w cesarsko-królewskich szkołach gimnazjalnych* (Lwów, 1852), 2) *Geografija dla młodzieży polskiej* (1852)”.

Na Ziemi Podolskiej w 1892 roku rodzi się w Tarnopolu Marian Stroński, wybitny malarz (absolwent ASP w Krakowie i Meisterschule Akademii Wiedeńskiej), uczeń Axentowicza, Malczewskiego, Fałata i innych. Zmarł w roku 1977 w Przemyślu.

W 1882 roku przyszedł na świat Stanisław Stroński, polityk prawicowy, przeciwnik sanacji, wybitny filolog, profesor UJ i KUL, w latach 1922–35 poseł na Sejm i redaktor „Rzeczpospolitej”, „Warszawianki” i „Kuriera Warszawskiego”. W nr 344/1922 „Kuriera” opublikował swój słynny artykuł „Ciszej nad tą trumną”, dotyczący stanowiska prawicy w sprawie zabójstwa Gabriela Narutowicza, prezydenta Rzeczpospolitej. W latach 1939–1943, w londyńskim rządzie emigracyjnym Władysława Sikorskiego był wicepremierem oraz ministrem informacji i dokumentacji. Daleki kuzyn, o którym w mojej rodzinie wiele się mówiło. Wspominano, że gdy był posłem, odwiedził w 1933 roku Dubno i spotkał się z kolejarzami parowozowni, w której w tym czasie pracował mój dziadek Piotr ze swoim synem, moim tatą, Kazimierzem.

Stanisław Stroński gościł wtedy w naszym domu. Przyszły pan premier wziął mnie nawet na ręce! Działo się to 10 lat po zabójstwie prezydenta Narutowicza, do której to zbrodni nieomal nawoływał w swoim artykule z 10 grudnia 1922 roku, pisząc: „Obce narodowości, Żydzi, Niemcy, Ukraińcy, głosami swymi w liczbie 103, dołączonymi do mniejszości głosów polskich w liczbie 186, narzuciły wczoraj większości polskiej w liczbie 256 [...] wybór p. Gabriela Narutowicza na Prezydenta Rzplitej Polskiej [...]. Wybór ten zdumiewająco bezmyślny, wyzywający, jęczący, wytwarza stan rzeczy, z którym większość polska musi walczyć”.

Gdybym ja wówczas o tym wiedział, a i o tym, że trzyma mnie na rękach przyszły zwolennik wojny atomowej z systemem socjalistycznym, to obsikałbym go w ramach walki o pokój i trwałą przyjaźń ze Związkiem Radzieckim. Gdyby on wówczas wiedział, że za jego życia wstąpię do PZPR, to na pewno natychmiast wypuściłby mnie z rąk.

Linia podolska wydała jeszcze wielu nietuzinkowych Strońskich. W Tarnopolu mieszka profesor Henryk Stroński, wybitny historyk, przewodniczący

Stowarzyszenia Uczonych Polskich na Ukrainie. Obecnie pracuje na Uniwersytecie w Olsztynie. Był moim gościem w Warszawie. Korzystałem z jego artykułów w sprawie skomplikowanej materii stosunków polsko-ukraińskich w okresie mordów Polaków na Ukrainie. Przygotowywałem się bowiem do spotkań z Ukraińcami w Porycku na Wołyniu, gdzie odbyły się uroczystości upamiętniające 60-lecie pierwszego masowego mordu Ukraińców na bezbronnym polskich mieszkańcach tej wsi. Na uroczystość tę byłem zaproszony przez Kancelarię Prezydenta RP.

Warto też wspomnieć innego Stanisława Strońskiego, którego poznaliśmy z Cecylią w latach 50. w Piastowie, gdzie mieszkał. Syn stryjecznego brata mojego dziadka Piotra był przed wojną dyrektorem banku w Bydgoszczy. Tak jak tysiące Polaków, trafił na Syberię. Miał pecha, bo Rosjanie, gdy go pojmali, we wrześniu 1939 roku, zdzierając z niego futro, zobaczyli na jedwabnej podszewce wyhaftowany herb DOLIWA. To wystarczyło, by mój daleki kuzyn pojechał „na białe niedźwiedzie”. Tam, w trakcie próby ucieczki na wschód, zachorował na gruźlicę. Leżał w jakiejś jurgie, ktoś doniósł, złapano go. Był kilkaset kilometrów od swojego gniazda. Umieszczono go w prowizorycznym szpitalu. Udawał Rosjanina z utratą pamięci. Po jakimś czasie „cudownie” ją odzyskał. Nie mógł tylko przypomnieć sobie, skąd pochodzi... W tym czasie większość mężczyzn była na wojnie. Nie miał kto zarządzać wyrębem lasów. Ponieważ Stanisław był ekonomistą i znał doskonale rosyjski, kolchoz polecił mu, by zajął się buchalterią pozyskiwania drewna i naliczaniem dniówek kolchoźnikom. Wstąpił do Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, mimo że jako przedwojenny PPSowiec i wielbiciel Piłsudskiego, serdecznie nienawidził bolszewików. Został dyrektorem Zjednoczenia Wyrębu Lasów Syberyjskich. Do mistyfikacji przyznał się po śmierci Stalina i odwilży gomulkowskiej w Polsce. Pisał listy do ambasady polskiej, powoływał się na świadków, udawał swoją polskość. I – ku wielkiemu rozczarowaniu miejscowych władz radzieckich – wrócił do Polski. W tym czasie jego ukochana PPS już od kilku lat była zjednoczona ze zniechęconą przez niego PPR. Po powrocie z Syberii kupił sobie dom w Piastowie, do którego w 1956 roku zaprosił mnie z żoną i opowiedział nam o swojej syberyjskiej historii. Na zakończenie wspomniał, że jakaś szamanka powiedziała mu, że umrze nagle w wypadku, gdzieś na zachodzie, pod koniec lat 50. Przy pożegnaniu podarował nam na pamiątkę kopię pierścienia herbowego. Jakiś czas później dotarła do nas wiadomość, że w lutym 1959 roku został śmiertelnie potrącony przez pociąg na przejeździe kolejowym w Opolu.

Tereny, na których znaleźli się moi mazowieccy przodkowie, były kolonizowane także przez szlachtę Podlasia, Wołynia i Naddnieprza.

W 1565 roku król Zygmunt August wcielił te ziemie do Korony Królestwa Polskiego, miejscową szlachtę zrównał w prawach z koronną i wprowadził ustrój

polski. Polska szlachta zamieszkująca te ziemie zawsze stawiała w obronie ojczyzny. Tak było w okresie wojny z hetmanem kozackim Bohdanem Chmielnickim, w czasie powstania listopadowego (1830–31) i styczniowego (1863–64). Kilkuset Polaków biorących udział w powstaniu styczniowym ukarano śmiercią, kilkadziesiąt tysięcy skazano na katorgę i zesłano na Syberię. (W 1865 roku mój prapradziadek stracił majątek ziemski i za wystawienie oddziału powstańczego i udział w powstaniu został skazany na wieczne zesłanie na Sybir. O jego dalszych losach nic nie wiadomo). Chłopi zostali uwłaszczeni. Jednak większość ziem została wystawiona do sprzedaży, głównie dla sprowadzanych na te tereny Niemców i Czechów. Polacy zostali pozbawieni prawa pierwokupu.

Prapradziad mój miał syna Szczepana, który urodził się w 1838 roku; nie był jedynakiem, jego bracia i siostry porożjeżdżali się po świecie. Ktoś zapewne trafił także do Petersburga. Gdy w latach 1973–1977 byłem polskim konsulem w ówczesnym Leningradzie w ZSRR, dostałem wiadomość, że profesor jednego z instytutów naukowych, pochodzenia polskiego, o nazwisku Stroński, chciałby nawiązać ze mną kontakt. Niestety, nie udało mi się z nim porozmawiać. W ostatniej chwili zmienił decyzję, a ja nie chciałem stawiać go w trudnej sytuacji.

Dzięki pieniądзом swojego ojca mój pradziad Szczepan studiował we Lwowie. Otrzymał wykształcenie, które umożliwiło mu w przyszłości pracę w charakterze nauczyciela. Miał 25 lat, gdy wybuchło powstanie styczniowe. Za udział w nim został skazany na 12 lat katorgi. Podążył za swoim ojcem, ale nigdy się nie spotkali. Po powrocie z Syberii został nauczycielem w Adam polu (w gminie staro-siniawskiej w powiecie lityńskim na Ziemi Podolskiej). Wkrótce też ożenił się z miejscową panną Franciszką Malinowską, córką rzemieślnika wytwarzającego akcesoria do produkcji butów. Pradziad Szczepan i prababcia Franciszka wydali na świat trzech synów. Wszyscy oni urodzili się w Adam polu: Seweryn w roku 1877, mój dziadek Piotr w roku 1881, a trzeci – dwa lata później. Pradziad Szczepan nie miał już majątku, więc starał się dać synom praktyczne wykształcenie.

Seweryn nauczył się zawodu u swojego dziadka, wytwórcy kopyt i prawideł do butów. Mając dobry jak na owe czasy zawód, wyjechał do Żytomierza. Tam ożenił się, kupił piękną kamienicę i wybudował fabrykę akcesoriów do produkcji butów, którą następnie odziedziczył jego syn Józef.

Drugi syn Seweryna, Kazimierz był po I wojnie światowej referentem w Izbie Skarbowej w Bydgoszczy. Otrzymał także 40-hektarową wojskową działkę osadniczą we Włodzimierzu Wołyńskim. Pierwsza wojna światowa, a następnie rewolucja pozbawiły Józefa majątku. Kamienicę władze sowieckie przekształciły w siedzibę szkoły muzycznej. Józef uciekł do wyzwolonej od caratu Polski, zapewne z dużymi pieniędzmi, i już wkrótce kupił na Pustym Iwaniu ogromny majątek ziemski od hrabiego Tarnowskiego, gdzie osiadł wraz z rodziną. Po-

siadłość tę odebrano mu po II wojnie światowej, a wagony Polskiego Urzędu Repatriacyjnego wywiozły go z rodziną do Polski, która zmieniła swoje granice. Józef zmarł w 1945 roku. Dwaj jego synowie Bronisław i Henryk (inwalida wojenny) oraz bezdzietna córka Zofia też już nie żyją. Żyje gdzieś podobno syn Henryka, Zygmunt.

W przypadku swojego drugiego syna Piotra mój pradziad Szczepan miał ułatwioną sytuację. Piotr kochał przyrodę. Szczepan pomógł mu więc zostać botanikiem. Po uzyskaniu dyplomu botanika i pszczelarza, Piotr ożenił się z Marią Piączkowską, inteligentną, piękną, wysoką szatynką. Jej stanowczość, energia, pomysłowość i pracowitość nieraz ratowały rodzinę przed głodem, zimnem i bezdomnością. Maria pochodziła z mieszczańskiej rodziny lwowskiej. Miała siostrę Malwinę i dwóch braci, Antoniego i Mariana. Wojny, zawieruchy rewolucyjne i bunt rozproszyły rodzinę. Malwina zaginęła gdzieś w Rosji. Antoni zmarł na gruźlicę w Samarze.

Zupełnie przypadkowo, około roku 1921, we Włodzimierzu Wołyńskim odnalazł się Marian Piączkowski. Okazało się, że uruchomił tam duży warsztat mechaniczny z wieloma uczniami-czeladnikami. Z czasem wybudował własny dom i założył sklep wielobranżowy w centrum miasta. W 1923 roku uczestniczył w weselu swojej siostrzenicy, Janiny, która wyszła za mąż za Marcina Biłskiego, legionistę, żołnierza I Brygady Józefa Piłsudskiego. Marian był duszą towarzystwa. Na weselu często dołączał do orkiestry i popisywał się grą na prawie wszystkich instrumentach. Szczególne brawa otrzymywał za solówki na akordeonie.



Piotr ożenił się z Marią Piączkowską...  
Lata 40. XX w.



Maria Strońska z d. Piączkowska. Lata 20. XX w.  
Tutaj z jednym z braci mojego ojca

Cofnijmy się jednak o 20 lat. Jest rok 1901. Piotr z Marią usiłują zorganizować własny dom. Przychodzi na świat mój przyszły ojciec, Kazimierz. Mieszkają w Polonnem na Wołyniu, w ciasnym wynajętym pokoju. Piotr zakłada parki, sady i ogrody warzywne okolicznym bogaczom. W 1903 roku skorzystał z propozycji stałej, choć nisko płatnej posady, ale za to w tym samym miasteczku i z możliwością przeniesienia się do większego samodzielnego mieszkania. Jest ogrodnikiem na 10-łanowym gospodarstwie miejscowego proboszcza.

Tymczasem Maria jest znowu w ciąży. Sytuacja ekonomiczna pogarsza się. Rosja przygotowuje się do wojny z Japonią. Piotrowi grozi powołanie do wojska. Gorączkowo usiłuje się przed tym wybronić. Znajduje posadę u kniazia Demidowa, który przyrzeka uchronić Piotra przed pójściem do armii pod warunkiem, że ten będzie u niego pracował co najmniej siedem lat – założy park, ogrody kwiatowe oraz gazony przed pałacem. Piotr, odchodząc do kniazia Demidowa, otrzymał od proboszcza zaświadczenie o następującej treści:

„Świadectwo!

Sumiennosc, uczciwosc i pracowitosc p. Piotra Strońskiego, który był u mnie ogrodnikiem na 10-łanowej siedzibie przez trzy lata, poświadczam. Odszedł z powodu familijno-rodzinnych okolicznosci!”.

m. Polonne 26 Listopada 1906 roku

Ks. [nazwisko nieczytelne], proboszcz



Świadectwo

Piotr szczęśliwie uniknął udziału w bitwach o Port Artur, Mukden, Cuszimę i w innych działaniach wojennych między Rosją a Japonią, które rozpoczęły się w lutym 1904 roku.

W 1912 r. babcia Maria i dziadek Piotr znajdują się w Wiszniowcu na Wołyniu, gdzie Piotr zarządza dobrami hrabiego Jaromy Wiszniowieckiego. (Jak wspominał potem mój ojciec, hrabia miał zwyczaj, jadąc kareta bądź saniami, rzucać cukierki w tłum kotłujących się dzieciaków).

W grudniu 1914 roku 33-letni Piotr zostaje wcielony *w soldaty* [ros., do wojska] i wysłany na wojnę Rosji z Niemcami. Tym razem nie udało się wymigać carskiej potęgde.

Maria z pięciorgiem dzieci (Kazimierz, Janina, Ludwik, Feliks i Bolesław) zostaje

ewakuowana z Wiszniowca w głąb Rosji do Nowgorodu Siewierska w Czernigowskiej Guberni. Tutaj 16 września 1915 roku rodzi się Maria. (Ma obecnie ponad 90 lat, mieszka w Londynie).

To był trudny czas dla babci Marii. Podjęła pracę w biurze dużego majątku rolnego. Młodszym rodzeństwem musieli się zająć mój przyszły, wówczas 14-letni ojciec i jego 12-letnia siostra Janka. Razem nosili swoją najmłodszą siostrzyczkę do biura majątku, by mama mogła nakarmić dziecko piersią.

Po pięciu latach Piotr szczęśliwie wraca z wojny i, udowadniając swoje polskie pochodzenie (Polska właśnie zrzuciła jarzmo rozbiorów), rzeka się obywatelstwa rosyjskiego. Jego długa i trudna podróż do ojczyzny kończy się w Radziwiłowie na Wołyniu.

Zbliża się wielki kryzys gospodarczy. Pogłębia się bezrobocie. Coraz mniej jest bogatych ludzi, zainteresowanych zakładaniem sadów i parków. Dziadek Piotr nie może znaleźć żadnej pracy. W końcu trafia do magazynów dużych części zamiennych w parowozowni. Pracuje ciężko. Babcia Maria szyje oraz przerabia stare ubrania swojej licznej rodziny i okolicznych klientów. Za uzyskane pieniądze kupuje na wsi mąkę, by piec w domu bułki i chleb, które następnie jej córka Janina sprzedaje w budce zbitej z desek przez swojego ojca Piotra.

Mieszkają w małym, zniszczonym podczas wojny domku z ogrodem, należącym do kościoła. Czy obie moje przyszłe babcie Marie wówczas się znały? Czy przypuszczały, że za kilka lat syn jednej z nich, Kazimierz, będzie mężem córki drugiej z nich, Tatiany?

Dziadek uprawiał ogródek. Babcia kupiła krowę. Głodu już nie było!

I właśnie wtedy, kiedy rodzinie zaczyna się żyć lepiej, lekarze wykrywają u babci raka macicy. Maria w pośpiechu walczy o zapewnienie bytu najmłodszym dzieciom. Nie zgadza się na operację. Synów Bolesława i Feliksa zawozi do terminu do swojego brata Mariana do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie w jego warsztatach będą uczyć się mechaniki i ślusarki. Ludwik wstępuje ochotniczo do wojska. Jest mechanikiem i zdolnym rusznikarzem. Janina wychodzi za mąż za legionistę, który otrzymał niedaleko Radziwiłowa koło Brodów 40-hektarową osadę wojskową. Dziadek Piotr zakłada u córki pasiekę i sad owocowy.

W 1926 roku Kazimierz, mój przyszły tata został zatrudniony na kolei jako mechanik i palacz parowozowy. Rok później żeni się z Heleną, Ukrainką. Z tego związku urodzi się Mieczysław, mój przyrodni brat. Ma obecnie ponad 80 lat, mieszka w Dębicy.

W maju 1926 roku Kazimierz był gotowy do egzaminu mistrzowskiego, który miał składać w Warszawie. Przyjechał do stolicy i nieoczekiwanie był świadkiem przewrotu majowego Józefa Piłsudskiego. (Wojskowy zamach stanu, który miał miejsce w dniach 12–14 maja, spowodował śmierć 379 osób, ponad 1000 osób zostało rannych. Poległo 25 oficerów, 190 żołnierzy i 164 osoby cywilne. Raniono 66 oficerów, 540 żołnierzy oraz 478 osób cywilnych). Komisja egza-



Bracia: Kazimierz, ojciec autora – saper, Ludwik – kawalerzysta,  
Feliks – czolgista, Bolesław – kwatermistrz. Lata 30. XX w.

minacyjna nie zebrała się i mego przyszłego tatę odesłano do domu. Krótko po tym w szpitalu we Lwowie umiera babcia Maria. Zostaje pochowana na Cmentarzu Łyczakowskim w kwaterze nr 81 tuż obok kwatery Orląt Lwowskich. (W latach 1997 i 2000 byłem z żoną na Cmentarzu Łyczakowskim, ale nie udało nam się odnaleźć grobu babci, który w latach 50. odremontował mój stryjek Ludwik z Lublina). Rok później Kazimierz zostaje ponownie wezwany do Warszawy, gdzie zdaje egzamin mistrzowski z zakresu ślusarstwa.

Po śmierci babci Marii, jej 12-letnia wówczas córka Maria przejmuje jej obowiązki. Mieszka z ojcem Piotrem i bratem Kazimierzem, od którego odchodzi jego żona Helena wraz z synkiem Mieczysławem. Helena właściwie została porwana przez swoich rodziców, siostry i braci.

Ojciec i matka Heleny złym okiem patrzyli na to, że jej mąż jest Polakiem i że córka zmieniała prawosławie na wiarę katolicką. Gdy Kazimierz był w pracy, bracia i siostry Heleny przesiadywali u niej i namawiali do powrotu do rodziców. Z tego powodu wybuchały ustawiczne kłótnie między małżonkami. Kazimierz zabronił żonie odwiedzin u teściów, nie chciał też widzieć ich u siebie.

Pewnego dnia teściowie z braćmi i siostrami Heleny przyjechali furmankami pod dom i wywieźli cały dobytek, łącznie z ubraniami i osobistą bielizną Kazimierza. Na koniec połamali meble, potłukli naczynia i pogięli rondle. Podobno wtedy to Ludwik, broniąc bezskutecznie dobytku swojego brata Kazimierza, powiedział do szwagierki Heleny: „Ksiądz przechrzcił cię na wiarę polską, ale nie zdołał wyrwać z ciebie ukraińskiego żądła”.

Mój przyszły ojciec, Kazimierz, zostaje bez niczego. Aby nie dać się biedzie, Maria musi przerwać naukę i poświęcić się ciężko pracującym mężczyznom. Zajmuje się sprzątaniami, pierze, robi zakupy, uprawia ogród.

Dwa lata po śmierci matki Marii i odejściu żony Heleny, Kazimierz zakochał się w ładnej blondynie o imieniu Tatiana, mojej przyszłej mamie. Mieszkała w małym domku, na tak zwanej Targowicy, ze swoimi rodzicami i rodzeństwem, bratem Janem i siostrą Zofią. Jan, masarz i rzeźnik, ekspert handlowy i przysięgły wagowy, pomagał swojemu ojcu Michałowi zarządzać targowiskiem, gdzie handlowano bydłem i świniami dostarczonymi ze Lwowa, Dubna, Radziwiłłowa, Łucka, Krzemieńca i Brodów. Tatiana i Zofia pomagały mamie Marii w prowadzeniu domu i uczyły się krawiectwa. Moja przyszła druga babcia Maria pomagała swojemu mężowi Michałowi, mojemu przyszłemu dziadkowi, utrzymywać w należytym porządku urządzenia i plac targowy. Dodatkowo dorabiała szyciem, myciem posadzek w kościele pod wezwaniem Siedmiu Boleści Najświętszej Marii Panny, wykonywała koloratki dla księży, prała je i krochmaliła. Dziadek, „za cara” naczelnik poczty w Sieradzu, obecnie listonosz, pracował też jako dozorca targowiska.

W 1935 roku Maria, siostra Kazimierza, wychodzi za mąż za zubożalego herbowego szlachcica. Dwa lata później rodzi się ich jedyny syn, Zygmunt.



Kazimierz zakochał się w ładnej blondynie o imieniu Tatiana.  
Przyszli rodzice autora. Radziwiłłów, 1929/1930 r.

Dziadek Piotr pracuje na kolei w Radziwiłłowie, potem w Dubnie, w końcu zostaje skierowany do pracy w Dyrekcji PKP we Lwowie, gdzie wkrótce żeni się tam z wdową. Wkrótce też do Dubna przenoszą się moi rodzice ze swoim synem Adamem. Tata znajduje pracę w parowozowni jako ślusarz i pomocnik maszynisty.

Jest rok 1933. Postanowiłem się urodzić. Był ciepły czerwiec, ósmy dzień miesiąca... Na co miałem czekać?

## Trudodni

*Ojczyzna moja to ziemia kresowa,  
Ziemia Dubna, Krzemieńca i Radziwiłłowa.  
Ziemia krętej Ikwy i jej zalewy,  
Wołynia piękno – chmielobrania śpiewy.*

Skąd ten wierszyk utkwił mi w pamięci i czyjego jest autorstwa? Nie wiem, ale przywołuje wspomnienia o mojej ojczyźnie. Nieraz piękne, ale też w dużej części smutne.

Dziesiątego lutego 1940 roku było bardzo mroźno, a pod wieczór mróz chwycił jeszcze mocniej. Mama i ja z bratem siedzimy przy kolacji, tata pracuje na nocnej zmianie, wróci dopiero jutro przed porankiem. Zbieramy się do spania, a tu nagle wpada tata. Co się stało?

Każe nam ciepło się ubrać i natychmiast iść z nim na rampę kolejową, gdzie zatrzyma się pociąg „towarowy” z Radziwiłłowa w drodze na Sybir.

– Dostałem wiadomość, że w tym pociągu jest moja siostra Janka z synem Edziem i córeczką Hanką. Uzyskałem zgodę władz kolejowych na pożegnanie się z nimi, również dlatego, że muszę zmienić maszynistę i poprowadzić pociąg dalej na wschód, nie wiem jeszcze dokąd – mówi ojciec.

– Kaziu, na litość boską! – woła mama – własną rodzinę będziesz wiozł na Sybir?

– Nic na to nie poradzę, zmieniają parowóz i maszynistę, to rozkaz NKWD!

– Boże – mówi mama – co się porobiło, jaki okrutny los nam zgotowali...

Tę scenę odtwarzam z opowiadań moich rodziców, które miały miejsce wiele lat później, kiedy usiłowałem zrozumieć tamte czasy.

– Dlaczego nas nie wywieziono na Sybir? – pytałem.

Pamiętam wzruszającą scenę, kiedy to mama, uklękawszy w altance, kazała Adamowi i mnie zrobić to samo i modlić się o powrót ojca z więzienia NKWD, do którego trafił tuż po wejściu Armii Sowieckiej. To powtarzało się codziennie. Po jakimś czasie mama straciła już wszelką nadzieję i ostatecznie postanowiła rozprawić



Ojciec autora Kazimierz, tuż przed wybuchem wojny z Rosją Sowiecką, 1920 r.

się z Bogiem. Pewnego dnia, po modlitwie, zwróciła oczy ku niebu i powiedziała, prawie krzycząc: „Boże, jeśli w tej chwili nie wróci mój Kazik, to przestaję wierzyć w Twoje istnienie!”.

Minęło ledwo kilka minut i ktoś pojawił się na końcu alejki prowadzącej do naszego domu. Alejką szedł tata! Wybiegliśmy mu na spotkanie, płakaliśmy i tuliliśmy się do ojca. Mama uklękła potem w kuchni przed świętym obrazem i prosiła Boga o przebaczenie.

Po wielodniowych przesłuchaniach, NKWD zaliczyło tatę do klasy robotniczej. Wytłumaczył im, że dopiero od niedawna jest maszynistą, był całe życie palaczem i pracował jako ślusarz. Nie był „wyzyskiwaczem”. Zebrali opinie od miejscowych Ukraińców i uwolnili tatę. Ważnym świadectwem jego przynależności

do gnębionej klasy robotniczej były odciski na rękach. Towarzyszom, dzięki Bogu, umknął fakt uczestnictwa taty w wojennej kampanii antybolszewickiej 1920 roku.

Rządy NKWD zaczęły się po wkroczeniu Armii Czerwonej na Wołyń i przyłączeniu go do Ukraińskiej Republiki Sowieckiej. Wtedy właśnie powołano Komitet Tymczasowy, złożony z ukraińskich chłopów. Zaczęto „oczyszczać” Wołyń z „wrogów ludu”.

Brnąc w skrzypiącym od mrozu śniegu, zbliżamy się do rampy, na której kiedyś wyładowywano bydło do miejskiej rzeźni. Długi pociąg złożony z wagonów bydlęcych powoli wtacza się, i w końcu zatrzymuje.

– Janka, Janka, gdzie jesteś? – nawołuje ojciec, idąc wzdłuż wagonów.

– A pan to kto? – wołają ludzie, wychylając się z prostokątnych okienek.

Wykrzykujemy nasze i ciotki nazwisko, aż w końcu słyszymy jej wołanie:

– To mój brat, puście mnie do okienka! Kaziu, Kaziu, tutaj jesteśmy!

– Dzieci, dajcie ten obraz Matki Przenajświętszej! Kaziu – ciotka z trudem manewruje obrazem w okienku – przechowaj go, odbiorę po wojnie!

Widzę jak dziś w tym prostokątnym otworze główkę Edka, i słyszę, jak mówi, że jedzie do taty, który na nich czeka. Ojciec podnosi mnie, chce, żebym się pożegnał z ciotecznym rodzeństwem.

Wartownik ma dość tego zamieszania i odpycha nas od wagonu karabinem z bardzo długim bagnetem.

– *Wzięli Mat' Bożuju i chwatit, uchodit, inacze prijditsa strielat'!* [ros., Wzięliście Matkę Boską i dosyć, idźcie stąd, bo będę musiał strzelać!]

Odeszliśmy, a ojciec w swoim długim roboczym kozuchu powłókł się do parowozu. Za chwilę pociąg ruszył. O czym mógł wówczas myśleć brat, który odwoził swoją siostrę na syberyjską tułaczkę?

Ciocia Janka odebrała swoją Matkę Boską dopiero w 1956 roku, kiedy to polski lekarz w Londynie zalecił jej przyjazd do Ciechocinka na leczenie. Nawiasem mówiąc, święty obraz, zanim trafił do Londynu, odbył długą podróż: z Radziwiłłowa, przez Dubno, Legnicę, Sarbinowo, Miastko, do Warszawy. Ciotka przyjechała w okresie gomułkowskiej październikowej odwilży, i po powitaniach, na samym wstępie, poprosiła:

– Rysiu, jeśli zobaczysz gdzieś ruskiego żołnierza, to odwróć od niego moją uwagę, bo nie wiem, co się ze mną może stać – serce mi pęknie ze strachu albo go zabije.

Okrutna prawda o Syberii powoli zaczynała docierać do pokolenia 20-latków Polski Ludowej. W naszym domu świadomość o losach Polaków była spora, ponieważ te wydarzenia dotknęły najbliższą rodzinę. Wtedy, w lutym 1940 roku, kiedy mama wypowiadała słowa: „Jaki okrutny los nam zgotowali”, ich znaczenia jeszcze nie rozumiałem. Na tragiczne często koleje życia Polaków w tamtym czasie w ogromnej mierze wpłynęły układy sowiecko-niemieckie z 1939 roku, które między innymi podzieliły Polskę między Niemcy i Rosję Sowiecką.

To był początek tragicznej karty w dziejach mojej rodziny, osadników wojskowych na Wołyniu, zaliczonych do najbardziej wrogiej grupy, dla której nie było miejsca w sowieckim ustroju. Do wybuchu wojny między ZSRR a Niemcami, to jest do 22 czerwca 1941 roku, Rosjanie przeprowadzili cztery deportacje.

Pierwsza odbyła się 9–10 lutego 1940 roku, kiedy to wywieziono siostrę mojego taty Jankę wraz z rodziną. Podczas drugiej deportacji, dwa miesiące później, 12–13 kwietnia, na wielkie stopy trafiła najmłodsza siostra taty Maria z synkiem Zygmuntem i swoją szwagierką. Wszystkie deportacje, nie licząc jeńców wojennych i Polaków włączonych do Armii Czerwonej, dotknęły około 1 200 000 osób, w tej liczbie było co najmniej 220 000 wojskowych osadników i innych „kułaków i wyzyskiwaczy ludu pracującego”.

W nocy z 9 na 10 lutego 1940 roku, jak wspominała po latach ciocia Janina, żołnierze otoczyli dom w Radziwiłłowie, i po rewizji kazali w godzinę być

gotowym do drogi w celu „przesiedlenia w inne miejsce”. W ciągu tej jednej godziny zesłańcy musieli przygotować się do długiej drogi w nieznane, zabierając najniezbędniejsze rzeczy o wadze do 100 kilogramów. Dorobek całego życia pozostawiali do dyspozycji ukraińskiej władzy radzieckiej. Do jednego wagonu ładowano po kilkadziesiąt osób. Wciąż dowożono nowe rodziny osadników z dziećmi, którym przerwano naukę w szkołach.

Pociąg ruszył w kierunku Dubna, Równego i dalej na wschód. Od czasu do czasu skład zatrzymywał się, by uzupełnić wagony w wodę i węgiel. W podłogach były okrągłe dziury. Z kocy tworzone prowizoryczne zasłony, by stworzyć choć minimalną intymność przy załatwianiu potrzeb fizjologicznych. Na niektórych postojach pozwalano się oddalić od wagonu na pewną odległość.

Pewnego dnia pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji, rozdano wodę i chleb. Nie można było jednak wyjść z wagonów. Gdy skład znowu ruszył, ktoś zauważył, że zbliża się dawna polska granica z ZSRR. I nagle we wszystkich wagonach rozległ się hymn „Jeszcze Polska nie zginęła” oraz pieśń „Boże, coś Polskę”. Wszyscy płakali! Zapewne myśleli o jednym: Czy wrócą do Polski? Kiedy? Co ich czeka w obcej ziemi?

Im dalej na wschód, tym rzadziej pozwalano wychodzić. Po sześciu tygodniach pociąg zatrzymał się gdzieś pomiędzy Krasnojarskiem a Irkuckiem. Zesłańcom nakazano opuścić wagony, załadowano ich na sanie lub furmanki, i wywieziono wiele kilometrów w głąb tajgi.

Tam mężczyźni i kobiety od razu zaganiano do ścinania i piłowania wysokich sosen i modrzewi. Karmiono głodowymi porcjami, kazano spać na byle jakich wyrach. Większość od razu zapadała na śmiertelne choroby. Lato przynosiło ulgę, dzieci i starcy chodzili do lasu, zbierali jagody i grzyby.

Dopiero umowa polsko-sowiecka z lipca 1941 roku i „amnestia” z sierpnia tego roku rozbudziły nadzieję. Zesłańcy uzyskali prawo osiedlania się w dowolnym miejscu ZSRR. Wiadomość ta dotarła do ciotki Janki dopiero we wrześniu.

Kto miał siły, by podróżować w tych trudnych warunkach dążył do rejonów Kujbyszewa i Saratowa, gdzie organizowano Wojsko Polskie. Ludzie szli półżywi, obdarci i głodni, by znaleźć się jak najdalej od „nieludzkiej ziemi”.

Setki rodzin, samotnych mężczyzn i kobiet szło w kierunku Barnaui i Taszkientu – do Persji, obozu przejściowego w Teheranie. Wśród nich była ciocia Janka z dziećmi. Stamtąd, już jako żołnierz Armii Andersa, uczestnicząc w kampanii włoskiej, trafiła do Londynu. Żołnierzem-kierownicą, w 316. Kompanii Transportowej była także jej córka Hanka, moja cioteczna siostra.

Żyjąca do dziś w Londynie, ponad 90-letnia ciocia Maria, najmłodsza siostra taty, opowiedziała mi szczegółowo o swoich przeżyciach z deportacji i życiu na Syberii.

Pewnej nocy, 13 kwietnia 1940 roku, żołnierze kazali natychmiast przygoto-

wać się do wyjazdu. Furmanki już czekały, każdy łapał, co miał pod ręką, wiązał w tłumoki i utykał na wozie. (Z tego, co ciocia zdołała zabrać, żyli później przez jakiś czas, sprzedając lub wymieniając na kartofle czy kaszę). Na furze siedziała jej szwagierka ze swoim 17-letnim synem, trzymając na rękach 2-letniego Zygmunta, syna cioci. Za chwilę wozy miały ruszyć. Ciotka zdążyła jeszcze w kuchni swego domu odkręcić od podstawy główkę maszyny do szycia. Chciała ją zabrać ze sobą. Rosyjski żołnierz sprzeciwiał się temu. Maria rozplakała się.

– *Zaczem portisz jejo?* [ros., Dlaczego ją psujesz?] – ze zdziwieniem mówi czerwonoarmista.

– *U mienia rebionok i szwałnaja maszyna mnie nużna!* [ros., Mam małe dziecko i potrzebuję maszyny do szycia!]

Gdy odszedł, zawinęła główkę maszyny w poduszkę i koc, tobół zarzuciła na plecy i zdążyła jeszcze umieścić go na furmance. Na rampach poupychano ludzi do wagonów towarowych z pryzkami, kozą i dziurą w podłodze.

Po dwóch tygodniach jazdy, śmiertelnie zmęczonych zawszonych zesłańców wyładowano na stacji Tajancza na linii Achmoleńsk-Kartały. Tutaj czekali na nich kołchoźnicy ze swoimi wozami. Właściciele furmanek mogli sobie wybierać ludzi, których mieli obowiązek dokwaterować do swoich domów.

Ciotka ze szwagierką, jej synem Kostkiem oraz malutkim Zygmuntem znalazły się w kołchozie Nadioszka, 20 kilometrów od miejsca przybycia. Wokół, jak okiem sięgnąć, step bez jednego drzewa. We wsi chałupki zbudowane z darniny lub namiastki cegieł, zrobionych z gliny zmieszanej z bydlęcym łajnem.

Jeśli nie wystarczało miejsc w chatach, zesłańcy, żeby mieć gdzie zamieszkać, musieli najpierw wyprodukować cegły. Ciotka i jej szwagierka z synem mieszały nogami łajno z gliną i po uzyskaniu odpowiedniej masy wkładali ją do form, odnosząc następnie do suszenia. W chatynkach paliło się zebrany w lecie suchym łajnem lub burzanem – stepowym zielskiem, składającym się głównie z łopianów i ostów.

Przed zimą starano się wypracować odpowiednią liczbę *trudodni* [ros., dniówek]. Za to czasami kołchoz wydzielał burzan ze swoich zapasów. *Trudodni* trzeba było jednak uzyskać bardzo dużo, zwłaszcza, że miejscowy brygadzysta część z nich zapisywał na swoje konto. Polacy ułożyli nawet okolicznościowy wierszyk na temat liczenia przez brygadzystę *trudodni*.

*Chodyt baba po sterni i szczytajet trudodni.*

*Odyn, dwa, trzy, czytyry... sidmoj deń*

*– to odyn trudodeń.*

[Chodzi baba po ściernisku i liczy wypracowane dniówki. Jeden, dwa, trzy, cztery..., siódmy dzień – to jedna dniówka.]

Zimy były bardzo mroźne, ale w tych domach-lepiankach przykrytych śniegiem nieraz razem z dachem było ciepło.

Główka od maszyny do szycia, którą udało się cioci przywieźć z Radziwiłłowa,



bardzo się przydała. Kowal dorobił rączkę, i ciotka, stawiając maszynę na ceglach, szyła *rubaszki* [ros., koszule], przerabiała i nicowała stare ubrania. W zamian dostawała trochę mąki na zacierkę do zupy. Gotowało się jednak rzadko – nie było czym palić pod płytą. Czasami Kozacy w zamian za szycie przywozili oczeret wiązany w malutkie snopki. Wtedy palono tylko pod jednym rondelkiem.

Pewnej zimy, kiedy ciotce wydawało się, że uzbierała trochę *trudodni*, napisała podanie do kolchozu z prośbą o przydzielenie dodatkowego opału. Uzyskała zgodę, ale musiała burzan przywieźć sama. Był on składany w sterty daleko w stepie. Kolchoz udostępnił również konie z saniami. Ciotka wybrała się po opał z Kostkiem. Ponieważ była to wyprawa całodniowa, zabrali ze sobą po jednej kromce czarnego chleba. Po odnalezieniu stogów, zorientowali się, że sterty były tak zbite i zamrożone, że żadną siłą nie można było wyciągnąć z nich burzanu. Ogarnęła ich rozpacz. Szarpali i skubali stogi pokrwawionymi rękami, starali się za wszelką cenę zdobyć jak najwięcej opału. Zdawali sobie sprawę, że *glawbuch* [ros., główny księgowy] odnotuje, iż opał otrzymali i wykorzystali wszystkie wypracowane *trudodni*. A sanie były ledwo napełnione... Już całkiem bez sił, postanowili trochę odpocząć i posilić się. I tutaj spotkało ich następne rozczarowanie, które do reszty pogłębiło stan beznadziei. Chleb okazał się tak zamrożony, że nie można go było ugryźć! Niewiele zdołali wyskubać ze stogu i całkowicie zrezygnowani wrócili nocą do wsi.

Ciocia Maria opowiedziała mi też inną, tym razem zabawną historijkę.

Pewna kobieta postanowiła naprawić swoje walonki, wyruszyła zatem z nimi do szewca-kolchoźnika. Zimą często, aby dokądkolwiek się dostać trzeba było przekopywać się przez zaspy i drażyć ścieżki w śniegu. I tak bohaterka opowiadania uświadomiła sobie po jakimś czasie, że zabłądziła. W dodatku niespodziewanie wyrosło przed nią coś, co wyglądało na komin chaty szewca. Komin kominem, ale jak dostać się do środka? Chodziła wokół, zastanawiając się, co zrobić. Nagle... załamał się dach i kobieta wraz z kawałkiem pokrycia wpadła do kolchozowego *sapoźnika* [ros., szewca]. Na szczęście nikomu nic się nie stało, a szewc wkrótce przystąpił do naprawy butów.

Wiosną zesłańcy pracowali przy budowie mostów kolejowych na linii Achmoleńsk-Kartały. Była to katorżnicza praca. Mieszkali w namiotach, spali na siennikach wypchanych słomą. Tym razem dostawali trochę pieniędzy, za które można było coś kupić w objazdowym sklepiku, głównie kaszę i mąkę. Ciotkę awansowano na brygadzystkę. Nadzorowała pracę kobiet. W grupie były dwie 15-latki. Brygada musiała wykonać normę, ciotka pracowała na równi ze wszystkimi, oszczędzała wynędzniałe dziewczynki i stare kobiety. W końcu, przy wyładunku kamieni uszkodziła sobie kręgosłup; zwolnili ją z kierowania brygadą. Miała wówczas 27 lat. „Kto nie pracuje, ten nie je” – mówili nadzorcy. Trzeba było znaleźć sposób, by mieć co jeść. Dzięki swojej maszynie, ciotka zabrała się do szycia brezentowych rękawic dla kamieniarzy, robotników leśnych i kolejowych.

Nagle zaczęły rozchodzić się wieści o organizowaniu się Wojska Polskiego. Polacy gromadzili żywność i domagali się podstawienia wagonów w celu wyjazdu do punktów mobilizacyjnych. Kiedyś, gdy część osób podążała już do upragnionej wolności, po wielu dniach podróży znów kazano im opuścić wagony. Na nowo trzeba było się urządzać w jakimś uzbeckim kolchozie. Wtedy do ciotki dotarła wiadomość, że jej mąż prawdopodobnie żyje i przebywa w Andżanie. Zostawiła zatem synka pod opieką szwagierki i wyruszyła go szukać. Trwało to wiele dni. W tym czasie nieraz była zmuszona nocować na brudnych, przepelnionych dworcach. Wszystko na próżno, swojego męża nigdy nie odnalazła. Wróciła zatem do uzbeckiego kolchozu, ciężko chora, zawszona. Przez wiele tygodni opiekowali się nią szwagierka ze swoim synem Konstantym, z którym ciotka wyprawiała się kiedyś po tamtejsze złote runo – burzan.

Wkrótce potem, 19-letni Kostek, absolwent lwowskiego Technikum Mechanicznego z 1939 roku, ginie śmiercią żołnierza we Włoszech, a jego mama, po stracie syna, umiera w Teheranie. W końcu, dzięki powstałemu Wojsku Polskiemu, w Teheranie, po ciężkiej chorobie znalazła się także ciocia Maria. Tutaj mieszka kilka miesięcy w obozie pod miastem, a po śmierci szwagierki, zostaje sama z synkiem Zygmuntom.

Zimą część Polaków urządza się w mieście. Maria dostała pracę jako fryzjerka i manikiurzystka. Wychowując synka samotnie, musiała go ukrywać, nieraz całymi dniami, w zakładzie fryzjerskim, choć było to surowo zabronione.

W 1945 roku polskie rodziny przewieziono do Libanu, gdzie polskie organizacje pomocowe wypłacały im pieniądze na utrzymanie. Janka, siostra Marii i mojego ojca, która wstąpiła do Wojska Polskiego na terenie ZSRR, zadbała o wpisanie w 1948 roku swojej siostry na listę rodzin wojskowych. Swoje dzieci, Edka i Hankę zapisała do Polskich Junaków. Hanka wkrótce potem ochotniczo zgłosiła się do służby transportowej Wojska Polskiego. Ukończyła kurs kierowców samochodowych. Trzytonową ciężarówką przewoziła sprzęt wojskowy i amunicję po serpentynach włoskich wyżyn. Służyła w 316. Kompanii Transportowej. Edek był młodszy, nie zdążył do wojska.

W końcu ciocia Maria z synem i ciocia Janka ze swoimi dziećmi, w środku ciężkiej zimy znalazły się w Anglii. Polaków ulokowano w namiotach. Dawały im się we znaki mróz i śnieg. Okres ten moje ciotki wspominały jako czas tragiczniejszy od syberyjskiego. „Chyba w Rosji tak nie zmarzłam” – wspominała później ciocia Maria.

Janka i Hanka, będąc w wojsku, nie czuły niedostatku. Gorzej wiodło się Marii z synkiem. Tym razem znowu pomogła niezawodna starsza siostra. Przysłała jej na pomoc Bronisława Czekatowskiego, który pełnił w wojsku funkcję szefa zaopatrzenia, i którego ciotka Maria знаła jeszcze z Radziwiłłowa. Czekatowski postarał się o zmianę miejsca pobytu. Tym razem trafili do baraków z blachy z piecykiem na węgiel. Po jakimś czasie Bronisław i Maria pobrali się.



Już jako małżeństwo przenoszą się z Zygmuntem do Londynu. Zaczęła się walka o przetrwanie. Bronisław, przedwojenny oficer, zdemobilizowany, poszedł do jakiejś prostej pracy w fabryce biszkoptów, zarabiał grosze. Potem pracował u krawca jako prasowacz. Maria nie знаła języka, brała prace zlecone z różnych firm. Siedziała po nocach, głównie obszywając rodziny angielskie. Pieniądże wciąż były niewielkie. Trzeba było pójść do pracy w restauracji. Tutaj Maria robi zawijane zrazy i piecze jabłeczники.

Wreszcie, po kilku latach strasznych wyrzeczeń i potwornej pracy, udało się na tyle zaoszczędzić, by dać zadatek na kupno domku do spółki ze znajomymi. Przeprowadzili się z jednego pokoju do dwóch z małą kuchenką i przybudówką, w której nareszcie znalazło się miejsce na wannę. Natychmiast jednak trzeba było wynająć jeden z pokoi, by zapracować na spłatę pożyczki. Po trochu powiększali swoją przestrzeń życiową, urządzali, remontowali. Meble stanowiły skrzynki po pomarańczach.

„Na tych pomalowanych skrzynkach kładłam serwetki i stawiałam kwiatki, ładnie wyglądało” – wspominała w 2003 roku ciocia Maria, która mieszka teraz we własnym, piątym z kolei domku. Ma niską emeryturę, nigdy po wojnie nie odwiedziła Polski. Zresztą jej ojczyzna to Wołyń. Zygmunt, jej syn, a mój cioteczny brat, jest od kilkudziesięciu lat nieuleczalnie chory. To, że dotąd żyje, jest głównie zasługą jego żony Eugenii. Poświęciła swoje życie Zygmuntowi i jedynemu ich synowi, który także jest chory, ma poważną depresję. Nigdy nie był w Polsce. Jego ojczyzną jest Anglia. Ciocia Maria, w jednym z listów do mnie, w styczniu 2003 roku, napisała:

„Jak pomyślę, że moje życie było takie ciężkie, to dziwię się, że tak długo żyję. Już zaczynam 88 rok życia i ciągle nie mam spokoju, jedyny syn i ten nieuleczalnie chory, jedyny wnuk i ten nie ma zdrowia”.

Więcej miejsca poświęciłem cioci Marii, ale losy innych były podobne. Trzeba przyznać, że niewielu Polakom powiodło się w Londynie w tamtym czasie.

Hania, córka ciotki Janki wyszła za mąż za Czesława Jacynę, poznali się w wojsku we Włoszech. Czesław był mierniczym, geodetą. Urodziło im się troje dzieci: Teresa, Krystyna i Jerzy. Jerzy dużym wysiłkiem, za cenę wielu wyrzeczeń zdobył wyższe wykształcenie pedagogiczne. Po wielu latach osiągnął uznanie londyńskich władz edukacyjnych, został kierownikiem szkoły. Teresa odnosiła sukcesy jako wychowca młodzieży oraz nauczycielka tańca. Krystyna, menedżer i handlowiec, często kontaktowała się z Polską. Hania umarła na nieuleczalną chorobę w kwietniu 1987 roku. Czesław jeszcze żyje. Edward, syn ciotki Janki, ten, którego widziałem w bydlęcym wagonie na stacji w Dubnie zimą 1940 roku w drodze na Sybir, ożenił się z Angielką. Są bezdzietni. Mieszkają w Londynie. Przez wiele lat Edek prowadził do spółki z rodziną restaurację, którą pewnego razu odwiedził premier Wielkiej Brytanii, wpisując do książki gości wyrazy zachwytu i podziękowań.

## Z Polski do Polski

*Ja za młodu niemało świata objechałem:  
Byłem w Piotrkowie, w Dubnie, to za Trybunałem  
Jadąc jako palestrant, to własne swe sprawy  
Forytując, jeździłem nawet do Warszawy.*

Adam Mickiewicz

Byłem szczęśliwy, gdy nie tak dawno, w 2000 roku, odważyłem się odwiedzić mój Wołyń, ziemię, którą opuściłem jako 12-letni chłopak. Od tamtego czasu w mojej pamięci przez wszystkie minione lata tkwiły jak ciernie nazwy związane ze szczenięcym życiem. Dubno, ulica Panieńska, przy której stała moja szkoła „za polskich czasów”, Równe, Lwów, Ikwa, Radziwiłłów, Krzemieniec, Poczajów, Tarakany, Czeski Strakłów, Podborce, Ruski Strakłów, Zdołbunów, Góry Połczyńskie.

Opuściłem moją ojczystą ziemię w 1945 roku. We Lwowie, na Cmentarzu Łyczakowskim jest pochowana moja babcia Maria, w Radziwiłowie – moja 26-letnia ciotka. W wielu miastach „tamtej Polski” rozsiane są groby moich wujków, dziadów i pradziadów. To są moje strony rodzinne i tego faktu nic nie zmieni, nawet dzisiejsza przynależność państwowa tych ziem.

Po raz ostatni spojrzeliśmy na domek przy ulicy Ekonomicznej na Surmierzach 1 marca 1945 roku, i z resztą tobołków na plecach ruszyliśmy do naszych „węglarek”, stojących przy rampie na stacji kolejowej Dubno. Wojna jeszcze trwała. Już od kilku miesięcy ukraińskie władze sowieckie i Rosjanie prowadzili agitację na rzecz wyjazdu Polaków.

Wciąż było niebezpiecznie. W podziemnych schronach leśnych i tunelach kryli się banderowcy. Lotnictwo radzieckie co noc bombardowało okoliczne lasy. Widziałem, jak każdego dnia, całymi kolumnami, prowadzono do otoczonego wodą więzienia dubieńskiego brodatych bandytów w baranich czapach i poszarpanych kozuchach, brudnych, często okutanych tylko w łachmany. Wielu w okrwawionych szmatach i bandażach na głowach, rękach, nogach i tułowiach. Szli podtrzymywani przez swoje kobiety.

Nocą zaś i wieczorami, kiedy całą grupą chłopaków i dziewcząt wracaliśmy ze szkoły lub z kina (parę razy chodziliśmy na film „Świniarka i pastuch”), słychać było serie z automatów i pojedyncze strzały. Ludzie mówili, że nocą, tratwami, wywożono trupy. Nie pozwalano zatrzymywać się na moście. Wartownik z wieży więziennej wołał: *Nie zadierżywajsa, prochodi bystro, bystro!* [ros., Nie zatrzymuj się, przechodź szybko, szybko!]

W tej sytuacji decyzja o wyjeździe wydawała się jedynym rozsądnym rozwiązaniem. Tym bardziej, że byliśmy sami. Ojciec od wielu miesięcy walczył na



Ojciec autora (z prawej) pod Berlinem. Kwiecień 1945 r.

terenach, które mieliśmy zasiedlać, jak się później okazało, wbrew naszej woli. Nie mieliśmy żadnej pewności, czy – jeśli przeżyje wojnę – będzie mógł do nas wrócić, gdy granice zostaną zamknięte, a Polakom narzuci się znowu obywatelstwo jakiejś Socjalistycznej Republiki Ukraińskiej.

Brat Adam miał 15 lat, byłem mu posłuszny. Jego opinii w sprawach zasadniczych wysłuchiwali także mama i dziadek Michał. Zdecydowali: należy wyjechać. Tak naprawdę, czuliśmy też, że jesteśmy coraz mniej mile widziani. Byliśmy pogrążeni w żalu i złości. A jednocześnie byliśmy także szczęśliwi, że znajdując się w środku tego wołyńskiego piekła, ciągłych wojen i przemarszów różnych wojsk: niemieckich, rosyjskich, węgierskich, ukraińskich, polskich, własowskich i banderowskich, przeżyliśmy i uniknęliśmy rzezi.

Kto nie przeszedł przez ten koszmar, ten nie może sobie tego wyobrazić. „Nie przeżyło tej rzezi, według najnowszych ustaleń badaczy polskich – pisze w „Nowych Kontrastach” prof. dr hab. Henryk Stroński z Tarnopolskiego Państwowego Uniwersytetu Technicznego – od 40 000 do 100 000 Polaków. Dokonała tego Ukraińska Powstańcza Armia. Natomiast w akcjach odwetowych (polska samoobrona) śmierć poniosło do 3000 Ukraińców.”

Wśród Ukraińców wychowywałem się i rosłem. Znam ich język, podziwiam poezję Tarasa Szewczenki, śpiewałem w szkole razem z ukraińskimi kolegami:

*Oj szczosz to za szum uczynywsia  
szczo komar taj na musi ożynywsia.  
Wział sobi żinku newetyczku szczo  
ne umije szyty priasty czolowiczku.  
Zażurywsia komar, pobytyw  
w czysteje pole.  
Sił na duboczku, zwisyl swoi niżynki w kolinoczku  
zerwalasia szura bura, ona toho  
komaryka z duba zdula.  
Oj upaw komaryk z wysokosci  
polomyw rebra kosci.  
Zebralysia generały ony tomu  
komaryku trumnu dały.  
Oj szczosz to za car general czy polkownyk  
To ne car general ne polkownyk  
To luboji muszyczki polubownyk.*

Od czasu, kiedy uczyłem się tej zabawnej pioseneczki w drugiej klasie szkoły ukraińskiej w Podborcach minęło kilkadziesiąt lat. Została ona w mojej pamięci na zawsze jako dowód na to, że mimo wszystko zachowałem w sercu niesłabnący sentyment i sympatię do Ukraińców. Wśród moich najbliższych krewnych mam takich, których matkami były Ukrainki.

Żegnaj Wołyniu, Dubno, pola chmielu i konopi, Ikwo, dzieciństwo, przyjaciele! Żegnaj moja Polsko, jedziemy do Polski!

Mam 12 lat. Wielu rzeczy nie rozumiem. Nie wiem, dlaczego jedni płaczą, drudzy się modlą, a jeszcze inni piją samogon, śmieją się i cieszą. Wielu kląć, wygraża pięściami w jakimś nieokreślonym kierunku. „Jeszcze wrócimy! Poczekajcie!”

Wojna wciąż trwa. Czy ojciec nas odnajdzie? Rozeszły się pogłoski, że wcale nie zawiozą nas do Chełma, tuż za Bugiem (jak początkowo się mówiło), skąd mieliśmy nadzieję po zakończeniu wojny wrócić tu choćby pieszo.

Śnieg prawie stopniał. Wyrzało słońce, jest jednak zimno. Powoli dogasają ogniska na rampie, gdzie ludzie dogrzewali się w czasie załadunku wagonów, z których tu i ówdzie dymią wystające rury-kominy. Zapalono w piecykach zwanych kozami. Zaraz ruszamy! „Sami swoi”.

Dziadek Michał jeszcze raz sprawdza, czy w kieszeni kufajki jest dwujęzyczny polsko-ukraiński dokument: Karta ewakuacyjna (*Ewakuacijnij list*), na której widnieje, że jedziemy do Chełma. Tak napisano w Liście Przewozowym. Naprawdę!

„Wydano obywatelowi (*Dano gromadjaninowi*): Strońska Tatiana [...] jako dowód, że za pozwoleniem Głównego Pełnomocnika Rządu Ukraińskiej SSR dla ewakuacji na terytorium Polski, ewakuuje się do Chełma. [...] Wraz z nim ewakuuje się następujących członków rodziny:

Gocan Zofia, c. Michała, siostra 1909

Gocan Michał, s. Jana, ojciec 1868

Gocan Maria, c. Walentego 1877

Stroński Ryszard, s. Kazimierza 1933

Stroński Adam, s. Kazimierza 1930

Obywatel Strońska T. przewozi z sobą: koni jeden, rogaczny jeden, świń nie, owiec nie, kóz nie, siewników nie, pługów nie, żniwiarek nie, produktów żywnościowych dziesięć centnarów, w tym ziarna i produktów zbożowych sześć cent., przedmiotów użytku domowego cztery cent.

Okrągłe pieczęcie: ukraińska i polska. Podpisał: Rejonowy pełnomocnik dla ewakuacji”.

Polski maszynista kilkakrotnie przeciągle włączył sygnał odjazdu. Odsuwanie i zasuwanie drzwi, wskakiwanie, beczenie kóz, ryki krów. Pociąg z wolna ruszył. Zapadła cisza, wszyscy pchali się do rozsuniętych szeroko drzwi, matki mocno trzymały dzieci w ramionach, każdy po raz ostatni chciał zobaczyć i pożegnać miejsce, gdzie wzrastał, uczył się, pracował, kochał, wychowywał młode pokolenie, grzebał bliskich w ziemi, która okazała się bezsilna wobec wojny i nie potrafiła zatrzymać swoich dzieci.

Kiedy następnego dnia mijamy granicę na Bugu, dowiadujemy się, że zmierzamy w kierunku Wrocławia (ówczesny Breslau). Z wagonów widzimy szkielety zbombardowanych i spalonych domów, i gruzy, częściowo uprzątnięte, a wśród nich bezdomnych, nędźnie ubranych ludzi, szukających bliskich i miejsca do dalszego życia.

Wiozą nas na Ziemie Odzyskane. Będziemy porzuceni, gdzie popadnie. Umieszczą nas w domach, gdzie jeszcze mieszkają Niemcy. Takie są skutki wojny, ale co kogo to obchodzi, skoro ból dotyka każdego z osobna. Wszyscy wszystkich przeganiali: Niemcy i Rosjanie wypędzili Polaków, Czesi wypędzili Niemców, Ukraińcy wypędzili (przeważnie do grobu) Polaków, Polacy wypędzili Niemców i Ukraińców, Węgrzy Słowaków, Słowacy Węgrów, Rumuni Węgrów itd., itp.

Nasza szkapa, zdobyta od własowców, i krowa – zakupiona, a właściwie zamieniona za dobytek zostawiony przy ulicy Ekonomicznej (obecnie Szczorsa) w Dubnie – ratowały nas z niejednej opresji. To było mądre posunięcie: dziadek Michał uparł się, by zabrać konia i koniecznie zdobyć krowę. Piliśmy mleko przez całą blisko 2-tygodniową podróż.

Krowa i koń stały w jednej połowie wagonu, a babcia, dziadek, mama, ciocia, moja matka chrzestna, jej córka Zofia, Adam i ja mieściliśmy się w drugiej, byle jak zadaszonej brezentem. Mieliśmy tam zbite z desek prowizoryczne łóżka, piecyk-kozę, jakiś stół, ławki z nieheblowanych desek, skrzynie z garnkami i kufry z ubraniami, a także worki z kaszą, mąką, kartoflami i sucharami. Jednym słowem: „przedmioty użytku domowego”.

Wiadra z wodą i, nieco od nich oddalony, sprzęt toaletowy (w tym nocniki) były oddzielone kotarą z szarych koców. Śmierdziały karbid i nafta do lamp.

Na ścianie, jeśli można tak nazwać drewniane boki wagonu, babcia Maria kazała powiesić obraz Matki Boskiej, powierzony nam przez ciotkę Jankę zesłaną na Sybir. Każdego dnia, modląc się przed jej wizerunkiem, prosiła Boga o szczęśliwą podróż i powrót z wojny mojego taty.

Po latach w papierach ojca znalazłem rozkaz wyjazdu, datowany właśnie na czas, kiedy szczęśliwie dojeżdżaliśmy do Lignicy – jak wówczas nazywano dzisiejszą Legnicę.

„15.03.1945

## ROZKAZ WYJAZDU

Kapral Stroński Kazimierz

Strzelec Łozowski Apoloniusz

Strzelec Kuc Stanisław

Odkomenderowani z jednostki Wojska Polskiego w rejon m.

FALKENBURG celem spraw służbowych.

Przy nich karabiny nr 2906

7700

1023M

Ważny do dnia 18.03.45.

Dowódca Jednostki

R. Stajewski ppor.

Pieczęć okrągła. Wojsko Polskie. Poczta polowa 56696”

Gdy tata szczęśliwie wracał do jednostki, my dojeżdżaliśmy do Lignicy. Jeszcze wtedy nie wiedział, gdzie nas szukać.

Na dłuższy, jak mówiono ostatni postój przed Lignicą zatrzymaliśmy się przy rampach kolejowych w Bytomiu. Za nami było wiele takich postojów, przy okazji których zdobywaliśmy siano i paszę dla naszej chudoby. Wyrzucaliśmy nawóz, podsypywaliśmy świeżą słomę. Te czynności należały do mnie i brata. Pomagaliśmy także w rozpalaniu ogniska, przynoszeniu wody.

Często napadali na nasz transport pijani żołnierze lub *bezprizomyje* [ros., bezdomni], osieroceni i obdarci nasi rówieśnicy, jadący za wojskiem na zachód bądź wracający z obozów niemieckich do swoich okolic w nadziei, że odnajdą jakąś rodzinę. Zabierali żywność, kradli, co się dało, zawszeni, brudni i bezwzględni. Torowali sobie drogę za pomocą noży i bagnetów. Repatrianci organizowali straż. Nie wiele to dawało, bowiem w samoobronie byli tylko starzy mężczyźni i podrostki.

Na postojach, w punktach Polskiego Urzędu Repatriacyjnego (PUR), zaopatrywaliśmy się w niektóre leki, nieraz żywność, szare mydło i proszek przeciwko robactwu, głównie wszom i pchłom.

Jutro koniec podróży. Jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało, nam, dzieciakom, było trochę szkoda. Mimo wszelkich trudności, to wszystko było jednak ciekawe, przynosiło doświadczenia, hartowało, przygotowywało do nowego życia w innym świecie.

Na tym ostatnim postoju ludzie wylegli z wagonów, niektórzy w kilkusobowych grupach poszli do miasta na przespiegi i szaber. Inni rozpalali ogniska przed swoimi wagonami, przygotowywali posiłek, który najczęściej składał się z kaszy, słonych śledzi moczonych przez wiele godzin w wodzie, gliniastego chleba lub sucharów. Nasza krówka była dojna, dlatego od czasu do czasu jedliśmy zjełczały ser smażony na patelni. Bywała też prażucha ze skwarkami ze słonej żółtej słoniny.

Przygotowanie jedzenia w warunkach polowych nie było łatwe. Konstruowano paleniska z materiałów znalezionych w najbliższej okolicy. Inni wyciągali po prostu swoje trójnożne kozy.

Ktoś zawołał, że na sąsiednich rampach leżą góry ołowianych krucyfiksów. Pobiegliśmy tam. Ten widok zrobił na nas duże wrażenie. Zapewne te Jezuski były wyprodukowane i przeznaczone dla zwycięskich niemieckich „nadludzi”, z których większość już zapewne zginęła na froncie wschodnim. Nie dowiedziano krzyży na miejsce przeznaczenia, wojna miała się ku końcowi.

Przynieśliśmy z bratem kilka. Mama, która nienawidziła nieuczciwości, kłamstwa i głupoty, kazała nam natychmiast odnieść naszą zdobycz. Oczywiście, polecenie musieliśmy wykonać, choć zainteresował nas pomysł wielu osób, które przynosiły te figurki całymi naręczami i w zmyślny sposób prawie przed każdym wagonem konstruowały z nich paleniska.

Wokół popijano *kipiatok* [ros., gorąca przegotowana woda], żuto razowe suchary, czekając na gorący posiłek przygotowywany przez żony, babcie, matki.

Nazajutrz, około piątej nad ranem ruszyliśmy w dalszą drogę. Pod siennikiem, ukrywszy przed mamą, schowałem jednego ołowianego Chrystusa, ot tak, na pamiątkę. Nie przypuszczałem wtedy, że za rok zostanie przeznaczony dla dziadka Michała...

Po kilku godzinach dojechaliśmy do Lignicy. Pociąg ustawiono przy bocznej rampie. Polski oficer w towarzystwie kilku cywilów podchodził do wagonów i w imieniu polskich władz i PUR serdecznie witał na Ziemiach Odzyskanych, informując jednocześnie, że od jutra będziemy zasiedlać niedaleką miejscowość Pffafendorf, która po polsku nazywa się Pawice.

– Jutro nasza komisja pomoże państwu zasiedlić tam domy i gospodarstwa rolne – oznajmił.

– A czy dzisiaj nie można tego zrobić? Mamy już dość wagonów i tej podróży! – rozległy się głosy repatriantów.

– Nie mamy wiadomości, czy wszystkie niemieckie rodziny już opuściły swoje domy. A poza tym kwaterują tam wojska sowieckie, jednostka karna. Radzimy poczekać do jutra – odparł. – Wszyscy powinni zaopatrzyć się we flagi narodowe i wywiesić je na swoich domach. W ten sposób może da się uniknąć napadów różnych łazęgów czerwonoarmistów. Jesteśmy ich sojusznikami i muszą się z nami liczyć. Bądźcie państwo mimo wszystko ostrożni – zakończył swój wywód.

To rozjuszyło zmęczonych, niedomytych i głodnych repatriantów.

– Mnie jest już wszystko jedno, ja idę, kto za mną? Sam sobie wybiorę mój dom! A bolszewików się nie boję, biorę obrzyn! – zawołał ktoś.

– Ja też idę – oświadczył dziadek Michał. – Tosiu, weź chłopców, reszta niech pilnuje wagonu!

Nie poskutkowały nawoływania oficera. Tłum kilkudziesięciu osób ruszył pędem, dziadek nie nadązał. Ktoś chwycił z wagonu polską flagę i teraz prowadził jak do szturm.

Kiedy dopadliśmy „naszego” osiedla, ludzie rozproszyli się. Mocniejsi prześcigali słabszych w nadziei, że następny dom, następne gospodarstwo będzie ładniejsze niż to, które przed chwilą minęli. Wielu dobiegło do końca zabudowań. Nie znalazłszy odpowiedniego domu, wracali, wołając, że to właśnie miejsce już sobie wcześniej upatrzyli. Rozpoczęły się ostre przepychanki, ludzie byli zdeterminowani.

Na szczęście większość Niemców już opuściła swoje domostwa, jeszcze na końcu wsi było widać kolumnę ciągnącą małe wózki załadowane pościelą i różnym sprzętem. Niemieccy mieszkańcy musieli porzucić swój Pffafendorf, by zrobić miejsce dla polskich Pawic.

Doszliśmy prawie do końca osiedla. Szybsi zajęli już, co się dało. Nikt jakoś nie chciał małego domku, który przypominał nasz dubieński. Nie było przy nim żadnych zabudowań gospodarczych, zaledwie małe podwórze i ogródek.

Mama powiedziała, że ma dość i zostajemy tutaj. Nikt nie zważał, że drzwi były zaklejone jakimś papierem z widniejącą na nim pieczętką. Wszyscy, którzy wbiegli do Pawic, zerwali te naklejki.

– Niech nas rozstrzelają, nikomu tego nie oddamy – krzyczeli ludzie.

Do samego rana trwało zasiedlanie. Przynoszono z wagonów rzeczy, wleczono za sobą krowy, konie i kozy. Postąpiliśmy podobnie. Pod wodzą dziadka i mamy, na własnych plecach, taczkach i grzbiecie naszej szkap, przed świtem prawie wszystko zdołaliśmy zgromadzić w domku lub na podwórku przed nim.

Jednak nie wszyscy Niemcy zdołali wyprowadzić się na czas – im było najtrudniej. Za to żołdatom z jednostki karnej było wszystko jedno: „Niemiec to wróg. Oni nas też nie oszczędzali!”. W nocy było słychać krzyki młodych Niemek, pieśni pijanych żołnierzy, pojedyncze strzały i przekleństwa.

stwa oficerów radzieckich, którzy wylapywali szeregowców postępujących wbrew rozkazom, i często od razu w miejscu rabunku lub gwałtu wymierzali sprawiedliwość, posyłając z nagana śmiertelną kulę. Front zbliżał się do Berlina i wciąż obowiązywał rozkaz Stalina, by przestępstwa wojenne karać na miejscu, bez sądu.

Mama z babcią i moją chrzestną jeszcze w nocy uszyły kilka białoczerwonych chorągiewek dla nas i sąsiadów, którzy przejęli pobliskie gospodarstwo rolne. Nie mieli ani krowy ani konia. Dobrze się więc ułożyło: naszego konia dziadek wymienił z sąsiadami na maszynę do szycia, a krowę przyjęli z radością, pod warunkiem, że spłaca ją mlekiem, które zobowiązali się dostarczać w ciągu najbliższego roku.

Kiedy następnego dnia Komisja PUR przy pomocy polskich żołnierzy chciała siłą wyrzucić ze wsi samowolnych osiedleńców, podniósł się bunt i lament. Ludzie wyszli na ulicę z widłami i kijami. Przepędzili wysoką komisję, zresztą tym razem z pomocą radzieckich oficerów. Zostało tak, jak postanowili przesiedleńcy.

Stosunek repatriantów do Niemców usuniętych ze swoich domostw był przyjazny; sami byliśmy niemało doświadczeni przez wojnę. Gdy po raz pierwszy weszliśmy do niemieckich domów, piece były jeszcze ciepłe, a spiżarnie pełne przetworów i kompotów. Po dwóch dniach Niemcy jeszcze wrócili. Zezwolono im zabrać pozostałe rzeczy, których nie zdołali wziąć za pierwszym razem. „Nasi” gospodarze, których synowie zginęli pod Moskwą, byli spokojni i bardzo grzeczni. Wzięli wszystko, co tylko chcieli. Adam i ja pomogliśmy im ciągnąć dwa wyładowane wózki aż na krańce zabudowań. Odchodząc, dotykali swego domku, płakali do wtóru z moją mamą, ciotką i babcią.

Miejscowej polskiej władzy mama odmówiła przyjęcia tego domu na własność, o czym zaświadczył sołtys gromady w piśmie odręcznym:

„Do Zarządu Gminy  
w Kunicach

Sołtys gromady Pawice niniejszym zaświadcza, że ob. Strońska Tatiana, repatriantka zza Buga, zamieszkuje we wsi Pawice gm. Kunice od marca 1945 roku do obecnej chwili. Gospodarstwa ani domu we wsi Pawice nie otrzymała. Zaświadczenie niniejsze wydaje się w celach urzędowych.

Pawice, dn. 21.11.1945 r.

Sołtys gromady  
F. Karaszewicz

Poniżej pieczęć podłużna REFERAT OSADNICTWA i trójkątna PAŃSTWOWY URZĄD REPATRIACYJNY, obok której odręcznie: Stwierdza się, że Strońska Tatiana nie otrzymała przydziału gospodarki w pow. Lignica. Podpisał nieczytelnie, Insp. Ref. Osad”.

Jakie to były cele urzędowe, o których wspomina w swoim zaświadczeniu sołtys? Takie oto, że po ośmiu miesiącach znowu ładowaliśmy się do wagonu! Czy kiedyś się to wreszcie skończy?!

Zanim jednak dojdzie do kolejnej przeprowadzki, mieszkamy w Pawicach w „naszym domku”. Mając nadzieję na rychły powrót taty z wojny, rodzina zabrała się do organizowania normalnego życia. Adam, ja i Zosia zostaliśmy zapisani do szkoły w Lignicy.

Po lekcjach, w wieloosobowych grupach rówieśników, nie zważając na ostrzeżenia plądrowaliśmy, głuptyśmy, mieszkania ponemieckie. Nie interesowały nas szafy pełne ubrań, futer i obuwia. Za pomocą narzędzi kuchennych rozbieraliśmy skrzypce, pianina i fortepiany, by zobaczyć konstrukcje wewnątrz bądź porozrywać struny. Zabieraliśmy tylko zeszyty do pisania, ołówki i znaczki pocztowe. Radia rozbijaliśmy, a serwisy tłukiliśmy w drobny mak. Niejedna filiżanka i niejedna waza fajansowa zostały roztrzaskane na rodzinnych portretach byłych właścicieli. Ze śmiechem rzucaliśmy germańskimi kuflami w portrety umundurowanych Niemców, którzy przyczynili się – byliśmy o tym wówczas absolutnie przekonani – do tego, że znaleźliśmy się tutaj, w tej obcej dla nas ziemi. Portrety ich Adolfa zrzucaliśmy z pięter na podwórza razem z odznakami Hitlerjugend, żelaznymi krzyżami i szmatami z hakenkreuzem.

Kiedyś złapali nas rosyjscy żołnierze, którzy pilnowali domów w wydzielonym kwartale, by potem ogołocić je i wywieźć co się da do swojego kraju w charakterze zdobyczy wojennych, zanim miasto przejdzie pod zarząd władz polskich. Mama musiała nas ratować. Na szczęście, nie okazało się to zbyt trudne. Mając dwie maszyny do szycia (jedna otrzymana za konia, druga przywieziona z Dubna), reperowała i szyła z Eugenią, ciocią i babcią mundury i rubaszki dla oficerów i podoficerów. Wykorzystała te znajomości, skończyło się na wielkim strachu.

Dzięki tej krawieckiej działalności cała wieś była obszyta, a Adam i ja paradowaliśmy w ciepłych kurtkach i czworokątnych czapkach wykonanych z niemieckich mundurów. Nie było łatwo wyżywić naszą 8-osobową gromadkę. Klienci płacili marnie – najczęściej w towarze – lub wcale.

Dopiero pod koniec naszego pobytu w Pawicach, Zarząd Gminny w Kunicach, referat wojskowy, zainteresował się nami i skierował do mamy pismo:

„Do  
Ob. Strońskiej Tatiany  
w Pawicach

Na zasadzie rozp. Ministra Adm. Publ. z dnia 14.II.1945 (Dz.U.R.P. Nr. 6 poz. 27 o zasiłkach dla rodzin osób odbywających czynną służbę wojskową), Zarząd gm. Kunice przyznaje zasiłek dla następujących członków rodziny Ob. Strońskiego Kazimierza, powołanego do czynnej służby wojskowej, a to dla: Tatiany, Ryszarda, Adama zamieszkałych w Pawicach i zarejestrowanych dnia 18/IX 45 r. pod nr. 42 w tutniejszym referacie wojskowym.

Zasiłek w wysokości zł [nie wpisano żadnej kwoty] dziennie, za czas od X 45 r. poczynszy, wypłacany będzie w terminach miesięcznych z dołu do rąk, z upoważnienia Strońskiej Tatiany, F. Karaszewicza – sołtys.

Podpisał nieczytelnie wójt

[Poniżej adnotacja odręczna] pobrał F. Karaszewicz.

[Poniżej] Zasiłek wojskowy za m. X w kwocie 248 zł wypłacono dnia [nieczytelne] poz .99

Pieczęć owalna z godłem, Zarząd Gminny w Kunicach powiat Lignicki”.

Niestety, jak się później okazało, była to jednorazowa wypłata.

Do naszych niedawnych zabaw, polegających głównie na penetracji poniemieckich mieszkań już nie wróciliśmy – oddaliśmy pole szabrownikom. Odtąd spędzaliśmy czas już tylko na swoim osiedlu. Namówiłem chłopaków, by z terenu zbombardowanego wesołego miasteczka przyciągnąć do Pawic dwa samochodziki elektryczne obite wokół gumą. Ciągnęliśmy te pojazdy z Lignicy przez trzy dni (z przerwami na pobyt w szkole) i noc. Zabawa była świetna. Napędzane siłą naszych mięśni zderzały się ze sobą jak w prawdziwym wesołym miasteczku.

Czasami dla odmiany przenosiliśmy się do nieodległej, opuszczonej fabryki części zamiennych do samolotów. Były tam ogromne opony i dętki. Niemcy uciekając w popłochu, zostawili także wagoniki wąskotorówki w pobliskiej cegielni. Mieliśmy wielkie trudności z nadmuchiowaniem dętek, łatwiej poszło z wagonikami, udało się nam ustawić je na torach.

I oto rozpędzony z góry wagonik pędzi z dużą szybkością z kilkunastoma pasażerami, chłopcami i dziewczynkami, by za chwilę zderzyć się z ogromnymi dętkami i oponami samolotowymi ułożonymi na jego drodze. To się pamięta całe życie, jak katastrofę z filmu „Grek Zorba”! Naszą radość niestety mącili starsi, którzy popychali nas do wspólnych działań na rzecz utrzymania się przy życiu. Do nas należało między innymi zbieranie opału w okolicy oraz kłosów z pól.

Dziadek skonstruował stęgę, przy jej użyciu tłukliśmy na mąkę ziarna pszenicy lub żyta wyluskane z uprzednio znalezionych kłosów. Z tak uzyskanej mąki, ostatecznie startej w kamiennych, też dziadkowych żarnach, babcia piekła chleb lub podpłomyki. Wąskim gardłem w procesie tej produkcji było łuskanie kłosów.

Pewnego dnia, wczesnym popołudniem, zbierając z bratem kłosa ze ścierniska po świeżo skoszonym przez wojsko radzieckie zbożu, ujrzeliśmy biegnącą w naszym kierunku Zosię.

– Wujek Kazik przyjechał, wujek Kazik! – darła się wniebogłosy, wywijając rękami.

– Jaki Kazik, o co chodzi? Jaki Kazik? – dopytywaliśmy.

– Przecież mówię, wasz tata, w mundurze przyjechał! – wyjaśniła w końcu.

Ta szokująca wiadomość nie dotarła do nas w pierwszej chwili. Tak była nieprawdopodobna! Zerwaliśmy z siebie płachty z kłosami. Ja zaplątałem się w swoją i rymnąłem jak długi na ściernisko, rozrzucając przy tym po polu owoc kilkugodzinnego trudu zbieracza. W tym momencie nie miało to żadnego znaczenia, pędziliśmy jak szaleni!

Na podwórzu stał tata. Czekał na nas. Nareszcie wrócił z tej okrutnej wojny! Cały i żywy! Nachylił się i pochwycił nas w ramiona, tuląc i całując. Po policzkach i krzaczastych wąsach ojca płynęły łzy, jego i nasze. Pięknie wyglądał ten nasz 44-letni tata, w polskim mundurze z odznaczeniami na piersi i belkami plutonowego na naramiennikach. Nie było go dwa lata!

Kobiety przygotowały uroczysty obiad. Do kartofli była *swinaja tuszonka*, przywieziona przez tatę, i samogon ze starych dubieńskich zapasów.

– Jak wiecie, wojna się skończyła, ale nie wiadomo, czy tu jeszcze Niemcy nie wrócą. Muszę was stąd zabrać, przecież objąłem gospodarstwo gdzie indziej, nie wiedząc, co się z wami dzieje – powiedział tata.

– Nigdzie się stąd nie ruszę, to ponad moje siły, możecie mnie zabić, nigdzie nie jadę, zostaję z dziećmi – mówiła mama, płacząc.

– Tosiu, co ty wygadujesz, przecież wiesz, że będę zdemobilizowany i muszę zająć się gospodarstwem, które nam przydzielono, a tutaj nawet tego domu nie chciałaś. Jak i z czego będziemy żyć? O, masz, czytaj – tata podał mamie jakiś papier – czytaj głośno! Pieczęcie też przeczytaj, wszystkie.

„Rzeczpospolita Polska, Prezydium Rady Ministrów, Państwowy Urząd Repatriacyjny, Inspektor Rejonowy na powiat 1486/45, Poznań, 6 czerwca 1945.

Zarząd Gminy Swarzędz. Przekazujemy repatrianta ob. Strońskiego Kazimierza...

(– Cemu tak Ci przekręcili nazwisko?

– Oni tam, w poznańskim, stale przekręcają, ale czytaj Tosiu dalej, uczą się.

– Gdzie to się zatrzymałam? No, już wiem...)

...celem osadzenia go na odpowiednim gospodarstwie poniemieckim. Prosimy o spisanie znajdującego się tam inwentarza żywego i martwego i oddanie w zarząd repatriantowi do czasu przybycia naszego delegata i delegata Urzędu ziemskiego, i urzędowego osiedlenia repatrianta”.

– Ten, co się podpisał, to ma nazwisko Paris, jakoś tak śmiesznie się nazywa, niechby już było Paryż! Czy już zrobili ten spis? – mama skończyła czytanie.

– Tak, Tosiu, gdzieś go tu mam, zaraz poszukam – wstał od stołu i wyszedł na korytarz, gdzie stała jego wojskowa torba.

Gdy wrócił, przy stole toczyły się poważne rozmowy.

– Planuję wyjechać z Zosią do Warszawy – odezwała się druga mama, jak nazywałem moją chrzestną – tam mam nadzieję odnaleźć dalszą rodzinę – już napisałam do PCK.

– Ja, Tosiu, chciałabym kiedyś wyjść za mąż, a wtedy i tak nie będę z wami mieszkać – dodała ciocia Zosia ze smutkiem w głosie.

– Ja mam 77 lat i mnie już wszystko jedno, gdzie będę umierał – mruknął dziadek, odchodząc od stołu.

– Nie gadaj głupstw – odezwała się babcia Maria – kraczesz, kraczesz i wykraczesz, zobaczysz, ty, p o w i e t r z e. – Tosiu, weź to od Kazia i czytaj, bo jak stąd będziemy jechać, to nie wszystko nam może być tam potrzebne – dodała babcia.

Oj, ta mądra babcia, najukochańszy mój człowiek na świecie, przyjaciel, obrońca i powiernik. Jeśli ją czasem zdenerwowałem, obrzucała mnie tym swoim jedynym obraźliwym słowem „powietrze”. Dopiero po kilku latach zorientowałem się, co ono oznaczało. Po prostu: cholera. A dlaczego tak? A... to było moje wielkie odkrycie! W modlitwie jest: „od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas, Panie”. A „powietrze”, to przecież, powietrze morowe, czyli zaraza, epidemia, bardzo groźna choroba zakaźna, na przykład cholera. Odtąd wiedziałem, że dziadkowi nieraz zdarzało się usłyszeć, że jest niedobry jak cholera.

A kochana babcia, słowami „bo jak stąd będziemy jechać”, właściwie zacydowała już o naszej przyszłości.

– Hura, hura! – wrzeszczeliśmy z Adamem, bo bardzo pragnęliśmy wyjechać z ojcem do Sarbinowa, o którym mówił, że czekają tam na nas konie, krowy, króliki i gołębie. Mama znalazła się w mniejszości. Wzięła z rąk taty kartkę i zaczęła czytać.

„Spis narzędzi rolniczych odebranych przez ob. Strońskiego (o, znowu – mruknęła pod nosem) Kazimierza z Sarbinowa, Pow. Poznańskiego przy obecności Sołtysa i zastępcy jego ob. Strekera Walerjana.

Młockarnia szerokobijąca, wietrznik, żniwiarka, wiązarka, siewnik, maszyna do krojenia buraków, kufa do wody, sieczkarka, manież, kultywator, nóż do słomy, kartoflarka, grabiarka konna, sortownik do kartofli, waga 150 kg, pług 3-skibowiec, pług-sak, pług do buraków, radełko, walec żelazny, brony ciężkie – 3 sztuki, brony posiewne – 3 sztuki, szlepa, meble, szafa i łóżko.

Podpisał sołtys gromady Sarbinowo Gmina Swarzędz Radziejewski”.

Śluchaliśmy jak urzeczeni, przecież nie mieliśmy pojęcia, do czego służy większość tych urządzeń, nikt nigdy w gospodarstwie rolnym nie pracował. A delikatna i dbająca o siebie jak nikt ze zgromadzonych przy tym stole ciocia Zosia zbladła na samą myśl, że z tymi narzędziami może mieć do czynienia, albo nawet – nie daj Boże – będzie zmuszona się nimi posługiwać. Przecież dopiero co, ku jej wielkiej radości, pozbyliśmy się krowy – naszej repatriacyjnej żywicieli. Nigdy jej nie dotknęła, a o dojeniu nie chciała nawet słyszeć. Co ją, nieszczęśliwą, czeka w tym Sarbinowie?

Wreszcie mama powiedziała, że trzeba odkarmić rodzinę, a na wsi będzie zapewne łatwiej. Jedziemy!

– Tutaj z samego szycia się nie utrzymamy, tym bardziej, że bez ciotki Zosi i Eugenii nie będę w stanie szyć jak dotąd – oświadczyła mama.

Wyjazd, z którego bardzo się cieszyłem, oznaczał dla mnie, że po przyjeździe do Sarbinowa, po raz kolejny zacznę naukę w klasie czwartej! Czy będzie mi dane ją wreszcie ukończyć?

Wszyscy przystąpiliśmy do przygotowań. Ojciec zamówił wagon. Niestety, mogliśmy go dostać dopiero w początkach listopada. Wagony były potrzebne do przerzutu Wojska Polskiego z rejonów walk do miejsc postoju. Tata postanowił zatem wrócić do Sarbinowa, by przypilnować prac w polu, a mama tymczasem miała załatwiać sprawy papierkowe. Już 4 listopada 1945 roku Zarząd Gminny w Kunicach wydał zaświadczenie, w którym czytamy:

„Zarząd gminy w Kunicach zaświadcza niniejszym, że Ob. Strońska Tatiana z rodziną składającą się z 8-miu osób zamieszkała we wsi Pawice gminy Kunice powiatu Lignica na dniu dzisiejszym wymeldowała się na wyjazd do Sarbinowa w Woj. Poznańskim.

Podpisał (nieczytelnie) Wójt gminy Kunice”.

Przygotowywaliśmy skrzynie, znowu ładowaliśmy kufry, robiliśmy selekcję sprzętu kuchennego, rozdawaliśmy sąsiadom zbyt duże gabarytowo do przewożenia wagonem rzeczy.

Ciężko będzie pożegnać się z kolegami, z którymi przyjaźniłem się od czasów dubieńskiego dzieciństwa i trudnej podróży z Polski do Polski.

Zarząd gminny w Kunicach pracuje starannie i 19 dni po wydaniu zaświadczenia o wymeldowaniu, w dniu 23 listopada 1945 roku wystawia następne zaświadczenie:

„Zarząd gminy w Kunicach zaświadcza niniejszym, że Ob. Strońska Tatiana z powodu przydzielenia jej mężowi osady w Województwie Poznańskim na podstawie zaświadczenia sołtysa Gromady Pawice oraz 10 świadków zeznających, że wyżej wymienione meble są własnością ob. Strońskiej Tatiany a to:

1/ szafa, 2/ maszyna do szycia, 3/ lustro, 4/ krzesła 6, 5/ szafka kuchenna,

7/ łuźka [pisownia oryginalna] 4, 8/ stoły 2, 9/ kosze z ubraniem i bielizną, pościelą i naczynia kuchenne.

Rodzina teŹe składa się z 9 osób.

Podpisał [nieczytelnie] Wójt gminy Kunice”.

Teraz mogliśmy już całą rodziną i przy pomocy najbliższych sąsiadów ładować nasz dobytek do wagonu stojącego na boczniczy kolejowej w Lignicy. Dysponowaliśmy dokumentem pod nazwą List Przewozowy (1) – Przesyłka zwyczajna:

„Stacja nadania Lignica W-c, nr 451/15. Stacja przeznaczenia PACZKOWO.

Wagon nr 169364. Odbiorca i jego adres: Kazimierz Stroński stacja Paczkowo.

Opakowanie jedno – wagon.

Nazwa towaru: rzeczy domowe stare, używane, 9 osób z przesiedlenia. Waga nadawcy 5000 kg. [Chodziło raczej o wagę wagonu...].

Źądana przez nadawcę droga przewozu: Rawicz, Leszno, Poznań.

W posiadaniu rodziny zaświadczenie na przewóz.

Za bilet dla 8 osób, za jeden bilet 50% ulgi, razem 826 złotych.

Pieczęć stacji Lignica Dyr. Wrocław”.

Taki sam list przewozowy tkwił pod specjalną drucianą siatką przymocowaną do wagonu.

Adam i ja natychmiast zorientowaliśmy się (w końcu tata był kolejarem), że zaplombowany wagon z ładunkiem będzie doczepiony do jakiegoś pociągu, który zawiezie go do stacji docelowej.

– Dzisiaj wszyscy późnym wieczorem wyruszamy pociągiem osobowym, a wagon nam przywiozą, tata nas odbierze. Myślę, że to będzie jutro – powiedziała mama.

Tak teŹ się stało. Nazajutrz wieczorem, 26 listopada 1945 roku na stacji Paczkowo czekał na nas ojciec, już bez munduru, chociaż w długim wojskowym szynelu bez pagonów i belek plutonowego. Potem, w domu w Sarbinowie w biurku taty znalazłem pisemko, w którym razem z Adamem przeczytaliśmy:

„ZAŚWIADCZENIE TYMCZASOWE nr 32/I o demobilizacji.

Data 26/IX 1945

Stwierdzam, że plut. Stroński Kazimierz urodzony 4 marca 1901, zamieszkały Sarbinowo, gm. Swarzędz pow. Poznań został z dniem 17. IX. 1945 zdemobilizowany z czynnej służby wojskowej na podstawie rozk. Nacz. Dow. Nr. 01 84.

Zaświadczenie niniejsze ważne jest do czasu wydania właściwego dokumentu wojskowego.

Wojsko Polskie, Rejonowa Komenda Uzupełnień, Poznań Powiat.

Podpisał K. Kobyliński porucznik – Kierownik I referatu, Z-ca Kmdt R.K.U.”.

Zrzędy nam trochę miny, że tata nie jest już dowódcą plutonu. Gdy jed-

nak później, za szafą z 1830 roku, którą za jakiś czas na zawsze zostawiliśmy w Sarbinowie, znaleźliśmy karabin ojca, znowu poczuliśmy się bardzo ważni i bezpieczni.

Tata przyjechał po nas traktorem. Wagon stał na bocznym torze. Do jutra musiał być rozładowany, żebyśmy nie musieli płacić osiowego. Składowe miało być naliczane od szóstej rano. Parobek i niemiecki jeniec wojenny przydzielony ojcu do pracy na roli rozpoczęli załadunek przyczepy traktoru. Poszło dość sprawnie, oczywiście przy pomocy mamy, Adama, mojej, Zosi i jej mamy, które postanowiły jeszcze przynajmniej rok pomieszkać w Sarbinowie, by набrać sił na dalszą podróż do Warszawy. Miały nadzieję odnaleźć tam rodzinę i razem zamieszkać w Wołominie.

Szliśmy pieszo ze stacji do Sarbinowa. Mama płakała, bała się życia na wsi. Rodzice wymieniali między sobą ostre słowa, babcia uspokajała:

– Będzie dobrze, Tosiu, nie takie chwile przeżyłam w tamtej wojnie, kiedy mama mnie opuściła, będąc zmuszona uciekać do Moskwy, i w dodatku oddałam jej moją Lizę, waszą siostrę, wierząc, że się wkrótce zobaczymy. I co? Minęło ponad 30 lat, a ja swojego dziecka nie widzę! Nas jest więcej w kupce, a i Janek się odnalazł w Miastku, i jesteśmy w naszym kraju, tutaj teŹ jest Polska, nawet większa niż w Lignicy była.

– Bo to jest babciu, Wielkopolska – pochwaliłem się swoją wiedzą. Zapamiętałem bowiem, co powiedziała pani w mojej klasie, kiedy powiedziałem, że jadę do Poznania.

– Poznań jest stolicą Wielkopolski, jeszcze nigdy tam nie byłam, przed wojną odbywały się w Poznaniu wielkie targi międzynarodowe – mówiła moja nauczycielka w szkole w Lignicy.

Traktorem pojechał w kabinie dziadek z parobkiem. Niemiec za kierownicą. Te trzy kilometry szliśmy razem z tatą, prawie godzinę. Gdy dotarliśmy na miejsce, traktor był rozładowany. Jeszcze raz trzeba było wrócić na stację po resztę rzeczy.

Było ciemno, jednak przyjazne ujadanie psów, ładne zabudowania, kilka krów, dwa piękne kare unrowskie konie, duży dom, ogień pod płytą, ogromne poznańskie sznytki chleba z pasztetówką i kaszanką, i czarna gorzka kawa zbożowa, przygotowane przez służącą – wszystko to dawało nadzieję, że tutaj, w tym domu, pozostaniemy na zawsze. Koniec z tułaczką!

Niestety, nikt nie może być pewny swojego losu. Prawie natychmiast pojawiły się nowe kłopoty, a i nowa tułaczka niebawem miała się zacząć.

Za kilka lat PKP znowu wystawi nam List Przewozowy – do Miastka koło Słupska.

Co się takiego wydarzyło, że rodzina musiała wyjechać powtórnie na Ziemię Odzyskane?

Wiele, bardzo wiele!



# Bracia

Byliśmy w komplecie: tata, mama, ciotka Zofia, babcia Maria i dziadek Michał, moja chrzestna matka Eugenia z córką Zofią, mój brat Adam i ja. Niedługo miał przyjechać dziadek Piotr, ojciec mojego taty.

Bracia ojca rozproszeni po Polsce: Ludwik w Lublinie, Feliks w Warszawie, Bolesław w Stargardzie Szczecińskim. Siostry ojca: Janina i Maria w Londynie. Brat mojej mamy, wujek Janek, mieszkał w Miastku koło Słupska, druga siostra mamy, Elżbieta (Liza) – w Kłaźmie pod Moskwą; drugi brat Klemens (Klim) zginął w okresie wojny polsko-bolszewickiej.

Pewnego dnia w Sarbinowie, w papierach ojca znalazłem pismo, które zaintrygowało mnie i brata:

„Dyrekcja Okręgowa Kolei Państwowych  
we Lwowie

Nr V/1/142/31

Lwów, dnia 16 maja 1931

Do

Pana Kazimierza Strońskiego  
Ślusarza

Przez Oddział Mechaniczny we Lwowie

W załatwieniu prośby Pana z dnia 25 marca 1931 Dyrekcja Okręgowa kolei państwowych przyznaje Panu dodatek ekonomiczny dla żony Heleny i syna Mieczysława z ważnością od 1 lipca 1929 aż do odwołania.

Wicedyrektor kolei państwowych.

Inż. Janas

[Pod podpisem była uwaga, że zainteresowany alimentuje żonę].

Pieczęć: PKP-Parowozownia w Radziwiłłowie i data: 2/VI/ 1931”.

W tym piśmie kryła się jakaś tajemnica, na razie postanowiliśmy z bratem nie dociekać. Chcieliśmy jednak czegoś dowiedzieć się o naszym najstarszym bracie Mieczysławie, choć zdawaliśmy sobie sprawę, że nie mieliśmy z nim wspólnej mamy. Po jednej z wizyt listowego, jak mówiono w poznańskim na listonosza, tata powiedział nam, że wkrótce przyjedzie do nas nasz brat.

– Nie znacie go, bo wychowywała go moja pierwsza żona Helena. Nie zgadzaliśmy się ze sobą i musieliśmy się rozejść. Mietek był ze mną na wojnie, tam spotkaliśmy się i zaprosiłem go, by do nas po wojnie przyjechał – powiedział tata.



Mieczysław (z prawej) z kolegą. Lublin 1946 r.

Tak się złożyło, że to ja pojechałem po brata na stację rowerem do Paczkowa. Z pociągu wyszło kilka osób, wśród nich mężczyzna w wojskowym szynelu, z czapką w rękę. Szedł niezdecydowanie, rozglądając się wokół. Nie miał przy sobie żadnego bagażu. Rozpoznałem go natychmiast; był bardzo podobny do ojca. Jakaś siła pchała nas ku sobie, podbiegłem, a on wziął mnie na ręce jak dziecko.

– Jesteś moim braciszkiem? Rysio? – zapytał zdławionym głosem.

– Tak, tak – odpowiedziałem, trzymając brata mocno za szyję, jakbym się bał, że znowu pochłonie go jakaś tajemnica. – Tak!

Nigdy, przez 13 lat mojego życia nie widzieliśmy się. On o nas wiedział więcej od stryjostwa Ludwików z Lublina, którzy mu dużo w życiu pomogli. Do Sarbinowa jechaliśmy na rowerze, mój 20-letni brat wioził mnie na ramie. Rozmowy nie pamiętam. Chlipałem, a jego łzy kapły za mój kołnierz. Tak wyrażaliśmy nasz ból z powodu wojennej tułaczki i współczucie dla naszych rodziców, dla których los nie okazał się łaskawy.

W domu pierwsi uściskali się moi starsi bracia, też popłakiwali. Potem, po kolei, przywitali się wszyscy, poczynawszy od taty, a skończywszy na mojej płaczącej mamie, która w czasie pobytu Mietka w Sarbinowie zajęła się nim jak własnym synem. Tego to już wcale nie rozumiałem. Przecież to nie jej syn, przecież

to nie jego mama! Dlaczego tak serdecznie się ściskają? Musiałem szybko uczyć się rozumieć! Mieczysław nie pobyl z nami długo; wracał do Dębicy, gdzie powołano go do pracy w Milicji Obywatelskiej.

Pewnego razu w akcji przeciw banderowcom w Bieszczadach Mietek dokonał bohaterstwa. W jednej ze wsi, w chacie na skraju, prawie każdej nocy hulał i nocował wysokiej rangi banderowski watażka – miał tam swoją kobietę. Miejsce to zostało wytopione przypadkowo przez Ukraińca współpracującego z Wojskową Służbą Wewnętrzną i MO. Obmyślono plan, polegający na przeprowadzeniu rewizji w kilkunastu chatach pod pretekstem szukania broni we wsi. Do akcji włączono również dom odwiedzany przez banderowca. Do chałupy weszło kilkunastu milicjantów. Narobili szumu, gospodyni kazali otwierać szafy i pokazywać różne zakamarki. W tym czasie brat niespostrzeżenie schował się pod łóżko. Miał przeczekać do nocy, w nadziei, że i tym razem bandyta zachowa się zgodnie ze swoimi przyzwyczajeniami, a gdy zaśnie, zostanie schwytany. Liczono na to, że gospodyni nie zorientuje się, ilu mężczyzn weszło, a ilu wyszło. W okolicy, w ukryciu miało w nocy czuwać kilku milicjantów, którzy w razie strzelaniny udzieliliby szybkiego wsparcia. Mietek nie mógł nic jeść, miał ze sobą specjalnie skonstruowany pojemniczek z wodą do zwilżania ust. Wychodząc, milicjanci zastrzelili psa. To miało zmylić watażkę. Nie można było pozwolić na to, by pies zdradził obecność kogoś obcego. Leżąc pod łóżkiem na glinianej polepie, Mietek dusił się od intensywnego zapachu stęchłej słomy. Co pewien czas oddawał kilka kropel moczu, który wsiąkał w ubranie. Bał się, że jego większa ilość wyciekłaby spod łóżka po twardej glinie. Strach ściskał mu serce, utrudniał oddychanie. Tuż przy dłoniach leżały latarka i pistolet owinięte szmatą, by nie spowodowały przypadkowego dźwięku. Tymczasem kobieta kręciła się po kuchni i pomstowała na polskich bandytów do kogoś, kto zapewne chciał sprawdzić, po co oni tutaj byli. Może jakiś zwiadowca. Mówiła, że Lachy zabiły psa. Wreszcie, gdzieś po północy, „hetman” przyszedł. Zjadł coś i poszedł z kobietą do sypialnej izby. Kobieta postawiła świeczkę i pomogła mu zzuć buty. Watażka położył się w ubraniu, wkrótce rozległo się chrapanie. Po jakimś czasie Mietek, mokry od potu i moczu, wyczołgał się spod łóżka, trzymając w drżących rękach rewolwer i latarkę. Uniósł ją ku górze, rozpraszając ciemności. Za chwilę, straszliwie wrzeszcząc, kilkakrotnie uderzył w głowę kolbą pistoletu dowódcę bandy, która od wielu tygodni rabowała i mordowała Polaków w okolicznych wsiach, napadała na posterunki Wojsk Ochrony Pogranicza, WSW i Milicji Obywatelskiej. Następnie Mietek strzelił kilkakrotnie w sufit i okno. Odpowiedziały mu wystrzały ukrytych w okolicy kolegów, którzy błyskawicznie przybiegli i związali nieprzytomnego watażkę. Gdzieś w oddali rozległa się strzelanina banderowców. Nagle wszystko ucichło. Do wsi zbliżały się jednostki WSW. Paliło się kilka ukraińskich stodół i domów.

Za swój czyn brat otrzymał nagrodę w wysokości 120 zł i trzy dni urlopu. Lekarze stwierdzili jednak lekki szok psychiczny i 30 procent utraty zdrowia. Cze-

kała go renta. Ukrył jednak swój stan. Zwolnił się ze służby w milicji i rozpoczął pracę w górnictwie, na dole, gdzie lepiej się zarabiał. Niestety, wkrótce przeżył katastrofę górniczą. Po wielu godzinach od zawału odkopano go i umieszczono w szpitalu. Teraz już jednak utrata zdrowia sięgnęła 70 procent. Mieczysław mieszka w Dębicy, żyje z renty. Wykorzystuje swoje zdolności manualne, wyszywając specjalną techniką obrazy na płótnie. Ma ponad 80 lat, poważnie niedomaga. Nie nabyliśmy się razem, życie i historia nas rozdzieliły.

Krótko po tym, gdy Mietek wyjechał z Sarbinowa, ciężko zachorowałem. Było to zapewne zapalenie płuc. Terapia za pomocą baniek i pijawek, które lekarz przyniósł w słoiku, nie dawała rezultatu. Babcia namawiała rodziców, by zawieźli mnie do szpitala w Poznaniu. We wsi jednak nikt nie miał samochodu. W tej sytuacji postanowiono zawieźć mnie nazajutrz traktorem do stacji Paczkowo, skąd pociągiem do Poznania była niespełna godzina drogi.

Zbliżał się wieczór. Ojciec przyniósł kanister z ropą, postawił w sieni. Może nie trzeba będzie jechać i nastąpi jakiś cudowny odwrót choroby... Niestety, w nocy gorączka zaczęła zbliżać się do 41 stopni C. Zamierzano już posyłać po księdza. Rozpacz i bezradność!

Wtedy dziadek poradził, żeby zawołać wdowę po niedawno zmarłym od ran wojennych pułkowniku, który w sąsiedztwie otrzymał jako repatriant poniemieckie gospodarstwo. Starsza pani często pomagała ludziom w ich kłopotach ze zdrowiem. Gdy przyszła, byłem nieprzytomny, umierający.

– Ma pan ropę naftową, panie Kazimierzu? – zapytała.

– Mam, do traktora, taką gęstą! – odpowiedział tata.

– Proszę natychmiast ją tu przynieść, trzeba chłopca natrzeć i owinąć w prześcieradła i koce. Szybko! Proszę mi pomóc! – zarządziła.

Po chwili nacierała mnie intensywnie, szczególnie plecy i piersi. Następnie dodatkowo pokryła całe ciało gęstą warstwą ropy. Owinęła mnie w prześcieradła i koce.

– Teraz trzeba czekać, gorączka powinna ustąpić w ciągu godziny, a może i wcześniej. Często ludzie z moich stron, a pochodzę z Drohobycza, tak się naftą leczyli, miejmy nadzieję, że i teraz pomoże. Ale na wszelki wypadek proszę wziąć moją bryczkę i jechać po lekarza do Swarzędza – poradziła doświadczona sąsiadka.

– A jeśli gorączka nie ustąpi, a jeśli... – zaczęła wątpić mama.

– Pani Tosiu, co pani wymyśla, przecież jest po wojnie, ludzie tak łatwo nie umierają. Polska potrzebuje zdrowych dzieci. Wszystko będzie dobrze, posiedzę z wami przy chorym chłopcu.

Nad ranem przywieziono lekarza, po temperaturze nie było śladu. Kilka dni później poszedłem do szkoły.

Z mojego powrotu do zdrowia cieszył się także „nasz” 60-letni Niemiec. W czasie wojny był burmistrzem bodajże Gorzowa Wielkopolskiego. Gdy Hitler-

rowi brakowało ludzi, do wojska mobilizowano wszystkich, którzy mogliby się do czegośkolwiek przydać. Wilhelm był w wermachcie woźnicą. Wpadł w ręce polskich żołnierzy. Nie chciano go trzymać w obozie. Trafił jako jeńiec do naszego gospodarstwa. Mówił po polsku, często rozmawialiśmy i czytaliśmy te same książki, które wypożyczałem w szkolnej lub gromadzkiej bibliotece. Polecił mi *Damę Pikową*, *Historię o prawdziwym człowieku*, grecką *Odyseję*. Dużo mu zawdzięczam. Stał się prawie członkiem rodziny, uczestniczył w naszych radościach i kłopotach. Dzielił się z nami opłatkiem. Życzyliśmy mu wtedy szybkiego powrotu do domu. Nie wiedział, gdzie będzie teraz jego dom, przecież nie w Gorzowie Wielkopolskim... Wkrótce wyjechał do Republiki Federalnej Niemiec. Raz się odezwał zza żelaznej kurtyny. Prosił o świadectwo pracy w naszym gospodarstwie. Pisał, że tęskni za nami, że jest ciężko chory, ale wierzy, że kiedyś znowu się spotkamy. Serdecznie wspominał dziadka Michała, z którym lubił wypijać po pracy ćwiarteczkę samogonu, sznapsa, jak mówili. Sami konstruowali małą aparaturę na własne potrzeby.

Pewnego dnia zimą dziadek Michał nie zważając na swoje permanentne przeziębienie, poszedł wybierać z zalanej wodą piwnicy buraki dla krów. To poskutkowało nieszczęściem. Zachorował na ostre obustronne zapalenie płuc. Umarł w 1946 roku. Został pochowany na cmentarzu parafialnym w Uzarzewie. Na drewnianym krzyżu tata przybił mój zdobyczny krucyfiks z Bytomią...

Na przełomie lat 1945–1946, po zwycięskiej bitwie o Berlin, koleją żelazną i drogą wracały przez Paczkowo wojska radzieckie. Niektóre jednostki lokowały się na krótki postój w okolicznych wioskach.

Któregoś dnia w Sarbinowie zatrzymała się grupa czołgistów, prowadzących swoje pojazdy [*samoходnyje puszki*] wraz z dowódcą w randze majora. Mieszkał w naszym domu, gdzie wydzieliliśmy mu osobny pokój. Wieczorami bywało gwarnie i wesoło. Adam grał na akordeonie (dostał go od Rosjan jeszcze w Legnicy), tata na harmonijce ustnej, ja waliłem w bęben skonstruowany przez brata. Mama i ciocia Zosia śpiewały. Dziadek z Wilhelmem wypijali do Rosjan i odwrotnie. Do towarzystwa dołączali sąsiedzi: Wesołowski, Biernacki, Broński, sołtys Radziejewski i inni. Mówiło się po niemiecku i rosyjsku – rodowici mieszkańcy Sarbinowa usiłowali uczyć się tego języka. Wynikały stąd różne komiczne sytuacje.

Kiedyś wracaliśmy z Rosjanami z udanego polowania na zające.

– O, *wiżu, szto wy pojмали zajajca* [ros., Widzę, że pan złapał za jaja] – powiedział z zachwytem pan Wesołowski, widząc zająca w ręku lejtnanta.

Śmiechu było co niemiara – pan Wesołowski nie opanował w dostatecznym stopniu subtelności języka rosyjskiego. (Powinien był powiedzieć: *pojмали zajca* [ros., złapał zająca]).

Polowania te przebiegały w oryginalny sposób. Brat i ja, niosąc na ramionach automaty, co sprawiało nam dużą radość (byliśmy z nimi oswojeni, bo

jeszcze w Dubnie na gliniankach strzelaliśmy z takiej zdobycznej broni), prowadziliśmy czerwonoarmistów na nasze pole. Żołnierze strzelali do zające, które wyskakiwały spod nóg. Jeśli dojrzeliliśmy zające z dużej odległości (w lutym, na śniegu, dobrze były widoczne kopulujące szaraki), wówczas „myśliwy” kładł na moim prawym ramieniu ręczny karabin maszynowy i posyłał krótkie, często skuteczne serie. Po tym przez jakiś czas byłem lekko głuchy, a kurtka z niemieckiego szynelu była osmolona.

Do smakowitej zajęczej zakąski nierzadko brakowało samogonu. Wiedziałem, wszyscy wiedzieli, gdzie można go było kupić. Czołgiści zabierali mnie do swojego pojazdu i jechaliśmy na skróty przez pola, do wsi Puszczykowo, gdzie przez wizjer wskazywałem odpowiednią chatę. Ponieważ kierowcy nie zawsze byli trzeźwi – właściwie chodziło o to, by nigdy nie trzeźwieć – to wjazd czołgiem przez bramę na podwórze nie zawsze się udawał. Jeszcze w latach 60., kiedy odwiedzałem Sarbinowo (przez tę wieś, a głównie przez nasze dawne pole, które kiedyś orałem i na którym pomagałem polować na zające, przechodził rurociąg „Przyjaźń” z ropą naftową), z wielkim wzruszeniem oglądałem naszą uszkodzoną bramę. Ile wspaniałych wspomnień!

Chociaż nie zawsze takie były... Przypominam sobie następujące wydarzenie. Ktoś zauważył, że dwaj radzieccy żołnierze okradają naszych sąsiadów. Zaalarmowano majora stacjonującego u nas w domu. Oficer pobiegł we wskazanym kierunku, my za nim. Tamci dwaj zobaczyli nas w chwili, gdy zarzucali sobie powiązane toboły na plecy, a okradzeni stali pod domem z podniesionymi rękoma. Złodzieje zostawili wszystko i zaczęli uciekać. Oficer zdołał ich zatrzymać, strzelając w powietrze. Ustawił pod stodołą. Mówił im coś o hańbie, o wstydzie, o rodzicach, którzy gdzieś tam czekają. Po czym uniósł rewolwer i... obu zastrzelił.

Wiosną 1946 roku, po raz pierwszy w swoim 13-letnim życiu poczułem się w pełni dorosły. Stało się to w dniu, kiedy ojciec zabrał mnie w pole pod Puszczykowem i nauczył orać dwuskibowym pługiem ciągniętym przez dwa kare unrowskie konie. Od tej pory chodziłem za pługiem przez wiele godzin, trzymając mocno lejce i bat, chyba tylko od parady, bo konie były posłuszne i umiały samodzielnie nawracać i ustawiać się prawidłowo w brzdzie. Szły równo, pilnowałem tylko, by pług nie wyskoczył z rowka na jakimś kamieniu. W ornej ziemi co chwila migały poprzecinane ciała myszy, których norki znalazły się na drodze ostrza pługu. Widok ten zapadł w moją pamięć do tego stopnia, że przez wiele lat miewałem sny, w których widziałem niezliczone odwalające się skiby i małe gryzonie porozcinane lemieszem.

Adam, w tym czasie 16-letni, nie chodził za pługiem. Chorował na gruźlicę kości nóg, z miejsc powyżej kolan sączyła się ropa. Stan zdrowia brata pogorszył się do tego stopnia, że musiał zostać przewieziony do szpitala w Poznaniu. Przed wyjazdem tata i mama zrobili sobie z nim zdjęcie. Do fotografii tata włożył swój



...tata i mama zrobili sobie z nim zdjęcie

kolejarski mundur, który przywieźliśmy z Dubna do Legnicy, a teraz do Sarbinowa. Rodzice później przyznali się, że byli tak przerażeni stanem zdrowia Adama, że postanowili zrobić sobie ostatnie, jak sądzili, zdjęcie z synem. W trakcie jego pobytu w szpitalu nadeszła wiadomość, że został przyjęty do Technikum Budowlanego. Niestety, nie mógł podjąć nauki, choroba pokrzyżowała jego plany. Szkoda, bo był bardzo zdolny: hydraulika, elektryka, mechanika czy elektronika nie stanowiły dla niego żadnego problemu. Zajmował się też pszczelarstwem i ogrodnictwem. Później, już w Miastku, gdzie zamieszkaliśmy, Adam pracując w szpitalu jako konserwator urządzeń techniki medycznej, był niezastąpiony do tego stopnia, że ordynator niemal każdego roku osobiście przeprowadzał mu operacje chorych nóg, niezbędne, by mógł on dalej funkcjonować.

Jeszcze w Sarbinowie tata stał się znany na całą okolicę ze swoich umiejętności. Przyjeżdżali po niego jak po lekarza z prośbą o pomoc zewsząd, gdziekolwiek zaistniał jakiś problem ze żniwiarką, młockarnią czy traktorem. Tata jechał wtedy z Adamem i wszystko naprawiali, nie biorąc za swą pracę żadnego wynagrodzenia, czemu nie mogli się nadziwić tamtejsi ludzie. Nie rozumieli tych ze wschodu, dla których najważniejsze były honor, satysfakcja i przyjaźń.

Na jakiś czas działalności tej trzeba było jednak zaprzestać, ponieważ honor i przyjaźń okazały się niezbyt ważne dla parobka zatrudnionego w naszym gospodarstwie: pewnej nocy zniknął na zawsze ze wszystkimi najlepszymi narzędziami ślusarsko-mechanicznymi – prezentem od dowództwa dywizji, wręczonym tacie, gdy rozwiązywano pluton techniczny, którym dowodził. Rozpacz była wielka. Złodziej wykazał się niezwykle sprytem, musiał działać w zmo-owie, ponieważ wywiezienie tych narzędzi naraz przekraczało możliwości jednego człowieka.

W następnym roku moja mama chrzestna wraz z Zosią wyjechały na zawsze do Warszawy. Pożegnanie było bardzo serdeczne i wzruszające. Zamknął się ważny okres, zarówno dla naszej rodziny, jak i dla nas, dzieci: Zosi, Adama i mnie.

## Gruszki

– Synu, stryjek Felek z Warszawy odpisał na list mamy. Zgadza się, żebyś tam pojechał i uczył się u niego ślusarki – powoli docierały do mnie słowa ojca, wypowiedziane pewnego dnia przy obiedzie, kiedy mieszkaliśmy jeszcze w Sarbinowie.

– Przecież nie skończyłem jeszcze siedmiu klas – odezwałem się cicho.

– Tak, ale wiesz przecież, że w Paczkowie nie ma klasy siódmej, musiałbyś dojeżdżać do Swarzędza – mama na to.

Wiedziałem, że byłby to ogromny wysiłek dla mnie i dla rodziców. Trzeba by wstawać o piątej rano, iść 3 kilometry do stacji Paczkowo, następnie jechać pociągiem do Swarzędza i, by dotrzeć do tamtejszej Szkoły Podstawowej nr 1 przy ul. Szkolnej, iść jeszcze kolejne 2 kilometry ze stacji kolejowej. Powrót tą samą drogą, tuż przed wieczorem.

Nie miałem wyboru, musiałem się zgodzić, tym bardziej, że zdawałem sobie sprawę z tego, że stryjek nie będzie żądał od moich rodziców żadnych opłat, chociażby dlatego, że każdego roku, w okresie wakacji, do Sarbinowa przyjeżdżała stryjenka ze służącą i swoimi dziećmi, Wiesławą i Markiem.

W Sarbinowie było w tym czasie dwanaście gęb do wyżywienia. Będzie wszystkim łzej, pomyślałem sobie.

– Kiedy jadę? Gdzie będę mieszkał? – zapytałem cicho.

– Wyjedziesz pojutrze. Na razie zamieszkasz u stryjostwa przy ulicy Waliców. Będziemy im posyłać paczki żywnościowe – powiedziała mama, ukradkiem ocierając łzy.

Cieszyłem się na myśl o tym, że samodzielnie pojadę do Warszawy.

Jeszcze tego samego dnia Adam dopompuwał koła rowerowe i wyruszyliśmy (ja na ramie) do Paczkowa, aby kupić bilet 3. klasy na poranny pociąg. Wracając, wstąpiliśmy do kierownika szkoły, by pomógł nam ułożyć telegram, który miał informować stryjka o terminie mojego przyjazdu na Dworzec Główny w stolicy. Nauczyciel podziękował nam za słoiczek miodu z naszej pasieki, a my jemu za redakcję telegramu. Wysłaliśmy go na tamtejszej poczcie, i już nie było odwrotu od podróży, której skutkiem – po trzech latach – miał być mój egzamin czeladniczy na ślusarza.

Następny dzień upłynął pod znakiem przygotowań do wyjazdu. Myślałem o tym, że będzie mi ciężko opuścić wszystkich moich bliskich: dziadków, rodziców, brata, a nade wszystko babcię Marię, którą kochałem najmocniej. Jeszcze poprzedniego dnia wieczorem pożegnałem się z kolegami i zwierzętami, a szczególnie z ukochaną karą kobyłą z białą gwiazdką na czole. Wówczas nie mogłem wiedzieć, że już za sześć lat będzie ona ciągnąć wóz, na którym moja żona pojedzie do szpitala w Miastku, by urodzić naszą córeczkę Elżbietę.

Na razie siedzę w ogrodzie pełnym goździków, bukszpanów, tuj, choinek, morw i krzewów winogronowych. Żał mi opuścić to dzieło dziadka Piotra, botanika. Już nie będę zrywał liści z drzew morwowych ani nosił ich na strych, gdzie żarłoczne jedwabniki w lot je pochłaniały. Lubilem przypatrywać się, gdy tata z dziadkiem Piotrem pracowali przy dwudziestu pięciu ulach, a mama z ciotką Zosią układały w pęczki narcyzy, by nazajutrz zawieźć je na targ do Swarzędza. Nade mną lata stado gołębi, rozrywka mojego taty. Za żywopłotem słysząc gęganie, gdakanie, kwakanie, charakterystyczne głosy perliczek. Przywódcą tego różnorodnego stada jest kogut-bandyta, który trzy lata później skutecznie przegnał z podwórza komendanta MO, krótko po tym zaś musiał się pożegnać z ży-

ciem, ponieważ pobił do krwi mamę. Ze wszystkim tym musiałem się rozstać, być może na długo.

Noc przespałem niespokojnie. Mama nie musiała mnie budzić, wstałem o 4.30. Po śniadaniu tata zawiózł mnie na stację bryczką zaprzęgniętą w dwa konie. Na pożegnanie dał mi trochę pieniędzy wraz z małym pugilaresem w kształcie podkówki.

– O, tutaj, do języczka do otwierania przyczepiłem ci miniaturkę, zdobyczny mały posążek Buddy. Był przy mnie całą wojnę i szczęśliwie wróciłem, teraz przyniesie tobie szczęście, będzie chronił ciebie i twoje pieniądze – powiedział tata.

Pocałował mnie. Oczy mu się zaszkliły. Odwrócił się i odszedł. Pociąg ruszył, z okna widziałem, jak pomachał mi jeszcze ręką. Może pomyślał wtedy, że w 1927 roku właśnie w Warszawie obronił mistrzowski dyplom ślusarza... Czy uda mi się powtórzyć sukces ojca?

W pociągu zasnąłem. Spałem mocno. Przebudzenie było bolesne – stwierdziłem, że mój portfel wraz z pieniędzmi zniknęły. Obszukałem cały przedział, wszystko na nic. Okradziono mnie. Być może Budda nie chciał brać odpowiedzialności za moje ślusarstwo, którą obarczył go mój tata. Być może wiedział, że nie będzie ze mnie żaden ślusarz. Ja jednak jeszcze tego wówczas nie byłem świadomy.

Kierownik szkoły, który pozwolił mi wyjechać przed zakończeniem roku szkolnego, pod koniec maja, świadectwo ukończenia przeze mnie szóstej klasy zawiózł rodzicom do Sarbinowa. Przy tej okazji namawiał ich, bym wrócił jednak uczyć się w siódmej klasie w Swarzędzu.

– Ma prawie 15 lat. Czas, by pomyślał już samodzielnie o swojej przyszłości. I tak niech już zostanie – usłyszał od rodziców mój nauczyciel.

Na szczęście nie ukradziono mi odrapanej walizki, w której miałem czarny, wypieczony przez mamę chleb z mielonymi kotletami, zrobionymi przez babcię Marię. Zjadłem kanapki, popiłem zimną herbatą z butelki po oranżadzie, i z coraz większym podnieceniem oczekiwałem spotkania z Warszawą.

Pociąg wjechał na przedwojenny dworzec towarowy. Dworzec pasażerski był kompletnie zniszczony na skutek bombardowania.

Stryjek przywitał się ze mną niezbyt wylewnie. Szedł pierwszy, wyraźnie się śpiesząc. Prawie biegłem za nim. Podeszliśmy do pięknego samochodu. Był to fiat kabriolet. Usadowiłem się obok stryjka, który zasiadł za kierownicą. Jadąc w eleganckim aucie, zastanawiałem się nad tym, jak to jest możliwe, że można mieć taki samochód tylko dla siebie. Nie byłem wówczas w stanie tego pojąć. Nie rozumiałem procesów, które powodują, że jeden ma wszystko, a inny żyje w nędzy. Wiedziałem tylko, że mi się to nie podoba. Po drodze obserwowałem Warszawę leżącą w gruzach. Minęły zaledwie trzy lata od zakończenia wojny.

Stryjstwo mieszkali w zbombardowanym domu na czwartym piętrze, na które wchodziło się wypaloną klatką schodową sąsiedniego budynku i następnie, po czterech deskach bez poręczy, przechodziło się do właściwego mieszkania.

Po obiedzie, a może to była kolacja, stryjenka wskazała mi kąt w dużej kuchni.

– Dam ci materac, wieczorem na podłodze będziesz robił sobie posłanie, innego miejsca nie mamy – powiedziała.

Przestrzegła jednocześnie, abym przypadkiem na siłę nie próbował otwierać drzwi obok, gdzie kiedyś był duży pokój, a teraz jest tam przepaść.

Rano miałem obowiązek wstawać przed szóstą. Musiałem sprzątnąć posłanie i przygotować sobie śniadanie. Stryjek jechał do swojej fabryki pilników na Solcu, a stryjenka szła do pracy w szpitalu, gdzie była szefową personelu pielęgniarskiego.

Pierwszy dzień spędziłem samotnie w kuchni, czekając na stryjka, który wróciwszy wieczorem, powiedział, że będę uczył się nie w jego fabryce pilników marki „Konik”, ale w warsztacie mechanicznym na Pradze u jego znajomego, pana Myśliwca, który ma niedługo podjąć ostateczną decyzję w tej sprawie. Nawiasem mówiąc, stryjek nie miał wtedy głowy do mnie, o czym dowiedziałem się wiele lat później. Otóż w tamtym czasie mówiło się, że w ramach nacjonalizacji „Konik” zostanie mu odebrany. I tak się stało. W swoim zakładzie z właściciela stał się kierownikiem. Nadal czuł się jak na swoim, pracował solidnie i uczciwie.

Tymczasem siedziałem w kuchni na czwartym piętrze nad urwiskiem, jak majtek w bocianim gnieździe. Tyle, że zamiast błękitu wody widziałem na horyzoncie nieprzebrane morze gruzów.

Wreszcie zostałem przedstawiony panu Myśliwcowi, który od razu przekazał mnie pod opiekę mistrza Frędzla. Ten kazał mi odwozić taczka na nieodległe złomowisko wióry metalowe. Tak upłynął pierwszy dzień mojej nauki. Pracowałem ofiarnie, byłem zmęczony. Dodatkowo nie mało strachu i emocji dostarczył mi samodzielny powrót na Waliców. Musiałem zdać test sprawnościowy polegający na balansowaniu na stopniach zatłoczonego tramwaju w charakterze wiszącego winogrona, jak również na jeździe na zderzaku wagonu.

Następnego dnia mistrz Frędzel dał mi zbyt obszerne ubranie robocze z kieszeniami naszytymi poniżej kolan („Rękawy i nogawki sobie pozawijaj” – powiedział), zaprowadził do niewielkiego pomieszczenia skleconego z blachy falistej i wskazał maszynę do cięcia metalu. Nauczył, jak kłaść okrągły metalowy kłoc na prowadnicy, wymierzać odcinek określonej długości, ustawiać pilę i włączać ją odpowiednim przyciskiem. W trakcie cięcia należało pilnować, by na pilę równomiernie spływała biała ciecz (co to było?), która zapobiegała zatarciu się urządzenia. Zależnie od szerokości i grubości ciętego klocka, operacja taka mogła trwać od 15 do 50 minut. Na koniec dnia wszystkie ucięte klocki należało załadować na taczki i zawieźć do odległego o 2 kilometry innego warsztatu.

Często w ciągnięciu lub pchaniu taczki pomagała mi Danka, nieco starsza ode mnie uczennica.

W tym czasie stale byłem głodny. Pracując nocą, zabijałem głód czytaniem książek. Udało mi się to szczególnie wtedy, gdy ciąłem grube kęsy metalu. Przeczytałem wówczas jakiś sentymentalny romans *Biała dama czarnego jeziora*, *Ostatniego Mohikanina* i antysowiecką powieść szpiegowską *Gaz 35*. Skąd je wytrzasnąłem?

Przed moim barakiem z blachy falistej rosła grusza, a na niej, jak wypatrzyłem, dojrzewały zaledwie trzy gruszki. Przysłoniłem je jeszcze bardziej liśćmi i marzyłem o momencie, kiedy za kilkanaście dni zerwę je i zjem. Nie doczekałem tej chwili. Ktoś mnie ubiegł! Życzyłem mu w duchu, by dostał skrętu kiszek. Tymczasem moje kiszkę grały marsza, upominając się o jedzenie.

Pewnego ranka po pracy załadowałem klocki na taczka, zwołałem Dankę i powieźliśmy razem metalowe krążki. Po drodze opowiedziałem jej o swoim gruszkowym dramacie i o tym, że mam wyrzuty sumienia, bo źle życzyłem amatorowi moich owoców. Danka nagle gwałtownie się zatrzymała i aż usiadła ze śmiechu.

– To ja zjadłam te gruszki! – wykrzyknęła, wciąż się śmiejąc.

Widząc, że jestem mocno speszony, uspokoiła się wreszcie.

– Nie martw się, najemy się dzisiaj owoców, nauczę cię kraść ze straganów – powiedziała.

Szkolenie nie trwało długo, byłem pojętnym uczniem. Po oddaniu klocków za pokwitowaniem, poszliśmy w kierunku straganów z owocami. Stawałem z taczka blisko straganu i kiedy Danka zagadywała handlarke, ja niepostrzeżenie zgarniałem gruszkę bądź jabłko do jednej z kieszeni roboczego ubrania. Doskonaliśmy ten proceder i odtąd już nie co dzień odczuwałem głód.

Co jakiś czas pan Frędzel zbierał uczniów przy swoim warsztacie, by omówić postępy w nauce. Raz, w trakcie takiego zebrania, wyjąłem z gazety mój chleb z masłem, usiadłem na warsztacie pokrytym grubą blachą, oparłem łokieć o imadło i zacząłem jeść. Nawet się nie spostrzegłem, kiedy znalazłem się na ziemi, uderzony w twarz twardą ręką mistrza Frędzla.

– Nie będziesz mi, gówniarzu, dupą profanował mojego miejsca pracy! Trzydzieści lat tu przepracowałem, dzięki niemu wykarmiłem rodzinę, a ty tutaj siadasz! – krzyczał pan Frędzel.

Tak pobrałem pierwszą naukę szacunku dla pracy. Wstydiłem się jednak, że jakoś nie odczuwałem go w stosunku do zawodu, który kiedyś miał mi dać chleb.

Zbliżał się koniec sierpnia. Mama pisała, że u Adama postępuje gruźlica kości, że nie ma kto pomagać w gospodarstwie. Przydzielony jeniec, pan Wilhelm wyjechał do Niemiec, a służąca zatrudniła się w swarzędzkiej fabryce mebli. Mama wspomniała także, że kierownik szkoły mimo wszystko zapisał mnie do 7. klasy w szkole w Swarzędzu i radzi, żebym wrócił.

Przez te kilka miesięcy głównie pilnowałem maszyny. Wiele się nie nauczyłem. Miałem też dość spania na podłodze. Postanowiłem wrócić. Poprosiłem stryja, aby odebrał moje pieniądze zarobione w ostatnim miesiącu i w zamian dał mi na bilet do domu. Stryjek wręczył mi czek i wysłał mnie do Banku PKO przy ulicy Sienkiewicza. Zostałem poinstruowany, jak mam się tam zachować i w którym okienku załatwić sprawę. Zrobiłem, jak kazał, ale do ostatniej chwili nie wierzyłem, że w zamian za kawałek papieru dostanę pieniądze. To było nowe doświadczenie – nie miałem pojęcia, jak one się tam znalazły.

Wracając na Waliców po walizeczkę, przechodziłem obok ocalałego hotelu „Polonia”. W restauracji siedzieli ludzie, którym inni, w białych marynarkach, podawali talerze z jedzeniem. Z nosem przywartym do szyby, nie mogłem się nadziwić, jak to możliwe, żeby ludzie, nieraz starsi, usługiwali innym, i jeszcze cały czas im się kłaniali. To przecież poniżające i niesprawiedliwe, myślałem.

Wróciłem do Sarbinowa, było po żniwach, brat leżał w szpitalu w Poznaniu. Poszedłem przywitać się z ukochaną kobyłką.

Pierwszego września 1948 roku rozpocząłem naukę w 7. klasie.

## Dają i odbierają

Mam 13 lat. W czerwcu 1946 roku we wsi i w świetlicy trwają wielkie przygotowania do głosowania ludowego, pierwszego po wojnie referendum w sprawie ładu ustrojowego Polski, w której wciąż trwa wojna domowa. Podziemie antykomunistyczne, przeciwne nowej władzy, toczy ostrą walkę. W całej Polsce w ciągu kilku pierwszych lat powojennych, jak wykazują badania historyków, „sympatycy AK” zamordowali około 15 000 osób, w tym 6000 zabito kijami, siekierami, zakłuto bagnietami, spalono żywcem i powieszono. Teraz, 30 czerwca 1946 roku Polacy mieli zdecydować w sprawie zniesienia senatu, utrwaleń reformy gospodarczej i nacjonalizacji oraz granicy na Odrze i Nysie.

Atywnie uczestniczyłem w przygotowaniach do głosowania: pomagałem ustawiać stoły, zamiatać pomieszczenia, zawieszać hasło „3 × TAK”. Interesowałem się wszystkim. Nie rozumiałem jednak, dlaczego na płocie u pana sołtysa Radziejewskiego, u którego zdeponowano referendalne materiały propagandowe pojawiły się napisy ostrzegające przed tyfusem i cholerą, która opanowała rodzinę sołtysa. Dziwiłem się tym bardziej, że Benek i Henia, jego dzieci, z którymi się przyjaźniłem byli zdrowi i weseli. Mój tata otrzymał z gminy polecenie, by opróżnić i pobielić piwnicę. Okazało się, że w przeddzień referendum jacyś

panowie w cywilu, późno w nocy przywieźli kilku ludzi z sąsiedniej wsi i tam ich zamknęli. Wypuszczono ich na drugi dzień po głosowaniu. Mówiono, że byli to przeciwnicy „3 × TAK” i chcieli wrzucać do urny „5 × NIE”. Nie wiedziałem, o co chodzi, ale wszyscy mówili, że to byli bogacze, a oni zawsze są przeciwko szczęściu ludzi biednych. Wszystko więc było w porządku. Głosowanie ludowe było zwycięskie. Dziś wiadomo, że jego wyniki były sfałszowane.

Sarbinowo to był czas mojego dojrzewania, małych porażek, sukcesów i radości. Dziadek Michał już nie żył. Przyjechał dziadek Piotr, ojciec taty. Był botanikiem. Mimo zaawansowanej cukrzycy, założył pasiekę i inspekty ogrodnicze. Zaczęliśmy hodować narcyzy i inne kwiaty. Dziadek odnowił zaniedbaną uprawę szparagów. Powstał mały park: tuje, choinki; alejki wysadzono bukszpanem, pnąca się po ścianach domu winorośl częstowała nas jesienią swoimi owocami. Morwy rosnące dookoła ogrodu i sadu dostarczały liści dla jedwabników hodowanych na rozległym strychu. Co ja się tych liści naobrywałem, po nocach mi się śniły! Kokony wysyłałiśmy do fabryki jedwabiu w Milanówku.

Ciocia Zosia wyszła za mąż za wdowca, pana Pochecia i wyjechała do Szczecina. Adam nadal chorował. Wiele obowiązków gospodarskich spadło na mnie. Umiałem orać, obsługiwać sнопowiązkę, układać sterty zboża lub słomy, rozsiewać nawozy sztuczne, wypompowywać ze zbiorników gnojownicę i wywozić ją w kufach na pola. Za pomocą specjalnego pługa wykopywałem buraki cukrowe, uprzednio je ogławiając. To chyba była najbardziej nie lubiana przeze mnie robota. Po pracy w polu musiałem jechać jeszcze po „zielone” dla krów i koni. W gospodarstwie było kilkanaście krów, dwa konie, trzydzieści świń, kilkadziesiąt kur, kaczek, gęsi, perliczek, gołębi i królików. Mieliliśmy własną piekarnię, w workach leżał przywożony z cukrowni własny cukier, a w specjalnym pomieszczeniu fermentowało w butlach wino z żyta, sporządzone według maminej receptury.

– Kaziu, Kaziu! Zobacz, co się dzieje z naszymi kaczkami! Patrz, pochorowały się, trzeba jechać po weterynarza! Ratuj je! – pewnego dnia dobiegł nas z podwórka zatrwożony głos mamy.

Wszyscy biegniemy na podwórze! Rzeczywiście, kaczki leżą pokotem do góry nogami i machają nimi niezbornie. Niektóre co kilka kroków padają, podnoszą się i znowu bęc na ziemię. Inne biegną na oślep i walą głową o mur obory, wyracając się. Jednym słowem pobojojwisko, a jednocześnie bardzo śmieszny widok. Ni to śmiać się ni płakać.

– Tosiu, a co ty im nasypałaś do tego korytka? – zapytał nagle tata.

– Jak to co, żyta, przecież widzisz! – mama na to.

– A co ono takie rozmokłe i dziwnie pachnie? – draży tata.

– Odcodziłam wino, a żyto dałam do koryta. O Boże! – uświadomiła sobie nagle. – To ja je upiłam?!

Śmiechu było co niemiara, przybiegli sąsiedzi, nikt przecież w życiu nie widział pijanych kaczek. Przez wiele dni wieś bawiła się opowiadaniem o tym, jak

pani Strońska upiła kaczkę, kury i gołębie, które dały niezwykle pokaz lotów koszących, koziołkujących, fałujących i pikujących.

W maju, po modlitwach i śpiewach pod krzyżem w niedzielę, za stodołą pana Strekera, na podłodze zbitej z desek, odbywały się zabawy, nieraz dłużej niż do północy. Tańczono i śpiewano: „Płynie, płynie Oka”, „To jest Ameryka, to słynne USA”, „Czerwone maki na Monte Cassino”, „My młodzi, my młodzi, nam bimber nie zaszkodzi”, „My, pierwsza brygada”, „*Kalinka, malinka moja*”.

W wieku 15 lat zapisałem się do Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”. To była aktywna organizacja. Zajmowała się oświatą na wsi, organizowała zajęcia sportowe i zespoły taneczne (w jednym z nich tańczyłem) na doroczne dożynki. Pierwszym związkowym zadaniem, jakie wtedy otrzymałem był udział w sztuce, którą przygotowywało nasze „wiciowe” sarbinowskie koło. Zagrałem główną rolę w jednoaktowej farsie Marka Twaina w tłumaczeniu C. Danielewskiego pod tytułem „Niuniek ma hiszpankę”. Utwór nawiązywał do pandemii grypy zwanej hiszpanką, która przeszła przez Europę w latach 1918–1919 i pochłonęła około 20 milionów ofiar. Pomimo tragicznego tła, była to komedia. Na występy wyjeżdżaliśmy nawet do Swarzędza i Kostrzyna.

Zarząd koła wkrótce polecił mi zorganizowanie Ludowego Zespołu Sportowego. LZS szybko się rozwinął, mieliśmy sekcję zapaśniczą i piłki nożnej. Zapaśnikami opiekował się klub ze Swarzędza oraz słynny wówczas mistrz Polski i bodajże Europy, Sznajder. Kilka miesięcy trenowałem pod jego okiem. Mecze piłki nożnej rozgrywaliśmy między poszczególnymi wsiami. Kiedyś porwali się na mecz z Kostrzynem. Drużyna stamtąd przyjechała do Sarbinowa. Pani pułkownikowa, która nie tak dawno uratowała mi życie, udostępniła nam swoje pole. Wytyczyliśmy boisko, ja sędziowałem. Wygraliśmy 6 do 0! Kto wbił te gole? Grzesio Łyskawa, którego ściągnąłem aż z oficerskiej szkoły broni pancerniej z Poznania, świetny, choć bardzo niezdyscyplinowany, bokser i piłkarz. Za każdym razem po wbiciu gola podbiegał do mnie i pukając się pięścią w głowę na oczach widzów, wrzeszczał do, bądź co bądź, sędziego, podrywając mój autorytet:

– Ty durny palancie, jak ty sędziujesz, s... do mamy kury macać!

Na domiar złego, kostrzynianie po kilku dniach złożyli protest, twierdząc, że Grześ nie należy do naszej drużyny, a sędzia był stronnicy! Nie znam wyników tego odwołania. Działo się to w 1951 roku, kiedy przygotowywaliśmy się już do następnej wędrówki – emigracji wewnętrznej. Zanim to jednak nastąpiło, trzy lata wcześniej połączyły się organizacje młodzieżowe i powstał Związek Młodzieży Polskiej. Do koła ZMP wstępują parobcy i służące, młodzież bezrolna i wiejska biedota. Ksiądz proboszcz z Uzarzewa potępia powstanie ZMP. Zostaje skreślony z listy ministrantów. Poszukuję innych prawd. Intrygują mnie świadkowie Jehowy, bywam na ich zgromadzeniach, mówią do mnie „bracie”. Jednak nie stałem się jehowitą. Buntowałem się, moje skłonności lewicowe były

naturalnym odruchem. Zacząłem ujmować się za biednymi. Chciałem walczyć z pogardą dla człowieka, naprawiać świat.

Uczestniczę w życiu wsi i gromady, organizuję zebrania i imprezy sportowe. Koło ZMP, którego jestem przewodniczącym, bierze czynny udział w zwalczaniu stonki ziemniaczanej. Zetempowcy ze słóikami i butelkami w rękach, pochyleni nad rzędami liści ziemniaczanych zbierają „żuka z Kolorado”. Na dożynkach i gminnych imprezach tańczę w ludowym zespole tanecznym. Wszędzie mnie pełno, wszyscy się o mnie upominają, także Służba Polsce.

#### „ZAŚWIADCZENIE nr 35

Obywatel Stroński Ryszard syn Kazimierza i Tatiany urodzony 08.06.1933 zamieszkały Sarbinowo p. Poznań zgłosił się w dniu 02.08.1948. do spisu młodzieży, podlegającej Obowiązkowi przysposobienia zawodowego, wychowania fizycznego i przysposobienia Wojskowego młodzieży „Służba Polsce”.

Pieczęć owalna z godłem i napisem: Zarząd Gminy Swarzędz powiat Poznański. Podpisał przełożony gminy W. Pawlak”.

Aktywnie angażowałem się w tworzenie nowej rzeczywistości. Działalem w ZWM „Wici”, ZMP, Służbie Polsce spontanicznie, autentycznie i naturalnie. Byłem przecież częścią pokolenia, które uratowało się z wojny i długoletniej hitlerowskiej okupacji. Zniknął strach, byliśmy wolni i radośni. Przyszły nowe czasy i porwały mnie ze sobą. Wybrałem tych, którzy wybrali mnie. Podczas gminnej konferencji ZMP, w której uczestniczyło 100 delegatów z 11 osiedli i wsi, zostałem wybrany na przewodniczącego zarządu gminnego w Swarzędzu. Zarząd powiatowy przydzielił mi rower służbowy marki „Mewa”, który służył do pracy w tak zwanym terenie [pisownia oryginalna]:

„Związek Młodzieży Polskiej  
Zarząd Powiatowy  
W Poznaniu

Poznań 21 wrzesień 1951.

#### ZAŚWIADCZENIE

Związek Młodzieży Polskiej Zarząd Powiatowy w Poznaniu zaświadcza że kol. Stroński Ryszard pełniący funkcje przewodniczącego Gminnego posiada rower Służbowy Marki „Mewa” wydany przez Zarząd Powiatowy nie posiada książeczki rejestracyjnej.

Zaświadczenie to wydaje się celem przedłożenia władzom M.O.

Podpis: Przewod. Z.P. ZMP. Pawłowski Jerzy”.



Zarząd gminny otrzymał mały pokój, w którym pracowałem, 18-letni chłopak, oczywiście bez żadnego wynagrodzenia. Brałem udział w zmianach społecznych i politycznych zachodzących w Swarzędzu. Organizowałem nowe koła ZMP, tworzyłem świetlice, w których analfabeci, najczęściej parobczańska młodzież, uczyli się czytać i pisać.

Pewnego dnia wybierałem się rowerem na zebranie koła ZMP do nieodległego Łowęcina. Było dobrze po południu, kiedy w Sarbinowie pojawił się w swoim łażiku, w nowiutkim mundurze, młody komendant gminny MO. Przejeżdżając obok naszego gospodarstwa, zauważył mojego ojca palącego papierosa. Zatrzymał się gwałtownie, podszedł do niego i powiedział podniesionym głosem:

– Dlaczego palicie papierosa na terenie zabudowań, zgaście to natychmiast, to jest niedopuszczalne. Możesz tam, *chaziaju* [ros., gospodarzu], w twojej Rosji, ale nie tutaj!

Mój 50-letni tata niósł wiadro. Był w mundurze wojskowym, wyblakłym i zniszczonym, ale lubił w nim chodzić. W tym uniformie przeszedł cały szlak bojowy aż do Berlina. Dowodził plutonem remontowo-technicznym, który często pod ogniem na linii wroga naprawiał wozy bojowe, sprzęt artyleryjski i dobrze znane czołgi T-34. Tata był zahartowany w bojach, nie przstraszył się komendanta i jego chamskiej odzywki.

– Wypalę, to sam zgaśnie – mruknął pod nosem – i dalej robił swoje.

Wówczas milicjant dłonią wytrącił ojcu papierosa z ust i przydepnął go butem. Wszystko teraz potoczyło się błyskawicznie.

– Potrzyj wiadro, synu! – krzyknął ojciec.

Podbiegłem, chwyciłem wiadro pełne otrąb. Zanim je odstawiłem, ojciec powalił milicjanta w błoto, kopiąc go bez opamiętania. Ten usiłował wyrwać pistolet z kabury. Nadepnąłem mu na rękę. Brat wybiegł z domu o lasce, niosąc karabin. Odrzucił laskę i wymierzył w „pana władzę”, który widząc, co się dzieje, rzucił się do samochodu. W pogoń za komendantem ruszył nasz bojowy kogut, postrach całej wsi. Zdążył jeszcze wskoczyć mu na plecy, robiąc użytek z dzioba i ostróg.

Tata na pewno znalazłby się w kryminale, gdyby nie wstawiennictwo kolegi frontowego, partyjnego już wtedy, komendanta Wojewódzkiej Komendy Uzupelnień. Nie bez znaczenia był również fakt, że ojciec był ławnikiem sądu wojskowego. Jednak konsekwencje zajścia z milicjantem dotknęły mnie. Na wniosek komitetu gminnego partii, zarząd powiatowy pozbawił mnie stanowiska i usunął z ZMP (którym właściwie rządziła partia). Kilka lat później, w 1957 roku Władysław Gomułka oświadczył: „ZMP popełnił w swej działalności błędy, za które większą winę ponosi PZPR”.

Nie chciałem pracować w gospodarstwie. Myślałem o wyrwaniu się w szeroki świat. Przedsiębiorstwo Maszyn Precyzyjnych w Poznaniu poszukiwało robot-

ników do pracy w filii magazynowej w Swarzędzu. Zgłosiłem się tam i zostałem przyjęty. Pracowałem jako pakmistrz maszyn i urządzeń. Podstawowymi moimi narzędziami były młotek, gwoździe, taśma stalowa, wióry i trociny. Szybko okazało się, że dyrektor naczelny ma w stosunku do mnie pewne plany.

– Wiecie, towarzyszu, wiem, że pełniście funkcję, to może jeszcze gdzieś was wezmą, ja wam pomogę, ale wy mi też pomóżcie – oznajmił kiedyś, wezwawszy mnie przed swoje oblicze.

– W jaki sposób mógłbym to zrobić? – zdziwiłem się.

– No, co jakiś czas opowiecie mi, co mówią robotnicy, jakie są nastroje i tak dalej. No, sami rozumiecie – padła odpowiedź.

Oczywiście, rozumiałem... Muszę stąd uciekać, i to szybko, on nie da mi spokoju, a szpiclem nigdy nie będę, pomyślałem sobie. Postanowiłem jednak jeszcze powalczyć z tymi, którzy tak szybko pozbyli się mnie z ZMP. Przy najbliższej okazji, ubrany w roboczą kufajkę i drewniane buty, na skrzyniach z towarem, pojechałem do Poznania. Po rozładunku, kolega, kierowca podwiózł mnie pod siedzibę Zarządu Wojewódzkiego. Myślałem, że nie dopuszczą mnie do przewodniczącego, a jeśli nawet, to i tak nie cofnie on decyzji swoich podwładnych. Myliłem się. Przyjął mnie, ugościł towarzysza robotnika, pakmistrza, herbatą, wysłuchał. Zareagował gwałtownie. Wezwał kierownika wydziału kadr, spytał, dlaczego nikt nie poinformował go o wydarzeniu z milicjantem i odwołaniu mnie ze Swarzędza.

– Dzieci nie powinny odpowiadać za winy rodziców – powiedział do swojego wystraszonego pracownika. – Proszę przygotować mi dokładną informację o tym zajściu i wezwać na jutro przewodniczącego zarządu powiatowego.

Ciekawe, pomyślałem sobie, jak to się skończy. Po kilku dniach zostałem wezwany do Poznania do Zarządu Wojewódzkiego. Poprosiłem szefa o dzień urlopu. Wróciłem z legitymacją i skierowaniem na kurs dla instruktorów zarządów powiatowych ZMP do Łodzi. Uwierzyłem w sprawiedliwość. Będę tak działał, aby być mądrym i sprawiedliwym, jak ten przewodniczący ZW ZMP, pomyślałem.

Jednak wiary w sprawiedliwość nie umacniała we mnie wówczas władza ludowa: w roku 1951 uznaje ona, że gospodarstwo nasze jest za duże jak na jedną rodzinę i trzeba nas rozkułaczyć. Ojciec, żołnierz, dowiaduje się, że jest kułakiem. Ja, działacz młodzieżowy ZMP, przeżywam powtórne rozczarowanie. Zaledwie cztery lata wcześniej, w listopadzie 1947 roku, Rzeczpospolita Polska wydała memu ojcu DOKUMENT NADANIA ZIEMI nr G 301/47 o następującej treści: „W wykonaniu Dekretu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z dnia 6 września 1944 roku o przeprowadzeniu reformy rolnej stwierdza się, że ob. Stroński Kazimierz urodzony dnia 04.03.1901 roku w Połonne (Rosja) otrzymał na własność nadział ziemi o obszarze 14,32,35 ha (słownie czternaście ha trzydzieści dwa ary 35 m<sup>2</sup>) ze stanowiącej własność Skarbu Pań-

stwa nieruchomości ziemskiej Sarbinowo [...] w Pobiedziskach [...]. Nadział ten uwidocznił się na planie parcel sporządzonym przez Starostwo Pow. Ref. Rol. i Ref. Rolnej [...]. Wraz z nadziałem ziemi zapisanej w księdze hip. Nr tom 2 k. 31 prowadzonej przy Sądzie Grodzkim w Pobiedziskach otrzymał na własność inwentarz martwy i budynki zgodnie z wykazem szacunkowym”.

Niedługo potem, w styczniu 1948 roku, Sekretariat Sądu Grodzkiego w Pobiedziskach zawiadamiał ojca: „Stosownie do zarządzenia Sądu Grodzkiego w Pobiedziskach z dnia 07.01.1948 r. zawiadamia się, że na wniosek Starosty Powiatowego Poznańskiego (Powiatowego Urzędu Ziemskiego) z dnia 01.12.1947 r. nr T 5/139/ Prz. działkę o powierzchni 14,32,35 ha wchodzącą dotąd w skład księgi wieczystej Sarbinowo tom 2 wykaz 31, na podstawie dokumentu nadania ziemi z dnia 19.11.1947 r. nr G 301/47 wykonanej decyzji w przedmiocie klasyfikacji i szacunku działki łącznie z oszacowaniem przydzielonego nabywcy inwentarza z dnia 28.05.1945 r. wpisanego w dniu 17.01.1948 r. jako nowego właściciela tej działki: Stroński Kazimierz – Sarbinowo”.

Tak właśnie Rzeczpospolita Polska daje: starannie i sprawiedliwie. Wszystko zgodnie z prawem. A jak odbiera? Tak samo sprawiedliwie! Znowu zgodnie z prawem, cały czas na podstawie odpowiednich dokumentów.

W listopadzie 1951 roku ojciec otrzymuje DOKUMENT NADANIA ZIEMI nr G 301/51 o treści: „W wykonaniu Dekretu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z dnia 6 września 1944 roku o przeprowadzeniu reformy rolnej stwierdza się, że ob. Stroński Kazimierz urodzony dnia 04.03.1901 w Połonne (ZSRR) otrzymał na własność nadział ziemi o obszarze 07,01,38 ha (słownie siedem ha jeden ar i 38 m<sup>2</sup>)”. Dalej, jak w poprzednim piśmie o nadaniu ziemi, z 1947 roku.

Ojciec sądząc, że to jakaś pomyłka, podjął walkę z socjalistyczną biurokracją. Ja byłem doradcą i jednocześnie balsamem na skołataną nerwy członków rodziny, którzy nie mogli wyobrazić sobie życia w podzielonym gospodarstwie, ogrodzie, domu, oborze, spotykaniu się przy jednej studni z narzuconym przez władzę sąsiadem. To, że ojciec był właścicielem, zgodnie z dokumentem nadania ziemi i decyzją Sądu Grodzkiego, przestało mieć jakiekolwiek znaczenie.

Wojewódzka Komisja Ziemska w Poznaniu postanawia „uchylić DOKUMENT NADANIA ZIEMI wydany ob. Strońskiemu Kazimierzowi dnia 19.11.1947 roku i uznać w/w za uprawnionego do otrzymania części zabudowań przedmiotowego gospodarstwa oraz ziemi w granicach norm obszarowych [...]”. Następnie decyduje, że „powierzchnia ziemi, którą użytkuje ob. Stroński przekracza obszar przewidziany zarządzeniem Min. Rol., gdyż ziemia jest 1 i 2 klasy szacunkowej, a budynki są podzielne, co ustalił mierniczy Bukowski i chłonność tego gospodarstwa jest duża, tak, że może pomieścić dwie liczne rodziny”. Zaznaczono w sekwencji orzeczenia, że decyzja jest ostateczna „w admi-

nistracyjnym toku instancji”. Starostwo Powiatowe w Poznaniu na podstawie orzeczenia Komisji Ziemskiej zawiadamia niejakiego Edmunda Frąckowiaka, że „dosiedla go do repatr. Strońskiego z prawem użytkowania: połowy obory (od bramy), stodoły oraz na przeciąg jednego roku jednego pokoju”.

– Nie załamujcie się, zaczniemy działać, napiszemy odwołanie do Warszawy, bo ONI na pewno nie wiedzą, co się tu na dole wyprawia – pocieszałem rodziców.

– Nie wierzę, że to cokolwiek pomoże. Co do nich napiszesz, kiedy? – powątpiewał tata.

– A choćby i teraz! Siadajmy, gdzie kałamarz? – byłem pełen zapału. – Napiszmy, że jeśli nasza Ludowa Ojczyzna, o którą walczyłeś, uznała, że jest niesprawiedliwe, by jeden miał dużo, a inny pozostawał biedny, to niech zabiorą połowę naszej ziemi przyległej do majątku państwowego Gwiazdowo, ale niech nie dewastują zabudowań i mieszkania przez ten głupi podział. I tak powstało pismo:

„GŁÓWNA KOMISJA ZIEMSKA przy  
MINISTERSTWIE ROLNICTWA  
I REFORM ROLNYCH w WARSZAWIE

Ja, niżej podpisany, rolnik [...], odwołuję się niniejszym od orzeczenia Wojewódzkiej Komisji Ziemskiej z dnia 25.11.1951 r. względnie proszę o zbadanie w trybie nadzoru służbowego poniższej sprawy [...]. W wyniku tego orzeczenia został podpisanemu dosiedlony ob. [...], przy czym podpisany miałby odstąpić w/w całą stodołę, pół obory i jeden pokój. Będąc przez takie załatwienie sprawy poszkodowanym, podpisany wnosi o pozostawienie mu całkowite zabudowań gospodarczych [...], ewentualnie przy równoczesnym pomniejszeniu obszaru roli na rzecz przyległego majątku państwowego w Gwiazdowie.

#### UZASADNIENIE

Podpisany, jako repatriant zza Bugu, gdzie pozostawił dom, otrzymał skierowanie PUR na osadę niemiecką w Sarbinowie, będąc uczestnikiem walk w armii polskiej przy boku armii sowieckiej, za co otrzymał liczne odznaczenia (za kampanię wojсковą 41–45 medal na wstążce, dalej medal za Warszawę, dalej medal za Odrę, Nysę i Bałtyk, dalej odznakę Grunwaldzką itd.).

Podpisany posiada liczną rodzinę, którą ma na utrzymaniu. Podpisany otrzymał dokument nadania ziemi [...]. Przez dosiedlenie na powyższe gospodarstwo [...], odebranie pół obory, całej stodoły i jednego pokoju, podpisany jest niesłusznie poszkodowanym, gdyż Edmund Frąckowiak wojskowym nigdy nie był, a wedle art. 10-go [...] o przeprowadzeniu reformy rolnej, podpisany jako wielokrotnie odznaczony wojskowy ma pierwszeństwo, a następnie nie mógłby

skutecznie gospodarzyć bez stodoły, co zrozumie każdy rolnik, podpisany musiałby zatem pobudować 2-gą stodołę, co mógłby uczynić jedynie w przypadku przydzielenia mu budulca [...]”.

Ministerstwo zareagowało na zażalenie dopiero w marcu 1952 roku, przysyłając zawiadomienie o tym, że, „[...] wobec braku podstaw do uchylenia lub do wznowienia POSTĘPOWANIA Z URZĘDU, [...] odwołanie jako niedopuszczalne należało pozostawić bez rozpoznania”.

Tymczasem ojciec zaprzysiął sobie, że nie wpuści nikogo, nawet na podwórze, zanim nie otrzyma odpowiedzi z Warszawy. Postanowił jednocześnie na prośbę mamy pojechać do Miastka, skąd wujek Janek Gocan, brat mamy, pisał, żeby dać sobie spokój z Sarbinowem. „Pozabijacie się z tym osiedleńcem na wspólnym podwórku. Przyjeźdź, Kaziu, coś znajdziemy, może nawet jakieś małe gospodarstwo, będzie nas większa rodzina, a i więcej tutaj jest wołyniaków, te pyry poznańskie przecież was tam nie cierpią”.

– A może, Tosiu, to rzeczywiście dobry pomysł... Nareszcie będziemy mieli spokój wśród swoich, a w razie czego wrócę do zawodu, jestem przecież ślusarzem i maszynistą – powiedział ojciec.

– Jedź, rozeznaj się. Jesteś choleryk, boję się, że jak zostaniesz tutaj, może się to źle skończyć – nalegała mama.

Ojciec wyjechał na kilka dni. W tym czasie towarzysze szybko powołali komisję złożoną z przedstawicieli urzędu wojewódzkiego, gminnego i powiatowego komitetów partii, MO i sołtysa Sarbinowa, i zjechali do Sarbinowa. Komisja „w obecności stron – Frąckowiaka Edmunda i w nieobecności ob. Strońskiego Kazimierza [tekst nieczytelny] – rodziny Gocanów, Zofii (szwagierka), Strońskich Adama i Ryszarda (synowie) dokonała komisyjnego dosiedlenia na gospodarstwo ob. Frąckowiaka Edmunda. Gospodarstwo przedm. obecnie w całości zajmował ob. Stroński, który to obiekt przy ustaleniu podziału zabudowań przy regulacji gromady został uznany za podzielny.

Po przyjeździe w/w komisji na miejsce w celu dokonania dosiedlenia ob. Frąckowiaka, brama wjazdowa do gospodarstwa była zamknięta, jak również te pokoje, które były przeznaczone dla w/w. Na wezwanie odemknięcia bramy i mieszkania, rodzina Strońskiego oświadczyła, że gospodarz Stroński Kazimierz zabrał klucze, jest nieobecny – wyjechał na zachód, tj. do powiatu szczecińskiego do miejscowości Miastko.

W związku z powyższą sytuacją został wezwany miejscowy kowal ob. Radziejewski, który odemknął bramę, a w tym czasie rodzina Strońskiego odemknęła zakluczone pokoje.

Po dokonaniu oględzin gospodarstwa i rozpołożenia domu mieszkalnego ustalono:

Że dla rodziny Strońskiego składającej się z 6 osób, pozostawiono dwa pokoje i obszerną kuchnię i całą stronę chlewa gdzie przedtem była spiżarnia,

parownik i łaźnia z oddzielnym wejściem na podwórze. Ob. Frąckowiakowi przydzielono 1 pokój i kuchnię, korytarz z frontowym wejściem. Rodzina jego składa się z 5 osób, tj. żony, dwoje nieletnich dzieci i brata żony. Oborę podzielono w ten sposób, że do czasu umieszczenia swego inwentarza i przerobienia części swego zabudowania przez ob. Strońskiego w terminie do dn. 01.05.1951 r. inwentarz obaj **wspólnicy** [podkreślenie R.S.] pomieszczą razem.

Stodoła podzielona w ten sposób, że stroną lewą tj. 1 sąsiek i bojowice zajmie ob. Frąckowiak, a prawą stroną stodoły tak samo 1 sąsiek i bojowice wraz z szopami [ojciec sam je pobudował – przyp. R.S.] zajmie dla pomieszczenia swoich zbiorów ob. Stroński.

Powyższy podział jest czasowy, bo faktyczny podział budynków jest już ustalony przez mierniczego i komisję, która szczegółowo opracowała podział zgodnie z obowiązującymi przepisami wymaganymi przy regulacji gospodarstw, tak, że jak zaznaczono wyżej gospodarstwo przedmiotowe stanowi dwa samodzielne obiekty gospodarstwa. Strona prawa z domem mieszkalnym przewidziana jest dla ob. Strońskiego, strona lewa ze stodołą dla ob. Frąckowiaka.

Powyższy protokół przeczytano i podpisano w obecności wszystkich w/w członków komisji i stron.

Rodzina Strońskiego odmówiła podpisu”.

Życie z obcymi „wspólnikami” pod jednym dachem stało się niemożliwe. Korzystaliśmy z tej samej studni, przeszkadzaliśmy sobie nawzajem w oborze podczas karmienia zwierząt, składaliśmy zboże w stodole ze świadomością, że już nie jest nasza, wchodziliśmy do mieszkania przez podwórze, bo wejście frontowe już nie należało do nas. Wspólne były silosy na kiszonkę i na obornik. Jak podzielić gnojowicę ze wspólnego oborowego szamba? Kto ma naprawiać dach? Kto opłacać kominiarza, kiedy przychodzi czyścić wspólny komin?

Czy ci członkowie komisji byli niespełna rozumu, czy też realizowali świadomie program partii? Odpowiedź nasuwała się sama. Nic tu po mnie, nic tu po nas!

Po kursie zetempowskim w Łodzi czekałem na wezwanie do pracy. Wkrótce zostałem skierowany do Zarządu Powiatowego ZMP w Międzychodzie. Rodzice wyglądali wiadomości z Miastka. Tamtejsze władze obiecały coś znaleźć. Zobowiązały się także, że w razie naszej pozytywnej decyzji, wyremontują nawet odpowiedni lokal. Wreszcie otrzymałem telegram: „natychmiast stop przyjeżdżaj wyszło stop Miastko stop naradzić się stop trzeba”. Przyjechałem. Mama szczęśliwa.

– Masz, czytaj, wreszcie będziemy razem z rodziną, z moim bratem Jankiem, na swoich śmieciach. Adasiowi też obiecano, jak tatuś tam był, jakąś pracę. Boże, jak ja mam dosyć tego koszmaru!

Czytam: „Prezydium Powiatowej Rady Narodowej zawiadamia, że przydzieliło Obywatelowi gospodarstwo rolne w Miastku, ul. Kaszubska, które na-

leży objąć w przeciągu 14 dni od daty otrzymania niniejszego pisma”. Data: 15.10.1952 r. Postanowiłem jechać z rodzicami. W Międzychodzie naraziłem się akurat miejscowym waśniakom, był więc pretekst, żeby się z nimi rozstać. Zaraz po powrocie do pracy złożyłem podanie o przeniesienie służbowe do Miastka.

W Sarbinowie pomogłem rodzicom załadować wagon stojący na boczniczy w Paczkowie. Wyjeżdżaliśmy z wielkim żalem, każdy z nas pozostawił tutaj kawałek swojego życia, przyjaciół, dobrych znajomych, sąsiadów.

Dostałem zgodę ZW ZMP na przeniesienie z Międzychodu do pracy w województwie koszalińskim. Minęło jeszcze kilkanaście dni, zanim pierwszy raz w życiu przyjechałem do Miastka, gdzie na progu naszego nowego domu przy ulicy Kaszubskiej 26 powitali mnie rodzice. Na stole w kuchni leżało piśmko:

„Do  
Kol. Stroński Ryszard  
Miastko

Uchwałą Prezydium Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Polskiej w Koszalinie zatwierdza Was z dniem 15.11.1952 r. na funkcję Instruktora Szkolno-Harcerskiego ZP Miastko. Uposażenie Wasze wynosić będzie wg grupy płac VII.

Za Prezydium  
Kierownik Wydziału Kadr ZW ZMP  
/ Łukomski Ludwik/”

## „Wniknięcie w koncepcję”

W wieku 17 lat byłem przekonany, że droga, którą wybrałem jest jedynie słuszna; postanowiłem zatem być jej wierny. Czułem potrzebę służenia ludziom. Byłem przewodniczącym zarządu szkolnego Obrońców Pokoju i wiceprzewodniczącym zarządu szkolnego ZMP. Pilnie się uczyłem, pracowałem społecznie zachęcany przez profesorów. Byłem nagradzany: „Rada Pedagogiczna przyznając uczniowi Strońskiemu Ryszardowi nagrodę 2-go stopnia za przodownictwo szkolne w pracy społecznej, działa w tym przekonaniu, że nagrodzonego zachęci tym dziełem do wniknięcia w koncepcję leninowską tradycji postępowej myśli przeszłości i jej rewolucyjnej kontynuacji w kulturze proletariackiej.

Za Radę Pedagogiczną – Dyrektor Liceum Pedagogicznego TPD T. Korosteński

Opiekun klasy – prof. B.N.

Stargard Szczeciński, dnia 23 czerwca 1951 r.”

Nagrodą było dzieło wydane w Książce i Wiedzy w 1950 roku *Z teorii literatury i krytyki literackiej. Filozoficzne i socjalno-polityczne poglądy M.A. Dobrohubowa*. Niewiele wówczas z tego rozumiałem, mimo że usilnie starałem się „wniknąć w koncepcję”. Jedno zdanie zapamiętałem jednak: „Gdyby tak brać wszystko do serca, to można by się suchot nabawić”. Myślę, że to przesłanie, mniej czy bardziej zmodyfikowane, było busolą mojego postępowania... Na razie jednak, mimo wyboru, jakiego dokonałem wciąż jeszcze byłem rozchwiany.

Do Liceum Pedagogicznego w Stargardzie Szczecińskim przyjechałem z paczką pism świadków Jehowy („Książę miłości”, „Prawda cię wyswobodzi”), z którymi kontaktowałem się jeszcze w Swarzędzu po ostatecznym zerwaniu z księżowskim katolicyzmem. Epoka stalinowskiego zamordyzmu zapanowała już na dobre. Skończyła się ostatecznie wolność słowa. Można było mówić tylko o jedynej słusznej drodze, wypowiadać się „po linii i na bazie”. Ludzie bali się rozmawiać. Nauczyciele zbywali uczniów byle czym, tłumacząc wszystko walką klasową. Wiadomość prasowa o zrzuconiu przez Amerykanów stonki ziemniaczanej na nasze pola potwierdzona przez ciało pedagogiczne stawała się w 100 procentach prawdziwa. Komuś trzeba było wierzyć!

Rzeczywistość odreagowywało się humorem, żartem i satyrą.

Z Jurkiem Majchrzyckim, przewodniczącym zarządu szkolnego ZMP (byłem jego zastępcą) nadawaliśmy na tej samej fali. Wierzyliśmy sobie bezgranicznie.

Trwały przygotowania do obchodów święta klasy robotniczej 1 Maja. Zarząd powiatowy ZMP wytypował naszą szkołę do defilady głównej. Mieliśmy iść w kolumnie i radośnie wymachiwać proporcami, niosąc portrety Józefa Stalina, Bolesława Bieruta i Wilhelma Piecka, i skandując głośno ich nazwiska. Mieliśmy otrzymać też odpowiednie hasła, jeśli tylko zostaną zatwierdzone przez KC partii, rozdzielone przez KW i dostarczone do Komitetów Powiatowych. Czy można było samemu wymyślić hasło? Broń Boże! Wreszcie hasła przydzielono i wkrótce rozpoczęły się próby. Uszeregowaliśmy młodzież naszej przodującej świeckiej szkoły Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, zorganizowaną w kuroniowym czerwonym harcerstwie i ZMP.

– Koleżanki i koledzy! Za trzy dni będziemy skandować następujące hasło: STALIN! BIERUT! WILHELM PIECK! Wymawiać należy „pik”. Od dziś zaczynamy ćwiczyć – oznajmiłem.

– W miejscu marsz i powtarzajcie za mną: Stalin, Bierut, Wilhelm Pieck! – Jurek dał komendę. – Głośno, jeszcze głośniej, oooo, teraz dobrze!

– Stalin! Bierut! Wilhelm Pieck! Staaaaalin-bieeeeeerut-wilhelmpiiiiik!!!

– A teraz w prawo zwrot, wokół stadionu marsz, i skandujemy!



Od lewej: Wiesław Grzegorzczak – lekkoatleta, Jerzy Majchrzycki – lekkoatleta, autor – bokser. Klub sportowy „Kolejarz”. Stargard Szcz., 1950 r.

Przeszliśmy po szkolnym stadionie, krzycząc niemiłosiernie. Koledzy instruktorzy z ZP ZMP uznali, że idzie dobrze, a odchodząc, zalecili, aby ćwiczyć dalej. Po chwili wszystkich jednak zwolniliśmy do internatu. Dosyć na dziś. Jutro po lekcjach wznowimy trening. Spojrzałem na Jurka i... obaj jednocześnie roześmialiśmy się.

– Co ci chodzi po głowie? – pytam.

– A tobie? – on na to.

– Wiesz, nie bardzo chce mi się sterczeć tyle godzin na ulicy, zanim ruszy pochód, i jeszcze to hasło... Wołałbym robić coś innego!

– Co na przykład?

– Łatwiej się urwać chociażby ze służby porządkowej. Trzeba coś wymyślić. Poza tym to hasło, co nas tak śmieszy, wydaje mi się politycznie podejrzane.

– Mnie też się ono coś nie podoba... – mówi Jurek.

– Jest niebezpieczne. Przecież tylko Piecka skandujemy z imienia i nazwiska, a tamtych nie. To niby Niemcowi należy się największy szacunek? Czy to gapiostwo autorów hasła czy, nie daj Boże, prowokacja?

– Ale jak KC to zatwierdziło, to znaczy, że tak ma być. Na pewno chodziło im o to, że skandowanie nie byłoby rytmiczne.

– Pewnie masz rację. Bo jak by to brzmiało? Józef Stalin, Bolesław Bierut, Wilhelm Pieck! Do niczego! Ale mimo wszystko coś z tym trzeba zrobić!

Najpierw jednak na zmiany musiał się zgodzić Komitet Powiatowy partii. Postanowiliśmy się tam wybrać. Po drodze wymyśliliśmy, że najlepiej by było, gdyby słowo Pieck wykrzykiwać trzykrotnie. Wtedy szłoby się równo i świetnie maszerowało: Stalin! Bierut! Pieck! Pieck! Pieck! Hurrra! I powtórka. Najpierw wysłuchali nas towarzysze z ZMP, pochwalili za czujność i pobiegli do KP partii, by popisać się swoją spostrzegawczością. Propozycję zastąpienia imienia Wilhelm trzykrotnym wykrzykiwaniem nazwiska Pieck przedstawili jako własną. Na to właśnie liczyliśmy. Zawsze będzie można się wycofać, twierdząc, że to ci z ZMP wymyślili taką bzdurę. Z nieukrywaną radością przyjęliśmy decyzję o zmianie hasła. Nasz plan powoli się urzeczywistniał. Prawdę mówiąc, chcieliśmy upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: zakpić z tych zarozumiałców i mądrałów z ZP ZMP, a jak się uda, urwać się z pochodu. Nazajutrz cały internat, to jest 70 dziewczyn i 30 chłopaków maszerując, skandowało: „Stalin-bierut-pik-pik-pik!!!”.

Podbiegli do nas Grzesiek Łyskawa i Wiesiek Grzegorzczak, chwając za „czujność rewolucyjną”.

– Brawo, tak trzymać! – mówi Grześ.

– Ale trochę przesadziliście – woła Wiesiek – słyszycie, jak ochoczo wszyscy wykrzykują „pik-pik-pik”? Wszystkich to bawi, bo brzmi jakby do Bieruta i Stalina ktoś strzelał z karabinka! Żeby was te palanty z ZP nie wyczuły! – dodał.

Uradziliśmy zatem, że pójdziemy do dyrektora i sekretarza szkolnego partii. Niech oni bezpośrednio porozmawiają w tej sprawie z sekretarzem propagandy KP, który jest odpowiedzialny za przebieg święta klasy robotniczej. Niech powiedzą, że jesteśmy skołowani, i lepiej będzie, jak dostaniemy inne zadanie. Młodzież nie chce skandować słów, które sugerują wystrzał z broni. Przyjęto zatem naszą propozycję, żeby młodzież z klas młodszych włączyć do pochodu, a całą resztę wykorzystać do pracy w służbach porządkowych. Towarzysze nabrali do nas zaufania i wyznaczyli nam zadanie, o którym nawet nie marzyliśmy.

Otóż całą noc przed pochodem w kilkusobowych grupach mieliśmy walczyć z wrogiem klasowym, pilnując plakatów i transparentów, nie dopuszczając do ich ewentualnego zniszczenia. „Bo już, niestety, towarzysze, kilka takich zdarzeń miało miejsce”. Na posiedzeniu zarządu szkolnego ZMP opracowaliśmy plan nocnej warty, skompletowaliśmy grupy i ustaliliśmy hasło i odzew. Były to słowa: „Pokój” i „Walka”.

Kuchnia przygotowała kanapki, co sprytniejsi z nas wino i ćwiartki wódki z białą główką. O godzinie 22 wyruszyliśmy na nocny spacer po mieście. Było ciepło, niektórzy zalegli na pobliskim cmentarzu poniemieckim, gdzie rosła gęsta trawa, inni w parku, a wielu wśród gruzów, których w tym mieście było jeszcze sporo. Paliliśmy swoje górniki, mowy, wczasowe. Niejeden z nas wypił wtedy za dużo, wielu zawdzięczało tej nocy swoją inicjację. Tymczasem wróg skrył się. Mieliśmy po 16–18 lat. Byliśmy szczęśliwi i pełni wiary w przyszłość – przecież czytaliśmy Ostrowskiego *Jak hartowała się stal* i Makarenki *Poemat Pedagogiczny*.

Kilka dni po 1 Maja nasza organizacja otrzymała list pochwalny za udział w manifestacji i za szczególnie wysoki poziom czujności. Dla nas jednak najważniejsze było to, że już za dwa miesiące zaczną się wakacje.

Kończący się rok szkolny 1950/51 obfitował w liczne wydarzenia, niektóre bardzo dramatyczne, jak chociażby sprawa, która poruszyła władze oświatowe wszystkich szczebli i była przedmiotem notatek prasowych. W naszym liceum doszło do jawnej pajdokracji. Rzeczywiście, władzę w szkole przejęła młodzież, a ściślej mówiąc, siedmioosobowa grupa aktywu szkolnego ZMP: ja, Jurek Majchrzycki, Grzegorz Łyskawa, Wiesław Grzegorczyk, Janusz Korosteński – syn dyrektora oraz Słoń i Granat. Ostatnie dwa to nie pseudonimy, ale prawdziwe nazwiska moich kolegów. Niestety, ich imion nie pamiętam.

O tym, jak konflikt narastał i w jakich okolicznościach grupa kilku chłopów przejęła władzę w szkole, by uratować ją przed likwidacją, która spowodowałoby stratę roku przez dwustu uczniów, wspomnę szerzej w innym miejscu. W każdym razie groził dodatkowy egzamin i ponowny nabór do szkoły. O pajdokracji w naszym liceum gazety pisały w kontekście aktualnych wydarzeń politycznych. Trwała bowiem zażarta walka o stanowiska, o pozyskanie za wszelką cenę przychylności nowej władzy. Obowiązywało hasło: „Nie matura, lecz chęć szczerą robi z ciebie oficera”.

Ta pazerność na uzyskanie korzyści doprowadziła między innymi do wydarzeń w Gryficach.

„Watażkowie” partyjni, sprawujący władzę z nadania innych ważniejszych „watażków” szczebla wojewódzkiego, szaleli po wsiach tego powiatu zmuszając chłopów do oddawania państwu zboża i zawiązywania spółdzielni produkcyjnych. Działalnością tą zajmowały się brygady powoływane przez I sekretarza KP PZPR, Grodzkiego i pełnomocnika do spraw skupu, Grossingera. Składały

się one z pracowników Państwowych Ośrodków Maszynowych, pracowników politycznych aparatu partyjnego i członków ZMP. Prowadzono rewizje w gospodarstwach chłopskich i często niszczone dobytek rolników. Działo się to pod nadzorem i z bezpośrednim udziałem zastępcy kierownika wydziału Komitetu Wojewódzkiego ze Szczecina, Dekerta, który akceptował demolowanie mieszkań, gwałty i kradzieże. Mimo docierających sygnałów, KW Partii w Szczecinie nie reagował.

To nie był wypadek przy pracy. Podobne rzeczy działy się w innych częściach kraju, na przykład w Sokołowie i w Płońsku w woj. warszawskim, a także w Białostockiem i Wrocławskim. W końcu proceder nabrał takiego rozgłosu, że Komitet Centralny po kontroli w terenie i dyskusji na plenum przyjął i opublikował uchwałę potępiającą takie działanie własnej partii. Wydalono z jej szeregów Grossingera, Dekerta, Muszyńskiego (szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego), Ślusarka (jego zastępcę), Majcherka (przewodniczącego Zarządu Powiatowego ZMP). Jednocześnie oddano ich pod sąd. Jeszcze inni, prokuratorzy powiatowi i wojewódzcy, komendant powiatowy MO w Gryficach, sekretarze powiatu, przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej, wiceprzewodniczący Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partii oraz szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego zostali dotknięci różnymi karami i naganami. Najmniejsze konsekwencje spotkały sekretarzy Komitetu Wojewódzkiego, a żadne – dygnitarzy szczebla centralnego.

Gdy dziś czyta się tę uchwałę KC, zdumiewa jej język. Wszystko owinięte w bawełnę, okrągłe i gładkie. Żeby zrozumieć życie sprzed pół wieku przez pryzmat wiadomości prasowych z tamtych lat, czytelnik musiałby nauczyć się czarne przyjmować za białe i odwrotnie. Inaczej nie zdołałby wnikać „w koncepcję leninowską tradycji postępowej myśli przeszłości”.

## Bokser

– Rysiu, musisz się jeszcze trochę postarać! – rozlega się nade mną zatroskany głos.

– Panie trenerze, już nie mogę więcej, naprawdę!

Przed meczem bokserskim powinienem odpowiednio obniżyć wagę ciała.

– Trochę pobiegam, może wtedy się uda!

– Ale już nie ma czasu, za chwilę trzeba się ważyć! Jak cię zakwalifikują do wyższej wagi, przegrasz walkę. Podskakuj w miejscu!

Skaczę, robię przysiady, podnoszę kolana do brzucha, masuję go, i co raz siadam na sedesie.

Wreszcie waga była dobra. Mogłem wyjść na ring, godnie reprezentując w Hali Ludowej, na meczu z zespołem Marynarki Wojennej w Szczecinie, klub „Kolejarz” Stargard Szczeciński. Dotąd stoczyłem dziewięć walk, pięć wygrałem, dwie zremisowałem, dwie przegrałem, jedną przez nokaut.

Boksu uczył mnie pan Wieczorkiewicz – podobno był mistrzem Wojska Polskiego w 1948 roku – i Grzesio Łyskawa, kolega z klasy, świetny bokser, piłkarz i siłacz.

Mój dziesiąty występ miał być zwycięski. Hala wypełniona po brzegi, wrzask i doping; nie bardzo się orientuję, komu kibicują, widzę tylko słabo oświetlone twarze w pierwszych dwóch rzędach. Raz kozie śmierć!

Mobilizuję się – w odpowiedzi na cios starszego i wyższego ode mnie marynarza ze Świnoujścia biję moim lewym prostym, poprawiając prawym podbródkowym. Cios podobał się, zaczęto skandować: „Synu, bij ojca!”. Pierwsza runda była wyrównana.

Polewają mnie wodą, wachlują ręcznikami, dają jakieś wskazówki. Niczego nie rozumiem, słyszę gong i popchnięty staję do walki w drugiej rundzie. Do staję dwa ciosy lewym prostym!

– Ruszaj się, k..., bo cię zabije! – krzyczy trener.

Nie mam pojęcia, skąd wziąłem siłę; wałęnałem na oślep, marynarz padł i był liczony do sześciu. Szkoda, że nie dłużej, bo nagle wstał i celnie trafił mnie prosto w nos. Zalała mnie krew. Sędzia wyciera moje rękawice i cherlawy tors. Gong! Jakie szczęście! Trochę odpocznę, a potem się z nim rozprawię. Jednak to on rozprawił się ze mną. Wałęnałem całym ciałem o ring, gdy przeciwnik puścił jeszcze obficie krew z mojego nadwerężonego nosa.

„Trener z „Kolejarza” rzuca ręcznik na ring, co oznacza, że poddaje swojego zawodnika Ryszarda Strońskiego” – doniosła „Gazeta Szczecińska” w 1951 roku.

I tak skończyła się moja bokserska sława. Odebrałem dietę, zawiesiłem rękawice na ramieniu (wtedy każdy sam odpowiadał za swój sprzęt) i pojechałem na Głębokie do mojej ciotki Zofii, gdzie z jej mężem opilem zakończenie swojej kariery sportowej. Samo przez się zrozumiałe, że piłem mało, byłem przecież uczniem liceum pedagogicznego i członkiem ZMP!

Najpiękniej wspominam moment jazdy szczecińskim tramwajem – z poobijaną gębą, w dresach i z rękawicami na ramieniu. Wszyscy na mnie patrzyli, ustępowali miejsca, puszczali przodem. Szkoda, że nie były w modzie autografy! Mimo porażki to był mój dzień triumfu!

## Pajdokracja

Już wiedzieliśmy. Wybuchła wojna! Ale nie wyobrażaliśmy sobie skutków, jakie ze sobą przyniesie. Byliśmy bardzo mali. Miałem zostać pierwszakiem. Rodzice postanowili zapisać mnie do szkoły, mimo że nie miałem jeszcze siedmiu lat.

Pan dyrektor w dużej sali szkolnej mówił do nas o czymś smutnym. Rodzice płakali. Większość z nich trzymała przyszłych uczniów za ręce. Uroczystość rozpoczęcia nowego roku szkolnego była krótka. Uczniom starszych klas rozdano rozkłady zajęć obowiązujące od poniedziałku. Następnie wpatrując się w dwóch umundurowanych panów na portretach, Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego i Naczelnego Wodza Polski Edwarda Rydza-Śmigłego oraz napis „Witajcie w Nowym Roku Szkolnym 1939/40”, zaśpiewaliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła”. Wtedy była to dla mnie zwykła piosenka, którą śpiewało się na baczność.

Wracaliśmy do domu przygnębieni. Wokół mówiono, że przyjdą Niemcy albo Ruscy i wtedy z nami będzie koniec. Nie rozumiałem, co w tym wypadku oznaczał koniec i dlaczego mam się go bać. A Rosjanie, Niemcy? Ich też trzeba się bać? Dlaczego? Przecież prawie codziennie się z nimi bawię, gramy w szpaka lub zaczepiamy dziewczynki.

Nie tak dawno, chyba kilka dni temu, chcieliśmy złapać jedną z koleżanek, córkę dróżnika, by ściągnąć jej majtki i zobaczyć, co ma pod nimi! Byłoby się udało, gdyby tak nie wrzeszczała. Wywróciłem się na żużlowej ścieżce, uciekając przed jej ojcem. Żużel wbił mi się w kolano i pozostawił do dzisiaj ślady tej niezdrowej ciekawości. Hansowi i Jurijowi nic się nie stało. Schowali się w ustępie! To byli fajni koledzy. Co z tego, że jeden był Niemcem, a drugi Rosjaninem?

Nie bardzo chciało mi się iść do szkoły po tej przygnębiającej uroczystości rozpoczęcia roku szkolnego. Z niepokojem czekałem na poniedziałek. Gdy nadszedł, ociągałem się ze wstawaniem z łóżka. Tata siedział przy kryształkowym radyjku ze słuchawkami na uszach i usiłował wyłowić jakieś wiadomości z eteru.

– Chłopcy – mówił, zdejmując powoli słuchawki – dzisiaj nie pójdziecie do szkoły. – Tosiu, zdaje się, że z Polską już koniec.

Ucieszyłem się, wołałem budować z bratem schron, grać w szpaka bądź obserwować wojsko i uciekający tłum ludzi, którzy szli nie wiadomo skąd i dokąd. Tata pożegnał się z nami i z nieodłączną kolejarską torbą poszedł do parowozowni. Odchodząc, mówił coś o pociągu pancernym. Prosił, żeby się nie martwić, że na pewno wróci. Wrócił... po dwóch tygodniach, głodny, nieogolony. Powiedział, że pociąg pancerny rozbili Niemcy i że on cudem ocalał. Spotkał Rosjan, kiedy szedł po torach na wschód, podwieźli go do Dubna.

– *Ja żeleznodorożnik, maszynist, ždut mienia maleńkije synowia. Chocz rabo-  
tat’, ja slesar* [ros., Jestem pracownikiem kolejowym, maszynistą, czekają na  
mnie w domu synkowie. Chcę pracować, jestem ślusarzem] – tłumaczył.

W Dubnie zainstalowała się władza radziecka. Była druga połowa wrze-  
śnia, sytuacja się „unormowała”. Powstała *Radiańskaja* [ukr., Radziecka] Ukra-  
ina. Jako młody obywatel tego państwa, 1 listopada 1939 roku znalazłem się  
w ukraińskiej szkole stojącej obok małej niebieściutkiej cerkwi, we wsi Podbor-  
ce. W drewnianym budynku, w dwóch izbach, w łączonych klasach zebrali się  
kilkudziesięcioro Ukraińców, kilkoro Czechów i Polaków. Ze ścian spoglądali  
życzliwie towarzysze: generalissimus Józef Stalin i bodajże Sekretarz Komitetu  
Centralnego Komunistycznej Partii Ukrainy Nikita Siergiejewicz Chruszczow.  
Z bocznej ściany zerkał ukosem wielki ukraiński poeta Taras Szewczenko.

W Podborcach, wykorzystując beczelnie pakt o nieagresji między ZSRR  
a Niemcami, zdołałem ukończyć pierwszą i drugą klasę. Niestety, Radziecka  
Ukraina padła i nie otrzymałem świadectwa. Urzędnicy oświatowi uciekli przed  
wejściem Niemców do Dubna.

Czego się tam w tych Podborcach nauczyłem? Trochę lepiej *bałakaty* [ukr.,  
mówić] po ukraińsku, różnych wierszyków i piosenek, na przykład o komarze,  
szczo *na musi ożynywsia* [ukr., który ożenił się z muchą].

Często, żeby urozmaicić sobie drogę do szkoły, maszerowaliśmy wraz z moimi  
czeski i ukraińskimi kolegami, podnosząc tumany kurzu, w takt głupawej ukła-  
danki-rymowanki, skandowanej sprawiedliwie na zmianę w trzech językach:

*Idę, leży. Patrzę, sterczy.  
Wącham, śmierdzi. Gryzę, twarde.  
Rąbię, pryska. A ty gównie  
z polskiej dupy.  
Idź ze sraką po zakupy!*

*Ja jdu szczoś leży. Ja nohoju  
Ne beży. Ja w ruku puchte.  
Ja do nosa niuchte. Ja w rot  
Czeż hiwno. To na szczo że wono!*

*Idu, leży. Kukam strczy.  
Voucham, smrdi. Rozzłabil  
jsem se, vzał jsem szavliczku,  
porubalem, poszikałem na drobnou  
kapusticzku. A hovno proklate,  
ne budeš tu srate.*

Może nie jest to wierny tekst, ale po tylu latach mogłem coś pokręcić...

Wraz z moimi kolegami zostaliśmy pionierami, a właściwie *oktiabriatami* – to  
był odpowiednik polskich zuchów. Maszerując do domu po glinianej drodze,  
w czerwonej chuście na szyi, wystukiwaliśmy stopami obutymi w liche sandały  
dwuwiersz:

*Iszoł chachol. Nasrał na stoł.  
Iszoł kacap. Zubami cap.*

W szkole uczono nas kochać Stalina i SSSR [ros., ZSRR]. Starsi chłopcy  
mówili, że ten skrót oznacza kraj, w którym rządzą trzy *srule* i jeden Ruski. Być  
może jeszcze kilka lat i pokochalibyśmy mocniej Stalina i *Sojuz Socjalistycznych  
Sowietskich Respublik*... Jednak w czerwcu 1941 roku Hitler napadł na Stalina.

I tak, we wrześniu tego roku znowu znalazłem się w drugiej klasie, tym razem  
w szkole we wsi Ruskij Strakłow, oddalonej o 3 km od stacji kolejowej i naszego  
tymczasowego mieszkania. Na ścianie głównej zawisł portret Adolfa Hitlera, na  
bocznej zaś ciągle wisiał portret Tarasa Szewczenki. Bardzo się ucieszyłem, że  
wraz ze mną do tej szkoły został zapisany Wasyl, mój przyjaciel. Każdego dnia,  
bez względu na pogodę, z tornistrem na plecach, w ciepłych pończochach, jed-  
nakowych sznurowanych bucikach i w czapkach uszankach, szliśmy z ogromną  
niechęcią do tej niemiecko-ukraińskiej szkoły. Przechodząc obok ramp kolejowy-  
ch, gapiliśmy się na wyładunek węgierskiego lub niemieckiego wojska. Nie-  
mieckie wojsko szło na Surmicze, do koszar, gdzie jeszcze tak niedawno była  
polska kawaleria, po której z kolei kwaterowała sowiecka piechota.

Niemcy maszerując, śpiewali:

*Wir werden weiter marschieren  
Wenn alles in Scherben fällt,  
Denn heute da hört uns Deutschland  
Und morgen die ganze Welt... heili-heilo...*  
[niem., Będziemy maszerować,  
aż wszystko się rozpadnie,  
dziś należą do nas Niemcy,  
a jutro cały świat...]

Podobała nam się ta piosenka. Szybko wpadała w ucho, szczególnie *heili-  
heilo!* Rażniej było iść do szkoły i szybciej rozgrzewały się zmarznięte nogi. To  
już był wyższy poziom niż głupie *Iszoł chachol*...

Stary dozorca-woźny, Rosjanin (niektórzy mówili, że był Białorusinem) każ-  
dego dnia około piątej rano po wygarnięciu popiołu z pieców kaflowych napeł-  
niał je drewnem lub deskami porozbijanych jaszczy amunicyjnych. Następnie  
podpalał to i lekko odchyłał drzwiczki, wyciągając szyber, żeby uzyskać cug.



Kilkadziesiąt minut przed lekcjami dziadek-woźny po sprawdzeniu, czy kilkakrotnie podkładane drewno wypaliło się, mocno zakręcał metalowe drzwiczki, do połowy zasuwając szyber.

Dosyć często zdarzało się, że kierownik szkoły, Kurnyluk, nie zważając na to, że nieraz w klasie o godzinie ósmej rano było jeszcze bardzo zimno, kazał nam zdejmować nasze nędzne zimowe okrycia. Ten zajadły zwolennik *samostijnej* [ukr., niepodległej] Ukrainy, nienawidzący Żydów i Polaków, za najmniejsze potknięcie i kiepską odpowiedź karał biciem, głównie polskie dzieci. Na ogół byliśmy źle przygotowani do lekcji. W domu także było nieraz zimno, wcześniej gaszono lampy naftowe i karbidówki. Oszczędzano naftę i knoty.

Siedziałem w ławce z Wasylem. Kierownik-nauczyciel upodobał nas sobie szczególnie. Bił za najmniejsze przewinienia: mnie także za to, że byłem Polakiem, Wasyla, że się ze mną przyjaźnił. Rozkazywał jednemu z nas bić kolegę po rękach ogromną linijką bądź kijem z całej siły, po dziesięć razy każdą dłoń. Usiłowaliśmy markować silne uderzenia. Wrywał nam wtedy narzędzie tortury i okładał każdego po równo, aż się zmęczył.

Wracając do domu, robiliśmy sobie okłady ze śniegu. W domu rodzice przykładali nam jakieś kompresy, owijali spuchnięte dłonie bandażami. Smarowaliśmy ręce słoniną, cebulą i czosnkiem. Niestety, zabiegi te w małym stopniu chroniły przed bólem zadawanym kilka razy w miesiącu przez nauczyciela-sadybę.

Szykowaliśmy zemstę. Wiedzieliśmy, jak zdobyć granaty od Madziarów, dezertarów, Cyganów. Chcieliśmy je włożyć do palenisk kaflowych pieców szkolnych. Gdy byliśmy już bliscy zrealizowania tego planu, znowu dostaliśmy lanie od Kurnyluka. Tym razem obolałe ręce z wielką troską leczył i owijał szmatami dobry dziadek-woźny. W drodze do domu obmyśliliśmy plan zastępczy; żal nam się zrobiło woźnego, który mógłby przypadkowo zginąć od wybuchu granatu.

Pewnego bardzo mroźnego dnia, gdy jeszcze było zupełnie ciemno, wykorzystując, że tata był w pracy na nocnej zmianie, a mama poszła bardzo wcześniej do Tarakanowa, by zdobyć trochę kartofli i jajek, pobiegłem po Wasyla. Trudno wyobrazić sobie dzisiaj tych dwóch 10-latków, którzy z taką determinacją wyruszyli w ciemną drogę, by zrealizować plan zemsty na swoim gnębicielu. Czy w historii Polski i Ukrainy był kiedykolwiek mocniejszy układ niż zawarty wówczas przez tych dwóch chłopców? I w dodatku tak skrupulatnie wypełniony!? Nie baliśmy się drogi, pustej i ciemnej o tej porze. Mogliśmy trafić na bandytę lub dostać kulą od jakiegoś niemieckiego strażnika kolejowego czy wermachtowca. Nie myśleliśmy jednak o konsekwencjach zaplanowanej akcji ani o tym, że w razie wpadki moglibyśmy wraz z rodzicami znaleźć się w obozie lub zostać rozstrzelani.

Już jesteśmy pod szkołą. Silny wiatr zwał resztki śniegu z dróżki prowadzącej do furtki. Była otwarta. Wokół szkoły w coraz jaśniejszej poświacie było

widać ślady po świeżym zmiataniu. W oknie domku, w którym mieszkał dozorca świeciła się lampa. Oznaczało to, że po sprzątnięciu śniegu i napaleniu w piecach woźny odpoczywa.

Weszliśmy do klasy, dorzuciliśmy po kilka kawałków drewna do pieców kaflowych, zasunęliśmy szyber, zakręciliśmy mocno drzwiczki i uciekliśmy ile sił w nogach w zwaliska desek i drewna w pobliskim tartaku.

O godzinie 7.30 przez Dubno przejeżdżał pociąg osobowy. Do Krzemieńca? Nie pamiętam. To był dobry moment, by dołączyć niespostrzeżenie do innych dzieci idących do szkoły. A tam – zamieszanie! Okna pootwierane, woń spalonych. Zimno, piece rozsądzone, gryzący dym wydobywający się przez wszystkie możliwe szczeliny. Na podłodze i ławkach ślady sadzy.

Uczniom kazano wracać do domu. Kilka dni z Wasylem poważnie się baliśmy. Przeważała jednak radość z powodu zemsty. Za strach, poniżanie i bicie! Po tym wydarzeniu Kurnyluk trochę się uspokoił. Stał się łagodniejszy.

Wrzesień 1943 roku. Rozpaczam naukę w klasie trzeciej, tym razem w Dubnie, w ładnej, murowanej szkole niedaleko zamku, przy ulicy Panieńskiej. W klasie nadal królują portrety Hitlera oraz Tarasa Szewczenki, poety – tym razem już nie na bocznej ścianie, ale obok wodza Rzeszy.

Był to najokrutniejszy czas w moim dziecięcym życiu. Zamiast w szkole, siedzieliśmy najczęściej w suszarni, tnąc chleb na suchary dla wojska. Zbieraliśmy po rowach i polach wyznaczoną ilość podbiału, sporyszu i innych leczniczych roślin na potrzeby niemieckich okupantów.

Okres terroru, mordowania Polaków przez Ukraińców z UPA, rozstrzeliwania Żydów skończył się wraz z wyzwoleniem Dubna przez Armię Czerwoną.

I znowu, jak w 1939 roku, rozpoczynam naukę w ukraińsko-radzieckiej szkole. Teraz jestem w klasie czwartej. Na centralnej ścianie, nad tablicą, w równym szeregu widnieją wizerunki Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. Noszę na szyi czerwoną chustę, jestem pionierem. Towarzyszy mi hasło: *Wsięda gotow!* [ros., Zawsze gotów!].

Na zawsze rozstaję się z Wasylem, od którego dowiedziałem się, że nasz ciemiężca Kurnyluk został schwytany. Jak mi później powiedział tata, wraz z niedobitkami ukraińskich nacjonalistów z 30-tysięcznej „SS-Hałyczyny” i ukraińskimi milicjantami „Hiwi” – hitlerowskimi żołnierzami „pomocniczymi” – ukrywał się przed Armią Czerwoną w fortach tarakanowskich, i tam został zabity.

Całą trójką: mama, brat i ja przeprowadzamy się z powrotem do naszego domku na Surmiczach przy ulicy Ekonomicznej. Tata jest już w Wojsku Polskim, nie mamy z nim kontaktu.

W szkole nie zagrzałem długo miejsca, ponieważ w ramach repatriacji wyjeżdżamy z Polski – już nie-Polski – do Polski. W Legnicy znowu trafiam do czwartej klasy. Ten epizod nie utrwalił się zupełnie w mojej pamięci. Poza oczywiście portretem Prezydenta Krajowej Rady Narodowej Bolesława Bieruta. Bardziej

zapamiętałem powroty ze szkoły, kiedy to myszkowaliśmy w poniemieckich domach. Trafiały się halabardy, klasery ze znaczkami i srebrzyste hełmy żołnierzy pruskich.

Po kilku miesiącach, po odnalezieniu nas przez ojca i przeprowadzce do Sarbinowa, w niedalekim Paczkowie w roku szkolnym 1945/46 kontynuuję, już po raz trzeci, naukę w klasie czwartej. Ale dopiero tutaj zasmakowałem w nauce. Polubiłem szkołę dzięki mojemu ukochanemu mądrym nauczycielowi, wychowawcy i kierownikowi tej szkoły, panu Zygmuntowi Szymańskiemu.

W korytarzu, nad wejściem do klasy, widniał niebieski napis na olejno:

*Ucz się, jak gdybyś  
Wiecznie miał żyć.  
Módl się, jak gdyby twe życie  
Jutro skończyć się miało.*

Nad tą sentencją – pan Zygmunt mówił, że jest szwajcarska – wisiał obraz Matki Boskiej.

Wiele lat później jadąc na Targi Poznańskie, wstąpiłem do mojej byłej szkoły w Paczkowie, by odwiedzić pana Szymańskiego. W miejscu, gdzie widniała kiedyś złota myśl zachęcająca uczniów do modlitwy i nauki można było przeczytać czerwony dwuwiersz, graficznie podobny do poprzedniego, o nieco odmiennej treści:

*Pracuj, jak gdybyś  
Wiecznie miał żyć.  
Śpiesz się, jak gdyby twe życie  
Jutro skończyć się miało.*

Nad tym hasłem w miejsce Matki Boskiej pojawił się wizerunek Ludwika Waryńskiego, założyciela I Proletariatu i twórcy pieśni „Mazur kajdaniarski”. To był taki inteligentny kamuflaż. Domyśliłem się, że pan Zygmunt dokonał tej zmiany w latach stalinowskiego zniewolenia umysłów i powszechnego strachu.

Gdy pierwszy raz wszedłem do mojej nowej czwartej klasy w szkole podstawowej w Paczkowie – myślę, że to było pod koniec 1945 roku – przeraziły mnie ciekawskie spojrzenia. Byłem dla nich, Wielkopolan, tym dziwnym repatriantem zza Bugu, Ruskim ubranym w kurtkę uszytą przez mamę z niemieckiego szynela. Pan Zygmunt mówił coś o losie repatriantów, których wygnano z ich rodzinnych dalekich stron i prosił uczniów o dobre traktowanie nowego kolegi. Mimo prośby nauczyciela, bym się przedstawił, nie otworzyłem gęby. Wstydzilem się mojego śpiewnego miękkiego akcentu wołyńskiego. Wychowawca za-



...powierzył mi opiekę nad szkolną biblioteką

prowadził mnie do ostatniej ławki i posadził przy chłopcu o imieniu i nazwisku Zygmunt Błaszczuk. Uspokoilem się, miałem ogląd na całą klasę. Widziałem zielone rośliny w doniczkach i firaneczki w oknach. Całość stwarzała miły i ciepły klimat. Czułem, że będzie mi tutaj dobrze. Tym bardziej, że nad tablicą wisiały portrety dwóch znajomych panów. Jeden nazywał się Edward Osóbka-Morawski i był premierem Polski. Drugi to generał Michał Rola-Żymierski, minister obrony narodowej.

Muszę być najlepszy, nie pozwolę, by się ze mnie nabijano, nauczę się mowy tych poznańskich *pyr*. Będę starał się mówić poprawnie, a na zaczepki będę odpowiadał ich gwarą – postanowiłem sobie.

Po raz pierwszy w życiu widziałem taką ilość książek. Wypożyczałem wszystkie po kolei. Czytałem je w domu nieraz do północy. Także głośno, by pozbyć się wschodniego akcentu. Pan Zygmunt powierzył mi opiekę nad szkolną biblioteką. Zostałem jej „kierownikiem”. Dwie szafy książek były do mojej całkowitej dyspozycji. Raz w tygodniu otwierałem je i wypożyczałem książki uczniom. Mój nauczyciel z kolei pożyczał mi swoją encyklopedię i zbiory periodyków przedwojennych. Jego syn w tajemnicy przed ojcem przyniósł mi *Dekameron*. Czytałem to dzieło i oglądałem ryciny z wypiekami na policzkach w całkowitej tajemnicy przed wszystkimi.

W piątej klasie zostałem przewodniczącym samorządu szkolnego. Do moich obowiązków należało między innymi organizowanie loterii. Do puli loteryjnej

wchodziły rzeczy, które otrzymywała szkoła z UNRRY. Raz nawet sam wylosowałem pięć kolorowych szklanych kulek – nie było wiadomo, do czego miały one służyć – zapinkę do krawata i jedną gumę do żucia. Zajmowałem się także sprawiedliwym – łyżka stołowa dla każdego ucznia – rozdzielaniem tranu. Ten wielorybi, okrutnie wstrętny tłuszcz wzmacniał nasze dziecięce organizmy po wycieńczeniu i niedożywieniu w latach wojny i okupacji.

Kiedyś dostałem zaszczytu – asystowania proboszczowi w czasie uroczystości poświęcenia szkoły. Miałem nieść za nim kropidło i naczynie z wodą święconą. Wszystko przebiegało zgodnie z planem, jednak w pewnej chwili potknąłem się na schodach, wypuściłem kropidło i pojemnik z wodą, a spadając, złapałem się za sutannę księdza. Obaj zjechaliśmy na tyłkach z kilkunastu drewnianych stopni. Podniosły nastrój prysł. Wściekły proboszcz wymierzył mi siarczasty policzek. Na oczach całej szkoły.

Od kilku dni uczyłem się na pamięć wiersza Adama Mickiewicza „Lis i kozieł”, miałem go deklamować przed publicznością zebraną w szkole. Nie mógłbym teraz, po tym, co zrobił ksiądz, wydusić go z gardła. Wybiegłem z klasy, dopadłem roweru i pojechałem do Sarbinowa. W domu oświadczyłem rodzicom, że do szkoły już nie wrócę, przestaję także chodzić do kościoła.

Po dwóch dniach przyjechał na rowerze pan Zygmunt. Powiedział, że potrzebuje pomocy: trzeba jak najszybciej zebrać pieniądze na bilety do Opery Poznańskiej na „Sen nocy letniej”, i dodał, że liczy na mnie. Zgodziłem się po namyśle. Myślę, że w przełamaniu mojego uporu dużą rolę odegrał także gniew ojca i popłakiwanie mamy.

Pomogłem panu kierownikowi, i oto teraz siedzę w operze zamarły z wrażenia. To był mój sen nocy letniej. Nie mogłem uwierzyć, że to wszystko dzieje się na moich oczach. Pierwszy raz w prawdziwym teatrze! Już następny wyjazd do opery – grano „Halkę” – zorganizowałem z własnej inicjatywy. Udało się zebrać kilkunastu uczniów i starszą młodzież z Sarbinowa i Paczkowa.

Zbliżał się koniec roku szkolnego 1947/48. Żał będzie opuścić szkołę, gdzie pozostanie nauczyciel, który nauczył nas czytać, opracować książki i mapy, szanować cudzą pracę i kochać ojczyznę. Nauczyciel, który nauczył nas rozpoznawać ptaki i style greckich kolumn, grabić liście, wbijać gwoździe. Klasy siódmej w Paczkowie nie było, a ze zdobycia zawodu ślusarza i pójsia w ślady ojca nic nie wyszło. Zostałem zatem zapisany do szkoły w Swarzędzu.

Tamten czas wspominam w szczególny sposób. Popeliłem wtedy dużo głupstw. Przez upór, zawziętość, forsowanie na siłę swojego zdania wywoływałem niemało konfliktów, tylko na tym tracąc. Nie byłem mądrzejszy także w ogólniaku w Poznaniu i w liceum w Stargardzie Szczecińskim. Właściwie nic mnie nie usprawiedliwia, lubiłem się popisywać, przewodzić. Grzeszyłem nieposłuszeństwem.

W siódmej klasie w Swarzędzu moim idolem był lotnik polskich dywizjonów w Anglii, pan Leśniak, który po wojnie wrócił do Polski i uczył nas prac ręcznych, fizyki i przysposobienia wojskowego. Chodził po klasie, stawiając stopę za stopą, pilnie obserwując uczniów. Jeśli było coś nie tak, liniał metrowej długości, z którym nigdy się nie rozstawał lądował na czymś grzbiecie. Nieraz oberwałem i ja. I może właśnie dzięki temu nauczyłem się wielu pożytecznych rzeczy. Na przykład do dziś nie mogę się sobie nadziwić, z jakim zapalem samodzielnie przez wiele godzin konstruowałem pod okiem pana Leśniaka drewnianą hulajnogę. Dostałem piątkę i męski uścisk dłoni pilota-bohatera. Byłem dumny. W domu na widok pojazdu wszyscy oniemieli. Brat pomalował hulajnogę olejną farbą. Wróciła do szkoły i zajęła honorowe miejsce na szkolnej wystawie najlepszych prac wykonanych przez dzieci.

Na ogólnym zebraniu wszystkich uczniów wybrano mnie na przewodniczącego samorządu szkolnego tej wielkiej szkoły, w której uczyło się ponad trzystu uczniów. Samorządem opiekowała się wychowawczyni mojej klasy, nauczycielka języka angielskiego, pani Maćkowiak. Była przeciwna mojej kandydaturze na przewodniczącego. Miała swojego pupila, ryżego lizusa z VII b. Zatem by się na niej zemścić... przestałem się uczyć angielskiego. Na każdej lekcji wzywała mnie do odpowiedzi. A ja, jak co dzień, odpowiadałem, że nic nie umiem.

– Siadaj, dwója – mówiła.

– Bardzo pani dziękuję – odburkiwałem.

Tej scenie towarzyszyły stłumione chichoty całej klasy. W końcu doszło do tego, że stałem przy ławce już w chwili wejścia do klasy pani Maćkowiakowej. Wszyscy oczekiwali na małe przedstawienie. Stałem tak długo, aż usłyszałem: „Wiem, że nic nie umiesz, siadaj, dwója”.

– Bardzo pani dziękuję, i wiem – odpowiadałem jak zwykle.

– Co wiesz? – padało pytanie.

– Że się doigram.

– Na pewno! Zostaniesz na drugi rok w tej samej klasie!.

Tego się obawiałem najbardziej.

Rada Pedagogiczna długo debatowała nad dalszym losem przewodniczącego, który świetnie się zasłużył, kierując samorządem szkolnym, i ponadto miał dobre stopnie ze wszystkich przedmiotów, oprócz języka angielskiego. Uchwalono wreszcie (przeważył głos pana Leśniaka), że na świadectwie nie zamieści się żadnego stopnia z angielskiego. Będzie to wyglądało tak, jakby tego przedmiotu w ogóle w szkole nie było. I tak odebrałem świadectwo ukończenia Szkoły Podstawowej w Swarzędzu.

Tymczasem coś się zmieniło także w polityce, bo na głównej ścianie w mojej klasie Osóbkę-Morawskiego zastąpił Józef Cyrankiewicz.

Żegnaj, szkoło! Witaj, nowa szkoło!

Niestety, nie było to takie proste. W liceum pedagogicznym w Poznaniu, do którego zdawałem egzamin wstępny, nauczyciel śpiewu, członek komisji, po zbadaniu mojego słuchu na podstawie zaśpiewanej przeze mnie piosenki „Na środku pola stoi topola, a pod nią dziewczyna kwiatki upina” orzekł, że jestem głuchy i do szkoły pedagogicznej się nie nadaję. Następnego dnia zdałem egzamin do męskiego ogólniaka przy ulicy Różanej. W tym czasie liceum to miało złą sławę z powodu niedawnej zbrodni dokonanej przez podziemną organizację młodzieżową „Goryl”. Na pobliskim cmentarzu zamordowano przewodniczącego zarządu szkolnego ZMP.

Wstawiałem o piątej, by zdążyć do szkoły na ósmą. Najpierw rowerem bądź pieszo musiałem pokonać trzy kilometry do stacji Paczkowo, potem trzydzieści kilometrów pociągiem do Poznania, wreszcie półtora kilometra przez cmentarz. Wszystko w tej szkole było ogromne i inne. Nawet portret wiszący w klasie. Był większy niż te, które dotąd widywałem. Bo też i osoba była ogromnie ważna: Bolesław Bierut, przewodniczący KC PZPR.

Większość uczniów to były dzieci poznańskiej inteligencji. Od razu zaczęli się ze mnie wyśmiewać, że jestem z wiochy i w dodatku Ruski. *Zabugol* to było najłagodniejsze określenie. *Galicjok, galon, chadziaj* – mówiono pogardliwie i z lekceważeniem. Kpiono z mojego ubrania, czapki rogatywki, kurtki z brezentu, języka i akcentu wołyńskiego. Wychowawczyni, nauczycielka łaciny, publicznie wytykała moje błędy językowe. Zadawano mi bolesne rany. Byłem rozżalony i wściekły. Myślę, że właśnie wtedy podjąłem mocne postanowienie, by nigdy nie puszczać nikomu płazem chamstwa, kłamliwych i brutalnych ataków, insynuacji i oszczerstw w stosunku do ludzi słabszych. Bo czym byłem wówczas gorszy od inteligenckich synalków poznańskich mieszczuchów? Swoim nieszczęściem, krzywdą oderwania od korzeni i wywiezienia w nieznane wraz z rodziną, wyniszczoną pięcioma latami wojny i gnębieniem przez zmieniających się okupantów? Ich nie dotyczyła groźba przymusowej zmiany obywatelstwa polskiego. Ich rodziców nie przerażał strach przed „wyborem” kierunku wysiedlenia: na wschód czy na zachód!

Postanowiłem walczyć. Najczęściej biłem się na pięści. Przestałem też wkuwać łacinę, a nauczycielce odpowiadałem wiejską, poznańską gwarą, którą w szybkim tempie przyswoiłem. Na pytanie, dlaczego pobiliem jakiegoś chłopaka, odpowiadałem mniej więcej tak: *Nie chciał się namknąć na odsiebkę, puczył się i wyćwirzał, a na szkitach miał szuszfale, był sterany, umurany i z dytków leciała mu żybura. Powiedziałem mu, że mom dyżur i niech nie będzie taki drętki, bo jak go rumotnę, obrócę na ręby, zrobię z niego skrzeczki, to się nie opęka do jutra. Dałem mu po mordzie, by sobie poszedł prek, poznańska pyra jedyn.*

W końcu zostawili mnie w spokoju, bo kpiny z kolegów przychodziły mi coraz łatwiej. W drugiej połowie roku byłem już przywódcą klasy, a przy moim boku stało siedmiu największych łobuzów. Umieli palić, wagarowali, rzucali

nożami. Dyktowaliśmy warunki. Klasa musiała się podporządkować. Miałem posłuch, ale dawnych obelg nie zapomniałem. Planowałem ostatnią rozgrywkę. Pokażę, kto jest lepszy: *zabugol* czy *skulnięta sznita z pyrą*? W tej szkole nie będę się uczył! Szykowałem efektowny finał, po którym – planowałem – pójdę do szkoły podoficerskiej, medycznej. Postanowiłem być felczerem wojskowym!

Okazja nadarzyła się sama. Na początku czerwca 1950 roku profesor Krzyżanowski, który umiejętności malarskie zdobywał we Włoszech postanowił przeprowadzić lekcję rysunku w plenerze nad Wartą. Wtedy, tam nad rzeką zarządziłem zbiorową kąpiel. Opornym moje „komando” pomagało się rozbierać. Upłynęły dwie godziny lekcyjne, a wciąż nikt nie opuszczał wody. Siwiutki profesor chodził nerwowo wzdłuż brzegu, błagając nas o wyjście i powrót do szkoły na kolejne dwie lekcje matematyki i jedną fizyki. Postanowiliśmy wreszcie wracać, ale tak, by dotrzeć dopiero na koniec ostatniej lekcji. Przed szkołą nakażalem ustawić się gęsiego. Wszystkich wciągnęła ta zabawa – ponad trzydziestu opalonych na gębie chłopaków wolno wchodziło sznureczkiem na dziedziniec szkolny. Na ganku w gronie kilku nauczycieli czekał na nas dyrektor.

Wszystkich, tak jak weszliśmy, ustawił w półkole i idąc, odliczał. Byłem dziewiąty. Co piąty miał być usunięty ze szkoły... Po wakacjach jednak do niej nie wróciłem. Głupi, spaliłem za sobą wszystkie mosty! Zostaję więc na wsi? W Sarbinowie? Na całe życie? Nie, nigdy, przenigdy!

Skorzystałem z zaproszenia stryjka Bolka i pojechałem do Stargardu Szczecińskiego. W tym mieście powstało Liceum Pedagogiczne Towarzystwa Przyjaciół Dzieci ze specjalizacją wychowanie fizyczne. Organizowano nabór młodzieży do pierwszej i drugiej klasy. Zdałem do drugiej.

Miałem 17 lat i jak większość młodzieży powojennej byłem lewicowcem. Jeszcze co prawda nie miałem sprecyzowanego poglądu na świat ani ogólnego o tym świecie wyobrażenia, czułem jednak, tak jak wszyscy moi koledzy, że stanąłem po słusznej stronie.

Byłem członkiem ZMP. Naczytałem się książek: *Lalka, Nad Niemnem, Chata za wsią, Janko muzykant*. U Żeromskiego i Konopnickiej widziałem bezduszną arystokrację, obojętną na sprawy społeczne. Miałem marzenia o szklanych domach. Towarzyszyło mi przekonanie o tym, że my, młodzież, stworzymy Polskę sprawiedliwszą niż była tamta, II Rzeczpospolita.

Z taką wiarą wszedłem w dorosły etap życia. Nie chciałem, by ktoś je za mnie planował. Chciałem być kowalem swojego losu. Inaczej, myślałem, nie warto żyć! Oczywiście, nie uwzględniałem faktu, że człowiek rodząc się, nie wybiera czasu, środowiska ani miejsca, w którym przychodzi na świat. Bo tak naprawdę w ogromnym stopniu to te właśnie okoliczności, a nie abstrakcyjne postanowienia decydują o wyborze drogi życiowej.

Jeszcze w październiku do szkoły ściągali chłopcy i dziewczyny z całej Polski.

– Skąd jesteś? Masz coś zapalić? – dopytywał się dryblasowaty blondyn.  
– Co masz w torbie, może coś do jedzenia? – prowadził dochodzenie chudzielec.  
– Grasz w piłkę? W ataku czy w obronie? – domagał się odpowiedzi inny.  
– W ataku i w obronie, to zależy – skłamałem.  
– Dobra, dziś gramy trening, zagrasz z nami, masz pepegi? Nie? Nie szkodzi! Znajdziemy jakieś.

Na boisku oczywiście dałem plamę, wszyscy mnie kiwali. Raz udało mi się strzelić... do własnej bramki.

– S... z boiska, kmiocie! – wrzaskowi Grześka, dryblasowatego blondyna towarzyszył kopniak w mój tyłek.

Nie zdążyłem odparować. Obiecałem sobie, że oddam przy pierwszej okazji. Trafiła się prędko. Wieczorem odnosiłem tenisówki do internatu, w którym miałem zamieszkać od następnej soboty. Otworzyłem drzwi do sypialni chłopaków i od razu natknąłem się na Grzegorza. Zobaczywszy mnie, zaczął kłąć. Obarczył winą za przegraną, choć to był najwykleszy trening. Nie wytrzymałem, wałnąłem go w twarz pepegami. Doscoczył. Jego prawy prosty powalił mnie na jedno z ponad dwudziestu łóżek. Z nosa sączyła się krew. Mieszkańcy internatu wskakiwali na sprężynujące, piszczące i zgrzytające łóżka, podskakiwali jak na trampolinach i dopingowali mojego przeciwnika, wołając: „Grzesiek, kopa, lewym prostym, o tak, tak, jeszcze raz!”.

Mnie nikt nie kibicował, byłem nowy, nie miałem zwolenników. Otarłem rękawem krew z twarzy. Chwyciłem z taboretu drewnianą szczotkę do butów i wałnąłem Grześka w głowę. Na krótko go oszołomiłem. Zbyt krótko, bo już za chwilę kilka jego ciosów powaliło mnie znowu, tym razem na podłogę. Zerwałem się i z całej siły uderzyłem rywala bykiem w brzuch. Wywrócił się jak długi na łóżko przy oknie. Głowa Grzesia znalazła się przy kaloryferze. Skoczyłem na niego i przygniotłem sobą. Usiłował się podnieść, zaplątał w koce, i wtedy chwyciłem go za czuprynę. Tłukłem jego głowę w wystający trzpień, na którym zwykle bywa pokrętko do regulacji temperatury. Zemdlął, jego i moja krew zmieszały się.

Jurek, Wiesiek i Janusz, członkowie zarządu szkolnego ZMP, powstrzymali nas od dalszej bójki. Ktoś skoczył do apteczki. Przyniósł bandaż. Janusz, który z harcerstwa wyniósł umiejętności sanitariusza, opatrzył nam rany.

Do szkoły poszedłem dopiero we wtorek. Nikt nas nie wyspał. Byliśmy solidarni. Wychowawcy, jak zwykle w soboty nie było; wyjechał po wałówkę do Choszczna, gdzie mieszkał na stałe.

To był mój chrzest bojowy na drodze do zawodu nauczycielskiego...

Zamieszkałem w internacie. W byłej sali lekcyjnej, w gmachu, gdzie esesmani mieli kiedyś swoją szkołę, spało nas 30 chłopców na 23 łóżkach. Jakiś czas dzieliłem łóżko ze Słoniem, zanim młodzież funkcyjna (dokooptowano mnie do

zarządu szkolnego ZMP) nie wywalczyła sobie nowej sali sypialnej, piętro wyżej. Meble do niej: żelazne łóżka, podgnięte materace, połamane krzesła, stoły i szafy bez drzwi wygrzebaliśmy na wielkich śmietniskach z ponemieckich domów, koszar i szpitali, rozlokowanych na plaży w Dziwnówku. Po te dobra pojechaliśmy zisem wypożyczonym z jednostki wojskowej. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem morze!

Mieszkaliśmy, zarząd szkolny ZMP, w siedmiu: Jurek Majchrzycki – przewodniczący, ja – jego zastępcą, Wiesiek Grzegorzczak – drugi zastępcą i przewodniczący zarządu szkolnego koła Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oraz członkowie zarządu: Grzesiek Łyskawa – kierownik Koła Młodego Agitatora ZMP, Janusz Korosteński – redaktor gazetki ściennej, Słoń i Granat.

Od radiowęzła umieszczonego w naszym pokoju szły przewody do głośników wiszących we wszystkich możliwych pomieszczeniach. My, zarząd mieliśmy przełącznik do głośników. Słuchaliśmy BBC (Radio Wolna Europa powstało dopiero w 1952 roku) i innych polskojęzycznych radiostacji, zwalczających komunizm.

W suficie na środku pokoju była dziura po bombie przykrywana deskami na strychu. Wykorzystywaliśmy ją do gry w kosza. Jeden z nas, najczęściej Janusz, syn dyrektora szkoły, któremu Ukraińcy nie do końca odcięli nożami rękę, wchodził na poddasze, kładł się nad otworem w suficie i bronił kosza tą swoją krótszą ręką. Graliśmy trzech na trzech. Janusz bronił przed wszystkimi, sprawiedliwie. Zawodnicy wskakiwali na łóżka, skąd łatwiej było pod pachą Janusza wcisnąć piłkę na strych. Z dziury sypał się tynk i kurz. Mecz kończył się, gdy już nie było czym oddychać.

Na ścianie Niemcy zainstalowali solidną trzyczęściową tablicę. Środek był wmurowany na stałe, boki – umocowane na zawiasach. Pozwalało to zamykać i zasłaniać środkową część. Właśnie na niej rysowaliśmy kredą tarczę strzelniczą i wieczorami z najdalszego miejsca strzelaliśmy do niej pneumatycznym karabinkiem, opartym o poręcz żelaznego łóżka. Były zakłady, konkursy i zwykłe zawody. W ten sposób, strzelając z lewego ramienia i posługując się lewym okiem przy mierzeniu do celu wygrałem od Jurka trzynaście egzemplarzy miesięcznika naukowego „Problemy”. W razie nieprzewidzianej kontroli wychowawcy, karabinek wędrował pod koc, a tablicę, doszczętnie zniszczoną, zakrywaliśmy jej bocznymi częściami, na których wieszaliśmy portrety Bieruta i Stalina.

Do naszej sypialni dostarczano codziennie organ Zarządu Głównego ZMP „Sztandar Młodych”, którego pierwszy numer ukazał się w maju 1950 roku. Dużą część tych gazet zgromadziliśmy w kącie obok worków z proszkiem DDT. Z braku prądu gazety często służyły też do oświetlania pomieszczeń. Były także jedynym dostępnym papierem toaletowym.

Na wieczornym apelu, zaczynając od siebie (zajmowali się tym aktywiści ZMP), posypywali proszkiem DDT głowy mieszkańców internatu. To była

skuteczna trucizna na wszy i gnidy. Raz w tygodniu organizowaliśmy kąpiel w naszej sali sypialnej. Mieliśmy dwie duże balie, do których ciepłą wodę, zagrzewaną w kuchennych kotłach, przynosili chłopcy, wyznaczeni w ramach szkolnej „fali”. Kolejność kąpiących się została ustalona raz na zawsze. Decydował wymiar penisa. Komisja dokonała pomiaru podczas pierwszej kąpieli. Wyłoniono trzy grupy. „Ch...e”, „Ch...ki” i „Ch...ęta”. Ci ostatni byli wyznaczani do grupy nosiwodów, w praktyce nie mieli prawa do kąpieli.

Sprawa dotarła do wychowawców, nabrała rozgłosu, i była omawiana na posiedzeniu Rady Pedagogicznej. Doniosły, jak zwykle, dziewczyny, którym pożalili się chłopcy z ostatniej grupy. Bo któż inny mógł to zrobić? Przecież to one: Baśka S., Maryśka R., Baśka M. i Irka O. ułożyły satyryczną gazetkę, która krążyła po naszej „uczelni”. Z odpowiednimi rysunkami oczywiście!

Na posiedzenie rady wezwano zarząd szkolny ZMP. Odmówiliśmy przyjaźni. Już od dawna domagaliśmy się stałego udziału w zebraniach Rady Pedagogicznej bez względu na rodzaj omawianych spraw. Inaczej nie będzie żadnej współpracy. W końcu uzyskaliśmy taką zgodę i od tej pory mieliśmy całkowity wpływ na życie szkoły.

Nauczyciele byli taką samą powojenną zbieraniną jak my.

Pani od matematyki, zdemobilizowana Platerówka z Wojska Polskiego, do którego trafiła z Syberii, zwracała się na przykład do mnie w następujący sposób: *Struński, woźnij cyrkulus, idź do doski i narysuj mi dwa trajkunty równoległoboczne.*

Polonistka, zapewne niewiele starsza od nas, wyraźnie podrywała Jurka, a ją z kolei podrywał Janusz, którego ojciec, dyrektor naszej szkoły miał o to do syna ustawiczne pretensje.

Ja podobałem się rusycystce, chyba jeszcze studentce ostatniego roku. Nie zauważałem tego, ale koledzy nieustannie mi dokuczali: „Nie musisz się uczyć, bo narzeczona i tak zawsze postawi ci piątkę”.

Historyk, stary przedwojenny komunista, wygłaszał na lekcjach dłuższe przemówienia. Gestami obrazował uliczne demonstracje, w których brał udział. Mówił o warunkach panujących w więzieniach dla politycznych w Polsce sanacyjnej, w których spędził wiele lat.

W trakcie lekcji każdy zajmował się, czym chciał. Ja z Grzegorzem grałem w szachy, najczęściej na matematyce i polskim. A dlaczego z nim? Bo chciał ze mną siedzieć! Pewnego razu podszedł do naszej ławki, którą zajmowałem ze Słoniem, podniósł go i przeniósł do swojej.

– Chcesz? – zapytał.

– Chcę, możesz siadać – odpowiedziałem.

Skąd raptem wezbrała w nim chęć, by się do mnie dosiąść?

Otóż często po capstrzyku wielu z nas wrywało się potajemnie na miasto. Wracaliśmy po rynnie i przez okno od toalety. Pewnego razu siedziałem tam

na sedesie dłuższą chwilę, ugniatając w rękę kawałek „Sztandaru Młodych”. Nagle usłyszałem, jak do okna wspina się niezgrabnie któryś z naszych kolegów. Był to Grzegorz. Pomogłem jego nodze znaleźć oparcie na krawędzi muszli klozetowej. Zsunął się na mokrą posadzkę. Był mocno nietrzeźwy. Powłókł się, wymiotując, do łóżka. Zasnął na kamień. W ubraniu i butach. Zmobilizowałem chłopaków do pomocy przy usuwaniu skutków nocnej eskapady Grzegorza. Nic się nie wydało. Dlatego Grzesiek, mistrz bokserski młodzików w wadze półciężkiej przysiadł się do mnie, dając wyraz swojej wdzięczności i zapewniając o przyjaźni. Do tej pory panował między nami chłód i skrywana niechęć. Zaczął uczyć mnie boksu.

Na zebrania zarządu szkolnego ZMP byli wzywani wychowawcy. Analizowaliśmy metody pedagogiczne, jakimi posługiwali się w stosunku do młodzieży. Zobowiązaliśmy ich do ścisłej z nami współpracy. Przed świętami katolickimi przeprowadzaliśmy rewizje rzeczy osobistych uczniów: znalezione książeczki do nabożeństwa, święte obrazki i inne dewocjonalia były konfiskowane. Chcieliśmy szkoły świeckiej, nie pozwalaliśmy na śpiewanie kolęd. Praktycznie decydowaliśmy o wszystkich sprawach dotyczących szkoły. Nawet z kucharką ustaliliśmy, co ma być gotowane na dany dzień. Zastosowaliśmy terror psychiczny i polityczny. Posunęliśmy się nawet do udzielenia nagany dwóm nauczycielkom. Sekretarza partii w szkole przyłapaliśmy na wynoszeniu mięsa przeznaczonego na obiady w stołówce szkolnej. Kierownika internatu nakryliśmy na machlojkach polegających na zamianie kompletów nowej pościeli na zużytą, pochodzącą ze szpitala.

Zastrasziliśmy wszystkich, cały personel szkoły. Dyrektor przychodził każdego wieczoru do naszego pokoju w internacie i wszczynął awantury z synem. Prawie zawsze był pijany. Janusz zarzucał mu, że przez niego Ukraińcy zamordowali matkę: „Nie broniłeś jej, byłeś wtedy pijany! Wynos się stąd! Wstydę się ciebie!”.

– Towarzysze, proszę was, pomóżcie, zagubiłem się, chcę mnie zwolnić, kto inny przyjdzie na moje miejsce. W Komitecie partii mówi się o rozwiązaniu szkoły, o zmianie jej profilu.

– Wszystko będzie dobrze, towarzyszu dyrektore, jeszcze tylko dwa miesiące do zakończenia roku szkolnego. Postaramy się o jeszcze większą dyscyplinę!

– Ależ to właśnie mi zarzucają, że pozwoliłem wam, towarzysze, na zbyt dużą samodzielność, że w naszej szkole panuje pajdokracja.

– Co to takiego, towarzyszu dyrektore?

– To oznacza rządy bardzo młodych ludzi. W kuratorium powiedzieli mi, że tego jeszcze w powojennej Polsce nie było. Zalecono mi, aby rok szkolny zakończyć jak najszybciej i z całą młodzieżą wyjechać jeszcze w czerwcu na obóz kondycyjny do Myśliborza. Tam odbyłaby się uroczystość.

Wpadliśmy w popłoch, pilnie uczestniczyliśmy w przygotowaniach do wyjazdu do Myśliborza. Kierownik internatu krzyczał i obrażał nas. Pozwalał

sobie na to, bo wiedział, że zależy nam na świadectwach ukończenia drugiej klasy.

Na obozie karmili nas kiepsko. Niezbyt pilnie trenowaliśmy, odmawialiśmy wykonywania poleceń komendantów. Wiedzieliśmy, że dni naszego zetempowskiego zgranego kolektywu są policzone. Po odebraniu świadectw i nagród książkowych, tego samego dnia wieczorem w pełnej tajemnicy wyjechaliśmy z Jurkiem na gapę do Warszawy. Jednocześnie z nami w różne strony rozjechało się wielu kolegów. Grzegorz znalazł się w Pancernej Szkole Oficerskiej w Poznaniu. Ja mieszkałem kilkanaście dni w Warszawie u mamy Jurka, z którym chodziliśmy do kina i filharmonii. Mieliśmy pieniądze – dostaliśmy za krew, którą oddawaliśmy w Stacji Krwiodawstwa. Sprzedałem również dwie pary spodenek sportowych, podkoszulki i beret. Utargowałem 37 złotych.

Na pierwszym w życiu koncercie siedziałem jak w letargu, znowu przeżyłem szok, jak wtedy, w Operze Poznańskiej na „Śnie nocy letniej”. Na zawsze zapamiętałem „Requiem” Mozarta. Odbierałem ten utwór tak, jak gdyby grało go tylko dla mnie. Ukradkiem wycierałem łzy. Postanowiłem zmienić się i uporządkować jakoś swoje dotychczasowe życie. Tylko nie bardzo wiedziałem jak... Na razie postanowiłem wrócić do Sarbinowa. Przysiągłem sobie jednak w duchu, że kiedyś na zawsze zamieszkać w Warszawie...

## Świetlica z trocin

Po zjednoczeniu ruchu młodzieżowego, w naturalny sposób, należąc uprzednio do ZMW „Wici”, znalazłem się w Związku Młodzieży Polskiej. Szesnastoletniemu chłopakowi imponował rozmach organizacji i jej umiejętność mobilizowania młodzieży do działania. Uświadomiłem sobie, że nas, ZMP-owców jest bardzo wielu, gdy zgromadziliśmy się na zbiórce w Poznaniu w związku z apelem zamieszczonym w „Głosie Wielkopolskim”, w grudniu 1949 roku.

„UWAGA ZMP-owcy!

W środę, dnia 14 grudnia o godz. 15.00, przed lokalem Zarządu Miejskiego ZMP (ul. Klonowicza) odbędzie się zbiórka młodzieży ZMP celem uformowania pochodu na wojewódzką akademię Sztafety ZMP z okazji urodzin Generallissimusa Stalina. Młodzież poszczególnych kół powinna przybyć w zwartych oddziałach w mundurach organizacyjnych względnie w ubiorach roboczych. Obecność obowiązkowa bez względu na pogodę”.

Apel podpisał, o ile sobie przypominam, przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego Władysław Młotecki. Czyżby to był ten sam człowiek, który urato-

wał mnie pół roku później przed karierą pakmistrza, kierując na kurs instruktorski do Łodzi?

Fascynacja pracą w grupie koleżanek i kolegów, jednakowo myślących, pragnących działać dla dobra ogólnego powodowała, że łatwo znosiłem niedogodności życia. Ode mnie samego zależało, kiedy się skończy: wierzyłem w to święcie! To dzięki nam, tak wtedy myśleliśmy, mógł się ukazać w „Głosie Wielkopolskim” taki na przykład komunikat: „W tym tygodniu (od 11 do 16 bm.) nie ma dni bezmięsnych, a to w tym celu, by umożliwić zaopatrzenie się ludności pracującej w te artykuły”. Wtedy to oznaczało postęp i poprawę poziomu życia!

Wydawało się nam, mojemu pokoleniu, że na nasze barki spadł ciężar odbudowy kraju ze zniszczeń wojennych. Już jako piętnastolatek angażowałem się do pracy w Powszechnej Organizacji „Służba Polsce”. Junacy SP byli nie tylko na wszystkich budowach, lecz także pomagali w gospodarowaniu słabszym rolnikom i kombatantom II wojny światowej. Do wstąpienia w szeregi „Wici”, SP, ZMP nikt nie przymuszał. Niczego nie robiłem z wyrachowania.

Czy nie mogły mnie pociągać na przykład założenia i idee „Brygad lekkiej kawalerii” masowo organizowanych przez ZMP? Miały one tępić sabotażystów, wzmacniać czujność, uczyć odwagi, walczyć z wrogiem klasowym, zwalczać opieszałość i roztargnienie, piętnować niechlujstwo, lekkomyślność i bumelanctwo, rugować pozostałości nawyków burżuazyjnych.

Spoglądając na siebie z perspektywy minionych lat, widzę tamtego chłopca stojącego obok Jurka Majchrzyckiego na Placu Konstytucji w Warszawie, patrzącego ze zgorzleniem na tańczących bikiniarzy w plerezach, w butach na bardzo grubej podeszwie, w wąskich spodniach, samodziiałowych marynarkach z szerokimi ramionami, noszących kolorowe, bardzo szerokie krawaty z wizerunkami gołej panienki lub mustanga z kowbojem. Wpajano nam, że ci ludzie tańcząc swinga i boogie-woogie, ulegają kulturze Zachodu: „Te tańce, to jeden z przejawów imperialistycznego bandytyzmu, jako taki jest nam wrogi i obcy, powinniśmy go potępiać”.

I potępialiśmy! Nie tylko my, ale większość pracowitego, skromnego społeczeństwa na dorobku, które miało we krwi uczciwość, lojalność i szacunek dla pracy, własnej i cudzej. Takie cechy, wpojone przez ZMP, pozostały mi na całe życie. Dzięki nim zawsze szedłem własną drogą, najczęściej pod wiatr. Większość mojego życia przypadła na lata Polski Ludowej, gdzie miałem do czynienia z ludźmi podobnymi do mnie, porządnymi i rzetelnymi. Z upływem czasu wielu z nich się jednak zmieniło. I nie chodzi o to, że stworzyli sobie lepsze życie. Każdy przecież do tego dąży, taka jest natura człowieka. Dziwi mnie tylko, że dziś mówią z nienawiścią o przeszłości, której także byli, często bezwonnymi, animatorami. Wielu obficie czerpało korzyści z poprzedniego systemu. Teraz również to robią...

Jak ułał pasuje w tym miejscu zdanie wypowiedziane kiedyś przez Marszałka Piłsudskiego: „Nie jestem k..., która daje d... na dwie strony równocześnie”!

Wróć jeszcze do kursu dla instruktorów zarządów powiatowych ZMP w Łodzi, który zlokalizowano w jakimś pałacyku przy ul. ks. Skorupki, nieopodal seminarium duchownego. Kilkakrotnie, w ciągu trzech miesięcy mieliśmy możliwość pływania na basenie przy ul. Piotrkowskiej. Nie wierzyłem, że istnieją takie luksusy, i to dla każdego. Oto, czym jest ustrój socjalistyczny! – myślałem sobie. Dlatego, ochoczo maszerując na pływalinię, w zielonych koszulach i czerwonych krawatach, z emblematem ZMP na ramieniu, śpiewaliśmy, przechodząc obok seminarium, gdzie przez okna wyglądali tacy sami młodzi chłopcy jak my, tylko w odmiennych strojach: „Nie papież nam Wybrzeże dał, ni Śląsk biskupów był (...)”. Oni odwzajemniali się: „Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki (...)”. Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie.”

Po ukończeniu kursu, zostałem skierowany do pracy w Zarządzie Powiatowym ZMP w Międzychodzie. Zostałem instruktorem w wydziale szkolno-harcerskim. W niewielkim domu, gdzie mieściło się biuro Komendy Powiatowej Służby Polsce i władze powiatowe ZMP, przydzielono mi pomieszczenie z tapczanem i dwoma krzesłami. Toaleta i umywalka były na zewnątrz. Po kilku miesiącach wynajęłem pokój w rynku u kulturalnej dystygowanej staruszki, właścicielki kamieniczki.

W pokoju stały osiemnastowieczne meble. Ciężkie zasłony w oknach, u dołu były przepasane sznurami. Tuż nad podłogą zwisały grube, złote frędzle, jak przy kurtynie w teatrze. W rogu pokoju stała grająca szafa. Obok, w specjalnym pojemniku były przechowywane cienkie, podziurkowane, metalowe płyty. Mogłem je dowolnie wymieniać, i nakręcając korbą urządzenie-mebel wsłuchiwać się w płynące z niego melodie.

Gdybym żył samotnie, chciałbym mieszkać i umrzeć w tym cudownym mieszczańskim pokoju, siedząc w fotelu pokrytym zielonym pluszem z koronkową serwetką na oparciu. To miejsce sprzyjało refleksji. Mam 18 lat. Co dalej? Co sprawiło, że znalazłem się właśnie tutaj? Los? A co to takiego? Za mną Dubno, Radziwiłłów, Legnica, Swarzędz, Poznań, Stargard Szczeciński, Sarbinowo, Paczkowo, Warszawa. Czy do niej powrócę? Wtedy, w Międzychodzie postanowiłem, że ponieważ na zawsze utraciłem moją ojczyznę: Wołyń i Dubno, znajdę swoje miejsce w Polsce bez Wołynia. Tym miejscem będzie Warszawa. To miasto było stolicą całej Polski, również tej, z którą na zawsze się rozstałem. To nic, że w 1951 roku było jeszcze zrujnowane! Będę tam mieszkał i tam umrę! Myślę, że mi się to uda!

Lubiłem przebywać w tym „moim” mieszkanku. Umośczone głęboko w fotelu, piłem herbatę podaną przez staruszkę i czytałem, czytałem, czytałem... Żeromski, Prus, Krasiński, Sienkiewicz. Z jakim zapamiętaniem czytałem *Quo vadis!* Gabriela Zapolska: *Rajski ptak*, *Córka Tuśki*, *Menażeria ludzka*, *Ma-*

*laszka*, *Sybir* i inne sztuki dramatyczne. A Maria Konopnicka? Prawie wszystko Balzaka. Jego *Jaszczur* mną wstrząsnął! A jeszcze bardziej *Szerszeń* Ethel Lillian Voynich. Odpęzłem się, czytając *Klub Pickwicka* Charlesa Dickensa. Do Międzychodu przywiozłem też kilka książek, których nie zdążyłem przeczytać wcześniej. Wśród nich, pożyczoną od Jurka, *Blaski i nędze życia kurtyzany* Balzaka. Wieczorami słuchałem grającej szafy i cerowałem skarpetki. Naparstek i grzybek do cerowania włożyła mi do walizki babcia Maria. Ona też nauczyła mnie tej sztuki. Żył się wtedy skromnie. Odczuwało się także powojenny nieład, jakieś zamieszanie. Obowiązywały ograniczenia na wszystko, szczególnie zaś na produkty spożywcze.

Kartki na żywność były przekleństwem w okresie wojny i okupacji, a także po wojnie, w czasie odbudowy i dorabiania się od początku. Nie stawało się źle z powodu faktu, że – jak opowiadali mi rodzice i dziadek Michał – pierwsze „Kupony Żywnościowe” ukazały się w 1916 roku, a „Karta Żywnościowa” z 1919 roku miała kupony z wizerunkiem Józefa Piłsudskiego: na kaszę, cukier, chleb i mąkę. Tak więc, wiele lat życia dziadków, rodziców i moich upłynęło w systemie kartkowym. W okresie okupacji niemieckiej można było kupić na kartki marmoladę, kartofle i – teoretycznie – dwa razy w roku sto gramów mięsa. Po wojnie, przez trzynaście lat, obowiązywały kartki na przykład na cukier. Kobiety w ciąży otrzymywały na kartki osiemset siedemdziesiąt pięć gramów masła. Kolejki były zjawiskiem codziennym i utrapieniem dla ludzi.

W latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku opowiadano taki dowcip:

Do długiej kolejki podchodzi starszy pan i pyta stojącego na końcu:

– Przepraszam, co tu można dostać?

– To zależy, gdzie pan staniesz.

– ?

– Jeżeli przede mną, to w mordę, a jeżeli na końcu, to g...

Miałem w Międzychodzie serdecznego kolegę. M. Kozłowski, technik urządzeń wodnych mieszkał na barce przycumowanej na Warcie. Był społecznym instruktorem naszego zarządu powiatowego. Dość często jeździliśmy razem na zebrania kół terenowych. Nieraz wypijaliśmy za dużo jakiegoś słodkiego, najtańszego likieru; wtedy wstydzilem się wracać do mojego pokoju u starszej pani i spałem na barce. W niedzielę chodziliśmy na spacer wzdłuż Warty, pałac lotniki lub górnik. Wtedy nieraz zastanawialiśmy się, czy nie brniemy w jakąś głupotę, namawiając młodzież do podejmowania bzdurnych czynów produkcyjnych, które często były zwykłym chciejstwem i, tak naprawdę, tylko demoralizowały. Byliśmy jednak pod zbyt dużym urokiem możliwości, jakie niesie życie, by przejmować się analizą przyczyn tworzenia nikomu niepotrzebnej lipy. Na jednym z takich spacerów postanowiliśmy zakpić z najgłupszego instruktora naszego zarządu Jędrzeja G. Gdyby plan się powiódł, to może także udałoby



się zdemaskować F.K., przewodniczącego władz powiatowych związku, który podpisywał wszystko, co trafiało na jego biurko. Miał, jak na tamte warunki, znakomitego harleya. Od czasu do czasu F.K. brał od sekretarki fałszywe delegacje i zaliczki na wyjazdy. Tymczasem, jak zdołaliśmy wyśledzić, kupował za te pieniądze benzynę i jeździł do swoich rodziców na wieś, gdzie pomagał im w gospodarstwie. Był typowym zamordystą i zaślepionym stalinowcem.

Zbliżał się Krajowy Zlot Młodych Przewodników – Budowniczych Polski Ludowej. W dniach 22–23 lipca 1952 roku przemaszerowali oni nowo otwartą w Warszawie trasą MDM i złożyli ślubowanie na nowym Placu Konstytucji.

Z okazji zlotu, we wszystkich zakładach pracy w Polsce ZMP-owcy podejmowali różnorodne zobowiązania. Nasz powiat nie mógł być gorszy. Każdego dnia po południu i wieczorem odbywały się zebrania kół związkowych, a dyżurni w zarządach powiatowych i wojewódzkich przyjmowali telefoniczne meldunki o realizacji zadań. Były one następnie wpisywane do „złotych ksiąg”, a te – wysyłane do Warszawy. Ogólnopolską księgę czynów Zarząd Główny ZMP miał wręczyć podczas zlotu kierownictwu partii i rządu.

Tego dnia w Zarządzie Powiatowym pełnił dyżur Jędrzej G. Mój kolega M.K. dyżurował z kolei w Komendzie Powiatowej SP, która mieściła się piętro niżej. Byłem tam razem z nim, bo chcieliśmy wykonać nasz plan. I tak, zaczęliśmy wydzwaniać na dwa telefony do Jędrzeja. Słyszeliśmy, jak biegł po pokoju tam i z powrotem. Biedak nie nadążał z podnoszeniem słuchawki. Gdy dopadał jednego telefonu, M.K. przerywał połączenie, dzwoniąc na drugi numer – aparaty znajdowały się w odległych od siebie miejscach. Po kilku minutach następowała nowa seria nieodebranych telefonów z meldunkami.

W tych czasach powoli kończyła się atmosfera luzu, sielanki i wygłupu. Teraz w ZMP zaczęła obowiązywać czujność i samokrytyka. Nasz dyżurny bał się, że być może nie odebrał telefonu od przewodniczącego albo od jeszcze wyższego przełożonego. A może nie dotarł jakiś ważny raport? Dość, że był tak skołowany, iż kiedy dopadł w końcu słuchawki, bezkrytycznie wpisał do księgi, podyktowany mu przez M.K., a przygotowany przeze mnie meldunek następującej treści:

„W związku ze zbliżającym się Krajowym Zlotem Młodych (...) w Warszawie, my, członkowie ZMP z Zakładów Przemysłu Drzewnego w Sierakowie, podjęliśmy wezwanie naszego Związku i Partii, zobowiązując się do wybudowania świetlicy z trocin, głównego odpadu z naszej produkcji przy pozyskiwaniu desek. Dotychczas trociny były wywożone na wysypiska śmieci. Koło nasze, w porozumieniu z kadrą inżyniersko-techniczną, opracuje nowoczesną technologię wytwarzania, w połączeniu z piaskiem i wodą, nowego materiału budowlanego. Pierwsza świetlica z tego właśnie materiału zostanie uruchomiona w przeddzień rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej”. Podpisał przewodniczący Zarządu Zakładowego ZMP Antoni Sikor. Nadał Filip Anonim.

Nazajutrz na codziennej odprawie pracowników składaliśmy sprawozdanie z dokonań dnia poprzedniego. Zrobił to również Jędrzej G., zdając jako pierwszy relację z dyżuru. Znalazła się w niej również informacja o świetlicy z trocin. F.K. przyjął ją z niedowierzaniem. Kazał połączyć się z Turlikiem, przewodniczącym władz gminnych związku w Sierakowie. Tamten wszystkiemu zaprzeczył: nie było takiego zobowiązania. Nasz plan spalił na panewce. Mieliśmy nadzieję, że ta informacja znajdzie się w meldunku do województwa. Tym razem F.K. nie udało się przechytrzyć.

Było nam jednak trochę przykro, kiedy F.K. oskarżał Jędrzeja G., że chyba był pijany na dyżurze, nie wykazał bowiem należytej czujności, nie wyczuł, że jakiś przeciwnik, wróg klasowy, pragnie ośmieszyć nasze działania dla ojczyzny.

– Muszę rozważyć, czy nadajecie się do pracy z młodzieżą – oświadczył Jędrzejowi.

F.K. wszystkich ustawicznie zastraszał. Mnie nie lubił od początku: przewyższałem instruktorów wykształceniem. Miałem, bądź co bądź, małą maturę i łódzki kurs instruktorski!

Lubiłem bezpośrednie kontakty z młodzieżą. Spotykałem się z harcerzami i kołami związkowymi w szkołach średnich i zawodowych. W marcu 1952 roku, gdy wracałem wieczorem z zebrania rowerem przez las, zostałem napadnięty przez kilku młodych ludzi.

– My cię, k... tak urządzimy, że nie będziesz mógł więcej rozsiewać tego swojego bolszewickiego jadu. Nie bądź taki pewny, że Anders na białym koniu nie przyjedzie!

Odebrali mi rower, rzucili na środek drogi, oberwałem pięścią w ucho. Ktoś bił na oślep. Było ciemno. Usiłowałem wykorzystać moje umiejętności bokserskie. Tymczasem w oddali pojawiło się światło samochodu.

– Dźgnij go nożem i chodu do lasu!

Uderzył! Zabolalo! Upadłem na rower, a właściwie potknąłem się o niego. Teraz, w świetle przybliżających się reflektorów trzeba jak najszybciej uciekać, pedałując z całych sił. Bałem się, nie wiedziałem, kto jedzie samochodem. Ukryłem się w lesie. Samochód przemknął obok. Tymczasem pojawił się traktor. Zatrzymał się na moje wołanie. Wrzuciłem rower na przyczepę. Dojechałem do stacji kolejowej. Byłem trochę poobijany. Miałem przeciętą nożem kurtkę, marynarkę i koszulę zetempowską. To był na szczęście tępy nóż! Zatrzymał się na twardym emblemacie ZMP. Na piersi pozostało tylko draśnięcie.

Krótko przedtem „Głos Wielkopolski” doniósł o zamordowaniu górnika, aktywisty partyjnego, który organizował wśród poznańskich chłopów uroczyste, propagandowe odwożenie obowiązkowych dostaw zboża dla państwa. Dopadli go na jednym z wozów ozdobionych szturmówkami i okolicznościowym hasłem w rodzaju „Szczurze, oddaj państwu zboże!”.



Zbiórka kandydatów do podoficerskiej szkoły felczerskiej była wyznaczona w Wojewódzkiej Komisji Uzupełnień. Warunek główny: co najmniej mała matura. Przyjechało kilkudziesięciu chłopaków z całej Polski. Wywieziono nas za miasto do jakiegoś obozu leśnego. Rozłokowano w namiotach i nakarmiono grochówką z dużą „wkładką mięsną”. Opiekujący się nami, starszy już sierżant frontowy zdradził z rozbawieniem, że była to konina z kłaczy, która kilka dni wcześniej złamała nogę.

Od jutra mają się rozpocząć dwudniowe wstępne rozmowy kwalifikacyjne do egzaminu, planowanego na trzeci dzień naszego tutaj pobytu. Przy ognisku sierżant opowiadał nam o swoich przeżyciach na szlaku wojennym. Gdy dowiedział się, że mój tata przeszedł tę samą co on drogę do Berlina, bardzo się ucieszył, tym bardziej, że sam pochodził z Wołynia. Przy płonącym ogniu przywołał mnie do siebie i kazał siadać obok.

– Ty jutro będziesz wezwany, bo na wykazie na „s” jesteś, *to tak prawi na ogoni samiutkim, mów wszystku odkrycie i nie brechaj, ot co, zapamiętaj i nie zanoś ojcu wstydu, poniał!*

– Tak jest, *tosi rozumi obywatelu sierżancie! Samo przez siebie!*

Nazajutrz stanąłem, rozdygotany, przed pięciocioosobową komisją. Tak bardzo chciałem być felcherem w Wojsku Polskim, że zapomniałem języka w gębie. Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie pytanie o imię i nazwisko.

Wystękałem odpowiedź. Zaczęła się seria pytań.

– Pochodzenie?

– Robotniczo-chłopskie.

– Jak to?

– Przed wojną robotnicze, a teraz chłopskie.

– Nie rozumiemy!

– ??

– No dobra, dalej, ile macie ziemi?

– Ja?

– No, nie wy, rodzice!

– Czternaście hektarów czy coś koło tego, za dom pozostawiony na Wołyniu, kiedy nas wywieziono na Ziemię Odzyskaną.

– Nie wywieziono, tylko repatriowano!

– No tak, przesiedlono, przepraszam.

– To dzięki wielkiej dziejowej sprawiedliwości się stało, jako przyszły podoficer musicie to wiedzieć!

– Tak jest, tak myślałem, tylko się przejęczyłem.

– Przynależność?

– ZMP, Liga Przyjaciół Żołnierza i Ludowe Zespoły Sportowe.

– To ostatnie się nie liczy, to nie jest polityczna organizacja, a co tam robicie?

– Jestem prezesem koła i trenuję zapasy, gram także w drużynie piłki nożnej.

– Dlaczego chcecie być felcherem?

Na to pytanie czekałem od początku, przygotowałem się właściwie i zacząłem elokwentnie odpowiadać. Zrobiłem wrażenie. Wszyscy kiwali głowami z aprobatą. Zostałem dopuszczony do jutrzejszego egzaminu.

– Możecie odejść – powiedział major, przewodniczący komisji. Aha, jeszcze jedno, bośmy zapomnieli was zapytać, czy macie kogoś z rodziny zagranicą?

– Mam – powiedziałem, ciotki i stryjeczne rodzeństwo.

– No tak, to dziękujemy, jesteście wolni.

Sierżant oczekiwał pod namiotem komisji na każdego, kto wychodził. Pytał, jak poszło, pocieszał, poklepywał po plecach, dodając otuchy przed jutrzejszym egzaminem.

– Hej ty, *ziemliak* [ros., rodak], *nu jak ci poszło, rozkazuj, kazali jutro przyjść?*

– Nic nie mówili.

– Nu i *prawilno* [ros., prawidłowo], *zawołajo jeszcze, ufaj ja tobie, i rodziciele ucieszo si jak zdasz!*

Opowiedziałem o przebiegu rozmowy wstępnej.

– A o zagranicę pytali si, czy kogo tam masz?

– Tak, powiedziałem prawdę, jak obywatel sierżant kazał, mam zagranicą! Kazali wyjść, i już nie pytali, gdzie mam.

– O, *by to dunder świsnoł, a gdzie masz?*

– W Moskwie, ale o tym nie mówiłem, i jeszcze... – Nie pozwolił mi dokończyć i kazał, żebym pędził do komisji i powiedział o tej Moskwie, bo inaczej koniec ze mną.

Zrobiłem w tył zwrot, ale on nagle chwycił mnie za rękę, wołając: – A *po-czekajże ty, nie gorączkujże si, tak i tak jesteś na boczna linia wyrzucony, tak oni si zapytajo ciebi, skąd si oni tam w tyj Moskwie znaleźli?*

Zrozumiałem, że kiepsko ze mną! A jak wyjaśniłbym Syberię, Katyń, gdzie zginął ponoć wujek, udział moich sióstr i braci ciotecznych w Armii Andersa, ich pobyt w Palestynie i Londynie?

– Tak, ja jeszcze sprawdzę na wykazie, czy *trzeba będzi stawić się na egzamin jutro. I tak dopiero jutro możesz stąd wyjechać* – pocieszał frontowy sierżant pan Wiktor Madziszko. Sprawdził.

– Skreślili cię, synku, pies ich j..., *świat nasz nie wi, gdzie powrócić, strach jest i ze wschodu i zachodu. Tamci bogaci trzymać będą ze sobą, a nam pamierać przyjdzie si w tej brechni.*

To był mądry człowiek. Felcherem nie zostałem, ale zapamiętałem tego doświadczanego żołnierza: był ranny podczas desantu generała Berlinga, pomagał walczącym AK-owcom w Powstaniu Warszawskim.

# Dzwony

W pokoju instruktorskim władz powiatowych ZMP w Miastku ponury nastrój. Już kilka dni jesteśmy przynębieni, wsłuchujemy się w nadawane co parę godzin komunikaty radiowe. Wielu ma łzy w oczach. Wreszcie słyszymy: „Piątego marca przestało bić serce wodza ludzkości – Wielkiego Stalina. Umarł największy człowiek naszych czasów. Geniusz, bez którego ludzkość będzie dryfować ku nowej wojnie”. W radiu syczy się muzyka poważna, wokół czerń i czerwień. Każdy ma w klapie wstążeczkę, która obok żałoby ma podkreślać solidarność ze smutkiem klasy robotniczej Wielkiego Kraju Rad i całej postępowej ludzkości. Co teraz będzie, kto zastąpi Towarzysza Stalina? Nikt GO nie może zastąpić, ON będzie z nami wiecznie. Był, jest i będzie naszym drogowskazem. Będziemy jeszcze ofiarniej walczyć o pokój i szczęście wraz z proletariatem całego świata przeciw amerykańskiemu imperializmowi, który gnębi podbite narody i gdzie biją Murzynów. Tak właśnie wówczas myśleliśmy i czuliśmy. Tak nas wychowywano; byliśmy zaczadzeni. Żyliśmy przecież w izolacji kulturowej i informacyjnej od reszty świata.

Dziewiąty marca ogłoszono dniem żałoby. Do uroczystości pogrzebowych władza postanowiła włączyć Kościół i zażądała, aby w dniu pogrzebu Stalina w całym kraju były dzwony. I stało się tak w większości kościołów w Polsce. Na dzwonnice partia posłała zetempowców.

Na dyżurze nuda. Niech się już wreszcie skończy – nikt nie dzwoni, śmiać się nie wypada. Wreszcie wyrwa nas z odrętwienia dźwięk telefonu.

– Tak, tak, towarzyszu sekretarzu, już wysyłam obu towarzyszy – powiedział do telefonu przewodniczący ZP ZMP, i odkładając słuchawkę na metalowe widelki, machnął ręką na mnie i kolegę Grzegorza F. (w latach 70. i 80. ubiegłego wieku był wiceministrem), byśmy poszli za nim do jego pokoju.

– Spotkało was wyróżnienie, towarzysze. I sekretarz Komitetu Powiatowego towarzysz W.L. w rozmowie ze mną wymienił wasze nazwiska i zaprasza do siebie. Uważa was za zdolnych, odważnych i wyróżniających się działaczy młodzieżowych.

– A dlaczego chce z nami rozmawiać?

– Powiedział, że o tym osobiście powie wam w swoim gabinecie. Domyślam się, że chodzi o poważne zadanie związane ze śmiercią towarzysza Stalina, ale nie przeciągajmy rozmowy, bo prosił, abyście pilnie przyszli.

Przed 9 zameldowaliśmy się u I sekretarza KP PZPR w Miastku. Sekretarka weszła do jego gabinetu i po chwili zawołała: „Sekretarz prosi, *zachódźcie!*”.

– Witajcie, towarzysze. Uznaliśmy, że wy jesteście najlepiej przygotowani do wykonania tego szlachetnego zadania.

Poprosił, abyśmy usiedli. Byliśmy spięci, bądź co bądź po raz pierwszy w życiu gościliśmy w wysokich progach dygnitarza powiatowego. To istotnie duże wyróżnienie. Będą nam tego zazdrościć.

– Ludzkość poniosła wielką stratę – kontynuował nasz gospodarz – dzisiaj towarzysz Stalin spocznie na zawsze w mauzoleum obok towarzysza Lenina, myśli całej ludzkości są teraz skierowane na Moskwę.

Szykuje jakiś podstęp czy co? Postawią nas w imieniu młodzieży na warcie przy symbolicznym grobie Stalina? (W sali konferencyjnej między radiem a czerwoną mównicą stał jego ogromny portret obwiązany czarnymi wstążkami i otoczony wazonami pełnymi kwiatów). Na ile godzin? Trzeba było po drodze coś zjeść. A tak? Niech to cholera!

– Zgodnie z wytycznymi KW – prawie przemawiał – we wszystkich kościołach zabijają dzwony, a w fabrykach zawyją syreny. W naszym powiecie będzie tak samo! Udacie się do kościoła, wejdziecie na dzwonnice i przez piętnaście minut będziecie dzwonić w momencie składania Stalina do grobu – mówił wzruszony. – Dostaliście do wykonania to szlachetne, historyczne zadanie od naszej partii. Proszę iść teraz do kierownika wydziału propagandy, on was zapozna ze szczegółami.

– Macie zegarki? – pyta kierownik. I podsuwa nam pod oczy swoją dłoń z zegarkiem marki Pobjeda.

Zegarek miałem tylko ja, taką przedwojenną, kolejarzką cebulę na łańcuszku od taty, bardzo punktualny.

– To wystarczy, porównajmy czas, no, pokażcie. Dobra jest, musimy zacząć punktualnie. Skąd taki ładny zegarek?

– Taty, po dziadku, przedwojenny, szwajcarski, jeździł z nim na parowozach w Dubnie.

– Dobrze, już powoli trzeba się wybierać do kościoła, co, towarzysze?

Wstajemy i wychodzimy, a za nami jeszcze słychać: – Tylko od razu na wieżę wchodźcie, księdzem się nie przejmujcie, uprzedzi go nasz towarzysz z UB.

Rzeczywiście, przed kościołem Wspomożenia Wiernych pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny stał znajomy pracownik UB. – Ksiądz już wie, możecie iść na dzwonnice, czekam na was na dole.

Przeszliśmy przez kościół, kierując się do wieży. Wspinając się już po schodach, ostrożnie wymijaliśmy leżące w nieładzie jakieś kiczowate obrazy, połamane baldachimy, ławy i krzyże. Raptem, gdy starałem się przeskoczyć jakiś następny rupieć, poślizgnąłem się.

– Uważaj Grzesiu, tu jest rozlana jakaś smoła czy coś. Ciemno tutaj strasznie!

– Nie ma sprawy, nie drzyj się, chyba zdążyliśmy na czas, tu jest jaśniej, popatrz na swoją cebulę!

– Rzeczywiście, nawet trzy minuty przed czasem.

Chwytny za sznury. Pociągnąłem raz, drugi, rozbijałem mój dzwon, Grześ zrobił to samo ze swoim. I szło dudnienie dzwonów nad naszymi głowami, nad Miastkiem, nad światem... Tak, na pewno zostaliśmy wyróżnieni przez partię, robimy rzecz wspólną, dajemy świadectwo smutku i chwały po śmierci generalissimusa Stalina. Byliśmy tak wzruszeni, że na pewno zaraz zaczęlibyśmy płakać, gdyby nie to, że Grzegorz nagle zaczął się drzeć, przekrzykując dźwięk dzwonów:

– Co tak śmierdzi? czymś od ciebie zalatuje!

Spojrzałem na moje buty – były ubrudzone kałem. Jak to teraz wytrzeć?!

– Już nie mogę, puszcza ten p... dzwon, wyczyść te buty! – wrzeszczy Grześ.

– Jak mam to zrobić? – ryczę. – Przecież mnie też śmierdzi! Zatkaj nos ręką! Do cholery, przecież nie ja nas... tylko jakiś ministrant czy dzwonnik przy porannym dzwonieniu!

– Przecież nie zatkam nosa, jedną ręką nie utrzymam sznura, a w ogóle przestań pieprzyć – wydiera się kolega. – G... mnie obchodzi, kto nas..., wytrzymaaj nooogęę, k...aaa!!!

Dobrze mu mówić, ale jak to zrobić?! Z trudem wyjąłem chusteczkę z kieszeni, ale do buta sięgnąć nie zdołałem. Rytm dzwonu stał się nierówny, kolega starał się uchwycić mój sznur, nie udało się, jego dzwon też pogubił się w rytmie. Tragedia i tyle. Co powiedzą ci, którzy powierzyli nam to zadanie? To się może skończyć nawet naganą! A przed nami jeszcze siedem minut dzwonienia! Jak wytrzymamy w tym strasznym smrodzie rozchodzącym się w wieży miastecznego kościoła? Nie, już nie możemy dłużej! Postanowiliśmy zejść z tej mrocznej dzwonnicy. Dźwięk powoli milknie... Na dole stoi podenerwowany urzędnik UB.

– Coście dzwonili jakoś tak nierytmicznie i za krótko, nie jedliście śniadania?

Wiedzieliśmy, że będzie musiał sporządzić notatkę, ale to nie miało teraz znaczenia.

– Co tak zajeżdża od was smrodem? – pyta i obwężuje.

– Rysiek wlaź w świeże g... na wieży – Grześ na to.

– A ty nie? – duszę się ze śmiechu. – Popatrz na swoje lakierki!

– O, Boże! Niedawno kupiłem. To chyba prowokacja kleru!

– No, teraz już rozumiem – zastanawiał się głośno funkcjonariusz UB – dla czego proboszcz nie protestował, dając mi klucz do dzwonnicy. Myślałem nawet, że to jeden z tych księży patriotów. Złożę szefowi meldunek na piśmie, bo i tak będzie pytał, dlaczego dzwony były tak nierówno, i w dodatku za krótko.

– To już chyba na dobre mamy załatwioną naszą karierę polityczną, nic, tylko się napić. Co o tym sądzisz, Rysiu?

– Wyjąłeś mi to z ust, dziś już do zarządu nie mamy po co wracać.

Grzesiek wygrzebał jakieś grosze z kieszeni. Dołożyłem trochę. Obliczyliśmy, że na likier miętowy i jajka po japońsku wystarczy.

Buty umyliśmy u babci klozetowej, ręce wytarliśmy w gazetę służącą jako papier toaletowy.

Pół litra likieru pomarańczowego (miętowego zabrakło), jajka w majonezie (te po japońsku były nieświeże – w tajemnicy poinformowała nas o tym kelnerka, koleżanka z ZMP), żółty ser i galaretka, zwana meduzą: ten rewelacyjny zestaw zrobił swoje na puste głowy i żołądki. Mdłości dopadły nas tuż przed Urzędem Stanu Cywilnego. Zwymiotowaliśmy wszystko, razem ze smutkiem po stracie Wodza.

O naszą klęskę obwinialiśmy księdza, który – stosując swoją dobrze przemyślaną taktykę – być może na zawsze zepsuł opinię solidnych towarzyszy dwóm młodzieżowym działaczom zetempowskim, którzy nie sprostali tak ważnemu zadaniu, postawionemu przez partię. Dobrze, że po takich przygodach mogłem wrócić do domu, gdzie babcia Maria czuwała nieraz do późnej nocy. To nie to, co w Międzychodzie, tam musiałbym spać na barce.

## Mezaliany, jajka i drugie miasto

Jest późny wieczór. Siedzę nad kartką papieru, usiłując złożyć historię rodziny mojej mamy.

Znajduję nikłe ślady w postaci starych fotografii, zapisanych słów i listów przewozowych. Przywołuję wspomnienia o moich rodzicach i dziadkach, o które prosiłem i które usłyszałem kiedyś od osób trzecich. W toku wojen, ucieczek, deportacji, ewakuacji i przeprowadzek w poszukiwaniu pracy lub miejsca do życia ocalało niewiele dokumentów i pamiątek rodzinnych.

Około 1869 roku z Saksonii przyjeżdża do Łodzi „zwerbowany” przez Izraela Poznańskiego młody inżynier Jan Gotz, który będzie pracował przy instalacji niemieckich maszyn tkackich w uruchomionej w 1876 roku tkalni, a później przy budowie pierwszej wytwórni krosien.

W sklepie sukienniczym poznaje dziewczynę o imieniu Katarzyna. Młody człowiek podoba się również właścicielce sklepu pani Rekrul, mamie Kasi. Nic dziwnego, że oświadczyń zostają przyjęte i panna Katarzyna, przyszła moja prababcia, zostaje żoną inżyniera Jana Gocana – tak przy tej okazji spolszczono jego nazwisko.

W 1871 roku na świat przychodzi mój przyszły dziadek Michał, a potem jego dwaj bracia, którzy w poszukiwaniu złota w Ameryce przepadną bez wieści.

Jan, mój pradziad, ojciec Michała, po przyjeździe do Polski będącej wówczas pod panowaniem Rosji przeszedł – prawdopodobnie z przyczyn koniunktural-

nych – na prawosławie, nic więc dziwnego, że mały Michał wraz z braćmi i ojcem uczęszczają na nabożeństwa do cerkwi.

Mijają lata, Michał kończy odpowiednią (niestety, nie wiem jaką) szkołę, i po odbyciu przewidzianych praktyk obejmuje stanowisko naczelnika poczty w Sieradzu, leżącym prawie w równej odległości pomiędzy Kaliszem a Łodzią.

\* \* \*

Walenty Szczepański, urzędnik magistracki w Kaliszu, w czasie przygotowań do wielkiego balu charytatywnego przygląda się grupie dziewcząt z cieszącej się w tym mieście największym uznaniem szkoły niedzielno-handlowej, pensji p. H. Semadeniowej.

Dziewczęta wycinają kwiaty z kolorowego papieru i upinają je na ciężkich kotarach magistrackiej sali balowej. Mój przyszły pradziad Walenty pod pozorem pomocy przy pracy przedstawia się szesnastoletniej Józefie Lipskiej. Wprasza się również na uroczystość zakończenia kursu handlowego i wręczenia świadectw. Poznaje rodziców Józefy, moich prapradziadków. Wkrótce po tym wydarzeniu Walenty oświadcza się i młoda para staje na ślubnym kobiercu. Zamieszkują u rodziców Józefy, w dużej kamienicy w centrum Kalisza. Józia mając 17 lat, zostaje mamą mojej przyszłej babci Marii.

Babcia Maria zapamiętała ten dom. Opowiadała mi, że będąc małą dziewczynką, tańczyła w salonie przy muzyce fortepianowej, rozśmieszając ważne pannie w bufiastych strojach. Towarzystwo zbierało się na pogaduszki przy herbacie z samowara, podawanej z konfiturami. Raczone się również gorącym krupnikiem z imbryka, w którym uprzednio w odpowiednich proporcjach połączono miód gryczany, przyspawę i wódkę.

Walenty zostaje powołany do armii carskiej. Przed nim 25 lat służby! Zostawia młodą żonę z córeczką Marysią. Pragnie do nich wrócić jak najszybciej. W tym celu pije różne substancje, w tym naftę. Usiłuje uszkodzić sobie żołądek. Plan się udaje. Wysyłają go do lazaretu. Po jakimś czasie komisja lekarska uznaje Walentego za niezdolnego do służby wojskowej. Zostaje odesłany do domu. Niedługo jednak cieszy się wolnością u boku rodziny. Po roku pradziad mój umiera z powodu zrujnowanego układu trawiennego.

Wkrótce po tym tragicznym wydarzeniu, na skutek jakiejś epidemii umierają prawie równocześnie rodzice Józefy. Zadłużony dom zostaje zlicytowany. Józefa przyjmuje pracę w miejskim hotelu. Ukończyła przecież kurs handlowy w renomowanej pensji. Prowadzi magazyn bielizny i zastawy stołowej. Nadzoruje pracę szwalni i prasowni. Pomaga jej przy tym dorastająca córka Maria, którą Józefa zapisała na kursy kroju i szycia. W hotelowej prasowni Maria uczy się krochmalenia kołnierzyków i mankietów męskich koszul.

\* \* \*

Kalisz jest najdalej wysuniętą na zachód stolicą guberni cesarstwa rosyjskiego. Gubernator zwołuje wielką naradę gospodarczą swojego okręgu w celu omówienia przygotowań do budowy kolei żelaznej, którą uruchomiono w Kaliszu po kilkunastu latach od tego wydarzenia, w 1902 roku. Połączyła ona miasto gubernialne z Warszawą i innymi ośrodkami w kraju.

W konferencji bierze udział przedstawiciel zarządu cesarskiej *żelaznej drogi* Iwan Filatowicz Wachruszczew, mianowany przez gubernatora generalnym dyrektorem okręgowej dykcji budującej się kolei.

Nie wiem, jak doszło do spotkania *gospodina* Iwana Filatowicza z moją prababką Józefą. Na pewno sprzyjał temu fakt, że młoda wdowa pracowała w hotelu miejskim, gdzie odbywała się narada. Tam Wachruszczew musiał zobaczyć ją pierwszy raz. Wkrótce Iwan i Józefa zostają małżeństwem. Wydarzenie jak z bajki. Józefa i jej córka Maria przynajmniej przez kilka lat żyją dostatnio. Maria z radością wita przychodzącego na świat przyrodniego braciszka, Iwana Iwanowicza.

\* \* \*

Nie jest mi znany moment poznania się panny Marii z kawalerem Michałem Gocanem, naczelnikiem poczty w Sieradzu. Przypuszczam, że również mogło ono nastąpić w hotelu przy okazji konferencji w sprawie rozbudowy kolei żelaznej. Może Maria pomagająca mamie w pracach hotelowych miała za zadanie podawać powitalne bukietki zjeżdżającym się na naradę? Może Michał, który mówił świetnie po rosyjsku i niemiecku, był oddelegowany do obsługi pocztowo-telegraficznej owego zgromadzenia?

Faktem jest, że Michał znał ojczyma i mamę Marii już od jakiegoś czasu. W każdym bądź razie wkrótce Maria zamieszka ze swoim mężem Michałem w jego wynajętym mieszkaniu, w Sieradzu, gdzie na świat przyjdą ich dzieci: Elżbieta (Liza), Klemens (Klim), Nadzieja (Nadieżda) i moja przyszła mama Tatiana.



Prababcia autora Józefa Szczepańska z d. Lipska, wyszła za mąż za Iwana Filatowicza Wachruszczewa. Moskwa 1916 r.  
Jeszcze na Arbacie



Dziesięć lat po rewolucji październikowej. Józefa i Iwan w Kłaźmie, 1926 r.



Babcia Maria i dziadek Michał, rodzice mamy autora. Radziwiłłów, 1938 r.

Narasta niepokój. Jest rok 1905. Napływają wieści o demonstracjach. Jedna z nich, zorganizowana przez Polską Partię Socjalistyczną na Placu Grzybowskiem w Warszawie, była pierwszym od powstania styczniowego polskim zrywem niepodległościowym. To wtedy, po raz pierwszy od czterdziestu lat przypomniano hasło niepodległości Polski. Carska policja zaatakowała demonstrantów. Były ofiary po stronie policji, bojowców i ludności cywilnej.

Hasło: „Precz z caratem, niech żyje wolny polski lud!” – rozlegało się po całym kraju.

Rosjanie zaczynają się czuć niepewnie. W 1910 roku ojczym Marii postanawia wracać do Moskwy, gdzie na Arbacie czeka na niego kamienica odziedziczona po przodkach.

W tym czasie Michał z Marią przenoszą się z Sieradza do Kalisza. Mieszkają w niewielkim domku na peryferiach miasta, nieopodal koszar pułku kozackiego. Moja przyszła babcia Maria obszywa oficerów i gotuje dla nich obiady domowe.

Jej ojczym Iwan Fiłatowicz i mama Józefa, by ulżyć Marii i Michałowi, proponują wzięcie ze sobą do Rosji chociaż jednej wnuczki, która w Moskwie pójdzie do szkoły, a po jej ukończeniu wróci do Polski. Potem, jeśli wszystko dobrze się ułoży, wszyscy przyjadą do Rosji i tam się jakoś urządzią. Zdecydowano, że z babcią i dziadkiem pojedzie do Moskwy Liza.

Na dworcu kolejowym w Kaliszu przed wagonem salonką rozstają się, jak życie później pokazało, na zawsze. Pociąg odjechał, a na peronie pozostali Maria, Michał i ich dzieci, Klemens i Tatiana. Nie było z nimi Nadziei. Została w domu, sparaliżowana; w wyniku upadku z drabiny złamała kręgosłup.

Moja babcia Maria nigdy już nie ujrzała swojej mamy Józefy, a córkę Lizę jedynie raz, po blisko 60 latach. Wtedy też spotkali się ze swoją siostrą moja mama, ciocia Zosia i wujek Jan. Dziadek Michał nie dożył tej chwili, zmarł w 1946 roku.

Zbliża się I wojna światowa. Zanim wybuchnie, babcia Maria urodzi jeszcze córkę Zofię i drugiego syna, któremu dadzą imię po jego dziadku Janie Gotzu. Wujek Klemens (Klim) idzie *w soldaty* [ros., do wojska]. Jest kozakiem w tutejszym pułku. Pięknie śpiewa, gra na gitarze i harmonii. Po raz ostatni, jak opowiadała moja mama, widzą się tuż po wybuchu wojny. Przed wyruszeniem pułku na wojnę pozwolono mu jeszcze pożegnać się z rodzeństwem i rodzicami. Przyjechał na koniu, ubrany w hajdawery, z gitarą przytroczoną do siodła, z dwoma innymi kozakami, też Polakami, poddanymi cara rosyjskiego.

Z tej okazji babcia zorganizowała uroczystą kolację. Klemens dużo wypił. Śpiewali dumki rosyjskie i ukraińskie.



Matka autora Tatiana i jej brat Jan Gocan. Lata 30. XX w., Dubno.

Na pożegnanie, siedząc już na koniu, akompaniując sobie na gitarze, zaśpiewał (przycaczam słowa tej piosenki, tak jak utrwaliła się w mojej pamięci podczas babcinych opowiadań):

Spójrz mateńko, *obemysia* [odwróć się]  
Na synoczka *podywysia* [popatrz na syneczka]  
Ja tu wrócę, mój tateńku, *ne zahynu* [nie zaginę], matuleńko  
Zawsze myślcie: wróć, nasz synu  
I ja *kłanuś szczo* *ne zahynu*. [przysięgam, że nie zaginę]

Zadudniły kopyta kozackich koni, i tyle Klima widziano. Następnego dnia jego pułk wyruszył na wojnę.

W 1914 roku, 2 sierpnia, ostatnie oddziały rosyjskie opuściły w pośpiechu Kalisz, wycofując się przed Niemcami. Z niewyjaśnionych przyczyn ci ostatni zbombardowali doszczętnie miasto i spalili piękny kaliski teatr. Z 70 tysięcy mieszkańców zostaje jedynie 5 tysięcy. Reszta ucieka. Babcia i dziadek z dziećmi jadą do Wielunia, a potem do Łaska. Nie mają tutaj odpowiednich warunków do życia. Przymierają głodem. Szukają nowego miejsca do zamieszkania i pracy. Podążają na wschód. Trafiają do Radziwiłłowa w powiecie dubieńskim na Wołyniu, gdzie dziadek Michał dostaje pracę kontrolera rozładunku wagonów kolejowych i wypisuje listy przewozowe na stacji załadunkowej.

W 1917 roku w Rosji wybucha „Wielka Socjalistyczna” rewolucja październikowa. Rok później Polacy uwalniają się od zaborców. Powstaje II Rzeczpospolita. Jeszcze raz nad głowami dziadków przetacza się wojna – polsko-bolszewicka 1920 roku. Wtedy to docierają do nich wieści o losach ich syna Klemensa. Po wyjściu z kozakami z Kalisza w 1914 roku, brał udział w wielu potyczkach z Niemcami. Wyróżniał się; został zauważony przez jednego z dowódców, który zatrzymał go przy sobie na stanowisku adiutanta. Zabierał go na narady sztabowe do Petersburga. Wieczorami Klim zabawiał generałów śpiewem i grą na gitarze. W ten zapewne sposób trafił na dwór carski. Był tutaj towarzyszem zabaw dzieci cara. Uczyl ich fechtunku, jazdy konnej, śpiewał, grał na harmonice, bałałajce i gitarze.

Niespokojny duchem, ciekawy świata, żywo interesuje się Leninem i jego nauką. Nie zagrzewa miejsca na dworze carskim. Przechodzi na stronę rewolucji. Wstępuje do czerwonej Armii Konnej. Bierze udział w wojnie przeciwko wojskom Piłsudskiego w 1920 roku. Ginie bez wieści w walkach z polskim wojskiem o Kijów, niedaleko Czernihowa na Ukrainie.

W tym samym mniej więcej czasie i miejscu mój przyszedł, wtedy 20-letni ojciec pod dowództwem generała Krajowskiego (Czecha z pochodzenia, o rodzimym nazwisku Kralicek) zdobywa Wołyń z Kijowem dla odradzającej się II Rzeczypospolitej.

Dziadek Michał oferuje swoje doświadczenie poczmistrzowskie nowym polskim władzom w Radziwiłłowie. Ma nadzieję, że zostanie naczelnikiem organizującej się placówki Poczty Polskiej. Niestety, jako prawosławny może pracować co najwyżej jako listonosz. Godzi się na to, a dodatkowo podejmuje pracę administratora i dozorcę miejskiego jarmarku. Jest podłamany, coraz częściej zagląda do kieliszka. Rodzina mieszka w niewielkim dozorcowskim domu, nieopodal młyna wodnego, na terenie placu bazarowego. Babcia sprząta kościół, pierze bieliznę księżom i wykorzystując nabytą w czasach kaliskich praktykę, szyje i krochmali koloratki. Obszywa także sąsiadów i lepszych państwa.

Moja przyszła mama Tatiana z siostrą Zofią pod fachowym okiem babci Marii uprawiają się w krawiectwie. Wujek Janek terminuje u mistrza rzeźnickiego. Uczy się rozbioru mięsa i wyrobu wędlin. Gromadzi wokół siebie wesołą młodzież, rysuje konie i portreciki, gra na gitarze i śpiewa swoim cudownym barytonem.

W 1929 roku Tatiana poznaje mojego przyszłego tatę, Kazimierza Strońskiego. W 1930 roku w Radziwiłłowie rodzi się mój brat Adam, ja – trzy lata później – w Dubnie. Rok 1938 pozostawił szczególny ślad w mojej pamięci. Utrwalił się w niej obraz miasteczka wraz z targowiskiem, domku babci i dziadka, najbliższej okolicy. Myśląc dzisiaj o Radziwiłłowie i bliskich mi wówczas osobach, pozwolę sobie przywołać słowa Józefa Ignacego Kraszewskiego, który w swojej książce pt. *Złoty Jasieńko* opisuje takie wołyńskie małe miasto.

„Miasteczko położone na jednym z głównych traktów wiodących z prowincji, w bydło najpiękniejsze obfitujących, parę razy na tydzień ze znacznych partii wołów ukraińskich i wołyńskich (...) mogło się zaopatrywać.(...) Z rzeźnika (...), wyszedł znacznie na spekulanta bydła, z czego miał dochody piękne, bo się znał dobrze i miał oko tak trafne, że wagę wołu, jego łój, wartość skóry i dobroć mięsa mógł z ujrzenia prawie na pewno ocenić, (...) w kapocie szarej, w butach do kolan, podpasany rzemiennym pasem, z trzcina w rękę szedł na targ sam, woły opatrywał”.

Czyżby to o Radziwiłłowie i moim wujku?

Może to sugestia, ale tak właśnie zapamiętałem to wołyńskie miasto, w którym byłem po raz ostatni w 1939 roku, a potem w 2000 roku pojechałem tam z żoną i moją stryjeczną siostrą Teresą. W tym mieście spotkali się i pokochali jej rodzice Janek i Maria.

Ogarnęła mnie fala wzruszenia. Robiąc zdjęcia, ukrywałem łzy wywołane tym, że znowu zobaczyłem to miejsce po 60 latach. Ten sam kościół, w którym zamiatała i myła posadzkę moja babcia, a ja pomagałem jej, przysuwając drewniany (by nie zdzierał podłogi) cebra z wodą. Przypomniałem sobie beztrudne dni spędzane z bratem u babci i dziadka. Rzekę i młyn, karły cyrkowe, stada ryczących krów i kwiczących świń spędzanych na targowicę. Wujka ważącego zwierzęta, wojskowym głosem nakazującego kupcom korzystanie z wagi w kolejności. Dla mnie wtedy było to szczęśliwe chłopięce życie. Nie miałem pojęcia o problemach i troskach dnia codziennego ludzi dorosłych.



Po latach, kiedy byłem młodzieńcem, w Sarbinowie, ciocia Zofia zwierzyła mi się ze swoich zmartwień i opowiedziała o uczuciu zniszczonym przez nieludzkie zasady. Na jej komódce zauważyłem zdjęcie pięknego młodego mężczyzny. Powiedziała, że to jedyna miłość jej życia, którą wraz z tym zdjęciem zabierze do grobu.

„Kilka lat przedtem, zanim tata zaczął was, ciebie i Adama, przywozić do nas, do Radziwiłłowa, polscy osadnicy legionowi zainicjowali zwyczaj urządzania noworocznych balów. Obok zabawy, chodziło głównie o poznanie się i zintegrowanie polskiego środowiska w tym ukraińsko-żydowskim żywiole. Na jednym z takich balów byłam ubrana w długą, czerwoną suknię przypominającą serce. Twoja babcia, mama i ja szyłyśmy ją przez wiele tygodni. Zdobyłam wtedy za ten strój pierwszą nagrodę. Na tym balu kilka razy zatańczył ze mną porucznik Wojska Polskiego, Janek. Zakochaliśmy się. Od tego czasu kilkakrotnie umawialiśmy się na randki. Raz nawet pojechaliśmy do Lwowa i Brodów” – mówiła, snując dalej wspomnienia. – „Oświadczył mi się. Planowaliśmy ślub. Jego rodzice, osadnicy legionowi, nie byli tym zachwyceni – moi rodzice byli biedni. Janek jednak poinformował dowództwo swojego pułku o zamiarze zawarcia małżeństwa. Kazano mu złożyć podanie do Komisji Oficerskiej pułku”.

Biedna ciocia, nie miała pojęcia, że w okresie międzywojennym, w II RP kandydatka na żonę oficera, poczynając od podporucznika, musiała złożyć jego przełożonym świadectwa: maturalne, o nieposzlakowanej moralności i pochodzenia z tak zwanego dobrego domu.

„Niestety, nie miałam matury. Tata był listonoszem, pracował także na targowisku miejskim, gdzie handlowało się żywym inwentarzem, i w dodatku był prawosławny. Komisja Oficerska odpowiadając na podanie Janka o udzieleniu mu zezwolenia na zawarcie ze mną związku małżeńskiego, nie wysunęła co do mnie ‘formalnych zarzutów’. Sprzeciwiła się jednak naszemu małżeństwu ze względu na, jak to ujęto: ‘pracę ojca kandydatki, która uniemożliwiłaby utrzymywanie jakichkolwiek stosunków towarzyskich z korpusem oficerskim’”. Janka posłano do służby na dalekie pogranicze, słuch o nim zaginął. „Dość wspomnień. Co było, to było...” – zakończyła ciocia, dyskretnie wycierając łzy.

Dopiero wiele lat po wojnie ciocia Zofia wyszła za mąż za wdowca. Chciała się wyrwać z wiejskiego sarbinowskiego życia, do którego nie mogła się przystosować. Zamieszkała w Szczecinie. W końcu lat 90. ubiegłego wieku jej siostrzenica Ludmiła z Moskwy, córka Lizy, i ja z Cecylią odwiedziliśmy ją w tym mieście. Spotkaliśmy się wszyscy u Teresy i jej męża Wacława przy kominku. To było moje ostatnie spotkanie z ciocią Zosią. Dla Ludmiły – zarazem pierwszej i ostatnie. Ludmiła nie mogła oderwać oczu od cioci Zosi, tak bardzo była podobna do Lizy, jej nieżyjącej już mamy.

Ciocia wspominała minione lata. „Pamiętasz, Rysiu, jak stroiłam cię w duże kokardy? Nosileś krótkie spodenki z taką klapką zapinaną z przodu zamiast rozporka. Chłopcy śmiali się z ciebie i mówili, że masz gołębnik”. Mówiła o swojej

jedynej miłości. Śpiewała. Miała piękny operowy głos, jak wujek Janek i moja mama, z którą ciocia Zosia śpiewała w chórze w Radziwiłłowie.

\* \* \*

Elżbieta (Liza) po wyjeździe salonką z Kalisza znalazła się w zupełnie innym świecie. Znała wprawdzie język rosyjski, poszła w Moskwie do szkoły, miała koleżanki, wciąż jednak tęskniła do swojej mamy Marii i taty Michała, do sióstr i braci. Miała nadzieję, że zaraz po wojnie ktoś przyjedzie z Polski i ją zabierze. Tymczasem po I wojnie światowej, rewolucji październikowej i wojnie polsko-bolszewickiej wszystkie granice zostały zamknięte. Moja prababcia Józefa i jej drugi mąż Iwan Fiłatowicz Wachruszczew dość wcześnie, bo jeszcze w okresie NEP-u sprzedali moskiewski dom na Arbacie i kupili dachę wśród lasów za Moskwą, w Kłaźmie. Zamieszkali tutaj z wnuczką Lizą oraz ich synem Iwanem, jej wujkiem, przyrodnym bratem mojej babci Marii.

Iwan Iwanowicz, wybitny przyrodnik i zoolog prowadził hodowlę psów myśliwskich, przede wszystkim łajek. Jego psy w okresie międzywojennym grały w wielu filmach, m.in. w obrazie „*Letuczaja Poczta*”. Napisał wiele książek o hodowli psów i polowaniu z łajkami. Jedną z tych pozycji pt. „*Ochota z łajkoj*” (Polowanie z łajką) przechowuję w mojej domowej bibliotece. Łajka, która utorowała drogę pierwszemu kosmonaucie świata Jurijowi Gagarinowi i na zawsze pozostała w kosmosie pochodziła właśnie z hodowli Iwana Iwanowicza Wachruszczewa.



Iwan, brat Marii, babci autora.  
Moskwa, 1916 r. Jeszcze na Arbacie



...pochodziła z hodowli Iwana Iwanowicza  
Wachruszczewa

Liza wychodzi za mąż. Jej pierwszym mężem był Żyd, organizator trup teatralnych, zespołów cyrkowych i muzycznych. Żyje wesoło i bogato. Korzysta w pełni z Nowej Ekonomicznej Polityki, którą dla ratowania gospodarki Rosji ogłasza Lenin. Wraca do łask prywatna inicjatywa. Kwitnie życie gospodarcze. Do wyboru jest mnóstwo rozrywek. Mąż Lizy nie chce mieć dzieci. Rozwodzą się. Mija kilka lat, Liza znowu zostaje wyswatana, tym razem z Ukraińcem, pracującym w pociągach dalekobieżnych jako steward. Rodzą się moje siostry cioteczne: Ludmiła (Miła), Ania i Luba.

W domu rodzinnym w Kłazmie, zanim wybuchnie wojna, mieszkańcy jakoś sobie radzą. Moja prababka Józefa i ciocia Liza skrywają swoją polskość. Czasami tylko pada „psia krew” i „cholera”, które Miła zapamiętała z dzieciństwa.

Część domu wynajmują jakiemuś ważnemu letnikowi z Moskwy. Okazał się nim ludowy komisarz spraw wewnętrznych (NKWD) Nikołaj Iwanowicz Jeżow. Ten człowiek o 150 cm wzrostu, bezwzględny oprawca biorący osobisty udział w torturach, zapędzający przemocą chłopów do kolchozów, jeden z założycieli łagrów na Syberii, tak jak na rozkaz Stalina w 1936 roku został mianowany, tak już dwa lata później go odwołano. Przyjeżdża jeszcze do Kłazmy do 1940 roku, wystraszony i załamany. W końcu ci sami oprawcy, kiedyś jego podwładni, ale teraz już podlegli jego następcy Ławrentijowi Berii (jego podpis, obok podpisu



Kłazma, 1963 r. W drzwiach stoi Miła, przed nią Luba, ciocia Liza, Ania i autor z córeczką Miły Tanią

Stalina, figuruje pod rozkazem skazującym na śmierć polskich oficerów w Katyniu), wpadają na daczę i wywożą Jeżowa. W krótkim czasie zostaje osądzony i rozstrzelany.

W czasie II wojny światowej, kiedy Niemcy doszli do Moskwy na odległość 30 km, z niedożywienia i wycieńczenia umierają w 1942 roku, prawie równocześnie, moja prababka Józefa i jej mąż Iwan Filatowicz Wachruszczew. Ich ciała, przewiezione na dziecięcych sankach ciągniętych przez moją ciocię Lizę i pozostałych domowników złożono w lesie nieopodal domu, w grobach wyrąbanych kilofami w zamrożonej ziemi. Wysoko na drzewach powieszono tabliczki z nazwiskami zmarłych. Krótko po wojnie brygady robotników leśnych wycięły las. Próby odnalezienia miejsca pochówku moich pradziadów nie powiodły się.

Niemcy zostają odepchnięci od Moskwy. Cała Rosja pracuje dla frontu. W tych trudnych czasach dorasta Miła. W nauce pomaga jej wujek Iwan Iwanowicz Wachruszczew. Zadania matematyczne rozwiązują na wolnych od druków brzegach gazet i papierkach po cukierkach.

Miła po ukończeniu szkoły średniej (później, już pracując, skończyła studia z zakresu energetyki), zostaje zatrudniona w ministerstwie kolejnictwa. Anka zaś zostaje geologiem.

Ludmiła wychodzi za mąż za Jurija Borysowa. Stało się to w głównej mierze za namową matki jej przyszłego męża, przyszłej teściowej, Cyganki. Niedługo potem Jura i Miła cieszą się z przyjścia na świat jedynej córeczki Tatiany. Pewnego dnia kilkunastoletnia już Tania wraz z wieloma innymi osobami przechodzi kładką nad torami do parku. Zbrojenie konstrukcji było przeżarte rdzą, kładka załamała się pod ciężarem ludzi. Zginęło kilkanaście osób. Tania umarła w szpitalu. Prasa milczała. W ZSRR oficjalnie nie zdarzały się przecież takie wypadki. O czym tu zresztą pisać? O ludzkiej tragedii i zaniedbaniach towarzyszy komunistów? Co innego, gdyby to było knowanie amerykańskich imperialistów, działanie sabotażystów bądź wrogów klasy robotniczej i chłopstwa kolchozowego, z uporem i oddaniem budujących komunizm, świetlaną przyszłość wielkiej rodziny narodów, wielkiego Związku Radzieckiego i krajów obozu socjalistycznego wiernie kroczących w jednym szeregu drogą wytyczoną przez wielkiego Lenina i Stalina.

Miła najbardziej odczuwała potrzebę utrzymywania kontaktów z Polską i Polakami. Chętnie przyjmowała w Moskwie moich znajomych przyjeżdżających z Warszawy. Zaprzyjaźniła się z nimi, pomagała w różnych sprawach. Często także przyjeżdżała do Polski na podstawie oficjalnego zaproszenia ode mnie lub naszej wspólnej przyjaciółki Heleny. Wracając do kraju, Ludmiła musiała składać informację o swoim pobycie i kontaktach. Dotyczyło to także jej męża Jury, zdolnego specjalisty od wszystkiego. Ta procedura była konieczna, tym bardziej że oboje nie należeli do partii, choć pracowali w instytucjach objętych tajemnicą: Jura w instytucie doświadczalnym projektowania i produkcji szkła wykorzy-

stytwanego zapewne przez wojsko, a Miła dzięki wstawiennictwu letnika z KGB „wo wtorom gorodie” [ros., w drugim mieście], gdzie jako inżynier energetyki nadzorowała pracę urządzeń energetycznych i chłodniczych. W podziemiach Moskwy istniało wiele obiektów specjalnych zajmujących tysiące kilometrów kwadratowych: bunkrów, tuneli, a nawet oddzielna linia metra. Zbudowane dla szefów Komitetu Centralnego, ministrów oraz głównych działaczy partyjnych na wypadek wojny, wszystko było ekskluzywnie wyposażone. Właściwie każde sowieckie ministerstwo strategiczne posiadało pod powierzchnią stolicy własną sieć tuneli i bunkrów. Były one urządzone nie gorzej niż pięciogwiazdkowe hotele. Za ochronę tych obiektów, ich utrzymanie i stan techniczny odpowiadał XV Zarząd KGB. Pamiętam ostrzeżenie mojej ciotecznej siostry, gdy pewnego razu będąc w Moskwie, wskazałem palcem na gmach, w którym, jak przypuszczałem, pracowała; poprosiła, abym nie robił tego więcej. W ZSRR wszyscy bali się wszystkich. Teraz Miła i Jura są już na emeryturze, nic im nie grozi.

W lipcu 2004 roku pojechałem do Uzarzewa koło Poznania. W tamtejszym kościele w 1946 roku służyłem do mszy. Byłem ministrantem, towarzyszyłem księdzu przy pogrzebie mojego dziadka Michała. Miejsce, w którym był pochowany zapamiętałem na zawsze. Wiem, że jego wiara prawosławna (moi rodzice ukryli ten fakt przed proboszczem) nie miała znaczenia, Bóg przyjął go na swoje łono, jak każdego innego śmiertelnika. Na krzyżu zawisł Chrystus znaleziony na rampie w Bytomiu. Poprosiłem księdza proboszcza o dokument zgonu dziadka. Potem długo rozmawialiśmy o historii kościoła i tutejszych okolic, bliskich mi przez to, że mój dziadek Michał spoczął w tej ziemi, a ja spędziłem tutaj ponad sześć lat życia. W latach 1996–2001 przeprowadzono remont kościoła i wieży. Przy tej okazji w kuli wieńczącej wieżę znaleziono list, który w roku 1868 umieścili tam budowniczowie wieży. Sam zaś kościół istniał już w 1510 roku.

W liście czytamy: „Do parafii Uzarzewskiej należą następujące wsie: Uzarzewo z Hubami i Olęderkami, Świącinek, Jankowo, Góra, Sarbinowo, Biskupiec, Bugaj. W parafii jest dusz katolickich 775, protestantów 650, żydów ani jednego. Dochody plebańskie ograniczają się na zbiorach 229 mórg ziemi, pobieraniu 5-tego procentu od 2300 Tal. kap. I mesznego z parafii w ilości 92 wist. Żyta 77 wist. Owsa przypadającego na św. Marcina. Meszne płacą katolicy i protestanci (...).

Papież Pius IX, Pobożny, wielkoduszny, szlachetny Pius, tak nas nieszczęśliwych Polaków ukochał, że nakazał modły po całej kuli ziemskiej za nas i za uciśniony pod berłem rosyjskim kościół polski. Sam jest męczennikiem, bo odarty ze swego Państwa Kościelnego przez nieczne syny włoskie i ich króla Wikt. Emanuela, utrzymuje się jedynie prawie ze Świętopietrza. Od roku 1815 zostajemy pod panowaniem pruskim, obecnie jest królem Wilhelm I, (...). Administracja i sądownictwo pruskie jest wprawdzie niezłe, ale stara się nas całymi siłami zgermanizować. Los nasz w porównaniu do braci naszych zostających pod

berłem rosyjskim, jest dość znośny, mimo to tęsknim za własną ojczyzną i własnym rządem. Gdy te słowa Bracia mili kiedyś czytać będziecie, może już wam wolno będzie zwać się synami wolnej, a wolnej od morza do morza najdroższej Polski, w której zmartwychwstanie i my niezłomną pokładamy nadzieję.

Uzarzewo, dnia 12-go Sierpnia 1868 roku”.

– Myśmy też do tej kuli dołożyli swój list dla potomnych i zamurowali, może ktoś kiedyś to przeczyta – mówiąc to, proboszcz podał mi jego kopię.

Czytam: „...Odzyskanie niepodległości w 1918 roku symbolizuje moneta z wizerunkiem Józefa Piłsudskiego, którego zasługi w tym dziele są bezsporne. Wybór Polaka na papieża miał miejsce w 1978 roku. Zaszczytu tego dostąpił kardynał Karol Wojtyła, przyjmując imię Jan Paweł II-gi (...), a Polska zawdzięcza Mu niemało w uzyskaniu pełnej suwerenności. Uwolnienie się od komunistycznej supremacji zawdzięczamy „Solidarności” (...). Parafia (...) terytorialnie od 1868 nie zmieniła się wcale, ale jej oblicze odmieniło się radykalnie. Nie ma już protestantów, a niemal wszyscy mieszkańcy deklarują wyznanie katolickie. Choć teraz nie ma już żadnych utrudnień w uprawianiu praktyk religijnych, to jednak na ogólną liczbę 2250 zdeklarowanych katolików, tylko ok. 1/3 gorliwie spełnia obowiązki religijne. Napawa to smutkiem naszego proboszcza, którym od 1970 r. jest ks. kanonik Stefan Rudowicz. (...) Dochody parafii pochodzą z dobrowolnych ofiar wiernych, (...) oraz z dzierżawy 45 hektarów gruntów parafialnych.(...)W parafii nie ma już szkół katolickich czy protestanckich, gdyż szkolnictwem zajmuje się państwo, a religia nauczana jest w szkołach nieobowiązkowo (tylko katolicka) przez nauczycieli świeckich lub rzadziej przez księży.(...) Nasze pokolenie cieszy się pełną wolnością, jednak okazało się, że w wolnej Trzeciej Rzeczypospolitej, jest coraz większa rzesza ludzi, których nęka bieda i bezrobocie. Jednocześnie, w ciągu zaledwie kilkunastu lat powstały niewyobrażalne fortuny, a pęd do bogacenia się (...) stał się głównym celem w życiu. Nie wszystkim jednak dane było cieszyć się w odrodzonym kraju. Bezrobocie, bezdomność i bezradność – to nowe zagrożenia nękające nasze społeczeństwo z coraz większym nasileniem (...). Uzyskailiśmy niepodległość i niezawisłość kraju, ale nie udało się nam znaleźć recepty na sprawiedliwszy podział tego, co wspólnie wszyscy razem wypracujemy. Może uda się Wam, którzy to czytacie?

Uzarzewo, dnia 11 listopada 2001 r. w rocznicę odzyskania niepodległości”.

Przeraził mnie ostatni akapit tego listu! To kiedy ma zniknąć ten niesprawiedliwy podział tego, co wspólnie wypracujemy? Do czasu następnego remontu? Za 133 lata? Może szkoda, że nie można wrócić do „sprawiedliwych” czasów Polski Ludowej...?

Przyszło mi w tej chwili do głowy ukraińskie powiedzonko, nawet nie wiem, czego dokładnie dotyczyło. Powiedzmy, że mogłoby odnosić się do mojego życia, oczywiście z małą poprawką na trzeci okres...

Pierwszy okres: *niczoho ne buło*. [niczego nie było]  
Drugi: *buło taj zahynulo*. [było, ale zginęło]  
I trzeci: *szczę bude?* [jeszcze będzie?]

## Wólka

Z Dubna nad Ikwą do Solca nad Wisłą jest około 400 kilometrów.

W gajówce, w nieodległym od Solca Dziurkowie urodziła się dziewczynka. Na chrzcie w soleckim kościele nadano jej dwa imiona: Cecylia Zofia.

Nikt na świecie nie przypuszczał wtedy, że chłopiec o imieniu Ryszard, który przyszedł na świat w Dubnie na Wołyniu, za 20 lat pozna w Miastku, na kaszubskiej ziemi, Cecylię Zofię, i zostaną mężem i żoną. Aby się tam spotkać, musieli przez te lata przebyć wiele kilometrów – ona 550 z Wólki, on ponad 900 z Dubna.

Urodzili się w stuleciu największych wydarzeń, w czasie gdy II RP przeżywała trudny czas. Powoli kończyły się lata wielkiego kryzysu gospodarczego. Wszędzie widoczne było powszechne zubożenie społeczne. Z powodu inflacji

i trudnej państwowej reformy finansowej, po kraju, od kościoła do kościoła, od odpustu do odpustu, wędrowało z torbami tysiące żebraków.



Eleonora i Michał Dzbukowie, babcia i dziadek Cecylii.  
Wólka. Na przełomie XIX i XX wieku

Cecylii i jej braciom, Tadeuszowi i Ryszardowi w gajówce żyje się nienajgorzej. Jak tylko mogą, pomagają w gospodarstwie rodzicom, mamie Stanisławie i tacie Antoniemu. Babcia Eleonora i dziadek Michał mieszkają w Wólce, odległej o 8 kilometrów od Dziurkowa. Gospodarują na ziemi posagowej babci i deputowej dziadka, który także był kiedyś gajowym.



Stanisława i Antoni, rodzice Cecylii. Leśniczówka Miodne, lata 1936–1938

Para koni w godzinę dowozi rodzeństwo do Wólki, gdzie beztrudno bawią się i włączają do pomocy, pasąc babcine krowy i gęsi, poganiając konie przy kieracie, ustawiając kopy zżętego żyta i pszenicy.

Później do dziadków było już znacznie dalej, bo aż kilkadziesiąt kilometrów; Antoni Tomala na polecenie nadleśnictwa musiał opuścić Dziurków i zamieszkał z rodziną w nowej placówce w Miodnem koło Zwolenia, obejmując stanowisko podleśniczego. U babci i dziadka w Wólce zostaje starszy brat Cecylii, Tadeusz. Pomaga w gospodarce i chodzi tam do szkoły.

W Janowie koło Zwolenia w dwuklasowej Publicznej Szkole Powszechnej na koniec roku szkolnego 1937/1938 w oddziale drugim Cecylia uzyskuje trzy oceny bardzo dobre: z religii rzymsko-katolickiej, ćwiczeń cielesnych i sprawowania. Z pozostałych przedmiotów – oceny dobre. Zatem jest już uczennicą klasy trzeciej, którą na szczęście właśnie utworzono. Jednak po jej zakończeniu... ponownie „przechodzi na drugi rok nauki 1939/1940 do klasy trzeciej”. To nie pomyłka, albowiem w tej szkole nie istniał oddział czwarty, a najbliższa pięcioklasowa szkoła była odległa o wiele kilometrów, znacznie więcej niż było z Miodnego do Janowa. Zgodnie z zaleceniem władz oświatowych II RP, dzieci mimo ukończenia odpowiedniej klasy powinny były powtarzać w niej naukę, by nie zapomnieć tego, czego się nauczyły na wypadek, gdyby w szkole powstały kolejne oddziały.

Kto miał dowozić dzieci do szkoły? Kolei ani autobusów nie było.

W kolonii Miodne mieszkało bardzo wielu Żydów, którzy handlowali ubraniami i złomem żelaznym oraz zajmowali się drobnym rzemiosłem, szewstwem czy krawiectwem.

Piekarz Icek Gold przywoził do leśniczówki świeże bułki, ciasto z kruszonym i żydowskie chałki, skrzętnie zapisując w zeszycie z niebieskimi okładkami ilość dostarczanego pieczywa. Pani leśniczyna nie sprawdzała zapisu, piekarz nie upominał się o zapłatę; wiedział, że nastąpi z początkiem następnego miesiąca.

Mimo że Polacy i Żydzi na ogół sobie ufali, żyjąc obok siebie, to jednak katolicy, pomni, iż to Żydzi „umęczyli na krzyżu swojego rodaka Jezusa” woleli zbyt nie bratać się z wyznawcami judaizmu. Cecylia bawiła się ze wszystkimi, nie zważała na przestrogi i ostrzeżenia, że „Żydzi mordują chrześcijańskie dzieci, by utoczyć ich krwi na macę”.

W pracach kuchennych, sprzątaniu, pieczeniu chleba, wyrabianiu masła i serów pomagała mamie Cecylii kuzynka taty nazywana ciocią Stefanią. W gospodarstwie i obejściu, przy koniach, krowach, pracie i świniami pracowali służąca i parobek.

Życie dziewczynki upływało beztrząsco na zabawach w pobliskim lesie, zbieraniu grzybów, gonitwach z psami. Jeździła na rowerze, bawiła się w chowanego, w „Budujemy mosty dla pana starosty”, w „Ojca Wergiliusza”, który „uczył dzieci swoje”, w berka i w klasy.

Pewnego razu absolwentka II klasy szkoły publicznej w Janowie została napadnięta przez olbrzymiego gąsiora. Ptaszyko złapał Cecylkę za sukienkę, zrzucił ją z roweru i pobiło, okładając skrzydłami i dziobiąc, gdzie popadło. Ręce i nogi podrapane, sukienka rozdarta, poplamiona krwią. Dziewczynka zdołała uciec do letniej kuchni, i tam, siedząc w kącie, gorzko płakała. To były, być może, jej pierwsze w życiu trudne chwile. Nie sądziła, że już niedługo nadejdą straszniejsze.

Zimą 1938 roku tata Antoni przygotowuje polowanie dla dygnitarzy rządowych. Musi wypełnić swój obowiązek. Pracowników nadleśnictwa nie interesuje, że jest przeziębiony i ma gorączkę. Naganka musi przebiegać sprawnie, a kto lepiej od Antoniego zna kozienickie lasy?

Polowanie udało się, ale Antoni ciężko zachorował. Wywiązało się zapalenie płuc, potem gruźlica. Leczenie domowe jest nieskuteczne. W szpitalu w Otwocku lekarze przeprowadzają zabieg sztucznej odmy. Wszystko daremnie. Tata Cecylii umiera w maju 1939 roku. Ciało jego złożono w grobie rodzinnym w Solcu nad Wisłą.

Dzisiaj trudno odtworzyć atmosferę tamtych majowych dni, kiedy zrozpaczona, osamotniona i zagubiona rodzina poszukuje sposobu na przetrwanie. Wszyscy wokół mówią o wojnie, każdy myśli tylko o sobie. Wdowa Stanisława z trójką dzieci stanęła przed ogromnym problemem. Co począć? Jak żyć w tej

nowej sytuacji? Na domiar złego nadleśnictwo żąda natychmiastowego opuszczenia leśniczówki.

– Dzieci, wyjeżdżamy do rodzinnej wsi – postanowiła Stanisława – do moich rodziców, do waszych dziadków, do naszego domu w Wólce.

– Jeszcze jest lato, będziemy kapać się w Ilżance, a wuj przyjmie mnie do czwartej klasy – ucieszyła się Cecylka.

Kierownikiem szkoły w Woli Soleckiej, do której Wólka bezpośrednio przylegał brat Stanisławy, Władysław, nazywany „wujkiem kierownikiem”, któremu w pracy pomagała żona Antonina, nazywana wujenką. Oboje w tej wiejskiej szkole przepracowali 40 lat.

Antonina pochodziła z Galicji, urodziła się, jak wówczas mówiono, w dobrej rodzinie, co najmniej trzykrotnie przebywała dłużej w Wiedniu. Tej mądrej i inteligentnej kobiecie zawdzięczać będzie Cecylia decyzję, jaką podjęła w przyszłości jej mama, by posłać ją „na nauczycielkę” do Liceum Pedagogicznego w Solcu.

Parobek i służąca pomogli zapakować do drewnianych kufrów rzeczy osobiste Stanisławy i jej dzieci. Włożyli je na duży wóz, do którego zaprzężono dwa konie. Kilka godzin wcześniej wyruszyła inna furmanka, załadowana szafami, krzesłami, łózkami i stołami oraz sprzętem gospodarstwa domowego.

Po raz ostatni, pochlipując, spojrzeli na miejsce, w którym przeżyli kilka szczęśliwych, dostatnich lat. Parobek Ignacy poganiał konie. Był piękny, ciepły, słoneczny wrześniowy dzień 1939 roku. Przed nimi około 40 kilometrów na skróty. Drogą przez Strugę zajądą na wieczór.

Ignacy zna ten skróty, nie zabłądzi. Konie są wypasione i choć im ciężko, ciągną równo. Podróż upływa spokojnie. Cecylia i jej brat Ryszard od czasu do czasu zeskakują z fury i idą obok matki, która rzadko korzysta z miejsca na koźle. Jest jeszcze młoda, niespełna czterdziestoletnią kobietą, da sobie radę i wychowa trójkę dzieci na porządnym ludzi – tak prawdopodobnie myślała, idąc obok wozu.

Tuż przed Strugą rozległ się huk granatów i serie z karabinów maszynowych. Co się dzieje? Niemcy? Polscy żołnierze?

– Dzieci, natychmiast pod wóz! Nie, nie pod wóz, bo konie poniosą! – krzyczy matka. – Biegnijcie pod to drzewo, tam, na miedzy!

Sama zaś wspina się na furmankę, chwytając coś, zeskakuje i biegnie do miejsca, gdzie ukryły się dzieci. Tutaj, pod drzewem, wygrzebuje rękami dołek, w którym umieszcza tekturowe pudełko, zasypuje je ziemią i zamaskowuje trawą. W ten sposób ukrywa dokumenty i odznaczenia państwowe swego zmarłego męża Antoniego. Gdyby trafiły w ręce Niemców, mogłyby się to źle skończyć. Na szczęście strzelanina ucichła, Ignacy lekko zaciął konie i wóz ruszył. Po pamiętce po Antonim nikt już nigdy nie wrócił. Ocalało tylko jedno zdjęcie taty Cecylii, w mundurze leśnika. Jak potoczyłoby się życie rodziny, gdyby żył? Kto wie? Antoni na pewno działałby w Batalionach Chłopskich lub w Armii Krajowej...

Wrzesień 1939 roku był piękny, nie czuło się nadchodzącej jesieni. Krajem zawładnęli okupanci. Pojawili się także w Wólce. Dzieci nie chodziły do szkoły. Niemcy dopiero tworzyli swoją administrację. Zdążyli już jednak uruchomić w budynku szkolnym obóz pracy, do którego zabrali brata Cecylii, Ryszarda. Cecylia pamięta, jak mama zorganizowała jego ucieczkę stamtąd: wyprowadziła go w kobiecym przebraniu.

Nauka w szkole rozpoczęła się dopiero z początkiem 1940 roku. Do tego czasu Cecylia w domu przy lampie naftowej przerabiała program klasy czwartej pod nadzorem wujka kierownika i wujenki Antoniny. W styczniu ruszyła szkoła. W programie nie było geografii ani historii Polski. Świadectwo ukończenia klasy czwartej w roku szkolnym 1939/1940, wypisane w języku niemieckim i polskim, stwierdza, że Cecylia przechodzi do piątego oddziału.

Chodząc do szkoły przez całą okupację, w domu uzupełniała wiadomości z przedmiotów zakazanych. Pomagała także mamie w pracach gospodarczych: pasła krowy, obierała ziemniaki, kroїła kapustę do kiszenia w beczce, wyrabiała masło, ubijając je w maselnicy, w zimowe wieczory darła gęsie pierze, latem zaś wraz z mamą prała bieliznę nad potokiem.

Wujenka Antonina, dla bliskich Tosia, wprawiała Cecylię w gotowaniu i pieczeniu. Mimo licznych prób, Cesia nie nauczyła się jednak prząść nici na kołowrotku. Za to w zbieraniu grzybów nie było lepszej specjalistki; świetnie znała las. Próbowwała też pomagać braciom w międleniu konopi i obróbce ich w wodzie. Latem pracowała przy żniwach, odbierając żęte zboże po kosiarzach, wiążąc snopki i ustawiając je w kopy. Jeszcze tylko jesienią wykopki i – znowu do szkoły.

Wólka, oddalona sześć kilometrów od Lipska, zapisała swoją tragiczną okupacyjną kartę. Niemcy wraz z artylerią okopali się nieopodal gospodarstwa Tomalów. Ślady tych okopów widnieją tam do dziś. Starszy brat Tadeusz walczył w Batalionach Chłopskich, a stryjeczni bracia – w Armii Krajowej. W domu, w którym mieszkała Cecylia, pod nosem Niemców kwaterowali partyzanci i sztab Armii Ludowej.

W niedalekim Katarzynowie w chłopskich chatach i stodołach ukrywali się partyzanci AL, którzy stoczyli z Niemcami zwycięski bój w rejonie wsi Niemeryczów i przygotowywali się do starcia w Woli Soleckiej. Poległo kilku Niemców, wielu było rannych. Niemcy pozostawili sprzęt bojowy, karabiny maszynowe, amunicję i granaty. Partyzanci, zabrawszy to wszystko, wycofali się w kierunku niedalekiej wsi.

Często było wtedy konieczne przekazywanie pilnych raportów. Sztabowcy co jakiś czas wciągali dwunastoletnią Cecylię do ryzykownych działań, polecając jej przenosić meldunki do Katarzynowa. Ukrywała je w fartuszu lub w koszyku, a w razie zatrzymania przez żandarmów miała mówić, że idzie się uczyć do koleżanek. Czy mogło się to przyczynić do zwycięskiej bitwy partyzantów

w Woli Soleckiej? Kto wie? Meldunki dostarczała też do leśniczówki. Którejś nocy partyzanci wykonali wyrok śmierci na leśniczym, który współpracował z Niemcami.

Cecylia pamięta ten dzień. Jej koleżanka Jagoda, córka leśniczego, biegnąc o świcie przez wieś krzyczała: „Zabili tatę, tatę zabili! Ludzie!!!”. Od tej pory Cesia bała się jeszcze bardziej, ale nadal nosiła tajną pocztę. Była wojna; każdy w jakiś sposób w niej uczestniczył.

W latach 80. wielu ludzi ze wsi pamiętających tamte wydarzenia chciało podpisać oświadczenie dla władz kombatanckich o tym, że Cecylia była łączniczką.

– Będiesz kombatancką, otrzymasz przywileje, różne ulgi i odznaczenia – mówili.

– Nie, nie trzeba, to była tylko przysługa, robiłam to, o co mnie poproszono – odpowiadała.

Zbliżał się rok 1944. Niemcy czuli już bliski koniec. Nerwowo przygotowywali umocnienia obronne. Wyszli mieszkańcy Wólki na koniec wsi, gdzie z kilku chałup utworzyli obóz-getto. Warunki były straszne: tłok, brak żywności i podstawowych warunków sanitarnych.

W lesie stacjonowała jednostka artyleryjska, do której z obozu pod konwojem Niemcy codziennie prowadzili kobiety do obierania kartofli, a mężczyzn do kopania dalszych umocnień.

Wreszcie przyszło wyzwolenie.

Któregoś ranka o świcie rozległy się wybuchy i długie serie z broni automatycznej.

– Wybiegliśmy na dwór, jak kto stał. Chcieliśmy schronić się w piwnicy, która wówczas była w miejscu, gdzie obecnie stoi nowa stodoła – wspomina Cecylia.

Nie zdążyli dobiec, wokół rozległo się gromkie rosyjskie: „Uraaaa!”. Żołnierze pytali o Niemców. Ktoś wskazał na las. Ruszyli w tym kierunku.

– Słyszeliśmy odgłosy walki, gęstą strzelaninę, jakieś wybuchy, które powoli cichły – mówi Cecylia. Żołnierze już nie wrócili. Baliśmy się ich, bo – jak mówiono na wsi – bolszewicy grabią, gwałcą i zabijają. Na szczęście skończyło się na strachu.

Rozpoczął się nowy etap w życiu Cecylii. Wyzwolenie dało nadzieję na lepsze, szczęśliwsze życie.

Moja przyszła teściowa, jej brat – wuj kierownik i wujenka Tosia, przy żywym zainteresowaniu starszych braci Cecylii, Tadeusza i Ryszarda ustalili, że będzie ona zdawać do Liceum Pedagogicznego w Solcu. Ukończy je w ciągu czterech lat i zacznie pracować w szkole w Woli Soleckiej. Może w przyszłości zastąpi wujka kierownika? Mieszkać będzie w rodzinnym domu. Później wyjdzie za mąż za nauczyciela, będą hodować krówkę, świnki i jakoś życie szczęśliwie się

ułoży – takie zapewne plany snuła jej mama. Zdawała sobie jednak sprawę, że zanim Cecylia dostanie miejsce w internacie, jej nauka będzie sporo kosztować. Trzeba było bowiem opłacać stancję i zaopatrywać dzieci w żywność. Dzieci, bo również Tadeusz rozpoczynał naukę w Technikum Leśnym w Kazimierzu Dolnym. Na gospodarstwie miał zostać Ryszard. Stanisława była motorem wszelkich działań, umiała właściwie zarządzać. Aby jednak gospodarstwo zapewniało dochody wystarczające na kształcenie dzieci, niezbędny był ogromny wysiłek.

Dobry los sprawił, że przed laty z rodziną związał się na całe życie Stanisław. Pracował i kierował wraz ze Stanisławą gospodarstwem, w którym hodowano świnię, owce, krowy i konie. Uprawiali spory areal ziemi, doglądali własnego lasu i dbali o nowe nasadzenia. Obecnie, ten już ponadosiemdziesięcioletni, zdolny, pracowity, dzielny i mądry człowiek, który lubił dzieci – sadowił je na grzbiety końskie, na załadowane zżętym zbożem lub pachnącym sianem wozy, pozwalał kierować końmi – niezmiennie cieszy się ich szacunkiem, dziś już dorosłych, samych mających dzieci i wnuki. Dożywa swoich pracowitych lat wśród bliskich, wspierając ich rolniczą emeryturą.

Wracajmy do przeszłości. Cecylia mieszka na stancji, a później w internacie Liceum Pedagogicznego w Solcu. Stanisław wozem zaprzężonym w dwa konie dostarcza zaopatrzenie do Solca i Kazimierza, do którego przeprawia się promem przez Wisłę. Część produktów, takich jak słonina, mąka, drób, masło, kartofle stanowiło zapłatę za stancję, część pozostawała do użytku licealistki Cecylii i ucznia technikum Tadeusza. Szlachetna, dobra, pracowita i świetnie zorganizowana matka Stanisława robiła wszystko, by zrekomensować dzieciom brak ojca.



Tadeusz, brat Cecylii z synem. Leśniczówka Sędziszów k/Kamiennej Góry

Tadeusz po ukończeniu szkoły leśnej wyjechał na Ziemię Odzyskane. Został leśniczym w Krzeszowie, a następnie w Sędziszowie koło Kamiennej Góry. Tutaj się ożenił i pozostał do końca życia. Ponieważ jednak jako młody chłopak działał w partyzantce, nie pozwolono mu posługiwać się bronią myśliwską; musiał ją zdeponować. Władza takim nie ufała. Minęło wiele lat, zanim odzyskał swoją broń. Wtedy też wstąpił do partii. Wybrano go na sekretarza Komitetu Gminnego. Pełniąc społecznie tę funkcję, zrobił wiele dobrego dla ludzi, swojego środowiska i lasów. Był wybierany na wiele kadencji, cieszył się powszechnym szacunkiem.

Tymczasem w Wólce wydarzyła się ogromna tragedia. Od pioruna całkowicie spalił się rodzinny dom dziadków z całym dobytkiem. Na szczęście rodzice Cecylii, kiedy jeszcze byli na posadzie w Dziurkowie i Miodnem wybudowali własny dom, w którym teraz, po pożarze wszyscy mogli zamieszkać. Wtedy dziadek już nie żył.

Cecylia w czasie wolnym od nauki śpiewała w chórze szkolnym i kościelnym (budynek liceum przylegał do klasztoru), występowała w zespole kółka teatralnego i grała na skrzypcach w orkiestrze szkolnej. Uczyla się gotowania i pieczenia. Wiele czasu poświęcała pracy z dziećmi i młodszymi koleżankami, również jako zastępowa w Związku Harcerstwa Polskiego. Była dobra, uczynna i lubiana. Nic zatem dziwnego, że gdy Celinka czasem nie domagała, pani Gawęcka, żona dyrektora i jednocześnie wychowawczyni klasy, osobiście przygotowywała jej mleko z masłem i miodem, i przynosiła tę uzdrawiającą miksturę do łóżka.

W 1949 roku Cecylia uczestniczy w wycieczce uczniów do Krakowa i Wieliczki. Jest wśród nich Stefan – jej pierwsza szkolna miłość – który jednak uśmiechał się i zalecał także do innych dziewcząt. Cesia, żeby zwrócić na siebie jego uwagę, udawała z kolei, że flirtuje z Kazikiem, który rzeczywiście się w niej podkochiwał. Wygrywał na akordeonie serenady pod oknem internatu bądź w parkowej altance.

Ale los szykuje jej w przyszłości na męża kogoś zupełnie innego... Chłopca, który dokładnie w tym samym czasie przyjechał na wycieczkę ze Swarzędza – i ogląda się za Zosią, obiektem swoich westchnień. Obie grupy, niezależnie, sfotografowały się wtedy, trzymając tabliczki o tej samej treści: „Wieliczka 1949”. Tym chłopcem byłem ja. Nasze drogi zejdą się za niespełna pięć lat. Spotkamy się i mimo życiowych burz i zawirowań zostaniemy ze sobą na zawsze.

Upłynie pół wieku, zanim razem pojedziemy w to samo miejsce i zrobimy sobie zdjęcie, trzymając tabliczkę z napisem: „Wieliczka 2001”. Chcieliśmy tam być ponownie, bo może wówczas, w 1949 roku, szliśmy tą samą alejką, stąpając po swoich śladach, i to właśnie ukierunkowało naszą ścieżkę życia...

W 1950 roku w Liceum Pedagogicznym w Solcu nad Wisłą trwają gorączkowe przygotowania do studniówki pierwszego powojennego rocznika przyszłych nauczycieli w Polsce Ludowej. Za pół roku egzamin dojrzałości. Dotąd licealistki nosiły mundurki z białym kołnierzykiem. Obowiązywał również fartuch.

Dzisiaj dziewczęta i chłopcy są odświętnie ubrani. Cecylia będzie tańczyć po raz pierwszy w eleganckiej sukience, uszytej przez krawcową.

W dniu 24 czerwca 1950 roku M. Gawęcki, dyrektor Państwowego Liceum Pedagogicznego w Solcu nad Wisłą, w powiecie iłżeckim, w województwie kieleckim, wręcza zaświadczenie, że Cecylia Zofia Tomala w dniu 6 czerwca 1950 roku zdała egzamin dojrzałości i została nauczycielką.

Radość z tego wydarzenia przytłumiło jednoczesne wręczenie jej, wraz z dyplomem, nakazu pracy na terenie województwa szczecińskiego. W skierowa-





21-letnia Cecylia Tomala (obecnie C. Strońska)  
zostaje kierowniczką szkoły w Mzdowie

niu napisano, że absolwentka ma zgłosić się do Kuratorium Oświaty w Szczecinie, gdzie otrzyma przydział do pracy w szkole podstawowej w miejscowości potrzebującej nauczycieli. Pięć lat po wojnie wszędzie ich brakowało. To była loteria; trzeba było podejmować pracę tam, gdzie zostało się wysłanym.

I tak, w rękę dwudziestoletniej dziewczyny tekturowa walizka, a w głowie niespokojne myśli. Dokąd trafi, do jakiej miejscowości, jakie tam będą dzieci, czego będzie uczyła, gdzie zamieszka?

Znalazła się we wsi Płocko w powiecie miasteczkim, 600 kilometrów od Wólki. Po roku pracy (uczy prawie wszystkich przedmiotów w klasach łączonych) zostaje przeniesiona do innej szkoły, do Mzdowa odległego o 10 kilometrów od najbliższej stacji kolejowej, od Miastka zaś o 40 kilometrów.

Powiatowy Wydział Oświaty mianuje dwudziestojednoletnią nauczycielkę kierowniczką siedmioklasowej szkoły.

Nauczyciele w porozumieniu z aktywniejszymi mieszkańcami wsi powołują grupę partyjną. Cecylia wypełnia deklarację kandydacką.

Przez całe życie zawodowe, we wszystkich szkołach, w których pracowała, jest wybierana na funkcję pierwszego sekretarza szkolnej organizacji partyjnej. Wszędzie, w każdym środowisku nauczycielskim, obdarzano ją szacunkiem i zaufaniem. Nigdy nikogo nie zawiodła, zawsze służyła pomocą. Została odznaczona Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Mzdowo było zasiedlone przez repatriantów ze wschodu i przesiedleńców z Bieszczad w ramach akcji „Wisła”. Ze wsi, otoczonej przepięknymi lasami, można się było wydostać tylko na trzy sposoby: pieszo, rowerem lub konną podwodą, wyznaczaną w ramach szarwarku przez sołtysa.

W 1952 roku społeczność wsi została poruszona wiadomością, że w okolicznych lasach Służba Bezpieczeństwa pojmała amerykańskich szpiegów zrzuconych na spadochronach.

Jak się później okazało byli to S.S. i D.S., członkowie Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” (WiN) przeszkoleni w ośrodku dywersyjnym w Erhausen. Po procesie obu skazano na śmierć, a ich szpiegowskie wyposażenie wystawiono dla publiczności w Arsenale w Warszawie.

Wydarzenie to zainteresowało Leona Kruczkowskiego. Przyjechał do Mzdowa. Rozmawiał z mieszkańcami, z dziećmi i nauczycielami. Zbierał, jak sam mówił, materiał do swojej książki.

Po wyjeździe przysłał paręnaście książek i list o następującej treści:



„Towarzyszka Cecylia Tomala  
Kierownik Szkoły w Mzdowie

Dziękuję za miłe przyjęcie i ciepłe spotkania z mieszkańcami, uczniami i gronem nauczycielskim.

W dowód wdzięczności przesyłam do waszych szkolnych zbiorów bibliotecznych kilkanaście różnych książek. Niech dobrze służą szkole i mieszkańcom. Wam zaś osobiście przesyłam „Pawie pióra” z moją dedykacją.

Z pozdrowieniami i życzeniami sukcesów

Leon Kruczkowski

Warszawa, dn. 21.05.1953 r.”

(W 1983 roku Cecylia przekazała list i książkę „Pawie pióra” z dedykacją pisarza do Muzeum Literatury w Warszawie).

Już miesiąc później będziemy małżeństwem...

Zastanawiam się, czy pisać o naszym wspólnym życiu. Kogo mogą obchodzić błędy, jakie nieraz popełniałem, powodując, że droga, którą razem przeszliśmy, była często wyboista i kręta. Były także choroby i najzwyczajniejsza bieda. Musieliśmy, będąc bez grosza, sprzedawać pamiątki rodzinne. Tak pozbyliśmy się nabytego wcześniej okazjnie pianina, srebrnej cukiernicy z XVII wieku, tacy „napoleońskiej”, stolika inkrustowanego wizerunkiem św. Jerzego i innych. Wtedy przez jakiś czas mieliśmy za co nakarmić dzieci i kupić dla nich ciepłe palta na zimę.

Gdy było nieco lżej, kupowaliśmy na raty książki, radio, telewizor, pralkę „Fanie” z ręczną wyżmaczką. Musieliśmy co pewien czas pożyczać pieniądze z kasy zapomogowo-pożyczkowej lub kasy remontowej. Rady zakładowe związków zawodowych pomagały zaopatrywać się w cebulę, owoce i kartofle. Wybawieniem w tej sytuacji były częste wyjazdy do Wólki, gdzie dobra mama i teściowa wypuszczała nas z powrotem do Warszawy z bagażnikiem napelnionym ziemniakami, kapustą, burakami, jajami i innym dobrem; czasem zdarzała się noga wieprzowa.

Ech, co tu gadać! Życie było trudne, ale duch tworzenia i społecznego działania dla dobra ojczyzny (cokolwiek by to dzisiaj znaczyło) był wielki. Myśleliśmy: „Jeszcze trochę, jeszcze kilka lat wspólnego wysiłku i wyrzeczeń, a osiągniemy ogólny dobrobyt”.

Przeżyłem ponad siedem dziesięcioleci, często wspominam minione czasy.

Teraz na przykład trzymam zdjęcie zbiorowe licealistów z Solca, widzę główkę mojej przyszłej żony, na odwrocie znajduję podpisy i dopiski jej koleżanek i kolegów.

Czytam: „...milej, wesołej, czulej, szczerzej, wspaniałomyślniej, szlachetnej, skromnej, gospośi, śpiewaczce”. To nie są grzecznościowe określenia. Cecylia taka jest naprawdę, do dzisiaj!

Jej mama Stanisława miała w niej największe oparcie. Trzeba było widzieć, kiedy przyjeżdżaliśmy do Wólki, z jaką pieczołowitością rozczesywała siwe włosy swojej matki, z jaką delikatnością myła jej stopy i obcinała paznokcie.

Taka była i jest: pełna troski o najbliższych i przepełniona dobrocią dla nich, szczególnie dla dzieci, wnuczek i prawnuczek. Jeśli ktoś ją skrzywdzi, Cecylia cierpi, nie pokazując tego po sobie. Łzy są dla niej ukojeniem, nimi wyraża także radość.

Jako wychowawca, kierownik szkoły, sekretarz partii, dyrektor Ogniska Pracy Pozaszkolnej zawsze była dobra dla ludzi i pomagała im rozwiązywać życiowe problemy. Nie mogą zatem dziwić ani nagrody kuratorskie, ani listy gratulacyjne, ani odznaczenia, których wiele otrzymała w okresie swojej długoletniej pracy zawodowej.

Nie potrafiłbym chyba lepiej wyrazić tego, o czym myślę, pisząc o mojej żonie, niż zrobiła to w liście do swojej babci nasza wnuczka Julia w 1997 roku:

### „NAJUKOCHAŃSZA BABCIU!

*To, co jest tu napisane chciałam dać Ci na koniec naszej podróży, ale jak sama widziałas było trochę zamieszania i nerwów, dlatego dostajesz to teraz.*

*Bardzo się cieszę, że pojechałaś z nami. To było strasznie miłe. Tu i teraz oświadczam, że – przynajmniej przeze mnie, a że tych moich trochę znam, to mówię w imieniu nas wszystkich – jesteś zaproszona na wszystkie nasze wypadki i podróże. Twoja obecność zawsze będzie nam umilała spędzony razem czas.*

*Wiesz, bardzo bym chciała być choć trochę taka jak Ty, kiedy dorosnę, taka kochana, dobra i ciepła... być Aniołem, tu na ziemi. Ale to, chyba tylko Ty potrafisz. Zazdroszczę!*

*A teraz krótka bajka:*

*Ziemia licząca sobie niezliczoną ilość lat urodziła miliardy istnień ludzkich, kilkaset wybitnych jednostek i kilku Aniołów.*

*Nie wiem, jakim cudem, ale mi, marnej istotce, dane było poznać jednego z nich. Nie tylko poznać, ale obcować z Nim, uczyć się i czerpać z Jego siły i nieograniczonych zasobów miłości.*

*Był cudownie (przy całej swojej boskości) ludzki i skromny. Dobro innych przyświecało jego działaniom i podejmowanym decyzjom.*

*Miał tak wielkie serce, że jego puls wyraźnie dawało się wyczuć nawet w koniuszkach skrzydeł. Dobroć i zrozumienie, którymi emanował Anioł, zyskiwały mu grono przyjaciół pełnych dla Niego szacunku, pragnących jego cudownej, prawdziwej miłości, która akceptowała ich takimi, jakimi są.*

*Aniol był piorunochronem, wyrocznią, rozjemcą, bandażem, gorącym posiłkiem  
czy choćby przekąską, kołysanką, przytuleniem, mądrością.*

*Tym, czego każdy pragnął.*

*Przybierał żądaną formę – zawsze pozostając sobą. A najpiękniejsze jest to, że  
On był, jest i jeszcze długo, długo będzie. W nas – na zawsze!*

*Dla Ciebie Babciu.*

*Julka”.*

Myślę, Juleczko, tak samo, czy zatem mogę podpisać się obok ciebie?

Dla Ciebie, Żono.

I jeszcze dodam – dziękuję!

## Obrączka z tombaku

Miastko. Znowu mieszkam z rodzicami. Jest babcia Maria, dziadek Piotr, Adam, który ożenił się w Sarbinowie z Leokadią, córką gospodarza i przyjechał z nią tutaj. Wychowali sześcioro dzieci: cztery dziewczynki i dwóch chłopców. Żyli skromnie. Chociaż brat całe życie chorował, nie sprawiali wrażenia ludzi przegranych. Przynajmniej do chwili, gdy w wojsku zginął tragicznie ich syn Krzysztof.

Wujek Jan Gocan z żoną Marysią, córkami Renusią, Teresą i stopniowo powiększającą się gromadką dzieci mieszkał już od kilku lat przy ulicy Długiej, gospodarując na niewielkim gospodarstwie rolnym. Później pracował w wielu miejscowych zakładach pracy. Przyjaźnił się z moim bratem Adamem i nieraz wspólnie jeździli na wędkowanie.

Ciocia Zofia osiadła w Szczecinie.

Nareszcie, osiem lat po wojnie, rodzina, a przynajmniej jej część, zgromadziła się mniej więcej w jednym miejscu. Pozostali, którzy byli przy życiu, wiedzieli o sobie, pisali listy, kontaktowali się. Elżbieta-Liza, ciocia, mieszkała w Kłazmie pod Moskwą. Dwie siostry taty, Janina i Maria – w Londynie. Bracia: Feliks w Warszawie, Bolesław w Stargardzie Szczecińskim, Ludwik w Lublinie.

Miastko miało być także moją przystanią. Miałem pracę i blisko siebie rodziców, brata, wujka, najukochańszą babcię Marię, moją opiekunkę i powierniczkę. Miałem w końcu swoje łóżko. Brakowało mi jednak własnego kąta. Zarobione pieniądze oddawałem mamie. Z tatą chodziłem czasem do miejscowej

restauracji, gdzie cieszyłem się poważaniem personelu; wujek Jan Gocan przez kilka powojennych sezonów śpiewał w tym właśnie lokalu – czym się chełpiłem – swoim cudownym barytonem.

Miastko zachwycalo swoim położeniem i urokiem. Mimo że w połowie zniszczone, było zamieszkane przez blisko 6 tysięcy mieszkańców. Zostało odgruzowane, uporządkowane. W szybkim tempie powstały zakłady produkcyjne, szkoły, szpital. Zorganizowano obsługę rolnictwa, wybudowano przetwórnice runa leśnego. Wszyscy mieli pracę.

Po pewnym czasie tata oddał bezinteresownie miastu ziemię pod budownictwo mieszkaniowe. Nie mógł się jednak rozstać z naszą kochaną przez wszystkich karą klaczą, która została przywieziona w wagonie z Sarbinowa. Była przy nas do swojej śmierci. Tata poszedł do pracy w swoim zawodzie. Budował drogi asfaltowe. Znowu był maszynistą. Tym razem... walców drogowych.

W pierwszym dniu roboczym 1953 roku, po wcześniejszym wykorzystaniu całego przysługującego mi urlopu, zgłosiłem się do pracy w Zarządzie Powiatowym ZMP w Miastku. Po krótkiej rozmowie przewodniczący H.K. wskazał mi biurko w pokoju instruktorskim. Zarówno ono, jak i pokój były odrapane – pozostałość po zarządzie niemieckich związków zawodowych.

– Nie myśl, że będziesz tu stale siedział, nasza praca to bycie wśród młodzieży, harcerzy i w szkołach – powiedział na zakończenie rozmowy przewodniczący zarządu, typowy belfer – srogi, ale sprawiedliwy. Nosił grube szkła w czarnej szerokiej oprawie. Kilka lat później został kierownikiem szkoły podstawowej niedaleko Korzybia.

W pokoju nie było nikogo, siadłem za biurkiem. Zamyśliłem się. Tyle się stało w minionych dziewiętnastu latach mojego życia... Weszła Basia, sekretarka szefa. Wyrwała mnie z odrętwienia.

– Chcesz poczytać „Trybunę Ludu”? A może „Wrocławski Tygodnik Katolicki”?

– Oczywiście, chętnie – powiedziałem. – Ale skąd takie pismo się tutaj wzięło?

– Tylko nie pognieć, bo to gazeta przewodniczącego. Wczoraj przyjechał z Wrocławia, i zabierze ją na pewno do domu, jak wróci z partyjnej narady powiatowej.

„Trybuna” wita Nowy Rok 1953 ogromnym tytułem: „Natchniony słowami towarzysza Stalina, pod przewodnictwem towarzysza Bieruta naród polski nadal zwiększać będzie siły swej Ojczyzny – mocnego ognia obozu pokoju”. A w katolickim tygodniku czytam artykuł Tadeusza Mazowieckiego, który między innymi pisze: „Właśnie ludowa ojczyzna przywróciła godność ludzką milionom prostych ludzi (...)”.

Z okazji Nowego Roku, pod koniec stycznia Związek Nauczycielstwa Polskiego, Wydział Oświaty i Zarząd Powiatowy ZMP zorganizowały – byłem za to

odpowiedzialny – powiatowy bal dla młodych nauczycieli, kierowników szkół, aktywu instruktorskiego ZHP, działaczy świetlic i organizatorów kółek teatralnych oraz chórów.

W auli sportowej w największej szkole w Miastku grała orkiestra miejscowej straży pożarnej. Przy bezalkoholowym bufecie podawano herbatę i poncz, ciastka i pączki.

Wystrojony jak na pogrzeb, w mój jedyny ciemny, granatowy garnitur z tkaniny typu tenis, chudy jak szczapa, zmęczony całodzienną lataniną przy organizowaniu tej zabawy, siedziałem znużony pod ścianą i gapilem się na dziewczyny. Trzeba jednak trzymać fason! Poprosiłem do tańca jakąś panią nauczycielkę. Rozmowa nie kleiła się, byłem beznadziejnym tancerzem. Lepiej by mi pewnie poszedł taniec „Zasiali górale”...

Na moje szczęście ogłoszono odbijany i moja partnerka została porwana przez jakiegoś aktywistę ze znacznikiem ZMP w klapie. Mnie zaś dostała się w ramiona dziewczyna w pluszowej zielonej sukience. Tańczyliśmy krótko. Jedyny raz tego wieczoru. Dowiedziałem się, że jest kierowniczką szkoły podstawowej w Mzdowie. Miała na imię Cecylia. Bardzo rzadkie imię, pomyślałem.

Wydział oświaty dobierał zespoły do mających się rozpocząć kompleksowych wizytacji szkół w powiecie miasteczkim. Poprosiłem kierownika wydziału, by nie wyznaczał nikogo do Mzdowa: „Ja sam zwizytuję tę szkołę. Zajmę się głównie pracą drużyny harcerskiej”.

Wziąłem delegację i na drugi dzień, po godzinnej jeździe pociągiem do stacji Cicholub, a następnie dziesięciokilometrowym marszu przez uśpiony zimowy las, dotarłem do szkoły w Mzdowie.

Poprosiłem o dokumentację pracy ZHP i przy szklance herbaty podanej przez panią kierownik Cecylię Tomalę, starałem się wczytać w papiery.

Ale tak naprawdę, jak mówiła moja babcia, „*patrzył w knigu, widział figu*”. To nie było w porządku, zamiast pracować, zakochiwałem się w pani kierownicze.

Do pokoju nauczycielskiego weszła pozostała część bardzo młodego ciała pedagogicznego, panie Jadwiga Gliwicka i Eugenia Kubińska. Oświadczyłem, że wstępny przegląd dokumentacji wskazuje, że będę musiał poświęcić jej znacznie więcej czasu wieczorem.

– Proszę nie martwić się o nocleg dla mnie, wrócę do Miastka ostatnim pociągiem przed północą – powiedziałem.

Luty 1953 roku nie był zbyt śnieżny ani mroźny, niemniej jednak nie uśmiechała mi się perspektywa powrotu przez ciemny las, nawet podwodą, którą panie zadeklarowały się załatwić u sołtysa. Miałem nadzieję, że przesiedzę ten wieczór z Cecylią w przytulnej kuchni, w której zjadłem z paniami domowy obiad przygotowany przez panią kierownik.

Jej bliskość nagle oddaliła moje nieskrywane pragnienie wyrwania się z Miastka, do którego przyjechałem zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Ciągnęło mnie przecież do Warszawy. Pisali do mnie dawni koledzy: Jurek z Warszawy, Słoń z Wrocławia, Grzegorz ze Szczecina, stryjeczna siostra Baśka ze Stargardu, z którą snuliśmy kiedyś dziecięce plany wspólnego życia, i inni.

Czyżbym nagle świat mój odnalazł tutaj, w tej kaszubskiej wsi? Teraz niczego bardziej nie pragnąłem niż być przy Cecylii. Ale dzisiaj nie było mi to dane.

Panie nauczycielki z jakichś niewiadomych mi przyczyn, przepraszając, nagle wyszły. Na dworze szarzało, dopijałem kompot, gdy pojawiły się z powrotem, a jedna z nich powiedziała:

– O, już prawie ciemno! Jadziu, zapal światło!

Jadzia podeszła do kontaktu i pstryknęła. Nie stała się światłość! Pstrykanie nie pomogło ani za drugim, ani za trzecim razem.

– To tak jak wczoraj, znowu wyłączyli prąd, to zdarza się coraz częściej – powiedziała Cecylia.

– Dzisiaj to pan już nie popracuje – głośnie domyslała się pani Eugenia.

– Jadziu, zostań z panem, a ja z Genią pójdę do sołtysa Zalewajki załatwić podwodę.

Rzeczywiście, niedługo pod szkołę podjechał chłopski wóz. Pożegnałem się z panią Jadzią, nauczycielką matematyki, fizyki i chemii. Ociagałem się z wsiadaniem w nadziei, że jeszcze zobaczę Cecylię. Niestety, nie wróciła od sołtysa.

– Sołtys musiał je zatrzymać, może to w związku z opracowywaniem planu zalesiania, które będziemy przeprowadzać z dziećmi wiosną – usprawiedliwiała swoje koleżanki pani Jadzia.

– Proszę powiedzieć pani kierownik, żeby do mnie jutro zadzwoniła, to się umówimy na dokończenie wizytacji.

Wskoczyłem na wóz, konie zachęcone batem i z ukraińska przeciągłym *wiu-uuo*, ruszyły przez oświetloną wieś.

– Co to za awaria światła? W szkole zgasło, a wkoło się świeci – spytałem woźnicę.

– To nie może być, to chyba dzieci korki powykręcały. Jak moja kobita tam sprzątała, jeszcze przed tą Niemką Helgą, to tak bywało, ale jak zrobili skrynekę na korki, zamykaną na klucz, to tylko ten klucz ma kierowniczkę.

Teraz dopiero rozumiałem! Miały dość mojego towarzystwa, specjalnie wykręciły korki i uciekły do sołtysa, sprytnie ekspediując mnie do Miastka. Ale to nie ze mną takie numery! Zadzwoni, to każe jej przyjechać do zarządu ZMP, a stąd już nie wypuszcze!

Zadzwoniła. Umówiliśmy się na piątek w siedzibie zarządu. Początek marca był prawie wiosenny. Cecylia wyszła na balkon z moimi koleżankami i kolegami. Wtedy zbiegłem na dół i zrobiłem jej zdjęcie ojcowskim zdobycznym aparatem „Agfa”.

Kupiłem cztery bilety do łoży w miejscowym kinie. Tak, tak, w kinie były łoża, cztery! Nie pamiętam, co grali. Poszliśmy na popołudniowy seans. Pozostałe dwa bilety dałem rodzicom. W ten sposób chciałem im pokazać moją, jak powiedziałem, dziewczynę. Rodzice nie mogli się zdradzić, a w domu mieli mi powiedzieć, czy im się podoba. Trochę się wygłupiłem, sprawa się wydała. Czułem się niezręcznie, ale po seansie mama nie wypuściła już Cecylii z rąk. Przypadły sobie natychmiast do serca. Tej nocy Cecylia spała w naszym domu przy ulicy Kaszubskiej 26.

W niedzielę wyjechała do Mzdowa. Od tej pory widywaliśmy się bardzo często. Wraz z końcem marca nastały sprzyjające warunki do jazdy rowerem. Ładowałem rower do wagonu pocztowego, i z Cicholubia, dalej przez las, pędziłem do Mzdowa. Nie mogłem przestać o niej myśleć. Pragnąłem, by została moją żoną. Zakochałem się, nie wiedząc wcześniej, że tak to właśnie wygląda. Im bliżej ją poznawałem, tym głębsza była moja miłość do niej.

Wież była zadowolona, dopytywano się, czy jeśli ożeni się z panią kierowniczką, będę tutaj mieszkał.

– Co ty, Cesi, na to? – spytałem.

– Bardzo bym chciała, zostańmy tutaj – odpowiedziała.

Poinformowaliśmy rodziców o naszej decyzji.

Zbliżał się koniec roku szkolnego. Rzec całą należało załatwić najpóźniej w czerwcu.

– Pojedziemy do Wólki do twojej mamy już jako małżeństwo. Znasz moje poglądy, nie chcę, by na wsi powstał problem ślubu kościelnego. Zgadzasz się?

– Pewnie, dla mnie to też nie ma znaczenia!

Podarowałem mojej przyszłej żonie żorzetową apaszkę w pawie oczka. To był jedyny mój przedślubny prezent, specjalnie jeździłem po niego do Słupska. Na inny, droższy, nie było mnie stać. Pierścioneł zaręczynowy? A co to takiego? A może przed tym kino, kawiarnia i spacer w księżycową jasną noc?

Ustaliliśmy datę ślubu na 20 czerwca. Pani kierownik Urzędu Stanu Cywilnego zapisała termin w swojej urzędowej księdze.

– A po ślubie – z trwogą w głosie zapytała babcia Maria – pojedziecie zapewne do Warszawy? Po co wam to? Tutaj jest o wiele spokojniej i bezpieczniej, a tam wszędzie te tramwaje i dorożki, pędzą tu i tam, tu i tam. Wciąż słychać tylko tur tur tur, tur tur tur i pokrzykiwanie dorożkarzy. Byłam tam na Dworcu Wileńskim, to czym prędzej chciałam wracać do mojego Kalisza!

– Dobrze, babciu, zostaniemy, będziemy mieszkać na wsi w Mzdowie.

Napiszę podanie, by zwolniono mnie z pracy w strukturach ZMP i poproszę, aby pozwolono uczyć w szkole. Zrobię to natychmiast po ślubie – postanowiłem. Teraz pilnie trzeba przygotowywać odpowiednie dokumenty i załatwiać inne niezbędne sprawy.

Mama pożyczę swoją obrączkę, to będzie dla Cesi. Tata da mi swoją. Niestety, okaże się za duża. Ale w szufladzie znajduję jakąś podobną do tatusiowej. Jest trochę zaśniedziała. To nic takiego, jest z tombaku. Pasuje jak ulał. Po wyczyszczeniu, na palcu wygląda jakby była z najczystszej złota. Czernieje dopiero po kilku godzinach. Garnitur mam. Ten sam, w którym poznałem moją przyszłą żonę. Odczyści się i odprasuje, będzie jak nowy. Koszula i krawat to najmniejszy problem. Krawat pożyczę. Widziałem bardzo ładny u Wojtka, syna Marksa, zegarmistrza. Wojtek był moim kolegą. Taty krawaty trąciły myszką. A moje, najczęściej czerwone, nie nadawały się do tej ceremonii. Dla Cecylii moja mama z babcią uszyją niebieską garsonkę. Gości z rodziną będzie bardzo mało. Ze strony przyszłej żony nie będzie nikogo. To bardzo daleko. Są żniwa, i tak by nikt nie przyjechał. W dodatku na ślub cywilny? Mama robi ajerkoniak, postawi się własne wino. Jeśli będzie ładna pogoda, tych kilkanaścioro gości siądzie na trawie przed domem. Do ślubu pójdziemy pieszo. Od dworca kolejowego, nieopodal którego mieszkalem, do USC jest nie więcej niż kwadrans. To już chyba wszystko. Jeszcze tylko trzeba dostarczyć do urzędu metryki urodzenia młodej pary.

– Tato, zanieś mi jutro do USC te dwa papierki, Cesi i moją metrykę. Ja raniuteńko muszę jechać do Barcina. Jedziemy większą grupą, będziemy agitować ludzi do zakładania spółdzielni produkcyjnej. Wrócę wieczorem.

– Dobrze, synu, zaniósę po drodze, idąc do POM-u (Państwowy Ośrodek Maszynowy), wzywają mnie do jakiegoś zepsutego traktora.

Wieczorem tata oświadcza, że moja metryka jest niewłaściwa, i jeśli nie będzie prawidłowego dokumentu, ślub się nie odbędzie.

Co robić? Przecież dziś piątek, godzina 22! Przyszła żona, która już przyjechała z Mzdowa i przymierza prawie gotową garsonkę, jest poważnie zmartwiona.

Wpadam na pomysł, by zwrócić się w tej sprawie o radę do mojego kolegi Julka, rówieśnika, aktywisty ZMP, sędziego powiatowego, który po rocznym kursie sędziowskim niedawno nastał tutaj z nakazu pracy.

Na pewno będzie w swoim mieszkaniu, którym jest mały pokój służbowy w wielkim gmachu sądu i prokuratury. Jest godzina 23, zziębnięty i spocony staję przed solidnymi drzwiami sądu i natarczywie dzwonię. Rozświetla się tylko jedno okno. To okno Julka. Po chwili słyszę: „Kto tam?”. Mówię, że to ja, i że mam okropny problem.

Otwiera. Zaprasza do swojej kawalerki. Wyjmuje rewolwer z kieszeni szlafroka i chowa pod poduszkę. Nerwowo wyjaśniam. Bierze moją metrykę do ręki i czyta:

## „O d p i s

### Tłumaczenie z oryginału rosyjskiego.

Dowód informacyjny Nr 483.

Wydany zgłaszającej się Ob. Strońskiej Tatjanie córce Michała jako potwierdzenie, że jej syn Stroński Ryszard syn Kazimierza rzeczywiście urodził się 1933 roku 8 czerwca.

Dowód wydano na podstawie lekarskiego określenia wieku.

Zarząd S.A.S.C./ podpis nieczytelny/

Sekretarz. /podpis nieczytelny/

Dnia 5. VII. 1944

M.P. „Miejska Rada Deputowanych Pracujących m. Dubna U.R.S.R.”

Zgodność tłumaczenia stwierdzam

Poznań dnia 28 stycznia 1949 r.

/podpis nieczytelny/

/-/ M. Drouet /-/

Tłumacz przysięgły

Repertor. Nr 3/ 49

Opłatę zł: 300,

– pobrano

Pieczęć okrągła z napisem: Drouet Marian  
tłum. Przys. w Poznaniu”.

– No to masz rzeczywiście kłopot – mówi – ale nie przejmuj się, zdążymy na twój ślub, muszę tylko zadzwonić do naszego kolegi Bolka, no, tego prokuratora, co to niedawno kazał przymknąć komendanta powiatowej straży pożarnej, z twojego oskarżenia zresztą. Zaraz się naradzimy i załatwimy sprawę, mam pewien pomysł.

Rzeczywiście, kiedyś przechodziłem przez targowisko chłopskie koło kościoła. Chłop bez ręki, w starym żołnierskim płaszczu, nie mógł jakoś dać sobie rady z wyjazdem. Wypadały mu z ręki to bat, to lejce. Trochę zatarasował drogę. Ze strażackiego wozu wyskoczył zdenerwowany komendant straży zawodowej i rolnika, kombatanta obrzucił ordynarnymi słowami. Zwróciłem mu uwagę. To rozjątrzyło go jeszcze bardziej. Pochwycił bat leżący na wozie i zaczął nim siec inwalidę. Kopnąłem go. Ludzie nas rozdzielili. Poinformowałem o wydarzeniu przewodniczącego mojego zarządu. Ten wezwał komendanta do siebie. Kazał instruktorom odebrać mu jego strażacką czapkę z trzema gwiazdkami. Następnie zwymyślał go i wyrzucił za drzwi. Poleciał mi złożyć na niego doniesienie do prokuratora, co też chętnie zrobiłem. Wtedy poznałem Bolka, niewiele starszego ode mnie. Później kilkakrotnie spotykaliśmy się na różnych naradach.

– Bolek radzi, zgodnie z moją koncepcją, abyś najdalej jutro, a właściwie to już dzisiaj, stawiał się o godzinie 12 u mnie w biurze z dwoma świadkami, którzy potwierdzą fakty opisane w tej prowizorycznej metryce urodzenia.

– A czy to może być mój ojciec i wujek Jan Gocan?

– Ależ oczywiście, dla mnie to nie ma żadnego znaczenia, ponieważ nie będzie sekretarki i nie będzie komu napisać tego nowego tymczasowego dokumentu. Przyjdzie również Bolek, i na tym, co masz, podpiszemy się. Bolek ma wziąć pieczętkę z biura. On, co prawda, nic do tego nie ma, ale nas się boją, to i urzędniczka z USC nie podskoczy. Zresztą, jeszcze jutro do niej zadzwonię i zobowiąże się, że jak się ożenisz, przygotujemy ci właściwy papier.

Podziękowałem i pobiegłem jeszcze szybko na ulicę Długą, do wujka, aby poprosić go, żeby w południe zjawił się w sądzie.

Tego dnia zasnąłem o 2 po północy. Była to moja ostatnia kawalerska noc. Za czternaście godzin będę żonatym mężczyzną! Co to oznacza? A kto by się nad tym teraz zastanawiał? Spałem w pokoju rodziców, Cecylia w pokoju babci Marii. O 6 już byłem na nogach.

Ustaliliśmy, że spotkamy się przed USC przynajmniej godzinę przed ślubem, który był wyznaczony na godzinę 16. Było ciepło, wręcz gorąco. Dwie godziny przed spotkaniem w sądzie zaszedłem jeszcze do siedziby zarządu, gdzie moi koledzy byli zajęci organizacją międzyszkolowego turnieju siatkówki. Odbывał się tuż obok, na boisku, na którym kilka razy brała udział w rozgrywkach moja przyszła żona. Wypiłem jakąś oranżadę, zostawiłem marynarkę, poprosiłem Basię, by jej przypilnowała i poszedłem powoli do sądu, żeby poczekać na tatę i wujka, moich dwóch świadków. Powiedziałem im, że gdy nabiorą praktyki w świadkowaniu w sądzie, to za jednym zamachem mogą zrobić to również w USC. A w sądzie odbyło się wszystko zgodnie z umową, choć nie całkiem zgodnie z prawem.

– Poczekać na mnie w parku, weźcie tam spod USC mamę z Cesią. Ja pójdę po moją marynarkę i niedługo przyjdę.

Turniej siatkówki zakończył się. Wszyscy instruktorzy zarządu siedzą nad czymś pochyleni.

– Basiu – mówię do naszej sekretarki – gdzie moja marynarka, schowałaś ją może do szafy? Daj mi ją, bo widzę, że macie tam jakieś sprawy, to nie będę wam przeszkadzał.

– Jaka marynarka, poczekaj, nie spiesz się, lepiej ściągaj spodnie i siadaj tutaj za moim biurkiem, też ci wyciągniemy, będziesz miał jak nowe.

– Co się wygłupiasz, jakie spodnie, co będziecie mi wyciągać?

– Jak to co, został już tylko jeden rękaw! Białe nici, ten głupi tenis! Zaraz będziesz miał piękny ślubny garnitur.

Zanim się zorientowałem, byłem już bez spodni. Jeszcze pół godziny, i dzięki twórczym umysłom oraz sprawnym rękom moich kolegów uzbrojonych w szpilki i spinacze, założyłem „nowy” garnitur.

– Ale mi zrobiłeś niespodziankę, skąd miałeś pieniądze na nowe ubranie? – Cecylia była przyjemnie zaskoczona.

Przyjęcie weselne odbyło się na trawie przed domem, w ogrodzie na Kaszubskiej. Wśród gości nie zabrakło domorosłych „krawców”, prokuratora i sędziego. Ajerkoniak mamy i nalewka taty cieszyły się ogromnym powodzeniem.

## Partia czuwa

Po zakończeniu roku szkolnego 1952/53, gdzieś na początku lipca, zostałem wezwany do władz powiatowych partii. Sekretarz Dionizy Wentyl zapytał mnie na wstępie, gdzie zamierzam mieszkać po zawarciu małżeństwa. Odpowiedziałem, że najchętniej zwolniłbym się z pracy w ZMP i pracował w szkole w Mzdowie razem z żoną.

– To, wiecie, nie ma przeszkód, tylko że wy nie macie pełnego wykształcenia pedagogicznego – z udawaną troską stwierdził sekretarz.

– Nie ma tam też etatu... Ukończyłem dwie klasy liceum pedagogicznego, zawsze chciałem być nauczycielem – trochę przesadziłem, trochę skłamałem.

– No dobra, wiecie, etat wam zrobimy, zadzwonię do kierownika wydziału oświaty. Ale nam też musicie pomóc. Chodzi o to, że miejscowa ludność wiejska nie rozumie, dlaczego chcemy zorganizować tam spółdzielnię produkcyjną – a to dla lepszego ich życia przecież. Takie nastroje są w całej okolicy. Trzeba też wzmocnić Podstawową Organizację Partyjną. Zadzwonię do Zarządu Wojewódzkiego ZMP, do Ludwika Łukomskiego, kierownika kadr, żeby przekazał was, na zasadzie porozumienia stron, do oświaty – mówił Dionizy Wentyl. (Towarzysze musieli to widocznie przedyskutować w szerszym powiatowym koletywie – pomyślałem).

– Bardzo dziękuję za pomoc, ale prawdę mówiąc, towarzyszu sekretarzu, wyczuwam w waszym głosie nieszczerłość. O co chodzi, że tak chętnie mi pomagacie? Przecież już się trochę znamy, jest pan niewiele starszy ode mnie, po co ta hipokryzja?

– No dobra, to prawda, znamy się, jestem sąsiadem twojego wujka, znam też Adama – nagle przeszedł na ty i... na krzesło obok mnie – lepiej, żebyś wiedział. I sekretarz, Lisiecki, pytał o ciebie w Międzychodzie w Zarządzie Powiatowym ZMP i tam mu coś powiedział przez telefon. Nie mówił co, dzwonił też do Komitetu Gminnego partii w Swarzędzu, czegoś się dowiadywał, o jakimś pobiciu milicjanta mówił. A ten komendant Straży Pożarnej, który o mało co przez ciebie nie wyleciał z roboty, chodzi do jego córki. No wiesz, za tego kombatanta, co bił go batem koło kościoła.

– Czyjej córki? – nie zrozumiałem.

– Lisieckiego, a czyjej? A poza tym, ostatnie twoje wystąpienie na plenum naszego komitetu dotyczące tworzenia spółdzielni produkcyjnych, i braku pomocy naszej instancji w rozwoju życia oświatowo – kulturalnego wśród młodzieży i harcerstwa, to była za mocna krytyka! I trochę żęście z tym dzwonieniem na Stalina pokpili i później się upili.

– Ale czemu się tak mną interesował? Przecież nie z powodu tej krytyki?

– No bo on sobie ciebie na początku, jakżeś tu nastał, upatrzył na instruktora do Komitetu Powiatowego partii, nawet mówił o tym na egzekutywie, że trzeba nam nowych, rzutkich, młodych ludzi, ale na twój temat docierały do nas różne głosy. Teraz dobrze się ułożyło, pójdziesz tam, coś pokażesz, to wtedy, może za rok, wybierzemy cię na sekretarza jakiejś sąsiedniej gminy.

– Aleście znaleźli dla mnie miejsce na zsyłkę w tej głuchej i odległej wsi!

– Sam sobie znalazłeś! Nie trzeba zawsze szukać guza, poza tym ożeniłeś się z naszą towarzyszką Cecylią Tomalą, która ma u nas dobrą opinię, i mamy prawo wiedzieć, jaki los czeka szkołę i wieś, w której będziesz mieszkał i uczył – zamknął rozmowę sekretarz od oświaty, kultury, sportu, propagandy oraz kształcenia ideologicznego.

Napisałem zatem od razu dwa podania: jedno – o zwolnienie mnie z Zarządu Powiatowego ZMP, i drugie – do wydziału oświaty – o przyjęcie do pracy na etat nauczyciela do szkoły podstawowej w Mzdowie, począwszy od roku szkolnego 1953/1954. Jednocześnie oświadczyłem, że mogę nauczać historii, geografii i wychowania fizycznego.

– Daj mi to podanie, to szybciej popchnę – wyciągnął rękę ni to na pożegnanie, ni to po papier sekretarz Wentyl.

– Dziękuję, jak wrócę od teściowej, to się zamelduję.

– A gdzie będziesz? Zostaw adres w razie czego.

Sprawy nabrały tempa. Mogliśmy teraz z żoną spakować jedyną, jaką mieliśmy tekturową walizkę z blaszanym uchwytem i metalowymi narożnikami, przygotowując się do podróży poślubnej do Wólki. Żeby wzmocnić walizkę, przepasałem ją rzemiennym paskiem, potem idąc na skróty przez tory i dziurę w płocie, na stację, zaniósłem ją na przechowanie u znajomego kasjera. Kupiłem bilety i poszedłem po żonę.

W Szczecinku i Poznaniu udało się złapać dogodne połączenia w kierunku Warszawy. Znaleźliśmy miejsca przy oknie, naprzeciwko siebie, i odetchnęliśmy z ulgą. Teraz sobie porozmawiamy tych kilka godzin. Przemyślimy, jak dalek żyć, co zaplanować na najbliższe lata. Czy już na stałe mamy zostać w Miastku, w Mzdowie? A jeśli urodzą się dzieci? Jak je wychowywać, czy damy sobie radę? Pogadamy!

A skądże! Straszny tłok! Co robić? Jak rozmawiać, kiedy wszyscy słuchają?

Wpadłem na pomysł, by wyjąć z walizki szkolny zeszyt i pokorespondować ze sobą.

Tak zrobiliśmy. Cecylia pisała pytanie, ja na nie odpowiadałem. Potem ja zadawałem pytanie, a ona odpisywała. Zapelniliśmy cały zeszyt. Poruszyliśmy wszystkie tematy, które nas wzajemnie interesowały. Wreszcie się poznaliśmy! Wcześniej jakoś nie było na to czasu. To była rozmowa o bardzo ważnych sprawach. Układaliśmy plany. Odkrywaliśmy swoje marzenia. Wyznawaliśmy uczucia. To były nasze listy, których nigdy wcześniej w czasie krótkiego narzeczeństwa nie napisaliśmy do siebie. Żałuję, że ten zeszyt zaginął. A może to i lepiej? Kto wie, czy nie stałby się kiedyś powodem wzajemnych wymówek? („A widzisz, jaki/a wtedy byłeś/byłaś, jak wtedy pisałeś/pisałaś, a teraz?”).

W Radomiu przesiedliśmy się na „stonkę” (samochód ciężarowy z budą z dykty przerobiony na autobus) i po kilku godzinach szczęśliwie dojechaliśmy do Lipska nad Wisłą.

Jest bardzo upalne żniwne popołudnie. Ostatnie sześć kilometrów jedziemy niczym nieutwardzoną drogą na furmance zaprzężonej w dobrze utrzymaną kobyłę. Od czasu do czasu schodzę, by ulżyć klaczy, która, gdy wóz wpada w głębokie koleiny, wydaje odgłosy świadczące o wysiłku ponad jej siły. Idę przy dyszlu, a tuż obok – Stanisław. Patrzy na mnie z niedowierzaniem, jakby się dziwił, że wiezie do wsi takiego chudego zięcia, „zięcia bez kutasięcia”, jak żartowali sobie ze mnie na wsi.

Na razie rozmowa ze Stasiem się nie klei. Żona rozpytuje o wieści ze wsi, a ja tymczasem rozglądam się po okolicy. Drewniane w większości domy, kryte słomą bądź dachówką, stoją blisko obór z pustaków i stodół, także o słomianych dachach. Prawie wszędzie kieraty do młócki, z dwoma długimi i grubymi dyszlami do konnego zaprzęgu. Tam, gdzie nie ma kieratu, młóci się cepami.

Szkoła, w której brat mojej teściowej Władysław Dzbuczyński od 1921 roku jest kierownikiem, i w której uczyła się moja żona, jest bardzo zniszczona.

Nie widać słupów energetycznych: nie ma prądu. Dzieci uczą się przy lampach naftowych – informuje Stanisław. Uczą się też dorośli, na kursach dla analfabetów – dodaje.

Na polach widać koszących lub ostrzących kosy żniwiarzy. Tu i ówdzie kobiety z sierpami. Ludzie niosą na plecach słomiane powróśla. Gdzieś tam terkocze żniwiarka, machając dużymi grabiami-odgarniaczami.

Nad rzeczką kobiety uderzają kijankami w mokrą bieliznę obracaną na kamieniu. Upraną rozkładają na łące. Słońce szybko ją wysuszy. Nieopodał, rozciągnięte jak chodniki leżą długie płóciennne białe „kilimy” z konopnych nici. Z wybielonych na słońcu ludzie uszują, co zechcą.

Przed domami studnie z kołowrotem do wyciągania wody, niektóre z żurawiem. Z ziemi wystają daszki nad wejściem do piwniczek, jak się domyślam, zastępujących lodówki.

Po godzinie w okropnym upale docieramy na miejsce, gdzie czeka mama Stanisława, moja teściowa. Powitania zawsze są podobne: jedni z radości płą-

czą, inni się śmieją. Dzisiaj dodatkową atrakcją jest nowy członek rodziny. Czy będzie przydatny do pracy na polu i w obejściu?

Jeszcze tego samego dnia miałem okazję zademonstrować moje umiejętności: posługiwania się kosą, wiązania snopków i ustawiania ich w kopy. Robiłem to nie gorzej niż inni. Także cepem, na klepisku, wywijając jak wiatrak skrzydłami. Kondycji tylko brakowało!

– Wieczorem trochę ją poprawisz, będziesz mógł poćwiczyć przy maselnicy – śmiejąc się, powiedziała teściowa. Wyrób masła w takim urządzeniu nie był mi obcy. Robiłem to wiele razy w Sarbinowie. Z tą różnicą, że tam śmietanę oddzielano za pomocą centryfugi. Tutaj zbierano ją z powierzchni zimnego mleka, przyniesionego z piwniczki lub wyciągniętego w kance z zimnej studni.

Mieliśmy piękne, trzytygodniowe, pracowite wakacje.

Wieczorami, siedząc przy stole pod nisko zawieszoną lampą naftową z klasykistycznym dziewiętnastowiecznym kloszem, jedliśmy miodowy tort wujenki Antoniny, żony wujka Władysława, z którym od początku uczyła w tej samej szkole; była też organizatorką i reżyserką teatru szkolnego. Przy małej wódeczce rozmowom nie było końca.

– Wujku – pytałem – jak to było z walką podziemną Polaków przeciwko Niemcom w tych okolicach? Słyszałem, że wielu mieszkańców tej wsi, w tym twoi synowie, w niej uczestniczyli.

– To prawda, do walki włączało się wielu ludzi, nawet twoją żonę zaangażowano do przenoszenia meldunków. Już zimą 1941 roku powstał i rozpoczął swoją działalność Komitet Nadwiślański „Sierp i Młot”, późniejszy Komitet Polskiej Partii Robotniczej. Komendantem był mój uczeń Antoni Lasota, któremu podlegał oddział Gwardii Ludowej.

– Czytałem w jakiejś gazecie na peronie w Radomiu, że tutaj działało nie tylko lewicowe podziemie.

– Oczywiście, walczył też oddział AK „Szarego”, który opanował raz Lipsko, a po pewnym czasie – dla zdobycia żywności i umundurowania – drugi raz dokonał tego Batalion Chłopski, znanego mi Władysława Gołąbka „Boryny”. Pamiętam – opowiadał dalej wuj kierownik – bo sam trochę w to byłem zaangażowany, jak w nocy z 27 na 28 października kieleckie oddziały AL i zgrupowania BCh, nawiasem mówiąc pod dowództwem „Ośki”, przyjaciela naszej córki Zosi, sforsowały front, niedaleko stąd, pod Chotczą i przeszły na tereny wyzwolone. Były też i po wojnie walki bratobójcze, WiN-owcy zamordowali skrytobójczo czterech milicjantów, niektórych znałem, przykro wspominać – zasępił się i zamilkł na dłuższą chwilę.

– Co się teraz dzieje z tymi twoimi znajomymi, bohaterskimi dowódcami oddziałów? – spytałem, udając ignoranta. Wyrwałem go z zadumy. Żachnął się.

– Jak to, co? Niby nie wiesz, co z takimi ludźmi porobili? Pozamykali! Siedzą, i sami nie wiedzą, za co. Niedawno otrzymaliśmy wiadomość od „Ośki”,

prosi o wstawiennictwo. Ale co my możemy? Też pozamykają – z żalem w głosie zakończył wuj, sięgając po kieliszek wódeczki Perła. Solidaryzując się z wujem, skwapliwie chwyciłem swój kieliszek i wychyliłem go do dna. Jutro muszę zapytać o tę miejscowość o oryginalnej nazwie Dziurków, gdzie urodziła się moja żona, to przecież niedaleko stąd – pomyślałem, i podziękowałem za niezwykle smaczny tort. Spać poszedłem do stodoły na świeże pachnące siano. Spaliście kiedyś na takim sianie? Jeśli nie, żałujcie! Ja tych wrażeń opisać nie potrafię!

Raniutko śniadanie, Boże, jakie śniadanie! Chlebuś własnego wypieku, posmarowany grubo masłem z własnej śmietany, jajecznicą na słoninie z jaj od własnych kur, posypana świeżutkim szczypiorkiem zerwanym z ogródka, ogórki obrane, przekrojone wzdłuż i posypane grubą solą, mleczna kawa, i jeszcze – własny twaróg polany śmietaną i posypyany cukrem. Słowem: niebo w gębie! Smaki przeszłości!

Przy śniadaniu brat żony, Rysiek mówi, że zamierza budować nowy dom. Tamten, babci się spalił, a ten zaczyna być za ciasny.

– Kiedyś się ożenię, a i wy, jak będziecie przyjeżdżać na wakacje, musicie mieć swój pokój – podsumował.

Tego ranka sąsiad przyniósł kurendę od sołtysa w sprawie jutrzejszego zebrania w szkole na temat 10-letniego planu rozwoju Woli Soleckiej, której częścią jest Wólka. Po odczytaniu, pismo zostało przekazane następnemu sąsiadowi, potem następnemu itd. Z braku telefonów, taki system informacji pozwalał zawiadomić wszystkich gospodarzy. W tym czasie było ich ponad trzystu. Okólnik przyniósł oczekiwany efekt. Największa klasa w szkole była pełna. Poszedłem i ja, z ciekawości.

Przewodniczący gminy i sekretarz partii zreferowali projekt planu rozwoju wsi i okolicy w ciągu najbliższych dziesięciu lat. W związku ze zmianami administracyjnymi, we wsi w 1954 roku miała powstać siedziba Gromadzkiej Rady Narodowej. Planowano wybudowanie nowej szkoły, oddanie do użytku sklepu Gminnej Spółdzielni i remizy strażackiej. Zapowiedziano utwardzenie drogi z Lipska i uruchomienie PKS-u. Miał powstać klub młodzieżowy „Ruchu” i poczta. Z niedowierzaniem przyjęto plany elektryfikacji wsi. Rozgorzała dyskusja. Każdy chciał budować coś innego w pierwszej kolejności, a najlepiej, by było blisko jego chaty: szkołę, przystanek autobusowy, klub „Ruchu” czy sklep spożywczy.

Rzeczywiście, stopniowo plany były realizowane. Wieś zmieniała się gruntownie. Nie tylko Wólka stała się nowoczesna i bogata. Młodzież ruszyła do szkół i na studia. Wesela były coraz huczniejsze. Przybywało samochodów. Zmieniała się rolnicza technika.

Na drugi dzień do gospodarstwa teściowej dotarła tak zwana „laga”. Był to gruby kij, lśniący od gładkości, wyszlifowany przez tysiące spracowanych wiejskich rąk. Stojący przed gankiem już od świtania oznaczał, że obowiązkiem

gospodarza jest pełnienie tej nocy dyżuru we wsi: pilnowanie domów i zabudowań przed ogniem czy przed złodziejami. Trzeba było chodzić po wsi całą noc, a rano postawić lagę przed chatą następnego sąsiada. Laga miała wielką moc, nikt nie uchylał się od wykonania zadania. Myślę, że dzisiejsza laska marszałkowska na wspomnienie lagi wiejskiej mogłaby się spalić się ze wstydu!

Upały i brak deszczu spowodowały zagrożenie pożarowe. Po wsi chodziły kobiety i zbierały jaja dla księdza proboszcza parafii soleckiej. Organizował on procesje polne. Modlono się o deszcz. Jednak nie zauważyłem zrozumienia ze strony niebios. Może ludzie byli grzeszni? Albo ja namieszałem swoim przyjazdem i niebiosy były niewzruszone? Niewierzący przecież. Znaczący diabeł, żyd i komunista w jednym! Księdza proboszcza bardzo interesowała Cecylia Tomalanka. Dopytywał się o jej ślub: gdzie się odbył i w jakim kościele. Martwił się zapewne, że umknęły mu pieniądze...

W którąś niedzielę zapytałem o Dziurków. Siedzieliśmy z wujem Władziem na powalonym drzewie, za którym wuj ukrywał przed swoją Antoniną butelkę wódki na miodzie, jego ulubione lekarstwo. Chętnie brałem udział w zażywaniu tego leku.

– Coś się uczepił tego Dziurkowa? Nazwa jak każda inna. Miejscowość ta jest związana z Wólką od 1870 roku, kiedy moi i twojej teściowej rodzice, czyli dziadkowie twojej żony mieli po kilkanaście lat. Wtedy to nasza wieś została włączona w skład gminy Dziurków z siedzibą w Solcu. Cztery lata wcześniej nasi pradziadkowie rolnicy ukazem cara Rosji otrzymali ziemię na własność.

– A jak było z lasami?

– Lasów im nie przyznano, chociaż na przykład hrabia Naruszewicz przed zsyłką po powstaniu styczniowym takie prawa chłopom dał. Rząd polski podtrzymał wcześniejszą decyzję cara i zezwolił chłopom na korzystanie z ograniczonego serwitutu leśnego, bez wyrębu, tylko na zbieranie runa i wypasy. Kiedy raz jednego, w 1923 roku, dobrze pamiętam, zezwolono na wyrąb drzew na jakieś nietutejsze budynki, chłopci zbuntowali się. „To nasze lasy, wara państwu od nich, nie pozwolimy na wyrąb” – wołano.

– I czym to się skończyło?

– Doszło do walki między policją a trzytysięcznym oddziałem chłopskim, uzbrojonym w pałki, bijaki od cepów, bagnety, żelazne sztaby. Policja zabiła kilku mężczyzn, wielu było rannych. Ta bitwa nic chłopom nie dała, nie licząc części lasów przyznanych im na własność. Wtedy to twój nieżyjący teść został jako porządny człowiek wybrany przez tamtejszych chłopów na gajowego. No a kilka lat później przysłała na świat moja siostrzenica Cecylia, twoja obecna żona – zakończył efektownie tę interesującą opowieść, sięgając wprawnym ruchem po buteleczkę miodówki. Wypiliśmy. Byłem wdzięczny wujowi kierownikowi, że poświęcił mi tyle czasu. Byłem dumny, że moja żona pochodzi ze stron o takich tradycjach.



Zbliżał się czas naszego powrotu do Mzdowa. Myśleliśmy już o przygotowaniach do nowego roku szkolnego. Pojechaliśmy jeszcze do Solca na cmentarz złożyć kwiaty na grobie ojca Cecylii, który nie dożył jej zamążpójścia, zmarł tuż przed wybuchem wojny.

W Lipsku, dokąd nas wszyscy odwieźli, po serdecznych uściskach z nadzwyczaj dobrą i mądrą teściową, wsiedliśmy do tym razem ładnego i nowego autobusu.

– Jak już wywołacie zdjęcia z waszego ślubu, to je nam przyslijcie! A, i jeszcze jedno, tutejszy sekretarz partii, Lasota, pytał niedawno o wasz ślub kościelny. O co im chodzi, raz pyta o to ksiądz, raz sekretarz, to oni nie wiedzą, że braliście ślub w Miastku? – z jakąś nutą wątpliwości w głosie mówi teściowa.

No, no, partia czuwa! Ten typ z Miastka musiał dzwonić do tutejszego Komitetu Powiatowego. Cóż, nie po raz pierwszy i na pewno nie ostatni religia wkracza w życie osobiste tych, którzy szukają raju poza jej obrębem, partia z kolei pilnuje pryncypialności swoich towarzyszy. Oblęd! – pomyślałem.

– Powariowali! – wołam przez otwarte okno autobusu. – Niech pilnują, mam, własnych stołków!

Ruszamy, żona wyciera ukradkiem oczy pełne łez. Kiedy znowu się zobaczymy?

– Jak to się stało, że nie zrobiliśmy żadnych zdjęć ślubnych, przecież twój tata miał jakiś aparat? – pyta szczerze zmartwiona.

– Trudno, już się nie odwróci, przegapiliśmy, nikt nie pomyślał, a może lepiej, że tak się stało, nie wzięliśmy przecież ślubu kościelnego. Powiemy mamie, że fotograf zepsuł kliszę, nie martw się, a jeśli ci zależy, zrobimy sesję u fotografa, pożyczymy stroje. Chcesz?

– Głupi jesteś, i już! Postaw torbę z jedzeniem na półkę i nie gadaj głupstw!

W ponurych nastrojach dojeżdżamy punktualnie do Radomia. Złapaliśmy jeszcze wcześniejszy pociąg do Warszawy, gdzie jesteśmy zaproszeni do cioci Luci, siostry mojej teściowej, na Lelechowską. Ciocia na powitanie oświadcza, że w dalszą drogę wypuści nas dopiero jutro. Mąż cioci, docent Władysław Kowalczyk, dyrektor Departamentu Szkolnictwa Zawodowego w Ministerstwie Oświaty, autor książki „Szkolnictwo Polskie w Niemczech” (były oficer Wojska Polskiego, więzień oflagu), uprzedzony o naszym przyjeździe, wrócił wcześniej z pracy.

Po obiedzie wujek Władzio, człowiek wielkiej łagodności i dobroci zapytał Cecylię, czy nie chciałaby zamieszkać i pracować bliżej swojej rodziny.

– Pewnie, wujeczku, że bym chciała, nakaz pracy kończy się w przyszłym roku, tutaj może bym znalazła etat w jakiejś szkole, ale co z Ryśkiem i z mieszkaniem?

– Jeśli tak, to pomyślę i dam wam znać, może za rok da się coś zrobić. Zostawcie adresy i telefony. Czy jest, Cesi, w twojej szkole telefon?

– Oczywiście, taki na korbkę, przez pocztę.

Z nadzieją na Warszawę, o której marzyłem, z niechęcią na myśl o spotkaniu miasteczkich aparatczyków, nadgorliwców, wsiedliśmy do pociągu na dworcu Warszawa Zachodnia i pomknęliśmy na zachód, do naszego nowego życia w Mzdowie. Tym razem w dodatkowej walizce wieźliśmy słoninę, kaszanke, rąbanke i boczek, zaopatrzenie żywnościowe od matki i teściowej.

Często, gdy w głowie miałem zamęt i nie znajdowałem odpowiedzi na pytania, które się do niej cisnęły, lub wtedy, gdy przerażała mnie najbliższa przyszłość, a taką miała być praca w szkole, wyjmowałem ukochanych *Gargantue i Pantagruela Rabelais'go*. Także i wówczas, gdy pociąg stukocąc kołami o szyny, z każdym kilometrem przybliżał mnie do przystanku pod nazwą „Nauczyciel”, ta książka pomagała mi się uspokoić. Zdumieni pasażerowie dyskretnie spoglądali na mężczyznę, który śmiał się w głos, wpatrując się w kartki książki.

## Tryzub i króliki

W dzień rozpoczęcia nowego roku szkolnego 1953/54 przed budynkiem szkolnym w Mzdowie zebrała się cała wieś. Wszyscy byli ciekawi męża pani kierowniczk, „nowego pana kierownika” – jak mówili.

Uczniowie, zarówno klas starszych, jak i pierwszoklasiści, stali w dwuseregach w otwartym czworoboku. Po podniesieniu flagi państwowej i odśpiewaniu hymnu, powitałem przedstawicieli Urzędu Gminy, sekretarza podstawowej organizacji partyjnej i sołtysa. W kilkuminutowym przemówieniu okolicznościowym zaprosiłem mieszkańców do współpracy ze szkołą. Następnie przedstawiłem się. Mówiłem o sobie, o moim pochodzeniu, o dotychczasowej pracy, o rodzicach i planach rozwoju szkoły. Wspomniałem o zorganizowaniu kursów rolniczych i teatru. Uśmiechy i oklaski świadczyły, że zostałem zaakceptowany.

I tak to się zaczęło! Czy będę dobrym nauczycielem? Czy to jest droga, którą pójde przez życie? Pracę rozpocząłem od oceny stanu pomocy naukowych, mebli szkolnych, biblioteki itp. Znalazłem w niej wiersz o Warszawie pod tytułem „Ulica Marszałkowska i kolonie”, napisany w 1950 roku przez Grzegorza Lasotę. Niedobrze, to zaledwie drugi dzień mojej pracy w Mzdowie, a ja już rozmarzyłem się o Warszawie... Postanowiłem przecież kiedyś, że skoro straciłem swoją ojczyznę, Wołyń, i mam żyć w granicach nowej Polski, to może to mieć miejsce tylko w Warszawie, która przed laty – gdy jeszcze mieszkalem w moim Dubnie – była również stolicą dla Wołynia.

## Ulica Marszałkowska i kolonie

*Tu były sklepy jak Afryka,  
za kratami grubych szyb  
ananas, kokosy, banany*

*W kwaciarniach storczyki  
się śmiały egzotycznym blaskiem barw,  
a na Woli, na Czerniakowie  
domy stały jak z talii kart,  
dobrobytu fałszywy mit.*

*Domy stały, krzywe, pokraczne  
na pijanych, rachitycznych nogach.  
Jeden pokój – to ludzi dwadzieścia  
i kapiąca z sufitu woda.*

*Powiadają, nie było kolonii  
w naszym czarnym wyzyskiem kraju...  
Szedłeś prosto Marszałkowską,  
a trafiałeś do Zanzibaru.*

*Bo nędza przecież ta sama  
i ulice brunatne jak błoto,  
na tramwaj nie było pieniędzy  
i chodzić trzeba piechotą.*

*Marszałkowska była dla białych,  
dla nich sklepy, auta, mieszkania,  
a czarni fabryczną robotą  
mieli miejsce pod mostem do spania.*

*Marszałkowska stara umarła,  
Marszałkowskiej starej już nie ma.  
Zwycięskie wyciąga dziś ramię  
buldożer pisząc poemat:*

*O blokach – że będą tu jutro,  
że jutro – to przecież dziś,  
o latach idącej budowy  
prowadzonych przez naszą myśl,*

*o nowej, nowej Marszałkowskiej  
szerokiej jak rozmach naszej władzy,  
o domach wysokich, młodych,  
o szczęściu, co znaczy socjalizm.*

No właśnie, ja w tej odległej kaszubskiej wsi, a tam młodzi ludzie budują stolicę beze mnie. Ale dość takiego myślenia, tutaj jest moje miejsce i basta! Będę pracować tak, by zasłużyć na uznanie wsi. Tutaj też można budować „szczęście, co znaczy socjalizm”.

W powiecie władze oświatowe organizują konferencje metodyczne, które mają pomóc młodym nauczycielom w ich pracy dydaktyczno-wychowawczej. Biorę w nich udział w nadziei, że czegoś się nauczę. Nic z tego, najczęściej wysłuchuję mów polityczno – ideologicznych typu: „Dziecko, wiecie, jest radością i szczęściem człowieka. W socjalistycznej ojczyźnie ludność staje się z każdym rokiem zamożniejsza i światlejsza, i nie zna strachu przed bezrobociem i nędzą. Nasze dzieci, które uczymy, będą już – jako dorośli ludzie – żyć w ustroju komunistycznym, ustroju braterstwa i szczęścia, ustroju, do którego drogę utorowali Marks, Lenin i Stalin. Naszym zadaniem jest pomóc dzieciom w zrozumieniu zachodzących zmian. Liczymy na was!”.

Ja mogłem liczyć tylko na siebie. Musiałem uczyć się każdego dnia, by mieć odwagę uczyć dzieci. Wywalczyłem w kuratorium dużo pomocy naukowych, głównie plansze i mapy. Wiele z nich wykorzystywałem podczas kursów dla rolników na temat metod uprawy roślin (na przykład buraków cukrowych), sposobu hodowli królików czy prowadzenia pasieki. Do wykładów przygotowywałem się wieczorami i nocą. Wykorzystywałem wiedzę praktyczną z Sarbinowa, gdzie przez kilka lat pracowałem z rodzicami w gospodarstwie, a dziadkowi Piotrowi, botanikowi, pomagałem w uprawie roślin ogrodowych i prowadzeniu dużej pasieki. Takie kursy dla rolników, przy wsparciu szkoły, w powiecie miasteczkim zorganizowałem pierwszy.

Dużo o tym pisał organ Komitetu Powiatowego partii „Tygodnik Miasteczki”. Zachęcano w nim innych kierowników szkół, by „wzorowali się na pracy kolektywu pedagogicznego w Mzdowie, który pod kierunkiem tow. Strońskiego twórczo wprowadza w życie swoimi wykładami nowoczesne osiągnięcia agro-techniczne i zapoznaje z nimi rolników”.

Do szkoły przylegał pas pola, będący jej własnością. Zasialiśmy na nim z żoną len. Pole zakwitło niebieskim kolorem, drobniuteńkie kwiatuszki napawały nadzieją, że gdy plon zbierzemy, będziemy mogli kupić piękny wózek dla naszego dziecka, które miało przyjść na świat wiosną 1954 roku. Uczniowie w ramach wycieczek przyrodoznawczych zbierali w lesie grzyby i jagody. Z części jagód zebranych przez siebie Cesia robiła przetwory, a grzyby suszyła. Chłopki pędząc bydło na pastwisko, cichcem kładły na parapecie okiennym naszego mieszka-

nia mięso z ostatniego świniobicia i świeży chleb własnego wypieku. Niedziele prawie do południa spędzaliśmy w łóżku, czytaliśmy wtedy na głos książkę pod tytułem *Młodość* Zamojskiego. Był to chyba straszliwy produkcyjniak, muszę go kiedyś odszukać w Bibliotece Narodowej. Dlaczegośmy, na Boga, to czytali? Koło południa jedliśmy śniadanie, sięgając na parapet po to, co nam przynieśli dobrzy ludzie: chleb, biały ser, śmietanę, mleko.

Na wprowadzonym przeze mnie codziennym apelu porannym omawialiśmy z młodzieżą wszystkie bieżące problemy. Porządku i czystości w szkole pilnowała pani Helga, Niemka, która nie opuściła wraz ze swoimi rodakami rodzinnej wsi, i mieszkając blisko szkoły z bratem i rodzicami prowadziła swoje niewielkie gospodarstwo, łącząc to z pracą woźnej. Gdy poznaliśmy się bliżej, wyznała, że jeden z jej braci zginął pod Stalingradem. Jeszcze później, kiedy poszukiwałem niemieckiego munduru do naszego wiejskiego teatru, zdradziła, że ma taki mundur ukryty w stodole. Zaproponowałem, aby jej brat wystąpił w nim jako aktor w naszym przedstawieniu. Po kilku rozmowach zgodził się. Daliśmy kilka przedstawień w okolicznych wsiach, również w Sianowie.

Pewnego razu, gdy wracaliśmy z Sianowa na ciężarowym poniemieckim samochodzie wypożyczonym z Technikum Leśnego z Kępic, rozdarłem spodnie tak fatalnie, że nijak nie mogłem osłonić części ciała, które bardzo tego wymagały. Wówczas aktor, brat pani Helgi wyjął z worka portki od niemieckiego munduru, i w pobliskim lesie, nie bez pomocy innych, udało mi się je na siebie wciągnąć. W ten sposób autorytet kierownika i reżysera nie doznał szwanku. Jednak wkrótce nastąpił splot niekorzystnych dla mnie okoliczności. To przebieranka w niemiecki mundur przyniosła mi pecha – myślałem wtedy.

Po pierwsze, dostałem wezwanie do wojska, gdzie czekał na mnie prawdziwy polski mundur.

Po drugie, towarzysze z wyższej instancji ocenili, że nasza grupa partyjna nie rozrasta się, a we wsi brak entuzjazmu do zakładania spółdzielni. Wezwali mnie i tłumaczyli w te słowa: „Wiedziecie, chłopcy z waszej wsi nie garną się do spółdzielni produkcyjnej, a co gorsza, niszczą obejścia gospodarcze („Bo jak to nie ma być moje, to niech g... dostają do kołchozu”), wycinają krokwie w oborach i stodołach, paląc nimi w piecach. Zawalają się dachy, zaciekają chlewy. Bogaci gospodarze, którym przecież władza ludowa dała ziemię, uprawiają wrogą propagandę i mówią, że w spółdzielni jedni muszą pracować, a drudzy mogą się wylegiwać. A przecież wiadomo, że to nieprawda. Dla leni nie ma w spółdzielni miejsca. Każdy przepracowany dzień zapisuje się w specjalnej książeczce dniówek obrachunkowych oraz na dużych tablicach. Przy rozdziale dochodu rocznego członek spółdzielni otrzymuje tyle, ile wypracował... W niektórych spółdzielniach produkcyjnych dniówka wynosi nawet 800 zł. Tylko wspólna praca dla wspólnego dobra, sama nawet myśl o tym, potrafi u świadomych chłopów wywołać na twarzy uśmiech. Zostawili przecież za sobą życie pełne

nędzy i upokorzeń, przed nimi pojawiła się szczęśliwa i jasna przyszłość. Czy to tak trudno pojąć?”.

– Trzeba coś zaradzić, porozmawiać z chłopami, my pomożemy, zorganizujcie zebranie w szkole, musimy przełamać opór nieuświadomionych i zacofanych rolników, towarzyszu kierowniku – tłumaczył mi w Komitecie Powiatowym partii towarzysz Liwiusz Kapeć.

– Ja bym, wiecie, chętnie, ale, o tu, macie dokument, już jestem prawie w drodze do jednostki – odpowiedziałem z prawdziwym smutkiem, bo w istocie za żadne skarby nie chciało mi się do armii.

Rozstaliśmy się na niczym.

W gruncie rzeczy, jakkolwiek by liczyć, takie zebranie uświadamiające mógłbym zorganizować dopiero za trzy lata. Żona w ciąży, to dadzą jej spokój, a z mieszkania chyba też nie wygonią – myślałem.

Po trzecie, wydarzyło się coś, co ostatecznie przekonało mnie, że nauczyciel to nie zawód dla mnie. Popeliłem poważny błąd pedagogiczny, którego wstydzę się do dzisiaj. A było to tak...

Po lekcji zgłosił się do mnie uczeń z klasy szóstej i ścisłym głosem powiedział, że skradziono mu króliki; on wie, kto to zrobił, ale boi się go wydać.

– Zastanów się, Maćku, i przyjdź mi powiedzieć, jeśli nabierzesz odwagi. Czy to jakiś chłopak z twojej klasy?

– Tak, ale on jest Ukrainiec, a tata mi mówił, co oni robili.

W tamtej chwili przypominałem sobie o pewnym wydarzeniu z pierwszych dni mojej pracy w tej szkole. Wszedłem do sali, jeszcze pustej, by oswoić się z myślą, że oto za niecałą godzinę będę prowadził pierwszą lekcję w najprawdziwszej klasie pełnej dzieci. Myślałem, że w ten sposób uwolnię się od tremy. Rozglądając się po pomieszczeniu, nagle zobaczyłem na tablicy ogromny *tryzub*, starannie wyrysowany kredą, znak banderowców i UPA. Minęło dziesięć lat, kiedy ostatni raz widziałem go na Wołyniu! Miałem nadzieję, że te czasy już nie powrócą, a tutaj naraz, w szkole, przed pierwszą moją lekcją, dopada mnie ten zniechęcający symbol, chwytając za gardło i dusi. Szmatą, nieomal paznokciami, zdrapuję to draństwo z tablicy. Uświadamiam sobie wówczas, że na listach uczniów znajdują się ukraińskie nazwiska. Dzisiaj wiem, że były to dzieci Ukraińców przesiedlonych w ramach „Akcji Wisła”.

Rozpaczam dyskretnie dochodzenie w sprawie królików. W końcu moje podejrzenie pada na wyrośniętego najstarszego chłopca, Tarasa Hrycuka. Wzywam go do kancelarii szkoły i tam rozpoczynam „śledztwo”. Po godzinnej rozmowie, kiedy już obaj byliśmy wyczerpani, zaszantażowałem go, że jeśli się nie przyzna, to zamelduję na milicji o tym *tryzubie* na tablicy z początku roku szkolnego. Nastraszył się, rozplakał, („*Bat’ko* mi kazał!”), ale nadal wypierał się kradzieży. Podchodzę do chłopca i łagodnie mówię, że jeśli podrzuci nocą te króliki tam, skąd je wziął i przyzna się do tego, co zrobił, to sprawa zostanie na

zawsze tylko między nami. Uwierzył, kiwną głową i ruszył w kierunku drzwi. Wtedy dopadłem go i uderzyłem kilka razy po głowie i twarzy. Wyrwał mi się i uciekł. Przez kilka dni nie było go w szkole. Któregoś dnia Maciek znalazł rano w stodole swoje króliki...

Wiele lat, analizując tamto wydarzenie, myślałem o sobie z pogardą. Bałem się, że chłopiec już nigdy nikomu nie zaufa i zejdzie na złą drogę. Z moim wstydem i bólem nosiłem się długo, zanim dowiedziałem się, będąc specjalnie w tym celu w Mzdowie, że chłopak jest uczciwy, skończył szkołę zawodową i pracuje w lesie w tamtejszym nadleśnictwie. Ożenił się z siostrą kolegi, któremu kiedyś ukradł króliki. Jego dzieci uczą się w tej samej szkole, gdzie przed laty napotkał na swej drodze złego nauczyciela, który właśnie jemu zawdzięcza, że przez całe życie starał się już nigdy nikomu nie wyrządzić żadnej krzywdy.

Dzisiaj, mimo tego wydarzenia, z dużym sentymentem wspominam początki mojej pracy. Jak wiele brakowało mi wiedzy niezbędnej nauczycielowi, jak niewiele znaczyła moja jednoroczna nauka w Liceum Pedagogicznym w Stargardzie Szczecińskim, jak niedoskonałe było moje przygotowanie do tego bardzo trudnego zawodu. Te braki nadrabiałem dobrymi chęciami i wielką pracowitością, także w działaniu na rzecz miejscowej społeczności. W tamtym czasie uważałem za naturalne, że do agitacji na rzecz tworzenia spółdzielni produkcyjnych włączano nauczycieli. Wciąż byłem członkiem ZMP i PZPR. A to przecież zobowiązywało – myślałem.

Powojenny postęp był ogromny. Tłumaczyłem uczniom sens zachodzących zmian i znaczenie słów, które odchodziły w przeszłość, takich jak: parobek, dziedzic, przednówek, strajk, bezrobocie. Dziś boli, że niektóre z tych określeń znów stają się zrozumiałe, gdy moje pokolenie miało nadzieję, iż na zawsze przeszły do historii i zostaną archaizmami.

Tymczasem Jurek M. pisze z Warszawy o zmianach, jakie tam zachodzą. Zaprasza, abym przyjechał, kusi! Sam zresztą czytam o tym w „Sztandarze Młodych”: „Sztab urbanistów z inż. Sigalinem na czele, jednym z twórców trasy W-Z, radzi nad tym, aby nowa, powstająca w sercu Warszawy reprezentacyjna dzielnica mieszkaniowa była jak najpiękniej zaplanowana i jak najbardziej przystosowana do potrzeb człowieka pracy. W MDM nie będzie już prywatnych sklepików i fabryczek – powstanie tu nowa dzielnica dla 45 000 robotników i urzędników(...) Budowa MDM stanie się kuźnią zastępów racjonalizatorów, nowatorów i przodowników pracy naszego budownictwa.

I stała się. Dzięki zapałowi wszystkich budowlanych, a jednocześnie dzięki mechanizacji pracy. Potężne koparki „*Staliniec*” ciskały tony ziemi na bok, a w miejscach oczyszczonych przez radzieckie buldożery betonowano już ławy fundamentowe. Wykorzystanie doświadczeń radzieckich obok radzieckich maszyn sprawiło, że Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa prędko wyrwała się z ziemi i wznosi się coraz śmielej ku górze”.

Nasza córeczka Elżbieta przychodzi na świat wiosną 1954 roku. Cecylię do szpitala w Miastku zawozi mój tata wożem zaprzężonym w naszą „rodzinną” gniadą kobyłkę z Sarbinowa. Ja nie mogę odwiedzić żony, leżę w łóżku; dostałem wysokiej temperatury, która minęła w momencie urodzin córki.

W połowie maja otrzymujemy telegram z Warszawy: „udało się stop jest praca dla rysia w ursusie stop prowizoryczne mieszkanie stop dla cesi znajdzie się praca stop przyjeżdżajcie wujek”.

Nie zdążyliśmy zebrać plonów z błękitnego pola. Zrobił to nowy nauczyciel.

Wystarczyło nam pieniędzy na wózek, pieluchy, śpioszki, kocyki i smoczki dla naszego dziecka. Wyjeżdżamy do Warszawy! Żegna nas płacz moich rodziców i babci Marii, która unosi swoją spracowaną rękę w geście błogosławieństwa, drugą ściska mnie za ramię.

Pierwszego września 1954 roku rozpoczynam pracę w Technikum Budowy Traktorów w Ursusie. Żona – w szkole podstawowej. Elusie przyjęto do zakładowego żłobka Zakładów Mechanicznych „Ursus”.

Mieszkamy w pokoju zaadaptowanym z pralni szkolnej, mamy dwa żelazne łóżka wypożyczone z internatu przy technikum. Jest ciepło; mieszkanie znajduje się nad kotłownią.

## List do marszałka

W 1953 roku, kilka miesięcy po ślubie zostałem powołany do wojska. Czasy były trudne, szczególnie zaś dla rekrutów. Nie żył już towarzysz Stalin, „mądry i prosty jak prawda”. W szkolnym korytarzu wisiał jeszcze obraz „słońca ludzkości”, namalowany przez Fiodora Szurpina, a zatytułowany „Poranek naszej ojczyzny”.

Jak rozstać się z pracą, która zaczęła pasjonować? Jak przez te najbliższe lata poradzi sobie żona, kiedy za kilka miesięcy na świat przyjdzie nasze dziecko? A mieszkańcy wsi, repatrianci zza Bugu, których polubiłem i wraz z nimi zacząłem rozwijać życie oświatowe i kulturalne Mzdowa? Poczują się osamotnieni i rozczarowani!

Nie było jednak rady. „Zawsze, na wsi czy w wojsku, socjalizm należało umacniać i na każdym kroku bronić pokoju, strzegąc granic jak żrenicy oka”. Nie było sposobu, żeby wykręcić się od wojska. Byłem członkiem partii, musiałem być wzorowym obywatelem. Nie mogłbym patrzeć w oczy ludziom na wsi ani dzieciom, moim uczniom w szkole, gdybym uchylił się od służby ojczyźnie.

– Co wam jest? – zwróciła się do mnie ustami swojego przewodniczącego, lekarza wojskowego komisja poborowa w Szczecinku, przed której obliczem pojawiłem się z wezwaniem.

– Nic, jestem zdrowy, tu są odpowiednie zaświadczenia. Tylko na prawym oku mam drobny naciek i nie widzę szczerbinki.

– Nie symulujcie. Jak nie piszą o tym w papierach, to znaczy, że wszystko w porządku. A ja nie mam narzędzi ani okulisty. W pułku sprawdzą, aż wam jaja spuchną. Zdolny. Następny!

Konwój w postaci dwóch żołnierzy i kaprała doprowadził poborowych do pociągu. Przed północą wraz z grupą kilkunastu dwudziestolatków wysiadłem w Trzebiatowie nad Regą. Od tej chwili wiedzieliśmy, że będziemy służyć w wojskach pancernych w J.W. 3572 „K”.

Tej nocy spania nie było. Do godziny szóstej zdaliśmy ubrania cywilne (jednostka natychmiast wysłała je do miejsca zamieszkania rekrutów). Następnie dostaliśmy się w ręce fryzjerów, którzy strzygąc nas do gołej skóry, od czasu do czasu wykrzykiwali: „Wszy! Na prawo do odwszawiania!”. Tam sypano nam na głowę proszek DDT. Sanitariusze posługując się specjalną drewnianą kopystką, sprawdzali również ewentualne występowanie u rekrutów mendoweszek. Jeśli były, golili krocze i smarowali je jakąś śmierdzącą ciemną maścią. Trzeba było także poddać się kontroli stanu hemoroidów. W przypadku wykrycia choroby wenerycznej, odsyłano do izby chorych.

Ustawiamy się w kolejce przed magazynem mundurowym. Każdy odbiera swój pakiet, a w nim onuce, buty, kalessy z trokami, podkoszulki, czapkę i mundur. Nikt nie pyta o rozmiar!

– Spokój! – wrzeszczy magazynier. – Brać jak leci, później se, k... dopasujecie między sobą!

Cała ta tragicomiczna sytuacja – klębiący się tłum nagusów, krzyki i wyszarpywanie części umundurowania według numeracji – godna by była kamery. Około 6.30 wszyscy byliśmy podobni do Szwejka. Spojrzeliśmy na siebie. Nie mogliśmy się rozpoznać. To był koniec: to, co ludzkie pozostało definitywnie za nami. Wielu miało łzy w oczach. O siódmej pierwszy posiłek. Czarna kawa zbożowa, chleb z margaryną i marmolada. O ósmej zbiórka. Maszerowanie, salutowanie, w prawo i w lewo zwrot.

Wybijam krok, dochodząc do żywoplotu, zatrzymuję się przed nim i odwracam się.

– Kto dał ci rozkaz zatrzymania się i powrotu, w tył zwrot ćwoku i do przodu! – wrzeszczy kapral.

Tym razem, świadomie i złośliwie, przedzieram się na oczach plutonu przez zarośla i jakiś kolczasty drut, który rozrywa mi szynel, i po kilkunastu krokach stoję przed murem koszar. Oparłem czoło o zimny mur; było mi wszystko jedno. Słyszałem wołania kaprała, nie reagowałem. Chciałem spać. Przybiegło na

jego rozkaz kilku kolegów – kazał im mnie przyprowadzić. Odmówiłem. Tylko dowódca może mi wydać taki rozkaz – mówię. Przybiega kapral, pluton chociaż.

– Jesteś skończony buc! Ja ci dam popalić, aż pożałujesz, że matka na świat cię wydała, ty p... Szwejku!

Czułem sympatię plutonu. Wieczorami pisałem żołnierzom listy do dziewcząt. Stałem się nieformalnym przywódcą chłopaków. Wściekły kapral wyznaczał mnie poza kolejnością do obierania ziemniaków. Przynosił akordeon, sadowił żołnierza-grajka na stercie kartofli i kazał mu grać najbardziej rzewne melodie; „muzyk” sam często przy tym zasypiał. Koszmar kartoflany trwał zwykle do drugiej w nocy.

Szykany skończyły się, kiedy zostałem wybrany na pierwszego sekretarza POP partii batalionu. Stało się tak dlatego, że miałem prawie dwuletni staż partyjny i pracowałem w aparacie gminnym i powiatowym ZMP.

Już prawie piąty dzień wojsko nie ma kompletu niezbędnych, w szczególności brakuje łyżek. Obiad. Drewniane długie stoły, przy których z jednej i drugiej strony siedzi łokieć w łokieć po piętnastu żołnierzach. Kapuśniak. Kasza polana sosem, obok duży i miękki kiszony ogórek. Wojsko stoi za stołami.

– Siad! Wstać! Siad! Wstać! Musi być równo, do cholery! Siad! No, teraz równo! Jeść! – rozlega się wrzask.

Czym to zjeść, kiedy łyżek nie ma? Na jedzenie wyznaczano tylko piętnaście minut! Ja z przylepki chleba wyjadam w pośpiechu miąższ i tą wydrążoną namiastką łyżki wylapuję zupę. Inni starają się ją wypić, jeszcze inni wyjmują kapustę palcami. Jeszcze gorzej idzie z sosem i kartoflami.

– Koniec jedzenia! Wstać, zwrot do wyjścia! Wojsko zjadło!

– Taaak!!!

W ostatniej chwili wielu wpycha ogórki, a nawet kartofle do kieszeni.

Zbiórka w dwuszeregu przed stołówką.

– Co ty tam? Zlałeś się czy co? I ty także? Co tam macie w tych kieszeniach? – wydiera się kapral. – Co, ogórki? Nie zdążyliście zjeść w stołówce? Mamusia nie pokroiła synkom ogóreczków?

Szykany, na każdym kroku. Nikt nie przejmuje się tym, że żołnierze są głodni.

Nie mogę dopuścić do tego, by traktowano nas jak bydło. Proszę dowódcę plutonu o umożliwienie mi rozmowy z zastępcą dowódcy pułku do spraw politycznych. Melduję się i w imieniu mojej POP składam skargę na sposób traktowania rekrutów przez podoficerów i dowódców plutonów, na brak środków czystości i higieny osobistej, na kuchnię, brak niezbędnych itp.

Mój raport spowodował, że przed swoim wojskiem postanowił wystąpić dowódca pułku. Zgoniono nas na plac apelowy. Słuchając jego przemówienia, szybko zorientowałem się, że tacy, którzy nie rozumieją przejściowych trudności gospodarczych, są wrogami ludu i sięją defetyzm, co powoduje rozluźnienie dyscypliny w wojsku i usypia czujność!

Dowódca pułku mówił mniej więcej tak: „Żołnierze, powinniśmy stale pamiętać nakazy naszego ukochanego przyjaciela Polski i niezłomnego chorążego pokoju, który nakazywał zawsze walczyć przeciwko wojnie i bez względu na przejściowe trudności, dążyć do ocalenia na trwałe pokoju na całym świecie. Dzięki genialnej strategii Stalina, która okazała się nieporównanie lepsza zarówno od strategii niemieckiej, jak i od strategii amerykańsko-angielskiej, barbarzyńcy osiem lat temu ponieśli klęskę. Stalin udowodnił, że ustrój socjalistyczny przewyższa ustrój kapitalistyczny nie tylko w warunkach wojennych, ale i w warunkach pokojowych. Niech nasze chwilowe braki nie załamują nas! Wojsko to szkoła charakterów! Czy ktoś z was, żołnierze, ma jakieś skargi, czy komuś czegoś brakuje? Proszę wystąpić i meldować! Nie ma? Dziękuję!”.

Zrozumiałem, że nie partia rządzi w wojsku! Trzeba się zamknąć i do okopów! Jestem załatwiony... Zniszczą mnie! Muszę się pilnować. Przede wszystkim żadnych kpín! Od jutra będę świecić przykładem! Postanowiłem często powoływać się na Stalina i cytować Marszałka Polski Konstantego Rokossowskiego. Mimo to, w następnych dniach dowódca plutonu pokazał dobitnie, kto tu rządzi. Na każdym kroku obdarzał mnie epitetami rodem z przedwojennej szkoły kawalerskiej. „Zasrany inteligencik, buc, nogi mu z dupy powyrywam” – to były jedne z delikatniejszych określeń.

Los jednak znów się do mnie uśmiechnął. Przy najbliższych badaniach lekarskich poskarżyłem się, że prawym okiem nie widzę szczerbinki i podczas strzelania mógłbym być posądzony o symulowanie, czego jako aktywista partyjny za wszelką cenę chciałbym uniknąć. Zostałem zatem zakwalifikowany wraz z grupą jedenastu chorych żołnierzy z całego pułku do wyjazdu na dalsze badania do Szpitala Garnizonowego w Szczecinie.

Pewnej nocy zerwano nas z łóżek; po otrzymaniu prowiantu (słonina i suchary) pomaszzerowaliśmy na stację kolejową w Trzebiatowie. Po kilku godzinach jazdy pociągiem znaleźliśmy się w Szczecinie, a o ósmej stanęliśmy przed Wysoką Komisją Lekarską.

Naszym dowódcą na czas pobytu w tym mieście był sanitariusz, sierżant Popławski. Miał ogromne poczucie humoru i lubił wypić, co nas do siebie zbliżyło, tym bardziej, że miałem przy sobie trochę pieniędzy...

– Jest rozkaz – mówi Popławski – rozebrać się do rosołu i stanąć gęsiego.

Wchodzimy, za stołem w białych kitlach siedzą trzej mężczyźni i dwie kobiety, lekarze wojskowi. Zasłaniamy dłońmi przyrodzenia.

– Baczość! Nie zajmować się futami! Podchodzić pojedynczo!

– Co tobie, na co żołnierz się skarży?

– Obywatelu majorze, nie dostrzegam prawym okiem szczerbinki, ale to nic, bo ja chcę służyć Polsce Ludowej w Wojsku Polskim i mogę strzelać z lewego ramienia – raportuję w tempie odgłosu z karabinu maszynowego.

– Co pieprzycie? Jakie oko? To po jasną cholerę rozebraliście się! W dupie macie oko?

– Tak jest!

– Co tak jest?!

– Tak jest, nie wiem, po co, ale był rozkaz!

– Zaprowadzić tego tu, z tym okiem, do okulistów, niech włożą gacie i nie łazi mi tu po korytarzach z gołą dupą.

Kilku lekarzy i paru studentów medycyny prawie godzinę za pomocą różnych przyrządów sprawdzało moje prawe oko. Po badaniu i kilku konsultacjach okulista opisał wadę. Teraz decyzja należała do Wojskowej Komisji Lekarskiej.

Po południu nasz sanitariusz odebrał zalakowaną kopertę i zaprowadził wojsko na dworzec, rozlokowując „oddział” na posadzce pod oknami. Do odjazdu pociągu było jeszcze około dziewięciu godzin.

– Mam forszę, i niedaleko, na Siemiradzkiego, ciotkę. Weźmy dwie butelki i skoczmy do niej na jajecznicę, bardzo się ucieszy – zaproponowałem Popławskiemu.

– Wojsko niech się nie rozłazi, jedynie za potrzebą, rozkaz wyjazdu dla nas wszystkich mam tylko ja. Żeby was żandarmeria nie zamknęła, za dwie godziny będę – nakazał dowódca.

Pojechaliśmy. Po drodze, przy hali sportowej, gdzie kilka lat wcześniej stoczyłem ostatnią przegraną walkę bokserską, dałem sobie zrobić zdjęcie, stając za planszą z namalowaną podkową, pod którą był wycięty otwór na głowę. Fotografii chciałem wysłać żonie. Jeszcze mokrą schowałem do kieszeni, taksówka wiozła nas do niczego niespodziewającej się cioci Zosi. Szczęśliwie ułożyło się, że w domu był także jej mąż, który nie zwykł był wylewać za kołnierz.

Gdy kończyliśmy drugą butelkę z białą główką, podsunąłem myśl, aby zajrzeć do zalakowanej koperty z decyzjami komisji lekarskiej. Sierżant długo bronił się, ale następne kieliszeczki wody ognistej skłoniły go do sięgnięcia po mapnik, z którego wypadła koperta z „wyrokami”. Złamanie laku nie było trudne, gorzej szło czytanie.

W końcu wspólnymi siłami udało się ustalić, że rekrut R.S. nie nadaje się do wojska i należy skreślić go z ewi-



...dałem sobie zrobić zdjęcie...

dencji wojskowej. Moją niewyobrażalną radość opiliśmy jeszcze jedną butelką. W rezultacie ledwie zdążyliśmy do pociągu. Wprost z taksówki wpadliśmy w objęcia czekających żołnierzy, którzy zawlekli nas do wagonu i położyli na podłodze między siedzeniami. Towarzysz sekretarz organizacji partyjnej batalionu szeregowy R.S. i sierżant H.P. smacznie spali, przytuleni, dając przykład punktualności przyszłym obrońcom ojczyzny. Kilka godzin snu i – Trzebiatów.

Tylko ja wiedziałem, że z tej jedenastki nikt poza mną nie opuści wojska. Pozostali musieli zostać, niektórzy w drugiej linii w służbach pomocniczych.

Minęło jeszcze kilka dni odczłowieczania, zanim przed jakimś capstrzykiem podano wiadomość o zwolnieniu mnie do cywila. Zdałem szynel, pas i orzelka. Podpisałem zobowiązanie, że mundur odeślę do jednostki w ciągu trzech dni. Biegłem pustymi ulicami na dworzec, krzesząc skry podkówkami. Śpiewałem, gwizdałem, zachowywałem się jak wariat. Nieoczekiwanie zatrzymał mnie jakiś zdążający do jednostki oficer, który wyszedł z bocznej uliczki.

– Co jest, czemu niszcycie buty i hałasujecie, gdzie honory?

– Dobry wieczór panu, orla i pas mi zabrali, to sobie uciekłem!

Pobiegłem dalej, zostawiając go zdumionego na ciemnej ulicy Trzebiatowa nad Regą. Byłem szczęśliwy, że co najmniej o dwa lata przedłużyłem sobie życie!

Pociąg odjeżdżał dopiero po północy. Dołączyłem do czterech miejscowych, którzy postanowili dopić swoje w bufecie kolejowym. Wszystkim stawiałem piwo, przesiadaliśmy parę godzin. W końcu bufet zamknięto. Nowi przyjaciele, serdeczni i czuli trzebiatowianie, odprowadzili mnie na pusty peron. Pocałunkom i śpiewom („Sto lat!”) nie było końca.

Była sobota. Przed wieczorem dowlokłem się do Cicholubia, małej stacyjki. Pożyczyłem rower od znajomego zawiadowcy stacji. Był zdumiony, że już mnie zwolniono z wojska, i jednocześnie zadowolony – mówił, że wieś się ucieszy. Drogę do Mzdowa pokonałem, jadąc na skróty w iście olimpijskim tempie. Było beśńieźnie, odwilżowo. W sklepie Gminnej Spółdzielni, gdzie chciałem kupić miód pitny, by uczcić z żoną mój powrót, uradowana sprzedawczyni poinformowała, że żona jakieś czterdzieści minut wcześniej wyznaczoną przez soltysa podwodą pojechała na stację, by udać się do teściowej do Miastka.

– Jak pan nawróci, to jeszcze złapie żonę na stacji – powiedziała.

Tak też zrobiłem. Te następne 9 kilometrów nie stanowiło problemu dla „żołnierza”. Zapadły już ciemności, w oddali było słychać odgłos zbliżającego się pociągu.

W ciemnej poczekalni siedziała samotnie, z zaokrąglonym brzuszkiem, moja żona. Stukając buciorami, podchodzę do niej. Odsuwa się z przestachem, nie poznaje. Melduję się jak stary wiarus. Nie wierzy, że to ja!

– Jak to się stało, że przyjechałeś? – mówi osłupiała.

– Uciekłem z wojska! – odpowiadam jak ostatni kretyn, nie pomyślawszy, że ta wiadomość mogłaby jej przecież zaszkodzić w tym stanie. Żart był strasznie głupi: wiadomo było, że za dezercję groziła kula w łeb. Wszystko wyjaśniłem w pociągu.

Mama moja, do której jechała Cecylia, by wspólnie przygotować dla mnie bożonarodzeniową paczkę, odtńczyła z radości kozaka. Ojciec dał mi swój pas wojskowy i do rogatywki przykręcił orzelka piastowskiego. W niedzielę wyszedłem na miasto. Wszystkim znajomym wyjaśniałem, że tylko zasłużonym jeszcze przed przysięgą dają przepustki, oczywiście za wybitne zasługi.

Wieczorem już w cywilnych ciuchach z maminej szafy wracam z żoną do Mzdowa. Na stacyjce w Cicholubiu stoi szarwarkowa podwoda. Powożący chłop, Michał Szarejko już wie o moim zwolnieniu z wojska, i cieszy się, że Marszałek Polski wysłuchał prośby całej gromady. Nie wyprowadzam go z błędu. W domu żona pokazuje mi kopię, podpisanego przez kilkudziesięciu mieszkańców Mzdowa, listu do Rokossowskiego. Przytoczę tutaj, bez żadnych poprawek, jego treść.

„Mzdowo, dn. 27.11.1953 r.

Do Marszałka P.R.L.

Konstantego Rokossowskiego

WARSZAWA

Prośba

My cała gromada zwracamy się do Ciebie Ob. Marszałku z wielką prośbą. Dwa i półmiesiąca temu przyszedł do naszej szkoły nowy kierownik.

Postawił on naszą szkołę na dobrym poziomie estetycznym i naukowym. Troszczył się on o wszystko, pomagał rolnikom i chciał, aby wieś nasza przodowała we wszystkim. Dzięki niemu gromada wywiązała się w 100% z planowanych dostaw względem państwa. Z jego porad i wskazówek korzystał każdy. Wszyscy cieszyliśmy się bardzo, że teraz nasza szkoła stanie na odpowiednim poziomie. I oto 17.11.53 r. powołano go do wojska. Wiadomość ta bardzo nas podcięła z nóg, bo inni wrócili, a on, który był nam tak bardzo potrzebny poszedł.

Drogi Marszałku, prosimy Cię bardzo, abyś przyszedł nam z pomocą i zwolnił go z wojska.

My zdajemy sobie sprawę, jaką rolę odgrywa żołnierz, ale wydaje nam się, że on nam tyle pomoże i wychowa tak nasze dzieci, że będą one świadomymi i prawdziwymi obywatelami Polski Ludowej. Zapewniamy, że będziemy wykonywać wszystko, czego tylko wymaga od nas Nasza Ojczyzna Ludowa. Wierzymy w to, że nasza prośba zostanie załatwiona.

Adres kierownika

Stroński Ryszard

Trzebiatów / Regą

J.W. 3572 „K”

Woj. Koszalin”

– Nie będę prostował – pomyślałem sobie – wejdę w poniedziałek do klasy, zdejmę czapkę z prawie łysej głowy i poproszę dzieci, by podziękowały rodzicom za to, że znowu jesteśmy razem. Tak też zrobiłem!

W latach 60. opowiedziałem Jurkowi Majchrzyckiemu moją wojskową przygodę. Serdecznie się uśmieł i odwzajemnił opowieścią ze „swojego” wojska. Powołano go rok wcześniej, choć był z mojego rocznika.

Trafił do Wojsk Ochrony Pogranicza, gdzie służba trwała pełne trzy lata. Mówiono: „Chłopie, w WOP-ie zapomnij o urlopie”. Jurek był świetnym sportowcem, osiągał dobre wyniki w lekkoatletyce. Pokazał przełożonym zdjęcia, na których stoi na podium z olimpijczykiem Łomowskim (rzut młotem), a na innym – z Krzyszkowiakiem (biegi). To wystarczyło, aby przełożony Jurka, porucznik, pasjonat sportu, wywalczył w sztabie przywileje dla niego. Kilka dobrych wyników na szczeblu zawodów dywizyjnych spowodowało, że po Jurka, który najczęściej był poza koszarami, przysyłano czarną czajkę, reprezentacyjną limuzynę dla VIP-ów tamtych czasów, która wiozła go na ważniejsze zawody. Szeregowego Majchrzyckiego świetnie karmiono, by nabierał sił do kolejnych zwycięstw. Niestety, nie zwracał on uwagi na coraz częstsze bóle serca.

Wreszcie, gdy na jakichś zawodach, w biegu na 3 kilometry, spadły mu niezbyt markowe spodenki, w których pękła gumka, ale postanowił dobiec do mety z dyndającym przyrodzeniem, zajmując zresztą czołowe miejsce, postanowił dać się przebadać. Przestraszył się swojej chorobliwej ambicji, która nie pozwalała mu przerwać zawodów nawet wtedy, gdy na bieżni świecił gołym tyłkiem. Co się stanie, gdy nagle złapie ból? Bał się, że to też go nie powstrzyma i padnie martwy na bieżni.

Nigdy nie był na żadnym szkoleniu wojskowym, nie zdobył żadnej sprawności żołnierskiej. Nie nauczył się nawet trzymać karabinu. Dowództwo nie zdążyło awansować swojego sportowca. Szeregowy J.M., po pobycie w szpitalu wrocławskim, orzeczeniem komisji lekarskiej został wydany przed czasem z wojska, z jednoczesnym skierowaniem na leczenie do szpitala MSW w Warszawie.

Kiedy pogrążony w smutnych myślach nad stanem swojego zdrowia wchodził na peron dworca we Wrocławiu, by wsiąść do warszawskiego pociągu, zatrzymał go kapitan z żądaniem oddania mu honorów. Szeregowy J.M. spojrzał kapitanowi w oczy i nie wyjmując rąk z kieszeni, spokojnym głosem powiedział: – Spływaj, bo właśnie wyszedłem z więzienia za pobicie jednego towarzysza oficera!

Szpital MSW w Warszawie, po podleczeniu byłego obrońcy ojczyzny zaproponował mu objęcie stanowiska kierownika i spikera radiowęzła w tej ogromnej placówce leczniczej. Tutaj redaktor J.M. mógł realizować się w innej niż dotychczas dziedzinie. Był bowiem wszechstronnie uzdolniony. W krótkim czasie samodzielnie skonstruował we własnym domu, chyba pierwszy w Warszawie sprzęt kwadrofoniczny.

W tych latach, już po śmierci Stalina, ze Śląska przyjeżdżał do Warszawy, do mnie i do Jurka, nasz kolega z liceum ze Stargardu Szczecińskiego, Grzegorz Łyskawa. Jego wojskowa historia zasługuje na wspomnienie, tym bardziej, że mogła skończyć się dla niego tragicznie. Ze wszystkich sił staraliśmy się wtedy z Jurkiem mu pomóc. Nie liczyliśmy się z ewentualnymi konsekwencjami: sami przecież mogliśmy zostać wpłątani w oskarżenie o współdziałanie ze zdrajcą ojczyzny i dezerterem z szeregów Ludowego Wojska Polskiego. Na szczęście zbliżała się polityczna odwilż.

Grzegorz, tak jak ja i Jurek, ukończył tylko dwie klasy liceum, ale ponieważ były to czasy, w których królowało powiedzonko: „Nie matura, lecz chęć szczerza robi z ciebie oficera”, zgłosił się ochotniczo do Szkoły Oficerskiej Broni Pancernej w Poznaniu. Osiągał tam bardzo dobre wyniki w wyszkoleniu wojskowym i politycznym, a na dodatek był świetnym bokserem i mistrzem wielu turniejów. Nic więc dziwnego, że stał się oczkiem w głowie dowódcy szkoły, pułkownika Armii Czerwonej.

Gdzieś w listopadzie 1951 roku uczestniczyłem w uroczystej przysiędze Grzegorza.

Najlepsi otrzymali nagrody z rąk towarzysza *komandira*. Grzegorz odebrał największą: kilkanaście grubych ksiąg. Mimo że był silnym, prawie dwumetrowym chłopem, ugiął się pod nimi. To były *Dzieła zebrane* generalissimusa towarzysza Józefa Stalina.

Grzegorz podszedł do mnie, przywitał się, nie podając mi ręki, bo oboma tulił do serca myśli Stalina, i nie zastanawiając się długo, nagle wręczył mi wszystkie tomy; chciał powitać dziewczynę, którą także zaprosił na uroczystość. Nie wracał przez trzy godziny.

Uwiązany do Stalina, miałem już dość: postanowiłem uwolnić się od jego dzieł, tym bardziej, że wokół na stadionie ludzie raczyli się wódeczką, ściskając serdecznie przyszłych oficerów LWP. Kiedy Grzesio sobie o mnie przypomniawszy, było już za późno. Ostatni tom wręczałem jakiemuś elewowi. Bronił się, jak wszyscy, ale jakoś się udało. Byłem wolny od Stalina raz na zawsze! Nigdy też nie przeczytałem ani jednej linijki jego twórczości.

– Gdzie Stalin?! – drze się Grześ. – Coś z nim zrobił?

– Rozdałem go, mam cię w dupie!

– Stary, jak się cieszę! Jaki ty jesteś mądry! Chodź, zapoznam cię z moimi dziewczynami!

Rok później Grzesio dezerteruje ze szkoły w pełnym uzbrojeniu i z mocnym postanowieniem przedarcia się przez granicę NRD do Niemiec Zachodnich.

Zawsze przekonywał mnie, że życie jest krótkie, i trzeba je przeżyć wesoło i bogato. Ucieczka miała mu to zagwarantować. We Francji miał dalekich krewnych ze strony ojca górnik. Nie dotarł tam tym razem. Zrobił to później, już legalnie, za czasów Gomułki. Jednak po pewnym czasie wrócił na Śląsk, ożenił się i został szefem Ratowniczego Zespołu Górniczego.



Teraz, przy pomocy czerwonoarmistów stacjonujących w NRD zostaje złapany i odstawiony na polską granicę, gdzie czeka na niego żandarmeria wojskowa. Sąd Wojskowy skazuje go na rozstrzelanie. Wyrok wydano tydzień przed śmiercią Stalina. Nikt już nie spieszy się z wykonaniem kary. Skazaniec siedzi w celi śmierci w więzieniu przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie, wraz z jakimś księdzem, który po jakimś czasie wiesza się na jego kałesonach.

Wreszcie Grzegorzowi zamieniono wyrok śmierci na dożywocie. W grupie kilku więźniów uczestniczy w pakowaniu nowych pieniędzy przeznaczonych na wymianę. Jako więzień pracuje w kopalni, bierze udział w akcjach ratowniczych, wyróżnia się odwagą, zostaje nagrodzony za bohaterstwo. Niestety, więźniom nie wręcza się medali.

Już od kilku miesięcy, w „Trybunie Ludu”, w MSW, w najwyższych władzach ZMP i gdzie tylko można, interweniuje z Jurkiem, dając świadectwo prawdy o naszym koledze. Przywołujemy jego działalność oraz osiągnięcia sportowe, aktywność zetempowską i *Dzieła zebrane* Stalina, wręczone przez komandira Szkoły Oficerskiej.

Odwilż polityczna ogarnia coraz więcej dziedzin życia społecznego. Skazaniec, po wielu latach odsiadki, dostaje do celi pierwszą książkę z biblioteki więziennej. O czym będzie czytał, decydują władze placówki. Na razie przysługuje mu jedna książka na tydzień. Czyta ją zatem z pasją kilka razy, nie mogąc uwierzyć, że w ogóle będzie następna. Jej tytuł? *Kucie kopyt i racic u koni i krów*.

Do władzy wraca Władysław Gomułka, a uwolniony Grzesio jedzie na Śląsk, gdzie fedruje i ratuje zasypanych górników.

1953–1960

## Napis w toalecie

W lipcu 1954 roku pożegnawszy Mzdowo i Miastko, pojechaliśmy z niemal czteromiesięczną córeczką do Ursusa. Żona zaczęła uczyć w szkole, ja zaś zostałem wychowawcą w internacie Technikum Budowy Traktorów. Zamieszkaliśmy w budynku kotłowni szkolnej. Było to kilkunastometrowe pomieszczenie, obłożone od dołu do sufitu białą glazurą. Uprzednio służyło jako pralnia pościeli internatowej i odzieży roboczej, używanej przez młodzież w warsztatach szkolnych.

Nasze pobory ledwo wystarczały na skromne życie, nie było mowy o zdobyciu lepszego mieszkania. Trzeba było zacisnąć zęby i pogodzić się z sytuacją. Byliśmy wdzięczni wujkowi żony, Władysławowi Kowalczykowi za pomoc, jaką nam okazał na początku naszej drogi w Ursusie.

Tymczasem Zarząd Główny Związku Młodzieży Polskiej w porozumieniu z Centralnym Urzędem Szkolnictwa Zawodowego powierzył mi dodatkowo funkcję organizatora ZMP w zasadniczych szkołach zawodowych i technikach w Ursusie. Otrzymałem „gabinet” i marne pobory, za to odebrano mi pół etatu wychowawcy w internacie. Ale znowu szczęście się do mnie uśmiechnęło, bo w szkole zwiększono liczbę godzin wychowania fizycznego i szukano nauczyciela. Zgłosiłem się, przecież miałem za sobą naukę w Liceum Pedagogicznym z rozszerzoną liczbą godzin tego przedmiotu i prowadziłem lekcje w szkołach podstawowych w Stargardzie Szczecińskim. Byłem bokserem, grałem w piłkę, biegałem na 3000 metrów i uczyłem wychowania fizycznego w Mzdowie. Udało się! Dyrektor naczelny Przepiórka zaakceptował mnie.

Od tego momentu moja pensja wynosiła 650 zł. To było sporo. Pozwoliłem sobie wtedy na kupno ręcznie robionych półbutów, obszywanych niemi dookoła grubych zelówek. Najważniejsze w nich było to, że głośno skrzypiały. Taka była wtedy moda. Taki styl obowiązywał wśród bikiniarzy i „bananowej” młodzieży. Za ten luksus zapłaciłem 450 złotych. Pod koniec miesiąca zabrakło na jedzenie.

Pewnego razu Cecylia ugotowała zupę szczawiową, miała wystarczyć na trzy dni. Za dużo zjedliśmy pierwszego dnia i nazajutrz było jej tak mało, że dzielić się już nie było czym. Żona uparła się, że to ja mam zjeść zupę. Ja z kolei chciałem zrezygnować na jej rzecz. Doszło do kłótni. W rezultacie postąpiłem, jak niegdyś Cezar (któremu na pustyni dano w garnuszku wodę; wtedy on miał powiedzieć, że tej wody jest za mało dla wszystkich, a za dużo dla niego jedne-

go – i wylał ją na piasek) albo jednak raczej jak ostatni choleryk i cham. Zupa znalazła się na ścianie, obrzydliwie ściekła po glazurze. Żal było talerza...

W pracy z kołami klasowymi ZMP pomagało mi grono inteligentnej i ambitnej młodzieży: aktywiści, członkowie zarządu szkolnego.

Pewnego dnia na drzwiach jednej z toalet ktoś starannie wykaligrafował: „ZMP-owcy to ch... i zdrajcy Orła Polskiego”. Doniesiono mi o tym. Zbagatelizowałem. Niestety, system działał sprawnie, i oto po dwóch dniach zostałem wezwany na rozmowę do miejscowej placówki Urzędu Bezpieczeństwa. Jednocześnie w tym samym dniu drzwi zostały zdjęte i zabrane do laboratorium Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej w celu sfotografowania napisu i dokonania jego ekspertyzy grafologicznej. W Urzędzie Bezpieczeństwa niczego się ode mnie nie dowiedziano, zwrócono mi jednak uwagę na potrzebę wzmocnienia czujności oraz zajęcia się sprawą. Zatem zająłem się.

W tym samym czasie w internacie prowadziłem dochodzenie na temat kradzieży butów narciarskich. Zgłosił się do mnie uczeń trzeciej klasy obróbki skrawaniem i oświadczył, że wie, kto napisał hasło w WC i że ma to związek z kradzieżą butów. W trakcie rozmowy okazało się, że autor hasła przyłapał go na złodziejstwie, a kilka dni po tym wydarzeniu on z kolei znalazł się w WC w chwili, gdy hasło powstawało. Obaj zatem uzgodnili między sobą, że będą trzymali język za zębami, ale zrobiło się gorąco – milicja zaczęła przesłuchiwać uczniów.

– Ukradłem buty, bo chciałem je sprzedać i mieć trochę pieniędzy. Za rok skończę szkołę, zarobię i oddam. A teraz powiem, kto to zrobił, z tymi drzwiami, bo boję się, że on ze strachu może wszystko na mnie zwalić – płakał trzecioklasista.

– I dlatego chcesz zrobić następne świństwo? Masz jeszcze te buty, czy już sprzedałeś?

– Mam, schowałem je, owinięte w stary worek, w kotłowni, boję się po nie pójść, za Boga tam nie pójde! Proszę mi pomóc!

Opisał szczegółowo kryjówkę. Uzgodniliśmy, że jeśli znajdę buty, to podrucę je nocą pod łóżko właścicielowi i na zawsze o tym zapomnę, musi mi jednak powiedzieć nazwisko „pisarza”, bym mógł go uchronić od nieszczęścia.

Gdybym sam w życiu nie zagnał życia w internacie, gdzie widziałem nie takie rzeczy, i nieraz sam maczałem w nich palce, to zapewne w tym wypadku postąpiłbym rygorystycznie. Obu groziło relegowanie ze szkoły i zapewne więzienie. Powiedziałem, żeby przyszedł jutro do mnie do pokoju wychowawcy, to opowiem, jak to wszystko załatwiłem. Na tę samą godzinę wezwałem „grafika”, którego nazwisko zdradził mi „narciarz”.

Przyszli prawie jednocześnie. Przestraszyli się, nie spodziewali się takiego obrotu sprawy. Zamknąłem drzwi na klucz, długo rozmawialiśmy. Opowiedzieli mi o swoim życiu, ja im opowiedziałem o sobie. Mówiłem o moich marzeniach,

o tym, że chciałbym kiedyś studiować. Jeden z nich chciał zostać konstruktorem traktorów, drugi marzył o lataniu na myśliwcach. Ta rozmowa była dla nas bardzo ważna, ja (a może i oni) zapamiętałem ją na całe życie.

Wszystko skończyło się szczęśliwie. Dobrze, że napis w WC był starannie wykonany, nie do rozpoznania. Szkoła dobrze uczyła pisma technicznego.

Po wielu latach przypadkowo spotkałem się z „narciarzem” na przystanku tramwajowym. Chciał mi oddać 15 złotych, które pożyczyłem mu po tej pamiętnej rozmowie w internacie. Dawno o tym zapomniałem. Pieniądzy nie przyjąłem. Był inżynierem i pracował w biurze konstrukcyjnym. Konstruował obrabiarki. Życzyliśmy sobie wszystkiego najlepszego. Wskoczył do tramwaju. Jeszcze zdążyłem usłyszeć: „Dziękuję!”.

Innym razem, wtedy, kiedy często latałem do ówczesnego Leningradu (dziś: Sankt Petersburg) w byłym ZSRR, pracując jako konsul, na warszawskim lotnisku podszedł do mnie mężczyzna w mundurze pilota. Nie poznałem go. Przedstawił się.

– Czy pan jeszcze pamięta tamtą naszą rozmowę w internacie?

– Ach, to pan! Pamiętam, że chciał pan latać na myśliwcach. No i co, udało się?

– Niezupełnie, pilotuję samoloty pasażerskie i właśnie lecę do Leningradu.

– To tak jak ja.

– Świetnie. No to zapraszam do mojej kabiny na kawę.

## Krowy partyjne

W lipcu 1955 roku Antoni Gutowski, I sekretarz Komitetu Powiatowego partii wezwał mnie do swojego gabinetu (niedawno przeniesiono mnie tam do pracy z Technikum Budowy Traktorów).

– Wiesz, co sobie pomyślałem?

– Skąd mam wiedzieć, znowu zrobiłem coś nie tak?

– O tym to jeszcze porozmawiamy! Ale na razie inna sprawa. Pomyślałem, że tobie będzie najbliżej, bo przecież mieszkasz w Ursusie.

Do czego będzie mi najbliżej? – myślę sobie. Czy chce mnie przenieść do jakiejś gminy, żeby nie mieć ze mną kłopotów? Co prawda, niedawno namówiłem instruktorów, by przywiązać księgowego do krzesła w jego pokoju na poddaszu, ale to tylko dlatego, by umożliwić sobie i kolegom wzięcie z szafy kilku zeszytów, ołówków, stalówek, atramentu do kałamarzy i innych akcesoriów, niezbędnych do pracy biurowej instruktora politycznego. Innego sposobu na zdobycie tych skarbów od księgowego A. Wiśniewskiego nie było.

Zawsze bronił dostępu do szafy swoim ciałem, krzycząc przy tym, że powiatowa instancja partii i tak traci dużo pieniędzy na takich darmożjadów, a on ma określony limit na każdego: jedno pióro, zeszyt, brulion i jeszcze coś tam, na przykład jeden atrament do kałamarzy na kwartał.

– Czy wiecie, jak trudno jest to zdobyć w sklepie? Dzieci nie mają zeszytów do szkoły! A akcja „O” was nie obchodzi? – wykrzykiwał, przywiązany do krzesła.

Wreszcie, kiedy uwolnił się z więzów, pobiegł do sekretarza ze skargą, choć tym razem nie spotkał się z jego poparciem.

A może chodziło o coś innego? Może sekretarz znalazł okazję, żeby się pozbyć uciążliwego „lokatora” i wyekspediować go jak najdalej od siebie? Tym bardziej, że kilka dni przed tą rozmową wydarzyła się nieco kabaretowa scena, którą sprowokowałem. Głównym poszkodowanym był I sekretarz. W pokoju instruktorów rozgorzała dyskusja na temat cech charakterologicznych Polaków, pochodzących z różnych regionów. Alfons P. (szlachetny, uczciwy i pracowity, świetny szachista, rozważny doradca) mówił coś o mojej rozrzutności, która ma być charakterystyczna dla ludzi zza Buga. Byłem przeczulony na takie uogólnianie, tym bardziej, że słowa padały z ust poznańskiej pyry. Co prawda, Alek pochodził z Wrześni, ale to przecież niedaleko Poznania. Jeszcze nie tak dawno mieszkalem koło Swarzędza i w szkole podstawowej wyzywano mnie od *zabugola*, *chadziaja*, *ruska*, *galona* i warszawiaka zza Buga. To wspomnienie spowodowało, że mnie poniosło i nazwałem Alka sknerą i chytrusem (unikał chodzenia z nami do knajpy). On odwzajemnił się czymś, co musiało mnie dotknąć, bo wrzasnąłem: Ja z tego wyrosnę, a ty Alfonsem będziesz do końca życia! Przyznaję, to było świństwo z mojej strony. Alek miał dość, chwycił kałamarz pełen atramentu. Na szczęście, sekundę wcześniej, widząc, co się dzieje, uskokczyłem w stronę drzwi. Gwałtownie szarpnąwszy za klamkę, otworzyłem je, i w tym momencie kałamarz celnie wylądował na garniturze I sekretarza. Niebieski kolor na brązowym. To był dramat. Na zebraniu POP, po złożeniu samokrytyki, otrzymałem upomnienie.

Po wielu latach, kiedy jako konsul w ówczesnym Leningradzie przyjmowałem w Konsulacie Generalnym Alka, który przewodniczył jakiejś polskiej delegacji, serdecznie śmialiśmy się z tych wspomnień.

Ale wróćmy do rozmowy z Gutowskim.

– No to co, że tam mieszkam?

– To, że przez Gołąbkę będziesz miał blisko do Macierzysza, tego PGR-u. Jakies 5 kilometrów na piechotę przez godzinę dojdziecie, towarzyszu. Jesteś dobrym instruktorem, poradzisz sobie.

– To będę miał dodatkową POP do opieki?

– Nie, zabiorę ci Nową Wieś, dostanie ją na przykład Józef Niedziółko lub Alfons P., mieszka w Piastowie, to też będzie miał bliżej.

– A czemu to takie ważne, żebym miał blisko?

– Sam zobaczysz. Tam nieraz o szóstej rano trzeba być, to rowerem podjedziecie. No nie? Masz rower?

Nie wiedzieć czemu, raz zwracał się do mnie na wy, innym razem na ty. Był dobrym szefem i dobrym człowiekiem, ludzkim, mądrym i sprawiedliwym; myślał o innych i pomagał im. Przekonałem się o tym za jakiś czas, gdy błąkałem się bez pracy i nadziei.

Tymczasem węsząc jakiś podstęp, nadąsany, mówię opryskliwie:

– Roweru nie mam. Za co mam go kupić?

– Zwróć się o pożyczkę, a ja zadzwonię do prezesa Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni, żeby przydzielił komitetowi dodatkowy rower. Co będziecie tych 5 czy 6 kilometrów pieszo chodzić? A w Macierzyszu trzeba być już jutro o szóstej. Będzie czekał na ciebie sekretarz POP, to wam powie, o co chodzi.

– A o co chodzi?

– No widzisz, tam są bardzo ważne krowy, które dają mleko dla naszych towarzyszy, i tam padła cieliczka. Oborowy, chętny do partii podobno zawinił, i mają go usunąć z listy kandydatów.

– To co? Mam im w tym pomóc?

– Sam będziesz wiedział, co zrobić, o siódmej będzie zebranie. Tylko uważaj, bo wciąż jakieś donosy na ciebie trafiają do Komitetu Wojewódzkiego. Nie chcę już mieć żadnych kłopotów – ani z tobą, ani z krowami, ani z bykami!

– Z jakimi bykami? – zainteresowałem się.

– Bo tam w stacji unasienniania wynikła jakaś nowa awantura. Handlowali z chłopami nasieniem rasowych byków. Mam już tego dosyć. Trzymaj się. Za dwa dni opowiesz, co tam zaszło!

Lubiłem sekretarza, do twarzy mu było w pałacyku Potulickich w pokoju sypialnym hrabiostwa, gdzie znajdował się jego gabinet. Za biurkiem widniał piękny, okrągły XVII-wieczny piec kaflowy, a obok stała metalowa szafa-skrytka na ważne papiery i... pistolet pierwszego.

Podanie do Kasy Zapomogowo-Pożyczkowej o pożyczkę złożyłem, pieniędzy nie dostałem.

– Przecież cztery miesiące temu dostałeś 500 złotych na remont i jeszcze nie spłaciłeś – orzekli towarzysze.

Trudno, idę jutro pieszo do Macierzysza.

O szóstej rano byłem na miejscu. Na schodach dworku, w zielonych bryczasach i oficerkach, oczekiwał sekretarz POP.

– Wiem już, towarzyszu, że zostaliście przydzieleni do nas, wczoraj dzwonił pierwszy. Nazywam się Gębusia.

– Miło mi – odpowiedziałem grzecznie.

– Obejrzyjcie na razie nasze gospodarstwo.

– Od czego mam zacząć?

– Wszystko jedno, ale może od obory – teraz doją tam krowy – a ja poczekam na oficerów z Warszawy, co odbierają mleko i masło z centryfugi.

Poszedłem do budynku. Oniemiałem! Trzynaście pięknych holenderskich krów stało w pomieszczeniu czystym jak w szpitalu rządowym. Trzynaście? Czyżby każdy członek Biura Politycznego partii miał swoją krowę? Zaraz, zaraz, a ilu ich jest? Muszę policzyć! No tak, zgadza się, bo jeszcze są zastępcy. Ciekawe, czy ich krowy są mniejsze? I czy noszą imiona towarzyszy?

Mechaniczną dojarkę obsługują kobiety w białych fartuchach. Żadnego smrodu! Czyżby była klimatyzacja?

– A pan kogo potrzebuje? – zwrócił się do mnie człowiek w białym fartuchu. – Jestem lekarzem.

Wyjaśniłem, że przyjechałem służbowo z Komitetu Powiatowego na zebranie w związku ze sprawą oborowego, towarzysza Rondudy.

Oprowadził mnie po oborze, pokazał miejsce podawania paszy i całe zaplecze, doszliśmy w końcu do centryfugi, gdzie żona sekretarza Gębusi kończyła nalewanie mleka do dziesięciolitrowych kanek.

Minęło jeszcze trochę czasu i warszawą ze stolicy zajechali dwaj oficerowie. Jeden z nich napił się po odrobinie mleka z każdej kanki, drugi zaś łyżeczką próbował śmietany, masła i maślanki. Oczekali chwilę. Wszystkim się udało, przeżyli. Po podpisaniu odpowiednich papierów, również przez lekarza weterynarii, samochód odjechał, aby zdążyć rozwieźć na czas towarzyszom i ich rodzinom świeżutkie produkty do ich chronionych mieszkań.

O 7.15 rozpoczęło się zebranie POP w obecności dziewięciu towarzyszy i jednego kandydata – oborowego.

– Towarzysze – zagaił sekretarz – jak wiecie, tydzień temu padła nam cieliczka. W tej sytuacji, w obecności przedstawiciela Komitetu Powiatowego partii, którego serdecznie witam (rozległy się oklaski), musimy rozpatrzyć, kto zwinął: oborowy, weterynarze czy dojarki? Wiemy, że towarzysz Ronduda był w tym dniu pijany: przy cielętach nie był, krowom nie zmienił ściółki, nie odgarnął łajna. Czy w takim razie zasługuje na to, by już za dwa miesiące, kiedy skończy mu się staż kandydacki, został przyjęty do partii?

Dyskusja trwała trzy godziny. Mówili głównie dyrektor PGR-u, dwóch weterynarzy, nauczyciel z pobliskiej szkoły i ja. Oborowy nie odezwał się ani razu. Weterynarzowi Kwasikowi udowodniłem brak nadzoru.

– To przecież wy, towarzyszu, powinniście wykazywać poczucie obowiązku, a nie towarzysz Ronduda, który do partii chce wstąpić po to, żeby od nas uczyć się rewolucyjnej czujności – mówiłem w podsumowaniu.

Upomnienia otrzymali weterynarz i oborowy.

(Po jakimś czasie okazało się, że cielę miało wrodzoną wadę serca. Kar jednak nie anulowano. Ja o tym po prostu zapomniałem, a ukarani się nie odwołali).

Po zebraniu dyrektor zaprosił mnie i sekretarza POP do swojego gabinetu. Pyszną zrynięwkę zakąszaliśmy jajecznicą przyrządzoną przez żonę sekretarza. Po tak wyczerpującej całodzienniej pracy zostałem odwieziony do domu warszawą dyrektora, w dodatku z pełnym workiem buraków i włoszczyzny...

Za jakiś czas udało mi się kupić rower na raty – bez pomocy towarzyszy. Często jeździłem do PGR-u napawać się widokiem krów partyjnych. Wracając obdarowany produktami rolnymi, czasem nawet masłem lub maślanką. Czy towarzyszyła mi myśl, że okradam partyjnych przywódców? Może...

Zbliżał się czas odwilży.

W 1956 roku zostałem skierowany do Międzywojewódzkiej Szkoły Partyjnej w Warszawie przy ulicy Stępińskiej, gdzie obecnie jest szpital. Po kilku miesiącach szkołę rozwiązano, a ja zostałem bez pracy i pieniędzy, z niespłaconymi ratami za rower.

– Nie martw się, jakoś damy sobie radę. Pojedziemy na wieś, zawsze coś tam od mamy w plecaku do jedzenia przywieziemy, a pieniędzy na bilet autobusowy wystarczy – powiedziała żona i zabrała się do sprawdzania sterty szkolnych zeszytów.

## Goździkowy kij z gwoździami

Pod koniec grudnia 1954 roku w Komitecie Centralnym partii odbyła się narada aktywu partyjnego i zetempowskiego poświęcona sprawom wychowania młodzieży. Najprawdopodobniej potrzebę zwołania takiej narady spowodowały niepokojące sygnały o „reakcyjnych” postawach i zachowaniach młodych ludzi. Możliwe, że w jednym z raportów znalazła się informacja o napisie na drzwiach uczniowskiej toalety w zespole szkół zawodowych w Ursusie (były to Technikum Budowy Traktorów i Zasadnicza Szkoła Metalowa). Tak czy owak, mobilizacja do walki o „nowego” człowieka była tak wielka, że już na przełomie stycznia i lutego 1955 roku zapowiedziano zwołanie II zjazdu ZMP, by „dokonać oceny sześciolletniej działalności związku i jego osiągnięć, i poddać krytyce niektóre aspekty pracy organizacyjnej”. Zbliżał się także Warszawski Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów, który miał odbyć się latem 1955 roku.

Krótko przed tymi wydarzeniami postanowiłem wykorzystać sprzyjający klimat i stworzyć gazetę młodzieżową, na razie wzorując się na fabrycznym „Głosie Ursusa”. Minęło kilka tygodni i pojawił się dodatek szkolny do tego tygodnika – „Głos Młodzieży T.B.T. i Z.S.M. im. W. Piecka w Ursusie”. Z lewej strony tytułu widniał emblemat ZMP, z prawej – FDJ (komunistyczna organizacja młodzieżowa w Niemieckiej Republice Demokratycznej). Zostałem dokooptowany do

zespołu redakcyjnego „Głosu Ursusa”. Byłem przekonany, że będę mógł wpływać na treść młodzieżowego dodatku. Niestety – gazetka była przecież częścią organu komitetu fabrycznego partii Zakładów Mechanicznych „Ursus”...

O czym tam pisano i kto robił to najczęściej? Oczywiście, inicjator jej powstania! Pisałem sam albo pomagałem innym w układaniu artykułików „na bazie i po linii”. Jakakolwiek krytyka, minimalna złośliwość czy lekka uszczypliwość ukazująca błędy osób nawet z najniższego szczebla władzy były odrzucane. Można było co najwyżej ganić biurokrację pojmowaną bardzo ogólnie. Nic więc dziwnego, że już po kilkunastu wydaniach zespół redakcyjny zaczął narzekać, że „zainteresowanie czytelników naszą gazetą jest małe i brak głosów z terenu”.

Odnajduję w którymś numerze z listopada 1954 roku kilka moich fraszek, wytykających przywary i piętnujących złe zachowania uczniów. Niektóre tytuły: „Z dymem papierosa”, „Kiedy im się chce”, „Może spoważnieje”, „Akrobaci okienni”. Ten ostatni wiersz demaskował tych, którzy wracali za późno do internatu, wykorzystując rynny i okna. (Skąd ja to znałem, no skąd?). „Bezkompromisową” krytykę zawarłem w wierszyku pod tytułem „Krakowiak dla inwestycji”.

*Już gmach szkolny nam oddali,  
doskonale, to się chwali.*

*Oj, dana, dana, dana,*

*Inwestycjo (nie) kochana.*

*Krótkośmy się nim cieszyli –*

*Braków tyle naliczyli.*

*Oj, dana itd.*

*Tu się wali, tam coś pęka,*

*w szparze może skryć się ręka.*

*Oj, dana itd.*

*Tu brak szyby, tam się leje,*

*drzwi nieszczelne, a więc wieje.*

*Oj, dana itd.*

*Z góry woda kapu, kap,*

*choć się w głowę bracie drap.*

*Oj, dana itd.*

*Dali nam patelnię śliczną,*

*Wielką, tudzież elektryczną,*

*dobra nasza, ale pali się w niej kasza.*

*Oj, dana itd.*

*Przybądź do nas, Inwestycjo,*

*T.B.T. zaprasza!*

*Usuń braki, zrób poprawki – oto prośba nasza!*

W innych numerach, z końca 1954 roku i pierwszych miesięcy roku 1955 znajduję moje artykuły o pracy wychowawczej, czynach społecznych i produkcyjnych ZMP przed II zjazdem. I znowu fraszki, na przykład:

*Proszę! Proszę!*

*Nasza czytelnia świeżością błyszczy:*

*Nikt tu nie bywa, nic się nie niszczy.*

Fraszki „Oto głowa” i „Łatwa zagadka” wychwalają radę młodzieżową internatu i samorząd uczniowski. Uczennica Irmina Janik przełożyła z języka rosyjskiego artykuł „Nikotyna potrafi zwalić z nóg konia, a coś dopiero was”. Zarządy szkolne ZMP zaś dziękują Miejskiej Radzie Narodowej, że „ułożyła chodnik na ulicy Sobieskiego, dzięki czemu młodzież nie musi już grzęznąć w błocie”. W artykule „Przed zjazdem” zachęcam młodzież do „wyrażania wdzięczności Partii i ZMP za wszystko, co uczyniły dobrego: za nowe szkoły, gmachy fabryczne, drogi.” (...) I dlatego „kochamy naszą organizację i jesteśmy wierni ideałom, jakie ona nam przekazuje”. (...) „Dziś, w dniach poprzedzających II Zjazd ZMP, szczególnie gorąco wyrażamy wdzięczność naszej organizacji, ze szczególnym zapalem staramy się uczyć i pracować dla dobra naszej Ojczyzny Ludowej”. W przedzjazdowej atmosferze pozwalał sobie zamieścić „bardzo krytyczny” artykuł „O młodzież należy dbać”:

„Niestety, u nas w „Ursusie” nie wszyscy potrafią podchodzić z sercem do spraw młodzieży. Oto przykład. Na Odlewni Metali Kolorowych odbywają praktykę uczniowie z Technikum Budowy Traktorów. Uczniowie ci nie posiadają rękawic ochronnych, mimo że podobnie jak inni pracownicy warsztatowi, muszą nosić płynny metal, obsługiwać kokile itd. Powodem nieotrzymania przez nich rękawic ochronnych jest fakt, że są oni praktykantami, a nie pracownikami wydziału. A przecież mimo wszystko wykonują przypadającą na nich pracę na wydziale. Innym niepożądanym i niepokojącym zjawiskiem jest to, że uczniów kieruje się w czasie praktyki do robót, które nie wymagają najmniejszych kwalifikacji i są najmniej płatne. Towarzysze z Odlewni Metali Kolorowych i innych wydziałów! Czy chcecie postępować tak, jak starzy cechowi rzemieślnicy, zazdrośni o swoje wiadomości fachowe, z którymi czasami zdradzali się przy kieliszku, a później zabierali je do grobu? Uczniowie, którzy dziś odbywają praktykę na waszym wydziale, jeszcze w tym roku będą robotnikami, waszymi współtowarzyszami pracy, z wami wykonującymi plany produkcyjne. Czyż nie należy dbać o tę młodzież? Jest ona naprawdę naszą przyszłością!”

Nadeszła wiosna 1955 roku. W marcowym „Głosie Ursusa” pojawia się moja rymowanka „Niezadowolonemu z fraszek”, z krótkim wstępem: „Niektórzy nasi czytelnicy, myląc zasadnicze kryteria, żądają od naszych wierszowanych utworów jakiejś doskonałości artystycznej, pojętej w sposób zawstydzająco ciasny,

schematyczny i subiektywny”. Dziś nie zawaham się jednak przyznać, że poziom artystyczny wielu fraszek pozostawiał bardzo wiele do życzenia.

Ludzie stali w kolejkach prawie po wszystko. Tymczasem redakcja „Głosu Ursusa” zamieszcza informację o tym, że księgozbiór biblioteki Domu Kultury przy ZM „Ursus” powiększył się o dwieście nowych tytułów i biblioteka zaprasza wszystkich do wypożyczania nowo zakupionych książek. Oto niektóre z nich: *Władza* Tadeusza Konwickiego, *Wraki* Janusza Meissnera, *Lewanty* Andrzeja Brauna, *Obywatele* Andrzeja Brandysa, *Dzień dobry*, *Topoma* Jalu Kurka, *Jaworowy dom* Wilhelma Macha, *Zbuntowani* Bogusława Koguta, *Rzeka Czerwona* Mirosława Żuławskiego, *Dom odzyskanego dzieciństwa* Mariana Brandysa, *Sezam* Stanisława Lema, *Żołnierze i ciury* Władysława Rymkiewicza, *Cytadela* Cronina, *Syn Rybaka* Łacisa, *Nędznicy* Hugo, *Zagłada gniazda* os Briancewa, *Świat pokoju* Amado, *Dziewczyna walczy* Laffitte’a, *Uniwersał* Czarnieckiego Czernika, *Latarnia czarnoksiężska* Kraszewskiego, *Siedem zacych grzechów głównych* Kwiatkowskiego. Jednocześnie redakcja zawiadamia swoich czytelników, że już niedługo zostanie dostarczona nowa partia książek. „O nowych pozycjach zawiadomimy oddzielnie”. (...) „Pamiętajmy, że nowe, wartościowe książki czekają na nas. Wystarczy udać się po nie do naszej biblioteki zakładowej”.

Jakiś czas po tym, w marcu, ukazuje się w gazecie wywiad z ministrem przemysłu maszynowego Julianem Tokarskim zatytułowany „Mam pełne przekonanie, że załoga „Ursusa” w 1955 roku wykona całkowicie postawione przed nią zadania”:

„W związku z tym, że Zakłady Mechaniczne „Ursus”, podobnie jak cały kraj, realizują zadania ostatniego roku Planu 6-letniego, kolegium redakcyjne „Głosu Ursusa” zwróciło się do Tow. (...) z prośbą o udzielenie wywiadu dla naszej gazety w postaci odpowiedzi na trzy pytania. W dniu 24 lutego br. Tow. Minister zaprosił do Ministerstwa członków kolegium w składzie M. Rechnio, M. Lipińska, R. Stroński i udzielił odpowiedzi na następujące pytania.

Pytanie: Jakie wymagania w 1955 roku stawia przed „Ursusem” Partia i Rząd?

Odpowiedź: Radykalnej obniżki kosztów własnych oraz przygotowania i wykonania zadań wynikających z konieczności opanowania produkcji nowego typu traktora „Białoruś”.

Pytanie: Co jest złe w dotychczasowej pracy i co obniża przez to wyniki osiągane przez wszystkie zakłady M.P. M.?

Odpowiedź: Ogromne marnotrawstwo, niska wydajność pracy, słaby postęp techniczny, niskie wskaźniki wykorzystania maszyn i urządzeń, nadmierne zużycie narzędzi, które w „Ursusie” kształtuje się w stosunku 1:1. Wynika z tego, że wartość zużytych narzędzi równa się wartości wykonanej roboty, inaczej – 1 złoty wartości wykonanej roboty równa się 1 złotemu wartości zużytych narzędzi.

Pytanie: Czego tow. Minister życzy osobiście załodze „Ursusa”?

Odpowiedź: Życzę załodze „Ursusa” wykonania planu 1955 roku we wszystkich wskaźnikach i pełnej realizacji uchwał III Plenum KC PZPR. Mam pełne przekonanie, że ofiarna załoga „Ursusa” wykona całkowicie postawione przed nią zadania”.

Pewnego dnia, po wielu latach, los znowu mnie zetknie z tym „wybitnym” działaczem gospodarczym, zwanym powszechnie, „krwawym Julkiem”, który zachęcał podobno w jednej z warszawskich fabryk półprzewodników do produkcji całych przewodników.

Kilka lat później, w Płocku, towarzysz wówczas już wicepremier proponował, oglądając nowe bloki przy ul. Kolegialnej, budowanie oszczędne. Miało ono polegać na tym, by wspólna ubikacja i źródło poboru wody znajdowało się na klatkach schodowych, domy zaś byłyby bez podpiwniczenia i wind. W latach 60. śmiano się powszechnie z tej inicjatywy Tokarskiego.

Na przełomie maja i czerwca 1955 roku wezwano mnie do Komitetu Powiatowego partii w Pruszkowie. Sekretarz oświadczył, że nadszedł czas, abym zaczął realizować inne zadania, które partia mi wyznaczy. W tym celu z dniem pierwszym lipca przejdę do pracy etatowej w tutejszym komitecie. To była propozycja nie do odrzucenia. Moje argumenty, że dobrze jest mi w Zespole Szkół Zawodowych, że zamierzam ukończyć szkołę średnią w systemie wieczorowym, że mam małą córeczkę, którą odbieram ze żłobka, a dojazdy pociągiem elektrycznym do pracy spowodują duże kłopoty w życiu rodzinnym, nie zrobiły wrażenia na sekretarzu.

– Na wiosnę albo na jesieni przyszłego roku pójdziesz do Międzywojewódzkiej Szkoły Partyjnej. Dacie radę, postaramy się pomóc w uzyskaniu mieszkania, jakiegoś pokoju z kuchnią, pasujecie nam, członek partii ma być dyspozycyjny, jasne? No to do zobaczenia!

I sekretarzem był Antoni Gutowski. Znał mnie i wiedział, że potrafię się przeciwstawić każdemu, by zrealizować swój zamiar. Nie cierpiał tych, którzy w życiu kierowali się zasadą: nie rozrabiaj, nie podskakuj, siedź na dupie i przytakuj. Chciał mieć dobry zespół. Lubilem tego normalnego i mądrego człowieka. Egzekutywa Komitetu Powiatowego w Pruszkowie zatwierdziła mnie na stanowisko instruktora. Otrzymałem 100 złotych podwyżki w stosunku do poprzedniego uposażenia, biurko postawiono w pokoju instruktorskim obok pozostałych pięciu.

Zaczyna się nowa kariera? Dotąd byłem już: rolnikiem przy ojcu w Sarbinowie, przewodniczącym Zarządu Gminnego ZMP w Swarzędzu, pakmistrem w firmie poznańskiej z siedzibą w Swarzędzu, uczniem ślusarskim w Warszawie, instruktorem Zarządów Powiatowych ZMP w Międzychodzie i Miastku, nauczycielem pełniącym obowiązki kierownika szkoły podstawowej w Mzdowie, organizatorem Zarządu Głównego ZMP w szkołach zawodowych, wychowawcą w internacie oraz nauczycielem wychowania fizycznego i historii w zespole

szkół zawodowych w Ursusie. Dokąd ja właściwie zmierzam? Poczekam na dalszy rozwój wypadków, wszystko się wyjaśni! Przede mną długa droga!

Zaczął się lato 1956 roku. Już od jakiegoś czasu pękały lody, również te w każdym z nas. W lutym tego roku Nikita Chruszczow na XX Zjeździe KPZR obala stalinowskie mity, demaskuje Stalina i kult jednostki. Jeszcze niektórzy usiłują ratować skostniałą rzeczywistość. Postępują jak ci, o których napisał Stanisław Jerzy Lec w swojej myśli nieuczesanej: „Czasem nabiera się tyle brudu, że wydaje się po prostu marnotrawstwem go wyrzucić”. Wielu znalazło się między Scyllą i Charybdą! To odwieczny dylemat ludzi w momencie, gdy „wieje wiatr historii”. Pewnego dnia, gdzieś w połowie sierpnia, dowiaduję się, że od września będę skierowany na roczny kurs do Międzywojewódzkiej Szkoły Partyjnej. Wyznam szczerze, byłem szczęśliwy. Będę się uczył. Nareszcie! Minęło pięć lat, odkąd ostatni raz siedziałem w ławie szkolnej.

W szkole były także pokoje przeznaczone na internat. Mieszkalem z Jankiem Polańskim, repatriantem z Francji, członkiem ZMP „Grunwald”, i dwoma hiszpańskimi antyfaszystami, walczącymi z dyktaturą generała Franco. Prowadziliśmy długie dyskusje. Janek i Hiszpanie znali francuski. Ja z Hiszpanami mówiłem po rosyjsku. Mimo tych utrudnień, aktywnie uczestniczyliśmy w politycznych sporach wywołanych przez XX Zjazd KPZR.

Pewnego wieczoru Hiszpanie Raul i Juan opowiedzieli pikantną historyjkę z okresu walki Brygad Międzynarodowych o Madryt w latach wojny domowej 1936–1939. Bardzo ważny komisarz polecił Raulowi skompletować sześcioposobową grupę żołnierzy do delikatnego zadania, które otrzymało kryptonim „Socjalistyczna moralność”. Zadanie polegało na tym, aby w sposób dyskretny, ale stanowczy zinwentaryzować domy publiczne w Madrycie i spowodować ich bezzwłoczne zamknięcie. Oprócz Raula i Juana, w grupie znaleźli się Polak, Niemiec, Żyd i Rosjanin. Już w pierwszym miejscu „grupa bojowa” obficie skorzystała z dobrze zaopatrzonego bufetu, a właścicielka, elegancka dama, bez oporów wydała album ze zdjęciami luksusowych pracownic.

– Panie te, jeśli oczywiście panowie sobie życzą, mogą pojawić się w zakładzie – proszę, niech panowie wybiorą, które – będę tylko musiała do nich zadzwonić, przyjadą taksówkami bądź swoimi autami.

– Musimy wykonać rozkaz i zakład zamknąć, proszę oddać nam wszystkie albumy!

– Proszę panów, ja rozumiem prawa rewolucji, wykonam wasze rozkazy bezwzględnie, tylko dlaczego tak nagle, przecież możecie trochę odpocząć od tej wojny, nieprawdaż?

Argumenty dyrektorki były przekonujące. Albumy krążyły wśród klientów, a koniak szumiał w głowach. Kuszącą propozycję postanowiono przegłosować. Sto procent głosów antyfaszystów, wśród których byli komuniści, anarchiści, socjaliści i socjaldemokraci, padło za doznaniem wyższego rzędu.

– W naszych założeniach ideowych był przecież zapis, że walczymy nie tylko o wolność, pracę dla każdego, ale także o wypoczynek po jej świadomym wykonaniu – opowiadał Raul, mrugając do mnie znacząco.

Omal nie doszło do bójki między sprzymierzeńcami. Okazało się, że wśród pań była jedna o nadzwyczajnej urodzie i wszyscy panowie chcieli właśnie z nią realizować zasadę zasłużonego socjalistycznego wypoczynku. Nawiasem mówiąc, byłby ten wypoczynek zasłużony, gdyby grupa bojowa doprowadziła do zamknięcia lokalu, ale wtedy aktywny wypoczynek byłby utrudniony!...

W trakcie sprzeczki „bojowników”, gdy padały przekleństwa w ojczystych językach, a nawet chwytało już za pistolety, wkroczyła dama zarządzająca i zaproponowała zabawę. Miała ona polegać na tym, że w salonie panie i panowie rozbiorą się do naga, a po zgazeniu światła rozbiegną się w różne strony, po czym na znak dany przez właścicielkę panowie po ciemku wybiorą swoje nimfy. Następnie zostanie włączone nagle światło, tak by pary mogły się udać do swoich saloników. Janek pękał ze śmiechu, kiedy Raul i Juan przekrzykując się, opowiadali, jak to sześciu chłopów i tyleż pań biegało z piskiem po ciemnym salonie, starając się pochwycić upatrzonych partnerów. Różnojęzyczne przekleństwa mieszały się ze sobą w momentach, gdy jedni „bojownicy” chwytały drugich, natrafiając wzajemnie na swoje genitalia lub obrośnięte piersi.

– To była wesoła zabawa, szaleliśmy aż do świtu, który rozlał się po hiszpańskim niebie – z nostalgią w głosie zakończyli swoje opowiadanie kapitan Raul i porucznik Juan, obecnie słuchacze szkoły, która miała im pomóc w doskonaleniu języka kraju ich pobytu i przygotowaniu do pracy politycznej w Komunistycznej Partii Hiszpanii na emigracji.

W miarę spokojnie mijały pierwsze tygodnie października. Potem wypadki potoczyły się lawinowo. Tego, co nastąpiło, nie da się oddać w paru słowach.

Za pierwszą wypłatę, którą otrzymałem w szkole, kupiłem jesienny płaszcz przeciwdeszczowy i półbuty. W czasie wydarzeń październikowych zniszczyłem je, ucierpiał też zresztą mój nowy płaszcz. Był taki ładny, odrzut z eksportu! A wspaniałe półbuty „wystałem” w kolejce na placu Zbawiciela w sklepie „Chelmka”!

Październik 1956 roku zapoczątkował nowy rozdział w historii Polski Ludowej. Władysław Gomułka (Wiesław) stanął na czele KC PZPR. Stalinizm ostatecznie się skończył, a wraz z nim samowola Urzędu Bezpieczeństwa. Do Polski wkraczało nowe! Szykowało się już prawdę mówiąc od dłuższego czasu. Brudów nabierało się bez liku. Zbliżało się wielkie pranie. Bardzo żywy udział w przygotowywaniu tej przepierki miała młodzież. Jeszcze w kwietniu wkręciłem się z Jurkiem na stołeczną naradę aktywu studenckiego ZMP. Poznałem wówczas wielu dziennikarzy prasy młodzieżowej: Urbana, Lasotę, Gawlika i innych. W burzliwej dyskusji o roli ZMP brali udział A. Drawicz, A. Jarocki, W. Dąbrowski, A. Osiecka ze Studenckiego Teatru Satyryków.



Jedność organizacji powoli pękała. Zarząd Główny ZMP nawoływał do jej utrzymania, wskazując jednocześnie na potrzebę radykalnych przekształceń. Te wysiłki spełzły na niczym i skończyły się ostatecznie rozwiązaniem związku. W rezultacie powstało wiele nowych organizacji, między innymi Związek Młodzieży Socjalistycznej. Na czele polskiej lewicy stanął wypuszczony z więzienia Gomułka, który zdobył wielkie poparcie społeczne. Dzięki temu kuratela radziecka nad Polską zmalała. Wydarzenia w Polsce i na Węgrzech zmusiły Kreml do złagodzenia kursu. Ministrem obrony narodowej Polski był nadal Rokossowski. Został nim kiedyś, na prośbę Bolesława Bieruta, zachowując przy tym obywatelstwo radzieckie i stopień marszałka ZSRR. Polacy go nie lubili i kpili z jego podniesionych brwi, twierdząc, że sam dziwi się tym, iż jest Polakiem. 13 listopada Rokossowskiego odwołano ze stanowiska. W ślad za nim zwolniono trzydziestu dwóch generałów i pułkowników, i po udekorowaniu ich odznaczeniami, odesłano do ZSRR. Jednym z pułkowników był dowódca 4. pułku piechoty, Mieczysław Melenas, z którym zaprzyjaźniłem się kilkanaście lat później w Leningradzie. Prowadziłem, wtedy już z generałem Melenasem, konkursy wiedzy o Polsce w tamtejszej telewizji. Często grywaliśmy w brydża, narzekał, że w ZSRR nikt nie umie grać w tę pasjonującą grę, którą zarazili go Polacy w latach 50.

Ten październikowy dzień 1956 roku na zawsze zapadł w pamięci tych, którzy byli uczestnikami wiecu na placu Defilad przed Pałacem Kultury i Nauki. Kilkudziesięciu słuchaczy naszej Międzywojewódzkiej Szkoły otrzymało zadanie



Siedzą od lewej: autor, generał Mieczysław Melenas, bohater ZSRR Strielkow. Konkurs prowadzi polska studentka

utworzenia pierwszego „ochronnego” szeregu przed kamienną trybuną, z której miał przemawiać Wiesław. Zaraz po pojawieniu się Gomułka, kilkuset tysięcy tłum zafalował, rozerwał szpaler i wielu ludzi wdrapało się na trybunę, stając obok Wiesława. Gdy patrzę na zdjęcie upamiętniające ten moment i rozpoznaję w szarej masie swoją głowę, ogarnia mnie wzruszenie, że mogłem być świadkiem tamtych wydarzeń. Stałem wśród tłumu na placu Defilad i jak wszystkim udzielił mi się ten ludzki entuzjazm. Wołaliśmy: „Wiesław, Wiesław”! Na zakończenie wiecu Gomułka wezwał do rozejścia się i przystąpienia na drugi dzień do pracy. Nie wszyscy posłuchali. Ludzie byli rozpaleni, oczekiwali od Wiesława znacznie więcej. Utworzył się pochód. Śpiewano i skandowano hasła.

Nasza grupa, zgodnie z uprzednimi ustaleniami, zebrała się po wiecu pod hotelem „Polonia”. Otrzymaliśmy polecenie wejścia do czołówki pochodu, by za wszelką cenę, kierować idących pod więzienie przy Rakowieckiej, na w miarę peryferyjne ulice, jak najdalej od centrum. Szliśmy tuż za podoficerem Wojska Polskiego, niosącym flagę narodową. Był nietrzeźwy. Chwiał się, ale flagi nie puszczał. Włączyliśmy się do chóru skandujących: „Wiesław! Wiesław!”, „Rokossowski do kołchozu!”, „Na ambasadę sowiecką!”, „Na więzienie, na Rakowiecką!”, „Lud z wojskiem, wojsko z ludem!”.

Dotarła do nas wiadomość, że ambasada radziecka jest otoczona wojskiem. Wokół ustawiono karabiny maszynowe. Nie wolno dopuścić do rozlewu krwi, bo wtedy przepadną wszystkie zmiany wolnościowe i popadniemy w jeszcze gorszą zależność od Wielkiego Brata! Udało się skierować tłum w Aleję Niepodległości. Boli mnie gardło, nowe buty uciskają, są podeptane, płaszcz utracił dwa guziki. Powoli się ściemnia. Boję się ostrej reakcji milicji, a także ewentualnej odsieczy robotników z Fabryki Samochodów Osobowych (FSO), którzy pod kierownictwem I sekretarza Komitetu Zakładowego partii Lechosława Goździka byli zwolennikami zmian – ale przeprowadzanych pokojowo, bez groźby rozlewu krwi. Najbardziej obawiałem się spotkania z wojskiem broniącym ambasadę sowieckiej. Myślałem o córeczce i żonie, która nie miała żadnej informacji o tym, co się ze mną dzieje.

Było zupełnie ciemno, kiedy kilkuset tysięcy tłum, umiejętnie przez nas sterowany, dotarł pod więzienie przy Rakowieckiej. Szturmowano bramę, palono pod nią ogniska z gazet i jakichś papierzyśk propagandowych. Ktoś zawołał: „Na ambasadę, naprzód!”. Tłum manifestantów, głównie młodzież studencka, żołnierze i robotnicy, znowu ruszył. Drogę wskazywała białą-czerwona flaga, niesiona wciąż przez tego samego podoficera WP. Grupa aktywu partyjnego szła w czołówce pochodu, wykrzykując hasła we wspólnym chórze z manifestantami. Nie tylko dlatego, by się nie zdemaskować. Byliśmy autentycznie z nimi solidarni, mieliśmy dość kurateli towarzyszy radzieckich i marazmu gospodarczego. Idąc tuż obok oficera z flagą, przekonywałem wraz z moimi kolegami wszystkich wokół nas, by marsz poparcia dla Wiesława zakończyć przed gma-

chem KC PZPR. Było coraz groźniej, do manifestantów przyłączały się nowe grupy, często podpitej młodzieży. Manifestujący weszli w ulicę Puławską, kierując się do placu Unii Lubelskiej. Stąd przez ulicę Bagatela doszliśmy do Belwederu. Udało się po wielu przepychankach skierować tłum w Aleję Ujazdowskie. Odetchnąłem z ulgą, uniknęliśmy możliwego rozlewu krwi. Gdyby tłum ruszył w dół Belwederskiej, gdzie ambasadę radziecką chroniło wojsko, mogłoby się skończyć tragicznie. Na szczęście nie doszło do tego! Nie jadłem i nie piłem cały dzień. Dopiero teraz jakiś student, na moją prośbę, dał mi łyk oranżady.

– Masz brachu, pij, nareszcie pokonaliśmy kacapów! Jeszcze tylko dokopie-my tym w KW i KC, naprzód chłopaki, niech żyje wolność!

Wielu kolegów z Międzywojewódzkiej Szkoły Partyjnej zostało rozpoznanych – poturbowani jako „prowokatorzy” musieli uciekać. Inni rozproszyli się w masie manifestujących. Ci, którzy zostali ze mną, byli przygotowani na wszystko. Postanowiliśmy, jeśli tylko będzie to możliwe, starać się łagodzić na-stroje odwetowe. Prawdę mówiąc, w czołówce pochodu znalazła się grupa roz-ochoczonej młodzieży, podpuszczanej przez podejrzanych ludzi. Gdzieś zapodział się żołnierz niosący flagę, zastąpił go chłopak w studenckiej czapce. Pochód zbliżał się do Alei Róż, gdy gdzieś z boku rozległ się krzyk: Biją, uciekajcie, ro-botnicy biją! FSO! Goździk bije, kijami! Ludzie uciekali gdzie popadnie, wpa-dali w ręce bijących. Słyszałem wokół przekleństwa i jęki. Ci z FSO przysłani ciężarówkami samochodami, z kijami metrowej długości, tłukli bez opamiętania. Padały komentarze i obelgi: Ty s...synu, krwi ci się zachciało, to ją masz!, Nie potrzeba tutaj nowej wojny!, Mój ojciec jeszcze pod Piłsudskim w PPS działał, a ty ch... nawet prochu nie wachałeś!, My nie chcemy żadnej rozróby!, Do domu, gnoje!

Usiłowałem z kolegą skłonić niosącego flagę do jej wetknięcia za metalowy płot ambasady czy też rezydencji ambasadora Wielkiej Brytanii. Wtedy dopa-dła nas grupa robotniczego aktywu Lechosława Goździka. Kilku chciało flagę odebrać siłą, zaczęli bić kijami – nie mogli pod światłem latarni ulicznych roze-znać naszych zamiarów. Nie wiedzieli, że chcieliśmy ukryć flagę, by nie powo-dować skupiania się pod nią co bardziej walecznych manifestantów. Bojownik o „pokoju” zakończenie manifestacji i poparcia dla uchwał VII Plenum KC PZPR szamocąc się ze mną, rozerwał mój nowy płaszcz.

– Zostaw, k... ten sztandar, jesteście swoi! – krzyczałem.

– A ch... was wie, kto swój, kto cudzy – wrzasnął w odpowiedzi. Przy tym zdzielił mnie kijem, na końcu którego były wbite gwoździe. Ciosem otwartej dło-ni powaliłem go na ziemię, wyszarpnąłem kij z jego ręki i uciekłem w Aleję Róż. Tak skończył się mój aktywny udział w walce o polską drogę do socjalizmu.

Do domu w Ursusie dotarłem grubo po północy. Żona siedziała w kuchni, oczekując mojego powrotu. Elżbietka otulona w różowy koczek smacznie spała

w metalowym łóeczku, które zrobił nam mój tata. (To łóeczko, nie licząc tekturowej walizki, było moim jedynym materialnym posagiem, jaki wyniosłem z domu). Powiesiłem rozdarty nowy płaszcz, pod nim postawiłem rano jeszcze całe buty, teraz bez obcasów. Do szafy schowałem na pamiątkę Goździkowy kij z gwoździami. Zasnąłem w nadziei, że teraz już wszystkim nam będzie lepiej. I może rzeczywiście by tak było, gdyby władze partii nie uznały, że wystarczy już kształcenia partyjnych kadr na podstawie proradzieckiego „twardogłowego” programu i trzeba rozwiązać moją aktualną szkołę.

„L.dz. 174/56.

Warszawa, dn. 22 XII 1956 r.

Stępińska 19/23.

Z a ś w i a d c z e n i e

Dyrekcja Międzywojewódzkiej Szkoły Partyjnej w Warszawie zaświadcza, że tow. Stroński Ryszard był słuchaczem n/ Szkoły od dnia 1 IX 1956 r. do dnia 22 XII 1956 r.

W/w zwolniony został spowodu [tak w oryginale – R. S.] rozwiązania kursu Międzywojewódzkiej Szkoły Partyjnej.

Dyrektor Szkoły  
/St. Pfeiffer/”

Zostałem bez pracy i środków do życia. Byłem zdegradowany! Rozwiała się także moja nadzieja na „polską drogę do socjalizmu”.

Zaledwie rok po przełomie zamknięto „moją” gazetę „Po prostu”. Wracając z żoną z teatru tego wieczoru, gdy młodzież protestowała przeciwko zlikwidowaniu pisma, oberwałem pałką milicyjną za głośne wyrażenie niezadowolenia. Od następnych uderzeń uchroniła mnie żona, zasłaniając mnie sobą i pociągając do ucieczki.

Następnie zlikwidowano tak zwane odradzające się harcerstwo, a w 1962 roku – Klub Krzywego Koła. Trwała mała stabilizacja i jednoczesne wycofywa-nie się ze zdobyczy Października. Wielu z nas, ludzi wówczas dwudziestokilku-letnich, przeżyło ogromne rozczarowanie – przecież wierzyliśmy, że z Gomułką zbudujemy prawdziwy socjalizm.

## Pomocna ręka

Zaświadczenie o rozwiązaniu szkoły było równoznaczne ze zwolnieniem mnie z funkcji instruktora w Komitecie Powiatowym w Pruszkowie. Tak naprawdę, zajęć w szkole nie prowadzono już od początku listopada. Na szczęście wypłacono mi ostatnie stypendium, co umożliwiło nam z żoną przygotowanie skromnej wigilii i świąt Bożego Narodzenia. Noc sylwestrową 1956/57 spędziliśmy z córeczką w naszym nowym 37-metrowym mieszkaniu w Ursusie. Kartofle i świńską nogę mieliśmy z Wólki od teściowej.

Mijały dni i tygodnie. Nowy rok nie przynosił żadnych pomysłów ani rozwiązań. Nadal nie pracowałem. Leżąc na rozkładanym fotelu zwanym amerykaną, wracałem myślami do przeżytych, wydawało mi się, bez sensu moich 23 lat.

Nie trzymałem przy uchu słuchawki telefonicznej w poszukiwaniu pracy, bo nie było telefonu. Nie przeglądałem w telewizji ofert pracy, bo nie było telewizora. A i taka możliwość przyszła dopiero za kilkadziesiąt lat! By obejrzeć dobranockę, na czarno-białą telewizję chodziliśmy z trzyletnią córeczką do świetlicy nieodległego liceum ogólnokształcącego.

Wypijałem herbatę, zjadałem kanapkę, odprowadzałem Elusię do pobliskiego przedszkola i ruszałem w miasto w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia. Ale nikomu nie był potrzebny człowiek z małą maturą! Chciałem nawet zatrudnić się w pobliskiej kotłowni, ale ubiegł mnie inny „zasłużony” działacz.

Przyznam się dzisiaj po raz pierwszy, że niewiele wtedy brakowało, abym położył się na torach pociągu elektrycznego kursującego między Włochami a Ursusem. Faktem jest, że kiedyś – wdrapując się pewnego lutowego wieczoru na skarpę torowiska i zjeżdżając po śniegu na powrót do jej podnóża – rozplakałem się na myśl o pozostawieniu córeczki i żony na beznadziejny los! One mnie uratowały! Nie – pomyślałem – do jasnej cholery, człowieku, weź się w garść, przecież ta gehenna musi się kiedyś skończyć!

Ostatnie dni lutego były mroźne i śnieżne. I otóż pewnego dnia, w zimowy poranek, znowu wyruszyłem w poszukiwaniu pracy.

Przed kilkunastoma miesiącami, pracując jeszcze w technikum, pomogłem Jankowi Obirkowi, tancerzowi „Mazowsza”, wyrzuconemu z zespołu przez Mirę Zimińską-Sygietyńską, w objęciu posady woźnego i stróża przyszkolonego sadu owocowego. Teraz słyszę, że Janek znalazł pracę w centrali handlu zagranicznego. Nie zmarnuję tej okazji! Biegnę do szkoły, w której tak niedawno jeszcze uczyłem. Niestety, już kogoś przyjęto na zwolnione przez Janka miejsce. Zgłosiłem się za późno!

Idę na stację z zamiarem wyjazdu do Warszawy. Muszę znaleźć pracę, tym bardziej, że następne dziecko w drodze. Może syn! Córka i syn! To byłoby cu-

downe! Zapiszę się także dzisiaj do 10. klasy w Liceum Ogólnokształcącym dla pracujących. Dla pracujących? O, ironio losu!

Na stacji okazało się, że napadało tyle śniegu, iż pociągi zatrzymywały się w szczerym polu, a pasażerowie wyskakiwali z wagonów i przedzierali się, brnąc po pas w białym puchu, do miasta bądź do zakładów w Ursusie. Stojąc na peronie, podawałem rękę usiłującym wdrapać się na górę. Kolejną osobą wciągniętą przeze mnie w ten sposób na peron okazał się mój były szef, I sekretarz Komitetu Powiatowego partii z Pruszkowa.

– O, to ty! Dziękuję! Co tutaj robisz?

– Nic, kompletnie nic, jestem bez pracy. Wyciągam rękę do ludzi potrzebujących. Liczę, że może ktoś mi za tę usługę zapłaci. Proszę, możesz mi odpalić co łaska, każdy grosz się przyda! – gadałem jak katarynka, dodając uszczypliwe uwagi, że znów idzie nowe i tylko twardogłowi mają się teraz dobrze!

– Dlaczego nie zgłosiłeś się do mnie?

– Znasz mnie, po prośbie, szczególnie do was, chodzić nie będę, taki już mam charakter, mogę zdechnąć, ale z honorem!

– Honorem się nie najesz. Dobrze wiesz, że sam przez jakiś czas nie byłem pewny swego losu. Idę na posiedzenie komitetu fabrycznego. W tej chwili przyszło mi do głowy, że zaproponuję cię na kierownika Ośrodka Propagandy Partyjnej i Szkolenia w Zakładach Mechanicznych. Będziesz zapoznawał załogę z nową sytuacją polityczną w kraju, uczył budowania polskiej drogi do socjalizmu. Głowę masz nie od parady. Znasz zakład, pracowałeś w kolegium redakcyjnym gazety zakładowej, stworzyłeś młodzieżowy dodatek dla szkół. Byłeś członkiem prezydium Zarządu Powiatowego ZMP. Będziesz kandydatem jak ulał. Wybawiłeś mnie z kłopotu, lepszego nie znajduję. Prosił, żeby im kogoś znaleźć i – proszę – napatoczyłeś się! Dzięki Bogu, nie bądź frajer, mieszkasz tutaj i będziesz miał pracę na miejscu! – zakończył, serdecznie potrząsając moją ręką i gratulując nowej pracy. Był pewien, że mi ją załatwi. I załatwił. Zastanawiałem się nad tym wiele razy, jak to się dzieje, że los człowieka tak często zależy od przypadku.

1 marca 1957 roku przekroczyłem próg pomieszczenia zwanego Ośrodkiem Propagandy Partyjnej i Szkolenia Zakładów Mechanicznych „Ursus”. W którąkolwiek stronę spojrzałem, wszędzie napotykałem mój liczny personel. Nosił on... moje imię i nazwisko. Byłem sam jak kołek! I nie miałem pojęcia, od czego zacząć. Rozglądałem się wokół przez kilka dni, ale już w połowie marca mogłem w wywiadzie dla „Głosu Ursusa” odpowiedzieć na następujące pytania:

„– Kiedy nastąpi otwarcie Ośrodka?

– (...) Nie było kierownika, który miałby się tym zająć. Jestem tutaj dopiero od dwóch tygodni. Otwarcie planuję już za tydzień. W programie przewiduję informację towarzysza I.Ł. z Komitetu Wojewódzkiego, który będzie mówił o stosunkach ZSRR ze Stanami Zjednoczonymi, a redaktor z „Trybuny Mazo-

wieckiej” podzieli się swoimi wrażeniami z pięciodniowego pobytu w Anglii razem z „Mazowszem”. W części artystycznej wystąpi nasz ursusowski Zespół Pieśni i Tańca.

– *A co będzie się działo po inauguracji pracy Ośrodka?*

– (...) Zostaną powołane między innymi sekcje: propagandowo-organizacyjna, polityki wewnętrznej i sytuacji międzynarodowej, młodzieżowa, filozoficzna i ekonomiki przemysłu (...) Będziemy wyjaśniać kwestie unormowania stosunków państwa z Kościołami w Polsce i wprowadzenia religii do szkół, reaktywowania przedsiębiorstw prywatnych, unormowania sytuacji mniejszości narodowych w naszym kraju (...)

– *Jakimi metodami będziecie pracować?*

– Podstawową formą naszej pracy będą odczyty, dyskusje, prelekcje i spotkania ze znanymi ludźmi: pisarzami, naukowcami, historykami i działaczami (...)

– *Jakimi pozycjami zamierzacie uzupełniać waszą bibliotekę? Czy przewidujecie zorganizowanie czytelni?*

– (...) Obok literatury pięknej zaopatrzyłem nasz ośrodek we wszystkie wydawane w Polsce czasopisma. Mamy „Życie Partii”, „Przekrój”, „Nowe Drogi”, „Po prostu”, „Życie Gospodarcze”, „Kierunki” i wiele innych. Planujemy zakup telewizora. Ośrodek będzie do dyspozycji wszystkich zainteresowanych członków załogi i mieszkańców miasta (...).

Znowu powołano mnie do składu kolegium redakcyjnego „Głosu Ursusa”. W artykułach zamieszczanych w tej gazecie krytykowałem tych, którzy chcieli zepchnąć partię z drogi przyjętej na jej VII październikowym plenum.

Pisałem: „Nie wolno zamykać oczu na rujnujące naszą gospodarkę zjawiska, którymi są spekulacja, przestępstwa gospodarcze, łapownictwo, przejawy kacykostwa, pogardzania człowiekiem. Bolą one prostych ludzi, którzy nadal boją się publicznie je piętnować. Robotnicy potrafią walczyć z takim czy innym „dygnitarzem” i nie pozwolą pomiatać człowiekiem pracy. Powinniśmy im w tym pomóc”.

W innym artykule zatytułowanym „Co będziemy robili?” wskazywałem, że Ośrodek Propagandy Partyjnej powinien stosować nowocześniejsze, zgodne z duchem czasu metody, powinien odpowiadać na pytania, które niesie współczesna rzeczywistość:

(...) „Jak to, co będziemy robili? Od razu odpowiadam! Nie będziemy analizowali przebiegu produkcji, nie będziemy dyrygowali innymi organizacjami, nie będziemy organizowali lipnego współzawodnictwa, nie będziemy popularyzowali przodowników. No tak, ale co będziemy robili? (...) Ludzie nadal czekają na wyjaśnienie wielu problemów ze starej półki, a tu wyrastają nowe i często bardziej skomplikowane. Na przykład dostajemy pytania, skąd się bierze dobrobyt ludzi pracy w takich krajach, jak Szwecja, Szwajcaria, RFN, do czego doprowadzi reaktywowanie przedsiębiorstw prywatnych, co się dzie-

je na wsi, czy nadal jest aktualne pojęcie walki klasowej? Nie mówię tu już o pytaniach dotyczących samej idei marksizmu-leninizmu. A Partia, czy ma nadal istnieć w niezmiennym stanie? (...) Powinna istnieć „wolność odejścia” dla tych, co przyszedli do niej ze strachu lub dla posady (...) Wszystkie dawne „żelazne” formy pracy wzięły w łeb (...) Bo co mówią członkowie Partii i jej aktyw o dawnych formach? Powiadają oni: „współzawodnictwo – lipa, samokrytyka – śmiech, stopa życiowa – niemożliwe, socjalizm – drętwa mowa”. (...) Musimy wśród ludzi odrodzić wiarę w cel. To bardzo trudne, tym bardziej, że wokół dużo niedostatków i zniechęcenie. Na pytanie postawione w tytule jest tylko jedna odpowiedź: będziemy robić to, co zainteresuje ludzi, będziemy twórczo odpowiadać na ich intelektualne i kulturalne potrzeby. Będziemy zwalczać skostnienie i wszelki myślowy schematyzm. Dogmat i tabu nie będą busolą działania Ośrodka”.

W kilku kolejnych numerach „Głosu Ursusa” zamieszczałem swoje krytyczne refleksje, które ukazywały się pod wspólnym tytułem „Nie możemy dopuścić do powstania u nas ugoru kulturalnego”. Podsumowaniem problemów poruszanych w tych artykułach były robotnicze spotkania z literatami i redaktorami szeregu gazet. W styczniu 1958 roku zaprosiłem na spotkanie z robotnikami Włodzimierza Sokorskiego, przewodniczącego Komitetu do spraw Radia, późniejszego ministra kultury. Jego informacja o sytuacji gospodarczej, politycznej i kulturalnej kraju, opowiedziana ze swadą, bez lakierowania, została przyjęta burzą oklasków.

Na jedno z pytań, dotyczące ustawicznego braku papieru toaletowego, Sokorski odpowiedział: „No, bo widzicie sami, jaki to jest towar! Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego wszystko przelicza i planuje na głowę ludności, a moim zdaniem papier trzeba przeliczać na... dupę ludności, wtedy może by go dla nas wszystkich wystarczyło”. Gromki śmiech robotników towarzyszył pożegnaniu gościa.

Od września 1957 roku uczęszczałem do Wieczorowego Liceum Ogólnokształcącego w Warszawie. Wtedy, po spotkaniu poprosiłem Sokorskiego o podwiezienie mnie do szkoły. Po drodze wiele mówiliśmy o Polsce. Opowiadaliśmy także słone dowcipy.

– Mówią o panu, że podobno został pan wezwany do wychowawcy swoich najmłodszych dzieci z kolejnego małżeństwa i zwrócono panu uwagę, że one w szkole wykrzykują często słowo „kulwa, kulwa!”.

– No, no i co ja na to?

– Pan na to: Nie rozumiem pretensji, gdzie w końcu dzieci mają się poprawnie nauczyć wymawiać głoskę „r”, w domu czy w szkole...?

Śmiejąc się, podziękował mi, jak określił, za sympatyczną anegdotkę, i poprosił kierowcę, by odwiózł mnie na miejsce.

Po jakimś czasie powołałem przy ośrodku Międzyzakładowy Młodzieżowy Klub Dyskusyjny powiatu pruszkowskiego. W skład zarządu klubu weszło,

oprócz mnie, jeszcze osiem osób z Zakładów Mechaniki Precyzyjnej w Błoniu, Zakładów Mechanicznych „Ursus”, Zakładów Przemysłu Gumowego – Piastów, Huty „Ożarów”, L-4 „Ożarów”, Wojewódzkiej Rady Narodowej i Domu Kultury z Piastowa.

W dniu inauguracji klubu, po moim referacie, zabrał głos Henryk Szafrąński, sekretarz Komitetu Wojewódzkiego partii, jeszcze do niedawna kierownik Wydziału Modelarni ZM „Ursus”. To było jego pierwsze spotkanie z młodzieżą po wyborze go na sekretarza Warszawskiego Komitetu Wojewódzkiego partii. Zapraszając H. Szafrąńskiego, poprosiłem, by mówił o tak zwanym odchyleniu prawniczo-nacjonalistycznym w partii. Wówczas nikt nie miał pojęcia, że człowiek ten był kiedyś kierownikiem wydziału KC Polskiej Partii Robotniczej i, solidaryzując się z poglądami Gomułki, został odsunięty za odchylenie prawniczo-nacjonalistyczne.

Często spotykaliśmy się w pociągu elektrycznym. On, po pracy, uzupełniał studia inżynierskie, ja zaś jechałem do mojego wieczorowego ogólniaka. Tak się złożyło, że pewnego razu byłem świadkiem rozmowy telefonicznej sekretarza KC J. Morawskiego z H. Szafrąńskim, któremu Morawski nakazał powrót do aparatu partyjnego słowami: „Czas wracać, Henryku!”.

Dużej finansowej pomocy udzielała naszemu ośrodkowi Rada Zakładowa Związków Zawodowych i naczelny dyrektor zakładów Zygmunt Purzycki. Dzięki niemu wyposażyliśmy ośrodek w telewizor i meble klubowe. Purzycki, kiedy złożyłem na piśmie prośbę o wyposażenie klubu, wezwał mnie do siebie i przemówił mniej więcej tak:

– Pomogę wam, bo obserwuję pracę ośrodka, i z obowiązku – jako gospodarz fabryki – bywam na waszych imprezach, szczególnie wówczas, gdy zapraszacie ważne osoby naszego życia kulturalnego, gospodarczego i politycznego. Mam tu na myśli różnych Putramentów, Sokorskich, Szafrąńskich. Głupio mi wtedy, gdy stoły się chwieją, ściany odrapane, a każde krzesło z innego śmietniska.

– Bardzo dziękuję, towarzyszu dyrektorze, wszyscy będziemy wam bardzo wdzięczni!

– Dobra, dobra, tylko zastanawiam się, jak to formalnie zrobić? Bo później może się do mnie przyczepić jakaś partyjna komisja kontroli. Mam głównego mechanika, głównego dyspozytora, głównego energetyka, i teraz myślę, że dobrze by było, gdyby formalnie do struktury zakładu wkomponować głównego ideologa, wtedy byście napisali do mnie podanie i po sprawie!

– W porządku, za chwilę przyniosę inne pismo i podpiszę je jako główny ideolog. Tylko proszę zadzwonić do kadr, by przyjęli mnie na etat fabryczny i dali mi taką nominację, jaką sobie życzyście. Wy podpiszecie i wtedy wiem, że dotychczasowe moje pobory wzrosną co najmniej o 150%.

– Zgoda, tylko co wy umiecie? Takich, co tutaj mocni w gębie mam dziesiątki! Może na kuźni coś, na obróbce skrawaniem? Nic? To jak skończycie jakąś

szkołę, to was zatrudnię, a na razie podpiszę ten papier, tylko kupcie do tego klubu coś ładnego!

To był mądry dyrektor, nawet się nie domyślał, jak bardzo zmotywował mnie do nauki. Mobilizowało mnie także pragnienie stworzenia lepszych warunków życia moim dzieciom.

Na razie jednak wszyscy żyliśmy skromnie, pomagając sobie wzajemnie. W naszym jednopokojowym mieszkaniu przebywało nieraz po kilka osób. Jakiś czas pomieszkiwaliśmy z Halinką, siostrą cioteczną mojej żony i jej mężem Zygmuntem, pracującym wówczas w dziale głównego energetyka. Na noc rozkładali sobie pierzyny na podłodze w kuchni. Zygmunt był aktywnym korespondentem ursusowskiej gazety zakładowej, obecnie publikuje interesujące fraszki, aforyzmy i wiersze. Nieco później w kuchni spał brat żony, któremu znalazłem pracę w kotłowni miejskiej przy przeładunku węgla i szuflowaniu go do kotłów. Innym razem mieszkała z nami Basia z Wólki, także siostra cioteczna żony, która uczęszczała do liceum ogólnokształcącego w Ursusie. Na pewien czas znalazł u nas miejsce słynny Ośka, partyzant ziemi kieleckiej, który – po wyjściu z więzienia – szukał jakiegoś zajęcia. Udało mi się w końcu znaleźć w Gołąbkach kilkanaście metrów ziemi, gdzie Ośka ze swoim kolegą kopcowali zakupioną gdzieś kapustę, by ją następnie wiosną sprzedawać z niewielkim zyskiem.

Synek jeszcze nie chodził, kiedy postanowiłem odnowić ściany w mieszkaniu. Zdobyłem gdzieś farbę, ustawiłem stół na środku kuchni, małego posadziłem w kącie na podłodze i wspierałem się na stół z wiadrzem pełnym białej farby. Dziecko nie usiadło na miejscu i rozpoczęło wędrówkę, jeżdżąc pupą po zachlapaną podłogę. Moje nawoływania, zamiast szkraba powstrzymać, spowodowały raczej odwrotny skutek. W końcu znalazł się tuż przy nodze stołu. Pochyliłem się, by go stamtąd zabrać i w tym momencie... stół się zawałił. Spadłem razem z wiadrzem, którego biała, gęsta zawartość oblała syna i całe pomieszczenie. Najstraszniejsze było, kiedy uświadomiłem sobie, że blat stołu znalazł się zaledwie centymetr od jego główki. Chwyciłem go w ramiona i obaj, usmarowani na białą, płakaliśmy. On ze strachu, ja z radości, że nic mu się nie stało.

Przypomniałem sobie, że dwa lata wcześniej przeżyłem już podobny lęk o dziecko. Odbierałem córeczkę z ursusowskiego żłobka, właściwie z izolátky, gdzie umieścili ją po stwierdzeniu, że ma 38 stopni gorączki. Leżała tam kilka godzin. Gdy po nią przyszedłem, poinformowano mnie, że gorączka wzrosła do 40 stopni. Niosłem dziecko na rękach, płacząc i zaglądając co chwilę pod kocyk. Bałem się najgorszego.

Życie mimo wszystko stało się lżejsze z chwilą objęcia rządów przez Gomułkę. Jego reżim, zdecydowanie bardziej liberalny i mniej stalinowski, zezwolił wreszcie na publikację książek wydawanych za granicą, a jeszcze do niedawna w Polsce zakazanych. Przynosiłem je do domu i dosłownie połykałem, odkrywał

się przede mną nowy, dotąd nieznany, nieoczekiwanie bogaty świat zachodniej literatury.

W 1957 roku zezwolono na publikację Gombrowicza. Rok później byłem z żoną na premierze jego dramatu „Iwona, księżniczka Burgunda”.

Po rozwiązaniu ZMP wstąpiłem do ZMS-u. Napisałem kilka krytycznych artykułów o jego działaniu, nawołując w nich do rugowania starych nawyków i „zbutwiałych” form pracy. Krótco potem zostałem zaproszony na plenum Komitetu Wojewódzkiego ZMS. Dyskusja była burzliwa, ale jednostronna. Wystąpiłem ostatni, namieszałem tak, że projekt uchwały musiał być zmieniony. Minęło kilka dni i zostałem wezwany do I sekretarza KW ZMS Tadeusza Palarczyka, który oznajmił, że otwiera się przede mną pewna możliwość. Mianowicie, będę mógł zrealizować swoją propozycję zmiany stylu pracy z młodzieżą robotniczą, o czym mówiłem na plenum.

– Proszę bardzo, możesz się teraz popisać, nie będę przeciwny, wręcz odwrotnie. Zostawisz swój ośrodek i klub w Ursusie, i obejmiesz funkcję kierownika wydziału młodzieży robotniczej. Nie protestuj, rozmawiałem z Szafrąnskimi, zgodził się. Niestety, pobory będziesz miał trochę niższe, nie stać nas. W przyszłości zobaczymy!

– Ala ja zdaję w tym roku maturę, nie dam rady!

– Dasz radę! Nie ma o czym gadać!

Rok 1959 to nowa praca, opóźniona matura i kolejne nadzieje. Uczylem się i usiłowałem wprowadzać nowe pomysły do pracy organizacji zakładowych ZMS w województwie warszawskim.

Do egzaminu maturalnego przygotowywałem się z kolegami, obaj byli muzykami Filharmonii Narodowej. Jeden z nich, Natan Wasserman, skrzypek, nauczył mnie wiązać krawat.

Zdałem szczęśliwie! Gdybym wówczas nie zdecydował się na ten morderczy dwuletni wysiłek, kosztem rodziny, głównie dzieci, nie zrobiłbym dalszych kroków, nie ukończyłbym studiów. Nie umiałbym także wiązać krawata...

## Cyrankiewicz pije z nami...

*Zetempowcy o niebieskich oczach,  
Kiedy spojrzą w swą hutniczą dal,  
Zakochają się w hutniczych nocach,  
Ukochają raz na zawsze stal.*

Niedługo przed wyjazdem do pracy w Płocku, jako kierownik wydziału młodzieży robotniczej zostałem wyznaczony przez Tadeusza Palarczyka, I sekretarza

Warszawskiego Komitetu Wojewódzkiego ZMS, na szefa kilkudziesięcioosobowej grupy byłych budowniczych Huty im. Lenina w Krakowie. Mieliśmy uczestniczyć w uroczystości 10-lecia rozpoczęcia jej budowy.

Był rok 1959. Dość łatwo udało się odnaleźć w województwie mazowieckim pionierów budowy – i oto jesteśmy na tej wesołej i jednocześnie podniosłej imprezie. Trzymamy się blisko podobnej grupy byłych budowniczych z Warszawy, prowadzi jej Waldek Sierakowski, sekretarz Komitetu Stołecznego ZMS.

Po oficjalnych przemówieniach miejscowych władz i wystąpieniu premiera Józefa Cyrankiewicza zwiedziliśmy imponujący rozmachem kombinat metalurgiczny i budujące się miasto – Nową Hutę. Odbywały się spotkania z młodzieżą, zabawy w klubach i świetlicach. W Teatrze Ludowym, jeśli mnie pamięć nie myli, trwała wówczas próba generalna przedstawienia Marii Dąbrowskiej pt. „Stanisław i Bogumił”.

Na godzinę 21, w siedzibie dyrekcji Huty, było przewidziane spotkanie z premierem Józefem Cyrankiewiczem i Marią Dąbrowską. W ogromnej sali zebrali się przedstawiciele województw, z każdej grupy wydzielono najbardziej zasłużonych murarzy, spawaczy, zbrojarzy, byłych junaków Służby Polsce. Wokół ścian – stoły z alkoholem i zakąskami, na galerii – podobnie. Stąd jak na dłoni było widać stół prezydialny, za którym lada moment mieli zasiąść znakomici goście.

Czekaliśmy na nich aż do północy. Wraz z premierem na salę weszli: Maria Dąbrowska, Krystyna Skuszanka z mężem Jerzym Krasowskim oraz cała wierzuszka władz krakowskich i nowohuckich. Wszyscy wydawali się nam rozbawieni i podochoćeni! W każdym razie my, „budowniczości” tak to postrzegaliśmy – przez trzy godziny oczekiwania „strażacka” (tak nazywano wtedy czystą wódkę, bo miała czerwoną naklejkę) nie stała na darmo. Na widok dostojnych gości zetemesowcy huknęli „Sto lat!” i po wielokroć zakrzyknęli „Hura!”. Pojawiła się orkiestra: harmonia, skrzypce i bęben. Premier poprosił Skuszanekę do tańca. Pani Maria radośnie patrzyła na tańczącą młodzież, miarowo klaszcząc.

Następnie premier „poszedł w lud”. Obchodził stoliki, witał się z młodzieżą, usprawiedliwiał się z powodu spóźnienia: „Po próbie generalnej w teatrze była mała herbatka. Niestety, przeciągnęła się ponad program. Proszę was jednak o gorącą owację na cześć pani Marii Dąbrowskiej, o której za chwilę będę mówił”. Kiedy doszedł do naszego stołu, huknęliśmy: „Niech żyje! a kto z nami, niech wypije!”. Waldek Sierakowski nalewał do szklanek, a ja się usprawiedliwiałem, że niestety lepsze wódki zostały już spożyte. „To bez znaczenia, chłopcy, ważne jest towarzystwo, a ja lubię czystą. Za wasze zdrowie!”. Wypił pół szklanki jednym haustem. Zaimponował nam.

„Niech żyje nasz premier, towarzysz Józef Cyrankiewicz, przyjaciel młodzieży i niezłomny...” – wypity alkohol uczynił wschodni akcent przedstawiciela województwa białostockiego jeszcze bardziej śpiewnym. Zagłuszono tego entuzjastę. Orkiestra zagrała „Sto lat!” i zaraz po tym oberka. Dziewczyny otoczyły

premiera ciasnym kołem, zmuszając go do podskoków. Skuszanka i Dąbrowska zaśmiewały się. Zmęczony i rozbawiony premier wrócił do stołu. Dziękując młodzieży za gorące przyjęcie, nawiązał do obecności wielkiej pisarki na tej niezwykle uroczystości.

– Pani Mario, ten dzień niech stanie się zbiorowym symbolem zrealizowanych tęsknot i marzeń bohaterów pani książek. Pragnę przy tej okazji podziękować za wszystkie dzieła pani życia. Wam, budowniczym, dziękuję za wasze dzieło, Nową Hutę, która tak jak książki naszej wielkiej pisarki, stanowi chlubę narodu i na zawsze nią pozostanie – powiedział premier na zakończenie wystąpienia.

Owacjom i śpiewom „Sto lat!” nie było końca. Wzruszona pani Maria przyjmowała kwiaty i ocierała łzy. Zaczęła mówić. Byłem szczęśliwy, widząc i słysząc wielką pisarkę, bliską mi przez swoich bohaterów z *Nocy i dni*, *Znaków życia* i opowiadań z życia proletariatu wiejskiego *Ludzie stamtąd*.

Mówiła kilkanaście minut, słuchaliśmy jej w skupieniu: „Dzisiaj wraz z panem premierem podziwiałam to wielkie dzieło waszych rąk i umysłów. Byłam w teatrze i oglądałam wyreżyserowaną przez obecną tu panią reżyser sztukę, powstałą w mojej wyobraźni. Gdyby ktoś, może jakaś Cyganka, dziesięć lat temu powiedział mi, że będę wśród ludzi, w mieście i teatrze wtedy jeszcze nieistniejącym, bawić się i oglądać moje dzieło, nie uwierzyłabym. Zresztą trudno mi w to uwierzyć! Dzięki Bogu, że miejsce to kiedyś nazywało się Mogiła, bo tylko w mogile mogą się przyśnić takie nieprawdopodobne rzeczy. Dziękuję Bogu, że dożyłam tych lat. Dziękuję wam, dzieci, że stworzyliście to swoimi rękami dla ludzi, o których pisałam i, jeśli Bóg pozwoli, pisać będę!”.

Około 2 w nocy delegacja rządowa odjechała do Warszawy. Delegacje warszawska i mazowiecka miały pociąg dopiero około 6 rano. Tylko ostatni głupek, w dodatku chory, poszedłby już do łóżka. Należało czym prędzej zmienić lokal. Ale na jaki, kiedy wszystko zamknięte i miasto śpi?!

Zabraliśmy wódkę pozostałą z przyjęcia na cześć budowniczych Nowej Huty, towarzysza premiera i Marii Dąbrowskiej, i poszliśmy w miasto. Wędrując po ulicach i śpiewając, spotkaliśmy autentycznego budowniczego stalowego kombinatu. Nie był zaproszony na uroczystość 10-lecia wielkiej budowy. Przyłączył się do nas, siedzących na ławce, i opowiedział swoją historię przodownika pracy. Gdy kładł cegły w ramach współzawodnictwa pracy, grała zetempowska orkiestra, a siostry służby zdrowia obwiązywały mu bandażami ręce i krwawiące palce. Zwyciężał. Teraz nie ma ani mieszkania, ani pracy. To było niezrozumiałe. Wiedzieliśmy, że jeśli ktoś nie pracował, był wzywany na kolegium i przymuszony do pracy. A tu? Może on się stoczył? Ale przecież socjalistyczna władza nie powinna była do tego dopuścić!

Byliśmy na potężnym rauszu! Raptem pod wpływem opowiadania byłego zetempowca wyzwolił się w nas zapal bojowników o sprawiedliwość społecz-

ną. Nie zważając na okoliczności, Waldek postanowił walczyć, wykrzyczeć całą prawdę. Na rynku nowiutkiego miasta, o 3 nad ranem wygłosił przemówienie do śpiących mieszkańców Nowej Huty. Wykorzystał w tym celu mównicę, ustawioną na wiec młodych budowniczych.

Było nas ośmiu. Siedliśmy na ławkach z desek, w miejscu, gdzie poprzedniego dnia uczestniczyliśmy w zgromadzeniu. Waldek wdrapał się na trybunę. Wbiegłem na podium i zagaiłem, że „oto zabierze głos najwybitniejszy...”. Dookoła stoją nowe bloki, a w nich śpią niedawni chłoporobotnicy, a teraz właściwie już... mieszczenie. Zbliża się trzyosobowy patrol MO. Milicjanci siadają obok nas.

– Towarzysze, czy was nie przeraża bezdusność naszej partii, brak troski o los młodego człowieka? Ta biurokratyczna postawa, zachowawcza i wygodnicka, niezgodna z nauką leninowską, prowadzi do tego, że niektórzy odpowiedzialni towarzysze śpią teraz nasyceni, podczas gdy najlepsi nasi ludzie marnie egzystują, stając się wrogami naszego ustroju – i mają rację. Precz z biurokrata-mi partyjnymi, niech żyje socjalizm i sprawiedliwość! – przemawia Waldek.

Schodzi z mównicy. Rozlegają się oklaski. Podchodzą młodzi milicjanci i gratulują wystąpienia. Jesteśmy zbudowani ich postawą. Bratamy się i spokojnie pod ich konwojem zostajemy doprowadzeni na stację. Informują nas, że za pół godziny będzie czynny bufet kolejowy, i że na pewno jest w nim piwo, widzieli wczoraj dostawę.

Zawsze uważałem, że piwo, raniutko na dworcu, jest potrzebne ludziom do życia jak tlen. Do tego oczywiście, jeszcze lepiej, gdy za szkłem bufetu widnieje zimny kotlet mielony! Przekonałem się o tym wielokrotnie: kiedyś, gdy udało mi się umknąć komuś, kto usiłował zabić mnie w okolicy Sierakowa, wtedy, kiedy zwolniono mnie z wojska w Trzebiatowie nad Regą, i właśnie teraz – w Nowej Hucie.

Czy życie nie jest piękne, gdy masz 26 lat i o poranku w restauracji kolejowej pijesz ciepłe piwo? Niby dlaczego miałyby być zimne? Dobrze, że w ogóle jest! A mielony? To był smak! Po kilkudziesięciu latach zaginął bezpowrotnie.

1960–1964



## Biała

Polski przemysł, od jakiegoś czasu rozwijający się w tempie dotychczas niespotykanym w historii naszej gospodarki, potrzebował coraz więcej ropy naftowej. Głównym jej dostawcą był wówczas Związek Radziecki. W krótkim czasie powstał, liczący ponad 4000 kilometrów, rurociąg „Przyjaźń”, którego północnym odcinkiem dostarczano ropę do rafinerii w Płocku.

W styczniu 1959 roku premier Józef Cyrankiewicz podpisał dokument o lokalizacji zakładu ropy naftowej we wsi Biała koło Płocka. To 40-tysięczne miasto dostało wielką szansę rozwoju. Stary, historyczny Płock rozpoczął, zapoczątkowany ożywieniem gospodarczym, nowy etap życia, drugą młodość – dosłownie i w przenośni.



Okresowa narada krajowa dla oceny patronatu ZMS nad budową rurociągu naftowego „Przyjaźń”. Przewodniczy Władysław Laskowski. Siedzą na pierwszym planie: Henryk Kanicki, Andrzej Bem i organizator KC ZMS Ryszard Stroński.

W specjalnie powołanym do budowy Petrochemii Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego Petrobudowa, którego dyrekcja znajdowała się początkowo w domu mieszkalnym, dział kadr w jego piwnicy, a inne działy techniczne i projektowe w budynkach gospodarstwa wiejskiego, już na początku 1961 roku zatrudnionych było 1600 pracowników. Tylko 360 z nich miało wówczas powyżej trzydziestki. Były to roczniki, których dzieciństwo przypadło na okres wojny.

W kwietniu 1960 roku II krajowy zjazd ZMS przyjął uchwałę o objęciu patronatu nad budową rurociągu naftowego i Kombinatów Petrochemicznych w Płocku. Miesiąc później odbyło się w tym mieście wspólne wyjazdowe posiedzenie egzekutywy Wojewódzkiego Komitetu Warszawskiego partii i prezydium Komitetu Centralnego ZMS. Byłem odpowiedzialny za organizację tego spotkania.

Pod koniec obrad, które były poświęcone szczegółom realizacji patronatu zauważyłem, że członkowie prezydium coraz częściej spoglądają w moim kierunku. Jednocześnie pochylają się nad przechodzącą z rąk do rąk karteczką i coś tam na niej zapisują. Za chwilę dowiedziałem się, że widniało na niej moje nazwisko. W ten sposób, jak się wkrótce przekonałem, zdecydowano o moim dalszym losie... Nikt przedtem nie zadał sobie trudu, by zapytać mnie, czy ewentualnie zechcę przeprowadzić się do Płocka.

Wstał Marian Renke, I sekretarz Komitetu Centralnego ZMS.

– Chciałem poinformować, że przed chwilą nasze prezydium zatwierdziło Ryszarda Strońskiego – pokażcie się, towarzyszu – na organizatora i pełnomocnika naszego komitetu do spraw patronatu ZMS nad budową Petrochemii i nitki rurociągu. – powiedział.



1962 r. Na budowie Petrochemii. Od lewej: autor, Biowski, Jerzy Terej, Stanisław Kociotek, Marian Renke, Władysław Laskowski, Antoni Rogucki, Grzegorz Sokołowski

Oślupiałem! Mieszkaliśmy wtedy w Ursusie, żona pracowała w szkole, dzieci były małe... Wszystko to błyskawicznie przemknęło mi przez głowę. Kolejna przeprowadzka?

Towarzysze pogratulowali i... odjechali. Sekretarz Wojewódzkiego Komitetu Warszawskiego partii Henryk Szafrński obiecał, że porozmawia z moją żoną i spróbuje przekonać ją do wyjazdu do Płocka.

Zostałem sam. Bałem się, nie miałem pojęcia, od czego zacząć. Zetemesowców na budowie było zaledwie jedenastu; dopiero po trzech latach udało się zebrać dwutysieczną armię ludzi, z którymi można było zrealizować każdy pomysł. Na domiar złego, nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Na niewiele się też zdało hołdowanie panującej wtedy w Płocku wśród kadry budowlanej modzie. Skórzany płaszcz i duża teczka ze skóry robiły co prawda pewne wrażenie, ale... Chociaż nie, niezupełnie tak! Gdy przypadkowo natknąłem się na dyrektora Petrobudowy Stefana Patynę, zaprosił mnie do gabinetu i zaczął rozpytywać o ten płaszcz; przymierzał i poprosił o adres sklepu w Warszawie.

– Widzicie, mnie się podoba raglan, a wasz to właśnie raglan, i w dodatku niezbyt ciężki – mówił dyrektor.

Obiecałem mu, że zapytam, czy takie płaszcze jeszcze są w tym sklepie, a jak nie, to zamówię jego rozmiar. Przy tej okazji dowiedziałem się, że na budowę będzie potrzebne 3000 metrów bieżących płyt żelbetonowych na przewidziane drogi, by samochody nie grzęzły w błocie. Już zdarzają się sytuacje, kiedy trzeba je wyciągać dźwigami. Dostawcy krajowi odmówili realizacji takiego zamówienia.

Nadarzyła się więc okazja, by błysnąć, zrobić coś efektownego, zaistnieć, i jednocześnie uchronić budowę przed wielkimi kosztami i niedotrzymaniem terminów. Liczył się czas, płyty trzeba było zdobyć w ciągu kilku dni; zbliżała się jesień.

Przypomniałem sobie, że pułkownik wojsk radzieckich stacjonujących w Legnicy, szef wojskowego Komsomołu, który jakiś czas wcześniej zwiedzał naszą budowę z grupą komsomolską, ujawnił w rozmowie ze mną (oczywiście przy wódce), że jego jednostka buduje pasy lotniskowe z płyt betonowych. Teraz skojarzyłem tamtą wiadomość z naszymi potrzebami.

Na zebraniu sztabu interwencyjno-ekonomicznego ZMS postanowiliśmy, że spróbujemy naszych sił. Szef sztabu Tadeusz Markiewicz i ja pojechaliśmy z odpowiednimi pełnomocnictwami i prezentami do Legnicy. Przyjął nas generał, dowódca jednostki. Wręczyłem *padarki* i wyluszczyłem po rosyjsku, *za czym przyjechali*. Trochę się obawialiśmy, że pułkownik, który powiedział nam o podkładach, będzie miał kłopoty. Ale postanowiliśmy zaryzykować. Generał wezwał pułkownika i powiedział: „*Obieszczal, tiepier dawaj*” [ros., Obiecałeś, teraz daj]. Długo oblewaliśmy sukces i umacnialiśmy przyjaźń polsko-radziecką – wtedy jeszcze miałem do tego zdrowie...

W ciągu kilkunastu dni wagony, załadowane wcześniej przy pomocy żołnierzy komsomolców, znalazły się w Płocku. Rozliczeniami zajął się dział zaopatrzenia Petrobudowy. Dowiedziałem się później, że rozliczać się trzeba było z polską centralą handlu zagranicznego. Bo to produkt polskiego przemysłu został „podarowany” polskim „druzjam” [ros., przyjaciółom].

Ta udana akcja rozwiała obawy dyrekcji, kadry inżynierskiej i załogi, że nasz patronat będzie miał tylko charakter propagandowo-polityczny. Po pierwszym kroku nastąpiło przełamanie lodów, potem zaczęła się już codzienna praca.

Kłopoty z terminową dostawą materiałów i urządzeń miała nie tylko Petrobudowa, ale także 24 firmy podwykonawcze, w tym takie giganty jak Mostostal, Beton-Stal, Elektromontaż, które musiały zapewnić sobie dostawy tysięcy wagonów materiałów budowlanych i konstrukcji, wielu kilometrów rurociągów, setek tysięcy detali niezbędnych do montażu instalacji.

Przed zaopatrzeniowcami kombinatu stały olbrzymie zadania, ustalony harmonogram budowy był napięty i każde opóźnienie dostawy, a tym samym budowy i montażu sprzętu, groziło niedotrzymaniem terminów uruchomienia produkcji. Plany dostaw nie były wypełniane, często na skutek złej pracy PKP.

Poprosiłem „Sztandar Młodych” i „Walkę Młodych”, by na swoich łamach zwróciły się o pomoc do wszystkich instancji zakładowych ZMS w kraju. Sztab patronacki wysłał listy do organizacji ZMS-owskich w zakładach, gdzie produkowano urządzenia dla Płocka. Młodzi inżynierowie, członkowie sztabu wyjeżdżali do tych zakładów na spotkania z młodzieżą, zwracając się bezpośrednio o pomoc w terminowym wykonaniu i dostarczeniu urządzeń i materiałów.

Wagony z dostawami dla Płocka nie mogły czekać. Zetemesowski sztab ekonomiczno-interwencyjny przy Komitecie międzyzakładowym ZMS powołał podobne sztaby przy dyrekcjach PKP. Na trakcjach, wagonach i rampach pojawiły się plakaty z hasłem „Zielona droga dla Płocka”. Stało się ono zawołaniem całego Związku Młodzieży Socjalistycznej; ułatwiało nam załatwienie wielu ważnych spraw. Brygady młodzieżowe działające w PKP usprawniały przebieg transportów z urządzeniami dla kombinatu. Powstawały – z naszej inicjatywy – wewnętrzne patronaty, na przykład w hucie „Bobrek”. Dzięki temu w terminie wykonano blachy dla huty „Ferrum”, która z kolei produkowała rury dla kombinatu. Gdy nie nadchodziły dostawy pospółki, pod kierownictwem Wojtka Karwowskiego wkraczał do akcji sztab ZMS. Mobilizowano dodatkowy transport rozładowywany przez brygady młodzieżowe.

W 14 zakładach, będących głównymi dostawcami urządzeń, i w biurach projektowych w całej Polsce pojawiły się filie naszego sztabu ekonomicznego. Ich zadaniem było terminowe dostarczanie dokumentacji. Działacze ZMS przy Mazowieckich Zakładach Rafineryjno-Petrochemicznych wystąpili do mnie z propozycją zorganizowania ogólnopolskiej konferencji młodych projektantów z biur projektowych. Wspólnie z organizacją ZMS z Biura Projektowego „Naf-

ta” w Krakowie powołaliśmy Komitet Interwencyjny Patronatu ZMS dla 27 takich biur.

Stwarzaliśmy klimat, który sprzyjał dobrej pracy. Patronat nabierał nowych kształtów. Zaniedbania, opóźnienia i ich przyczyny krytykowała prasa młodzieżowa, a szczególnie „Sztandar Młodych”. Częstym gościem w Białej był dziennikarz „Sztandaru” Andrzej Bajorek. Jego artykuł z 1962 roku (napisany wspólnie z M. Bieleckim) pod tytułem „Petrobigos”, zamieszczony na pierwszej stronie dziennika spowodował ogromne poruszenie na budowie i w instancjach centralnych. Andrzej był wzywany na dywanik do różnych komitetów partyjnych, gdzie starano się udowodnić mu niestosowność takiej ostrej krytyki. Zwołałem posiedzenie Komitetu Międzyzakładowego ZMS-u i sztabu patronatu, na którym potwierdziliśmy zasadność opinii zawartych w artykule. Jednocześnie zostałem zobowiązany do wystąpienia w podobnym duchu na, zwołanej przez Komitet Centralny partii, krajowej naradzie budownictwa z udziałem kierownictwa partii i rządu.

W Komitecie Centralnym ZMS odradzano mi zarówno krytyczne wystąpienie w stosunku do władz centralnych, jak i apelowanie do rządu, by bliżej zajął się sytuacją w Białej. Za pół roku miała popłynąć do Płocka ropa. Jeśli w porę nie usunie się przyczyn zaniedbań, pozostanie tylko hura- optymizm – myślałem. Nie chciałem zatem łagodzić przemówienia. Powiedziałem, że mam zobowiązanie w stosunku do płockiej młodzieży. Moją siedmiominutową mowę czytali i poprawiali różni ważni towarzysze z Komitetu Centralnego ZMS i Komendy Głównej OHP. Bali się bardziej niż ja. W końcu tekst został zatwierdzony. J.G. i T.R. dopilnowali, abym w czasie przerwy w obradach, mających miejsce na najwyższym piętrze przy ulicy Nowy Świat 6, jeszcze kilka razy sprawdził wystąpienie przed jego wygłoszeniem. Wreszcie nadeszła moja chwila! Gomulka siedział nadęty i wściekły. W pierwszej połowie narady usunął z mównicy dwóch dyskutantów.

Zacząłem mówić. Od pierwszej minuty słyszę poruszenie na sali i w prezydium. Nie lubi się tutaj krytyki! – pomyślałem. Mija dalszych pięć minut, gdy nagle Gomulka przerywa mi podniesionym głosem i mówi, że nie chce tego słuchać!

– Ja nie tylko do was mówię, towarzyszu Wiesławie, ale także do innych zgromadzonych na tej sali – bąknąłem zdenerwowany. – Chciałbym dokończyć.

– Chwileczkę – wtrąca się Cyrankiewicz – wczoraj na posiedzeniu rządu omawialiśmy te problemy i w zasadzie je znamy, na razie dziękujemy wam, towarzyszu.

Nic tutaj po mnie – myślę – i schodzę z mównicy. Koledzy z radia proszą mnie o egzemplarz wystąpienia, które później w całości ukazuje się w biuletynie i w młodzieżowych audycjach Polskiego Radia. Do końca narady nikt jednak

do mnie nie podszedł, żeby podtrzymać na duchu. Wszyscy myśleli zapewne, że do Płocka nie mam już po co wracać.

Powoli zbierały się nade mną chmury. Niedługo spotkam się z komisją kontroli partyjnej...

Na razie gorliwcy z władz partii ukarali mnie, obniżając rangę odznaczenia, o które poprzednio dla mnie wnioskowali – z Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski do Złotego Krzyża Zasługi.

W pierwszych latach budowy sztab ekonomiczno-interwencyjny zajmował się ponad tysiącem spraw, z których większość zakończyło się sukcesem. Dotyczyły one spraw socjalno-bytowych, jak na przykład utworzenia stolówek w hotelach robotniczych czy likwidowania nielegalnego handlu alkoholem.

Wymyśliłem akcję „Sygnał”. Nagłaśnialiśmy zagrożone terminy i sygnalizowaliśmy poważne zaniedbania. Czerwone, wycięte z blachy okrągłe tablice z napisem „Alarm” były umieszczane na budowach. Wisiały do momentu zlikwidowania przyczyny, z powodu której się tam znalazły. Stanowiły skuteczny bodziec do usuwania zaniedbań. Obok widniały hasła o treści: „Nie bądź obojętny na nasz ‘Sygnał’”, „Fuj! Ale u was bałagan”, „ZMS tępi marnotrawstwo i niechlujstwo na budowie – pomóż nam w tym!”, „ZMS-owcy, patronat zobowiązuje – dajmy przykład rzetelnej pracy!”. Na wezwanie dyrekcji, skutecznie mobilizowaliśmy do usuwania awarii. W tym celu organizowaliśmy brygady młodych ludzi, kierując je wszędzie tam, gdzie sytuacja wymagała natychmiastowej interwencji, często w bardzo trudnych warunkach. Opracowaliśmy sprawny system porozumiewania się i szybkiego dojazdu.

Jedną z takich akcji, przeprowadzoną podczas betonowania destylacji rurowo-wieżowej, opisał w książce *Płockie płomienie* Rajmund Gersz, wówczas majster w „Betonstalu”:

(...) „Oni chyba też tu przed chwilą przyjechali i – poddani złemu urokowi fatalnej organizacji – wydają się skamieniać, patrząc w dół z krawędzi wykopu. Naraz odrywa się z ich grupy sekretarz KZ ZMS i usiłuje, jak się orientuję, zapobiec czemuś, czego się już od pewnego czasu obawiam. Znam jego energię i inicjatywę w podobnych wypadkach, powinien być budowląncem – powiedziałem mu kiedyś. Zna zasady dużej gry. Ściągają wszyscy, kto żyw, marynarki i chwytają za łopaty. Dodatkową, naprędce zbitą rynną rzucają sztywniejącą masę do szalunków. Dobrze i to.(...) Nie podchodzę nawet do nich, bo na moje nieme pytanie sekretarz macha ręką z wściekłą rezygnacją. Wiem, co myśli, więc wsiadam do wozu i wracam do siebie”.(...)

W końcowej fazie tej budowy rozpoczęła się słynna koncentracja; skierowano tu wszystkie siły. Do walki z czasem stanęły najlepsze brygady zetemesowskie – Piechowiaka, Zielonki, Trybuchowicza, Chmiela, Szakury. Przez wiele tygodni pracowano nawet po szesnaście godzin dziennie. To był szturm!

W sierpniu 1964 roku popłynęły pierwsze produkty: benzyna, olej napędowy i olej opałowy. Pół roku wcześniej, w grudniu 1963 roku – na uroczystości oddania do użytku polskiego odcinka rurociągu „Przyjaźń” – Władysław Gomułka mówił: „Należy podkreślić, że realizacja tej wielkiej budowy w stosunkowo krótkim czasie była możliwa także dzięki poważnej organizatorskiej i politycznej pracy, między innymi ZMS-u. Problemy budowy stanowiły treść codziennej pracy organizacji, zarówno u inwestora, jak i w przedsiębiorstwach wykonawczych. Poważną część budowniczych rurociągu stanowiła młodzież i Związek Młodzieży Socjalistycznej objął patronat nad budową. Dzięki temu twórczy wysiłek i entuzjazm młodzieży został skierowany do wykonania trudnych zadań budowy”.



Władysław Gomułka odznacza organizatora KC ZMS Ryszarda Strońskiego

Płock stopniowo zmieniał swoje oblicze: powstające sklepy, zakłady i lokale usługowe, hotel „Petropol” nadawały miastu nowoczesny charakter. Nowe osiedla mieszkaniowe – „Kolegialna”, „Dobrzyńska” i planowane, „Patronatu ZMS” – zachęcały do zamieszkania tu na stałe.

W 1962 roku odwiedził Płock Julian Tokarski, wicepremier PRL. Towarzyszyli mu przedstawiciele władz miasta i powiatu. Obecni byli naczelnicy dyrektorzy przedsiębiorstw budowlanych i architektki.

– Słyszałem, że powstaje inicjatywa budowy osiedla młodzieżowego. Chyba nie będziecie budować tak drogo, jak na tej Kolegialnej. Byłem niedawno w Tarnobrzegu, tam robią to taniej – mówił dalej – jeden ustęp na korytarzu dla kilku rodzin na piętrze! Tak trzeba, jeszcze nas nie stać na luksusy!

Nie wytrzymałem!

– A wy, towarzyszu, razem z towarzyszem Cyrankiewiczem chodźcie do jednej ubikacji na piętrze? – palnąłem.

– Kto to powiedział, który z was? – rozglądał się nerwowo. Spojrzawszy na mnie, zabełkotał coś niecenzuralnie.

Nagle jednak przestał interesować się budową i pojechał na poczęstunek. Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego Henryk Szafrąński poprosił wtedy, żebym już nie rzucał się premierowi w oczy, od niego bowiem będzie zależała dalsza dotacja mieszkaniowa.

Inwestor oraz kierownictwo Petrobudowy i jej naczelny dyrektor Antoni

Rogucki, którego w przyszłości odznaczono Orderem Budowniczego Polski Ludowej, nie przejęli się uwagami premiera Tokarskiego i zezwolili młodzieży przystąpić do budowy osiedla Na Skarpie „B”, które od razu zostało nazwane „Osiedlem Patronatu ZMS”.

Powstała budowa młodzieżowa z zetemesowskim kierownictwem i załogą. Dyrektor Zakładu Budownictwa Mieszkaniowego Feliks Brudziński był gorącym zwolennikiem przedsięwzięcia. Komitet Międzyzakładowy ZMS zaproponował na kierownika tej budowy magistra inżyniera Kazimierza Kokoszczyńskiego. W skład załogi oddelegowano młodych robotników i brygady pracy socjalistycznej. Jedną z pierwszych była brygada Ksawerego Ludwiczaka, przewodniczącego 30-osobowej grupy działania ZMS. Ksawery był zresztą pierwszym mieszkańcem tego osiedla.

Po wielu latach od tego czasu władze, które nazwa osiedla związana z patronatem ZMS-u kłuła w oczy, zdecydowały o usunięciu z budynków tablic pamiątkowych. Nie uda się jednak całkowicie zniszczyć pamięci o tamtych wydarzeniach. Pod jednym z domów jest bowiem wmurowany kamień węgielny i – być może – po wielu latach ktoś odkryje, że w latach sześćdziesiątych XX wieku domy te powstały dzięki członkom Związku Młodzieży Socjalistycznej.

Wracam do tego czasu i, choć częściowo, próbuję oddać klimat wielkiego początku, który coraz to skutkował jakimiś nowościami. W Płocku na przykład pojawiły się wówczas radzieckie zegarki naręczne: „Rodina” – zegarek-automat na 22 kamieniach, „Poliot” – zegarek na 17 kamieniach z automatycznym kalendarzem wskazującym dni miesiąca, „Sygnał” – zegarek-budzik na 18 kamieniach, o wymiarach zegarka naręcznego. Wszystkie z roczną gwarancją! Kupiłem „Sygnał”, który zainspirował mnie do zorganizowania akcji pod tą samą nazwą.

Rada zakładowa Związku Zawodowego Budowlanych rozdaje ulotki o następującej treści:

„Chcesz ułatwić sobie dojazd do pracy w kombinacie z okolic, gdzie nie kursuje autobus? Nie stać cię na motor? Możesz się posłużyć rowerem. W tym celu Rada Zakładowa Petrobudowy przyjmuje zamówienia na rowery produkcji radzieckiej w cenach: męskie po 850 zł, damskie po 900 zł. Nabywca otrzymuje rower po złożeniu zamówienia. Płatność jest rozłożona na sześć miesięcy. Do ceny roweru nie są doliczane żadne odsetki i niepotrzebny jest weksel”.

Takie wiadomości były bardzo krzepiące, optymistyczne. Zegarki poganiały nas do roboty, a rowery pomagały ją „dopadać”. Nic więc dziwnego, że świat był coraz bliżej.

Na biurku znajduję meldunek: „Informujemy Sztab Ekonomiczno-Interwencyjny Patronatu ZMS o wykonaniu naszego zobowiązania do zakończenia budowy masztu telewizyjnego stacji przekątnikowej w Płocku. Gotowa konstrukcja masztu została złożona na placu przy ulicy Bielskiej 52 w Płocku.

Podpisano – Załoga Płockiego Przedsiębiorstwa Robót Mostowych. Prośba: dopilnujcie, żeby nie zmarnowali naszego wysiłku!”. Dopilnowaliśmy! Zbliżał się Festiwal Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu. Będzie można oglądać!...

Inne wspomnienie, tym razem z zaprzyjaźnionego kraju. Pierwszego maja 1963 roku główną ulicą Karłowych Warów maszerują mieszkańcy, skandując hasła, podpowiadane przez spikera, na cześć przywódców Komunistycznej Partii Czechosłowacji i czechosłowackiego rządu oraz wiecznej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. Stoję na trybunie honorowej z trzema kolegami, budowniczymi Kombinatu Petrochemicznego w Płocku. Zostaliśmy zaproszeni przez załogę budującego się nieopodal Bratysławy Kombinatu Petrochemicznego Slovnaft w celu wymiany doświadczeń w pracy młodzieży na naszych budowach. Jest piękna pogoda, z wysokości trybuny oglądam otaczające nas wzniesienia i stylową secesyjną zabudowę. Kolorowy pochód młodzieży szkolnej, sportowców i junaków jakoś nie pasuje do tego otoczenia. Czerwone flagi i takiegoż koloru gwiazdy zdecydowanie nie harmonizują z estetyczną architekturą miasta. Wszystko jest jakieś niewiarygodne, sztuczne i nadęte. Z zamyślenia budzi mnie głos spikera, który oznajmia, że Karłowe Wary mają zaszczyt powitać delegację budowniczych polskiej Petrochemii. Rozlegają się oklaski, pionierzy podbiegają i wręczają nam kwiaty. Robi się sympatycznie, machamy do maszerujących ludzi, uśmiechamy się. Po kilku minutach podchodzi do mnie młody człowiek i prosi, abym w imieniu delegacji polskiej młodzieży pozdrowił przez radio młodych czechosłowackich budowniczych, powiedział kilka ciepłych słów do defilujących i wzniósł okrzyk w związku ze świętem klasy robotniczej całego postępowego świata.

Zgadzam się, nie wypada odmówić, w dodatku w takim dniu. Słyszę zapowiedź, że z radością zostanie mi udostępniony mikrofon. Biorę go do ręki i wygłaszam bojowe minutowe przemówienie. Na zakończenie wykrzykuję (po czesku): „Niech żyje 1 maja!”. Rozlegają się brawa, stojący w pobliżu ściskają mi dłonie, poklepują. Po chwili jakiś niedogolony, niechlujny dryblas chwytając mnie za obie ręce i stanowczym głosem prosi, abym zszedł z nim z trybuny i udał się za kotarę koło stanowiska radiowego. Trochę się ociągam, wyjaśnia (rozumiem go piąte przez dziesiąte), że chodzi o moje przemówienie. Boję się, że powiedziałem coś nie tak, nie „po linii i na bazie”, i że mogę mieć kłopoty. Delikatnie wepchnięto mnie, popychając i ciągnąc zarazem, do pomieszczenia za kotarą, posadzono za jakimś prowizorycznym stołem. Poczuję się słabo, wydawało mi się, że za chwilę osunę się na ziemię. Podtykają mi jakiś papier i długopis. „Podpiszcie” – namawiają.

– A co to jest? – pytam.

– To 80 koron za waszą mowę do radia.

Zdębiałem, ale chętnie podpisuję! Jak mi ulżyło! Rozluźniony mówię, że chętnie jeszcze raz wystąpię i przemawiać mogę dłużej! Wszyscy się śmieją!

Pochód dobiega końca. Niedogolony dryblas informuje, gdzie jest najbliższa piwiarnia. Rozstajemy się w radosnym nastroju. Zapraszam moich kolegów na piwo. Nazajutrz dokładam do zarobionych, swoich 10 koron, i kupuję brązowe tekstylne półbuty. Wystarczyły na dwa letnie sezony. Najczęściej paradowałem w nich na płockich Tumach, rozmyślając nad ożywieniem i urozmaicheniem działalności patronackiej.

Organizacja ZMS na budowie rozwijała się liczebnie i jakościowo. Zebrania odbywały się bezpośrednio po pracy lub w czasie przerw śniadaniowych. Ludzie początkowo nieufnie słuchali moich wystąpień. Każde z zebrań wносиło jednak coś nowego, odkrywczego. Wszyscy się uczyli. Ja również ociosywałem swój charakter; życie i przyszłość tych młodych, prostych robotników stawały się dla mnie ważne. Czas uciekał, terminy ponaglały. Informowałem o tym ogromny napis: „ZMS przypomina, że do uruchomienia kombinatu pozostało tylko ... dni” (codziennie zmieniano liczbę informującą o terminie zakończenia budowy).

Sprawiała mi satysfakcję praca z młodymi ludźmi, którzy przyjeżdżali na budowę w dobrej lub złej wierze – żeby zarabiać na życie albo też przede wszystkim ukrywać się przed wymiarem sprawiedliwości. Nawróconych grzeszników nie brakowało. Wciągałem ich do pracy we władzach ZMS-u czy też w grupach działania na budowach. Szczególną opieką otaczałem tych z domów dziecka oraz byłych więźniów. Ta praca dla niejednego z nich oznaczała powrót czy też po prostu wejście do społeczeństwa, w którym rządzi prawo.

W składzie Komitetu Zakładowego było czterech kolegów „po przejściach”. Tylko ja znałem ich przeszłość. Murarz K.L. i spawacz S.P. założyli rodziny, wychowali dzieci i doczekali się wnucząt. Magister J.S. popadł niestety w chorobę alkoholową i zmarł w samotności gdzieś na Mazurach. L.G. w 1963 roku ożenił się i wyjechał w Bieszczady, tam osiadł i zajął się działalnością hotelarsko-turystyczną.

Wracam do zebrań. Jest przerwa śniadaniowa, uczestniczę w zebraniu grupy ZMS w pakamerze, obok budującej się wielkiej hali dla Petrochemii. Sekretarz grupy, zbrojarz Janek, informuje o decyzji kierownictwa w sprawie rozebrania resztek starej, krytej strzechą, chaty, która przeszkadza w postępie budowy. Załoga prosi o powstrzymanie rozbiórki, bo na chałupie jest bocianie gniazdo z piskletami.

– Prosimy cię, żebyś załatwił tę sprawę z dyrektorem naczelnym i poprosił go o zgodę na postawienie wieży, na którą przeniesiemy gniazdo, by na przyszły rok bociany powróciły, co dobrze będzie wróżyć nam i kombinatowi.

I jak tu zignorować taki sentyment chłopaków, którzy na budowę przyjeżdżają z okolicznych wsi i mają przekonanie, że boćka i jego siedziby ruszyć po prostu nie wolno? Uzyskałem zgodę. Zbudowano wieżę. Jeszcze kilka lat wśród płataniny rur bociany wychowywały tam nowe pokolenia.

W innym miejscu, przy budowie wysokiego komina pracowała prężna i energiczna młoda załoga. Sekretarz grupy, Franek poprosił mnie, żebym zaraz po pracy, na styku dwóch zmian, przyjechał do nich na uroczystość, a jaką, sam zobaczę na miejscu.

Zebranie otwarte z udziałem kierownictwa tego fragmentu budowy zagałę Franek. Powiedział, że przeprasza za podstęp, ale załoga zwraca się z prośbą do sztabu patronatu ZMS o spowodowanie, by w końcu Powszechna Spółdzielnia Spożywców (PSS) zadbała o zaopatrzenie kiosku, w którym prawie zawsze brakuje mleka, chleba, masła, żółtego sera, kaszanki i salcesonu. Przyrzekłem, że zajmę się sprawą, ale poprosiłem członków załogi, by sami także wywarli jakiś nacisk na władze handlowe. Zebrani postanowili wybrać komisję, która zaplanuje działania „w celu usunięcia powstałych braków w zaopatrzeniu i by wesprzeć w ten sposób sztab patronatu ZMS”. Na zakończenie zebrania istotnie odbyła się mała uroczystość w związku z zakończeniem budowy komina, na którego szczycie zawieszono ogromny emblemat ZMS. Wyróżnieni otrzymali nagrody rzeczowe.

Nazajutrz zostałem wezwany do Komitetu Powiatowego, gdzie dokładnie przepytano mnie o przebieg wczorajszego zebrania. Zarzucono mi wprost, że byłem inicjatorem działania, które spowodowało, że młodzi robotnicy odrutowali kilkakrotnie kiosk spożywczy w taki sposób, że sprzedawczyni nie mogła z niego wyjść.

Miałem już wpadkę za opowiadanie szmoncesów żydowskich oraz za postawienie się dyrektorowi naczelnemu Petrochemii, Nowakowi. A wpadka za „strefę bezklozetową” z J. Tokarskim? I teraz to!

Przewodniczący grupy ZMS, Franek, zapytany o powód takiego działania, odpowiedział, że taka była uchwała zebrania otwartego, na którym był obecny organizator Komitetu Centralnego. Jeśli kiosk nie zostanie zaopatrzony do godziny 15, to on, Franek, wejdzie na komin i będzie na nim siedział, aż sprawa będzie załatwiona.

Pędzę na budowę.

– Franek, na litość boską, dziewczyna cię oskarży i nie wyjdiesz z więzienia – mówię.

– Nie denerwuj się, nie zaskarży, tylko nie gadaj nikomu, to moja narzeczona – śmieje się serdecznie, aż mu kask na głowie podskakuje. Śmiech udziela się całej grupie, która zebrała się w związku z moim przyjazdem. Dziewczyna w kiosku też się śmieje, tym bardziej, że widzi zbliżający się po wertepach żuk PSS-u z zaopatrzeniem.

Po rozmowie w Urzędzie Bezpieczeństwa dali Frankowi spokój, a prezes PSS dostał upomnienie partyjne.

Do Białej dojeżdżałem ciężarówką, wywrotką bądź pikapem. Nieprzemakalny płaszcz i wysokie gumowe buty pozwalały mi w czasie deszczu dojść po wydeptanych ścieżkach do najodleglejszego miejsca tej 800-hektarowej budowy.

Gdy było sucho, dojeżdżałem rowerem. Później zakładowy ZMS, którego byłem jedynym pracownikiem na etacie (pobory wypłacano mi w Komitecie Centralnym związku) dorobił się garbatej warszawy z demobilu. Pewnego razu, gdy nią jechaliśmy, na drodze zatrzymał nas chłop, który poprosił, by go pilnie zawieźć tą „muzoliną” do lekarza. Uśmialiśmy się z tej trafnej nazwy. To rzeczywiście było połączenie muzealnego obiektu z limuzyną.

W 1963 roku została wydana książka Celiny Kulik pod tytułem *Mazowieckie Preludium*. Oto fragment dotyczący początku budowy:

„To spotkanie z Ryszardem Strońskim utkwilo mi na długo w pamięci. Dałabym głowę, że był nawet nieogolony. Sprawiał w ogóle wrażenie człowieka zaniedbanego, z tą szarą barwą twarzy, jaką dają niedospane noce, z zaczerwienionymi oczami. Całości wrażenia dopełniała nieświeża, pomięta koszula. Wskazał na wypchaną skórzaną teczkę, którą postawił na podłodze, u nóg, i powiedział:

– Proszę, to całe moje biuro. Tu jest wszystko: korespondencja, sprawy do załatwienia, pisma – wszystko.

To „wszystko” brzmiało jak koncentrat żalu, zawodu... Czy ja wiem zresztą? Czulałam przez skórę, że coś tu nie gra.

– Nie macie tu nigdzie kawałka pomieszczenia, kąta? (...) – zapytałam.

– Ależ skąd! Z telefonu korzystam w komitecie. Ale już pytali, kto za to będzie płacił. Maszynistka pisze korespondencję z łaski, bo niby dlaczego ma to robić. Mam wrażenie, że wielu kierownikom tutejszych przedsiębiorstw też się dałem we znaki. Ciągle przymawiam się o środek lokomocji, o miejsce w samochodzie. Przecież budowa rurociągu zajmuje ogromny obszar. W Płocku też huk roboty. Organizacja ZMS-owska dopiero w załączku. Jest nas niewielu, wszędzie trzeba być; ciągle jakieś zebrania organizacyjne, narady, konferencje w dyrekcji w sprawie hoteli robotniczych, organizacji hufców pracy. W Radzie Narodowej – sprawa klubu młodzieżowego. Mamy taki upatrzonej lokal...

Mówi tak ciurkiem jeszcze długo, nazywa, jak w rejestrze, wiele spraw. Sama się zastanawiam, co ważniejsze: hotel czy klub młodzieżowy. Teraz, w Płocku, gdy coraz to mnóstwo ludzi przyjeżdża. (...)

– Jak to jest właściwie – pytam – czy nikt z Komitetu Centralnego ZMS nie pomaga wam w sensie chociażby technicznym? No, w zdobyciu kawałka lokalu?

Ryszard uśmiecha się.

– Wiecie, jak to jest. Owszem, interesują się, gdy przyjeżdżam do Warszawy. Czasem ktoś tu wpadnie, wysłucha, zapyta: „Jak leci?” i powie parę pokrzepiających słów: „Radź sobie, przecież po to tu jesteś”.

– A jak tam ze sprawami osobistymi (...) – macie już jakiś pokój? Co z rodziną, czy już przyjechała?

– Ech, gdzież tam. Mieszkam kątem, gdzie się da.

– Czemu nie zwróćcie się o pomoc do sekretarza, do komitetu?

– Jeszcze nie. Ja tu jestem nikim. Jak coś zrobię, sami mnie zauważą. Chcę zapracować na kawałek uznania; no mniejsza z tym, na razie przebijam, wytrzymam. Gdy organizacja okrzepnie, gdy będzie o nas słyhać – sądzę, że mi coś przydzielą.

– A wiecie, że na wschodnim odcinku rurociągu zgłosiło się 70 chłopców do ZMS? (...)

– Organizujemy (...) sztab interwencyjny. Zamierzamy prowadzić działalność interwencyjną, zwłaszcza w dziedzinie dostaw dla budowy. (...) Sztab (...) pomoże też w sprawach kierowania na budowę kwalifikowanych młodych robotników... No i w ogóle, sporo pracy...”.

Nie mniej pracy było w 1963 roku, kiedy to organizacja liczyła już 1600 członków. Dwudziestoosobowy Komitet Międzyzakładowy, w którego składzie było 15 magistrów i inżynierów koordynował pracę sześciu komitetów zakładowych, czterech wydziałowych, jednego hufcowego OHP (Ochotniczy Hufiec Pracy), dwóch szkolnych i jednego uczelnianego.

A zaledwie w grudniu 1960 roku, na pierwszym walnym zebraniu powołano Komitet Zakładowy ZMS, którego zostałem I sekretarzem. Na moich zastępców wybrano mgr. Henryka Gołębiowskiego, mgr. inż. Wiesława Dutkiewicza i inż. Henryka Janczewskiego. Do składu pierwszego komitetu weszli ponadto: mgr Robert Lipowski, inż. Tadeusz Markiewicz, kilkanaście innych osób z wyższym wykształceniem oraz kilku robotników – spawaczy, murarzy, zbrojarzy.



Pierwszy Komitet Zakładowy ZMS powołany w 1960 roku (autor ósmy z lewej)

Było co robić; brakowało butów gumowych, mleka, pasztetowej, kaszanki i... stołówki. ZMS w miarę swoich możliwości załatwiał sprawy socjalne, organizował zespoły artystyczne, biblioteki i doksztalcenie. Ogłaszaliśmy ogólnopolskie zaciągi ZMS-owskie, dzięki którym na przykład w 1962 roku zgłosiło się do pracy przy budowie kombinatu 180 poszukiwanych fachowców: murarzy, betoniarzy, spawaczy, montażyistów, kierowców itp. Wykorzystując istniejące struktury edukacyjne, organizowaliśmy kursy zawodowe. Już w 1962 roku ukończyło je około 200 młodych ludzi, w tej liczbie 40 spawaczy i 100 kierowców. Stworzono Ochotniczy Hufiec Pracy ZMS, w którym szkolili się fachowcy budowlani wszystkich niemal specjalności, głównie zaś wykończeniowych. Wielu nauczycieli nieraz w trudnych warunkach pomagało junakom w ukończeniu szkoły podstawowej. Świetnymi wychowawcami i organizatorami pracy młodzieży w tamtych pionierskich czasach byli komendanci hufców pracy ZMS: T. Fabiszewski, R. Rutkowski, M. Wolski i A. Sapa.

Moim zdaniem, najważniejsze było zapewnienie tym młodym ludziom dobrej przyszłości. Wtedy mogli tylko machać łopatą, często nie mieli nawet ukończonej szkoły podstawowej. Czym się zajmą po ukończeniu budowy? Kim będą?

Komitet Międzyzakładowy ZMS wysyłał chętnych z okręgu płockiego do szkół zawodowych na terenie całego kraju. Powstawały także szkoły na miejscu, głównie z myślą o młodych mieszkańcach Płocka oraz o dojeżdżających codziennie z wiosek położonych w promieniu 50 kilometrów, a pragnących zdobyć zawód, który dawałby im perspektywę pracy w Petrochemii.

Objechałem kilka okolicznych wsi, zachodziłem do domów tych robotników, którzy nie ukończyli siedmiu klas, rozmawiałem z ich żonami i dziećmi, pytałem, co myślą o swojej przyszłości, gdy robota na budowie się skończy.

– Nie wiadomo, panie – mówili – ale co mamy na to poradzić?

Wpadłem na pomysł, by stworzyć tym ludziom szansę, początkowo często nawet wbrew woli ich samych. Po robocie wsiadali przecież do rozklekotanych autobusów, które ich rozwoziły po wsiach. Po drodze często piwko i wino „patykiem pisane”, wieczorem obrządzenie chudoby i sen do... 5 rano. Uczyć się nie mieli zamiaru, było im wszystko jedno!

Po zlokalizowaniu kilkudziesięciu wsi, z których z każdej dojeżdżało co najmniej 15 robotników, postanowiliśmy zorganizować w miejscowych szkołach kursy dla dorosłych. Władze oświatowe nie były przygotowane na taki wielki wysiłek organizacyjny i kadrowy. Trwały w przekonaniu, że nie namówimy tych ludzi do nauki, a właśnie to było warunkiem pomocy. Jak zatem zabrać się do dzieła?

Przy Komitecie Międzyzakładowym ZMS powołałem specjalną komisję do przeprowadzenia rozmów z ewentualnymi przyszłymi kursantami. Z 400 osób, z którymi komisja rozmawiała bezpośrednio na budowach przez kilkanaście dni, około 280 osób rozpoczęło naukę. Największy odzew był na list do matek, żon i dzieci robotników, dojeżdżających do pracy w Petrobudowie i przedsiębior-

stwach podwykonawczych. W liście tym (wysłaliśmy ich ponad 2000) bardzo otwarcie pisałem, że budowa kiedyś się skończy, potrzebni będą fachowcy, dla półanalfabetów miejsca nie będzie. W imieniu ZMS-u namawiałem serdecznie, by adresaci skłonili swoich bliskich do podjęcia nauki. Obiecywaliśmy pomoc. Na wniosek ZMS-u komisja koordynacyjna związków zawodowych przy Petrobudowie dofinansowała zakup książek i zeszytów.

Miałem trochę kłopotów – robotnicy przychodzili i narzekali, że przynajmniej do dzieci nie trzeba było pisać, bo „ino wstyd przed nimi”. Ale na naukę zdecydowało się bardzo wielu. W ciągu trzech lat 700 osób skończyło szkołę podstawową.

Ogromną wagę przywiązywaliśmy do stworzenia i zorganizowania całego systemu kształcenia zawodowego na wszystkich poziomach. Wiedziałem, że to bardzo trudne zadanie. Wspomniałem już, że do pracy w Petrobudowie i przedsiębiorstwach podwykonawczych zgłaszało się wielu pracowników spośród chłopów regionu płockiego, którzy nie mieli żadnego przygotowania do pracy w przemyśle. Trzeba było uczyć ich nie tylko wykonywania prac na budowie, lecz także stworzyć im perspektywę stałego zajęcia. Powołaliśmy w związku z tym pierwszy na Mazowszu Uniwersytet Robotniczy ZMS, który od samego początku zyskał wielką popularność – już w pierwszym półroczu roku szkolnego 1960/61 około 1200 osób korzystało z różnych form działalności tej placówki. Zdobyli uprawnienia wykwalifikowanego murarza, betoniarza, operatora sprzętu, lastrykarza, posadzkarza, monter. Dalszych 1500 osób w ciągu kolejnych trzech lat zdobywało kwalifikacje na 48 kursach.

Głównie dzięki staraniom organizacji patronackiej, w 1963 roku utworzono w Płocku filie Politechniki Łódzkiej i warszawskiej SGPiS (dziś SGH). Zetemesowska „muzolina” dowoziła wykładowców z ośrodków akademickich.

Za wszystkie te działania Wojewódzka Rada Narodowa przyznała Komitetowi Międzyzakładowemu ZMS złotą odznakę „Za zasługi dla województwa warszawskiego”.

W pierwszych miesiącach budowy kombinatu płockiego nie było ani pieniędzy, ani pomieszczeń, żeby rozwijać życie kulturalne. Miejska kawiarnia „Teatrarna” i jedyna sala widowiskowa w kinie „Przedwiośnie” to było stanowczo za mało! Nie przesadzę, jeśli powiem, że było ciemno, głucho i smutno. Ściągająca do Płocka młodzież domagała się instytucji kulturalnych.

Niełatwe zadanie zorganizowania życia młodzieży w czasie wolnym od pracy wziął na siebie ZMS. Wystąpiłem o pomoc finansową do Komitetu Centralnego związku. Obiecano przekazać dotację w wysokości 75 000 zł pod warunkiem stworzenia załączków jakiejś działalności kulturalno-rekreacyjnej. Patronat to nie tylko współzawodnictwo pracy, produkcja, dostawy, sztab interwencyjny, akcja „Sygnał”, „Alarm” czy „Zielona droga dla Płocka”. Patronami byli przecież młodzi ludzie, pełni życia, potrzebujący kulturalnej rozrywki, zdrowego wypoczynku, sportowej rywalizacji.



Kiedy w pierwszej połowie 1961 roku przydzielono mi pokój z kuchnią na powstającym osiedlu „Kolegialna”, łatwiej było mi spotykać się z zetemesowskim aktywem. Na jednym z zebrań przyjęliśmy jednomyślną uchwałę o powołaniu klubu ZMS i zorganizowaniu I spartakiady budowniczych kombinatu. Zdecydowałem, że wystąpimy o lokal do burmistrza, zaznaczając, że organizacja otrzyma na ten cel dotację z Warszawy.

Zaproponowałem nazwę dla klubu – „Marabut”. Nie zgadzano się na nią. Argumentowano, że jest niepoważna. Inni zgłaszali: „Przyjaźń”, „Kombi”, „Patronat”, a nawet... „Rura”. Ta ostatnia propozycja prowokowała do żartów. Może bym ją nawet zaakceptował, ale byłem przywiązany do mojego pomysłu. Nikt nie chciał przystać na jakiegoś tam afrykańskiego ptaka. Obecni na spotkaniu zdecydowanie zażądali, abym wreszcie powiedział, skąd mi on... wleciał do głowy. Podniosłem zatem do góry musztardówkę i zaproponowałem, abyśmy wypili za klub, który bez wątpienia musi nosić nazwę „Marabut”: MAzowiecka RAfineria w BUdowie. Radości nie było końca! Do rana świętowaliśmy wybór...

Jeszcze w tym samym roku klub rozpoczął działalność. Ogromny wkład w jego uruchomienie wnieśli Kazik Kokoszczyński – kierownik budowy osiedla „Patronatu”, Włodek Zbrozczyk, Ferdek Kukula, Renusia Piechowicz, przewodnicząca Klubu Młodych Radnych przy MRN w Płocku, Maciek Świdorski, późniejszy I sekretarz Komitetu Międzyzakładowego ZMS, jeden z kierowników „Marabuta” i wielu innych.

Wspomnę o samej uroczystości otwarcia placówki. Atmosfera była charakterystyczna dla czasów tak zwanej „walki o Płock”. Wyjątkowo zbratani ludzie nie zwracali uwagi na ceregiele.

Kiedy na inaugurację zaprosiliśmy przedstawicieli władz, okazało się, że brakuje wstęgi. Kazik z Włodkiem błyskawicznie postarali się o rolkę papieru toaletowego. Rozwinęli ją na odpowiednią długość i, trzymając prowizoryczną wstęgę przed wejściem do klubu, dawali znaki, abym zaprosił gospodarzy miasta do jej przecięcia, co natychmiast zrobiłem, podając nożyce. I sekretarz Komitetu Miasta i Powiatu partii I.Ł. i przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej Henryk Białczyński przecięli ją z humorem, jakby była z jedwabiu. Wszyscy bawili się wesoło.

Teraz życie młodzieży skupiało się głównie w „Marabucie”. Tu powstawały programy i rodziły się nowe inicjatywy, były organizowane imprezy integracyjne dla rodzin budowniczych kombinatu. Wielkim powodzeniem cieszył się zespół artystyczny, który dawał występy dla załóg w nowo powstających halach produkcyjnych lub w plenerze.

Budowniczowie w większości pochodzili z okolicznych wiosek, gdzie, poza kinem objazdowym, które zjawiało się raz na miesiąc, raczej nie mieli okazji oglądać aktorów na scenie czy posłuchać muzyki na żywo. Realistycznie opowiadał o tym w swojej książce Rajmund Gersz (był wtedy majstrem w Betonstalu, na tym koncercie siedziałem obok niego):

„Po pierwszych pogłoskach, że w najbliższym czasie na budowie odbędą się występy, ludzie zwracali się do nas z powątpiewaniem:

– Panie, tu, na robocie – występy?

– To we wsi, jak pamiętam, raz czy dwa coś pokazywali w remizie, ale tutaj?

– Czy to źle?

– Kto mówi, że źle? Ale nie chce się wierzyć.

Jeszcze przed dwunastą dopytywali się z odrobiną obawy, czy będzie ten „teatr” na pewno? Będzie, będzie!

Okolo południa stanowiska pustoszeją. Ludzie wychodzą ze wszystkich zakamarków i zdążają w jednym kierunku. Duża hala nie może pomieścić wszystkich. Naprędce pokładzono deski na pustakach i ławki były gotowe. W ten sam sposób zaimprovizowano scenę. Robotnicy zajmowali miejsca, zaczynając od końca. Pozdejmowali czapki, odkrywając białe łysiny. Ludzi przybywało coraz więcej. Rozglądałem się po wszystkich i szukałem Kuśmiera. Gdy kazałem mu przyjść na występ, przerwał na chwilę robotę, wyprostował plecy i powiedział:

– Panie, dotąd żyłem i nie widziałem żadnych artystów, to będę żył i dalej. Co mi tam jakieś śpiewanie? Zarobię, to sobie wtedy sam zaśpiewam.(...)

Wzruszył ramionami i splunął w rękę, zabierając się do roboty.

Rozglądałem się dalej. Nie było go. (...) Program się rozpoczął. Młodzieżowy zespół zbierał po każdym numerze rzesiste oklaski. Wszystkim podobał się śpiew, charakterystyczne tańce, monologi w stylu sołtysa z Chłapkowic. Hala była nabita po brzegi. Ci, dla których zabrakło miejsca na ławkach, powychodzili na rusztowania, na wysoką rampę, stali stłoczeni głowa przy głowie. Na końcu ... przycupnął na ceglach Kuśmiera. Muzyka widocznie zwabiła i jego. Słuchał uważnie, śmiał się głośno z innymi z dowcipów opowiadanych przez konferansjera. Ludzie po każdym numerze żywo reagowali. Zapomnieli na chwilę, że po przyjeździe do domu trzeba iść w pole, zapłacić ratę za nowe meble, zaprowadzić krowę do weterynarza, bo nie chce żreć...

Program się skończył. Nikt nie ruszał się z miejsc. Wszyscy chcieli, by pokazano im jeszcze coś. Dopiero po bisie ostatniej piosenki niechętnie zaczęli wstać i usuwać ławki. Cóż, skończyło się i trzeba wracać do roboty. (...) Od tego czasu długo powtarzano sobie na budowie fragmenty zasłyszanych dowcipów”.

Już w 1961 roku z mojej inicjatywy miała miejsce I letnia spartakiada budowniczych kombinatu. Od tego momentu odbywała się dwa razy w roku – zimą i latem. Cieszyła się zawsze dużym zainteresowaniem i skupiała setki zawodników. Każdego roku na Mazurach były organizowane kilkudziesięciuosobowe obozy wypoczynkowo-szkoleniowe dla młodzieży. ZMS-owcy pomogli także stworzyć nad Wisłą przystań klubu „Budowlanych” i wyposażyć w sprzęt klub żeglarski „Morka”. Komitet Międzyzakładowy ZMS urządzał wycieczki zagraniczne: do ZSRR, NRD, Czechosłowacji i na Węgry. Zorganizowałem wymianę brygad młodzieżowych między kombinatami Slovnaft w Czechosłowacji, Schwedt w NRD i Petrochemią w Płocku.

Niełatwo opisać wszystkie aspekty tak skomplikowanego przedsięwzięcia, którym w latach 1960–1964 zajmowałem się w Płocku, a któremu na imię było: Patronat ZMS nad budową Petrochemii i rurociągu „Przyjaźń”. Tamte lata wspominam jako najpiękniejsze w życiu.

Nie było nudy. Na wielkiej budowie zawsze robiłem coś po raz pierwszy. Zarażałem młodzież niekonwencjonalnym sposobem działania, korzystałem ze wszystkich dobrych rad, nie byłem zaślepiony ideologicznie, miałem poczucie humoru. Bezbarwność, sztywniactwo i bełkot nowomowy odstraszały ludzi od działalności partyjnej. Woleli być z nami, z ZMS-em. Większość członków komitetu i sztabu patronackiego ZMS miało wyższe wykształcenie techniczne i ekonomiczne, a w komitecie partyjnym więcej niż połowę grupy stanowili robotnicy. W czym i jak mogli nam pomagać?

Z perspektywy czasu jestem zaskoczony skalą i rozmachem tych akcji, których – przyznam – wielu byłem inicjatorem. Ciągłe robi na mnie wrażenie postawa wspaniałych dziewcząt i chłopców tamtych czasów, ich nieklamanego entuzjazmu. Bezinteresownie, społecznie, często kosztem życia rodzinnego poświęcali swoje umiejętności i czas dla nowego Płocka. Należy im się największy szacunek i pamięć.

Najlepszy reportażysta nie potrafiłby chyba odtworzyć atmosfery tamtych dni. Myślę, że mogłoby się to udać Hannie Krall, która przyjechała na budowę w 1962 roku i poprosiła, abym pomógł jej zatrudnić się w jakiejś kobiecej brygadzie. Nie-mądry, starałem się ostudzić jej zapał do obserwacji życia na budowie od wewnątrz. Było zimno i błotniście. Łaziliśmy po rozległym terenie kombinatu, w gumowych butach i roboczych płaszczach przeciwdeszczowych. Udało się tym razem, niestety, zgasić w niej żar rasowego reportażysty. Po tym „spacerze” zrezygnowała. Dziś żałuję, że ta utalentowana kobieta nie zebrała materiału do, być może, swojej nowej książki lub reportażu. Płock i jego ludzie zasługiwali na najlepsze pióra!

Budowano hotele robotnicze, ale wciąż brakowało miejsc noclegowych. Komitet Zakładowy ZMS nie miał możliwości natychmiastowej pomocy, odsyłał wtedy potrzebujących do Komitetu Zakładowego partii, gdzie składali podania z prośbą o pomoc w znalezieniu kwater. Nie ukrywam, że treść podań była ustalana w komitecie ZMS.

Otóż pewnego dnia zatelefonowałem do sekretarza partii, aby zechciał porozmawiać z dwoma robotnikami w sprawie ich zakwaterowania w hotelu robotniczym.

– Nie mamy w tej chwili żadnych możliwości – odpowiedział towarzysz S.P.

– Rozumiem – ściszyłem głos – ale to jest wyjątkowa sprawa, partia powinna wiedzieć o tym, co oni opowiadają, i postarać się nam pomóc w rozwiązaniu problemu.

To go zaintrygowało – lubił wiedzieć, co w trawie piszczy, orientować się w sytuacji, mieć argumenty w stosunku do źle działającej administracji.

W rozmowie z sekretarzem robotnicy ujawnili zatem, że śpią w stodole na słomie, nie mają wody, toaleta co prawda blisko, bo za stodołą, ale praktycznie jest nie do użytku. To by jeszcze nie stanowiło problemu, ale ostatnio, już dwukrotnie, napadli na nich w stodole jacyś robotnicy z pobliskiej bazy Przedsiębiorstwa Robót Kolejowych. Doszło do gwałtu. Rozpoznali wśród nich, choć nie są tego pewni i nie mogliby dać za to głowy, jednego członka partii. Chcą stamtąd zatem jak najszybciej uciec i bardzo proszą o pomoc. Sekretarz kazał im się wynosić, bo – jego zdaniem – są zwykłymi pedałami i tyle, a on z takimi nie ma zamiaru gadać. Przybiegli do mnie wystraszeni. Radziłem im iść do roboty i nikomu o tej rozmowie nie wspominać.

Wyszli niepewni swego losu. Mieli żal do mnie, że kazałem im opowiedzieć tę zmyśloną historię. Nie domyślali się, że to był początek na drodze do uzyskania mieszkania w hotelu robotniczym. Nie wiedzieli przecież o tym, że kilka miesięcy wcześniej odbyło się posiedzenie egzekutywy Komitetu Zakładowego partii, na którym rozpatrywano sprawę głównego księgowego jednego z przedsiębiorstw podwykonawczych, którego przyłapano w niedwuznacnej sytuacji z szeregowym członkiem ZMS, młodszym magazynierem. Wówczas sekretarz zaproponował wydalenie księgowego z partii, a magazynier miał być usunięty z pracy. Ośmieszyłem ten wniosek. Zaproponowałem, aby partia, zamiast nagłaśniać sprawy niebędące w żadnej mierze problemem natury ekonomicznej, zajęła się staraniem o terminowe dostawy materiałów budowlanych. Stwierdziłem: „Sprawę należy utajnić, żeby ludziom nie zrobić krzywdy. Partia nie powinna zajmować się ich życiem prywatnym”.

Sekretarz, po rozmowie z mieszkańcami stodoły, wpada do mnie na drugi dzień i, już od progu, mówi podniesionym głosem:

– Nie przysyłaj mi swoich ludzi, ty sobie z nimi załatwiasz sprawy, ja nie będę rozmawiał z pedałami. To są jakieś zdemoralizowane jednostki, muszę wyciągnąć z tego wnioski, trzeba ich ukarać, porozmawiam z kierownictwem ich zakładu!

– Uspokój się, Stasiu, wypij kawę i spokojnie o tym porozmawiajmy.

Uświadomiłem mu, przede wszystkim, że sprawa nie dotyczy jakichś tam urzędników, inteligentów, ale prostych robotników, którzy są solą naszej partii. Z jej podstawowych pryncypiów i ideologicznych założeń wynika, że najważniejszą motoryczną siłą tej organizacji jest klasa robotnicza. Powinniśmy zasilać szeregi partii młodymi robotnikami, a nie pozwalać, żeby działa im się krzywda.

– Jak wynikało z tej relacji, jacyś ludzie, w tym prawdopodobnie partyjny aktywista, gwałcą moich członków ZMS! – mówiłem. – Czy chcesz wywlec sprawę na zewnątrz? Stać się pośmiewiskiem?

– Jak to są twoi ludzie, to sam im załatw ten hotel!

– Dobrze, ale będę musiał przeprowadzić śledztwo, z którego niestety wyniknie, że członkowie partii deprawują młodzież!

– Co znowu za członkowie partii, jakiś jeden gnój się znalazł i zaraz członkowie...

– Tak? A ten księgowy z magazynierem, to niby co? Wtedy zgodziłeś się sprawę zatuszować, a teraz? Niech będzie, niech w kombinacie ludzie się śmieją, że partia nie potrafi dojrzeć demoralizacji szerzącej się w jej szeregach.

– To co ja mam zrobić?

– Nie zrzucaj na ZMS, który pod mądrym okiem instancji partyjnej zdobywa dopiero doświadczenie i uczy się pracy politycznej, załatw sprawę miejsc w hotelu dla tych chłopaków i będzie po wszystkim!

Był zmartwiony, że nie pomyślał o tym w taki „polityczny” sposób.

– Postaram się pomóc – powiedział, wychodząc.

Po tygodniu chłopaki mieli gdzie mieszkać.

\* \* \*

W sylwestrową noc 1959/60 przyrzekłem sobie, że na 30. rocznicę urodzin sprezentuję sobie dyplom ukończenia Uniwersytetu Warszawskiego. Miałem wtedy 26 i pół roku.

Myślałem tak: córeczka ma prawie sześć lat, synek dwa i pół, mieszkamy w Ursusie, żona jest nauczycielką, braki żywnościowe uzupełniamy dzięki teściowej. Da się jakoś spokojnie żyć, zabieraj się, stary koniu, do nauki, zadbaj o przyszłość swoją, żony i dzieci.

Postanowienia i przyrzeczenia sobie, a życie sobie. Zanim skończyło się lato, powołano mnie na organizatora Komitetu Centralnego ZMS do spraw patronatu nad budową w Płocku zakładów petrochemicznych i rurociągu naftowego „Przyjaźń”. Najważniejszą motywacją, by podjąć to wyzwanie, były wówczas dla mnie – dzisiaj brzmi to niewiarygodnie – patriotyzm i chęć służenia ojczyźnie wszędzie, gdzie było to niezbędne. Ciekawość i chęć sprawdzenia się przemogły ostatecznie mój strach i wątpliwości. Tak jak kiedyś przed wojną nasi dziadkowie i rodzice budowali Gdyńię, dzisiaj ja będę budowniczym nowoczesnej polskiej petrochemii!

W Polsce, po zamrożeniu politycznym lat powojennych, w latach 60. nastał nieco cieplejszy klimat, zapoczątkowany śmiercią Stalina. Apogeum odwilży miało miejsce w 1956 roku. Szliśmy po własnej drodze do socjalizmu. Mieliśmy swoją polską specyfikę, która sprzyjała zajmowaniu się sprawami bytu codziennego. Schematyzm w myśleniu był ośmieszany. Związek Młodzieży Socjalistycznej nie chciał upodabniać się do radzieckiego Komsomołu.

Zgoda. Zostanę w Płocku i stworzę dużą zetemesowską organizację, która pomoże młodym ludziom zaangażować się twórczo w życie kulturalne i sportowe! Stworzymy warunki do nauki, godnego życia i uczciwej pracy. Nauczymy się razem bawić, śmiać i cieszyć! Miałem głowę pełną pomysłów. Czy potrafię je zrealizować? Przyszłość pokaże.

Zaczęła się praca organiczna. Na spotkaniach z młodymi robotnikami trzeba było mówić nie tylko o sprawach budowy, ale także o higienie osobistej, o tym, jak dbać o zdrowie, że trzeba leczyć zęby, i że istnieją inne wygodki niż te za stodołą. Polska wciąż jeszcze była zacofanym krajem rolniczo-przemysłowym.

Uczestnicząc wraz z moim pokoleniem w powstawaniu nowoczesnego przemysłu, brałem udział w tej wielkiej polskiej industrializacji, która rozpoczęła się w latach 60. i miała wyrwać nasz kraj z wiekowego zacofania.

Płock – petrochemia, Turoszów – węgiel brunatny, Tarnobrzeg – siarka, Świecie – celuloza, Puławy – „Azoty”, Lubiąsko-Głogowski Okręg Miedziowy, Rybnicki Okręg Węglowy, Zakłady Koksownicze w Błachowni Śląskiej, kopalnia węgla brunatnego i elektrownia „Adamów” oraz odkrywka „Kazimierz”, Fabryka Opon Samochodowych w Olsztynie, budowa Ściany Wschodniej ulicy Marszałkowskiej w Warszawie itd., itd. To wszystko dawało nadzieję na lepszą przyszłość.

Walka szła o ludzi, o wykwalifikowaną siłę roboczą, której wciąż brakowało, o materiały i ich terminowe dostawy, o dokumentację i sprzęt, którego nie nadążano produkować w dostatecznej ilości.

Dzisiaj młody człowiek czytając na przykład o tym, że wielka płocka budowa miała trudności ze zdobyciem mikrobusego marki Nysa, nie potrafi zapewne tego zrozumieć. Teraz – masz pieniądze, dzwonisz do diler, i wybrany samochód dostarczą ci na miejsce. Wtedy trzeba było podjąć wiele działań – pieniądze to nie było wszystko, ważny był przydział!

\* \* \*

Leży przede mną osobliwy dokument:

#### „SZTAB INTERWENCYJNY PATRONATU ZMS KOMITET ZAKŁADOWY ZWIĄZKU MŁODZIEŻY SOCJALISTYCZNEJ

PRZY BUDOWIE KOMBINATU PETROCHEMICZNEGO W PŁOCKU

I telefon 23–96 / adres: ul. Kościuszki nr 8

II telefon 2011–1/ adres: al. Jachowicza 38

L dz. nr....., data 19.01.1961 r.

#### U P O W A Ż N I E N I E

Upoważnia się Towarzysza inż. Markiewicza Tadeusza, szefa Sztabu Interwencyjnego do przeprowadzenia interwencji w sprawie dostawy mikrobusego „Nysa” dla Mazowieckich Zakładów Rafineryjnych i Petrochemicznych w Płocku.

Jednocześnie prosimy Komitet Partii o udzielenie całkowitego poparcia.

Za Szefa Sztabu Interwencyjnego ZMS Inż. Tadeusza Markiewicza  
Organizator KC ZMS R. Stroński”

Przez całą kartkę, ukośnie, przebiega napisane zielonym tłustym drukiem hasło „Zielona droga dla Płocka”.

Interwencja, przeprowadzona na prośbę dyrekcji, przyniosła oczekiwany wynik. Spraw tego typu mieliśmy w ciągu czterech lat ponad tysiąc. 70% z nich zakończyło się sukcesem.

Za wzorową pracę na budowie odznaczaliśmy własną honorową odznaką Komitetu Zakładowego ZMS i sztabu interwencyjnego: „Budowniczem Kombinatoru”. Takich odznak (zgodnie z listą wydanych legitymacji) w okresie niespełna czterech lat wręczyliśmy ponad 1600. Otrzymywali je również ludzie, którzy wyróżnili się we współzawodnictwie pracy, osiągnęli dobre wyniki w sporcie bądź ukończyli szkołę podstawową dla pracujących na Uniwersytecie Robotniczym ZMS lub kursach, organizowanych we wsiach, skąd dojeżdżali na budowę do pracy.

Sztab szczerze mówiąc zastępował często niedołężne i zbiurokratyzowane struktury administracji państwowej. Niestety, wyręczając je, zarazem demoralizował. Czy było jednak jakieś inne wyjście? Może? Nie mieliśmy kompetencji karania tych, którzy lekceważyli swoje obowiązki. Zresztą – może to i dobrze, przecież mogło dojść do swoistej pajdokracji, a tego nie chciałem. Miałem już za sobą takie doświadczenie sprzed dziesięciu lat w Stargardzie Szczecińskim. Głęboko zapadło mi w pamięć.

W roku 1961 myśleliśmy mądrzej, byliśmy „po przejściach”.

Cała sfera podnoszenia kwalifikacji, doksztalcania młodych załóg, organizacji wypoczynku oraz działalności kulturalnej, oświatowej i sportowej spadła na ZMS. Komisją koordynacyjną związków zawodowych na budowie kierował M.S.,



Nierzadko w zebraniach Sztabu ZMS brali udział dyrektorzy. Tutaj za stołem od prawej: dyrektor naczelny Petrobudowy (gł. wykonawca) Antoni Rogucki, autor, dyrektor naczelny MZRiP (gł. inwestor) Paweł Nowak

człowiek opanowany i rozsądny. Patronacki ZMS zawsze mógł liczyć na pomoc finansową związków. Antoni Rogucki, dyrektor naczelny Petrobudowy – generalnego wykonawcy – entuzjasta inwestycji, zawsze służył nam radą i rzeczową pomocą. Nigdy go nie zawiedliśmy. Jedną z ulic Płocka nosi imię Antoniego Roguckiego. Był lubiany przez robotników, sprawiedliwie i mądrze zarządzał. Jego optymizm, poczucie humoru i rzeczowość zjednywały mu ludzi, potrafił ich zaangażować do rozwiązywania kolejnych problemów wielkiej budowy. Będąc bezpartyjnym, miał nieraz inne spojrzenie. Dzielił się ze mną swoimi myślami, troskami i wątpliwościami. Ja także je miewałem. Bywało, że zapraszał mnie do swojego mieszkania, gdzie przy zupie „na winie” i „polskim kawiorze” przegadywaliśmy wiele godzin.

Słyszę lekkie, ale stanowcze pukanie do drzwi mojego mieszkania.

– Ktoś puka – mówi żona.

– Słyszę! Nawet w nocy nie ma spokoju! Zobacz, która godzina.

– Chyba pierwsza, idź wreszcie do tych drzwi, bo dzieci pobudzi!

– Kto tam?

– To ja, diabli synu, Antoni – ubierz się ciepło, bo mróz jak cholera, pojedziemy na budowę. Pospaceruję na Kolegialnej i poczekam.

Błyskawicznie: spodnie, podkoszulek, gruby sweter, skóra, beret na głowę i – wybiegam!

Po skrzypiącym śniegu, w garniturze i w rozpiętej pod szyją koszuli, w zamyśleniu, spaceruje pan Antoni. Nawet w największe mrozy nie zakładał płaszcza ani kurtki. Przypuszczaliśmy, że chyba takiego elementu odzieży nie miał, nie mówiąc już o krawacie czy jakimkolwiek nakryciu głowy. Jeśli na budowę przyjeżdżali dygnitarze, ministrowie czy sekretarze, w pośpiechu wyjmował z kieszeni dyżurny krawat, najczęściej niepasujący ani do koszuli, ani do garnituru.

Pewnego razu, w czasie zimowej wizytacji budowy przez marszałka Mariana Spychalskiego, któremu A. Rogucki towarzyszył, trzymał na ręku letni płaszcz ortalionowy. Byłem świadkiem, gdy kilka godzin przed tą wizytą, wysłał swego kierowcę Franciszka do domu towarowego, aby kupił mu jakiś płaszcz.

– Jaki, panie *derektorze*?

– Nie wiem, jaki ci się spodoba!

– Drogi ma być? Jaki numer, kolor, letni, na jesień czy na kożusku?

– Kup mi jakiś ortalion, na ręku muszę nosić, bo mi stale głowę zawracają, czy przypadkiem nie zgubiłem palta albo nie zostawiłem w szatni. Muszę się wciąż tłumaczyć, a tak będzie spokój!

Tej nocy brniemy po śniegu i oglądamy place budów, niektórzy nocni stróże... śpią. Natykamy się na jednego; śpi przy trójnożnej, strasznie dymiącej kociołku. W miarę, jak pod wpływem ciepła z kozy topnieje śnieg, piec przechyla się – lada moment przewróci się na obszerny kożuch starego stróża. Dyrektor cicho nakazuje, abym przytrzymał kożuch, a sam podkłada cegłę pod jedną z nóg

piecyka. Kozuch uratowany, a stróż w objęciach Morfeusza dalej głośno pochrapuje.

– Niech śpi, i tak kradną, nie upilnuje!

– To po co on tu siedzi?

– Ty, diabli synu, niczego nie rozumiesz! On tu jest, bo takie są przepisy i takie jest życie. Dałem mu spokój, bo i tak, kiedy się obudzi i zobaczy tę cegłę pod nogą piecyka, to zbaranieje! Duch jaki, ki diabeł mu to postawił? Będzie o tym stale myślał i już nigdy nie zaśnie na służbie – mówił, chichocząc. Damy mu do myślenia, co?

Był zadowolony z nocnej kontroli budów. Ale wyraźnie czułem, że coś jeszcze go gnębi.

Dlatego nie zdziwiłem się, kiedy już w samochodzie powiedział:

– Wiesz co, zapraszam cię na Dobrzyńską. Mojej żony nie ma – przyjedzie dopiero za tydzień. Zrobię ci zupę na winie i pogadamy. Do wódeczki mam trochę polskiego kawioru, to sobie zakąsimy. – Franuś, przyjedziesz po nas gdzieś koło 6, to od razu pojedziemy na budowę do roboty – poprosił kierowcę.

Nic nie odpowiedziałem, i tak już była 3 nad ranem. Zaintrygowała mnie również ta zupa na winie i ten kawior, nawet, jeśli miał być polski. Ani takiej zupy, ani tym bardziej kawioru w życiu nie jadłem...

Obrałem kilka ziemniaków, pan Antoni nastawił wodę na zupę i wrzucał do niej, co mu się pod rękę nawinęło (stąd, niestety, nazwa...), następnie wyjął z lodówki wiejską kaszanekę (to był właśnie ten polski kawior...) i przygotował ją do smażenia.

Wypiliśmy po pięćdziesiątce.

– Słuchaj, diabli synu (ten zwrot znaczył w jego ustach tyle, co: lubię cię, szanuję i ufam, fajny z ciebie facet), co myślisz o wczorajszej naradzie?

Od razu domyśliłem się, co go trapi! Narada z udziałem sekretarza Komitetu Centralnego partii Ryszarda Strzeleckiego, sekretarza Wojewódzkiego Komitetu Warszawskiego Mariana Jaworskiego oraz ministrów: chemii i budownictwa, była bardzo burzliwa. Jej tematem był stan realizacji harmonogramu zagospodarowywania obiektów oddanych inwestorowi przez generalnego wykonawcę – Petrobudowę. W prezydium siedziałem obok Antoniego Roguckiego, przy drugim krańcu stołu przykrytego zielonym płótnem – dyrektor naczelny Mazowieckich Zakładów Rafineryjnych i Petrochemicznych Paweł Nowak.

Na sali wyczuwało się napięcie. Wielu zgromadzonych sądziło, że będzie mowa o strajku, który wybuchł nie tak dawno z powodu wymuszania na zakładach godzin nadliczbowych. A ponadto, jeśli się weźmie pod uwagę, że często poza chlebem, polskim kawiozem i „szpachlówką”, czyli pasztetową, w rzadko roztawionych na budujących się obiektach kioskach nie można było kupić nic do jedzenia, to zrozumiałą stała się wybuch robotniczego gniewu. Aby wymusić

uległość i posłuszeństwo na pracownikach, wstrzymano zakładowy transport do polskich wsi i osiedli – miejsc ich zamieszkania.

Tumult wywołany przez kilkuset zgromadzonych przed budynkami administracyjnymi robotników spowodował wtedy, że większość dyrektorów przedsiębiorstw podwykonawczych straciła głowę i w panice umknęła do swoich gabinetów. Na placu pozostali działacze związkowi oraz część sekretarzy podstawowej organizacji partyjnej, którzy starali się uspokoić pracowników.

Stojąc w samym centrum, przekrzykując tłum, wzywałem po imieniu moich „zetemesiaków”, których wielu znałem osobiście, do zaprzestania protestu (było wśród nich kilku przewodniczących grup działania ZMS). Wiedziałem, czym to wszystko może się skończyć!

– Janek, Stachu, Jurek, Józek, dajcie spokój, nie marnujcie życia! Odejdźcie, wyjdźcie z tłumy, zaraz wznowią transport!

Wtem rozlega się donośne wołanie! To dyrektor przedsiębiorstwa transportowego, zaprawiony w takich sytuacjach na turowskiej budowie, woła robotników, aby wsiadali do naprędce podstawianych autobusów, furgonetek i samochodów, które wcześniej zatrzymał na drodze, każąc z nich wylewać byle gdzie zaprawę cementową, wysypywać piach, zwałować cegły.

Ludzi zaczęło ubywać, tłum się zmniejszał, najbardziej aktywni pojechali do domów dyrekcyjnymi samochodami. Tak zakończył się bunt robotniczy. Kilka dni później, roboty po godzinach trwały w najlepsze; nikt się już nie buntował, ponieważ zaczęto za nie dobrze płacić.

A wczorajszą naradę zagaił główny inwestor, dyrektor naczelny zakładów Paweł Nowak. Powitał drogich gości z sekretarzem Strzeleckim na czele, omówił realizację harmonogramu odbioru obiektów od głównego wykonawcy – Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego Petrobudowa – zaznaczając jakby mimochodem, że pewne zaniedbania wynikły z powodu zbyt liberalnego traktowania przez Wojewódzki Komitet Warszawski wyżej wymienionego przedsiębiorstwa, które oddaje obiekty z wieloma usterkami, i nie zawsze w terminie. W przerwie narady podchodzi Strzelecki i w rozmowie z Roguckim, na pytanie, ilu ludzi pracuje w Petrobudowie, dowiaduje się, że jakieś 3000. Reszta to „grotołazi”, jak podpowiada mi tu młodzież – mówi Rogucki, wskazując na mnie.

– Jakie 3000, Nowak mi mówił, że macie około 6000! Jacy grotołazi?

– Ano tak, ale ja myślałem tylko o tych, co naprawdę pracują, gros to łązi.

W tym momencie na szczęście kelnerce wypadła z rąk na podłogę taca z kawą, tuż pod nogi ministra budownictwa Fariaszewskiego, który zbyt energicznie podszedł do Roguckiego, chcąc ratować go przed zdenerwowanym jego odpowiedziami sekretarzem KC. Minister odciągnął na bok Roguckiego i zwrócił mu ostro uwagę, żeby – jak się wyraził – trzymał język za zębami.

– Ot, i tak wyszło, mój drogi diabli synu! – podsumował pan Antoni.

– A na dodatek dzisiaj, no właściwie to już wczoraj – kontynuował – przyszedł do mnie sekretarz S.P., żeby o tym pogadać, a ja schowałem się przed nim za biurko!

– Jak to, za biurko? Dlaczego?

– A gdzie miałem się ukryć przed partią? Ci na budowach chowają się przede mną, a ja gdzie mam się schować – w myślą dziurę? On nie ma poczucia humoru i za wszystko dobierze mi się do dupy. Jak myślisz?

Po kolejnych kieliszkach wódki, która nie bardzo już nam szła o tej ni to późnej, ni to wczesnej porze, opowiedziałem mu o swoich rozterkach, kłopotach i marzeniach. Chciał także posłuchać o pracy organizacji, prosił o pomoc na określonych odcinkach budowy.

To nie była tylko rozmowa dyrektora naczelnego największej wówczas inwestycji przemysłowej w Polsce z organizatorem Komitetu Centralnego ZMS do spraw patronatu nad tą inwestycją. To była także rozmowa dwóch ludzi w różnym wieku, których los postawił obok siebie, by mogli działać dla wspólnej sprawy.

Kilkanaście minut drzemki w fotelach – i Franek dzwoni do drzwi, że czas jechać na budowę. Szklanka mocnej kawy stawia nas na nogi.

Pan Antoni nie musi wkładać krawata, palta, czapki, szalika ani rękawiczek. Nie używa takich rekwizytów. Wprost od stołu wychodzi na ulicę.

– Minus 14, panie *derektorze* – mówi kierowca Franciszek Anioł.

## Błoto

W tym czasie błoto było wszędzie: na budowie, w mieście, wokół nowych bloków mieszkalnych. Ludzie przynosili je na butach do biur, sekretariatów, mieszkań. I do komitetów partyjnych.

– Co mi tu w ubłoconych gumowcach włazisz do gabinetu – mówi I sekretarz Komitetu Powiatowego partii w Płocku Izydor Maćkowiak. – Nie udawaj, że tak ciężko pracujesz! Umyj buty i dopiero przyjdź, jak masz sprawę.

W tym momencie właśnie przestałem mieć sprawę... Pies ci mordę lizał! Czyścioszek, psia krew! Odwróciłem się i tyle mnie widział. Wszyscy się na niego obrażali. Ja też, mimo że go lubiłem. Gdy przyjechałem do Płocka, nie miałem gdzie mieszkać, nie było mnie stać nawet na nędzny hotel. Wtedy Izydor zaproponował mi swój pokój w gmachu komitetu. Dzielił się także prowiantem. Sprzątaliśmy wspólnie.

Tak się złożyło, że na konferencji sprawozdawczo-wyborczej partii, chyba w roku 1963, do składu Komitetu Miasta i Powiatu zgłoszono mnie i Henryka

Białczyńskiego – mera Płocka, późniejszego prezesa ZUS. Już w trakcie konferencji, pocztą pantoflową rozniosło się, że ani ja, ani Maćkowiak, ani Białczyński na członków komitetu nie zostaniemy wybrani. Tak też się stało. Nie pomogło nawet półtoragodzinne przemówienie I sekretarza Wojewódzkiego Komitetu Warszawskiego Mariana Jaworskiego, który wychwalając zalety dotychczasowego I sekretarza Izydora M., zachęcał delegatów do jego ponownego wyboru. Zastanawiałem się nad przyczynami, dla których, w tajnym głosowaniu, delegaci skreślili naszą trójkę. Dziś dochodzę do wniosku, że wychodziliśmy przed orkiestrę. Zmienialiśmy stare, od lat obowiązujące w Płocku obyczaje, myślenie i specyficzny styl życia. Byliśmy obcy, z Warszawy. Zналиśmy się blisko i mieliśmy jednakowy dystans do zastalej, przasnej rzeczywistości. Zbyt rewolucyjnie chcieliśmy ją zmieniać. W tych pierwszych latach budowy walczyły ze sobą stary i nowy Płock; rywalizowano z nowymi.

Kiedyś, na zebraniu środowiskowym słyszałem, jak właściciel posesji i straganu mówił: „Wyrażam tu nie tylko swój pogląd. Nie jest nam potrzebny ani najazd nowych Hunów, ani Pliska czy inne koniaki. Nie potrzebujemy suchej kiełbasy ani innych wynalazków. Wolimy spokój, nie chcemy, by ktoś nas pouczał, jak mamy żyć i deprawował nasze dzieci w jakichś ‘Marabutach’!”. Padliśmy na polu walki o postępek? Może?

Izydor M. uczył nowego spojrzenia na rzeczywistość, likwidował stare układy i struktury, wprowadzał nowe zwyczaje – czyżby za szybko? Zrozumiałem to później; miał rację, kiedy wymagał, żeby do mieszkania czy biura nie wchodzić w ubłoconych po cholewy gumowcach.

Henryk B. z kolei wymalował całe śródmieście Płocka. Domy jak z bajki! Za szybko unowocześniał miasto? Zachodu mu się zachciało czy co?

Ja wdrażałem nowe metody organizacji pracy, wypoczynku i nauki. Występowałem z pomysłami, które mogły się zrodzić tylko w warunkach swobodnego i nowoczesnego myślenia. Stąd: akcja „Sygnał”, „Zielona droga dla Płocka”, „Alarm”, sztab interwencyjny, „Marabut”, filie wyższych uczelni, spartakiady, festiwale zespołów amatorskich wielkich budów w Polsce itd., itp.

Wybrano nowe władze partii w mieście i powiecie. Nowy sekretarz I.Ł. miał uspokoić nastroje. Towarzysze z instancji wojewódzkich i centralnych zaczęli przyglądać się towarzyszom z Płocka.

Izydor M. został powołany na stanowisko dyrektora Przedsiębiorstwa Eksploatacji Rurociągu Naftowego „Przyjaźń”. Przebąkiwano o rychłym odejściu Henryka B. Mnie nakazano, abym nie interesował się sprawami miejskiej organizacji ZMS, miałem pilnować spraw patronackich w Białej. Czulem, że nad moją głową rozpęta się jakaś zawierucha!

Pewnego dnia, bez zapowiedzi, przyjechał Tadeusz R. – sekretarz Komitetu Centralnego ZMS odpowiedzialny za „młodzież robotniczą”, i ni z tego, ni z owego kazał się oprowadzać po budowie. Zaglądał do hoteli robotniczych, rozma-

wiał z junakami OHP, przewodniczącymi kół ZMS. Spotkał się także z Antonim Roguckim, który powiedział mi w przelocie: „No, uważaj, diabli synu, chyba się już napodskakiwałeś!”. Następnie T.R. zamknął się z sekretarzem partii S.P. w jego gabinecie, a mnie polecił zwołać zebranie Komitetu Zakładowego ZMS. Na zebraniu bąkał coś o zadaniach partii na nowym etapie budownictwa socjalistycznego i roli młodzieży w kształtowaniu świadomej dyscypliny, rozwijaniu socjalistycznego współzawodnictwa pracy i młodzieżowych brygadach pracy socjalistycznej. „Za mało ich macie na budowach”! Osiemdziesiąt, to było mało? „Najważniejsze jednak, towarzysze, by to wszystko nie działało się samopas, bo może się wyrwać spod ideowego kierownictwa partii”. Niby mimochodem napomknął o manifestacji młodzieży plockiej w sprawie inspirowanej przez USA inwazji emigrantów kubańskich na Kubę. „Manifestację żęście, wasz komitet, zorganizowali bez uzgodnienia z miejscowym kierownictwem partii”.

Po prostu szukał dziury w całym! Kawy nie pił, żadnej butelki wina nie kazał otworzyć, nikogo nie dopuścił do głosu. Mówił coś jeszcze o walce z pijaństwem i antysemityzmem, który miał się jakoby szerzyć w kręgach aktywu młodzieżowego, często pod płaszczykiem opowiadania kawałów żydowskich. Na koniec oznajmił, że wieczorem w Komitecie Powiatowym partii przy ulicy Kościuszki odbędzie się rozszerzone posiedzenie egzekutywy powiatowej i zakładowej, poświęcone problemom, które sygnalizował. Prosił także, abym był na nim obecny.

Oj, oberwie mi się dzisiaj! To ta chmura, która od dawna się nade mną zbiera! – pomyślałem sobie. Jednocześnie dodałem w duchu: strachy na Lachy. Jednak naprawdę nastraszyli mnie tam porządnie. Po tym zebraniu byłem załamany. Płakałem z żalu i wściekłości. Ale o tym za chwilę.

W 1961 roku, w związku z napaścią USA na Kubę, Komitet Zakładowy ZMS przy budowie kombinatu postanowił bez uzgodnienia z władzami partyjnymi zorganizować wiec protestacyjny przeciwko agresorowi. Rozdzieliłem zadania. Na godzinę 19 na plac przed gmachem Miejskiej Rady Narodowej zaprosiliśmy zakłady pracy, hufce ZHP i OHP, szkoły, zarządy szkolne i zakładowe ZMS, grupy działania ZMS z budów i przedsiębiorstw podwykonawczych, z rurociągu, ze stocznii i zakładów maszyn żniwnych. Uprzedziliśmy przewodniczącego MRN. Z balkonu miały popłynąć przez głośniki słowa potępienia amerykańskiej inwazji na Kubę. Władze miasta do końca nie dowierzały, że potrafimy zorganizować ten wiec.

W zebranych ad hoc sztabie organizacyjnym trwała gorączkowa praca. Ja przygotowywałem się do zagajenia wiecu, Heniek Gołębiowski miał wygłosić krótkie przemówienie, które klecił gdzieś w kącie, Bolek Kawalec pośpiesznie układał rezolucję. Wiesiek Pawelec redagował teksty, które miał nadać po manifestacji telefaksem do „Trybuny Ludu”, „Sztandaru Młodych” i „Trybuny Mazowieckiej”. Inni zdobywali znicze, wymyślali hasła, organizowali orkiestrę,

malowali transparent, który miał zawisnąć na balkonie merostwa. Kolejni zadbali o oświetlenie. Nikt nam nie przeszkadzał w przygotowaniach. Co prawda, Kazimierz C., jeden z sekretarzy Komitetu Powiatowego partii, nasz przyjaciel, ostrzegał, że mogą być kłopoty, jeśli jutro, w Warszawie, przeczyta o tym wydaniu I sekretarz Izidor M., ale nie braliśmy tego pod uwagę.

– Pamiętaj, Rysiek, sam bat na siebie kręcisz!

Bardziej jednak bałem się wielkiej klapy niż późniejszych połajanak.

– O rany, Heniu, przecież nie powiadomiliśmy Komendy Powiatowej MO! Co teraz robić? Zadzwoń do nich, ty jesteś plockanin, szybciej się z nimi dogadasz, masz tam przecież znajomych!

– Cholera, mogłeś wcześniej o tym pomyśleć, niech dzwoni Henio Janczewski! On jest twoim zastępcą do spraw organizacyjnych, a ja jestem twoim zastępcą do spraw propagandy, co nie? – chichocze.

Z partią niezgodnione, milicja nic nie wie, a na dodatek nie mamy pewności, czy to się w ogóle uda!

Jest 17.30, czas coś przekąsić, od rana nic nie jedliśmy. Za późno, by cokolwiek jeszcze poprawić! Co ma się stać, to się stanie.

W „Smakoszu” wzięliśmy po dwie literatki pod móżdżek, rzuciliśmy okiem na teksty potępiające napaść amerykańskiego imperializmu na socjalistyczną Kubę Fidela Castro i Che Guevary, i zbieramy się do wyjścia pod gmach magistratu. W chwili, gdy płaciliśmy rachunek, z radia dobiegł nas głos Ksawerego Jasieńskiego, który oznajmiał, że Kubańczycy odparli inwazję Stanów Zjednoczonych w Zatoce Świń na Morzu Karaibskim.

– Heniu, co oni, cholera, nam zrobili, przecież za pół godziny tę inwazję mamy potępiać! Co teraz? Nie mogli pokonać ich jutro?

Spontanicznie postanawiamy przekształcić planowaną manifestację w pierwszy w Polsce i na świecie wiec solidarności z młodzieżą kubańską. Przekażemy im w naszej rezolucji słowa radości z okazji zwycięstwa, potępimy amerykański imperializm i wyrazimy jedność z narodem kubańskim. Wszystkie przygotowane wcześniej przemówienia nadawały się do kosza, trzeba będzie mówić „z głowy”.

– Tylko teraz ty, Heniu zagajasz, ja trzymam mowę, a Boluś szybko zmienia rezolucję na radosną i dodaje coś od siebie. Chyba zdążysz coś wymyślić, Bolku?

Podchodzimy coraz bliżej rynku. Takiego tłumu ani my, ani nikt inny w tym mieście jeszcze nie widział! Płoną znicze, harcerze śpiewają, junacy wykrzykują hasła, do ratusza zbliża się orkiestra dęta. Piknik na cztery fajerki. Przepychamy się przez tłum i wchodzimy na balkon. Z sali obrad wychodzą zastępcy mera, Chojnacki i Dorobek. Są zdumieni, to rzeczywiście imponujący widok!

– Niech żyje! Ręce precz od Kuby! Fidel, Fidel, Fidel!

Po wiecu, który trwał około pół godziny, młodzież długo nie chciała się rozjechać. Takie masowe imprezy nie odbywały się tu zbyt często.

Zimą 1961/62 wyjechałem z żoną na wypoczynek do Zakopanego. Mieszkaliśmy w „Czajce”, do której w latach 50. kierowano aktyw ZMP na rekonwalescencję po przebytej gruźlicy. Poznałem tam Janka Krajewskiego, przewodniczącego Zarządu Powiatowego ZMS z Inowrocławia. Marzył o wielkiej budowie. Inteligentny, czytany, dobrze ułożony. Opanowany i rozważny – moje przeciwieństwo!

Namówiłem go na przeniesienie się do Płocka, gdzie akurat wakowało stanowisko przewodniczącego zarządu powiatowego związku. Wkrótce przyjechał. Został w Płocku na zawsze. Kilka lat później zginął śmiercią tragiczną na terenie kombinatu. Stara „muzolina” na przejeździe kolejowym odmówiła posłuszeństwa i zderzak wagonu znalazł się na wysokości skroni Janka. Był lubiany przez młodzież, przez wiele lat w rocznicę śmierci składano na jego grobie kwiaty. Wniósł nową jakość do pracy miejskiej i powiatowej organizacji ZMS. Pozostanie w pamięci tych wszystkich, którym wiele pomógł, tych, którzy po 1964 roku kontynuowali działalność ZMS-owską, których nauczył pracy dla swojej małej ojczyzny, Ziemi Płockiej.

Powiatowym i miejskim organem partii, jak wspomniałem, kierował I.Ł. On też miał przewodniczyć egzekutywie, na której, jak się w końcu dowiedziałem, miała być rozpatrywana „sprawa” towarzysza R. Strońskiego. Nazbierało się tego wiele: niesubordynacja partyjna, podważanie autorytetu wicepremiera Juliana Tokarskiego, zorganizowany bez uzgodnień i udziału czynników partyjnych wiec politycznej solidarności z Kubą, brak szacunku dla instancji partii, podburzanie młodzieży do nietypowych protestów (zadrutowany kiosk, emblemat ZMS na kominie), nadużywanie alkoholu (tu, niestety, towarzysze mieli trochę racji, w końcu nieraz pijaliśmy razem), wyskoki antysemitki, wyrażające się w głupich dowcipach itp. Jednym słowem różne bzdury, nic konkretnego.

W zebraniu egzekutywy brał udział wiceprzewodniczący wojewódzkiej komisji kontroli partyjnej S.K., który pilnie notował wszystkie wypowiedzi. Broniłem się, atakując; ośmieszyłem zarzut antysemityzmu. Dowodziłem, że szmoncesy to forma przedstawiania mądrości żydowskich. Wskazałem członków egzekutywy, którzy chętnie ich słuchają i odwzajemniają się podobnymi.

– Czy mogę, dla przykładu, kilka z nich przytoczyć? Zacznę może od towarzysza...

– Nie, nie trzeba – przerwał I.Ł.

Dyskusja trwała do nocy. Któryś z członków egzekutywy przypomniał, że sprzeciwiałem się naczelnemu zakładów, mianowicie podważyłem jego decyzję usunięcia na dwa dni z budowy młodzieżowej dźwigu samojezdnego. Miał on przejechać na cmentarz żydowski, gdzie trwały jakieś prace remontowe. Wyjaśniłem, że chcie-

liśmy nawet pomóc przy tym remoncie w czynie społecznym, ale dopiero za trzy dni! Wtedy zależało nam na terminowym oddaniu naszej budowy. „Jak towarzysze sądzą, co w danej chwili było ważniejsze?” – rzuciłem pytanie w przestrzeń.

Po przerwie, wiceprzewodniczący komisji kontroli odczytał notatkę, z której wynikało, że otrzymuję ustne ostrzeżenie. Ponadto protokół z posiedzenia miał być zachowany w wojewódzkiej komisji kontroli partii, by w razie mojej recydywy móc wrócić do sprawy...

W tym miejscu wybiegnę kilka lat naprzód.

Jako tak po 1968 roku zmarł mój kolega, sekretarz Komitetu Powiatowego partii w Sochaczewie. (Ten czas haniebnie zapisał się w historii Polski, kiedy to na skutek nagonki na – mówiąc językiem Jana Pawła II – „starszych braci w wierze”, wielu z nich opuściło naszą wspólną ojczyznę). Tak się złożyło, że niosłem trumnę razem z gorliwym krytykiem mojego rzekomego antysemityzmu, wiceprzewodniczącym komisji kontroli partyjnej, który przed laty w Płocku straszył mnie papierami, mającymi leżeć w archiwach tejże komisji, by można było się nimi posłużyć w razie mojej recydywy.

Odchyliłem głowę od trumny i pytam:

– Jak tam, czy te moje papiery jeszcze leżą, czy też nie masz czasu, by sprawdzić moje zachowanie, bo zajmujecie się teraz wypędzaniem Żydów?

– Przestań gadać, głupio mi i przykro, daj spokój!

Tamtą płocką egzekutywę przeżyłem ciężko. Wróciłem do domu ze smutkiem w sercu. Płakałem z żalu, że na Smolnej nie znalazł się żaden życzliwy, który by zadzwonił i uprzedził po ludzku, że ktoś kręci na mnie bat, albo poradził, żebym przeanalizował swoje postępowanie, bo może rzeczywiście się zapominam. Czyżby nic nie wiedzieli ani nic nie słyszeli? Żałowałem, że zgodziłem się na przeprowadzkę, mogłem dojeżdżać jak inni z Warszawy. Niestety, było już za późno, by cofnąć się do tego momentu, gdy sześciu junaków OHP z Płocka przyjechało wypożyczonym z bazy sprzętu Petrobudowy wysłużonym starem z podartą brezentową budą i w godzinę wrzuciło nasz ursusowski dobytek pod plandekę. Star z junakami na pierzynach, ja z żoną, córeczką i synkiem, w garbatej „muzolinie” – warszawie, prowadzonej przez kierowcę, Stasia Kwiatkowskiego – ruszyliśmy i w kilka godzin byliśmy na Kolegialnej w Płocku.

Dlaczego to zrobiłem? Skończony głupiec! Mieszkanie w Ursusie bepowrotnie straciłem, dokąd teraz wracać? Córeczka cichutko oddycha, jest piękna. Synek psoci, nie chce usnąć. Noc będzie śnieżna. Siedzimy z żoną w kuchni, czujemy się coraz bardziej obco w tym mieście lokalnych konfliktów i zawiści. Muszę się wziąć w garść! Nie wolno się rozklejać! Wyjrzałem przez okno, zaczyna prószyć śnieg, to dobrze, nie powinno być zbyt zimno. Wystarczy tych 13 stopni mrozu – pomyślałem i położyłem się spać. Od rana czeka mnie huk roboty, muszę pojechać jutro na budowę bocznicy kolejowej, gdzie ludzie skarżą się na brak opieki lekarskiej. Trzeba dokończyć informację na rozszerzone ple-



num Komitetu Zakładowego ZMS, dotyczącą przygotowania bazy do kształcenia kadry specjalistów dla Petrochemii.

W zebraniu tym wezmą udział między innymi wszyscy przewodniczący grup działania, komendanci hufców OHP, zarządy szkolne technikum chemicznego i szkoły budowlanej, brygadziści młodzieżowych brygad pracy socjalistycznej, działacze klubów ZMS, sztaby akcji „Sygnał” i „Alarm”, dyrekcja Uniwersytetu Robotniczego. Ponad 200 osób. Przyjedzie Staszek K., sekretarz Komitetu Centralnego związku.

Sala w nowo wybudowanym domu kultury w Białej właściwie jest przygotowana – są wieszaki na palta, postawi się oranżadę i popielniczki ze szklanych kafla budowlanych. Nyska i dwa pikapy zapewnią transport z budowy do miasta i z powrotem.

Wszystko szło dobrze, skończyłem czytać informację i przystąpiliśmy do dyskusji. Po jakimś czasie zaczęliśmy odczuwać zimno. Awaria ogrzewania. Konferencji nie przerwaliśmy. Wszyscy założyli okrycia, wielu rękawiczki. Co kwadrans ogłaszałem przerwę na rozgrzewkę. Po zbiorowej gimnastyce znawialiśmy rozmowy. Staszek został z nami do końca i podsumował wyniki obrad. Wydarzenie to pod tytułem „Gorąca dyskusja w zimnej sali” opisał potem „Sztandar Młodych”.

## „Pięciu z Białej”

Pod takim tytułem ukazał się w „Sztandarze Młodych” artykuł o budowniczych Kombinatu Petrochemicznego. Tym tytułem posłużyła się również w 1963 roku telewizja, przeprowadzając wywiad ze mną i z tymi, którzy los swój związali z Płockiem.

Już od pierwszych dni wielkiej budowy zewsząd zaczęli ściągać do Płocka ludzie, głównie młodzi mężczyźni. Sprowadzali żony lub żenili się, z czasem dostawali mieszkania, wkładali miękkie pantofle.

W młodej organizacji zetemesowskiej na budowie panował duch koleżeńskiej pomocy i solidarności. Wynikał z podobieństwa losów młodych budowniczych. Wszyscy mieli tyle samo, czyli nic! Wielu niecierpliwych zakładało rodziny, nie czekając na miejsce w hotelu robotniczym.

Również Andrzej P., robotnik ze stolarni pragnął się ożenić, nie zważając na to, że „w kabzie ni srebra ni złota” na opłacenie chociażby skromnego przyjęcia. Postanowiliśmy zorganizować mu, pierwsze na budowie, składkowe wesele zetemesowskie. W hotelu robotniczym nie było warunków. Tak wyszło, że „domem weselnym” zostało moje mieszkanie.

Był alkohol i przygotowane przez moją żonę kanapki, kawa i woda sodowa w syfonach.

Karetą, którą była zetemesowska „muzolina”, udekorowaną misiem i lalką, po ceremonii w Urzędzie Stanu Cywilnego, młoda para przyjechała na przyjęcie weselne do mieszkania przy ulicy Kolegialnej, w którym powitało ją gromkie koleżeńskie „Sto lat!”.

Atmosferę i ludzi tamtych czasów, przedstawionych trochę w krzywym zwierciadle, oddał dobrze Kazik Staszewski w piosence do słów swojego ojca Stanisława, miejskiego architekta, z którym się przyjaźniłem.

### Inżynierowie z Petrobudowy

*Nie pękaj koleś, nie łam się przecie  
To o nas stało wczoraj w gazecie  
Pisała sama „Trybuna Ludu”  
Że nas ogarnia romantyzm budów*

*Przed nami naród odkrywa głowy  
Inżynierowie z Petrobudowy  
Kładziemy lachę, niech brzękną szkła,  
Budowniczy na 102!*

*Pić życia rozkosz, cóż nam to szkodzi  
Nawet PKS do nas dochodzi  
A w zeszłe święto miałem kobitę,  
Co miała obie nogi umyte*

*W Warszawie Ptaszyn niech zdziera płuca  
Niech tańczy Gruca, Holoubek gra  
My tutaj mamy program gotowy*

*Inżynierowie z Petrobudowy,  
Kładziemy lachę, niech brzękną szkła,  
Budowniczy na 102!*

*Zawsze przed pierwszym o suchym chlebie  
Za to nikt grobów nam nie rozgrzebie  
Szatkuj dwie zmiany zimą i latem  
Wyśpisz się w piachu pod kombinatem*

*Ręk trzeba wiele, pomników mało,  
Kogoś złamało, lecz życie trwa  
Więc niechaj zabrzmi slogan bojowy*

*Inżynierowie z Petrobudowy,  
Kładziemy lachę, niech brzękną szkła,  
Budowniczy na 102!*

*Choć nie ma w kabzie srebra ni złota  
Przyda się przecież nasza robota  
Dopchamy wreszcie, w którymś tam roku  
Do wojny, co to ma być o pokój.*

*Co oszczędzimy, to ktoś ukradnie  
I idzie składnie, jakoś się pcha  
Więc wykonajmy plan narodowy*

*Inżynierowie z Petrobudowy,  
Kładziemy lachę, niech brzękną szkła  
Budowniczy na 102!*

Czas upływał, ci z roku 1963 nie byli już tymi z roku 1960. Dorośleli, wyrastali z ZMS-u. Andrzej, o którym wspomniałem wyżej, ukończył studia zaoczne, dochował się dzieci, zaskarbił sobie dobrą opinię plockiego środowiska, jest porządnym człowiekiem.

Niektórzy bardziej angażowali się w pracę zawodową. Nie miałem do nich o to żalu. Zwykła rzecz, kombinat stawał na nogi, kończył się gorączkowy okres tworzenia.

Zawsze lubiłem atmosferę startu, wielkiej improwizacji. Potem, gdy sytuacja poniekąd dochodziła do normy, miałem zawsze ochotę się wycofać, ustąpić miejsca innym, młodszemu, mądrzejszemu. Tym bardziej, że nie miałem żadnego zawodu, nie byłem pracownikiem budowlanym ani chemikiem. „Ni pies, ni wydra, coś na kształt świdra”, że posłużę się ulubionym powiedzonkiem Gomułki. Wiedziałem, że już niedługo wszystko to stanie się przeszłością, znormalnieje. Pozostaną za mną chwile triumfu i klęsk, radości i smutków, odwagi i niepokoju. Staram się zatem o powrót do Warszawy, chcę się uczyć, dzieci rosną, muszę pomyśleć o ich przyszłości, ustępuję miejsca innym.

Meldunek o wykonaniu zadań pierwszego patronatu w historii ZMS złożyli na III zjeździe Maciej Świdorski, I sekretarz Komitetu Międzyzakładowego przy budowie kombinatu oraz Janusz Szczęsny, sekretarz Komitetu Zakładowego związku przy Mazowieckich Zakładach Rafineryjnych i Petrochemicznych. De-

legaci zjazdu meldunek ten przyjęli na stojąco. Miałem satysfakcję z dobrze wykonanej pracy. Nie zmarnowałem tych czterech lat. Zostaną w mojej pamięci jako najlepsze, najbardziej twórcze lata mojego życia. W nagrodę zafundowano mi udział w kilkudziesięciuosobowej wycieczce młodzieżowej do Francji. Zwiększyłem Łazurowe Wybrzeże.

Dzisiaj wielu zarzuca nam, że indoktrynowaliśmy młodzież. Czy ja również to robiłem, będąc działaczem młodzieżowym? Ależ tak, i to skutecznie! Dzięki temu, młodzi ludzie angażowali się w pracę społeczną, dali się poznać, pokazali, że potrafią zrobić wiele dobrego. W niedalekiej przyszłości zajęli wysokie stanowiska polityczne, dyplomatyczne, gospodarcze i samorządowe w Płocku, w Polsce i na świecie. Oto przykłady:

M.W. – sekretarz Komitetu Centralnego partii, wojewoda mazowiecki, ambasador w Chinach;

H.D. – dyrektor generalny MZRIp;

W.D. – zastępca dyrektora naczelnego Petrobudowy, pełnomocnik Budimeksu za granicą;

H.J. – dyrektor naczelny Przedsiębiorstwa Rurociągu Naftowego „Przyjaźń”;

K.K. – obecnie wybitny rzeczoznawca majątkowy, właściciel biura obsługi nieruchomości;

H.G. – dyrektor Przedsiębiorstwa Budowy Mostów, sekretarz KMiP partii, pełnomocnik Budimeksu za granicą;



Francja, 1964 rok. Na tle portu w Marsylii.  
Stoją od lewej: autor, Henryk Czerski, Stanisław Metelski i inni

R.L. – sekretarz KMiP partii, przewodniczący Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Płocku;

B.K. – dyrektor Technikum Chemicznego w Płocku, dyplomata.

To tylko nieliczne przykłady awansu byłych płockich aktywistów, prawdziwych organizatorów patronatu ZMS w latach 1960–1964.

Lubię słuchać wieści z Płocka. Dziwi mnie, że tak mało mówi się o początkach wielkiej nowoczesnej petrochemii w tym mieście. Przecież pierwszy swój lot orzeł płocki, zanim stał się Orlenem, odbył nad swoim gniazdem w 1960 roku nad wsią Biała. To wysiłek młodzieży, okolicznych chłopów-robotników, inteligencji, inżynierów i techników przyczynił się do tego, że kombinat jest coraz młodszy, rozwija się, unowocześnia, obrósł w orle pióra i szybuje. Wielu graczy politycznych, nie tylko w Płocku, jest zainteresowanych tym, by nie pamiętać o pionierach. Oczerniają ich, jakby wytykając im, że za wcześniej przyszli na świat... Twierdzą, że służyliśmy naszemu wrogowi, czyli sojusznikowi z Układu Warszawskiego. Nie mogą przyznać, że poświęciliśmy się dla takiej Polski, jaka wtedy istniała. Wykorzystując swoje umiejętności, w miarę możliwości staraliśmy się dążyć do tego, aby była ona bogata, nasza i niepodległa. Nikt nie ma prawa odbierać nam tych zasług i naszego patriotyzmu. My tworzyliśmy ten kraj swoją pracą, wiedzą i zdolnościami. Niektórzy politycy woleliby, aby resztką pokolenia, które miało tupet budować rurociągi i petrochemię, przestała już istnieć. Tym bardziej, że tylko nieliczni jego przedstawiciele potrafią być jeszcze tak bezczelni i upominać się o pamięć dla setek młodych ludzi z tamtych lat.

Miałem nadzieję, że w Płocku gorączka nienawiści z początku lat 90. już minęła, kiedy to płocky radni masowo zmieniali nazwy ulic i symbole z czasów Polski Ludowej. Wtedy też usunięto nazwę osiedla – „Patronatu ZMS”, która miała utrwalić w pamięci młodzieżowy czyn – wybudowanie w ciągu roku czterech kilkupiętrowych bloków mieszkalnych. W czerwcu 2002 roku Rada Miasta Płocka, na wniosek miejscowego stowarzyszenia „Pokolenia”, które proponowało upamiętnienie wysiłku tamtych ludzi, przyjęła większością głosów uchwałę, w której uzasadnieniu między innymi napisano:

„W roku bieżącym przypada 42. rocznica podjęcia patronatu nad budową rurociągu naftowego „Przyjaźń” oraz kombinatu rafineryjno-petrochemicznego w Płocku, a także budownictwa mieszkaniowego przez ZMS i ZMW. Tymi wielkimi inwestycjami pasjonował się cały kraj, a szczególnie młode pokolenie, które podjęło wyzwanie zarówno budowy rurociągu, jak i uruchomienia w terminie podstawowych instalacji przemysłowych. Pierwsze doświadczenia i sukcesy młodych kadr uczestniczących w przygotowaniu i eksploatacji obiektów sprawiły, że młodzież i struktury Związku Młodzieży Socjalistycznej w wielu miejscach w kraju podjęły kolejne patronaty.(...) Upamiętnienie młodzieżowego patronatu nad budową kombinatu rafineryjno-petrochemicznego powinno

przypominać płocczanom, że bez wysiłku ludzi, ich pracy i zaangażowania Płock nie byłby takim miastem, jakim jest obecnie”.

W trakcie dyskusji nad projektem uchwały, prezydent Płocka Wojciech Hetkowski mówił między innymi: „Teraz łatwo o tym mówić, jak podle były te organizacje. Tymczasem jest wielu ludzi, którzy dzięki patronatowi ZMS doszli dziś do poważnych stanowisk. Poza tym, nie idzie o eksponowanie idei ZMS, ale o pokazanie, jak młodzi zrobili z małego Płocka wielki ośrodek. Gdyby nie oni, pewnie byłoby to dziś małe, zapyziałe miasteczko. Z troski i szacunku dla wielu ludzi, którzy już nie żyją, nie ośmieszajmy tej inicjatywy”.

„Gazeta Wyborcza” jednak ją ośmieszyła. Ogłosiła 25 czerwca 2002 roku, że ma być wybudowany pomnik gigant, obelisk 5-metrowej wysokości ku czci ZMS, i oczywiście na cześć socjalizmu. „Gazeta” zadała pytanie: „Co ma być napisane na pomniku?”. I sama sobie odpowiedziała: „Do końca nie wiadomo”.

Otóż to, jeśli nie wiadomo, to na pewno będzie o socjalizmie, komunie, Leninie, a w najlepszym razie o patronacie ZMS. Tymczasem jednym z pomysłów (pomnik pojawił się jako jedna z propozycji) miał być prosty napis na kamiennej tablicy, który przypominałby wysiłek młodych Polek i Polaków przy budowie nowoczesnego przemysłu petrochemicznego w Polsce. Wiem, o czym piszę, bo do mnie zwrócono się z prośbą o zaproponowanie słów, które miałyby się znaleźć na tej tablicy. Nie tylko członkowie ZMS, ZMW, ZHP, junacy OHP, członkowie Brygad Pracy Socjalistycznej i związków zawodowych budowali kombinat. Wznosili i uruchamiali go także katolicy, mariawici i wyznawcy innych religii, wszyscy, którzy żyli w tamtych „niesłusznych” czasach! I nawet ci, jak pisała „GW”, „którym nie zawsze było z komuną po drodze i którzy 20 lat później zakładali „Solidarność” w Petrochemii”.

No i dobrze, nikt tego nie kwestionuje. To jest historia... Niestety, wielu myli historię z histerią. Rozpętała się burza. Nawet generał dywizji, biskup połowy Wojska Polskiego Leszek Głódź, w odpowiedzi na pytanie dziennikarza z „Trybuny” w sprawie zmian zachodzących w polskim społeczeństwie, posługuje się przykładem: „Nie ma dziś postkomunistów. Zostali starzy i odgrzewają swoje struktury. Podam przykład – w Płocku ma stanąć pomnik ZMS-u. To znaczy, że oddech Lenina dalej trwa”. Wtórował mu, w odpowiedzi na pytanie dziennikarza „GW” o inicjatywę uczczenia w Płocku rocznicy patronatu, Andrzej Celiński, lider SLD: „Nie lubię ZMS-u, nie mam sentymentu do tej organizacji, i jestem przeciwny tej tradycji i identyfikowaniu się SLD z tą tradycją”.

I tak powstał problem polityczny. Dzielono włos na czworo. Pokolenie pampersów zakipiło oburzeniem. „Nie pozwolimy niczego upamiętniać w Płocku”. Nie rozumiałem tego podniesionego przez nich krzyku. Mogliby przecież zainicjować budowę pomnika pampersa. Na cokole mogłoby stanąć popiersie Huberta Woźniaka, który rozpętał tę nagonkę, a cokolwiek mógłby stanąć przed

siedzibą „Gazety Wyborczej” w Płocku. W ten sposób każde pokolenie mogłoby uczcić swoje osiągnięcia.

W „Trybunie” Krzysztof Teodor Teplitz pisał: „Nieprzyjemna aura unosi się wokół projektowanego w Płocku pomnika, obelisku czy też kamienia – rozmaitcie się o tym mówi – mającego upamiętniać patronat ZMS nad budową Petrochemii. Pomysł ten uchwalony przez radnych Płocka podjęty został przez dawnych działaczy ZMS, piastujących dziś wysokie urzędy państwowe. Gdy jednak po artykule w „Gazecie Wyborczej” wszczęła się kontrowersja wokół pomnika, jak i ZMS-u, a wreszcie samego patronatu, dawni ZMS-owcy położyli uszy po sobie i wycofują się rakiem. Być może ZMS był organizacją, która wychowywała sprawnych polityków, ale nie była to jednak chyba kuźnia charakterów. A Petrochemia w Płocku, jak wiadomo, i tak przecież wybudowałaby się sama”.(...)

Bronisław Łagowski, profesor filozofii, w felietonie zatytułowanym „Mały spór o wartości” zamieszczonym w „Przeglądzie” nr 28 z 15 lipca 2002 roku pisał: „Z działaczami Związku Młodzieży Socjalistycznej zetknąłem się podczas studiów na Uniwersytecie Warszawskim. To, czym się zajmowali wydawało mi się nudne i bez znaczenia. Ale mogłem się mylić.(...) Wiadomość wyczytana w „Gazecie Wyborczej”, że ta organizacja patronowała budowie Zakładów Petrochemicznych w Płocku, sprawiła mi przyjemność. Wprawdzie nie wiem, na czym polegało to patronowanie, ale już samo zainteresowanie młodzieży budowaniem czegoś wielkiego i pożytecznego dla kraju budzi we mnie żywą aprobatę. Myślę, że patronowanie nie było wyłącznie symboliczne, musiało wyrażać się w robieniu czegoś, co realnie było pomocne w budowaniu zakładów petrochemicznych.(...) Problem zasadniczy jest taki: za jakie czyny należy ludziom stawiać pomniki?(...) Gdybyśmy byli społeczeństwem niezakłamanym, nieoszukanym przez mitotwórców wszystkich obrządków, najwięcej wdzięczności okazywalibyśmy tym, którzy najwięcej przyczynili się i przyczyniają do naszego dobrobytu, do budowania domów i dróg, rozwijania przemysłu, doskonalenia upraw i hodowli. Im wystawilibyśmy pomniki, ich nazwiskami znaczyli ulice i place. Postępowalibyśmy jak Holendrzy, którzy pomnik postawili wynalazcy konserwowania śledzi w beczce”.(...)

1964–1973

## Nie będzie Niemiec...

Moje starania odniosły skutek. Po czterech latach twórczo spędzonych w Płocku znalazłem się w Warszawie, w centrali ZMS na Smolnej na stanowisku zastępcy kierownika wydziału do spraw młodzieży robotniczej. Zajmowałem się między innymi rozwojem patronatów młodzieżowych i wymianą doświadczeń między sztabami patronackimi poszczególnych budów.

Doskwierał mi brak wyższego wykształcenia, tym bardziej, że wszyscy moi przyjaciele i koledzy skończyli studia w czasie, gdy ja „babrałem się w błocie”. Świat się unowocześniał, miałem zasadnicze braki w rozumieniu podstawowych praw rządzących gospodarką i społeczeństwem. Ogarniał mnie lęk, że nie sprostam wyzwaniom współczesności...

– Staszku, niedługo mnie pewnie wyrzucicie, bo jestem niedokształcony. Mam tylko maturę ogólną, uzyskaną w trybie wieczorowym i 30 lat na karku!

– Dlaczego mielibyśmy cię wyrzucać? – mówi Staszek Kociołek, mój rówieśnik, sekretarz Komitetu Centralnego ZMS. – Popracuj jeszcze trochę, a za jakiś czas skierujemy cię do Wyższej Szkoły Nauk Społecznych.

I rzeczywiście, skierowali, ale nie mnie, tylko jego, i nie do WSNS, ale na I sekretarza Komitetu Warszawskiego partii. Znowu tylko gadanie i puste obietnice – myślałem sobie gorzko. Myliłem się jednak. Na zwolnione przez Staszka miejsce przyszedł Włodek Laskowski, człowiek mądry i życzliwy. On dopilnował, abym znalazł się na studiach. Pomógł też, dotrzymując słowa, Staszek.

Zostałem zakwalifikowany! Będę studiował i przez najbliższe trzy lata otrzymywał stypendium w wysokości dotychczasowych poborów. Wygrałem los na loterii!

W końcu września 1965 roku w gabinecie Władka Laskowskiego, przy butelce wina, odbyło się moje pożegnanie. Na pamiątkę otrzymałem książkę H. Huberta *Do widzenia na Unter den Linden* z następującym wpisem:

„Z okazji rozpoczęcia studiów i zakończenia(?) działalności w ruchu młodzieżowym – współpracownicy: Włodek Laskowski, Bogdan Miłaczewski, Kazimierz Paździora, Stanisław Metelski, Adam Bem, Teresa Gdak, Jan Sikorski, Włodek Kanicki”.

Serdeczne uściski, poklepywanie po plecach („Trzymaj się chłopie, jeszcze nieraz się spotkamy, wpadaj!”) i życzenia sukcesów w nauce! Było mi żal, że wszystko, co dotąd stanowiło treść mojego życia, od tej chwili będzie należało do przeszłości!



...z okazji rozpoczęcia studiów... (autor trzeci z lewej)

Przeglądając notes z tych dwóch lat pracy na Smolnej, znalazłem zapis kilku anegdotycznych zdarzeń, charakterystycznych dla czasów, w których przyszło żyć mojemu pokoleniu.

Tak się złożyło, że z dwoma kolegami z Wrocławia i Katowic pojechałem do Moskwy (znałem dobrze język rosyjski), w celu przygotowania wstępnej umowy dotyczącej wymiany kulturalnej między dużymi zakładami naszych krajów i ich organizacjami młodzieżowymi. Na lotnisku powitał nas przedstawiciel Komso-mołu. Przedstawiono nam uroczą tłumaczkę Nataszę i zapisany w najdrobniejszych szczegółach, nadęty polityczny program kilkudniowego pobytu w Moskwie i na radzieckiej Ukrainie. Wołga zawiozła nas do hotelu „Pekin”.

– Każdy ma swój pokój, proszę wziąć klucze. Za pół godziny spotykamy się na dole, pójdziemy na kolację – powiedziała po rosyjsku Natasza, modnie ubrana w ciuchy z Polski. Dlaczego nie mówiła po polsku?

Po kolacji wzięła mnie na bok i spytała, czy chcielibyśmy jeszcze dzisiaj wziąć udział w nieoficjalnym spotkaniu z grupą moskiewskiej młodzieży, w prywatnym mieszkaniu starszej pani, wybitnej intelektualistki rosyjskiej. Jeśli tak, to ona umówi się z nami w trzech różnych punktach miasta i stamtąd pojedziemy trolejbusem na to spotkanie. Rzecz jasna, zgodziłem się. Wychodząc, głośno dodała, że jutro rano przyjedzie po nas wołga i zobaczymy się w Komitecie Centralnym Komso-mołu na rozmowach. „Dobranoc, towarzysze! Teraz macie czas wolny. Do zobaczenia jutro na śniadaniu”.

Na umówione spotkania pojechaliśmy każdy osobno. Natasza była punktualna. Trolejbusem dotarliśmy pod czteropiętrowy dom mieszkalny typowy

wy dla przedwojennego budownictwa lat 30. Przynieśliśmy polską wódkę, a dla gospodyni, ubranej staromodnie, ale bardzo gustownie, powiedziałbym artystycznie – z trudnością zdobyte kwiaty. Natasza (jak się później okazało, początkująca malarka dorabiająca jako tłumaczka) położyła palec na ustach, nakazując ciszę. Drugą ręką przywoływała nas w kierunku, skąd dochodziły dźwięki gitary. W dużym salonie młodzież siedziała na podłodze, nieco starsi i starzy na staroświeckich, wypłowiałych, wytartych kanapach i fotelach, pamiętających zapewne ostatniego z Romanowów. Z gęstym dymem podłych papierosów mieszały się zapachy wydzielane przez miasto – smród ropy z zisów i kamazów, a także woń mieszczańskich mebli i niewietrzonych od dawna szaf.

W kącie pokoju-salonu (przed chwilą, pomimo żaru letniej nocy, wszystkie okna zostały szczelnie zamknięte) na tureckim pufie siedział szczupły, nieogolony młody mężczyzna, nerwowo szarpiąc struny gitary, jakby szukał w pamięci melodii do strof, których jeszcze nie wymyślił. Denerwował się, czasami wyrzucał z siebie ochryple jakieś słowa, robiąc za chwilę dziwny ruch głową, jakby chciał je cofnąć i zamknąć na powrót w ustach. Zaległa cisza. Upłynęło jeszcze kilka sekund. Nagle gitarzysta zaśpiewał swym gardłowym, przejmującym głosem.

Zamarliśmy w drzwiach salonu, zauroczeni śpiewem i niecodzienną melodią! Nie śmieliśmy przerwać tego nastroju i skupienia słuchaczy, wpatrzonych w artystę jak w obraz. Słowa pieśni były protestem przeciwko bolączkom egzystencji. Muzyka wydawała się nawoływać uśpione dusze rosyjskie do jakiegoś buntu. W tych słowach pobrzmiwało echo czegoś, co my, Polacy przeżywalismy dziesięć lat wcześniej, w 1956 roku, gdy wiatr historii pozwolił uwolnić się od stalinizmu.

Gitarzysta przerwał na moment swój przejmujący występ. Natasza wykorzystła tę chwilę, by nas przedstawić. Rozległy się oklaski i pozdrowienia. Podszedłem, przywitałem się. Zapytał, co się teraz w Polsce śpiewa. Niewiele wiedziałem. Powiedziałem jedynie, że jeśli ktoś tak śpiewał jak on, to na pewno nie zamykalibyśmy okien; odwrotnie, chcielibyśmy, aby każdy mógł słyszeć. Odpowiedział mało uprzejmie, nie rozumiałem szczegółów. Mówił coś o czworokątnym nakryciu głowy polskich żołnierzy, które jakoby świadczyło o naszej niestabilnej polityce i szukaniu przyjaciół we wszystkich kierunkach świata. Zakończył tym, że nasza przyjaźń jest zawodna. Odwrócił się i odszedł. Nie ułożył się dobrze ten nasz tajemny, poza narzuconym przez Komso-moł programem, wieczór.

Trzeba jednak przyznać, że Natasza była odważną dziewczyną. Dopiero po latach zorientowałem się, że wtedy, tego wieczoru rozmawiałem z wielkim aktorem, pieśniarzem, kompozytorem i poetą, wykonawcą melodyjnych ballad opowiadających o problemach i rozterkach współczesnego człowieka, 27-

letnim Włodzimierzem Wysockim. A stara dama w artystycznym stroju to była Lila Briki! Aktorka i plastyczka, kobieta o wielkiej inteligencji, kochanka Majakowskiego! Miałem wielkie szczęście spotkać wtedy tych ludzi!

Z Moskwy (w czasie pobytu udało mi się wyrwać na kilka godzin do Kłajmy, by spotkać się z ciocią Lizą i moimi ciotecznymi siostrami) pojechaliśmy na Ukrainę do Doniecka, Zaporozża i Dniepropietrowska. Byłem na Siczy!

Tamtejszy sekretarz obwodowy Komsomołu, Witia Zaramienko przygotował bardzo ciekawy program tego trzydniowego pobytu. Między innymi wzięliśmy udział w 50-tysięcznym zgromadzeniu pionierów i *oktiabrat* (zuchów) na największym placu Dniepropietrowska. Powitano nas gorącymi okrzykami o przyjaźni i współpracy ZSRR i Polski Ludowej. Witia zapowiedział wystąpienie szefa polskiej delegacji młodzieżowej.

Podszedłem do mikrofonu, powiedziałem po rosyjsku kilkanaście zdań, których treść można by zamknąć w słowach: „przyjaźń, braterstwo, współpraca, szczęśliwa przyszłość, praca i walka o pokój”. Na zakończenie podkusiło mnie, by wznieść okrzyk po ukraińsku, w języku, którym ostatnio posługiwałem się w latach dzieciństwa na Wołyniu: „*Chaj żywe samsti...* [ukr., niech żyje niepodle...] O, Boże, co ja mówię, jaka *samstijna!* [ukr., niepodległa], przecież to nie te czasy, błyskawicznie przeleciało mi przez głowę, serce podskoczyło mi do gardła. ...*Radiańskaja Ukraina!!!* [ukr., ... radziecka Ukraina] Wrzasnąłem z całych sił, żeby zagłuszyć niefortunne sylaby. Odszedłem od mikrofonu na drżących nogach. Na szczęście Witia uspokoił mnie, szepcząc wprost do ucha: „Nie denerwuj się, wszystko w porządku, przyjacielu!”.

Przed wieczorem, na spotkaniu zorganizowanym w wiśniowym sadzie, trzymając w ręku dwa kieliszki i butelkę *horilki piercowki* [ukr. gorzka pieprzowa], podszedł do mnie Zaramienko i zaproponował spacer po tym ogromnym kołchozowym ogrodzie. Mówiliśmy o moim „ukraińskim” dzieciństwie, wspominałem strach okupacyjnych czasów i ukraińskich mordów.

– Trudno – mówiłem – oderwać się od własnej historii, książek. Takie powieści, jak *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza (tendencyjne – dodałem, by nie urazić zbytnio Ukraińca) kształtowały moją polskość. Ale co ty o tym możesz wiedzieć!?

– To ty nie wiesz, o czym mówisz! Zostaw w spokoju Sienkiewicza, pacanie! Ja się na nim wychowałem! – zagadał po polsku, z akcentem lwowskim, sekretarz obwodowy Komsomołu! Byłem poruszony, wybałuszyłem oczy i z otwartą gębą czekałem na wyjaśnienia.

Po kilku następnych kieliszkach pieprzówki, teraz już Witold Zaramieński opowiedział mi swoją historię. Mieszkali tutaj w Krzywym Rogu od wieków. Dziadek i babcia byli narodowości polskiej. Dziadek był górnikiem. Babci i swemu ojcu Witoldowi, który był nauczycielem, Witek zawdzięcza to, że umie mówić po polsku i przeczytał wiele polskich książek. Jego mama była Ukrainką,

ale katoliczką; wraz z babcią nauczyły Witkę polskich modlitw. Po wojnie nie pozwolono im wyjechać do Polski. Skończył studia inżynierskie we Lwowie. Komsomoł wysłał go na rok do szkoły komsomolskiej w Moskwie. Następnie został skierowany do Dniepropietrowska i mianowany sekretarzem Leninowskiego Związku Młodzieży. Ożenił się, ma dwóch synów. Wieczorami czytuje, z trudnością zdobywaną, polską prasę i książki. Zazdrościł Polsce 1956 roku. Co się teraz z tobą dzieje, Witoldzie?

Rok wcześniej, gdzieś w połowie kwietnia, pojechałem na Węgry z zetemesowską grupą ze środowiska filmowego. Mieliśmy wymienić doświadczenia z węgierskimi artystami. Kilka dni przed wyjazdem zadzwonił do mnie pracownik MSW z prośbą o spotkanie w kawiarni „Ujazdowska”. „Będę miał rękę na temblaku, na stoliku będzie leżało *‘Życie Warszawy’*”. Byłem o umówionej godzinie.

– Jestem Antoni, a wy Ryszard, tak?

– Tak – odparłem. O czym będziemy rozmawiać?

– Chodzi o to, że na Węgrzech jeszcze świeże są wspomnienia, nie zabiły rany po tak zwanych wydarzeniach węgierskich. Wy jesteście kierownikiem grupy nieokrzyszanych, niepokornych filmowców, którzy mogą nawiązywać niepotrzebne znajomości i wygłaszać zbędne uwagi o rewolucyjnych więzach naszych narodów, o wspólnej walce przeciw głównemu wrogowi na wschodzie itd., itp. No sami wiecie, co ja wam będę tłumaczył.

– Ale macie wybujałą fantazję. Jakie kontakty, o co chodzi, nic nie będzie, nie martwcie się!

– Może macie rację, spotkamy się po waszym przyjeździe, to pogadamy, zadzwonię do was.

– Co to znaczy, namawiacie mnie, żebym donosił? To pomyliliście adresy!

– Nie o to chodzi, po prostu trochę was uczulam, znamy to środowisko i proszę tylko, by w razie czego zwrócić uwagę na jakieś wysoki.

Budapeszt przywitał nas wspaniałą pogodą, a gospodarze okazali nam ogromną serdeczność. Od pierwszego do ostatniego dnia węgierskie wino było naszym podstawowym napojem.

Na początku nic specjalnego się nie działo. Jednak w miarę upływu dni, zaczęły nawiązywać się przyjaźnie i zespołowe spędzanie czasu zastąpiły spotkania w różnorodnych układach. „Moja” grupa wychodziła z hotelu i wracała, kiedy było jej wygodnie. To mi bardzo odpowiadało. Nie miałem zamiaru bez potrzeby zwracać głowy ani sobie, ani moim filmowcom. Potworzyły się grupy zainteresowań. Jedni zwiedzali wytwórnie, drudzy muzea, pozostali oddawali się jeszcze innym, nie zawsze merytorycznym zajęciom... Ja prowadziłem najczęściej rozmowy przy winie z przedstawicielami węgierskiego komunistycznego związku młodzieży. Dziesięć dni minęło wesoło, choć pracowicie. Podpisaliśmy odpowiednie dokumenty dotyczące współpracy i wymiany doświadczeń.

Tydzień po powrocie do Warszawy, mój „opiekun” z bezpieki zaprosił mnie na spotkanie do tej samej kawiarni. Przy kawie, którą tym razem ja postawiłem, starał się wydobyć ode mnie informacje o zachowaniu poszczególnych osób z grupy. Szczególnie tych z Łodzi.

– To znaczy, że nic nieodpowiedniego się nie zdarzyło? Wszyscy zachowywali się jak należy?

– Oczywiście, jak najbardziej – odpowiedziałem.

– To może ja wam opowiem, co stało się w Budapeszcie w Muzeum Narodowym?

– Chętnie się dowiem – udaję zainteresowanie.

Ciekawie będzie posłuchać, jak przedstawi to wydarzenie – myślę sobie. Jednocześnie zastanawiam się, który z uczestników wyjazdu był jego informatorem. Zaczyna opowiadać, przerywam mu ze śmiechem, udając naiwniaka.

– To o ten incydent wam chodzi, z tym kapeluszem?

Nie wdając się w niepotrzebne szczegóły: w trakcie zwiedzania muzeum, M.M., montażysta z Łódzkiej Wytwórni Filmowej, wspinał się na kilkumetrowej wysokości pomnik Stalina, dłuta jakiegoś wybitnego węgierskiego socrealistycznego rzeźbiarza, i nałożył na głowę rzeźby swój kapelusz, po czym zszedł, uklęknął i bił pokłony, wołając: „Ojczyzna nasz, któryś jest w piekle, zlituj się nad nami i wyp... z tej umęczonej ziemi!”. Przyglądała się temu grupa Węgrów, Niemców i Francuzów. Węgrzy bili brawa, inni śmiali się. Zewsząd wołano: *Lengyelország, Lengyelország!* [węg., Polska].

– Dla was to może i incydent, ale takie podburzające zachowania mogą być początkiem jakiegoś buntu, a zgodzicie się ze mną, że już dość ich mieliśmy.

Zgodziłem się. Siedzimy przez chwilę w milczeniu. Rozmowa się nie klei. Jeszcze zapytałem o zdrowie, czy z ręką już wszystko w porządku, i czy to było złamanie. Odpowiedź oczywiście mnie nie interesowała. Życzyliśmy sobie wszystkiego najlepszego. Zbliżał się 1 maja.

Jeszcze dwa wydarzenia z tego czasu zapisały się w mojej pamięci.

Pod koniec lata 1965 roku pojechałem „pociągiem przyjaźni” do Gruzji i Armenii w roli szefa grupy kilkudziesięciu młodych osób (nie tylko członków ZMS). Miałem wspólny przedział z Ksawerym Jasieńskim, spikerem Polskiego Radia, tym, którego głosu między innymi dziś w metrze słuchają codziennie tysiące warszawian, gdy informuje o poszczególnych stacjach metra. Ksawery w trakcie tej kilkudniowej podróży czytał głośno na moją prośbę gruby brulion o Armenii, jej historii i architekturze. Ten zeszyt przygotował jego brat, który kiedyś marzył o zwiedzeniu tej krainy.

Siadamy przy oknie i patrzymy na przesuające się zasmucające widoki. Jakoś nie widać tego komunistycznego dobrobytu.

– Ksawery, dlaczego tak jest, czy ludzie tego nie widzą? – pytam z troską w głosie.

– To nie ich wina. To kwestia nieświadomionego grzechu – odpowiada filozoficznie.

– Mów jaśniej! – proszę lekko zirytowany.

– Ludzie, którzy się urodzili na przykład w Szwajcarii czy Szwecji są nagrodzeni przez Boga za mądrość minionych pokoleń, które nie chciały burzyć praw rządzących światem – mówi Ksawery z nutą smutku w głosie.

– Ale ja o nich pytam, o tych widzianych z okna! No a my, Polacy? – nalegam zniecierpliwiony.

– Z nami nie jest jeszcze tak najgorzej, co jakiś czas uświadamiamy sobie swoje grzechy, co ileś lat podejmujemy walkę z głupotą, i dlatego kolejne pokolenia rodzą się w kraju mądrzejszym. Ci zaś, o których mówisz, są kompletnie zniewoleni. Dlatego ich dzieci będą rodzić się w tym kraju za karę – posmutniał Ksawery.

Następnego dnia po przyjeździe mieliśmy spotkanie z profesorem historii uniwersytetu w Erewanie. Opowiadał, po polsku, o swoim kraju, często nawiązywał do wspólnej historii Polski i Armenii. Wciąż podkreślał polskość Lwowa, w którym żył i studiował. Miał tam, wśród ormiańskiej diaspory, wielu przyjaciół. Po wykładzie zwróciłem mu uwagę, że mówienie o polskim Lwowie może być dla niego niebezpieczne.

– Syneczku – powiedział – nie martw się o mnie, jestem już stary, ale odpowiedz, jeśli wiesz, czy góra Ararat, która obecnie znajduje się w Turcji, przestała być armeńska?

Innym razem z grupą ośmiu młodych prokuratorów i sędziów pojechałem do Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Już w drugim dniu naszego pobytu w Berlinie, z okazji święta enerdowskich wojsk MSW, zostaliśmy zaproszeni na zabawę do kasyna. Otaczali nas podoficerowie i oficerowie w mundurach, przypominających wermachtowskie. Śpiewy i niemiecka mowa spowodowały, że napłynęły wspomnienia. Siedzieliśmy w ponurych nastrojach – byliśmy pokoleniem, które przeżyło wojnę i okupację. Do stołu podawano jakieś kanapki i wódkę w kieliszczykach. Ktoś w końcu zażądał, aby kelner podał wódkę w butelkach, a jeśli nie jest to możliwe, to od razu sto kieliszków z wódką, bo chcemy pić po polsku. Prokurator I.R. z Lublina zbyt głośno dodał: „Nie, chłopaki, ja mam tego dosyć, jak chcecie to zostańcie, ale ja już nie wytrzymuję, idę spać! Jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem!”.

W tym momencie siedzący tuż za nami niemiecki major wstał od stołu i odwracając się do nas, powiedział po polsku: „Towarzysze wybaczą, ale jeśli chcecie przytaczać tu powiedzenia, to nie zapominajcie również o tym, które mówi, że nie będzie Niemiec pluł nam w twarz i dzieci nam germanił. Jestem majorem, pochodzę z wołyńskich Niemców, jako antyfaszysta brałem udział w wojnie przeciwko hitlerowcom, jestem teraz w mojej ojczyźnie i wychowuję, tę tutaj, niemiecką młodzież w mundurach, tak byśmy mogli w przyszłości zapomnieć o tych cytowanych



tu wyrażeniach i wierszykach. A teraz, towarzysze, wypijmy do dna za pokój i przyjaźń”. Poczuliśmy się jak rażeni piorunem! Wypiliśmy oczywiście. Dzięki temu majorowi wszystko stało się trochę lżejsze do zniesienia, tym bardziej, że polecił kelnerom podać wódkę w butelkach...

Żałuję, że nie zapytałem go, gdzie mieszkał na Wołyniu, może w Dubnie? Może jego rodzice mieli tam plantacje chmielu, w których buszowałem z kolegami Ukraińcami, Czechami, Żydami i Niemcami, zanim świat oszalał?

## Skłonny do odkładania zadań

Pierwszego października 1965 roku wraz z dużą grupą studentów z całej Polski biorę udział w uroczystym zgromadzeniu w auli głównej Wyższej Szkoły Nauk Społecznych. Wciąż nie wierzę własnym oczom: przemawia rektor, wręczają indeksy.

W tym czasie miałem zmienne nastroje. Raz, jak tego dnia właśnie, byłem szczęśliwy i zadowolony z moich dotychczasowych osiągnięć. A chwilę potem popadałem w przygnębienie. W szkole uczyłem się średnio. Pochodzę z rodziny robotniczej, sam niejednokrotnie pracowałem jako robotnik. Czy podołam studiom?

Przemawia rektor, prof. dr Maksymilian Pohorille. Indeksy wręcza dziekan, doc. dr Stanisław Widerszpil. Sekretarz Komitetu Centralnego partii życzy sukcesów w nauce. Słuchacze z całej Polski, członkowie ZMS, ZMW, ZHP, ZSL, SD, PAX-u, bezpartyjni, zasłużeni działacze samorządów, siedzą przejęci.

Na moim Historyczno – Socjologicznym Wydziale Historii Powszechnej i Stosunków Międzynarodowych znalazło się kilku moich znajomych i bliskich kolegów, między innymi Aleks Świejkowski, Witek Rybczyński, Janusz Kubaśiewicz.

Nareszcie uporządkuję w mojej rowichrzanej łepetynie wiedzę, której tu i ówdzie liżnałem. Nauczę się korzystać z biblioteki. Będę miał dostęp do zakazanej w Polsce prasy i literatury światowej. Poczytam biuletyny specjalne dostępne dotąd tylko dla „wybrańców narodu” i tych z cenzury na Mysiej.

Miałem świetnych wykładowców. Dzięki nim w ciągu trzech lat poznałem i przyswoiłem sobie podstawową wiedzę z zakresu filozofii, logiki, statystyki, socjologii, ekonomii, politologii, historii powszechnej świata i Polski. Wyjątkowo ożywione były seminaria z marksizmu-leninizmu oraz historii Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii Bolszewików. Analizowaliśmy błędy i wypaczenia w praktycznej realizacji idei sprawiedliwości społecznej na świecie. Ponieważ woleliśmy dyskutować niż ślęczeć nad nudną literaturą, nic dziwnego, że w tej

dziedzinie mieliśmy poważne luki w wiedzy. Zatem przed zbliżającymi się egzaminami końcowymi ogarnął nas niepokój. Prof. Gitla Wajsledor, która miała bardzo słaby wzrok i nosiła grube szkła, zazwyczaj zapraszała na salę egzaminacyjną po kilka osób. Można było się spokojnie przygotowywać przez kilkanaście minut, a nawet napisać konspekt wypowiedzi.

Witek Rybczyński, zawsze pilny i solidny, przygotował ściągę na prawie wszystkie możliwe do przewidzenia pytania. Udało mu się: na pytanie, które otrzymał, też miał ściągawkę. Dostał piątkę. Wyszedł zadowolony z egzaminu, natychmiast wyrwano mu z rąk pozostałe karteluski. Mnie przypadła długa harmonijka, prawie streszczenie pracy Lenina *Co robić?* Nie czytałem jej. I... dostaję właśnie ten temat! Siadam w dalszej ławce, spokojnie przepisuję notatki Witka na swoją kartkę. To będą tezy do mojej odpowiedzi. Wypadam celująco! Dotąd brzmiały mi w uszach pochwały za takie wnikliwe przyswojenie dzieła Lenina.

Kadra uczelni, zwanej popularnie „Sorboną” lub „Wyższą Szkołą Nauk Syjonistycznych”, w większości pochodzenia żydowskiego, była bardzo życzliwa. Nikt nigdy nie odmówił nam pomocy, a profesorowie i inni pracownicy dydaktyczni przesiadywali po godzinach ze studentami na dodatkowych seminariach. Szczególnie dobrze wspominam Goldberga, Zand, Widerszpila i Widera. Szkoda, że kolejne polityczne zamieszanie w roku 1968 wyгнаło z Polski większość tych mądrych Polaków.

Moja praca dyplomowa „Strefa bezatomowa w Afryce w latach 1957–1965” napisana pod kierunkiem doc. dr Stefani Stanisławskiej została dobrze oceniona. Postanowiłem w związku z tym, że zaoczne studia magisterskie będę kontynuował na Uniwersytecie Warszawskim, a praca dyplomowa stanowić będzie załączek pracy magisterskiej.

Jeszcze w kwietniu 1968 roku, zanim otrzymaliśmy dyplomy ukończenia studiów, wzywano nas na rozmowy do instancji partyjnych, gdzie komisje kadrowe przydzielały nam przyszłe stanowiska pracy w aparacie partyjnym, administracyjnym bądź związkowym. Mnie wezwano do warszawskiej komisji wojewódzkiej, której przewodniczył sekretarz Stanisław Kania.

– Siadajcie, towarzyszu – zaprosił – porozmawiajmy, co dalej po studiach. Smolna już was nie chce. Bądź co bądź, widzę tutaj w papierach, 8 czerwca kończycie 35 latek, już się wyrosło z porteczek!

Po sympatycznej rozmowie (gdy w latach 1980–81 Kania pełnił funkcję I sekretarza Komitetu Centralnego partii, popularne było powiedzonko: „Lepszy Kania niż Wania”) zaproponował mi objęcie stanowiska sekretarza do spraw organizacyjnych Komitetu Powiatowego partii w Sochaczewie. Zdecydowanie odmówiłem. Uzasadniłem to tym, że już wielokrotnie się przeprowadzałem, że jestem znowu w trakcie przeprowadzki do innego rejonu Ursusa, że chciałbym poświęcić więcej czasu – którego dotąd nie miałem – dzieciom i rodzinie. Najważniejsze jednak jest to, że ta dziedzina pracy mnie nie interesuje, jest

ogłupiająca i nierozwojowa. „Liczenie składek i członków partii – dodałem – układanie planów posiedzeń i ich zatwierdzanie to jednostajność i nuda”. Pomilczał trochę, pogrzebał w dokumentach i kazał czekać na korytarzu. Tutaj inni kandydaci do pracy – z Mazowsza, Kurpiów i Podlasia – oczekiwali na propozycje. Opowiedziałem im o przebiegu mojej rozmowy.

– Rysiek – mówi jeden – ty chyba nie mówisz poważnie, kręciłeś nosem na pracę organizacyjną w partii? Serio? Przecież właśnie Kania jest sekretarzem organizacyjnym Komitetu Wojewódzkiego!

– No nieźle! Kompletnie o tym zapomniałem!

Stoję i zastanawiam się, co robić. Wyszedł właśnie kolejny rozmówca i wskazując na mnie palcem, powiedział: „Kania prosi”.

Oczekiwałem najgorszego. Tymczasem sekretarz uśmiechnął się i powiedział: „To jak mówicie? Pion organizacyjny ogłupia? No cóż, może, może... Pójdziecie do Pruszkowa, widzę w dokumentach, że byliście tam już kiedyś instruktorem, znacie teren i ludzi, będziemy was rekomendować na sekretarza do spraw propagandy. Będziecie się zajmowali szkolnictwem, kulturą, sportem, prasą zakładową, radiowęzłami, szkoleniem, organizacjami społecznymi i kombatanckimi, związkami młodzieży itp. Odpowiada?”. Wstał, wciąż się uśmiechając, podał rękę i życzył dobrej pracy. To dobry człowiek, pomyślałem.

– Dziękuję, towarzyszu sekretarzu. Wiem, wiem, oczywiście, że „wydział organizacyjny to matka partii”, ale zakres, którym się zajmę jest dużo bliższy moim zainteresowaniom.

Zanim w maju 1968 roku zacząłem pracować w Komitecie Miasta i Powiatu partii w Pruszkowie, musiałem zostać wybrany na moje stanowisko podczas miejsko-powiatowego posiedzenia plenarnego. W rekomendacji przypomniano moją pracę z młodzieżą w szkołach zawodowych w Ursusie, pracę w kolegium redakcyjnym „Głosu Ursusa”, w tym utworzenie dodatku młodzieżowego do tej gazety. Wspomniano o pracy instruktorskiej w komitecie powiatowym i kierowaniu ośrodkiem propagandy i szkolenia w Zakładach Mechanicznych „Ursus” w latach 50. Nie obeszło się bez podkreślenia mojego uporu, dzięki któremu ukończyłem liceum ogólnokształcące i zdobyłem wyższe wykształcenie. Była także mowa o mojej działalności patronackiej na budowie Kombinatu Petrochemicznego w Płocku i rurociągu „Przyjaźń”. Wielu członków KMiP знаło mnie osobiście. Kilku z nich poparło głosami z sali: „Znamy go, znamy, dobry jest, niech będzie!”. I – byłem – prawie pięć lat!

Poprzednio, kiedy tu pracowałem, w pałacyku Potulickich, w okresie obojętnych dostaw, „krów Biura Politycznego”, w atmosferze reżimu ideologicznego, napotykałem działaczy i sekretarzy o bardzo wąskich horyzontach, kierujących się głównie w swych działaniach strachem przed Wielkim Bratem. Miałem nadzieję, że po tych prawie ośmiu latach spotkam nowych, mądrzejszych o minione czasy ludzi. W każdym razie będę starał się ich znaleźć.

Jeszcze przed rozpoczęciem na dobre pracy w Pruszkowie, zacząłem się martwić, że utknę tutaj na zawsze. Nigdy nie kierowałem się myślą o awansach. Za to zwykle po kilku latach na tym samym stanowisku, zaczynałem się bać popadnięcia w rutynę i lenistwo. Bodźcem do każdego nowego działania była chęć poznania innej rzeczywistości, zajęcia się czymś trudniejszym. Unikałem układów, które powodują, że ludzie zaczynają wspierać się w zdobywaniu apanaży, kombinują, jak kupić tanio działkę za miastem, dowiadują się, o czyje względy zabiegać, by otrzymać od jakiegoś kacyka partyjnego bądź administracyjnego talon na samochód.

Nigdzie w jednym miejscu nie pracowałem dłużej niż pięć lat. Może również dzięki temu nie stałem się człowiekiem niemoralnym, kto wie? Pamiętaj – mówiła mama – nie demonstruj swojej biedy, bo wtedy ludzie mogą chcieć ci pomóc. Jedni – z życzliwości, inni – by wciągnąć cię w swoje interesy. Kieruj się zasadą: *Choć bida w kamienicy, ale hop na ulicy*. Czasami dostawało mi się z powodu mojego nadmiernego poczucia humoru, które niejednokrotnie było dla mnie odtrutką na ciężkie czasy.

Raz na jakiś czas obrona terytorialna kraju pod czujnym okiem instancji partyjnej organizowała ćwiczenia. Angażowano mnóstwo ludzi i sprzętu, wymyślano gry wojenne, uruchamiano sztaby gminne. Ćwiczeniami kierował powiatowy sztab obrony, który miał siedzibę w bunkrach budowanych w tym celu pod obiektami mieszkaniowymi. Sztaby gminne, po otrzymaniu zaszyfrowanej dyrektywy z powiatu, miały samodzielnie podejmować działania w celu rozwiązania określonego problemu i o przyjętych przedsięwzięciach informować przełożonych, ewentualnie pytać ich o radę lub prosić o wsparcie materialne czy logistyczne.

Pamiętam jeden z meldunków z rejonu Puszczy Kampinoskiej, zaszyfrowany oczywiście: „Znaleziono cztery okazałe borowiki, jeden z nich się zgubił, trzy pozostałe schowano w piwnicy, przy borowikach było bardzo dużo ślimaków. Czy te grzyby przywieźć do smażenia?” (borowik=szpieg NATO, zgubić się=ucieć, piwnica=bunkier, ślimaki=broń i sprzęt szpiegowski, smażyć=przesłuchiwać). I jeszcze jeden: „W kilku naszych wsiach wieje silny wiatr, wielu robi zasłony z płytek chodnikowych, chłopcy wyganiają świny na powietrze, gromadzą książki kultu religijnego, brakuje nafty! Co robić?” (silny wiatr=panika, robić zasłony z płytek chodnikowych=kraść materiały budowlane i budować schrony, wyganiać świny=spekulacyjnie wykupywać mięso, brak nafty=zniszczony transformator, gromadzić książki=chować żywność).

Pułkownik Białowas kierował te meldunki do szyfrantów w sztabie. Następnie przygotowywano plan czynności odwetowych i propagandowych w celu opanowania paniki itd., itp. Wielu ludzi zatrudnionych przy tych ćwiczeniach miało zajęcie przez cały dzień do późnej nocy. Wieczorem ćwiczący aktywnie jeżdżał z terenu do Pruszkowa na podsumowanie akcji. Nie stroniono przy tym od

alkoholu, mówiąc oględnie. Jednych ganiono, inni byli chwaleni. Na jednym z takich podsumowań otrzymałem za to samo wydarzenie jednocześnie upomnienie i pochwałę. Jak to możliwe?

Jako sekretarz komitetu powiatowego miałem przydzielony samochód osobowy, zabrany na czas powiatowej gry wojennej z jakiegoś zakładu pracy. Odwiedzałem ćwiczące sztaby gminne. Kontrolowałem przebieg działań. Jeden ze sztabów odbywał ćwiczenia po symulowanym ataku atomowym w miejscowości Leszno na skraju Puszczy Kampinoskiej. Sztab powiatowy oczekiwał meldunku o działaniach zapobiegawczych, jakie należało podjąć w trzech strefach powstałych po wybuchu. Meldunków jednak nie było. Pojechałem sprawdzić, co się dzieje.

Sztab gminny, ćwiczący w Starych Babicach, był zobowiązany udzielić pomocy medycznej, przeciwpożarowej, ewakuacyjnej i wszelkiej innej, uwzględniającej sytuację w poszczególnych strefach, ustalanych w stosunku do epicentrum eksplozji. Było wiadomo, że wybuch bomby o określonej mocy spowodował kompletne zniszczenia w I strefie, w II uratowała się tylko częściowo substancja trwała (zabudowania itp.). Trzeba było zatem przedsięwziąć określone działania tylko w III strefie. Koło budynku, gdzie ćwiczył sztab gminny, stało sporo furmanek. Konie spokojnie pożywiały się sianem, a chłopci, zbici w gromadkę, głośno przepijali gorzałeczką i piwkiem, zakąszając tym, co kto miał.

Zastałem kilku klócących się mężczyzn pochylonych nad mapą. Uciszyli się na mój widok, zauważyłem ulgę na ich twarzach. Liczą zapewne na to, że ktoś za nich podejmie decyzję, pomyślałem. Ale jaki tam ze mnie strateg!...

– Co się, towarzysze, nie odzywacie, nie mamy od was meldunku, jak tam wasze obliczenia po wybuchu bomby atomowej? Nie dzwonicie i nie odbieracie telefonu!

– No bo nie wiemy, jakie dane podać, żeby się nie ośmieszyć. Wychodzi nam, że bomba atomowa przy tych parametrach, które otrzymaliśmy w koperkach do ćwiczeń, coś nie pasuje!

– A pokażcie na mapie.

Przykładają liniał do mapy, drugi jego koniec kierując od epicentrum wybuchu do miejsca siedziby „sztabu wojennego” gminy. Wyraźnie widzę, że w tej strefie, w której ćwiczy tutejszy sztab zniszczenia są całkowite. Nie mogłem zduścić w sobie śmiechu. Nie ma już was, to jak mogliście nadać meldunek, wszyscy jesteście już u Świętego Piotra, gadam chyba z duchami... Teraz już śmieją się wszyscy, najbardziej z tego, że utną nosa specjalistom wojskowym, którzy źle dokonali obliczeń.

W obawie jednak, że mógł to być podstęp wojskowych, kazałem przygotować notatkę dotyczącą zastanej sytuacji. Zarządziłem koniec ćwiczeń, każdy udał się w swoją stronę. Moje wystąpienie na wieczornym podsumowaniu dotyczące Babic zabrzmiało jak monolog satyryczny. Moim słowom towarzyszył tłumiony chichot. Przedstawiciele sztabu wojewódzkiego surowo odnieśli się

do tego, co się wydarzyło: „To niepoważne, towarzysze, dziwimy się, że towarzysz sekretarz to *zadowolował*. Z drugiej zaś strony należałoby przyjąć za pozytyw, że obliczenia wasze były prawidłowe”.

Na drugi dzień zostałem wezwany na rozmowę do mojego szefa, I sekretarza I.Ł., który w łagodnych słowach zwrócił mi uwagę na niestosowność mojego zachowania podczas ćwiczeń. Są one przecież niezbędne, na wypadek gdyby rzeczywistość doszła do inwazji NATO. Powiedziałem, że będę starał się być poważny, i że jednocześnie wierzę głęboko, że w razie czego obroni nas Związek Radziecki!

– A w ogóle, to o co ci chodzi?

– Nie chcę, by to dotarło do któregoś z sekretarzy w Warszawie.

– Aaaa, teraz rozumiem, powiedz im w razie czego, że przeprowadziłeś ze mną poważną rozmowę. Trzeba było od razu mówić, że chodzi ci o twój stołek, a nie o prawidłowy przebieg naszej powiatowej wojny!

Niedługo po tych tragicomicznych manewrach Komitet Wojewódzki zasugeterował, żeby w Pruszkowie zwołać jedno z kolejnych posiedzeń partii, poświęcone pracy ideologiczno-propagandowej. Wybrano nasz powiat, ponieważ było tutaj 10 000 członków i kandydatów partii, najwięcej w całym województwie, a także wiele zakładów pracy, szkół, instytutów naukowo-badawczych, domów kultury i bibliotek. Byłem zobowiązany do opracowania planu przygotowań do tego plenum. Zdawałem sobie sprawę, że oczekuje się ode mnie, abym w referacie i uchwale pokazał osiągnięcia partii w tej dziedzinie. Tymczasem rzeczywistość była całkiem inna.

Powołane w zakładach pracy zespoły szkoleniowe nie przejawiały aktywności. Wykładowcy byli najczęściej źle przygotowani, na spotkaniach coś tam dukali z kartki. Sztuka mówienia kompletnie upadła. Partia nie potrafiła zapewnić prelegentów na wysokim poziomie. Przekazywane bełkotliwym językiem prawdy, choćby najśluszniesze, nie docierały do nikogo. Mało kto uczestniczył w szkoleniach, tym bardziej, że po zajęciach wszystkich czekało jeszcze stanie w kolejkach, chociażby po papier toaletowy.

Prawie nikt nie wypożyczał książek o tematyce społeczno-politycznej, na których zakup wydano ogromne sumy. Coraz mniej ludzi gromadziło się przed świetlicowymi telewizorami. Książki jednak były tanie, w dodatku można je było kupować na raty. W taki właśnie sposób udało mi się nabyć wszystkie dzieła zebrane Stefana Żeromskiego. Ludzie czytali w domach. Nareszcie drukowano klasykę francuską, angielską, niemiecką. Programy telewizyjne stawały się coraz ciekawsze. To była alternatywa dla mądrzejszych. Dla tych, którym było wszystko jedno był kiosk z piwem.

Partyjna propaganda wizualna była nachalna, sztamowa, pozbawiona odrobiny estetyki, nienowoczesna w formie, oparta na wzorcach radzieckich. Nikt nie zwracał uwagi na gęsto rozsiane po mieście czerwone transparenty z hasłami, rozwieszane na odrapanych fabrycznych ścianach z rozbitymi okna-

mi. Przeświadczenie twardegłowych, że symbole nie muszą być unowocześniane, a i tak będą oddziaływać na świadomość odbiorców, było irracjonalne. Nie istniały zresztą żadne specjalistyczne sklepy plastyczne.

Wiedziałem, że schematyzm myślenia działaczy nie pozwoli mi na wygłaszanie tego typu poglądów na powiatowym plenum partyjnym. Postanowiłem jednak odważyć się i nadwerżyć nieco dobre samopoczucie towarzyszy. Zrobiłem wszystko, by posiedzenie przebiegło w sposób nowatorski. Zaprosiłem pięć gazet zakładowych. Przybyło 12 sekretarzy komitetów powiatowych z Mazowsza. Zorganizowałem dużą wystawę zdjęć z przykładami dobrych i złych rozwiązań. Plansze przedstawiały wykaz strat zakładów produkcyjnych wynikłych ze złej organizacji pracy i zacołowania ekonomicznego. Materiały na plenum przygotowała 25-cioosobowa komisja, która miała skontrolować pracę domów kultury, ośrodków szkoleniowych, pracowni plastycznych, klubów „Człowiek – Świat – Polityka”, zespołów lektorskich. Przygotowania wymagały czasu – trzykrotnie prosiłem o przesunięcie terminu posiedzenia plenarnego.

Chciałem spowodować zmianę sposobu myślenia. Miałem nadzieję, że uda się poddać krytyce dotychczasowy styl pracy propagandowej i zastąpić go innym. Chciałem, żeby było kolorowo, wesoło i z poczuciem humoru. Slogany mogłyby być zastąpione wierszem, fraszką, fotografią. Takie sposoby stosowałem na budowie Petrochemii Płockiej.

Mój referat nie wywołał jednak poruszenia. Dyskusja była jak zwykle drętwą. Sekretarz WKW A. Kłonica w podsumowaniu podkreślił głównie, że „towarzysze w Pruszkowie łamią harmonogram plenarnych posiedzeń, trzykrotnie je przekładali i z tego należy wyciągnąć określone wnioski”. I je wyciągnięto. Podczas okresowego opiniowania kadr, mój szef napisał w ankiecie uwagę: „Towarzysz R.S. jest skłonny do odkładania zadań”. W istocie, miał rację. Jeśli jakiś temat mnie nie interesował, nie brałem go pod uwagę. W tym jednak wypadku nie lekceważenie było powodem odsuwania tego posiedzenia. Chciałem po prostu zrobić coś dobrze!

Niestety, prawdziwe racje i argumenty nie były przydatne w partii, która nieustannie żywiła się złudzeniami i odgrzewała stary styl działania. Aż w końcu pozbyła się go ostatecznie wraz z wyniesieniem swojego sztandaru...

## Pies i kocięta

Wypijałem herbatę, czasami kawę Inkę, zjadałem jakąś kanapkę i pędziłem na stację kolejową w Ursusie, by pociągiem elektrycznym dojechać na czas do pracy w Pruszkowie. W kilkanaście minut, idąc na skróty ze stacji przez dziurę

w płocie i park, znajdowałem się na ulicy Drzymały. Nazwa ulicy i zgrzebny budynek siedziby KMiP PZPR bardziej przystawały do jednego z elementów nazwy partii, a mianowicie „robotnicza”, niż pałacyk Potulickich, w którym pracowałem w latach 50. XX wieku. Tę drogę do Pruszkowa przemierzałem przez 64 miesiące. Strach pomyśleć, ponad pięć lat! Wracalem w ten sam sposób, z tym, że nie zawsze wysiadałem w Ursusie, bowiem jechałem do Warszawy na seminaria, spotkania z promotorem mojej pracy magisterskiej lub do różnych bibliotek, a najczęściej do Państwowego Instytutu Spraw Międzynarodowych.

Natychmiast po ukończeniu WSNS-u zacząłem studia magisterskie na Uniwersytecie Warszawskim. To był mój priorytet. Nie było od niego ucieczki. „Teraz albo nigdy” – powtarzałem sobie co dzień przy goleniu.

Studia wymagały samozaparcia, rzadko wracałem do domu przed północą. Dzieci już spały, tylko żona czekała, sprawdzając prace uczniów. Nie było innego sposobu na stworzenie lepszej przyszłości córce i synowi. Musiałem podjąć trudy nauki, nieraz kosztem wielu wyrzeczeń, zaniedbania rodziny i ograniczenia czasu na kontakty z dziećmi. Rzadko udawało mi się pojechać z synem na basen w Pałacu Kultury, gdzie uczył się pływania podwodnego.

Nie mogłem także uciec od codziennej pracy, w której życie przynosiło coraz to nowe problemy. Wspólnie z Powiatową Radą Narodową zabiegałem o zatrudnienie w wiejskich szkołach wykwalifikowanych nauczycieli. Zachęcaliśmy ich dobrymi warunkami mieszkaniowymi. Wybudowaliśmy wiele domków jednorodzinnych przeznaczonych dla rodzin nauczycielskich, które otrzymywały je za darmo. Do dzisiaj cieszą one oko. Wiele czasu poświęcałem także budowaniu pozycji lokalnych jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej.

Pewnego razu jakiś partyjny lizus we władzach centralnych OSP rozesłał instrukcje, z których wynikało, że należy stopniowo usuwać i umieszczać w muzeach i izbach pamięci stare sztandary strażackie z wizerunkiem św. Floriana. Na dorocznych ćwiczeniach ogniowych miała następować stopniowa wymiana sztandarów na nowe, z symboliką świecą. Na jednym z takich zlotów poznałem komendanta zakonnej jednostki OSP z Niepokalanowa. Jej członkowie byli świetni, zdobywali nagrody i wyróżnienia; wręczałem je na podsumowujących, zakrapianych alkoholem wieczerzach w remizie strażackiej. Komendant-zakonnik i ja – sekretarz nieraz raczyliśmy się wodą ognistą z jednej butelki po oranżadzie. Kiedyś przyszło nam razem układać treść podania, z jakim zakonna jednostka straży miała wystąpić do MSW z prośbą o nowy sprzęt.

– Tylko niech brat nie zapomni dołączyć odpisy wszystkich dyplomów, listów dziękczynnych i wyróżnień. Partia poprze wasze starania – powiedziałem.

– Bóg zapłać – odpowiedział.

Niedługo potem minister spraw wewnętrznych Mieczysław Moczar przyznał jednostce Ochotniczej Straży Pożarnej w Niepokalanowie nowoczesną motopompę samochodową. A w 1970 roku, na wniosek zakonników, komenda

główna OSP nadała mi „Złoty medal za zasługi dla pożarnictwa”. Oto przykład różnorodnych zależności... Najważniejsze jednak, że wszystko to działo się z korzyścią dla społeczeństwa.

Ze szczególną troską zajmowałem się poprawą życia materialnego i psychicznego weteranów wojny i ruchu oporu. Byłem dzieckiem wojny, dużo przeżyłem i wycierpiałem. Większość członków mojej rodziny uczestniczyła w działaniach wojennych w różnych armiach, formacjach i na wielu frontach.

Ojciec, jako dwudziestolatek, wtedy saper, walczył przeciwko Armii Czerwonej w 1920 roku, a 23 lata później w Wojsku Polskim przeciwko Niemcom. W formacji tej, generała Berlinga, służył też mój brat przyrodni Mieczysław. Brat ojca Feliks był czołgista, drugi brat Ludwik – kawalerzysta, ich siostra Janina zaś, wraz z córką, moją cioteczną siostrą Haneczką służyły w Armii Andersa. Mąż cioci Marii trafił do niewoli radzieckiej i prawdopodobnie został zamordowany w Katyniu. Brat mojej mamy Jan był szefem grupy Polskiej Samoobrony przed ukraińskimi banderowcami w Radziwiłłowie, drugi brat Klemens służył na dworze ostatniego cara Rosji, był towarzyszem zabaw carewicza. Potem uczestniczył w wojnie rosyjsko-niemieckiej, a następnie przeszedł na stronę czerwonych i zginął w walce z „burżuazyjną” armią Piłsudskiego gdzieś na terenach Ukrainy Zachodniej w obwodzie czernihowskim w 1920 roku. Wiadomość takiej treści dotarła w latach 30. do Kłajmy pod Moskwą, gdzie mieszkała siostra Klemensa, Liza.

Do kombatantów miałem stosunek emocjonalny. Dzięki staraniom Komitetu Powiatowego partii, na skraju miasta stanął pomnik upamiętniający walkę żołnierzy – obrońców Pruszkowa we wrześniu 1939 roku. W Związku Inwalidów Wojennych, Związku Żołnierzy Ociemniałych i Związku Bojowników o Wolność i Demokrację trwał nieustający ferment polityczny. Ścierały się poglądy kościuszkowców z piłsudczykami, akowców z alowcami, żołnierzy Powstania Warszawskiego z „utrwalaczami” władzy ludowej. Różnice między nimi w spojrzeniu na te same sprawy były nie do uniknięcia. Szanowałem jednak wszystkie strony konfliktu politycznego i ideowego. Pewnego lipcowego dnia, z okazji Święta Narodowego, udało się zwołać na uroczyste spotkanie w sali teatralnej Domu Kultury w Piastowie prawie wszystkich kombatantów Ziemi Pruszkowskiej. Na tę uroczystość zaprosiłem Wojciecha Żukrowskiego i Leonida Teligę, który był wtedy lektorem KC PZPR. Po latach, w szufladzie, znalazłem moje wystąpienie na tym zgromadzeniu żołnierzy i partyzantów.

Mówiłem wtedy: „Działajmy wspólnie dla dobra Polski, ona jest jedna dla innych, inna dla drugich, ale wciąż ta sama. Nie każdy człowiek może, często przez zawiść i nienawiść, zrozumieć życie innego człowieka. Nasze wybory wynikają nieraz z przypadku, a najczęściej z wychowania. Nie denerwujmy się, dzisiaj ważniejsze jest to, by żyjąc, nie mnożyć konfliktów. Dokładajmy wszyscy starań, byśmy lata, które są do przeżycia, przeżyli jak najlepiej. Każdy z nas sądzi, że jego losy nadają się na fascynującą książkę. I to być może jest prawda.

Niech więc to będzie książka ułożona z naszych indywidualnych historii, wspólna książka o naszej Polsce, zawsze biało-czerwonej”.

Wojciech Żukrowski kontynuował ten wątek, fascynując go rozwijając. Leonid Teliga odpowiadał głównie na pytania związane z jego morską podróżą dookoła świata. „Powinniście pamiętać – mówił – by znaleźć sobie temat i cel, do którego będziecie dążyć. Jeśli się ma przyjaciół lub zajęcie, które człowieka wciąga, to nigdy nie jest się samotnym. Ja płynąłem dookoła świata sam. Nigdy jednak tam, na morzu, nie czułem się samotny. Płynąłem do Polski, ona na mnie czekała”.

Mnie i Wojciecha Żukrowskiego spotkało tego dnia wielkie wyróżnienie. Miałem zaszczyt otrzymać, wraz z pisarzem, nadaną nam przez Zarząd Główny Związku Inwalidów Wojennych, Złotą Honorową Odznakę. Ten miły dzień zakończył się jednak smutno. Siedząc z Teligą przy herbacie, zapraszałem go na kolejne spotkanie – w Milanówku. Powiedział mi wtedy, że wypływając swoim jachtem „Opty” w podróż dookoła świata, miał nadzieję, że umrze na morzu. „Niestety, nie udało się. Tylu ludziom narobię niepotrzebnie kłopotu. Jestem chory na raka. Nie lubię rezygnować z zaproszeń na spotkania. Takim ludziom, ludziom starym, zasłużonym ojczyźnie, odmawiać nie wolno”. To było jednak ostatnie takie spotkanie.

W latach 60. i 70., chociaż wówczas jeszcze w pełni nie zdawałem sobie z tego sprawy, życie pchało Polskę i jej mieszkańców na Zachód, w kierunku jego cywilizacji i dobrobytu. Władza zdawała się tego nie dostrzegać, ale właściwie nie mogła nic zrobić, będąc całkowicie zależna od ZSRR. Nadal, aparatczycy partyjni, graliśmy w tym, kierowanym przez szefa partii, a reżyserowanym z Moskwy, surrealistycznym spektaklu.

Przed siedzibę komitetu przy ulicy Drzymały podjeżdża wołga. Wysiada z niej szef władz wojewódzkich towarzysz Kazimierz Rokujący. Wchodzi do mojego gabinetu i mówi zatroskany:

– Macie *na powiecie* dużo rzeźni i ubojni? Różnych?

– No tak, tak, nawet sporo, a co się stało? – pytam z zaciekawieniem, odkładając fajkę i wstając zza biurka z ręką wyciągniętą na powitanie.

– Bo można by zbierać w duże beczkowsy krew, którą się teraz wylewa – K.R. siada, podaje mi rękę i natychmiast, dołączając drugą dłoń, przekształca ten gest w gestykulację przypominającą zagarnianie, zbieranie.

– I co dalej z tą krwią w beczkowsach, czy też krwiowozach? – pytam z jeszcze większym zaciekawieniem.

– Wywoziłoby się ją na przykład do Siedlec i używało do wyrobu kaszanki, a kaszankę rzucałoby się na rynek, żeby miała co jeść klasa robotnicza – rozmarzył się K.R.

– Ciekawy pomysł, towarzyszu sekretarzu, ale czy to się opłaci? – odparłem bez przekonania.

– Teraz jadę do Błonia, przeliczcie to i zadzwoncie do towarzyszy do Siedlec, powiedzcie, że to mój pomysł, poradzcie się. Będę wracał, to zajadę do was, może coś z tego wyjdzie – K.R. robi wrażenie, jakby myślał już zupełnie o czym innym.

Nigdy nie zajechał. A my, oczywiście, przeliczyliśmy. Koszty produkcji „polskiego kawioru” według metody towarzysza K.R. byłyby wyższe o 30 procent od obecnych.

Inna scenka. Trwają uzgodnienia kandydatur na listę wyborczą do Sejmu PRL. „Demokratyczne” uzgodnienia, oczywiście. Dzwoni telefon: „Słuchaj, jednego z waszych kandydatów odrzuciliśmy tu w województwie, nie będę ci teraz tłumaczył dlaczego, nie ma na to czasu, musisz pogłównkować i za dwie godziny chcę mieć nowego. Jak będziesz gotowy, zadzwoń. Cześć! A, i jeszcze jedno, Stefan poda ci, jaki on ma być”.

– Cześć Rysiek, pisz, już możesz? Kandydat musi spełniać następujące warunki: wiek 45–50 lat; robotnik z rodziny robotniczej lub chłopskiej; z dużego zakładu pracy, najlepiej z fabryki traktorów lub maszyn cyfrowych; po szkole zasadniczej lub technikum; niekarany; o dobrym światopoglądzie; członek lub kandydat partii (dobrze, jakby żona była partyjna); dobrze, jakby miał kogoś w wojsku, no, syna; ma dobrze mówić albo dobrze czytać, no wiesz, na trybunie; lubiany w środowisku, moralny i niepijący; członek brygady pracy socjalistycznej, racjonalizator; dobrze, by był odznaczony lub wyróżniony jakimś dyplomem. Sprawdź też, czy rodzice nie należeli (rodzice żony też) do jakichś wrogich organizacji, czy w rodzinie nie było...”.

Dalej już nie słuchałem.

Zebrałem instruktorów, zorganizowaliśmy burzę mózgów (a może to było pranie...) i znaleźliśmy kandydata, choć nie odpowiadał wszystkim kryteriom. Nie zadaliśmy mu pytania, czy chce, czy nie chce kandydować. Wiedzieliśmy, że będzie chciał. Nie myliliśmy się. Chciał i miał się później dobrze. W ten sposób wyprodukowaliśmy jeszcze jednego posła, a właściwie trybik do maszynki głosującej: „kto za, kto przeciw, kto się wstrzymał, nie widzę, nie słyszę, dziękuję”.

W tym czasie pilnie zbierałem materiały do mojej pracy magisterskiej na temat zaangażowania gospodarki niemieckiej w krajach arabskich Bliskiego i Środkowego Wschodu. We wrześniu 1970 roku, z plecakiem pełnym materiałów, pojechałem nad Bałtyk. Znalazłem tani pokój z wyżywieniem, w chacie rybaka, na dziesięć dni. Postanowiłem, na drugi dzień po spotkaniu z morzem, przystąpić do pisania pracy. Nazajutrz rano zapytałem gospodarza, jak dojść na plażę.

– Nie poblądzi pan, będzie ponad kilometr, za lasem, nasz pies pana zaprowadzi – mówiąc to, wypuścił z szopy czarnobiałego, średniej wielkości kudłatego psa, brudasa, który natychmiast przybiegł do mnie, obwąchał, liźnął rękę i położył się u nóg.

Wzruszył mnie. Kucnąłem, podrapałem go za uszami i zapytałem, jak się wabi.

– „Merda”, on z panem pójdzie, zaprowadzi i z panem wróci, proszę ruszyć, o, tamtą dróżką, a on pana wyprzedzi i będzie szedł przodem. Niech pan za nim idzie.

Codziennie szliśmy na trochę nad morze, siadaliśmy obok siebie na pustej plaży. Czytałem mu na głos moje „wypracowanie” z poprzedniego dnia. Słuchał pilnie, patrząc mi w oczy. Aprobował, merdając ogonem. Lato powoli umierało, ale było jeszcze ciepło. Szum morza wydawał się jakiś smutny, czasami zawiewał przenikliwy wiatr. Wtedy chroniliśmy się na zacisznej leśnej polance.

Mijały dni. Jutro wyjeżdżam. Do południa ułożyłem starannie według rozdziałów moje rękopisy i częściowo spakowałem plecak. Wczesnym popołudniem maszerujemy z Merdą gęsiego nad morze, chcę się pożegnać z Bałtykiem. Było wietrznie, więc i tym razem postanowiłem posiedzieć trochę na polance. Zdjąłem skórzany płaszcz, pamiętający jeszcze czasy płockiej budowy, rzuciłem go na ziemię. Zalegliśmy na skórze, ja patrzyłem w błękitne niebo, a Merda zamknął oczy, jakby spał, ułożywszy swój łepkę na mojej rozwartej dłoni. Nad naszymi głowami fruwał chyba ostatni już motyl odchodzącego lata. Lubię jesień, jej walkę z latem, łagodną na początku, ale stanowczą, aż do ostatniego listka. Żał mi lata, ale wiem, że musi ustąpić, że podda się. Nie pomoże mu ostatni promień słońca, motyl, jaskrawy ptaszek czy dojrzewająca jarzębina, zapach trawy.

Świat jest piękny, każda pora roku oddaje życie dla innej. Życie, życie... Żyć, nie umierać! Pies poderwał się i zaszczekał, ale zaraz umilkł. Do polanki zbliżał się człowiek, prowadząc rower z workiem umieszczonym na kierownicy.

– Co to, Merda, na sąsiada szczekasz? – odezwał się mężczyzna nieco przepitym głosem. – A pan, słyszałem, jutro już wyjeżdża? – kontynuował.

– Tak, przyszła pora. Dokąd to pan, z tym rowerem? Po piachu trudno jeździć...

– Wie pan, jak to jest, jak namnożą się nie w porę kocięta, to nie wiadomo, co z nimi robić, ich tu pięć jest, tych kotków, trzeba potopić w morzu, to chociaż ryby i mewy będą miały żarcie, bo z nich innego pożytku nie ma.

Poczułem się, jak bym dostał obuchem w głowę. A jeszcze przed chwilą było tak cudownie... Narzuciłem płaszcz i ruszyłem do domku rybaka. Pies biegał wokół roweru i obszczekiwał worek wraz z jego zawartością. Nie wrócił ze mną. W jego psim życiu wydarzyło się coś wyjątkowo interesującego. Zdradził mnie. Było mi podwójnie źle. Szybko dopakowałem plecak i poszedłem do autobusu. Godzinę później jechałem już do Warszawy.

W październiku złożyłem pracę i zdałem egzamin magisterski na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. W lutym 1971 roku odebrałem dyplom, podpisany przez prof. dr. Zygmunta Rybickiego i prof. dr. Klemensa Szaniawskiego. Miałem 38 lat.

## „Stolik zarezerwowany”

Z okazji uzyskania przeze mnie dyplomu magistra nauk politycznych koledzy domagali się zorganizowania hucznej imprezy, deklarowali przy tym poważny wkład finansowy. W tym samym mniej więcej czasie, latem 1971 roku, pomogłem Jurkowi w urządzeniu pierwszej wystawy jego prac malarskich w klubie „Uśmiech” przy ulicy Pięknej, niedaleko baru piwnego „Flis”.

„Walka Młodych” donosiła: „W ‘Uśmiechu’ jest nowa ekspozycja indywidualna prób malarskich II sekretarza KD – Jerzego Majchrzyckiego. (...) Jeszcze na nic się nie zdecydował. Próbuje różnych rodzajów malowania: i realizmu, i deformacji, i abstrakcji. Pokonuje opory technik plastycznych. Jest pod urokiem kolorów, a pewnie i materiału. Widać wprost, jaką radość sprawiają mu farby, płótno na blejtramie, pędzle. Pokazał dwa dobre obrazy: „Abstrakcję na czerwonym tle” i pracę bez tytułu – jakiegoś malowanego, nierzeźbionego – współczesnego „Chłopca wyjmującego z nogi cierni”. Oczywiście malarz niedzielny Rousseau – celnik też przeszedł do historii sztuki. Nam się jednak wydaje, że Jurek Majchrzycki powinien z tymi dwoma pracami pod pachą powędrować na egzamin do Akademii. Przecież maluje nie tylko w niedzielę, ale w każdej wolnej chwili”.

Siedząc we „Flisie” przy flakach i piwie, analizowaliśmy tę recenzję, układając jednocześnie listę obecności naszych kolegów na imprezie. Jeszcze dzisiaj zdążymy ich zawiadomić! Rozpocznijmy najlepiej jutro, w roboczą sobotę, od samego rana, w „Dwójce” przy placu Unii Lubelskiej, i metodą „zmiana lokalu” wieczorem dobrniemy na przykład do „Kameralnej” na Foksal.

– Połączenie obu okazji będzie bardzo sympatyczne – powiedział Jurek – ty pokażesz swój dyplom, a ja sparodiuję recenzję mojej wystawy.

– Dobra! Leć do roboty, Jureczku, i podzwoń do swoich. Ja zatelefonuję do moich, do zobaczenia jutro przed „Dwójką”.

Nazajutrz grupka naszych wiernych towarzyszy zabaw stawiała się w porze, którą wyznaczył moment otwarcia knajpy. Ze mną i Jurkiem było nas jedenastu.

Na początek zamówiliśmy nóżki w galarecie i po dwie setki wódki dla każdego, czyli tak zwaną „meduzę z lornetką”. To miało być na rozgrzewkę. Po tym mieliśmy się przenieść do „Budapesztu”. Niestety, kelner, jak jakiś *Culex pipiens molestus* [łac., komar brzęczący], zaczął krążyć wokół ochotczych konsumentów i w końcu namówił nas na danie, które opisał następująco: „kiszka najpierw gotowana, następnie zasmażana ze skórką i jabłuszkami, cebulą, boczkiem i jeszcze podsmażana na winie”. Do tego żubróweczka z trawką! Już po godzinie zabawa nabrała właściwych obrotów, czas upływał szybko i wesoło.

– Panowie – ktoś zawołał – już południe, czas zmienić lokal!

– „Południe? To co, że południe?” – zakrzyknął Jurek – „jeszcze nie czas

na naszą wędrowną! Jeszcze nie pojawiły się pszczoły! I powój, co przez okno wchodzi, i zapach na uzdrowisku. Wasze myśli durne jak woły, pod waszą siwizną, jeszcze nie błędzą jak na pustym klepisku!”.

Co to było? Co on wygaduje? W tym nie ma żadnego sensu! Pomieszały mu się jakieś wątki!

– Aleczku, dawaj sygnał do odmarszu, bo Juruś zaczyna prowokować!

– Czas w Polskę, bracia rodacy – huknął Alek – na „Budapeszt”!

– Jak w Polskę, to nie na „Budapeszt”! – wołał Kazik.

– O jaką Polskę chodzi? Niech się Słowacki wypowie!

– Słowacki? Dobra, niech będzie! – przekrzykuje wszystkich J.K. – „Szli wołając: ‘Polska! Polska!’ Wtem jednego razu chcąc krzyczeć, zapomnieli na ustach wyrazu (...) Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka, spojrzął na te krzyczące i zapytał: ‘Jaka?’”.

Przeczuwałem drakę. Szczególnie złym okiem patrzyli na siebie redaktor i literat. „Oj, pomyślałem – zaraz będą sobie udowadniać, o jaką Polskę walczymy! Muszę dać sygnał wymarszu, czas najwyższy!”.

– Dość rozpusty, obżarstwa i kłótni! Towarzysze Behemoty i wszystkie inne czarty, podążajcie za mną! – zawołałem. – W drogę, w drogę, mili bracia, za mną! Niech żyje nowy Matejko, Jurek Majchrzycki! Hura!

– Niech żyje magister Rycho, genialny politolog! – wrzasnął Jurek.

– W Polskę panowie, w Polskę! – wołali biesiadnicy.

Czas był najwyższy, bo Staś zaczął śpiewać, podążając w kierunku pani bufetowej: „Gdybym chciał, to bym ciebie zaraz miał, za złotówkę, jak tę Mańkę pokojówkę, gdybym tylko chciał”.

Kilku kolegów pozostało w „Dwójce”, reszta wesołym krokiem dobrnęła do „Budapesztu”. Elegancja tej knajpy jednakowoż nas nie satysfakcjonowała, choć wśród konsumentów był nawet jeden z muszką pod brodą. Nazwy potraw jednak nie brzmiały swojsko. Ruszyliśmy dalej i dotarliśmy do jakiejś restauracji między Placem Zbawiciela a Placem Konstytucji. Na stół wjechały flaczki z pulpecikami, posypane żółtym serem i zapieczone z masłem i tartą bułeczką. Pamiętam dokładnie. W takich wesołych kompaniach zawsze piłem o połowę mniej i pełniłem rolę prowadzącego. Tutaj natknęliśmy się na jakichś znajomych. Zaczęto łączyć stoły.

Gdy redaktor K. z „Trybuny Ludu” po wzniesieniu toastu za moje i Jurka zdrowie zaczął wygłaszać swoje genialne spostrzeżenia typu: „NRD to kolonia ZSRR. Bułgarzy to prawie Ruskie, a Rumuni to Cyganie. Czesi nie zrobili porządnego powstania, bo tylko piją cały dzień piwo. A Polacy odwrotnie. Stalin był Żydem, a Trocki Gruzinem. Wszystko pozostałe jest do dupy. Tylko Dzierżyński mógłby tutaj zrobić porządek”, postanowiliśmy się czym prędzej ewakuować. Wyszło nas czterech. Około godziny 21 Jurek, K., O. i ja stanęliśmy u progu „Kameralnej” na Foksal. Bramkarz bohatersko bronił drzwi. „Nie ma miejsc, panowie!” – informował kategorycznie.

– Dla mnie nie ma, dla mnie? – wrzeszczał F., urażony zapewne w swej godności wysokiego urzędnika partyjnego.

Nie chcieliśmy być świadkami tej idiotycznej draki, przepychanek i „zawodów” w przeciąganiu ciężkich żelaznych drzwi. Tuż za rogiem była nasza knajpeczka, ostatnia, jak sądziliśmy, przystań tego wieczoru. Zostaliśmy wreszcie sami. Artysta i politolog. Weszliśmy do baru (zwanego barem dla ubogich), by podsumować dzień i wypić ostatnią „lornetkę” pod naszą tradycyjną zakąskę składającą się ze śledzików w śmietanie z ziemniaczkami z wody, chlebka, maselka i oranżady.

Robiło się nudnawo, powoli trzeźwiliśmy, dalsze dopijanie pięknego dnia stawało się bezcelowe. I nagle pojawiła się myśl, by jeszcze na trochę odsunąć zbliżającą się melancholię z powodu bliskiego rozstania i powrotu do domu, mojego – do Ursusa, Jurka – na Ochotę.

Poprosiliśmy o rachunek i dwie kawy. Czekając na zamówienie, starannie odwinęliśmy opakowania firmowe z sześciu niezjedzonych pakietów masła (to oczywiste, że będą wliczone do rachunku jako skonsumowane), i do każdego z nich precyzyjnie włożyliśmy po jednym piecyku wyjętym z popielniczki stojącej na sąsiednim stoliku. Następnie z powrotem wszystko dokładnie zawięliśmy. Byliśmy pewni, że niedługo te porcyjki znajdą się w zestawie dań nowo przybyłych gości...

Zapłaciliśmy rachunek. Maselka ze stolika zostały sprzątnięte. Pijąc kawę w oczekiwaniu na spodziewane przedstawienie, toczyliśmy spór o to, czy kelner okaże się uczciwym facetem.

– Nie przepuściłby okazji do zarobienia dodatkowych pieniędzy, frajerze – Jurek na to.

– Ja jednak wierzę, że tego nie robi – powiedziałem z przekonaniem..

– Jeśli przegrasz, to postawisz bliny w *restoranie* [ros., restauracja], tu, niedaleko, w Domu Kultury Radzieckiej, no przecież wiesz, też na Foksals.

– Nie wiedziałem, że mają tam takie dania. A jeśli ty...?

– Co ja?

– Jeśli ty przegrasz zakład, to postawisz koniak ormiański, „Ararat”!

Czas płynął, kawa się skończyła, pora wychodzić. Nie udało się! Szkoda!

Z ociąganiem podążamy ku wyjściu, gdy nagle słyszymy wrzask: „Kelner, co to, petami każesz chleb smarować? Gdzie szef? Dawać go tu!”.

– Panie – rozlega się inny głos – u nas to samo, to chamstwo, gdzie Sanepid? Żądam Sanepidu! Co to za knajpa!?

Robimy głęboki wdech i chodu, tym bardziej, że za nami pędzi dwóch kelnerów, wołając: „To ta hołota, te gnoje, to oni!”. Umknęliśmy, uciekając w kierunku blinów. Przegrałem i muszę je postawić. Bliny naszym celem! Walimy do przyjaciół Moskali! Będzie pysznie!

W *restoranie* zatłoczenie kompletne. Tylko na małym podium stoi samotnie stolik z dwoma krzesłkami. Wchodzimy. Idziemy wężym ścieżką środkiem sali.

Siadamy. Ludzie gapią się na nas. Widać po minach, że stolik jest bardzo – jak dziś byśmy powiedzieli – vipowski. Istotnie, na szklanym blacie widnieje napis: „stolik zarezerwowany”.

– Przepraszam, wy iz *posolstwa*? [ros., z ambasady] – zwraca się do nas po cichu kelner.

– *Niet, my iz wystawki iskusstwa i wiesiołoj wstrieczy wiesiołych rebiat!* [ros., Nie, z wystawy sztuki i wesołego spotkania wesołych kolegów] – mówię, dodając: – Czy już nie gadasz po polsku, miły bracie?

– A może was zaprosił towarzysz dyrektor? – nie ustępuje kelner.

– Ależ oczywiście! Wczoraj „Życie Warszawy” podało, że zaprasza się wszystkich warszawiaków na potrawy kuchni rosyjskiej i radzieckiej. Tylko nie wiemy, czy jest coś takiego jak kuchnia radziecka, przyszliśmy sprawdzić!

– Jureczku, przestań – mówię głośno. – Przecież właśnie bliny, bliny, mój drogi!

– Prosimy zatem bliny i dwa koniaki – zamawia Jurek.

– Może być nawet bułgarska Pliska, prawda Juruś? Bo *družba bliska i nikakowo riska!* [ros., przyjaźń bliska i bez żadnego ryzyka].

– Panowie, tak nie można, ten stolik jest zarezerwowany! Dla gości pana dyrektora!

Kelner wyszedł zdenerwowany, tymczasem tu i ówdzie zaczyna rozlegać się śmiech. Niektórzy podpuszczają: „Nie ustępujcie, brońcie swego, brawo! Stolik to stolik, nie ma gorszych ani lepszych!”.

Podchodzi do nas jakiś elegancik i jeszcze raz zwraca nam uwagę na status stolika. Wobec tego bardzo prosimy o zamianę tego stolika na inny, który nie byłby zarezerwowany. „My do tego stolika nie mamy nic, proszę go sobie zabrać”. Wstajemy i znosimy go z podium, żądając innego z blinami i koniakiem. Kłaniamy się publiczności i siadamy w fotelikach na podium. Rozlegają się oklaski.

Podchodzi inny bubek, informuje, że reprezentuje Komendę Stołeczną Milicji Obywatelskiej i nakazuje nam natychmiast udać się na zaplecze. Jesteśmy posłuszni. Jeszcze raz kłaniamy się publiczności i zapraszamy na widzenie. Oklaski rozbrzmiewają ponownie. Wyprowadzają nas z lokalu. Podjeżdża czarna wołga i zostajemy uprzejmie zaproszeni do środka: „Wskakiwać, k...! Damy wam stoliczek, że popamiętacie!”.

– Obywatelu poruczniku, gdzie wieziemy, do izby wytrzeźwień czy na komendę? A może na śródmiejską, to przecież ich rejon? – pyta kierowca.

– Zatrzymajcie się pod latarnią, zobaczymy, co to za gagatki! Dawać dokumenty, dowody! Zaraz, zaraz, gdzie pracujecie, aaa, no pięknie, w aparacie partyjnym! Ładny przykład dajecie! Jedziemy na Kruczą, nie chcę z nimi mieć nic do czynienia. Zawracaj! – krzyknął porucznik do kierowcy.

– My tutaj nic nie narozrabialiśmy, to przez Ildefonsa! – odezwałem się wreszcie.



– To który z was Alfons, czy jak tam? To wy? – obywatel porucznik odwrócił się, wskazując palcem Jurka. Czy wy jesteście Alfons?

– Nie, nie ja, tylko Gałczyński, który będąc raz w Krakowie, siadł w kawiarni przy zarezerwowanym stoliku, i kiedy kelner zwrócił mu uwagę, to kazał zabrać stół i dać taki, co nie był zarezerwowany, jasne?

– Coś pieprzycie bez sensu, tutaj *na dzielnicy* z wami sobie poradzą. Sierżantcie, weźcie ich dokumenty i moją notatkę, zaprowadźcie na dyżurkę i tam poczekajcie, aż sprawa się wyjaśni, lub wsadźcie ich do aresztu, przyjedziemy po was za dwie godziny – powiedział waśniak i odjechał.

Zostawiono nas w „poczekalni”. Czas nam się nie dłużył, bo rozpoczęliśmy głęboką wymianę poglądów z prostytutkami, złodziejami, kieszonkowcami i żeńskimi bokserami, z obywatelami PRL, których systematycznie zwoziła milicja obywatelska. Około godziny pierwszej po północy zostaliśmy doprowadzeni do zastępcy komendanta dzielnicy, podpułkownika Safiana J., który właśnie miał dyżur. Safian J. okazał się być znajomym Jurka z zaocznych studiów magisterskich. Uściskali się serdecznie. Następnie Safian obudził w środku nocy swojego przełożonego, pułkownika Rafała P. i opowiedział mu anegdotę o Gałczyńskim, która stała się przyczyną naszych kłopotów. Mówił coś o oblewaniu dyplomu i wernisażu malarskim. Długo śmiał się do słuchawki telefonicznej. Potem odłożył ją na widełki, informując nas jednocześnie, że jesteśmy wolni. Pogratulował w imieniu szefa poczucia humoru i życzył spokojnej nocy! Jakiej nocy?... Była 2.30. Godzinę później Lilka, sympatyczna żona Jurka, posłała mi na amerykance. Zasnąłem natychmiast!

## Narastanie Gdańska

Z Jurkiem Majchrzyckim, który pracował wtedy w Komitecie Dzielnicowym partii na Ochocie chętnie dzieliliśmy się spostrzeżeniami, wątpliwościami i przemyśleniami. Niejeden raz rozmawialiśmy o tym, jak mogło dojść do krwawych wypadków gdańskich w 1970 roku, kiedy to, według oficjalnych danych, w wyniku pacyfikacji wystąpień robotników przez wojsko i milicję zginęły co najmniej 44 osoby, a ponad 1160 zostało rannych.

Ja byłem sekretarzem Komitetu Powiatowego w Pruszkowie. Bolało nas z Jurkiem to samo. Obserwowaliśmy narastające oburzenie społeczne. Mój przyjaciel informował mnie o sytuacji w Warszawie, odwzajemniałem mu się wiadomościami o pogarszającej się atmosferze wśród załóg robotniczych Pruszkowa, Ożarowa, Błonia i Zakładów Mechanicznych Ursus.

Często nasze rozterki topiliśmy w alkoholu, włócząc się po warszawskich knajpach w gronie podobnie myślących przyjaciół: Tycjana Leszczyńskiego, S.W., Waldka Sierakowskiego, Maksa Świejkowskiego, Ryśka Niedźwiedzkiego i wielu innych.

Pewnego razu zadzwoniłem do Jurka.

– Masz jakieś informacje o nastrojach w Warszawie? Czy już czytacie list Biura Politycznego KC o regulacjach i podwyżkach cen? Jutro mam zebranie w Fabryce Ołówków w Pruszkowie, przyjedzie sekretarz wojewódzki Z.Z.

– Ludzie są na skraju wytrzymałości! Wpadnij dziś wieczorem do mnie na Ochotę, to pogadamy. Wczoraj byłem na zebraniu partyjnym w tej właśnie sprawie w Instytucie Maszyn Matematycznych, przygotowałem notatkę. Dam ci przeczytać, powinno ci to dać do myślenia.

Rzeczywiście, dało mi to do myślenia i wpłynęło na stanowisko, jakie zająłem na zebraniu w „Ołówkach”.

### Notatka z przebiegu zebrania Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR w Instytucie Maszyn Matematycznych w Warszawie.

*Na zebraniu, na ogólną ilość 108 członków i kandydatów partii, obecnych było 67.*

*Po odczytaniu listu Biura Politycznego, w dyskusji zabrakło głosu 13 towarzyszy.*

*W trakcie czytania zebrani na sali reagowali śmiechem.*

*Dyskusja była nerwowa, a atmosfera napięta. W wypowiedziach wyczuwano się złość i przygnębienie.*

### Pytania i wypowiedzi.

- Czy zdrożeją czynsze, gaz, CO, ceny biletów tramwajowych i kolejowych?
- Dlaczego wzrastają koszty produkcji rolnej?
- Czy ponownie grozi nam regulacja cen?
- Jaki właściwie cel ma dzisiejsze zebranie, czy nie jest na nie za późno?
- Czy nie byłoby lepiej wprowadzić kartki żywnościowe, bowiem ucierpią tylko mało zarabiający, a „prywaciarzy” zupełnie nie będzie to dotyczyło?
- Proponowane zmniejszenie spożycia, jak wynika z moich obliczeń, nie będzie rekompensowane obniżką cen na artykuły przemysłowe. Lodówkę, telewizor lub pralkę kupuje się na całe lata, a mąkę, mięso i inne towary spożywcze codziennie. Ktoś tam w KC nie umie liczyć i wypisuje bzdury! (pracownik naukowy, tow. J.M.)
- Byłem w ubiegłym roku nad morzem i widziałem rażące różnice w cenach skupu ryb, są niewspółmierne do cen detalicznych.
- Proponuję, by w liście były rzeczowe i konkretne wyjaśnienia dotyczące trudności gospodarczych. Zbilansować trzeba wszystkie straty. Napisać prawdę. Dokonać nawet drastycznych podwyżek, ale ustawić gospodarkę na zdrowych, ekonomicznych zasa-

dach. Nakreślić perspektywiczny plan, tak by po pięciu latach wyrzeczeń doprowadzić do podniesienia stopy życiowej.

- Obecne decyzje gospodarcze nie gwarantują zupełnie stabilności cen. Toleruje się bałagan gospodarczy, na przykład nieustający deficyt w Hucie Warszawa. Tam są utopione pieniądze!
- Dzisiejsze zebranie jest zupełnie bezsensowne, informacja zawarta w liście Biura Politycznego niczego nie wyjaśnia, omija faktyczne przyczyny zaistniałej sytuacji. Dziesięć lat temu kupiłem pralkę SHL za 1500 zł, tutaj dowiaduję się, że jej cena spada o 500 zł i znowu będzie kosztowała 1500 zł. (pracownik księgowości, tow. D.M.)
- W 1950 roku partia i rząd obiecywały, że sytuacja gospodarcza będzie się systematycznie poprawiać, a jest coraz gorzej. Partia traci zaufanie wśród mas. Dziesięć lat temu robotnik otrzymywał 14 zł za godzinę + 30% premii. Dzisiaj ma tyle samo, a więc zarobki nie wzrosły i robotnik nie ma żadnych szans. (robotnik z działu gospodarczego, tow. K.L.)
- List jest przykładem na brak szczerości ze strony KC PZPR. (doktor, tow. S.F.)
- Dzisiejsza informacja partyjna jest w gruncie rzeczy nieprawdziwa i taki sposób traktowania nas, członków partii jest nieuczciwy, niepoważny i nie do przyjęcia (docent, tow. D.E.)
- Jeden z dyskutantów, tow. D.J. mówił, że istnieje mnóstwo prostych sposobów na wybrnięcie z wielu prezentowanych w liście problemów. Mamy obecnie zadłużenie w wysokości miliarda dolarów. Przy rozłożeniu na 5 lat wypada 200 milionów dolarów rocznie. Polska jest w stanie wyprodukować 40 maszyn matematycznych rocznie. Ich sprzedaż za granicę dałaby właśnie te 200 milionów.
- Należy zapewnić możliwość precyzyjnego, niezafałszowanego przekazywania oddolnej informacji do KC PZPR, bowiem na kolejnych szczeblach instancyjnych szlifuje się lub wyklucza te wiadomości, które nie są wygodne dla miejscowych kacyków. (profesor, tow. C.H.)

(W owym czasie wielu pracowników tego instytutu było po świetnych szkołach i kursach komputerowych w USA i Francji. Byli to wiodący informatycy, twórcy pierwszych w Polsce systemów komputerowych dla Polskiego Radia, Telewizji Polskiej i medycyny).

- Na zakończenie ostrą polemikę z postanowieniami gospodarczymi Biura Politycznego podjął tow. Askenazy (syn byłego dyrektora Międzynarodowych Targów Poznańskich, późniejszy dyrektor FSO na Żeraniu).

Moim zdaniem – pisze na koniec Jurek – jego wystąpienie jest całkowicie słuszne i wymaga obszerniejszego opracowania.

W Pruszkowie, tak jak w całym kraju, narastała atmosfera niepokoju.

– Towarzyszu – telefonuje Z.Z., sekretarz wojewódzki. Jutro będę u was na zebraniu partyjnym w „Olówkach” w sprawie listu Biura Politycznego, przygotujcie się do jego odczytania przed załogą.

– Dlaczego ja? – pytam zaskoczony.

– Bo nie ja, jutro przyjadę, to pogadamy!

Co się dzieje z ludźmi? Jeszcze kilka lat temu byliśmy na ty. Stawał przede mną na baczność, składając meldunek jako wychowawca i instruktor młodzieży, gdy byłem komendantem na obozie wypoczynkowym w Piławkach na Mazurach. Przyjechał zarobić kilka groszy jako student WSNS. Między innymi z Eksztajnem, późniejszym międzynarodowym sędzią piłki nożnej, stanowiliśmy świetny zespół instruktorski. Tymczasem wyjeżdża mi z towarzyszem! „Dam ci towarzysza, jutro na zebraniu!” – pomyślałem.

Na sali około 200 osób, członków i kandydatów partii. Siedzą w fartuchach i ubraniach roboczych, paląc podłe papierosy, których zapach łączy się z wonią kawy zbożowej z kotłów ustawionych w halach fabrycznych. Ponure spojrzenia młodych robotników spod czupryn i ściszone głosy smutnych kobiet w szarych chustkach na głowach dopełniają obrazu przygnębienia. Śmiertelna cisza towarzyszy powitaniu sekretarza wojewódzkiego partii. Miejscowy sekretarz udziela mi głosu w celu odczytania listu Komitetu Centralnego do członków i kandydatów partii w sprawie regulacji i podwyżek cen.

– Na polecenie towarzysza Z.Z. – mówię – mam wątpliwy zaszczyt odczytać ten list. Obowiązuje mnie jednak dyscyplina partyjna i muszę takie polecenie wykonać.

Poruszenie na sali.

– Nie komentujcie, czytajcie – zwraca się do mnie sekretarz Z.Z.

– Jeszcze nie komentuję, zrobię to na końcu – odpowiadam.

Moje bezczelne odzywki ożywiły salę. Ktoś krzyknął: „Nie gadać, czytać, bo do kolejki trzeba lecieć”, ktoś inny: „Nieważne, co usłyszysz, i tak zrobią, co zechcą!”.

– Proszę was, pozwólcie, to nie takie długie, szybko przeczytam!

W trakcie czytania przeze mnie listu jedna z kobiet, pakowaczka, wdowa, zawołała: „O Boże, jak ja teraz wykarmię dzieci?”. Głos zamarł mi w gardle. Opanowałem się, doczytałem do końca i powiedziałem: „A teraz będzie mój komentarz. Jestem sekretarzem Komitetu Miasta i Powiatu, wielu z was znam, mam tutaj przyjaciół i znajomych, jestem członkiem waszej organizacji. Chcę wam powiedzieć, towarzysze, że się z tym, o czym tutaj czytałem, nie zgadzam. Nie podzielam stanowiska Biura Politycznego naszej partii. Dziękuję za uwagę”.

Dyskusji nie było, zastąpiły ją przekleństwa i gwizdy mężczyzn oraz płacz kobiet.

Towarzysz Z.Z. wyjechał sfrustrowany. Ciekawe, czy pamiętał o tym zebraniu, gdy wiele lat później, w sierpniu 1980 roku, uczestnicząc wraz z Mieczysławem Jagielskim (przewodniczącym komisji rządowej prowadzącej negocjacje z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym w Gdańsku) w rozmowach z Lechem Wałęsą, podpisywał w imieniu Komitetu Centralnego partii zgodę na 21 postulatów „Solidarności”.

Nie zdążono mi wymierzyć sprawiedliwości partyjnej. Wkrótce potem decyzje zawarte w wyżej wymienionym liście Biura Politycznego i rządu zostały anulowane. Mimo to powoli narastał następny robotniczy bunt.

## „Nie ta dupa”

Karolin, siedziba „Mazowska”. Spaceruję z żoną i przyjaciółmi po parku. Czytamy wyryte na kamieniach napisy, upamiętniające występy zespołu na całym niemal świecie. Teraz jest tutaj cicho. Pani Miry nie ma wśród nas, ale jej dzieło, Państwowy Zespół Pieśni i Tańca nadal koncertuje za rubieżami Rzeczypospolitej.

Tak było i wtedy, w 1969 roku.

„Mazowsze” wojażowało po Stanach Zjednoczonych, a ja głowiłem się nad rozwiązaniem pewnego dylematu dotyczącego pani Miry Zimińskiej-Sygietyńskiej. Lubilem przyjeżdżać do Karolina, była tam dość liczna i prężna podstawowa organizacja partyjna. Z panią Mirą darzyliśmy się sympatią. Tym razem moja wizyta miała być jednak mało przyjemna. Otóż otrzymałem telefoniczne polecenie z Wydziału Kultury Komitetu Centralnego, by uczestniczyć w mieszanej komisji powołanej przez ten wydział i Ministerstwo Kultury w celu zbadania pewnej sprawy i wyciągnięcia odpowiednich wniosków w stosunku do dyrektora „Mazowska”. Z informacji, jakimi dysponowałem wynikało, że są skargi i dowody na to, że Mira Zimińska, będąc z zespołem za granicą, wypłaca jego członkom diety według własnego uznania, co nie było zgodne z obowiązującą wówczas ustawą dewizową. Niektórzy otrzymują nieraz trzykrotną dzienną stawkę, a inni nawet mniej niż jedną.

– Szarogęszenie się dyrektorki musimy ukrócić, przygotujcie, towarzyszu, warunki do pracy naszej komisji – powiedział zastępca kierownika wydziału.

– Proszę, dajcie mi tydzień. „Mazowsze” wraca ze Stanów dopiero za dwa dni, teraz nie ma z kim rozmawiać, sekretarz POP też tam tańczy i śpiewa – odparłem.

– Zgoda, czekamy na wasz telefon.

Dwa dni po powrocie „Mazowska” z USA uzgadniam wizytę z panią Mirą. Wstępnie sygnalizuję temat rozmowy. Po moim przybyciu sekretarka informuje, że jestem oczekiwany w gabinecie – na jego drzwiach widnieje napis: „Pokój wypoczynkowy dyrektora”. W „Mazowszu” była także kawiarenka dla członków zespołu, zwana „narzekalnią”.

Wchodzę do gabinetu. Pani Mira stoi przed otwartym oknem tyłem do drzwi wejściowych i pilnie wpatrując się w głąb parku, skrupulatnie drapie się w ty-

łek. Nie byłoby w tym nic zdrożnego, gdyby nie to, że ma sukienkę zarzuconą na głowę i jawnie demonstruje długie barchanowe majtki w tradycyjnym różowym kolorze. Chrząknąłem, chciałem uciec. Przestraszyłem się, że być może źle zrozumiałem i wszedłem nie w porę. Słyszę jednak zachętę, bym pozostał i się rozgościł. Pani Mira powoli zdjęła z głowy suknię i odwracając się, starannie ją wygładziła.

– Witam pana sekretarza, przepraszam, że nie było na co patrzeć, to już nie ta dupa z lat 30., a nawet 50. – mówiąc to, gestem ręki zaprasza, żeby usiąść.

– Czego się pan napije? Może kawy, przywiozłam jakąś brazylijską – pyta, uprzedzając jednocześnie, że oczekuje na połączenie telefoniczne z premierem Cyrankiewiczem i będzie musiała na chwilę przerwać naszą rozmowę.

– Oni mnie zwodzą, jeden odsyła do drugiego, a dach przecieka! – mówi wzburzona. – Wczoraj rozmawiałam z Lucjanem Motyką. Co z niego za minister kultury, kiedy nie ma głupich kilkuset tysięcy na remont dachu, by moje dzieci nie musiały ćwiczyć w sali, gdzie na głowy cieknie woda. Poskarżę się Józkowi, i niech się za łby wezmą.

– Pani dyrektor, dlaczego nie dzieli pani tych dolarów zgodnie z instrukcją? – zapytałem po wyluszczeniu sprawy, z którą przyszedłem.

– Będę robiła tak, jak ja rozumiem sprawiedliwość! Dziewczęta w tańcu, w tych strojach, tracą w trakcie koncertu wiele sił, po występie są naprawdę wyczerpane, a ten kacyk będzie mi komisję zbierał. Niech im pan powie, gdzie mnie mają pocałować, na nich właśnie tę starą dupę wypięłam – mówiła, nerwowo chodząc po pokoju. – Niejeden z obsługi błysnie światłem, poprawi kotarę lub na podium coś zmieni i ma czelność upominać się o taką samą dietę jak moi artyści! Nie, nigdy, niech zmieniają instrukcję albo mnie wyrzuca! – zakończyła.

– Pani Miro, proszę powiedzieć o tym panu premierowi. Niech premier porozmawia z ministrem kultury – poradziłem.

Posłuchała mojej rady.

Wróciłem do Komitetu Powiatowego, zadzwoniłem do KC i poinformowałem, że byłem świadkiem rozmowy dyrektorki Miry Zimińskiej z premierem, do którego zwracała się po imieniu, skarżąc się na Lucjana Motykę, że nie daje jej pieniędzy na ciekący dach. W związku z tym, ja nie chcę brać udziału w pracach komisji i wtrącać się w te sprawy.

Przypomnieliśmy sobie z panią Mirą tę historię jakiś czas później, gdy w latach 70. będąc konsulem w ówczesnym Leningradzie w Związku Radzieckim, wydałem przyjęcie z okazji występów „Mazowska” w tym mieście. Z tą uroczystością związane jest pewne wydarzenie, podczas którego znowu czułem się zakłopotany.

Otóż gdy na sali zebrał się cały świat kulturalny Leningradu i miałem zamiar oficjalnie powitać panią Mirę, honorowego gościa, a następnie mera miasta

i konsulów z placówek dyplomatycznych, stojąca blisko mnie dyrektor „Mazowska” powiedziała głośno:

– Co to, to nie, ja nie będę stała tutaj z wami, albo mi dacie jakiś fotel albo sobie pójdę gdzieś na kanapę, mnie też nogi bolą, choć nie tańczyłam.

Struchlałem, ale na szczęście zabrzmiały brawa, a ktoś szybko pospieszył z fotelem. I tak, pani Mira była jedyną osobą siedzącą na tym stojącym przyjęciu. Była przecież królową!

Przy okazji któregoś zjazdu KC PZPR opiekowałem się jedną z zaproszonych delegacji zagranicznych. I sekretarz KC Komunistycznej Partii Belgii, przyjaciel Edwarda Gierka, jeszcze z czasów, gdy ten pracował z nim w belgijskich kopalniach węgla, składał wizytę w siedzibie „Mazowska”. Po zwiedzeniu siedziby zespołu, w dużej sali ćwiczeń miała być pokazana wiazanka tańców mazowieckich, a po ich zakończeniu belgijski gość miał otrzymać pamiątkowy medal. W trakcie oczekiwania na występ, gość z Belgii zapalił papierosa. Gdy na chwilę odłożył go i odwrócił się, by z kimś porozmawiać, pani Mira podeszła do popielniczki i ze wstrętem zgasiła niedopałek.

Jeszcze dzisiaj widzę zdziwienie w oczach dostojnego gościa, który, sięgając po papierosa, nie znalazł go w miejscu, w którym go zostawił. Taka impertynencja chyba nigdy dotąd go nie spotkała! Czy poskarżył się Edwardowi Gierkowi?

## Przelicz te róże

I.Ł. poleca mi dopilnować, aby rachmistrz kupił kwiaty dla sekretarza KC partii Edwarda Babiucha, który wiele lat później został na krótko premierem. Żartowano wówczas w Polsce, że „nawet w dwa Edzie nie pojędzie”.

– A co, żeni się? – pytam głupio.

– Towarzyszu sekretarzu, nie róbcie sobie żartów, pojedziemy razem, porozmawiam z towarzyszem Krzysztofem, żeby nas umówił – ma urodziny dzisiaj.

– Kto ma urodziny, towarzysz Krzysztof czy Edward?

– Przestań się wygłupiać i pamiętaj, żeby róże były piękne, 25, przelicz dokładnie.

– Może jeszcze je poperfumować? Na 25. rocznicę urodzin to warto, sama młodość!

– Zachowujesz się nieodpowiedzialnie, przygotuj mi jeszcze życzenia na papierze czerpanym. Mamy jeszcze ten papier?

– Jest jeszcze kilka kartek, pošlę Tadeusza Rachwała do Konstancina-Jeziorny, żeby w fabryce zdobył dla nas więcej.

– Teraz tym sobie głowy nie zwracaj, zadzwoń do KC i zapytaj, czy już jest towarzysz Krzysztof.

– A kto to taki, ten Krzysztof?

– Towarzysza Edwarda osobisty sekretarz. I daj mi znać! Przelicz kwiaty!

W pociągu do Warszawy o tej porze prawie pusto. Jedni czytają „Trybunę Ludu”, inni „Trybunę Mazowiecką”. Jakiś szczęśliwiec trzyma na kolanach adapter Bambino. Musiał go chyba kupić w Milanówku, sekretarz stamtąd dzwonił, że wczoraj do PZGS-u kilka sztuk rzucili.

Sekretarz KC przyjmie nas o godzinie 15. Wtedy w imieniu klasy robotniczej Ziemi Pruszkowskiej złożymy mu gorące życzenia urodzinowe, wręczymy 25 róż, list na papierze czerpanym od wszystkich mieszkańców Pruszkowa, itd., itp. Odegramy jeszcze jedną sztuczkę na tej scenie. Wszyscy będą udawali – I., Edward i ja – prawdziwe będą tylko róże, 25.

Wysiadamy z pociągu elektrycznego w Śródmieściu, jest 12.30.

– Idź powoli i zaczekaj na mnie w KC przy szatni. Skoczę do Domów Centrum, to może dostanę jakieś sandały, bo te już mi się zupełnie rozleciały – powiedział I., spoglądając na swoje stopy.

– Co? Na skarpetki je włożysz?

– A co, to źle, nie można, to co, że zielone?

Tyle jeszcze czasu, co robić? Przypomniałem sobie, że skończył mi się tytoń do fajki, którą paliłem w tamtych latach. Skręciłem więc do sklepu na Kruczą. Okazało się, że mego pachnącego tytoniu nie ma, a dostawa być może będzie dopiero za dwa dni. Bez chwili zastanowienia wyjmuję z pięknego bukietu trzy róże i wręczam je miłej sprzedawczyni z życzeniami od pana Babiucha i oczywiście ode mnie. Kobieta, zmieszana, przyjmuje kwiaty i wyjmuję spod lady mój wymarzony tytoń. Placę, całuję w rączkę, nabijam fajeczkę i powoli zbliżam się do szatni KC. Ociagam się, kluczę po ulicach, wypijam małą kawę w kawiarence „Szpilek”. Wszystko po to, by wpaść w ostatniej chwili i uniemożliwić I., gdyby taka myśl przyszła mu do głowy, przeliczenie kwiatów.

Wchodzę do gmachu. Podbiega mój szef I. i złamanym głosem informuje, że nasza wizyta została przyspieszona o 15 minut. Biegniemy, może jeszcze zdążymy.

Niestety, nie zdążyliśmy. Towarzysza Babiucha wezwał Pierwszy. List z tekstem wymyślonych przeze mnie życzeń (co tu było myśleć, z „Trybuny Ludu” się wzięło...) i kwiaty odebrał Krzysztof. Na pewno wręczył je potem jakiejś swojej sympatii, miał zawsze duże powodzenie. Zresztą, jemu też się należały, bo czasami, w porywach, był fajnym kumplem.

Obserwowałem jego sukcesy i dalsze awanse. Zналиśmy się kiedyś blisko, piliśmy razem i obaj mówiliśmy ludzkim językiem. Kolejne Krzysiove awanse – przewodniczący RG FSZMP (Rada Główna Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej), sekretarz Komitetu Wojewódzkiego partii w Krakowie – powodowały, że coraz bardziej oddalał się od kolegów.

Zaledwie 20 lat po polskim październiku 1956 roku, 10 lat po moim Płocku, gdzie jeszcze młodzież patronacka mówiła językiem pozbawionym sztam, słysząc, jak na I zjeździe ZSMP (Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej) Krzysio przemawia do młodzieży:

„Bohaterstwo walki i pracy jest dla nas wielkim i nieprzemijającym wzorcem wychowawczym. Z ogólnonarodowych doświadczeń, z budzącego dumę dorobku Polski Ludowej, z myśli o dniu dzisiejszym i o przyszłości wyciągamy podstawowe wnioski, że Polska i socjalizm są nierozłączne, że niezawodnym przewodnikiem narodu jest nasza partia, że zespolenie wokół jej programu jest najlepszym wyrazem patriotycznej służby Ojczyźnie”.

Ten mit rozwieje się już za cztery lata.

## Celebrans

Co tam dzisiaj piszą w „Trybunie Mazowieckiej”? Jako sekretarz Komitetu Powiatowego partii w Pruszkowie musiałem być zorientowany, co słychać na Mazowszu, Kurpiach i Podlasiu. Głównie jednak interesowały mnie wiadomości dotyczące Pruszkowa i powiatu z jego setkami wsi i miast, takich jak Ursus, Piastów, Brwinów, Milanówek, Ożarów, Błonie, Podkowa Leśna. Jeśli się weźmie pod uwagę liczne fabryki zlokalizowane na tym terenie, choćby „TRAKTORY”, „OBRABIARKI”, „AKUMULATORY”, „KABEL”, „PORCELIT”, „OŁÓWKI” itd., a także dziesiątki szkół, szpitali, domów kultury i chlubę powiatu Karolin z jego „Mazowszem”, to prawie nigdy nie zdarzyło się, by w „Trybunie Mazowieckiej” nie znalazła się chociaż jedna wzmianka dotycząca mojego powiatu.

Zalałem wrzątkiem kawę w szklance, nabiłem fajkę tytoniem z „Peweksu” i zasiadłem wygodnie za biurkiem nad organem WKW PZPR. Od razu zwróciłem uwagę na wiadomość o śmierci mieszkanki Pruszkowa, zasłużonej działaczki ruchu robotniczego Ziemi Pruszkowskiej. Zmarła okazała się być siostrą H.S., sekretarza WKW, przyszłego członka Rady Państwa (kolegialny organ pełniący rolę prezydenta PRL). Zaniepokoiłem się. Będę musiał zapewne zająć się pogrzebem zmarłej, której rodzina zechce pochować ją na tutejszym cmentarzu.

Zastanawiałem się, czy powiatowa komisja historyczna ma jakieś dane na jej temat. Pomyślałem, że poproszę mojego kierownika ośrodka propagandy partyjnej Tadzia Rachwała, żeby na wszelki wypadek zaczął pisać mowę pogrzebową. Znał się na tym wyśmienicie, bo jeszcze kilka lat wcześniej był przecież księdzem.

Bąłem się kłopotów, tym bardziej, że nie tak dawno przeżyłem rozpaczliwe chwile podczas pogrzebu miejscowego działacza, byłego pracownika „OBRABIAREK”. Zameldowano mi, że grać będzie orkiestra zakładowa, mowę

ma trzymać sekretarz partii z jego fabryki, trumnę zaś z zasłużonym nieboszczykiem przewiezie specjalnie przystrojony wóz ciężarowy. Wszystko było dopięte na ostatni guzik. A tymczasem... Nie zagrała orkiestra, ponieważ poprzedniego dnia część orkiestrantów grała na weselu i nie wytrzeźwili. Samochód ciężarowy, wysłany do Łodzi po pręty stalowe, miał awarię. Sekretarz zakładowy musiał usunąć ząb na ostrym dyżurze. Przyszedł na cmentarz ze spuchniętą twarzą, nie nadawał się do przemówień.

Uroczystości pogrzebowe musiałem przesunąć o dwie godziny. Szczęśliwie udało się skompletować orkiestrę, wypożyczając muzyków ze straży pożarnej i innych zakładów pracy. Ledwo jednak powstrzymałem delegacje robotnicze i szkolne przed złożeniem wieńców na pustym grobie. Był lekki mróz i wiatr. Część uczestników zdołała się zaopatrzyć w środki rozgrzewające i teraz, dyskretnie, ku zgorszeniu młodzieży, robiła z nich użytek. Wreszcie przywieziono trumnę, odetchnąłem.

– A gdzie jest przemówienie przygotowane przez Komitet Zakładowy partii? Gdzie sekretarz?

– Tadzio, na litość boską, podaj mi chociaż nazwisko i imię, szybko, jak ma na imię wdowa!?

– Psia krew, w tym ferworze zapomniałem! Mam tutaj, w kieszeni, mowę pogrzebową!

Żeby cię szlag trafił, klecho jedna, pomyślałem, i z wściekłością wyszarpanąłem z jego rąk zwitek papieru. Pewno w poprzedniej roli wygłaszał niejedną mowę pogrzebową z głowy, którą zresztą miał nie od parady! A ja cóż? Czy sprawdzę się w roli celebransa w tej przymusowej sytuacji?

Powoli podsuwam się do trumny. Dla efektu będzie lepiej, jeśli wejdę na górkę świeżej, choć nieco już zmarzniętej ziemi wydobytej z dołu. Zdołałem jeszcze rzucić okiem na mowę, którą Tadzio wymiętosił w swojej kieszeni. Stojąc na tej kupie gliny i trzymając w ręku kartkę, postanawiam mimo wszystko mówić z głowy. Zwróciłem się do wdowy następującymi słowami: „Towarzyszko Magdaleno, przyszliśmy tutaj, by pożegnać waszego ukochanego, bohaterskiego, walczącego o sprawiedliwość społeczną męża, naszego przyjaciela Stefana, który...”. Nagle usłyszałem, jak towarzyszka Magdalena, zwracając się do mnie, woła:

– Waszego przyjaciela? Wy gnoje! A tyś, co za jeden? Odwalcie się ode mnie, nie potraficie nawet porządnie pogrzebu zorganizować?! A gdzie jest I sekretarz, gdzie dyrektor zakładu? Wieńce możecie sobie zabrać! Łaski nie potrzebuję, gorzej traktujecie nas, robotników, niż to sanacyjne przedwojenne bydło rządowe. Wstyd, hańba, nie potrzebuję waszej mowy!

Zamurowało mnie kompletnie, efekt był, ale nie taki, jakiego się spodziewałem.

Wdowa Magdalena szlochała. Ja nie wiedziałem, co robić ze wstydu. Tadzio uspokajał ją swoim księżowskim, łagodnym głosem. Orkiestra rozeszła się po

cmentarzu, żałobnicy zaś, niektórzy podchmieleni, umawiali się na dalsze picie, do roboty już nie zamierzali wracać. Zdążyłem jeszcze wrócić na posiedzenie egzekutywy. Opowiedziałem, co się zdarzyło.

Upomnienie otrzymali dyrektor naczelny zakładu i sekretarz partii. Polecono potrącić premię dyrygentowi, upomnieć pisemnie kierownika działu transportu. Zostałem zobowiązany do zwrócenia szczególnej uwagi na to, by w przyszłości ceremonie pogrzebowe miały bardzo uroczysty charakter.

– Tym bardziej, towarzysze – jak powiedział na zakończenie dłuższego wywodu I sekretarz, towarzysz I. – że nasi towarzysze coraz częściej będą odchodzić na wieczną wartę.

Po tym pechowym dniu siedzę w swoim pokoju, pogrążony w myślach. W czarnych barwach widzę siebie w roli organizatora i celebrysty pogrzebów. Chociaż znowu tak dużo ich nie ma, a może już, zanim stąd odejdę, żaden się nie zdarzy. Niech sobie żyją staruszkowie i staruszki nawet 150 lat! Moje ponure myśli przerywa dźwięk telefonu.

– Tu Wrębisz z wydziału propagandy WKW, czy mówię z sekretarzem?

– Tak, słucham, ale czy my się znamy?

– Nie, ja jestem nowy tutaj, teraz dzwonię z polecenia kierownika wydziału towarzysza D., który prosił, abyście – jak wiecie, umarła siostra naszego I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego – pomyśleli nad przygotowaniem dużej robotniczej delegacji pruszkowskiej, za trzy dni na Powązkach, na cmentarzu wojskowym.

– Tylko tyle? Tak? No to dobrze! – krzyknąłem radośnie do telefonu – zrobi się, będzie porządna delegacja, na którą godzinę? Co? Dacie jeszcze znać? Cześć!

Zapewne był zdumiony moim entuzjazmem.

Zawołałem natychmiast Tadzia, by podzielić się swoją radością z powodu tego, że pogrzeb starej działaczki ruchu robotniczego, siostry towarzysza Henryka odbędzie się w Warszawie, a my tylko przygotowujemy wieńce i delegacje robotnicze. Nie będzie to trudne, ludzie chętnie wezmą udział, bo dniówka będzie zaliczona, a nieobecność w pracy usprawiedliwiona... A Warszawa, to zawsze Warszawa, i zaopatrzenie tam lepsze!

Miałem nadzieję, że pogrzeb odbędzie się dość wcześnie, to i ja z Jurkiem obskoczę jakiś western. Gdy tak sobie siedzimy z Tadzim i palimy, on papierosy, ja fajeczkę, ciesząc się z takiego pozytywnego dla nas obrotu sprawy, dzwoni telefon.

– Tadzio, odbierz, nie chce mi się z nikim gadać, powiedz, że wyszedłem.

Rzeczywiście wyszedłem na chwilę do toalety. Gdy wróciłem, Tadeusz spacerował przygnębiony po gabinecie.

– Co masz taką minę, kto dzwonił?

– Dzwonił D., chciał z tobą rozmawiać, ale w końcu prosił, abym ci powtór-

zył, że masz przemawiać na pogrzebie siostry H.S., a jak będziesz miał jakieś pytania, to zadzwoń do niego.

Usiadłem, musiałem ochłonać.

– Tadzio, dlaczego ja?

– Dlatego, że im nie wypada. Jej brat to szef województwa. Musi być ktoś z Pruszkowa, wypadło na ciebie, jutro masz pojechać do nich, do WKW.

– A kto przygotowuje jej biografię?

– Oni mówią, że wezmą coś z komisji historycznej i muzeum ruchu robotniczego, a ty tego jutro nauczysz się czytać na pogrzeb.

– Tadeusz, ty też się przygotuj, będziesz stać przy mnie na wszelki wypadek.

Nazajutrz dowiedziałem się, że w pogrzebie wezmą udział dwaj członkowie Biura Politycznego (znali nieboszczkę jeszcze z działalności przedwojennej w ruchu komunistycznym i w ruchu oporu, na terenie Lewej Podmiejskiej) oraz egzekutywa WKW partii. Będzie kompania honorowa i orkiestra Wojska Polskiego.

Rzeczywiście, o oznaczonej porze wszyscy zgromadzili się nad grobem blisko 90-letniej staruszki, której nigdy nie miałem okazji poznać.

– To bardzo dobrze, że jej nie znałeś – mówi mi do ucha Tadeusz – nie będziesz miał tremy, a w ogóle wyobraź sobie, że trumna jest pusta i tyle!

Mimo jego znakomitych rad, trema bierze mnie jednak w swoje ramiona. Serce tłucze się jak oszalałe. Wolałbym sam tam leżeć! Czy musiała umrzeć w czasie mojej kadencji, czemu nie zgodziłem się zostać sekretarzem, jak mi radził Stanisław Kania, w Sochaczewie?

– Tadzio, stań blisko, będzie mi rażniej, że obok stoi kościelny z kropidlą...

Mowę mam na 10 minut, a to oznacza wieczność, ręce drżą, zimno w głowę i ciemno w oczach. Chwytam powietrze jak ryba, czuję, że za chwilę siądę na trumnie. Słyszę, jak Tadeusz szepcze do mnie za plecami:

– Nie denerwuj się, jestem twoim ministrantem, oni ciebie i tak nie słuchają. Mówisz w imieniu Najwyższego. Oni wobec niego są mali! Idzie dobrze!

Wzmocnił mnie tym. Dobrnąłem do końca i po słowach: „Ziemia ta, dla której tyle dobrego zrobiliście, niech wam lekką będzie”, usłyszałem za plecami: „Amen!”.

Co to znaczy staż księżowski... Szkoda, że nie on był sekretarzem, poszłoby mu znacznie lepiej niż mnie. Dopiero kilka lat później został sekretarzem Komitetu Gminnego w Lesznie pod Puszcą Kampinoską. Dobrze tam gospodarzył!

Opiliśmy mój udany występ w najbliższym barze „Pod Trupkiem”.

# Nowy ś(ś)wiat

Grudzień 1971 roku. Dzwoni telefon. Podnoszę leniwie słuchawkę. Podchodzę do okna, widzę, jak gromada psów wbiega za suką na schody Komitetu. Przedstawiam się.

– Słucham! Kto mówi?

– Roman Kunat, z Wydziału Zagranicznego KC.

Informuje mnie, że jutro mam się stawić na rozmowę do Ryszarda Frelka, kierownika wydziału. A najlepiej jeszcze dzisiaj. Upewnia się co do tematu mojej pracy magisterskiej na UW. Dyktuję: „Penetracja gospodarcza i polityczna NRF w krajach arabskich Bliskiego i Środkowego Wschodu w latach 1956–1966”.

– A jaki był temat twojej pracy w Wyższej Szkole Nauk Społecznych?

– „Strefa bezatomowa w Afryce (1957–1965)”.

– No tak, a jeszcze tyle lat pracowałeś na budowie Petrochemii w Płocku, to chyba będziesz pasował, znasz się na strukturach i ludziach w świecie budowlanym. Jesteś nam potrzebny!

Zdębiałem i ucieszyłem się jednocześnie. Wreszcie o mnie pomyśleli. W samą porę, siedzę tutaj już kilka lat, czekałem na swoją okazję, przemyślałem, gdzie by stąd uciec, i nagle taka propozycja! Bogu dzięki!

„Trybuna Mazowiecka” donosi 16 stycznia 1972 r.: „W posiedzeniu plenum Komitetu Miasta i Powiatu PZPR w Pruszkowie uczestniczył tow. Alfred Wałek, sekretarz WKW PZPR. Zwrócił się on do Plenum z prośbą o zwolnienie z dotychczas pełnionych obowiązków sekretarza KMiP Ryszarda Strońskiego, który przechodzi do pracy w Wydziale Zagranicznym KC PZPR. Plenum wyraziło zgodę na odejście tow. Ryszarda Strońskiego, dziękując mu jednocześnie serdecznie za wieloletnią, ofiarną pracę oraz życząc pomyślności na nowym stanowisku”.

Miesiąc później jestem w nowej pracy! Intrygujące! Wyobraźnię wspomagają marzenia. W tym samym pokoju co ja, przy swoich biurkach siedzą Józek Iżycki i Romek Kunat. Okna wychodzą na ulicę Nowy Świat. Zaglądają do nich gałęzie jedyne drzewa rosnącego przed KC. Gałęzie jeszcze uśpione, ale przyjdzie wiosna, rozwiną się! Czy ja też? Nie bardzo w to wierzę. Trudno brać mi to wszystko poważnie! Przypomniałem sobie, niedawno zasłyszany, trochę gorzki, warszawski dowcip:

– Jeśli staniesz tyłem do gmachu KC, co zobaczysz?

– Nowy ś(ś)wiat!

Tylko, że ja w tym gmachu pracuję, a ci, którzy kawał opowiadają, są na zewnątrz...

W zakresie moich obowiązków znalazła się między innymi odpowiedzialność za sprawy personalne i pracę organizacji partyjnych na polskich budowach eksportowych w Europie i innych częściach świata.

Często wyjeżdżałem z informacjami politycznymi dla pracowników polskich przedstawicielstw dyplomatycznych i biur handlowych w Czechosłowacji, ZSRR, NRD, Algierii, Tunezji, Maroku, a także w Wiedniu, Kolonii, Berlinie Zachodnim, Rzymie, Budapeszcie, Bukareszcie, Helsinkach, Atenach. Uczestniczyłem w rozładowywaniu napięć na budowach, łagodziłem konflikty, które pojawiały się między członkami załóg, dyrektorami, pełnomocnikami i asystentami – byli to pracownicy MSW – którzy często wtrącali się do nie swoich spraw.

Narada w gabinecie kierownika wydziału Ryszarda Frelka. Są wszyscy zastępcy i niektórzy inspektorzy. Po co mnie tutaj wezwano?

Frelek mówi, że jego odpowiednik z Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji przysłał list, w którym informuje, że Polska w ramach przygranicznej wymiany siły roboczej zatrudnianej w czeskich hutach szkła i przemyśle elektrotechnicznym, przysyła głównie dziewczyny o złej reputacji, które swoim zachowaniem wprowadzają zamęt i demoralizują czeską młodzież. Polki jakoby są seksualnie rozwiązłe i sięgają wśród miejscowej ludności zgorzenie. Żeńskie hotele, w których mieszkają polskie dziewczyny, zaczęto przyrównywać do domów publicznych. Organizowane są tam całonocne głośnie zabawy, które nie pozwalają mieszkańcom na wypoczynek przed pracą dla dobra... itd., itp. Frelek prosi, żeby to wyjaśnić i oczekuje na podjęcie jakichś kroków zapobiegawczych.

– Kto odpowiada za wymianę przygraniczną? Zdaje się, że to Rysiek Stroński? No i co ty na to? – zwrócił się do mnie kierownik.

– Zgadza się, towarzyszu Ryszardzie.

Na wyjaśnienie tej sprawy, łącznie z przygotowaniem pisma z odpowiedzią na list KC KPCZ, dostałem dwa tygodnie.

Ustaliłem, że w ramach umów międzypaństwowych, każdego roku do NRD i Czechosłowacji wyjeżdża kilka tysięcy młodych ludzi w celu uzupełnienia w tych krajach braków kadrowych. Dzięki temu na wsi i w małych miasteczkach wschodniej Polski zmniejszało się bezrobocie (którego oficjalnie nie było). Po powrocie z kontraktów podejmowali pracę jako wykwalifikowani pracownicy. Wyjeżdżała głównie młodzież katolicka, wychowana w skromności i bojaźni Bożej. Zastanawiałem się, czy ci ludzie rzeczywiście zachowują się w sposób opisany w informacji. Czy nakazy i zakazy rodzicielskie nie mają już swojej wagi? Matki na pewno ostrzegały córki: „Córuś kochana, trochę tam popracujesz, wrócisz i tutaj za męża się wydasz. Pamiętaj, nie zrób nam wstydu”. Muszę to rozgrzyźć.

Ułożyłem zatem następujący plan działania:

1. Zadzwoń na polskie budowle eksportowe w Czechosłowacji i ustalić liczbę zatrudnionych tam polskich lekarzy i pielęgniarek.

2. Zorganizować pod jakimś pretekstem badania lekarskie w żeńskich hotelach robotniczych.
3. Sporządzić wnikliwe sprawozdanie z tych badań, potwierdzone również przez czeskich lekarzy zakładowych, których należy włączyć do akcji.
4. Zwrócić się z prośbą do polskiej ambasady w Pradze o przeprowadzenie kontroli działalności kulturalno-rozrywkowej w czeskich przyzakładowych domach kultury i hotelach robotniczych. Sprawdzić, jaką część uczestników dyskotek w stosunku do Polaków stanowi młodzież czeska i żołnierze radzieccy stacjonujący w bratniej Czechosłowacji.

Mimo uszczypliwych uwag kolegów o charakterze zadania, jakie otrzymałem od partii, postanowiłem je solidnie wykonać. W końcu chodziło o honor Polski i jej morale!

O mojej misji od razu poinformowałem Pragę i umówiłem się na przyjazd.

I tak w ciągu dwóch tygodni ustalono, że spośród wszystkich zatrudnionych Polek w wieku od 17 do 22 lat 80% nie rozpoczęło jeszcze życia seksualnego, a prawie 70% uczestników tych zabaw i swawoli stanowi młodzież czeska. Bardzo częstymi gośćmi bywają także żołnierze Armii Radzieckiej oraz miejscowe władze i aktyw partyjny.

Nietrudno było przygotować notatkę. Odpowiednie dokumenty z lustracji działalności kulturalno-rozrywkowej i oświadczenia lekarskie stanowiły mocną podstawę do zwrócenia uwagi braciom czeskim na pochopne oskarżenia i niesprawiedliwe uogólnienia. Wkrótce kierownik Wydziału Zagranicznego KC KPCZ przeprosił Ryszarda Frelka za niesłuszne oskarżenia. Ja zaś dostałem inne trudne zadania...

W pałacu będącym obecnie siedzibą prezydenta RP, pod przewodnictwem wicepremiera Franciszka Kaima, odbywa się narada gospodarcza poświęcona współpracy z zagranicą. Znalazłem się na niej, bo akurat nikogo innego nie było w wydziale pod ręką. Podpisałem listę obecności w rubryce „przedstawiciel KC PZPR” i usiadłem przy końcu stołu. Wyjąłem opowiadanie Hemingwaya *Stary człowiek i morze*, włożyłem je między strony „Trybuny Ludu” i zacząłem czytać. Od czasu do czasu spoglądałem na stół prezydialny, ale nie nadążając za tematyką obrad, wołałem kontynuować ukradkiem lekturę. Nagle słyszę głośnie pytanie premiera, czy na sali jest obecny przedstawiciel KC. Struchlałem. Szybko jednak się opanowałem i wstając, przedstawiłem się. Kilkadziesiąt par oczu skierowało się w moją stronę.

– Mamy teraz zdecydować o bratniej pomocy dla Kuby, jest potrzeba wysłania towarzyszom kubańskim kilkudziesięciu pociągów ziemiopłodów, w tym ziemniaków. Trzeba to włączyć do planu rozliczeń finansowych handlu zagranicznego z Kubą, chyba że istnieje dyrektywa polityczna KC, by tej pomocy udzielić gratis. Proszę was, towarzyszu, o zdanie w tej sprawie.

Zamarłem, ciemno w oczach, szum w głowie od przyspieszonego bicia serca! Co ja mam powiedzieć? Przecież S.P., zastępca kierownika Wydziału Zagranicznego, wysyłając mnie na tę naradę, powiedział tylko: „Nie ma kto pójść

z kierownictwa. Nic nie będziesz tam miał do roboty, tylko tyle, że będziemy reprezentowani, jutro opowiesz, co było”. Powoli zebrałem się w sobie, odłożyłem gazetę na krzesło i w tym momencie premier poprosił, żebym się zbliżył do stołu prezydialnego i skorzystał z mikrofonu.

Po drodze układałem tekst, a już za chwilę oświadczam, że dyrektywa polityczna jest taka, by Republice Kuby, cierpiącej z powodu amerykańskiej blokady gospodarczej pomóc ze wszystkich sił. To ma być pomoc bezinteresowna dla bohaterstwa narodu kubańskiego niezłomnie walczącego z amerykańskim imperializmem. Mówiłem jeszcze kilka minut, uzasadniając decyzję KC. Wracając na miejsce, słyszałem po drodze, jak premier prosi o wpisanie takiej właśnie decyzji do protokołu narady.

– No i jak ci poszło? – zapytał S.P., gdy stawilem się przed jego oblicze. – Coś taki zmartwiony? – naciska.

– Przyszedłem się pożegnać i ewentualnie prosić o pomoc w znalezieniu jakiejś pracy po zwolnieniu mnie z wydziału.

– Coś się stało na wczorajszej naradzie u Kaima?

– Właśnie tak!

Wyznałem, że podjąłem decyzję o darmowych ziemniakach dla Kuby, że zaskoczono mnie, że nie wiedziałem, jaka jest wola polityczna Biura Politycznego.

S.P. słuchając mojej relacji, podskakiwał ze śmiechu na krześle.

– Dobrze zrobiłeś, stanąłeś na wysokości zadania, gratuluje!

Moim kolejnym zadaniem stało się wyjaśnienie nieprawdziwych, jak się później okazało, oskarżeń w stosunku do dyrektora naczelnego polskiej budowy eksportowej w Ilmenau w NRD.

W skardze przysłanej do Centralnej Komisji Kontroli Partii napisano, że dyrektor, były prezydent Krakowa, towarzysz S.G. jest nastawiony antypartyjnie, prowadzi hulawczy tryb życia, pogardza ludźmi, niesprawiedliwie ich ocenia. Anonim był wysłany w imieniu 103 członków i kandydatów partii.

Zastępca przewodniczącego komisji A. Urbański zlecając mi tę sprawę, polecił wyjaśnić ją w taki sposób, aby nikt na budowie nie zorientował się, po co przyjechałem. A już w żadnym wypadku nie wolno mi było informować o celu mojej wizyty dyrektora S.G.

– S.G. dość długo już przebywa za granicą i zapewne popadł w rutynę. Szczególnie mówiąc, mógłby go już ktoś zastąpić – usłyszałem.

– W jaki sposób mam wyjaśnić oskarżenia, nie rozmawiając z ludźmi na temat zarzutów postawionych w anonimie?

– Weź ten list i zastanów się. Będziesz musiał pojechać tam na kilka dni. Trzymaj się! Życzę powodzenia!

Po rozmowie w Berlinie z sekretarzem partii w naszej ambasadzie, uzyskałem obietnicę, że w razie potrzeby zwołania w tej sprawie zebrania POP na budowie, przyjedzie do Ilmenau ktoś z ambasady. Chciałem mieć świadka.



Nie było szansy wyjaśnienia zarzutów bez ujawnienia celu mojego przyjazdu. Raz kozie śmierć! Nie potrafię działać jak cichociemny, podstępnie wyciągając wiadomości od moich rozmówców. Brzydziłem się takimi metodami. Uważałem, że są nieuczciwe i nie przystają do partii nowego typu.

Po dwóch dniach pobytu na budowie poprosiłem dyrektora o rozmowę w cztery oczy. Pokazałem mu anonim. Po przeczytaniu listu dyrektor smutno się uśmiechnął i powiedział:

– Niech mnie gdzieś pocałują, to wszystko nieprawda. Nie pierwszy raz mnie opluwają, róbcie, co do was należy, mną się nie przejmujcie.

– Ale mnie to nie wystarczy. Poproszę sekretarza POP o zwołanie ogólnego zebrania i odczytam ten list. Zawiadomię ambasadę, by ktoś od nich przyjechał. Co pan na to?

– Nie jestem partyjny, wszystko mi jedno. Wiem, że muszę być na tym zebraniu, ale zrobicie, co zechcecie. Widocznie muszę komuś ustąpić miejsca.

Na zebraniu było 88 członków i kandydatów partii. Odczytałem list, skargę do KC. Dyrektor S.G. siedział obok przedstawiciela ambasady. Rozgorzała dyskusja, wszyscy domagali się ujawnienia paszkwilanta. Żadnych dowodów wskazujących na określoną osobę nie było. Całe szczęście, bo atmosfera była niezwykle napięta.

Ponieważ postąpiłem wbrew zaleceniom komisji kontroli, musiałem konsekwentnie brnąć dalej. Zaproponowałem tajne głosowanie. Na kartce trzeba było napisać jedno słowo: „tak” lub „nie”. „Tak” miało oznaczać, że zarzuty postawione w anonimie są prawdziwe. Po głosowaniu w urnie znalazło się 85 kartek ze słowem „nie” i trzy nieważne, puste. Dyrektor został oczyszczony! Zabrzmiały oklaski, wszędzie widziałem uśmiechy. Aby uczcić wynik głosowania, wprost z zebrania w otoczeniu robotników udaliśmy się do niemieckiej knajpy.

Około godziny 23 między żołnierzami radzieckimi a polskimi budowlancami wybucha awantura, poszły w ruch kufle i krzesła. Ktoś zawiadomił milicję. Funkcjonariusze wpadli z psami i zamiast załagodzić sprzeczkę, spowodowali, że rozgorzał prawdziwy bój. Teraz starli się z Polakami i Rosjanami. Mundurowi zostali zepchnięci na ulicę, a rozgrzani zwycięzcy, jeszcze przed chwilą przeciwnicy, serdecznie objęci wrócili do knajpy. Wznoszono toasty za przyjaźń narodów słowiańskich! Idylla skończyła się z chwilą pojawienia się żandarmów Armii Czerwonej, którzy nie zważając na protesty polskich robotników, zabrali swoich bohaterów do jednostki.

Do maja 1973 roku wyjeżdżałem wielokrotnie do naszych ambasad w wielu stolicach europejskich. Na zebraniach POP informowałem o sytuacji politycznej w Polsce. Wbrew zaleceniom kierownictwa KC, nie trzymałem się jednak ram, w których wolno było poruszać się prelegentowi. O ile wiem, koledzy z wydziału także pozwalali sobie na tych spotkaniach mówić o tym, co nas, Polaków bolało. Upewnialiśmy się tylko, czy sale spotkań są wolne od podsłuchu.

W Tunisie na przykład zebranie pracowników naszej placówki, poświęcone omówieniu sytuacji politycznej w kraju i partii, odbyło się w starożytnej Kartaginie nad morzem, gdzie pojechaliliśmy kilkoma samochodami osobowymi. Auta, pod opieką arabskich kierowców, pozostały na parkingu, my zaś odeszliśmy kilkaset metrów od pojazdów, by uniknąć ewentualnego podsłuchu. Niedawno nasi specjaliści wykryli pluskwy w jednym z ambasadzkich mercedesów. Co kilkanaście minut zmienialiśmy miejsce, rozsiadaliśmy się na kamieniach. W tym cudownym nadmorskim pejzażu mówiłem o szykujących się zmianach w kierownictwie partii i rządu. Tematy takie wzbudzały szczególne zainteresowanie, inne oczywiście też, jeśli nie były relacjonowane językiem „Trybuny Ludu”.

Prawie dwa lata pracy w Wydziale Zagranicznym pozwoliło mi uczestniczyć w niecodziennych wydarzeniach. Wiele z nich sam inspirowałem, niejednokrotnie narażając siebie i innych na kłopoty i rozczarowania. Zaprzyjaźniłem się ze starym łódzkim komunistą Antonim, kiedyś tkaczem. Pracował w Wydziale Ekonomicznym KC, zajmował się między innymi współpracą ze związkami zawodowymi. Wiele lat przesiedział w sanacyjnych więzieniach za organizację strajków robotniczych i udział w nich. W czasie okupacji działał w podziemnym ruchu oporu, był wielokrotnie ranny. Po wojnie elektryfikował wieś i organizował kursy dla analfabetów. Niedługo miał odejść na emeryturę. Życie poświęcił, jak sam mówił, wyzwoleniu klasy robotniczej z nędzy i poniżenia.

Kiedyś, w stołówce, zapytałem, czy był kiedykolwiek za granicą.

– Nie, nigdy – odparł.

– Pojechałbyś ze mną na jakąś budowę eksportową, na przykład do Niemiec Zachodnich. Niedługo mam być w Travemünde, niedaleko Hamburga. Polska buduje tam 13-piętrowy hotel. Są jakieś skargi na kierownictwo budowy, mam wolną rękę w wyborze partnera. Zaproponuję ciębie. W delegacji będzie także ktoś z Wydziału Budownictwa.

W polskiej misji wojskowej w Berlinie zostawiłem przywiezioną z Warszawy korespondencję i spotkałem się z kolegą Bolkiem Kulskim, jednym z pracowników misji. Bolek proponował nam zwiedzenie Berlina Zachodniego, a na zakończenie kino z jakimś „nieprzyzwoitym” filmem. Obawiałem się, że Antoni mocno przeżyje ten nadmiar wrażeń z kapitalistycznej rzeczywistości. Ja też byłem w szoku. Antoni rzeczywiście nie wyglądał dobrze. Milczał, obserwując ten inny świat. Całe swoje ideowe komunistyczne życie uznał zapewne w tym momencie za zmarnowane.

Nazajutrz ja, Antoni i R.D., instruktor Wydziału Budownictwa KC – kilkanaście lat później (w latach 1989–1991) doradca ministra finansów profesora Leszka Balcerowicza – wyruszyliśmy mercedesem do Travemünde, gdzie kierownik budowy wynajął dla naszej trójki domek od emerytów, którzy właśnie wybrali się na wypoczynek do Teksasu.

Dwa dni później przyjechała do tego domu sprzątaczką na skuterze. Antoni zapytał, czy to jest jej pojazd. Usłyszał w odpowiedzi, że przy takiej pięknej pogodzie woli jeździć skuterem niż swoim volkswagenem. Tego dla Antoniego było już za wiele. Prawie się załamał. On całe lata marzył o jakimkolwiek samochodzie. Nigdy nie było go stać na taki luksus! Jak to jest? Kto tu wygrał wojnę? Niemcy czy my, Polacy?

Wkrótce Antoni przeszedł na emeryturę, niedługo potem umarł. Został pochowany w alei zasłużonych na cmentarzu w swojej ukochanej Łodzi. Miałem wyrzuty sumienia, że tym wyjazdem nadważyłem jego wiarę w jakąkolwiek sprawiedliwość na tym ziemskim padole.

Nie byłem na jego pogrzebie – w tym czasie pracowałem już w Konsulacie Generalnym PRL w ówczesnym Leningradzie

1973–1977

## Jajem o stół

Późną wiosną 1973 roku zaproponowano mi stanowisko konsula w Konsulacie Generalnym PRL w ówczesnym Leningradzie. Skąd wzięła się taka propozycja? Jak wiadomo, Polska Zjednoczona Partia Robotnicza była, jak byśmy to dzisiaj nazwali, w koalicji z Polskim Stronnictwem Ludowym i Stronnictwem Demokratycznym. W związku z tym partie te rozdzielały między sobą stanowiska w rządzie, w poszczególnych ministerstwach, radach narodowych różnych szczebli i na placówkach dyplomatycznych.

Robota w Leningradzie trafiła się jednej pani z SD. Niestety, tylko na rok, bo na wniosek radzieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, pani M.G. została odwołana ze stanowiska konsula. Umotywowano to tak: „Towarzysze radzieccy nie wiedzieli, o czym z nią rozmawiać i czy o wszystkim można. Nie czuli się swobodnie, ponieważ wygłaszała czasami poglądy z innej, niemarksiowskiej pozycji. Ponadto Rosjankom zatrudnionym w polskim konsulacie kazała sprzątać swoje mieszkanie, robić sobie zakupy i, ponieważ miała sporą nadwagę, nawet ... myć sobie nogi”.

W Polsce krążył wówczas następujący dowcip. Gierek wrócił z kolejnej wizyty w Moskwie z blizną na policzku. – Co się stało? – pyta Jaroszewicz. – Ząb mnie rozbolał, trzeba było usunąć. – To niby w jaki sposób, przez policzek? – Nie inaczej! Przecież oni tam człowiekowi gęby nie pozwolą otworzyć.

Jak ja, z moim temperamentem i niewyparzoną językiem wytrzymam w takiej pracy – myślałem sobie. Jechać? Nie jechać? Rachunek ekonomiczny skłaniał jednak do przyjęcia propozycji. Na miejscu okazało się, że do przyjazdu konsula generalnego upłynie jeszcze jakiś czas. Na polecenie MSZ pełniłem zatem jego obowiązki. W końcu, po kilku miesiącach przyjechał. Ćwok, bez śladu ogłady towarzyskiej i najmniejszej znajomości podstawowych zasad rządzących zachowaniem ludzi pełniących taką funkcję. Już na drugi dzień zauważyłem, że z nogawki spodni wystają mu troki od kalesonów, które zapewne nosił stale, zimą i latem, wzorem polskich chłopów. Przyjechał wprost ze stanowiska sekretarza rolnego Komitetu Powiatowego partii z miejscowości E. Zasłużył sobie na awans, bo pomógł bratu zastępcy kierownika Wydziału Zagranicznego KC kupić za bezcen, w powiecie E., 10 hektarów ziemi. To były dostateczne kwalifikacje, by reprezentować Polskę za granicą...

Przygotowałem śniadanie powitalne. Zebrali się wszyscy pracownicy konsulatu. Na stole, obok różnorodnych, choć skromnych kanapek, znalazły się ugotowane jajka w skorupkach. Konsul generalny J.N. po wygłoszeniu drętwej

mowy zabrał się do... rozbijania jajek o stół. Nieźle się zapowiada, już go widzę na przyjęciach dyplomatycznych – pomyślałem. I nijak nie mogłem się z tym pogodzić. Często zwracałem mu uwagę na zachowanie się przy stole. Nie wypada wycierać nosa w płócienną serwetkę i czesać się nad talerzem – tłumaczyłem. W dodatku upijał się, chociaż nie był alkoholikiem, jak jego następca. Na zebraniu POP przy konsulacie niedwuznacznie dawałem do zrozumienia, że takie zachowania będą kompromitować nas, Polaków, w oczach dyplomatów innych państw akredytowanych w Leningradzie. Zgłosiłem wniosek o przeprowadzenie szkolenia na temat zasad bon tonu. Jednak członkowie partii poczuli się dotknięci, uważali, że to nie jest potrzebne. Nie można żyć w gorsecie protokołu dyplomatycznego, to drobnomieszczaństwo – przekonywali.

Na jednym z zebrań organizacji partyjnej, w wolnych wnioskach, zaproponowałem projekt uchwały w sprawie zobowiązania jednego z konsułów, by nie żałował dewiz i wstawił sobie zęby bądź zrobił protezę, żeby nie robić z siebie pośmiewiska. Projekt uchwały odrzucono, kolega się obraził, ale jednak po kilku miesiącach miał nowe piękne zęby. Konsul generalny J.N. na szczęście niedługo cieszył się swoim stanowiskiem; popełnił dużo głupich błędów. Został przeniesiony na jakąś mało znaczącą placówkę w Bułgarii.

Znowu kierowałem konsulatem i oczekiwałem przyjazdu następcy J.N. Wreszcie, po kilku miesiącach pojawił się. W Polsce był sekretarzem propagandy Komitetu Wojewódzkiego. Ten to dopiero pił! Nie zważał na przebyty zawał serca. Kupił sobie krokomierz; każdego dnia, jeszcze na kacu, wyruszał z nim na petersburskie ulice. Miał ambicję przejść codziennie co najmniej siedem tysięcy kroków. Wzmacniał serce! A po spacerze szukał okazji i pretekstu, by znowu się napić. O to nie było trudno. Bratał się ze wszystkimi, a z rosyjskimi sprzątaczkami, z którymi także pił, przechodził na ty. Niektórzy konsulowie lubili mu towarzyszyć; szczególnie konsul do spraw kultury, były redaktor tygodnika „Przyjaźń”.

Początkowo mieszkaliśmy z żoną na terenie konsulatu. Po roku przenieśliśmy się do apartamentu na Wyspie Wasiliewskiej, oddalonej od centrum dzielnicy miasta. Od amerykańskiego konsula tanio kupiłem volvo i dojeżdżałem nim do pracy. Było znacznie przyjemniej, mogliśmy teraz wychodzić z naszym pudłem Tonikiem na spacer nad zalew. Podczas mieszkania w konsulacie właściwie jedyną naszą rozrywkę stanowiła gra w brydża, choć nie było łatwo skompletować czwórkę. Wśród pracowników konsulatu nikt nie był brydżystą.

Mojej żonie podczas gry często partnerował emerytowany radziecki generał Melenas, którego przodkowie byli Polakami; mówił dobrze po polsku. Jego czołg w dniach wyzwania Warszawy w styczniu 1945 roku pierwszy znalazł się na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i ulicy Marszałkowskiej. Melenas nadał z czołgu otwartym tekstem (co z powodów wojskowych było całkowicie zabronione) radosną wiadomość po polsku, że Warszawa jest wolna. Meldunek ten został odebrany w Londynie – BBC wyłapało w eterze komunikat i pierwsze po-

dało go całemu światu. Wtedy jednak dzielny żołnierz nie miał o tym pojęcia, bo wraz z towarzyszami broni opijał zwycięstwo w ocalałym hotelu „Polonia” (do szyby w jego oknie kilka lat później przyciskałem nos).

Mnie przy brydżu partnerował polski generał, późniejszy wojewoda gdański, Mieczysław Cygan, studiujący strategię wojenną na tutejszej Akademii Wojskowej. Ten kulturalny i inteligentny oficer, z ogromnym poczuciem humoru i honoru, był mile widziany w naszym domu. Opowiadano o nim, że kiedyś, gdy szedł po Newskim Prospekcie z radzieckimi generałami, nie dał się przez nich zaciągnąć do żadnego sklepu. Postanowił poczekać na zewnątrz, spacerując. Pytano go o przyczyny takiego postępowania. Nalegano, żeby wyjaśnił. Wówczas powiedział, że polski generał nie wchodzi do sklepu w mundurze. W dodatku obawiał się, że zakupiony towar zawiną mu w gazetę...

W tym momencie przypominałem sobie opowiedzianą kiedyś przez mojego dziadka Michała historyjkę, która przydarzyła mu się w Petersburgu w 1911 roku, kiedy to z przyjacielem zwiedzali to miasto przy okazji zjazdu pracowników poczty i telegrafu imperium rosyjskiego. W tamtych czasach mieszczanie tutejsi, dla wyrażenia uszanowania, zwracając się do innych, dodawali do słów głoskę s. Dwaj przyjaciele postanowili sprawdzić, czy jeśli zdenerwują sprzedawczynię, nie zapomni ona o tym zwyczaju. Kiedy weszli do słynnego sklepu kupca Jelisiejewa, natychmiast podeszła sprzedawczyni i kłaniając się, zwróciła się do nich: „*Czewo, gaspada, żelajeties, pazwolties wam pamocz!*” [ros., Czego panowie sobie życzą? Czym mogę służyć?]. Podziękowali uprzejmie i kupili jakieś pamiątki. Wtedy obsługująca dama jeszcze raz grzecznie spytała: „*Pażalstas, skażyties, ili jeszcze wam czewo nadas?*” [ros., Proszę powiedzieć, czy jeszcze czegoś panowie potrzebują?]. Wtedy dziadek Michał odpowiedział: „*Balszoje spasiba* [ros., Bardzo dziękujemy], *bolsze ni ch...as nam nie nadas*” [ros., więcej ni ch... nam nie trzeba]. Musieli szybko uciekać, bo rozsierdzona dama, nie zapomniawszy o eleganckiej głosce s, krzyczała w ich kierunku: „*Balwans, chams, duraks, paszoł wons!*” [ros., Bałwany, chamy, durnie, idźcie precz].

Ilekróć na przyjęciach w Leningradzie zdarzało mi się usłyszeć wśród starej rosyjskiej inteligencji podobne s, tylekróć przypominałem sobie mojego dziadka Michała...

## Łapa niedźwiedzia

Jako pracownicy dyplomatyczni nie odczuwaliśmy szczególnych trudności w zaopatrywaniu się w artykuły żywnościowe, w buty, ubrania czy inne przedmioty codziennego użytku. W wyznaczonym dniu tygodnia przez godzi-

nę mogliśmy – przedstawiciele krajów obozu socjalistycznego – robić zakupy w specjalnym sklepie, nie tyle za żółtymi frankami, co za potrójnymi żelaznymi drzwiami. Wchodząc tam, należało przez domofon podać swoje nazwisko. Ja najczęściej mówiłem: Idzie Polska. Drzwi otwierały się automatycznie. Przejście przez krótki korytarz umożliwiało personelowi podgląd za pomocą judasza, czy przypadkiem nie wchodzi ktoś nieuprawniony. Można było kupić zachodnie modne buty, radzieckie czapki z nutrii, koszule, czasami złotą biżuterię.

Artykuły spożywcze, wcześniej zamawiane, do sklepu dla dyplomatów przywożono raz na tydzień. Owinięte w szary papier paczki, z zawartością nie zawsze zgodną z zamówieniem, odbieraliśmy osobiście. Dla urozmaicenia kupowaliśmy jakąś wymiętoszoną zieleninę i owoce na rynku kołchozowym. Pewnego razu śniady, o tatarskiej urodzie mężczyzna usłyszał, jak rozmawialiśmy z żoną, i podszedł, przedstawiając się czystą polszczyzną. Był kierownikiem kilkunastu sklepów spożywczych na rynku kołchozowym. Swoją profesję flecisty, po siedmiu latach pracy w filharmonii, zamienił, skończywszy następne studia – ekonomiczne – na pracę handlowca. Kiedy już serdecznie byliśmy zaprzyjaźnieni wyznał, że pracując w handlu, ma więcej okazji do „dodatкового zarobku” niż w branży muzycznej.

Roman Sułtanowicz Dominow był Tatarem wygnanym z Krymu. Jego brat pracował w Sztabie Generalnym Armii Radzieckiej; załatwił mu przed laty pracę w pionie zaopatrzenia wojsk radzieckich stacjonujących w Legnicy. Roman był tam wiele lat, nauczył się polskiego. Przed wyjazdem, na pożegnanie, dostał od polskich przyjaciół czarnego pudła. Ten właśnie pies był przodkiem naszego ukochanego Tonika, którego nam z kolei podarował Roman. Ten prezent, jak mówił, to rekompensata za najazd Tatarów na Polskę przed wiekami. W tej sytuacji musiałem zatem wybaczyć jego przodkowi, który niegdyś strzalał z łuku ugodził krakowskiego hejnalistę.

Romek zabierał mnie często za miasto, w miejsca, do których polski dyplomata mógł ewentualnie trafić tylko po wcześniejszym uzgodnieniu z odpowiednimi władzami. Dzięki temu mogłem oglądać ZSRR z bliska. W czasie kontroli GAI (Państwowa Inspekcja Samochodowa) siedziałem w milczeniu obok kierowcy, ubrany w szarą kufajkę upodabniającą mnie do przeciętnego radzieckiego obywatela.

– Mówiłeś, że jako kierownik tych kołchozowych sklepów zarabiasz 120 rubli miesięcznie. Jak zatem było cię stać na kupno już trzeci raz w ciągu kilku lat samochodu? Skąd miałeś pieniądze na dwukrotny rozwód i wyposażenie byłych żon w mieszkania i meble? – pytałem Romka.

– Mówiłem ci przecież, że bez kombinowania nie byłoby to możliwe. Wszyscy moi sprzedawcy kombinują. Ja też. Na przykład, tak jak wczoraj, dzwoni kolega z hurtowni, że przyszedł transport świeżych pomidorów z Białorusi, i pyta, ile wagonów chcę do swoich sklepów. Mówię, że dziesięć, pod warunkiem, że

obniży ich jakość o kilkanaście procent. I mimo, że są pierwszej kategorii, opisywane są jako towar kategorii trzeciej. Ja sprzedaję je, jak by były w najwyższym gatunku i uzyskuję nadwyżkę, dzielę się nią z kolegą, który dzieli się z tymi, którzy obniżali, protokołarnie, jakość pomidorów. I tak się dzieje z różnymi asortymentami. Często robimy machlojki na wadze lub importowanym piwie, wpisując je do faktur jako posledniejszego gatunku – tłumaczył mi przyjaciel.

– A ty z kim jeszcze się dzielisz, Romeczku? – drążę temat.

– Przemykam na przykład oczy na kombinacje moich sprzedawców. Poza tym przygotowuję paczki z atrakcyjnymi artykułami, po które od zaplecza przychodzą sędziowie, prokuratorzy, towarzysze z komitetu rejonowego i milicji – muszę mieć oparcie, a oni nie mają czasu stać w kolejce. Łapówkę muszę także dawać inkasentowi, który przyjeżdża po utarg.

– A jemu to za co?

– Posłuchaj. Każdego dnia utarg dzienny z moich sklepów wynosi około 100 tys. rubli. Sklepy zamykam o 20, o godzinie 21 przyjeżdża uzbrojony inkasent. Ja nie jestem gotów z obliczeniami, proszę go, by przymknął oko na swój grafik, jechał do innych sklepów. Daję mu za tę przysługę dziesięć rubli. Sklepów ma dziesięć, każdy oblicza, ile może w danym dniu ukraść. Konwojent oficjalnie zarabia miesięcznie 90 rubli. Od kierowników sklepów dostaje nieraz każdego dnia właśnie tyle!

Mówiłem ci kiedyś, że za etat sprzedawcy w budkach z piwem trzeba dać dużą forszę? – Roman kontynuował wykład o komunistycznej gospodarce.

Nie mogłem sobie wcześniej wyobrazić, jak tutaj można było zarabiać nielegalnie. Otóż można było, i to na wiele sposobów! Na przykład nie dolewano piwa do pełna, albo też zlewano niedopite do osobnego naczynia, żeby sprzedawać je ponownie bardziej nietrzeźwym klientom. W zмовie z dostawcą piwa (przywożono je w cysternach jak benzynę) zaniżano jego ilość. Kierowca otrzymywał swoją dolę za sam fakt dowiezienia w terminie piwa do budki. Jeśli nie dostał kilku rubli, omijał kiosk, przywoził piwo po wielu godzinach, tłumacząc, że miał awarię beczkowni. W ten sposób wymuszał łapówkę. Na stanowisko kierowcy dowożącego piwo czekano nieraz kilka lat. Za załatwienie takiego miejsca pracy kierownik transportu brał około 300 rubli łapówki.

Kiedyś, w bufecie publicznym, gdzie chciałem wypić piwo, spotkałem znajomego kelnera, który kiedyś pracował w wielkim hotelu i obsługiwał przyjęcia dyplomatyczne. Myślałem, że został wyrzucony z poprzedniej pracy. Otóż nie, po prostu tutaj, w tej marnej kantynie, jak mi szczerze wyznał, może więcej ukraść. Oprócz sposobów, o których dowiedziałem się od Romana, były też inne. Jakie? – spytałem. Na przykład klient, aby wypić piwo, musiał obowiązkowo kupić zakąskę – dwie suszone ryby. Większość klientów ich jednak nie jadła. Zostawało wiele kilogramów ryb, które personel piwiarni zabierał do sprzedaży poza knajpą. Rynek był chłonny, ludzie kupowali wszystko.

– Sam pan rozumie, że w tamtym hotelu takich możliwości dodatkowego zarobku nie miałem; niedawno się ożeniłem i mamy syna – mówiąc to, stawiał piwo, gwarantując jednocześnie, że jest ono z beczki przeznaczonej dla lepszych towarzyszy.

Zapłaciłem mu sowicie. Nie jadłem obowiązkowych suszonych ryb! Niech syn mu rośnie zdrowo ku chwale ZSRR, „gdzie tak wolno dyszt człowiek” [ros., gdzie tak swobodnie oddycha człowiek – fragment hymnu ZSRR].

W sklepach, gdzie sprzedawano chleb, zawsze czekały również, przygotowane wcześniej, połówki bochenków. Klienci nie wiedzieli, że ze środka każdego chleba wycinano kromkę, którą odkładano na bok. Nikt takiego uszczerbku nie dostrzegał. Krojczy zaś pod wieczór miał kilka kilogramów kromek chleba, którymi żywił rodzinę i karmił świnię. W ten sposób Kraj Rad rósł w siłę, ludzie żyli dostatnio, a gospodarka się umacniała. Komunizm utrwalał się, mimo że Rosjanie opowiadali złośliwe kawały.

– Co jest najlepsze na świecie?

– Oczywiście, komunizm!

– A co jest najgorsze?

– No to, że jest u nas, w Rosji!

Wszystko można było załatwić za *trioszkę* (3 ruble) lub *butylkę* (pół litra wódki). Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom ważnych towarzyszy i przyjaciół, Romek często informował ich, że dostarczono miód, orzechy lub świeże jabłka z Polski. Pewnego razu powiadomił, że ma w sprzedaży niedźwiedzia – została mu jeszcze jedna łapa, pozostałe zamówili towarzysze z Komitetu Wojewódzkiego partii.

– Kolega jest dyrektorem cyrku, niedźwiedź zestarzał się, nie występował już na arenie i trzeba było go uśpić, a łapa *miszki* to wyśmienity przysmak – zachęcał mój przyjaciel Tatar. Podziękowałem gorąco za pamięć, tracąc w ten sposób jedyną w życiu okazję posmakowania mięsa z zasłużonego artysty ZSSR.

Roman Sułtanowicz, kiedy przyszedł czas mojego wyjazdu z placówki, pożegnał nas w swoim prywatnym mieszkaniu. Na przyjęciu była cała jego rodzina, żona, mama i babcia, bliźni i dalsi krewni. Kilkanaście osób jadło i piło z kryształowych naczyń, przywiezionych kiedyś z Polski, gdzie Roman pełnił swoją cywilną służbę w Legnicy jako specjalista handlowy w dziale zaopatrzenia. Robił tam, jak mówił, bardzo dobre interesy, o czym świadczyła też niewątpliwie kryształowa zastawa. W głębokich wazach po same brzegi lśnił czarny i czerwony kawior. Na stołach stały najlepsze koniaki, szampany, importowane piwo i wino.

Był rok 1977.

## „Mój kraj jest w moich marzeniach”

Praca konsula nieraz zaskakuje niesamowitymi sytuacjami.

Kilka dni temu udzieliłem ślubu parze polskich muzyków. Dziewczyna i chłopak będąc na wielodniowych artystycznych występach w wielkim Kraju Rad, zapragnęli pobrać się akurat w Leningradzie. A dzisiaj... zajmuję się wyciąganiem z aresztu polskich drobnych przemytników.

Przed tygodniem Rosjanie zatrzymali dwóch pracowników obsługujących wagony sypialne Warszawy w pociągu relacji Warszawa–Leningrad. Przylapani na handlu zachodnimi apaszkami i eleganckimi damskimi chustami, siedzą w areszcie. Skonfiskowano im 50 chust i 130 rubli. Muszę im pomóc, bo grozi im nawet do pięciu lat tutejszego strasznego więzienia. Jadę do aresztu z naszym kierowcą, wspaniałym gospodarzem, kucharzem, zaopatrzeniowcem i moim asystentem przy ceremoniach udzielania ślubów Ryszardem Zacharskim. Po drodze układamy plan. Zbyszemy naszych przemytników tak, że Rosjanie zdębieją, a oni sami będą płakać i padać na kolana. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia i nowy, 1975 rok. Powinni te święta spędzić wśród swoich najbliższych w Polsce.



...kilka dni temu udzieliłem ślubu... (pierwszy z prawej autor)

– Panie Ryszardzie, musi pan im jakoś szepnąć, żeby aktywnie włączyli się w to przedstawienie.

– Spokojnie, już ja im to powiem, a czujność klawiszy uśpię podarunkami – wskazał na teczkę z polską wyborową. – Tutaj jest także dola dla prokuratora, sędziego i naczelnika aresztu; trzeba myśleć, panie konsulu – dodał.

W specjalnym pomieszczeniu przesłuchań oczekuje nas ważna komisja w siedmioosobowym składzie. Wprowadzają „przestępców”, którzy mają na sobie ładne mundury kolejarsko-warszawskie. Są całkowicie załamani, płaczą. Jeden pada na kolana – widzę, jak dyskretnie pociąga drugiego za nogawkę. Ten, już chyba 60-letni człowiek, też powoli obsuwa się na ziemię. Dopiero teraz wtacza się za nimi ważący 130 kilogramów pan Ryszard. Zrywam się na ich widok z krzesła. Wrzeszczę, by wstali z kolan, bo to im nic nie pomoże. Polska Ludowa ukarze ich przykładnie latami więzienia za poniżenie socjalistycznego kraju w oczach uczciwych obywateli największego naszego przyjaciela, Związku Radzieckiego.

– Jesteście łobuzami, złodziejami, pasożytujecie na ciele polskiej klasy robotniczej! Nie będziemy wysłuchiwać waszych kłamstw, wierzymy radzieckiej milicji, jeszcze dziś zawiadomimy pracodawcę, by was zwolniono dyscyplinarnie z pracy. Nie chcę was więcej widzieć! Zamknąć ich!

Opadłem na krzesło, chwytam się za klatkę piersiową, przepraszam za swoje zachowanie.

Zapraszają do naczelnika na herbatę, Ryszard wyciąga polską wyborową i kawę ziarnistą. Po godzinie rozmów... obu winowajców zabraliśmy do konsulatu. Dostali warunek: jeszcze tego samego dnia pociągiem o 23 odjadą do Warszawy. Tak też się stało.

Wcześniej w konsulacie dobrze zjedli, ogolili się, dostali po 20 rubli i wyszli na Newskij Prospekt, by kupić drobne prezenty dla swoich rodzin w związku ze zbliżającą się wigilią Bożego Narodzenia. Bardzo sympatyczni panowie wkrótce odesłali pożyczone z kasy konsulatu pieniądze i na noworocznej kartce życzyli mnie i mojej żonie, która ich nakarmiła pamiętnego dnia, wszystkiego najlepszego. Informowali, że otrzymali naganę za „chuścianą wpadkę” i jeżdżą teraz na trasie do Bukaresztu. „Też można żyć!”.

W połowie stycznia 1975 roku, po załatwieniu dość skomplikowanych spraw w Murmańsku pojechałem do Estonii z zadaniem wręczenia, w imieniu Rzeczypospolitej, pośmiertnie, Złotego Krzyża Zasługi Estończykowi, marynarzowi, który uratował dwóch polskich rybaków z tonącego polskiego statku. Sam przy tym zginął. Odznaczenie odebrała jego żona, nauczycielka języka rosyjskiego w jednej ze szkół średnich w Tallinie.

Towarzyszył mi pracownik MSZ Socjalistycznej Radzieckiej Republiki Estonii. (To ich ministerstwo było czystą formalnością, nie prowadzili przecież żadnej samodzielnej polityki zagranicznej. W zasadzie pilnowali dyplomatów,

jeśli któryś tam przypadkiem trafił). W uroczystości brali udział przedstawiciele centralnych estońskich władz KPZR. Po krótkim przemówieniu w języku rosyjskim i wręczeniu odznaczenia, odczytałem po polsku list ministra żeglugi skierowany do żony i dzieci bohaterskiego marynarza. Ku memu zdumieniu, adresatka listu dziękczynne przemówienie wygłosiła po estońsku. Tłumaczył je na rosyjski Rosjanin, przewodniczący rady zakładowej związku zawodowego z przedsiębiorstwa, w którym pracował jej mąż. Jeśli tłumaczenie nie było wierne, przerywała tłumaczowi, podpowiadając właściwe słowa. Była to wyraźna demonstracja. Wreszcie na zakończenie uroczystości żona marynarza podziękowała za pamięć i odznaczenie, które dla niej i jej dzieci będzie pamiątką po wspaniałym mężu i ojcu. To podziękowanie wygłosiła po polsku! Jaki był dalszy los żony marynarza, nauczycielki języka rosyjskiego? Miałem nadzieję, że od ewentualnych szykan uchronił ją polski Złoty Krzyż Zasługi dla jej męża!

Przedstawiciel MSZ Estonii w rozmowie ze mną dał wyraz swemu zatroskaniu, mówiąc coś o wzrastającym nacjonalizmie estońskim. Uśmiechnąłem się i zamiast mu wtórować, zapytałem o Polaków mieszkających w jego republice, i o to, czy można będzie kiedyś się z nimi spotkać. Nie umiał mi odpowiedzieć na to pytanie, ale obiecał, że o możliwości spotkania poinformuje niedługo nasz konsulat. Oczywiście, poinformował, ale nie nas, tylko swoje władze o moim pytaniu. One zaś poinformowały nasze władze. Zwrócono mi uwagę na niestosowność zadawania takich pytań.

I tak, powoli zacząłem zapracowywać sobie na opinię, która przyczyniła się do tego, że po powrocie z placówki straciłem – podobnie jak kiedyś w Płocku – pracę. Zadbał o to M.D., zastępca kierownika Wydziału Kadr Komitetu Centralnego, który uprzednio był radcą polskiej ambasady w Moskwie. Często przyjeżdżał do Leningradu, gdzie podejmował go konsul B.K. Do Moskwy wyjeżdżał dobrze zaopatrzony we wszelakie dobra przez B.K., który przypodchlebiał mu się w każdy możliwy sposób. Ja tego nie robiłem i dlatego po powrocie z placówki wiele miesięcy pozostawałem bez pracy.

Na szczęście wkrótce udało mi się znaleźć pracę w Ministerstwie Kultury i Sztuki w Zarządzie Szkół Artystycznych. To był los wygrany na loterii. Jako główny specjalista zajmowałem się tam rekrutacją młodzieży na studia w wyższych szkołach artystycznych za granicą. Z tej możliwości skorzystał mój syn, zdał niezbędne egzaminy i wyjechał do Pragi, gdzie studiował montaż i reżyserię telewizyjną. Pracuje do dzisiaj w Telewizji Polskiej jako uznany fachowiec. Jestem z niego dumny.

Jeszcze jednak jestem na placówce. Przygotowuję, pod nieobecność konsula generalnego, zaproszenia na pokaz mody polskiej. Będą między innymi konsulowie (wraz z małżonkami): Niemiec Zachodnich, Iranu, Japonii, Bułgarii, Francji, Finlandii, Stanów Zjednoczonych. Zaproszone są władze państwowe i partyjne obwodu leningradzkiego, nawiasem mówiąc kilkakrotnie większe-

go od obszaru Polski. Na pokazie będą obecni przedstawiciele świata kultury i sztuki: artyści, muzycy, malarze, projektanci mody oraz kilkudziesięciu polskich studentów.

Pokaz mody polskiej, prezentowanej przez piękne modelki, wzbudził entuzjazm i jednocześnie – w pewnym momencie – olbrzymią konsternację publiczności, kiedy zostały zademonstrowane stroje, spod których wyraźnie przeziierały piersi nieubrane w biustonosze. Jak się później okazało, był to pierwszy tak odważny pokaz mody w Leningradzie. Władze miasta gratulując, zachowały wstrzymieźliwość w wyrażaniu zachwytu. Od zagranicznych dyplomatów pochwałom nie było końca. Polska uchodziła wśród Rosjan za przedsiónek Europy Zachodniej, polskie czasopisma – „Przekrój”, „Kobieta i Życie” – były rozchwytywane.

Takie wydarzenia, jak to opisane powyżej, występy „Mazowsza” czy Teatru Narodowego z Danielem Olbrychskim jako Hamletem w dramacie Szekspira pomagały przetrwać te cztery lata w niezłym stanie psychicznym, mimo iż na każdym kroku należało się pilnować, by nie popełnić jakiejś gafy i nie obrazić gospodarzy. Miałem tutaj większą okazję niż w Polsce rozmawiać z ludźmi kultury, którzy przyjeżdżali do tego miasta na gościnne występy.

Daniel Olbrychski kiedyś w rozmowie ze mną bronił komsomolskiej młodzieży radzieckiej i przekonywał mnie, że ona świadomie, z autentyczną wiarą zmierza do określonego celu. Dziwił się, że ja, polski konsul, podaję to w wątpliwość. Pani Mira Zimińska z kolei żartowała, tłumacząc dosłownie ogłoszenie „*Obmien czasow*” [ros., wymiana zegarków], widniejące w witrynie zegarmistrza – koniecznie chciała zamienić obecne czasy na inne, te z jej młodości. Wtedy też reżyser Bohdan Poręba kręcił w Leningradzie film historyczny o generale Jarosławie Dąbrowskim. Rola tę grał aktor Zbigniew Malanowicz.

Każdego roku podczas defilady z okazji rocznicy rewolucji październikowej przedstawiciele placówek dyplomatycznych zajmowali miejsce z prawej strony głównej honorowej trybuny. Było zimno, przynosiliśmy trunki narodowe. Polscy konsulowie – wódkę Wyborową, japońscy – sake, bułgarscy – Pliskę itd. Najbardziej smakowała Wyborowa. Pili z nami także towarzysze radzieccy na służbie – poznawaliśmy ich po... obuwiu kupowanym w tym samym sklepie za żelaznymi drzwiami. Pochód szedł, oficjalne hasła rozlegały się przez megafony, a towarzystwo na naszej mniejszej platformie odwrócone do defilujących, głośno rozmawiało i na całego smakowało trunki. Niektórzy wymykali się do domu, by bez pośpiechu przygotować się do przyjęcia wydawanego przez towarzysza Grigorija Romanowa, I sekretarza Komitetu Obwodowego KPZR, członka Biura Politycznego i kandydata na I sekretarza Komitetu Centralnego.

Kiedyś na jedno z takich przyjęć przyjechaliśmy z żoną cztery minuty przed czasem. Tuż za nami wszedł towarzysz Romanow. Zajął odpowiednie miejsce w oczekiwaniu na gości. Nagle słyszę, jak w zdenerwowaniu pyta kogoś ze swo-

ich, dlaczego spóźnia się szef protokołu. Tymczasem już nadchodzi pierwszy gość – konsul generalny Bułgarii. Romanow bezradnie się rozgląda. Szybko podchodzę i mówię: „Konsul Generalny Bułgarii”. I tak, po kolei, przedstawiam następnych. Ostatni wszedł Japończyk. Mówię: „Konsul Generalny Japonii”. Odwrócił się, uśmiechnął i cicho powiedział: „To na szczęście widać. A kim wy jesteście?”. „Ja? Przedstawiciel Polski!”. „Dziękuję” – podziękował, podając mi rękę.

Po wysłuchaniu przemówienia Romanowa i wzniesieniu toastu za pokój na całym świecie, podszedł do mnie szef miejscowego przedstawicielstwa MSZ z Moskwy i poprosił, abym stanął obok I sekretarza – na jego prośbę – z jego prawej strony. Stałem, nalał mi kieliszek wódki.

W pewnej chwili pochodzi do mnie Hans Streicher, nowy konsul RFN i nachylając się przez stół, z kieliszkiem w ręku, już mocno pod wpływem alkoholu, przedstawia się. Mówię, że słyszałem o jego niedawnym przyjeździe, i mam nadzieję, że się spotkamy w innych, bardziej sprzyjających okolicznościach, wtedy dłużej porozmawiamy. Uparł się jednak i proponuje, abyśmy wypili nasz prywatny toast. Zgadza się i mówię, że jest taki toast, bliski dla wszystkich bez względu na różnice polityczne i ustrojowe. Wypijmy więc za wspólną ideę, o której przed chwilą mówił Grigorij Romanow, za pokój. Wówczas Hans głośno oświadcza, że on ma swoją ideę i za nią proponuje wypić.

W ułamku sekundy przebiegła mi wtedy przez głowę rozmowa z pewnym starszym panem, długoletnim polskim dyplomatą, dyrektorem Departamentu Łączności w MSZ, który przed moim wyjazdem do Rosji, w 1973 roku, rozmawiał ze mną na różne tematy, między innymi dotyczące zachowania tajemnicy.

– A, to pan jedzie do przyjaciół, no to nie mamy wiele do mówienia, nic tam nie grozi. Chociaż, z drugiej strony, należy pamiętać – kontynuował, uśmiechając się filuternie – że w którymś tomie swoich dzieł Lenin podobno ostrzegał przed zbytnią gadatliwością i otwartością.

– W którym? Warto wiedzieć! – zainteresowałem się.

– Na tym właśnie polega problem, że nikt do chwili obecnej nie znalazł tej złotej myśli... W każdym razie wolę pana ostrzec, żeby uważać na to, co i w jakich okolicznościach się mówi.

I zamiast prowadzić pouczającą lekcję na temat podsłuchów, prowokacji i temu podobnych niebezpieczeństw, z którymi może się spotkać dyplomata na placówce, postanowił opowiedzieć mi anegdotę o prawdziwej dyplomacji, jaką jest dyplomacja socjalistyczna.

– Nasza dyplomacja kieruje się prawdą i tylko prawdą! Zdarzyło mi się kiedyś grać w karty z ambasadorem jednego z krajów kapitalistycznych – mówił starszy pan. – Cały czas byłem czujny, wiedziałem bowiem, że zachodnim dyplomatom, jak zresztą wszystkim innym, nieobce są kłamstwa i oszustwa, nie wyłączając gry w karty. Tamta gra polegała na tym, że wygra ten, kto zgromadzi największą ilość asów. Rozgrywka zbliżała się do końca, w ręku miałem komplet



asów, a mój partner mówi, że ma... piątego! Niech pan sobie wyobrazi wynik gry, gdybym w ostatniej chwili nie dostał szóstego asa!...

Gdzie jest mój szósty as, do cholery, przecież on zaraz zapędzi mnie w kozi róg – myślę gorączkowo. Mam! Eureka! Teraz cię złapię, mój Hansie! „Dobrze – mówię – niech tak będzie, pan pije za swoją ideę, a ja za swoją, ale nie kieliszeczkami, tylko szklanką!”. Ustawiam szklanki i nalewam do pełna jakiegoś smirnoffa. Niemiec chwyta szklankę, podnosi ją do ust, i gdy ja wypijam, jak ostatni głupiec do samego dna, on swoją powoli odstawia. To był jego siódmy as! Przegrałem. W ostatniej jednak chwili wyciągam z talii... ósmego asa i mówię: „Wypiłem za ideę, o której mówił pan Romanow – pokój zwycięży!”. Hans zdenerwował się, przechylił szklankę i wypił do dna. Rozległy się jakieś okłaski, ale żona prowadziła mnie już do czarnej wołgi, gdzie czekał szofer Grisza.

Około południa następnego dnia zostałem poproszony do przedstawicielstwa MSZ, gdzie przekazano mi pozdrowienia od Grigorija Romanowa oraz gratulacje za postawę, jaką wykazałem na przyjęciu w dniu rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Do gratulacji towarzysz Pierwszy dołączył butelkę najlepszego ormiańskiego koniaku.

Miałem paskudne szczęście, że często w czasie ważnych wydarzeń nie było akurat szefa placówki. Kiedyś do Leningradu przybył z oficjalną wizytą Jerzy Olszewski, minister handlu zagranicznego i gospodarki morskiej. Na jego życzenie zorganizowałem w niewielkiej salce w konsulacie przy ulicy Rylejewa, kameralne nieoficjalne spotkanie. Byli obecni wszyscy sekretarze Komitetu Obwodowego KPZR z Romanowem na czele oraz mer miasta, przyszły premier Federacji Rosyjskiej.

Powitałem gości i delegację z Polski. Wzniosłem toast za przyjaźń obu narodów, życzyłem zdrowia i pomyślności Romanowowi i Olszewskiemu. Wyborowa, bigos i wyśmienite polskie zakąski, przygotowane przez żony pracowników konsulatu, sprzyjały ożywieniu i odprężeniu. Posypały się kawały. Aktywny w opowiadaniu był polski minister, ale w pewnej chwili stwierdził, że teraz kolej na konsula. „To ja przedtem opowiem – odezwał się Romanow – jak wasz konsul z niemieckim konsulem pił wódkę na moim przyjęciu”. Wszyscy głośno się śmiali. To mnie ośmieliło i zacząłem...

– Niedawno ze Stanów Zjednoczonych przyjechał do Leningradu były obywatel Petersburga, który opuścił ojczyznę jeszcze przed rewolucją. Chciał przed śmiercią zobaczyć swoje rodzinne miasto. W drodze z lotniska pyta kierowcę taksówki: „Czy jest Newskij Prospekt, jak za cara?”. Kierowca na to: „Ależ oczywiście!”. „A czy są sklepy Jelisiejewa, jak za cara?”. Kierowca: „Pewnie, że są!”. „A kto rządzi w Petersburgu?”. „No jak to kto, mówi ze zdziwieniem kierowca, cały świat o tym wie, Romanow! A wy tam, w Ameryce, nie wiecie?”. Na to przyjezdny: „Patrzcie, patrzcie, jak nas w tej Ameryce oszukują! Gdybym o tym wiedział, przyjechałbym o wiele wcześniej, przecież nic się nie zmieniło!”.

Na kilka sekund, długich jak wieczność, zaległa martwa cisza, nikt się nie zaśmiał, wszyscy patrzyli na Romanowa. On chyba też w pierwszej chwili nie wiedział, jak zareagować. Spojrzał na mnie i zapewne dostrzegł w moich oczach przestrah, kiedy nagle zrozumiałem moją gafę!

To go musiało rozbroić, bo nagle powiedział tylko: „No, ładnie, ładnie, towarzyszu konsulu!...”, i serdecznie się roześmiał. Inni za nim. Posypały się okłaski. Powszechnie było wiadomo, że Romanow nie ukrywał samouwielenia, czuł się carem!

Innym razem, na przyjęciu z okazji urodzin cesarza w konsulacie generalnym Iranu podeszła do mnie żona konsula generalnego Niemiec Zachodnich i w trakcie rozmowy o niczym, zapytała prowokacyjnie, czy oprócz języka rosyjskiego znam inne. Zdenerwowało mnie to, i odpowiedziałem, że niestety żadnych języków zachodnich nie znam, albowiem specjalizowałem się w językach orientalnych. Znam dobrze chiński i japoński. Niech wie, wstrętny babsztyl, że polscy dyplomaci pod każdym względem są dobrze przygotowani do służby zagranicznej. Byłem spokojny, że nie będzie miała okazji, aby sprawdzić mój talent lingwistyczny. Na przyjęciu nie było żadnego Chińczyka, ale ku mojej rozpaczy, okazało się, że był obecny konsul japoński. Zacząłem się obawiać, że wścibska Niemka zechce mnie sprawdzić. Z daleka spostrzegłem, jak obserwuje, czy będę rozmawiał z konsulem japońskim. Rozmawiałem z nim, a jakże, sam do mnie podszedł i zaczął mówić... po polsku. Okazało się, że pracował kilka lat w konsulacie w Krakowie.

Pewnego razu uroczyste przyjęcie w naszym konsulacie z okazji święta narodowego wypadło w czasie, kiedy na orbicie nastąpiło połączenie dwóch statków kosmicznych, amerykańskiego Apollo i radzieckiego Sojuza. Witalem gości i konsulów, stojąc z żoną przed salą bankietową. Amerykański konsul spóźnił się, chociaż siedzibę przedstawicielstwa jego kraju od naszej placówki dzieliło nie więcej niż 200 metrów. Dłużej nie mogłem czekać, trzy minuty po określonej godzinie wygłosiłem krótkie przemówienie okolicznościowe, podkreślając między innymi osiągnięcia ZSRR i USA, i szczęśliwie przeprowadzone połączenie w kosmosie. Po pierwszych toastach, pojawił się, spóźniony, konsul generalny USA. Serdecznie mnie przeproszał, tłumacząc się oglądaniem w telewizji powtórki sprawozdania z połączenia obu statków. Pogratiłowałem osiągnięcia i wyraziłem nadzieję, że to wydarzenie zapoczątkuje serdeczną przyjaźń i współpracę obu narodów, amerykańskiego i radzieckiego. Uśmiechnął się, poklepał mnie konfidencko po plecach, po czym zacisnął obie ręce w pięści, między palce wskazujące i środkowy wsunął kciuki i tak uformowane figi zetknął kilka razy ze sobą. Gest ten miał symbolizować połączenie kosmiczne, które rokuje właśnie taką przyjaźń, jak te dwie skierowane ku sobie figi... Nie zaskoczył mnie tym komentarzem.

W pewien wiosenny dzień konsul do spraw morskich Kazimierz Moniak, człowiek szlachetny i kulturalny, poinformował mnie, że podczas mojego po-

bytu w Moskwie zgłosiła się pewna starsza pani z prośbą o załatwienie formalności wiążących się z odebraniem urny z prochami jej męża. Wczoraj zostały spopielone w tutejszym krematorium, urnę należy przygotować do ekspedycji do Polski.

– Jak dobrze, że już jesteś, inaczej ja musiałbym się tym zajmować, a znam się na tym, tak jak ty na moich morskich sprawach – powiedział Kazio i poszedł do swojego pokoju.

Za chwilę pojawiła się wdowa. Po przygotowaniu odpowiednich dokumentów pojechałem z nią po odbiór urny. Byłem umówiony z dyrektorem krematorium. Trwała jednak narada poświęcona okresowemu podsumowaniu komunistycznego współzawodnictwa pracy i wynikły jakieś nieporozumienia pomiędzy brygadami pracy komunistycznej, obsługującymi poszczególne piece; chodziło o nagrody... Spór przedłużał się. Niecierpliwiłem się. Sekretarka weszła do sali obrad i poinformowała o tym swojego szefa. Przez uchylone drzwi do moich uszu dotarły słowa: „Towarzyszu Iwanie Piotrowiczu, nie zgadzam się, nasza brygada ma lepsze wyniki”... Dobrze, że nie słyszała tego wdowa, czekając nieopodal, przybita bólem, na krześle.

Jesienią tego samego roku pojechałem do stolicy radzieckiej Łotwy, Rygi. Przedstawiciel łotewskiego MSZ oczekiwał mnie na peronie. Zadanie miałem proste. Od kilku dni oficer polskiego MSW oczekuje u swoich krewnych na przyjazd furgonu polskiej firmy „Bongo”, który ma zabrać zwłoki jego ojca do kraju. Należy tylko zgodnie z przepisami przygotować metalową trumnę: zaspawać ją i prawidłowo opieczetować. Syn zmarłego też jest na peronie i – ledwo stojąc na nogach – pije wódkę z butelki. Informuje mnie, że „Bongo” przyjedzie około 23, a zwłoki wydają z chłodni tylko do godziny 19. Ustalamy, że w takim razie odbierzemy je najdalej do godziny 18.30. Zbolały syn poszedł szukać jakiejś ciężarówki. Wkrótce podjechała pod chłodnię, zapaskudzona wapnem i betonem, tuż przed 19. Do wyniesienia i załadowania trumny potrzeba kilku ludzi. Co robić? Kierowca mówi, że ci przez niego umówieni nie przyszl. Nie mógł dłużej czekać i przyjechał sam. Zdenerwowany kierownik instytucji mówi, że jeśli w tej chwili nie zabierzemy zwłok, to on je wyda dopiero jutro, ponieważ ma bilet na koncert wybitnego włoskiego skrzypka i nie ma zamiaru tracić doznań artystycznych. Mój pobyt w Rydze, oznaczony w nocy dyplomatycznej, kończył się o północy. Nie ma wyjścia. Szofer, syn zmarłego, pracownik łotewskiego MSZ-tu i ja, idąc między szpalerem spoczywających na swych śmiertelnych narach, wynieśliśmy trumnę i ostatnim wysiłkiem wepchnęliśmy ją na radzieckiego zisa. Był to koszmar, tym bardziej, że nieprzytwierdzone wieko od trumny zsuwało się nam na głowy. Jest już prawie ciemno. Ciężarówka podskakuje na wybojach, siedzę z Łotyszem przy trumnie, usiłując utrzymać jej wieko nad głową nieboszczyka. Wreszcie dojeżdżamy do warsztatu spawalniczego, by drewnianą trumnę zaspawać w metalowej. Warsztat odnajdujemy

na zapleczu parku miejskiego. Łotewski urzędnik uzgodnił, że będą tam czekać spawacze. Są, ale okropnie pijani. Mój Łotysz poszedł szukać innych. Mocno podpity syn nieboszczyka, oficer MSW, płacze, żegna się z ojcem. Jest wściekły, bezradny i bezsilny – już od dwóch dni walczy z przeciwnościami, biurokracją, brakiem organizacji, bezdusnością i łapownictwem. Nikogo innego nie udało się znaleźć – a zatem sam zabieram się do spawania. Coś tam pamiętałem z wczesnej młodości, gdy terminowałem jako ślusarz na Pradze, z Płocka – gdzie uczył mnie spawania Maciek Świdorski oraz z czasów, kiedy przyglądałem się ojcu i bratu przy takich pracach. Niestety, wynik był mizerny, zaledwie kilkadziesiąt centymetrów. Wreszcie, za dodatkową zapłatą i za dwie butelki wódki, kierowca i trzeźwiejący już spawacze dokończyli dzieła. Widziałem, jak bardzo wstydził się mój Łotysz. Odprowadzając mnie o północy na dworzec, powiedział na pożegnanie: „Przepraszam, polski przyjacielu, ale to nie jest mój kraj, mój jest w moich marzeniach”...

Praca w jury podczas telewizyjnych konkursów wiedzy o Polsce, witanie pociągów przyjaźni z polską młodzieżą, wręczanie odznaczeń, wydawanie wiz, paszportów konsularnych, organizowanie przyjęć dla miejscowych notabli z okazji świąt narodowych, wyciąganie rodaków z miejscowych więzień i aresztów, uczestnictwo we wszelkiego rodzaju wizytach i rewizytach, wpisywanie do specjalnej księgi osób niepożądanych w Polsce, udzielanie ślubów i – na koniec tej niepełnej wyliczanki – wysyłanie polskich nieboszczyków na ojczystą ziemię – oto w skrócie obraz pracy konsula.

Nareszcie koniec, wyjazd do kraju. Tutaj, w Wydziale Zagranicznym Komitetu Centralnego partii kolega J. Nowak pokazuje mi donosy na mnie towarzyszy radzieckich, w których jest napisane, że prowadziłem się w taki a taki sposób, że pochodzę ze szlacheckiej rodziny z zachodniej Ukrainy, która miała tam swoje ziemskie posiadłości, że kupiłem volvo od amerykańskiego konsula, itd., itp., a – co najgorsze – że na Łotwie i w Estonii chciałem nawiązać kontakty z obywatelami radzieckimi polskiego pochodzenia.

– Co mam z tym zrobić? – zapytałem.

– A zrób sobie z tym, co chcesz! – padła odpowiedź.

– Ale przecież tutaj jest adnotacja kierownika wydziału: „Towarzyszu N., zróbcie z tym coś” i jego podpis.

– Co się przejmujesz, no właśnie „coś” z tym zrobiłem! Witaj w ojczyźnie!

1977–2004

# Nie jest mi potrzebny

Zbliżał się Sylwester 1978 roku.

Od wielu tygodni, po powrocie z placówki, jestem bez pracy. Oficjalnie byłem w dyspozycji MSZ. „Niedługo otrzyma pan propozycję. Co to będzie, jeszcze nie udało nam się uzgodnić z towarzyszem M.D., zastępcą kierownika Wydziału Polityki Kadrowej KC. Niech pan z nim porozmawia, może to sprawę przyspieszy”.

To był ten sam sekretarz Komitetu Zakładowego partii przy ambasadzie polskiej w Moskwie, który przyjeżdżał do Leningradu i wywoził różne towary ze sklepu za potrójnymi drzwiami, przygotowywane przez B.K., sekretarza POP przy konsulacie generalnym. Temu ostatniemu to się opłaciło, bo po powrocie z placówki został dyrektorem departamentu w Ministerstwie Handlu Zagranicznego.

Umówiłem się na rozmowę z nim, ale zamiast niej była kłótnia. Wypomniął mi jakieś „złe postawy”, „obniżanie powagi zebrań partyjnych na placówce, poprzez wnioskowanie o wstawianie zębów przez jednego z konsulów”, „niezyscyplinowanie”, „kupowanie volvo od Amerykanina” itp., itd. Zorientowałem się, że znał również treść listu towarzyszy radzieckich, z którym zapoznał mnie po powrocie z Leningradu J. Nowak. „My wam nie pomożemy i wątpię, czy zrobi to MSZ!” – usłyszałem. Bluznąłem i wyszedłem. Teraz już wiedziałem, kto mi uszył buty. On już dopilnuje, by nie przyjęto mnie do pracy na żadne stanowisko, które było w kręgu jego wpływów.

Za godzinę zegary wybijały początek Nowego Roku. Pary wirują w modnych sukniach i garniturach. Jestem przybity. Siedzę ponury. Przychodzą czarne myśli. Jak długo można być bez pracy? Być bezczynnym! Pozostaje mi chyba tylko czym prędzej się upić i zapomnieć... Na szczęście kilku innych zagubionych w rzeczywistości szło w tym samym kierunku i całkiem nowiutki roczek spotkał się w doskonałych humorach. Kolejny wieczór ponownie przypomniał o ponurej rzeczywistości. Jutro znowu będę rozglądał się za jakąś pracą.

W poszukiwaniu jej trafiłem do Ministerstwa Kultury i Sztuki. Potrzebowano referentów. Prosiłem, jeśli to możliwe, o zatrudnienie mnie w Departamencie Książki i Teatru lub Współpracy z Zagranicą. W MSZ, z ulgą, dano mi pismo wyrażające zgodę na moje przejście za porozumieniem stron do MKiS. Tam wicedyrektor Departamentu Kadr zapytał, czy w mojej dotychczasowej pracy zetknąłem się ze szkolnictwem, oświatą bądź nauczaniem. „Ależ oczywiście! Byłem kierownikiem Wydziału Szkolno-Harcerskiego w ZMP, kierowni-

kiem szkoły podstawowej, nauczycielem w technikum, organizatorem Zarządu Głównego związku do spraw młodzieży w szkolnictwie zawodowym, wychowawcą w internacie, organizowałem uniwersytet robotniczy i filie wyższych szkół w Płocku” – odpowiedziałem. Dyrektor stwierdził, że to mu wystarczy, i skieruje mnie do pracy w Zarządzie Szkół Artystycznych, na stanowisko starszego referenta. Podziękowałem z pokorą i tłumioną radością.

Przyjąłem tę pracę z zadziwiającym brakiem wyobraźni. Bezcelnie i odważnie. Ale co miałem w końcu robić? Czego, u diabła, chciałem? Właśnie pracy! A że byłem kompletnym ignorantem? Dam sobie radę, w końcu przyjęto mnie na najniższą funkcję urzędniczą, nauczę się! Będą jeszcze ze mnie ludzie! W połowie stycznia stanąłem przed obliczem dyrektora Zarządu Szkół Artystycznych, Nowickiego, który okazał się... moim kolegą jeszcze z okresu organizowania młodzieżowych obozów wypoczynkowych.

– Cieszę się, że do mnie trafiłeś! Przepraszam, że do takiej roboty! Otóż potrzebuję człowieka, który uporządkuje mi archiwum. Musisz to na razie wziąć, masz na to pół roku. Potem pomyślimy o awansie. Zgadzasz się? – zapytał.

– To tak, jakby gospodarz zapytał konia, czy zechce łaskawie dać się zaprzęgnąć do pługa. Mam inne wyjście? – odpowiedziałem.

Cholera! – pomyślałem po wyjściu z gabinetu dyrektora – koniec ze mną. Teraz to tylko termos, kanapka z domu, zarękawki na welwetową marynarkę albo fartuch, kilogram spinaczy, papierowe wiązane teczki, gumka, okulary na sznurku, klej oraz krople do nosa i oczu od kurzu. Ale się dochrapałem stanowiska! A niech tam, taki jest świat! Muszę to archiwum zrobić w dwa miesiące, inaczej umrę!

Nigdy nie sądziłem, że mam talent do szczęścia. Tym razem okazało się jednak, że przyjęcie tej pracy było łaską losu. Mogłem już w życiu niczego więcej nie pragnąć. W dodatku szczęście uśmiechnęło się także do mojego syna. Jak? O tym za chwilę.

W ciemnym, narożnym i zatęchłym pokoju bez okien znajdowało się „moje” archiwum. Przesiadywałem w nim do późnych godzin wieczornych. Zakupiłem najładniejsze teczki i segregatory, kolorowe naklejki i różnobarwne mazaki. Na ścianie urządziłem plastyczne okno z kolorowymi firankami. Było jak prawdziwe. Żyrandol-świecznik w stylu Księstwa Warszawskiego (w ministerstwie były takie na każdym kroku) uzupełniał całość. Może tutaj, chociaż częściowo, wykorzystam moje nieudane doświadczenia z czasów, kiedy byłem sekretarzem propagandy w Pruszkowie? – pomyślałem i zabrałem się do pokonywania trudnej materii. Po pierwsze, należało zapoznać się z instrukcją o archiwach. Spróbowałem. Dobrnąłem do trzeciej strony i odłożyłem na zawsze. To literatura dla więźniów. Koniec i kropka. Zorientowałem się, że do tych teczek, przez ostatnich co najmniej 20 lat tylko dokładano, nikt z nich niczego nigdy nie wyjmował. Drugie spostrzeżenie: to są duplikaty dokumentów personal-

nych studentów. Trzecie: dokumenty te znajdują się również w archiwach uczelni. Nasuwał się prosty wniosek: trzeba odchudzić teczki, zostawiając w każdej na chybił trafił jakiś stary dokument, po jednym z każdego roku i może po dwa z ostatniego, to jest 1977.

Miałem bardzo dużo pracy. Najwięcej – przy pakowaniu worów i wynoszeniu ich do pojemników na ministerialne śmieci. Muszę przyznać, że panie sprzątaczkę za niewielkie prezenciki dzielnie mi w tym pomagały. Następnie ponaklejałem na segregatory kolorowe nalepki. Na nich wykaligrowałem kontrastowo numerki i ustawiłem wszystko w równe szeregi. Sam byłem zachwycony, wiedziałem, że nikt nie ośmieli się zajrzeć do środka, by nie naruszyć tego porządku. Wystrój pokoju dopełniał wrażenia. Teraz mogło być ono tylko pozytywne!

Zameldowałem dyrektorowi wydziału, panu Bisiakowi o wykonaniu zadania przed terminem. Na odbiór archiwum przyszedł sam dyrektor Nowicki. Pochwalił („O, jaki piękny pokój i zmyślne okienko”.) i obiecał awans. Dotrzymał słowa i już w połowie marca otrzymałem dokument podpisany przez podsekretarza stanu w Ministerstwie Kultury i Sztuki dr. Władysława Loranca o mianowaniu mnie na stanowisko głównego specjalisty w Zarządzie Szkół Artystycznych.

Kilka dni wcześniej, jeszcze przed „archiwalnym sukcesem”, zadzwonił do mnie J. Kubasiewicz (przez przyjaciół zwany Kubą), który był wtedy ważną figurą w Wydziale Organizacyjnym KC partii. Zналиśmy się jeszcze z Płocka, przyjeżdżał do mnie z Zarządu Głównego ZMS z przedstawicielami młodzieży radzieckiej, węgierskiej, czeskiej lub niemieckiej w celu wymiany doświadczeń z pracy młodzieżowych organizacji na budowie Petrochemii i Rurociągu „Przyjaźń”. Był także kilka dni i nocy w 1963 roku „przyzwoitką” na kursie robotniczego aktywu Petrobudowy w Rozalinie. Miał zadbać o „porządek i socjalistyczną moralność” budowniczych. W tym zetemesowskim ośrodku patronacki sztab interwencyjno-ekonomiczny ZMS zorganizował kilkudniowe szkolenie, na które przyjechaliśmy autobusem „Bałtyk”. Po drodze kupiliśmy kilka skrzynek 45-procentowej „strażackiej”. Po rozlokowaniu się w domkach, postanowiliśmy złowić w przypałacowym jezioru trochę karpi i usmażyć je na kolację na elektrycznych patelniach. Po obfitym pod każdym względem posiłku było wesoło, śpiewnie i bardzo hałaśliwie. Przedstawiciel centrali ZMS, Kuba, nie sporządził jednak żadnego donosu, choć, prawdę mówiąc, było po temu kilka powodów. Nie zależało mu na popisanu się przed Smolną czujnością i pryncypialnością. Później siedzieliśmy w tej samej „klasie” w WSNS-ie. W chwilach napięcia, w czasie egzaminów, grywaliśmy w warcaby, co bardzo zniesmaczało szachistów. Spotykaliśmy się również w Moskwie, dokąd przyjeżdżałem z Leningradu, gdy on uczestniczył w jakimś kursie. Wraz z kolegami odprowadzał mnie na dworzec. Był dobrym, szczerym i sympatycznym kolegą.



Znaliśmy się jeszcze z Płocka. Przyjeżdżał do mnie... Tutaj (1964 r.) przed planszą Kombinatu. Obecni są między innymi Andrzej Majkowski, Janusz Kubasiewicz, autor (w berecie), za nim Janek Krajewski

Teraz, jak wspomniałem, dzwoni i pyta: Co robisz?

– A skąd wiesz, że tutaj pracuję? Nic ciekawego, od tego, co robię, głupieję. Ponadto usiłuję przypomnieć sobie z czyich rąk dostawałem różne odznaczenia, by je im odesłać w cholerę.

– Chyba zgłupiałeś! Uspokój się człowieku, kogo tym zmartwisz, kogo to dzisiaj zainteresuje? Mają cię z głowy i koniec. Ratuć się sam – Kuba na to.

Byłem mu wdzięczny za tę rozmowę. To był zimny prysznic. Miał rację. Z jeszcze większą zawziętością wziąłem się do sfinalizowania archiwalnej batalii.

Wkrótce jako główny specjalista otrzymałem nowe zadanie. Miałem kompletować i wnikliwie czytać dokumentację kandydatów zgłaszających się na studia artystyczne za granicą. Zarząd Szkół Artystycznych miał wytypować do uczelni w ZSRR, NRD i Czechosłowacji kilkunastu uzdolnionych absolwentów szkół średnich z całej Polski, pod warunkiem, że zdadzą odpowiednie egzaminy przed polskimi komisjami. Krótko mówiąc, to właśnie był fart. W tym bowiem czasie mój syn miotał się, jak ja kiedyś, w poszukiwaniu swojej drogi życiowej. Wkrótce złożył dokumenty, zdał wszystkie egzaminy i wyjechał na studia do Pragi. Dzisiaj jest reżyserem i realizatorem programów telewizyjnych.

Co mnie tutaj mogło jeszcze trzymać? Co prawda, prezes przewidywał mój awans na dyrektora Wydziału Współpracy z Zagranicą, ale to nie było takie pewne. Jakoż wkrótce otrzymuję, już dzisiaj nie pamiętam skąd, chyba z MSZ-tu (musiało kogoś ruszyć sumienie) propozycję pracy w Instytucie Kształtowania Środowiska podległym Ministerstwu Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska. Jak się później dowiedziałem, poszukiwano osoby pracującej uprzednio w przedstawicielstwach dyplomatycznych PRL w ZSRR.

Kilka dni potem stoję przed obliczem pani minister Marii Mielczarkowej, która zaproponowała mi stanowisko zastępcy dyrektora naczelnego Instytutu.

– Będziecie się zajmowali polityką kadrową, współpracą zagraniczną, szkoleniem itp. W Instytucie pracuje, włączając oddziały w kraju, ponad tysiąc osób, wśród nich wielu wybitnych uczonych. Zresztą szczegółowy zakres waszych obowiązków zna dyrektor naczelny, towarzysz B.P. Jutro zgłosicie się do niego na rozmowę i to on podejmie ostateczną decyzję o waszym przyjęciu na to stanowisko – usłyszałem.

Następnego dnia idę do Instytutu na ulicę Krzywickiego. Znowu kolejny zwrot w moim życiu! Co ja tutaj robię w tej świątyni nauki, gdzie na wielu drzwiach widnieją nazwiska poprzedzone skrótami; dr, doc., dr hab., prof.?

Jestem podekscytowany. Pocą mi się ręce. Jeszcze konieczna wizyta w toalecie. A tam – niespodzianka! Przed moimi oczami, na wewnętrznej stronie drzwi w kabinie widnieje starannie napisane zdanie: „Towarzysze B.P. i S.P. gnoją naukę polską”. Domyśliłem się, że chodzi o naczelnego. Tym drugim był, jak się później dowiedziałem, jego zastępca do spraw ekonomicznych. Umyte ręce wytarłem o spodnie (w tamtej epoce ręczniki w WC nie występowały – były kradzione) na tyłku pod marynarką, nie będzie widać, że są mokre. To mój wynalazek.

Muszę wykorzystać ten napis w WC, jeszcze nie wiem jak, ale czuję, że stanowisko zastępcy mam w garści. Trzeba tylko umiejętnie poprowadzić rozmowę, której plan błyskawicznie układam sobie w głowie. Jego jądrem jest nie-dopuszczenie do żadnej merytorycznej rozmowy – myślę intensywnie.

W otwartych drzwiach gabinetu pojawia się dość młody i sympatyczny, niewysoki, dyrektor naczelny Instytutu Ochrony Środowiska. Zaprasza.

– Może napijecie się kawy?

– Nie, bardzo dziękuję, wolę napić się wody.

Byle szybciej, żadnego tracenia czasu z powodu głupiej kawy, której w innych okolicznościach nigdy bym nie odmówił – myślę sobie i natychmiast przystępuję do realizacji planu.

– Idąc do was, towarzyszu dyrektorze, wstąpiłem do toalety tuż obok sekretariatu.

– Nie rozumiem, dlaczego to takie ważne w tej chwili i po co mnie o tym informujecie – spojrzał na mnie jak na wariata.

Powiedziałem o napisie w toalecie. Szybko przestał słuchać, przeprosił i wybiegł z gabinetu. Już wiedziałem, z kim mam do czynienia. Mógł przecież zagatelizować tę informację, zając się sprawą po moim wyjściu. Moja nad nim przewaga była w tym momencie oczywista.

Wrócił po chwili i zaczął się wyżalać. Powiedział, że pracował poprzednio w KC, że w Instytucie są ludzie przeciwni obecnej rzeczywistości i w różny sposób demonstrują swoje poglądy.

– Będziecie mieć huk roboty. Przygotuję do podpisania dokumenty i jak najszybciej przychodźcie do pracy.

W taki oto podstępny sposób, dzięki jakiemuś bojownikowi o wielkość nauki polskiej, uniknąłem, być może, merytorycznych pytań dyrektora naczelnego, dr. B.P. Kolejne dni w oczekiwaniu na następną zmianę w moim życiu minęły na kompletnym nicnierobieniu. Przesiadywałem z piosenkarzem Mieczysławem Świącickim i jego kumplami w „Bristolu”. Chodziłem do kina, na wystawy, do muzeów. Wszystko dookoła mnie irytowało. Jednego dnia można mnie było do rany przyłożyć, drugiego zaś byłem przykry, opryskliwy i choleryczny. Raz przejmowałem się ocenami innych, innym razem w ogóle mnie nie obchodziły. Wiem, że cierpieć przez to najbliżsi. Często się nad tym zastanawiałem, niewiele to jednak dawało.

Pojechałem na Pragę, by odnaleźć mój zakład ślusarski, gdzie przed wieloma laty dostałem po gębę od majstra za siadanie na jego warsztacie. Nie znalazłem. Było mi przykro. Poszedłem na Solec, gdzie stryjek Felek miał kiedyś fabryczkę pilników „Konik”. Szukałem miejsc, które poznałem, gdy po raz pierwszy przyjechałem do Warszawy. Nie znalazłem budynków, kamienic, domów. Miasto odbudowywało się, zmieniały się jego zapachy. Smród zgliszcz, gruzów, desek szalunkowych i nieusuwaných gnijących śmieci został wyparty przez woń tyneków, spalanej etyliny, końskich kup i niepranych kufajek robotników budowlanych, a te z kolei – przez zapach kawy, wody kolońskiej i paczków Bliklego. Polska szła naprzód. Czy był to dostateczny powód do radości?

Nie wiem i nigdy się nie dowiem, dlaczego czasami ogarnia mnie tęsknota za kuchnią w domku w Dubnie, gdzie siedzimy z mamą przy stole i nabijamy tytoniem gilzy z białutkich bibulek, a czasem – za pomostem nad jakimś jeziorem na Mazurach, gdzie jedyny raz w życiu, milcząc, siedziałem obok syna, czatując na rybę. Czy wiedział, że byłem wtedy szczęśliwy...?

Jeszcze dwa dni i otrzymuję z rąk rozczarowanego prezesa Zarządu Szkół Artystycznych pismo, w którym minister kultury i sztuki Jan Mietkowski odwołuje mnie ze stanowiska głównego specjalisty w związku z moim przejściem do pracy w Ministerstwie Administracji Terenowej i Ochrony Środowiska. Dostałem także inne pismo, podpisane przez minister M. Mielczarkową, o mianowaniu mnie z dniem 24 kwietnia 1978 roku na stanowisko zastępcy dyrektora naczelnego w IKŚ w Warszawie.

Do zakresu moich obowiązków dopisano zadanie, polegające na kierowaniu pracą ośrodka koordynacyjnego do spraw Problemu Pierwszego Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej „Socjalno-ekonomiczne, organizacyjno-prawne i pedagogiczne aspekty ochrony środowiska”, zostałem także redaktorem naczelnym biuletynu dotyczącego tego zagadnienia. Ponadto przewodniczyłem komisji do spraw zachowania tajemnicy państwowej i służbowej oraz komisji technicznej przeciwpożarowej.

Przez pięć lat pracy w Instytucie poznałem wielu mądrych, szlachetnych ludzi. Uczestniczyłem w licznych konferencjach naukowych. Wielokrotnie prowadziłem w ramach Problemu Pierwszego RWPG międzynarodowe sympozja w Helsinkach, Moskwie i Pradze – tu przy okazji mogłem spotkać się ze studiującym synem.

W stanie wojennym różni ludzie, często sfrustrowani, nieomal domagali się, by ich internowano. Chcieli być męczennikami za sprawę. Był powszechny galimatias poglądów i postaw. Po „wybuchu” „Solidarności” kilka milionów członków partii znalazło się w tłumie solidarnościowców. Sekretarz podstawowej organizacji PZPR przy Instytucie zapraszała Zbigniewa Bujaka na spotkania z załogą Instytutu i Ministerstwa. Jednocześnie związki zawodowe i mój pion robiły wszystko, by zdobyć na święta Bożego Narodzenia cytryny, jaja, karpie. Organizowałem losowanie zdobytych džemów i oleju. Szła walka o talony. Młode rodziny, jeśli dostały talon na odkurzacz, to nie miały już szans na pralkę. Bezustanne strajki i napięcia były przyczyną marazmu i zniechęcenia. Każdy był po ludzku zmęczony, choć nie zniknęła nadzieja.

W Instytucie następowały zmiany kadrowe: odszedł B.P., przyszedł nowy naczelny, doc. dr Paweł Błaszczyk. Pewnej nocy, kiedy pozyskałszy informację o mającej nastąpić w naszym Instytucie rewizji służby bezpieczeństwa, głównie pod kątem działalności komisji zakładowej „Solidarności”, postanowiliśmy z doc. Błaszczykiem uprzedzić wydarzenia. Głęboką nocą, znalezione przez nas materiały propagandowe i listy osób, składy personalne wszelkich komisji, ukryliśmy tak starannie, że rewizja bezpieki niczego nie wykryła. Instytutowa „Solidarność” oczekiwała najgorszego. Bali się aresztowań. Po kilku dniach poinformowałem aktywistów związkowych o tym, co stało się z dokumentami. Pewnego razu w moim gabinecie pojawił się bukiet biało-czerwonych kwiatów.

Zbliżała się wizyta papieża w ojczyźnie. Przygotowywałem aktyw, który miał zabezpieczać spokojny przejazd Jana Pawła II z lotniska do Belwederu. Instytutowa Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej, która dotąd zajmowała się ochroną środowiska w otaczających Warszawę lasach i parkach narodowych, pod moją komendą udała się na wyznaczone miejsca i wspólnie z kościelną służbą porządkową dbała o ład na trasie przejazdu papieża ulicą Żwirki i Wigury.

Instytut przeobrażał się, następowały zmiany organizacyjne. Zmieniłem strukturę mojego pionu, poszczególnym wydziałom przekazałem więcej kompetencji. Zdawałem sobie sprawę, że jestem tam coraz mniej potrzebny. Postanowiłem zatem zwrócić się do ministra Józefa Kępy, który zastąpił Marię Mielczarkową, o przesunięcie mnie do innej pracy, gdzie mógłbym być wykorzystany bardziej efektywnie. Józef Kępa na moim podaniu napisał: „Nie wyrażam zgody, sprawę pozostawić do naturalnego rozwiązania”. Co miał na myśli? Nie wiem do dzisiaj. Może nie chciał podejmować żadnych personalnych decyzji, ponieważ domyślał się, że wkrótce będzie musiał ustąpić z funkcji ministra? Istniały ku temu powody. Jakoś tak się złożyło, że miejskie rury ciepłownicze w miejscu, gdzie stała willa ministra, nie wiedzieć czemu, skrzyły do niej, i zaczęły podgrzewać dom...

Nadal więc byłem w Instytucie. Mniej więcej w tym czasie, w związku ze zmianami organizacyjnymi, zostałem odwołany ze stanowiska kierownika ośrodka koordynacyjnego Problemu Pierwszego RWPG. Otrzymałem podziękowania za zorganizowanie ośrodka, kierowanie jego pracą oraz nadzór nad koordynacją działalności IKŚ na rzecz „wspólnie rozwiniętego programu krajów członkowskich RWPG i Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii”.

Atmosfera polityczna w kraju nie poprawiała się. W Instytucie wielu pracowników naukowych nosiło w klapach oporniki (przrząd włączany w obwody elektryczne w celu zmniejszenia natężenia prądu – w tym czasie symbol oporu przeciw władzy). Choć „Solidarność” wypełniła wolną przestrzeń, niewiele jednak mogła zrobić. Wielu straciło, niewielu zyskało. Inni nadużywali „Solidarności”, zasłaniali się nią i zdradzali. To była codzienność.

Słaba partia szukała nowych form zbliżania się do ludzi, starała się uspokoić nastroje. Niemal wszędzie powstawały Komitety Ocalenia Narodowego. „Trybuna Ludu”, w kwietniu 1982 roku, w artykule pod tytułem „Odchodzenie od schematów” pisze: (...) „Istnieje potrzeba (...) zrywania z niedobrymi schematami myślenia i działania(...)”. Do takich wniosków doszła grupa pracowników Ministerstwa AGT i OŚ oraz podległych ministerstwu instytutów, ośrodków badawczo-rozwojowych i innych wyspecjalizowanych agend. Ryszard Stroński, w pracy zawodowej wicedyrektor w Instytucie Kształtowania Środowiska, wybrany został przewodniczącym OKON zapewne dlatego, że ma umiejętność zbliżania odległych, zdawałoby się, postaw ludzi. Pragnęlibyśmy – mówi R.S., aby ludzie się wyprostowali, mieli odwagę bycia sobą. Często jest tak, że jeśli ktoś jeszcze niedawno łatwo dawał się przekonać (...), to znów teraz łatwo daje się „wyciszyć”(...). Generał, minister resortu Tadeusz Hupałowski, uczestnik zebrania, przyrzekł pełny dostęp OKON-u do informacji o pracach resortu, zobowiązując się do korzystania z krytyki i opinii zebranych”.

W marcu 1983 roku postanowiłem wystąpić, tym razem do ministra Hupałowskiego, z powtórnią prośbą o wykorzystanie mnie na innym stanowisku,

ponieważ, jak napisałem w podaniu, „w Instytucie nie mam już nic do roboty, mam poczucie, że za nic pobieram wynagrodzenie i w godzinach pracy chodzę do kina”. Odpowiadano natychmiastowo. Zostałem wezwany przed oblicze generała.

– Co pan tutaj napisał? Przecież tak się nie pisze w podaniach!

– Ale ja nie kłamię, w poprzednim podaniu, do ministra Kępy, też pisałem prawdę, i co? Pozostawił mnie tam, gdzie byłem. Jeśli nikomu nie jestem potrzebny, to proszę mnie wyrzucić, ale nie drażnić ludzi tym, że siedzę na stanowisku, które po reorganizacji Instytutu nie powinno istnieć.

– W takim razie będzie pan moim doradcą i rzecznikiem prasowym – usłyszałem w odpowiedzi.

Zaskoczył mnie zdecydowaną generalską decyzją. Potem długo rozmawialiśmy o wszystkim. Pytał nawet, co nowego grają w warszawskich kinach... Zakreślił z grubsza tematykę, którą powinienem się zająć jako jego doradca. Ten mądry, kulturalny i wrażliwy człowiek oceniając to, co się nie tak dawno zdarzyło w Polsce – stan wojenny, skłócenie narodu i niepewność szybkiego powrotu do normalności – mówił, że – jego zdaniem – to wszystko powinno gruntownie przebudować nasze myślenie.

Musimy zrozumieć prostą prawdę, że nie to jest ważne, jak inni odnoszą się do nas, do władzy, do urzędników, ale to, jak my będziemy odnosić się do innych. Zapamiętajcie to sobie, tym się kierujcie w pracy, to wtedy nie będzie między nami nieporozumień – dodał na zakończenie rozmowy.

Jego myślenie było całkowicie zbieżne z moim. Dobrze będzie się z nim pracowało – pomyślałem, kierując się do wyjścia. Gdy byłem już blisko drzwi, zapytał jeszcze, czy byłem w wojsku. Nie rozwijając dość zawilej historii mojej krótkiej kariery wojskowej, odpowiedziałem, że nie. „To bardzo dobrze, choć jeden tutaj będzie normalny”. Wkrótce zrozumiałem, co miał na myśli.

Dwa dni później otrzymałem, podpisane przez generała Hupałowskiego pismo, odwołujące mnie z dotychczasowej funkcji w IKŚ i powołujące na stanowisko doradcy i rzecznika prasowego Ministerstwa Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska. Ostatecznie nową pracę zacząłem miesiąc później, w maju 1983 roku. Wcześniej uporządkowałem sprawy wynikające z moich dotychczasowych obowiązków i wykorzystałem zaległy urlop.

Wtedy dużo chodziłem po mojej ukochanej Warszawie. Zaglądałem do najmodniejszego wówczas kina „Relax”, gdzie było najczęściej premier. Czasami szedłem do kina „Oka” na projekcję trójwymiarowych filmów radzieckich. Obserwowałem ludzi, ich zabieganie, walkę o byt i przetrwanie w nadziei na lepsze czasy. Wówczas nie było jeszcze korków, ulice były puste. Królowały na nich polonezy, syrenki, wartburgi, ale najczęściej było małych fiatów.

Dużo wysiłku kosztowało kupno śpioszków, pieluch czy innych rzeczy dla dzieci. Wciąż obowiązywały kartki – nie tylko na żywność, lecz również na obu-



wie, mydło i wódkę. Trzeba było zapisać się na listę społeczną, by zdobyć na przykład odkurzacz, meblościankę bądź jakiś inny odrzut z eksportu. W sklepach cukierniczych były wyroby czekoladopodobne lub słodczyce opatrzone etykietami zastępczymi. W sklepach mięsnych oprócz słoniny i smalcu widniały puste półki i nagie haki. Głównym tematem rozmów były kwestie zdobycia talonu na małego fiata, załatwienia przydziału na M-3, przyspieszenia wydania paszportu. Dobrze było mieć wszelkie znajomości, zarówno z dyrektorami czy kierownikami, jak i ze sprzedawczynią w sklepie mięsnym.

Wszystko można było zdobyć, zależało to, jak mówili warszawianie, od „pochodzenia” i „siły przebicia”. Jeśli długo pochodziłeś, bywało, że zdobyłeś potrzebną rzecz. Razu pewnego wykorzystałem moją siłę przebicia w walce o część zamienną do wartburga. Przebiłem się przez tłum do drzwi sklepu firmowego. Byłem ostatni. Sprzedawca zamykał już, ciągnąc ku sobie żelazne drzwi. Klienci nie ustępowali. W tej walce zwyciężył personel, przy okazji miażdżąc w drzwiach czubek mojego palca u ręki. Tłumik jednak kupiłem! Wydostałem się ze sklepu już szczęśliwie. Na palcu do dzisiaj pozostała niewielka blizna po okresie realnego socjalizmu. Bardzo realnego.

To były trudne lata. W tym czasie krążył taki dowcip: Czym się różni życie Polaka od papieru toaletowego? Niczym: jest szare, długie i do dupy (wytwarzany wówczas z makulatury papier toaletowy miał brudnoszary kolor). Zresztą i on sam należał wówczas do dóbr rzadkich. Ustawiały się po niego długie kolejki, podobnie jak przed sklepami „22 Lipca” (dawniej E. Wedel), gdy „rzucano” jakieś krówki czy kukulki. W sklepach Peweksu było luźniej – tam zaopatrywali się ludzie bogatsi, posiadający dewizy bądź tak zwane bony dolarowe. W specjalnych stoiskach sprzedawano lepsze wędliny po cenach komercyjnych, dużo wyższych od cen detalicznych.

Pierwszego dnia pracy w ministerstwie dowiedziałem się, że generał Tadeusz Hupałowski niedługo zostanie odwołany z funkcji ministra, w związku z zamiarem Sejmu mianowania go na stanowisko prezesa Najwyższej Izby Kontroli. Trzeba mieć cholernego pecha – myślałem gorączkowo – jeszcze nie popracowałem nawet dziesięciu minut ze swoim nowym szefem, a już słyszę, że teraz ministrem będzie generał Włodzimierz Oliwa, o którym krążyły różne niepochlebne opinie. Niech to diabli wezmą! A jeśli jemu nie będzie potrzebny żaden rzecznik ani doradca? Jadąc po pracy do domu, byłem strzępkiem nerwów.

Kilka dni później siedziałem w moim pokoju, tuż obok gabinetu ministra, już od kilku godzin w zdenerwowaniu czekając na ewentualne decyzje dotyczące mojej pracy. Oto kara za lekkomyślność i trudny charakter. Nie trzeba było wyjeżdżać z podaniami!

Moje zdenerwowanie było uzasadnione. Obok, u ministra Hupałowskiego, odbywała się rozmowa między nim, generałem Oliwą i wicepremierem Komen-

derem. Do mojego pokoju wszedł nowy szef gabinetu ministra, pułkownik A.S., którego generał Oliwa przyprowadził ze sobą jako człowieka mającego, obok zdolności organizacyjnych, świetne kontakty z dziennikarzami i naczelnymi redaktorami wielu gazet. A.S. mówi mi, że był świadkiem rozmowy, podczas której usłyszał jak Oliwa mówił do Hupałowskiego z wyrzutem: „Nie jest mi potrzebny żaden doradca ani rzecznik, wiedziałeś przecież, że niedługo będziesz stąd odchodził, wystarczy mi mój dyrektor gabinetu”.

– Wiesz co? – mówi A.S. – przygotuj się do rozmowy z Oliwą. Za trzy dni zostanie zwołana narada dyrektorów departamentów, na której wicepremier Zenon Komender oficjalnie pożegna Hupałowskiego i przywita Oliwę. Myślę, że po tym zebraniu natychmiast ciebie zawoła, zresztą dopilnuję tego, bo sam też chcę wiedzieć, na czym będę siedział. Kierowanie gabinetem i ewentualnie współpracą z mediami wcale mi się nie uśmiecha. Czołem! – powiedział, i wyszedł, pozostawiając mnie w kompletnym rozdarciu.

Miałem kilka dni. Postanowiłem napisać program mojej pracy na najbliższe pół roku. Uwzględniłem kilka konferencji prasowych ministra (zasugerowałem odpowiednią tematykę), do których materiały przygotowałyby odpowiednie departamenty. Zaplanowałem, że opracuję tezy artykułów ministra do głównych dzienników i czasopism. Z każdego spotkania ministra sporządzą informację prasową. Będę wydawał wewnętrzny biuletyn informacyjny. Zbiorę materiały do broszury o osiągnięciach resortu. Wydanie to będzie poprzedzone wstępem pióra generała. I tak dalej, i temu podobne. Program był czytelny, przejrzysty pod względem treści i terminów. Po prostu majstersztyk. Coś się w końcu wyniosło z pruszkowskich ćwiczeń wojennych. To musi zadziałać. I nie pomyliłem się! Dzień przed naradą poprosiłem adiutanta generała, aby mój plan znalazł się jak najszybciej w rękach ministra.

– Towarzysz minister czeka na ten dokument – powiedziałem.

– Tak jest, zrobi się, jak należy! Jeszcze dzisiaj zawiozę go do domu generała wraz z innymi materiałami, o które prosił – usłyszałem w odpowiedzi...

## W kadrach decydują

Wicepremier Zenon Komender dziękuje generałowi Tadeuszowi Hupałowskiemu za kierowanie resortem administracji i życzy mu, aby na nowym stanowisku – prezesa NIK-u – odnosił same sukcesy. Przedstawia nowego ministra, generała Włodzimierza Oliwę.

Jestem odprężony i spokojny o moją przyszłość. Rano adiutant generała zwrócił mój plan działania z jego zamaszystą adnotacją o treści „Akceptuję”

i podpisem. Nie widział mnie na oczy, ale uwierzył... Teraz siedzę i notuję, może będę musiał napisać jakiś komunikat do gazet o dzisiejszym wydarzeniu? Zebranie przebiegało w dość wesołym nastroju, tym bardziej, że obaj generałowie popisali się dużym poczuciem humoru. Generał Oliwa dziękując, powiedział między innymi: „Tak to już bywa w życiu, jak mówią na mieście, że jest się ministrem, a za chwilę zostaje się *NIK-im*”. Na co generał Hupałowski natychmiast odpowiedział: „No tak, to prawda, ale na mieście również mówią, że wreszcie rząd będzie dobrze pracował, bo się *na-OLIW-i*”.

Dwie godziny później stoję przed biurkiem nowego szefa resortu.

– Siadajcie. Wasz plan odpowiada moim zamiarom. Widać właściwe podejście i wycucie chwili. Miałem też czas przeglądać waszą teczkę personalną, macie interesujące opinie i ciekawy życiorys. Ale nie wiem nic o waszym doświadczeniu dziennikarskim. Macie jakieś?

– Byłem członkiem kolegium redakcyjnego dwóch zakładowych gazet, do których także pisałem, to jest „Głosu Ursusa” i „Petroecho”. Zakładałem dodatki młodzieżowe do tych gazet. Byłem też naczelnym redaktorem Biuletynu RWPG w zakresie ochrony środowiska. Wydaje mi się jednak, że tutaj bardziej przydatna będzie praca organizatorska niż publicystyczna.

– Dobra, zobaczymy, jak to nam wyjdzie, będziecie uczestniczyli w moich terenowych wyjazdach i wszystkich ważniejszych wydarzeniach ministerstwa. Znajduję w waszych papierach różne notatki, z których wynika, że mieliście wyjechać na kilka lat do pracy w Sekretariacie Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej w Moskwie. Dlaczego nie pojechaliście?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Nie znam tej sprawy. Jeśli nie wyjechałem, to być może zawdzięczam to jednemu z zastępców kierownika Wydziału Polityki Kadrowej KC, towarzyszowi M.D. Ponury facet, nie lubił mnie. Dobrze się stało, że nie pojechałem, miałem dosyć Leningradu i ZSRR.

– No, zobaczymy, zobaczymy, co byłoby lepsze. Proszę mówić do mnie generale, ministrem się bywa, a generałem umrę. Za tydzień pojedziemy do Skierniewic, planuję zresztą powołać przedstawicieli ministerstwa w poszczególnych województwach. Może dam wam Skierniewice?

Kiedy oprzytomniałem na tyle, by móc się poważnie zastanowić nad pracą rzecznika prasowego, zorientowałem się, że w istniejących wówczas warunkach politycznych działania moje mogły być tylko pozorowane.

Na krytykę prasową odpowiadałem półgębkiem. Pisałem prawdę i tylko prawdę, ale nie całą prawdę. Na zewnątrz ministerstwo należało pokazywać jako sprawny mechanizm, choć wewnątrz wszystko się kotłowało. Coraz bardziej byłem rozdrażniony tym dualizmem. Ale nie miałem wyboru.

W trakcie służbowych wyjazdów z ministrem, często samolotem lub helikopterem, rozmawialiśmy o tym. Rozumiał, o czym mówiłem, sam miał podobne odczucia, twierdził jednak, że sytuacja jeszcze nie dojrzała do tego, by do

końca ujawniać wszystkie słabości naszego państwa. Stosunki międzynarodowe są napięte, imperializm uderza w słabe ogniwa obozu socjalistycznego. „Weźcie chociażby blokady gospodarcze, nałożone na nas przez USA”, mówił. Też ma rację, myślałem sobie, tylko jak mam odpowiadać na krytykę prasową? Zwałać wszystko na krwiożerczy imperializm? Po prostu błędne koło.

Z okazji 50. rocznicy moich urodzin otrzymuję od ministra życzenia „wielu sukcesów w pracy zawodowej, a także szczęścia i pomyślności w życiu osobistym”. Jednocześnie podsekretarz stanu Jan Jabłoński, również na piśmie, przypomina mi w serdecznych słowach, że upłynęło właśnie 30 lat mojej „pracy zawodowej, która stanowiła godny wzór dla innych pracowników i była świadectwem właściwego pojmowania obowiązków zawodowych i obywatelskich”. Znałem tę mantrę, sam ją stosowałem, to był rytuał, ludzie się na to nabierali. Mnie też było przyjemnie. Każdy grał swoją rolę, dziś zapewne tak jest jeszcze w większym stopniu, bo i większe pieniądze są do zdobycia. Bez nich dzisiaj nie jesteś nic wart. Wolność bez pieniędzy nie znaczy nic. Wtedy nie miałeś ani jednego, ani drugiego lub miałeś wszystkiego po trochu. Państwo myślało za ciebie.

Pod koniec lipca 1983 roku minister zabrał mnie ze sobą do Białegostoku na naradę sołtysów. Mówili o złej gospodarce ziemią, środkami produkcji, o nowej inwazji stonki ziemniaczanej i braku środków na jej zwalczanie, o niesprawiedliwych cenach na zboża, rzepak, żywiec i mleko, o zaniedbaniach w budownictwie socjalnym i oświatowym.

Udawałem, że notuję. W końcu znużony słuchaniem, wyszedłem z sali obrad, by skorzystać z okazji i zwiedzić chociaż kilka ulic sąsiadujących z siedzibą Urzędu Wojewódzkiego. Lipcowe słońce mocno grzało, nie zachęcając do powrotu na salę obrad. Wreszcie jednak wróciłem i siadłem na swoim miejscu, przed stołem prezydyjnym. Przemawiała jakaś sołtysowa. Nie słuchałem, co mówi. Wtem widzę, jak minister wstaje od stołu, schodzi po kilku stopniach, i – podchodząc do mnie w chwili, kiedy chcę wstać – pochyla się i mówi: „Nie wstawajcie, są jeszcze zapisane trzy osoby, muszę zadzwonić. Jak skończy się dyskusja, wojewoda Dunaj udzieli wam głosu, już mu mówiłem, i zrobicie podsumowanie”. Zbaraniałem. Żołądek podskoczył mi do gardła, a serce zaczęło się tłuc jak oszalałe. A minister, powiedziawszy to, wyszedł, zostawiając mnie w kompletnym osłupieniu. Nie dość, że nie słyszałem dużej części dyskusji, to na domiar złego, udając, że notuję, rysowałem różne bazgroły, z których z oczywistych powodów skorzystać nie mogłem. Siedzę prawie omdlały i proszę niebios, żeby chociaż ci ostatni dyskutanci powiedzieli coś, czego mógłbym się ucześcić, zachowując twarz przed tą 450-osobową publiką i gospodarzami województwa. Oczami wyobraźni widziałem siebie na noszach, a obok – sołtysów pokładających się ze śmiechu i ministra, który mówi, że już nie pracuję.

Niebios okazały się łaskawe! Ostatni mówca, sołtys Bronisław Kowalewski z Ciecierzyc Wielkich, na zakończenie wystąpienia powiedział: „Ogromna więk-

szość urzędników w radach narodowych czy urzędzie gminy wciąż lekceważy prostych ludzi. Wchodzi rolnik do urzędu i mówi „Dzień dobry”. Urzędnik ani drgnie, patrzy w papiery i udaje zapracowanego. Rolnik przestępuje z nogi na nogę i czeka, nieraz bardzo długo, aż – często smarkula – źle wychowana, „wielka pani”, raczy się do niego odezwać”.

Wchodzę na glinianych nogach na mównicę. Dunaj zapowiada, że oddaje głos doradcy ministra, bo towarzysz minister musiał wyjść; miał pilny telefon. Niech chociaż ten Oliwa tak szybko nie wraca – pomyślałem. Niestety, właśnie w momencie, gdy stanąłem na mównicy, pojawił się w drzwiach.

– Tutaj, przed chwilą – rozpocząłem z duszą na ramieniu – sołtys z Ciecierzyc mówił o złym traktowaniu chłopów przez źle wychowane młode urzędniczki w urzędach gminnych. Pytam w związku z tym wszystkich zebranych, skąd one tak źle wychowane znalazły się w tych urzędach? Kto je wychowywał? Kto posłał do szkół? Wyście je źle wychowali i do szkół powysyłali! To są wasze chłopskie dzieci, których Polska Ludowa za darmo wykształciła. Nikt ich na spadochronie nie zrzucał. Już się wyrodziły? Nie liczą się z wami. Tutaj możemy mieć pretensję tylko do siebie. Proszę o tym pomyśleć.

Kiedy rozpocząłem temat samowystarczalności w dziedzinie żywienia i poprawy warunków życia i pracy na wsi, minister przerwał mi i oznajmił, że on będzie mówił dalej, bo, „bardzo go poruszyła sprawa wychowania młodzieży, o czym tak dobitnie i prawdziwie mówił mój doradca”.

O, jaka ulga! Dalej miałbym kłopot, bo o problemach wiejskich niewiele mogłem powiedzieć. Zresztą minister nie był lepszy ode mnie. Same ogólniki. Zawsze wiedziałem, że z takich nasiadówek chleba i tak ojczyźnie nie przybędzie. Organizowano je z powodów polityczno-propagandowych. Wszystko wymagało zmian od podstaw, które mogły być zrealizowane tylko po podjęciu mądrych decyzji na różnych szczeblach władzy. Zmian oczekiwali wszyscy.

Wracając samochodem do Warszawy, rozmawialiśmy wiele godzin. O moim dzieciństwie na Wołyniu, o udziale mojego taty w II wojnie światowej, o przedwojennej biedzie, o UPA i Akcji „Wisła” w Bieszczadach, o nieokreślonej do końca roli rzecznika prasowego.

– Czy towarzysz generał tak naprawdę wie, kto to jest, taki rzecznik prasowy?

– To oczywiście, jego zadania są określone w rozporządzeniu Rady Ministrów, jeśli się nie mylę, z listopada ubiegłego roku, tak?

– No, niezupełnie. Bo tak naprawdę to jest taki gość, który przesiaduje, z nadmiaru wolnego czasu, nad *rzeką* i czyta *prasę*.

– Tak to wygląda? No to jutro spotykamy się o 7 na kawie – powiedział, śmiejąc się mój szef.

– Tak jest, towarzyszu generale! – odparłem, zastanawiając się, czy znowu nie palnąłem głupstwa.

Poniedziałek, następnego dnia. Adiutant parzy kawę, porządkuje teczkę

z papierami dla ministra, spogląda na mnie, dziwiąc się tak porannej audyencji u szefa resortu. Jest 7, wchodzi generał. Wita się, prosi o dwie kawy i zaprasza. Mam obawy, że ta wczorajsza anegdota o rzeczniku dała mu do myślenia. Wy-leje mnie czy każe robić coś innego? Oto jest pytanie!

– Przyglądam się wam od pewnego czasu – zaczyna – myślę, że siedzenie nad rzeką może uprawiać kto inny. Kto to będzie, nie moja sprawa, zajmiecie się tym osobiście, ponieważ za kilka dni jest 1 sierpnia i właśnie od tego dnia powołam was na dyrektora departamentu kadr i szkolenia.

Po ochłonięciu postawiłem warunek. Mianowicie poprosiłem o umowę dżentelmeńską polegającą na tym, że jeśli się nie sprawdzę, natychmiast powie mi to w oczy i zwolni mnie. Z kolei, jeśli ja stwierdzę, że zajęcie mi nie odpowiada, poproszę o zwolnienie, nie podając przyczyn. Zgodził się. Już nazajutrz otrzymałem pismo o powołaniu mnie na dyrektora departamentu.

Pod koniec lata brałem udział w jakimś zgromadzeniu aktywu społeczno-gospodarczego województwa skierniewickiego. Nowym I sekretarzem partii w Skierniewicach po odejściu z KC PZPR był Janusz Kubasiewicz. W tej naradzie uczestniczył minister spraw zagranicznych Józef Czyrek, któremu towarzyszył Zygmunt Broniarek, korespondent „Trybuny Ludu” w Stanach Zjednoczonych.

W przerwie Kuba przedstawiając mnie Broniarkowi, opowiedział z humorem o mojej „bohaterskiej” służbie wojskowej, podkreślając, że jako dyrektor departamentu kadr reprezentuję generała Oliwę i jestem zapewne jedynym cywilem na takim stanowisku w Ministerstwie Administracji.

Broniarek roześmiał się i dodał, że to stanowisko jest zawsze bardzo ważne, bo, jak powiedział klasyk: „Kadry decydują o wszystkim”. Prawda? – dodał, zwracając się do mnie.

Przytaknąłem, ale natychmiast dodałem: – Przykro mi tak wybitnego znawcę dzieł klasyków socjalizmu poprawiać, ale zmuszony jestem to zrobić. Przez chwilę wszystkie oczy były skierowane na mnie. Co to za facet, który ośmiela się w towarzystwie tak wybitnych osób zwracać uwagę redaktorowi? Niezrażony chwilą ciszy mówię: – Ta wybitna maksyma w wydaniu klasyka, którego imienia lepiej nie przywołujmy, a którą towarzysz Broniarek przytoczył, jest nie do końca prawdziwa. Powinna raczej brzmieć: „W kadrach decydują o wszystkim!”.

Śmiano się, przyznając w duchu, że tak właśnie jest. Broniarek wyjął notes i coś w nim zapisał, mówiąc, że kiedyś wykorzysta to w jakimś felietonie.

Dziesięć lat później spotkaliśmy się przypadkowo, przypominałem mu tamto zdarzenie. Wzruszył się, że czas tak szybko pędzi, że to już tyle lat. Wtedy też podarował mi swoją książkę *Biały dom i jego prezydenci* z przyjemną dedykacją: „Panu Ryszardowi Strońskiemu z serdecznymi pozdrowieniami z Białego Domu. Z. Broniarek”.

# Likwidacja

Polską nadal wstrząsały drgawki. Od stanu wojennego minęło zaledwie kilkanaście miesięcy. Dzięki jego wprowadzeniu – tak do dziś sądzi większość społeczeństwa – udało się odsunąć groźbę inwazji na Polskę państw „zaprzyjaźnionych”. Uniknięto całkowitego paraliżu struktur państwa, ukrócono szaleństwo strajkowe druzgocące gospodarkę. Nie spełniły się zapowiedzi ostrej konfrontacji, ustały – jak to wówczas określano – ruchy nieposłuszeństwa obywatelskiego, które groziły wybuchem wojny domowej.

„Solidarność” została zdelegalizowana, pozwolono na utworzenie związków branżowych. Zmiany personalne w kierownictwie partii i w rządzie następowały lawinowo, choć nie mogły one, co oczywiste, zastąpić niezbędnych zmian społeczno-gospodarczych. Nie wierzyłem, że od razu nadejdzie taka epoka, w której zaczniemy wszyscy żyć normalnie.

Każdy jeszcze nosił w sobie swoją pamięć stanu wojennego. Moje wspomnienie nie było przykre. Mieszkalem wtedy na dolnym Mokotowie. Wracałem z żoną maluchem z Ursynowa. Byliśmy w odwiedzinach u córki. Wyjechaliśmy o 21.30. Chcieliśmy zdążyć do domu przed godziną milicyjną. Zima była mroźna; nasz fiat 126p w pewnym momencie zatrzymał się na środku drogi. Na przystanku autobusowym stały czołgi, przy koksownikach grzali się uzbrojeni żołnierze. Kilku z nich pod dowództwem oficera podeszło do nas. Usiłowali pomóc w uruchomieniu samochodu. Zaglądali pod maskę, pchali. Bez rezultatu. Byliśmy bezradni. – Nie martwcie się, państwo, jakoś damy sobie radę, gdzie mieszkacie? – pytali żołnierze. – Jakies dwa przystanki autobusowe stąd. – Chłopcy, zagrzejemy się, co? No to do roboty, zawieziemy państwa do domu! Czterej żołnierze i pan porucznik, w pół godziny dopchali nas prawie pod wejście do naszego bloku. Była już godzina 23. Nie skorzystali z zaproszenia na świąteczny poczęstunek, chociaż bardzo chcieli. Niestety, kończyła się ich warta.

W miejsce Inspekcji Sił Zbrojnych, do kompleksowej kontroli województw powołano nowy organ, Główną Inspekcję Terenową przy Ministerstwie Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska. Jeszcze przed mianowaniem na dyrektora departamentu, jako doradca i rzecznik prasowy, w kwietniu 1983 roku brałem udział w pierwszej kontroli, w województwie zamojskim. Termin wizytacji był utrzymywany w tajemnicy aż do dnia wyjazdu GIT, której szefował generał Drzazga. Do Zamościa wybrała się stuosobowa ekipa kontrolerów.

Po dwutygodniowej wizytacji okazało się, że takie dziedziny, jak funkcjonowanie organów administracji państwowej, gospodarka mieszkaniowa i komu-

nalna, żywnościowa i rolnictwo, budownictwo i działalność inwestycyjna, stan sanitarny i higieniczny, zaopatrzenie ludności, handel i usługi, zdrowie i opieka społeczna, oświata, kultura i ochrona środowiska w większości otrzymały ocenę niedostateczną. Problemy narastały wszędzie.

Po zakończeniu tej pierwszej inspekcji, na konferencji prasowej mówiłem, jak donosiła „Polityka”: (...) „Takie kontrole stanowią ważne novum w życiu społeczno-politycznym w naszym państwie. Przyjeżdżają ministrowie, kontrolują i zauważają niedostatki, reagują bezpośrednio, nagradzają i wyciągają wnioski personalne. To daje nadzieję na poprawę bytu ludzi pracy, sprawia, że administracja musi szybciej przystosowywać się do nowych czasów i nowego stylu pracy” (...).

Pracę w charakterze szefa departamentu rozpocząłem od przejrzania mojej teczek personalnej. Znalazłem w niej potwierdzenie, że w roku 1982 byłem poważnym kandydatem do pracy w Sekretariacie Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej w Moskwie. Nie zatwierdził mnie Wydział Polityki Kadrowej KC PZPR. Potwierdziło się zatem, że „w kadrach decydują o wszystkim”.

Miałem dwóch zastępców. Jednym z nich był Jerzy Winek, były szef wydziału kadr w ZM „Ursus”, zwolniony z pracy na skutek zmian organizacyjnych w fabryce traktorów. Był moim kolegą z czasów ursusowskich. Przyjął moją propozycję i pracował dobrze, był lojalny. Drugi, pułkownik R.K. został narzucony przez szefa gabinetu generała Oliwy, A.S., który w każdym departamencie miał swoich zauszników. R.K. przesiadywał u swojego dobroczyńcy, przekazując najczęściej zmyślane wieści o nieprawidłowościach w pracy departamentu.

W moim gabinecie nie zamykały się drzwi od wizyt przedstawicieli służby bezpieczeństwa, tak zwanych opiekunów. Prosił na przykład o druki zwolnień, różnych zaświadczeń i upoważnień, formularzy delegacyjnych i blankietów legitymacji służbowych. „Potrzebne nam są do pracy operacyjnej, wiecie”. Domagali się różnych opinii o pracownikach, chcieli przeglądać teczę personalne. Jednak nie szło im ze mną łatwo. Żądałem zgody moich przełożonych. Zgoda dyrektora gabinetu ministra była dla mnie niewystarczająca. Między A.S. a mną doszło do konfliktu. O tej sytuacji poinformowałem generała. Minister jednak zwrócił mi uwagę na to, że szef jego gabinetu preferuje styl wojskowy. Przypomniałem ministrowi, że jestem cywilem i mogę na tych manierach się nie znać. – To się da naprawić – usłyszałem – poślę was na przeszkolenie wojskowe i po miesiącu złapiecie, o co chodzi. – To nie będzie możliwe – odpowiedziałem – jestem skreślony z ewidencji wojskowej. – No, dobra, dobra, weźcie pół litra i się dogadajcie, bo jeden z was będzie musiał coś stracić. Niestety, recepta ministra nie była skuteczna. Chyba rzucę tę robotę – myślałem coraz częściej – nie będę użerał się z żołdakami z Informacji Wojskowej, Kontrwywiadu i Służby Bezpieczeństwa.

W tym czasie nastąpiła reorganizacja administracji państwowej. Zresztą nie pierwsza i nie ostatnia. Pojawiły się nowe resorty, inne zlikwidowano lub zmie-

niono ich nazwy. I tak, w listopadzie 1983 roku zostaję powtórnie nominowany na stanowisko dyrektora departamentu i członka kolegium w Ministerstwie Administracji i Gospodarki Przestrzennej. W tym charakterze biorę udział w jednym z wyjazdów ministra – zwanych uszczypliwie „wizytą gospodarską” – do województwa krośnieńskiego, gdzie wojewodą był mój kolega z czasów sekretarzowania w Pruszkowie, T.K., wieloletni członek zespołu „Mazowsze”. Generał Oliwa upatrzył go sobie na wiceministra. Poleciał mi wysondowanie, czy w razie takiej propozycji T. ją przyjmie. W drodze powrotnej poinformowałem ministra, że T.K. nie wyklucza takiej możliwości i oczekuje ewentualnej rozmowy z generałem. Ten coś tam mruknął pod nosem i długo się nie odzywał. Wyraźnie nie miał humoru.

W końcu przerwałem milczenie.

– Co was gnębi, towarzyszu ministrze?

– Wciąż się zastanawiam, czy przypadkiem nie popełniłem wczoraj grubej gąfy podczas posiedzenia kolegium. Byliście przy tym, co myślicie?

W trakcie posiedzenia kolegium resortu z udziałem wiceministrów referowałem wyniki przeprowadzonych przez mój departament badań; wskazywały one na potrzebę redukcji zatrudnienia w ministerstwie i dalszej likwidacji zbędnych komórek organizacyjnych. Wystąpienie przerwałem, kiedy rozległ się dźwięk telefonu bezpośrednio łączącego z szefem rządu. Oliwa podniósł słuchawkę i powiedział: „Melduję się, towarzyszu generale, Oliwa”. Mówił: „Staram się, dziękuję! Tak, w mojej działalności jest wszystko, co się gdzie indziej nie zmieściło... Również ochrona środowiska, ogrody zoologiczne i cmentarze. Proszę? No, co obywatel generał mówi, to przesada! Co? Ależ premierowi? Oczywiście, z wielką radością, nie tylko po znajomości. W każdej chwili. Priorytetowo, no pewnie! Tak, tak jest! Mam nadzieję, że dam sobie radę przy waszym wsparciu. Dziękuję. Do widzenia”.

– Nie wiem, co myśleć, bo słyszałem tylko was. Domyślaliśmy się wszyscy, że rozmawialiście z premierem Jaruzelskim, i że rozmowa poszła nienajlepiej, bo nie pozwoliliście mi dalej referować, przekładając posiedzenie, o właśnie na jutro. Po wizycie w Krośnie.

– Jaruzelski, kiedy mu wymieniałem dziedziny, jakimi zajmuje się nasze ministerstwo – między innymi wspominałem o zoo i cmentarzach – zażartował, mówiąc, że dobrze jest wiedzieć o tym, bo gdyby zszedł nagle z tego świata, to nie będzie miał kłopotu z miejscem na cmentarzu. A ja mu wtedy (słyszeliście chyba wszyscy) bez zastanowienia, że owszem, z radością, po znajomości, w każdej chwili... Głupio wyszło, co?

– No nie, chyba ma poczucie humoru, przecież pierwszy zaczął o tym mówić, tak czy nie?

– To prawda, sam zaczął, ale wiecie...

Następnego ranka, przed wyjściem do pracy, stwierdziłem, że znowu mam gorączkę, właściwie trwało to już od kilku tygodni. Na posiedzeniu kolegium

mówiłem z trudnością, nieskładnie. Po zebraniu minister spytał o przyczynę takiego rozkojarzenia. Powiedziałem, że od dłuższego czasu mam stany podgorączkowe.

– Pójdziecie jutro do szpitala rządowego na Emilii Plater, trzeba się przebadać – usłyszałem.

Szpital nie okazał się jakąś „świątynią leczenia”. Przez jakiś czas robiono analizy, mierzono temperaturę i prześwietlano na różne sposoby. Gorączka wzrosła do 39 stopni. Po kolejnym zdjęciu rentgenowskim lekarze niemal z ulgą stwierdzili, że teraz już na pewno wiedzą, co mi jest. Mianowicie, mam wewnątrzszpitalne obustronne zapalenie płuc i muszę poleżeć jeszcze kilka tygodni, a potem zostanę przewieziony do Konstancina na dalszą rehabilitację. I to właśnie był ten osławiony szpital rządowy! Żeby chociaż miał trochę ścian ze szkła, poręczy z chromu, a windy ze stali o kulistych kształtach...

I oto teraz, z ministrem i jego szefem gabinetu, już pod koniec rehabilitacji spaceruję po parku w Konstancinie. Przyjechali mnie odwiedzić czy namówić, abym już jutro wracał do pracy? „To tylko tydzień, to już i tak wam niewiele da, wracajcie do pracy w poniedziałek” – usłyszałem.

W poniedziałek Oliwa poleca mi znalezienie człowieka na wakujący etat wiceministra. Sprawa bardzo pilna. „W KC zastępcą kierownika Wydziału Ekonomicznego jest Wacław Kulczyński, musicie jakoś się dowiedzieć, czy przeszedłby do mnie na wiceministra, ale on nie może się niczego domyślać. Popytajcie różnych ludzi o opinię na jego temat. Może ma już dosyć KC?”.

Próbowałem oponować, mówiłem, że takie sprawy nie leżą w moich kompetencjach, że to jest sprawa do rozmowy generała z którymś sekretarzem KC, że to wysoka nomenklatura. „W wojsku mój kadrowiec załatwiał wszystko i tutaj powinno być tak samo. Wasza w tym głowa” – usłyszałem w odpowiedzi, i generał zabrał się do przeglądania papierów.

Czasami ma się wszystkiego dosyć. To była właśnie taka chwila. Było mi wszystko jedno! Wacława znałem od dłuższego czasu. Miły, uczynny, skromny, kulturalny. Zadzwoń.

– Czy chciałbyś się wyrwać z KC i przyjść do nas na stanowisko wiceministra? Pamiętaj tylko, żebyś się nie wysypał, że pytałem cię bezpośrednio. Oliwa mi polecił, bym się zorientował w twoich planach, ale tak, żebyś o tym nie wiedział – powiedziałem prosto z mostu.

Nie muszę dodawać, że Wacław natychmiast się zgodził i wskazał na Kazimierza Barcikowskiego, w którego gestii może być decyzja o jego przejściu. Poinformowałem ministra o rezultatach mojej kadrowej misji. „No, dobrze idzie. Teraz chciałbym, abyście to załatwili z Barcikowskim. Już wam mówiłem, że mój kadrowiec wypełniał każdy mój rozkaz?”.

Trzy dni po tej rozmowie, nad Zalewem Zegrzyńskim rozpoczynała się zorganizowana przez mój departament ogólnopolska konferencja szkoleniowa

dyrektorów przedsiębiorstw komunalnych, na którą zaprosiłem Kazimierza Barcikowskiego z prośbą o przedstawienie informacji o sytuacji gospodarczo-społecznej w kraju.

W przerwie konferencji poprosiłem sekretarza KC o zgodę na przejście Wacława Kulczyńskiego do pracy w Ministerstwie Administracji. „To jest dobra myśl, niech ludzie awansują, oczywiście zgoda, dziś jeszcze go o tym poinformuję, a Oliwa niech do mnie jutro zadzwoni” – usłyszałem w odpowiedzi.

Pułkownicy ministerialni, którzy nie mogli przeboleć, że departamentem kadr kieruje cywil, byli przekonani, że poślizgnę się na operacji „wiceminister”. Pułkownik A.S. forsował swojego człowieka na moje miejsce. Wkrótce złożyłem rezygnację z pracy i w lutym 1985 roku zostałem odwołany.

Gabinet ministra zorganizował dla mnie uroczyste podziękowanie w obecności wszystkich moich pracowników i przedstawicieli innych departamentów. Generał Oliwa wręczył mi kwiaty i odznaczenie za zasługi dla resortu. Lubilem go. Dotrzymał dżentelmeńskiej umowy. Po kilku latach, już po jego śmierci, spotkałem jego adiutanta. „Panie dyrektorze, jeszcze na kilka godzin przed śmiercią kazał mi odnaleźć pana, bardzo chciał się z panem zobaczyć i porozmawiać. Niestety, jak się dowiedziałem, był pan wtedy w Londynie”.

Tymczasem ponownie zostałem doradcą ministra. Dwa miesiące później byłem już wicedyrektorem departamentu społeczno-zawodowego. Generał wręczając mi nominację, przyznał w rozmowie w cztery oczy, że pośpieszył się z przyjęciem mojej rezygnacji, i że to go bardzo męczy. Nie może znaleźć wspólnego języka z nowym dyrektorem departamentu kadr, pułkownikiem M.G., który nawet po polsku mówi źle: na przykład zamiast Cejlon mówi „celjon”, a zamiast inny – „inszy”. „Zresztą i tak niedługo nasze ministerstwo zostanie zlikwidowane” – zakończył generał.

Wszyscy byli zmęczeni. Z ludźmi się nie liczone, przesuwano na różne stanowiska. Ciągłe reorganizacje, powoływanie nowych departamentów, likwidowanie starych, zawężanie lub poszerzanie zakresu ich działania powodowało zamieszanie i zniechęcenie do przejawiania inicjatywy.

I tym razem niewiele zdziałalem na stanowisku wicedyrektora wspomnianego departamentu, gdyż kilka miesięcy później rząd powołał biuro komisji do spraw przeciwdziałania alkoholizmowi z wicepremierem Zenonem Komendrem jako szefem. A dotychczasową siedzibę tej komisji przeniesiono z Ministerstwa Zdrowia do Ministerstwa Administracji. Sekretarzem organu został wiceminister Wacław Kulczyński, mnie zaś powołano na dyrektora biura sekretariatu.

W tym charakterze, dwukrotnie, zwoływałem to szacowne zgromadzenie (składające się w jednej trzeciej z hierarchów kościelnych oraz aktywistów świeckich wysokiego szczebla), przygotowywałem materiały dla Zenona Ko-

mendera, wiceministrów i prasy. Nie mogę powiedzieć, że działanie wysokiej komisji odniosło jakikolwiek skutek...

Wkrótce Ministerstwo Administracji i Gospodarki Przestrzennej ulega likwidacji. Zostają przeniesiony do dyspozycji departamentu kadr i szkolenia Ministerstwa Budownictwa, Gospodarki Przestrzennej i Komunalnej, tym razem z Filtrowej na Kruczą.

I znowu otworzył się w moim życiu nowy rozdział. Zaczął się od tego, że straciłem pracę. Zastanawiałem się, czy nie pójść na wcześniejszą emeryturę. Nie, jeszcze nie, za wcześnie! Mijały dni i tygodnie na nicnierobieniu i zamartwianiu się o najbliższą przyszłość.

Na manifestacji pierwszomajowej, gdzie poszedłem w nadziei spotkania znajomych i popytania ich o jakąś pracę, natrafiłem na Franciszka Teklińskiego. Szanowałem go bardzo. Był kiedyś sekretarzem do spraw rolnictwa w Komitecie wojewódzkim partii. Człowiek skromny i uczynny. Znaliśmy się z działalności partyjnej na Mazowszu. Opowiedziałem mu o mojej sytuacji.

– A może przyszedłbyś do mnie na zastępcę dyrektora biura organizacji i samorządu? Będę miał wolny etat od lipca.

– Do ciebie natychmiast, tylko nie wiem gdzie teraz się obracasz.

– Jestem prezesem Centralnego Związku Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych.

Ale wpadłem, w polskich kolchozach jeszcze nie pracowałem! Dałem jednak słowo. W lipcu 1986 roku po raz kolejny rozpocząłem nową pracę. Zgłosiłem się do mojego bezpośredniego szefa, pana Zdzisława Kaczmarczyka w siedzibie związku przy ulicy Krakowskie Przedmieście 6. Czy to będzie już ostatni etap moich peregrynacji po urzędach i instytucjach PRL-u?

## Atestacja

Mój nowy szef Franciszek Tekliński był człowiekiem niezwykle przyjaznym ludziom. Niestety, wkrótce zachorował i umarł. Na jego miejsce przyszedł były I sekretarz jednego z komitetów wojewódzkich partii. Ustawicznie wynikały między nami nieporozumienia. Raził go mój niekonwencjonalny sposób postępowania; między innymi nowe metody pracy w sprawach kadrowych i szkoleniowych. Nie uznawałem szefów, którzy chcieli kontaktować się ze mną z pozycji władcy. Byłem wtedy opryskliwy, nieprzyjemny. Wreszcie doszło do takiego napięcia, że zdecydowałem się, w jednym z numerów tygodnika „Spółdzielnia Produkcyjna”, zamieścić artykuł zatytułowany „O kulturę bycia”. To pogłębiło naszą wzajemną niechęć, felieton dotyczył przecież kultury bycia prezesa.

Gdy dwa lata później „Energoexport” wystąpił do niego o wyrażenie zgody na mój wyjazd do pracy za granicą, nie otrzymałem jej. Mimo to wyjechałem.

Muszę jednak przyznać, że wtedy nie miałem pojęcia, jak bardzo sposób bycia szefa CZRSP był zdeterminowany specyfiką jego pracy. Dzisiaj to rozumiem. Gdy nieraz spotykamy się, serdecznie się witamy i mój były przełożony zaprasza mnie do swojej firmy handlowej.

Zarabiałem miesięcznie 63 200 złotych. Po roku pracy prezes wręczył mi laurkę, w której napisał, że z okazji 35-lecia pracy zawodowej wyraża podziękowanie za właściwe i sumienne wypełnianie obowiązków służbowych oraz życzy sukcesów w dalszej pracy zawodowej i pomyślności w życiu osobistym. Moja pensja wzrosła do wysokości 70 000 złotych.

W tym czasie zostałem też powołany na członka Komisji do spraw zachowania pokoju i bezpieczeństwa w Europie przy Krajowej Radzie PRON (Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego), a także wybrano mnie do składu zarządu warszawskiego Komitetu Obrońców Pokoju.

Miłym zaskoczeniem było to, że w moim biurze pracowała J.D., córka generała Mieczysława Cygana. Bardzo zdolna, pracowita, konkretna i pomysłowa. Już nie byłem taki samotny, wyobcowany i smutny. Wszędzie, gdzie dotąd pracowałem, starałem się pomagać ludziom starym w ich codziennych kłopotach i samotności. Zorganizowaliśmy klub emerytów, byłych pracowników CZRSP, który natychmiast rozpoczął starania o zaopatrzenie swoich członków w niezbędne towary żywnościowe; w tamtym czasie stanowiło to ogromną pomoc.

Zorganizowałem wewnętrzne szkolenie w celu doskonalenia obsługi prawno-samorządowej kilkunastu tysięcy spółdzielni produkcyjnych w Polsce. W swoich wykładach mówiłem o relacjach z ludźmi, psychologii, kulturze i organizacji pracy. Nawiązałem bliską współpracę z centrum podyplomowym kształcenia pracowników administracji państwowej Urzędu Rady Ministrów. Naukowcy – na podstawie umowy, do której podpisania doprowadziłem – szkolili na kilkudniowych kursach kierowników gospodarstw spółdzielczych. Do programu zajęć wprowadziłem obowiązkowy temat o dobrych obyczajach.

W tym czasie, w 1987 roku, ukazała się książka Edwarda Pietkiewicza właśnie pod takim tytułem. Jej autor na moją prośbę chętnie prowadził wykłady z tej tematyki. Każda ilość egzemplarzy książki *Dobre obyczaje* była natychmiast sprzedawana, a autorowi po każdym spotkaniu dziękowano oklaskami i kwiatami. Trzeba było widzieć tych spracowanych ludzi, przewodniczących spółdzielni produkcyjnych, gdy z chwilą, kiedy autor mówił, że „chusteczkę do nosa powinno się nosić w lewej kieszeni spodni”, natychmiast, ukradkiem przenosili ją na właściwe miejsce. Po wykładach pytaniom nie było końca. Ludzie spragnieni byli czegoś więcej. Byt, owszem, określał świadomość, ale coraz częściej pojawiał się pytanie: jaki byt?

CZRSP w drodze wymiany praktykantów między kolchozami radzieckimi a naszymi spółdzielniami produkcyjnymi, wysłał kilkanaście osób do najlepszych kolchozów w ZSRR. Pojechałem na Ukrainę, by zapoznać się z warunkami życia i nauki naszej spółdzielczej młodzieży.

Nie była to moja pierwsza wizyta w kolchozach. Jako konsul w Leningradzie uczestniczyłem w poznawaniu życia kolchozowego w wybranych gospodarstwach w regionie mego urzędowania. Wtedy wożono nas w sposób zorganizowany, jechaliśmy w kawalkadzie samochodów konsularnych wielu obcych przedstawicielstw. Nie ma co wspominać. To były akcje pokazowe. Wsie potiomkinowskie! Na jednym z tych wyjazdów poczęstowano nas ogórkami z miodem. Wierzcie mi, to było naprawdę pyszne. I tyle zapamiętałem z życia kolchozu.

Teraz, odebrany z pociągu na jakiejś stacji kolejowej przez sympatycznego, nieco młodszego ode mnie Ukraińca, sekretarza KPZR w kolchozie „Czerwona Gwiazda”, jadę terenowym łazikiem po polnych błotnistych koleinach pozostawionych przez gąsienice traktorów. Sekretarz informuje, że jutro spotkam się z trzema polskimi praktykantami, a teraz czekają na nas z obiadem w domu szefa kolchozu. Nocleg zaś mam zapewniony w prywatnym domu emerytów, starych kolchoźników, którzy zostali odpowiednio zaopatrzeni w prowiant, a także w nowe żelazne łóżko, koldrę i prześcieradło. Mówi także, że tam nie ma osobnego pokoju, będę spał za zasłoną z koca; będzie też miska i wiadro z wodą do mycia. Toaleta, niestety, będzie na zewnątrz. Wszystko jest zorganizowane właściwie i przez niego skontrolowane. Jeśli chciałbym wziąć prysznic, to jest to możliwe, bo „skonstruowaliśmy takie urządzenie dla naszych dojarek i traktorzystów” przy oborach.

Łazik przedziera się przez wieś zanurzony po osie w błocie, rozpędzając na wszystkie strony stada kaczek i gęsi, taplających się w błotnistych bajorkach utworzonych przez wczorajszą ulewę. Kierowca, niewątpliwie rajdowiec, wreszcie dał za wygraną. Ugrzęźliśmy tak głęboko, że mógł nas wybawić z opresji tylko traktor na gąsienicach.

W domu dyrektora kolchozu serdecznie nas powitano i posadzono za stół zastawiony ukraińskim jadłem. Powiedzieć, że było tam wszystko, to za mało. Było kolorowo, pachnąco, swojsko, smakowicie. Zabrakłoby przymiotników, żeby to opisać. I byłoby do końca świetnie, również dzięki podanej znakomitej pieprzowej gorzałce, gdyby nie miejsce przy stole, które mi przypadło w udziale. Otóż siedziałem na wprost okna i chcąc nie chcąc obserwowałem życie wsi kolchozowej. W pewnym momencie w światło okna jak w klatkę taśmy filmowej wchodzi stara kobieta. Nie wchodzi, niemalże wpęła! Usiłuje na przemian wyciągać nogi z tego piekielnego, smolistego błota. Chwyta jedną ręką za sztachetę płotu, drugą usiłuje mocno trzymać końcówki zawiązanej pod brodą ogromnej chusty, w której dźwiga na plecach, wystającą ponad jej głowę, za-

bloconą belkę, podkład kolejowy (z takich budowaliśmy schrony). W pewnym momencie staruszka nie dała rady wydobyć z błota gumowego buta i upadła, przywalona kłodą, w mał ukraińskiego czarnoziemiu.

Poderwałem się od stołu, chciałem biec na ratunek. Gospodarz powstrzymał mnie, mówiąc, że to nic takiego, to wdowa Marusia, oni tak wszyscy w czasie lata ściągają, co znajdą – na zimę, żeby mieć czym w piecu palić. A ta belka to zapewne zabrana z drogi, bo kilka dni temu kazał umocnić grunt koło mostka, ale już pokradli. „Co zrobić? Tacy ludzie!”.

Sekretarz partii, Stiopa, wyszedł i pomógł wdowie wydostać się z błota. Powiedział mi, że obiecał zaciągnąć tę belkę wieczorem na jej podwórze. Jednak potem okazało się, że belki już tam nie było; zapewne ktoś ją ukradł. „Nie martw się, ja się tym zajmę, przydzielimy staruszce opał na zimę”.

Wtedy nieoczekiwanie dla samego siebie ośmieliłem się i zapytałem, czy mógłby mnie zawieźć do mojego Dubna – to zaledwie rzut kamieniem, tylko 100 kilometrów. Zgodził się, chociaż zdawał sobie sprawę, że było to zakazane. Ostrzegł wcześniej, że w przypadku kontroli dokumentów przez GAI (Państwowa Inspekcja Samochodowa), mam siedzieć cicho lub udawać, że śpię. Jedyna kontrola przebiegła pomyślnie. W Dubnie Stiopa widząc, że coś się ze mną dzieje złego, podjechał wprost pod kiosk z piwem, w samym centrum miasta, tuż obok kilkumetrowej rzeźby Lenina. Do kufla z piwem kazał wlać po pół litra... śmietany. Wypiliśmy tę smaczną mieszankę. To była uspokajająca mikstura. Pijąc ją, mówiłem Stiopie, że być może 50 lat temu stałem w tym samym miejscu i lizałem lody kupione w sklepie u Żyda Dojczgewanda, albo płakałem po wyjściu od dentysty Kagana, „o, z tamtego domu”. W mieście mojego dzieciństwa byłem wtedy tylko 25 minut. Zatrzymaliśmy się koło domu, gdzie mieszkalem w czasie wojny, widziałem drzewo, pod którym Niemiec miażdżył butem głowę mojego kolegi. Nie wytrzymałem i rozplakałem się. Chciałem jak najszybciej odjechać. Nie byłem jeszcze gotowy na takie wzruszenia. Postanowiłem wrócić tutaj kiedyś z kimś bliskim, bym mógł go trzymać za rękę, jak wtedy, gdy byłem mały i trzymałem się ręki mojej mamy. Myślałem, że może to będzie mój syn. Jego ręka. I jego słowa: „Uspokój się, tato, jestem przy tobie”. Minęło jeszcze 13 lat. Pojechałem do Dubna z żoną i moją stryjecną siostrą Teresą. Już za Łuckiem czułem się jak w domu, na swoim, choć cudzym. Tu zaczynała się moja ojczyzna, to były moje rodzinne strony. Wyczuwałem to wszystkimi zmysłami, chłonałem duszą wytęsknioną ten znany krajobraz, czarnoziemne pola, architekturę, a w niej te tak bliskie sercu cerkwie, znaczące już z oddali wsie o nazwach nagle przypomnianych. Wreszcie roгатka dubieńska, serce zamiera, drzę. Poznaje, to zamek, tam... Czy to sen...?

Wybiegłem myślami za daleko, to się zdarzyło kilkanaście lat później. A teraz, po powrocie z podróży służbowej na Ukrainę zapisałem się na seminarium w Instytucie Organizacji Zarządzania i Doskonalenia Kadr. Chciałem bardzo

zrozumieć, na czym miała polegać tak zwana atestacja stanowisk pracy wymyślona w Ministerstwie Pracy, Płac i Spraw Socjalnych.

Po ukończeniu kursu otrzymałem odpowiednie świadectwo podpisane przez dr. Antoniego Konwerskiego i prof. dr. hab. Adama Jaroszyńskiego. Widniało na nim, że szkolenie było poświęcone „metodologii przeglądu struktur organizacyjnych i stanowisk pracy w naczelnym i centralnym organach administracji państwowej”. Niżej dodano, że był to kurs przeznaczony dla dyrektorów gabinetów ministrów i kierowników urzędów centralnych. W gruncie rzeczy, to właśnie ministrowie i kierownicy powinni byli rozpocząć przeglądy od siebie. Jak wiadomo, nigdy tego nie zrobili, bo przecież mogłoby to osłabić ich własną pozycję...

Tak więc zaczęto powszechną atestację: mierzono czas pracy na wszystkich stanowiskach roboczych, liczono przerwy na papierosa i na czynności fizjologiczne, ilość machnięć rąk przy wykonywaniu określonych robót. W spółdzielniach rolniczych należało atestować stanowiska pracy dojarek, traktorzystów, oborowych, świniarzy, koniarzy, rymarzy itd., itp.

Na szczęście ta akcja była bojkotowana, formularze i odpowiednie druki dokumentujące jej przebieg były albo fałszowane, albo odsyłane do centrali puste lub z niewybrednymi dopiskami.

Nic tutaj po mnie – pomyślałem pewnego dnia – zaczyna się powolny rozkład całego dotychczasowego systemu. Czas odejść na emeryturę. Do skoku pręą się młode wilki. Oni już wiedzą, jak urządzić Polskę.

Pracy w Centralnym Związku Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych nie traktuję dziś jako „zesłania” czy też kary za grzechy. Poznałem nową wieś i nowoczesne gospodarstwa. Wiele z nich, z nowoczesną agrotechniką, hodowlą i najwyższej klasy produkcją, nie tylko rolniczą, śmiało konkurowało z najnowocześniejszymi gospodarstwami na zachodzie Europy. Zaledwie kilka procent na ponad 10 000 gospodarstw wymagało stałej troski. Większością gospodarstw kierowali specjaliści z wyższym wykształceniem, a członkowie spółdzielni nie odczuwali niedostatku.

Czy słusznie robiłem w czasach zetempowskich, kiedy na zebraniach wiejskich nawoływałem młodzież parobczańską do zakładania spółdzielni produkcyjnych? Myślę, że tak! Nie tylko ja zresztą. Do dzisiaj istnieje w Polsce bardzo dużo spółdzielczych wsi zrzeszonych w Komisji Rewizyjnej Związku Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych. To je ratuje przed nędzą, jaka spotkała setki tysięcy rodzin żyjących kiedyś z pracy w Państwowych Gospodarstwach Rolnych.

Otrzymuję decyzję o emeryturze. Od 1 marca 1989 roku moje świadczenie emerytalne ma wynosić 36 000 zł. Głód wymiar. Muszę zawiesić emeryturę. Proszę prezesa o umożliwienie mi wyjazdu za granicę, żebym mógł chociaż trochę zarobić, nie mam żadnych oszczędności. Nie zgodził się. Rzucam CZRSP i wyjeżdżam moim wartburgiem do NRD na polską budowę. Przyjmuję, co dają.



Zostaję starszym inspektorem do spraw organizacji i kadr w dyrekcji budowy kompleksu energetycznego „Energoexport” w Janschwalde.

## Czołgiem na Berlin

Wartburg, eneradowski dwutakt pędził przez Poznań, Zieloną Górę i polski Gubin do niemieckiego Guben. Jeszcze 30 kilometrów i dojeżdżam do miejscowości Peitz, skąd widać już ogromne chłodnie kominowe „polskiej” budowy.

Postawiłem samochód na parkingu, okazałem niemieckiej straży przemysłowej odpowiednie dokumenty i zostałem skierowany do siedziby polskiej dyrekcji. Przyjął mnie, niesympatycznie, dyrektor inżynier W.W. Pierwsze wrażenie skonfrontowałem później z pracownikami – w niczym się nie pomyliłem: był nieokrzesany, zachowywał się prymitywnie. Wszyscy się go bali. W stołówce robotniczej, gdzie jadałem obiady, nikt go nigdy nie widział. Kuchnia karmiła go w oddzielnym pomieszczeniu. Z robotami nie przestawał.

Krótko zakreślił moje obowiązki. Miałem zorganizować obsługę paszportowo-kadrową dla paru tysięcy polskich pracowników. Poinformował, że otrzymuję kilkupokojowe mieszkanie w Guben, na wypadek gdybym zdecydował się zamieszkać z rodziną. „Chciałbym również prosić pana o uporządkowanie tutajszego archiwum. Jeśli będzie potrzebna jakaś pomoc, proszę się do mnie zwrócić. Pracę zaczynamy o 6.30. Do widzenia”. Czy aż tak szeroko rozprzestrzeniła się sława o moich zdolnościach archiwisty? – pomyślałem ze smutkiem. Ale co tam, zastosuję metodę sprawdzoną swego czasu w Zarządzie Szkół Artystycznych. Przez tę budowę przeszło już 13 000 polskich pracowników. Nazbierało się zapewne kilkaset kilogramów papierzyśk. Pierwszy dzień w pracy w charakterze inspektora zacząłem po nieprzespanej nocy.

Wychodziłem z mieszkania o 5.45, wsiadałem do autobusu kombinatu energetycznego i po półgodzinnej podróży byłem przed główną bramą. Śniadanie i obiad jadłem w stołówce robotniczej. Lubilem klimat tej wielkiej budowy. Przypominał mi moją, sprzed 25 laty, płocką przygodę przy wznoszeniu kombinatu petrochemicznego. Koło się zamknęło. Minęło ćwierć wieku...

Wolny czas wykorzystywałem na zwiedzanie Dolnych Łużyc (Niederlausitz), Chociebuża (Cottbus), Eisenhuttenstadt. Zapuściłem się na Górne Łużyce (Oberlausitz), do Budziszyna (Bautzen) i Drezna (Dresden). Było mi przykro, kiedy oglądałem dobrze zaopatrzone sklepy, widziałem porządek i rozwiązania zachęcające klientów do natychmiastowej segregacji opakowań i odpadów wprost przed sklepem. Poziom życia Niemców w NRD był wielokrotnie wyższy niż w Polsce. Nie dziwiłem się zatem, że polscy robotnicy i kadra techniczna

niemal hurtowo kupowali damską bieliznę i przemycali ją do Polski. Ja tego nie potrafiłem. Przed powrotem do kraju kupiłem dwa koce, dwie pary butów i trochę części zapasowych do wartburga. Zaprzyjaźniłem się z kilkoma miłymi ludźmi. Z jednym z nich do tej pory utrzymuję kontakt: to Władysław Robak z Legnicy, świetny energetyk i organizator robót inwestycyjnych.

Ponieważ zajmowałem się sprawami paszportowymi, często odwiedzałem dowódcę miejscowych Wojsk Ochrony Pogranicza. Pułkownik S. Komosiński przyjeżdżał również na pogaduszki do mojego biura przy budowie.

Dni, podobne do siebie, upływały monotonna. Nie miałem zamiaru sprządzać na stałe żony. Przyjechała raz w odwiedzin. Prawdopodobnie zanudziłaby się tu na śmierć, nie znając języka. Oddałem mieszkanie w Guben i przeniosłem się do hotelu robotniczego w Peitz. Stąd do pracy chodziłem pieszo lub jeździłem rowerem. Wieczorami biegałem po bieżni miejscowego stadionu.

W Polsce trwają przygotowania do obrad przy okrągłym stole. Na budowę przyjeżdżają pracownicy i lektorzy KC. Na zebraniach partyjnych mówią bzdury niemające odzwierciedlenia w rzeczywistości. Zabieram często głos w dyskusji. Zdobywam popularność wśród załogi. Goście z Warszawy lub z ambasady w Berlinie przegrywają ze mną w polemikach. Proponuję, by PZPR rozwiązała się. Jej czas minął! Członkowie podstawowej organizacji partyjnej chcą podjąć taką uchwałę. Twardogłowi są przeciwni. Szykuje się konflikt. Ku memu zdumieniu dyrektor naczelny popiera moje stanowisko. Chcemy partii socjaldemokratycznej. Rozmawiam z nim teraz często. Ostrzega mnie przed zbytnim zbliżaniem się do ludzi. „Pan ze swoim radosnym i przyjaznym usposobieniem, szczerością i łatwowiernością może wiele stracić. Jestem zadowolony z pana pracy. Wystąpię do Warszawy o awans”.

We mnie jednak powoli dojrzewa przekonanie, że moje miejsce w tym przełomowym momencie powinno być w Polsce. Łudziłem się, jak zwykle. Nie docierało do mnie, że zaczynam być już „niewymiarowy”, jak jakaś, złapana na haczyk, zbyt mała rybka, którą się odrzuca.

Poza tym nie mogłem patrzeć na Niemców w podeszłym wieku. W każdym widziałem wermachtowca: tego, który wpycha moją głowę między zderzaki wagonów lub prowadzi znajomego Żyda na rozstrzelanie.

W pierwszych dniach września, w niedzielę, dzwoni do mnie pułkownik Komosiński. Jego żona wyjechała do Wrocławia, a on nie ma co robić i chętnie by ze mną pogadał przy piwku. Zapraszam go do siebie. Rozmawiamy. Opowiada mi historię, która zdarzyła się przed kilkoma dniami, 1 września w Gubinie.

Od kilku dni wśród załogi było głośno o dziwnym wydarzeniu, któremu nie dawałem wiary. Otóż kilku oficerów Wojska Polskiego, podpiszy nieco, z nudów robiło różne zakłady. Pewien porucznik, czołgista, wygłosił przy stole patriotyczną mowę dotyczącą haniebnego niemieckiego napaści na Polskę 1 września 1939 roku. Zaproponował, by w rocznicę tego wydarzenia wyruszyć na Berlin

i zdobyć go po raz wtóry. Jeśli nikt się do niego nie przyłączy, to on zrobi to sam. Zaproponował zakład. Nikt oczywiście nie wziął tego poważnie. Bojowy porucznik przestał pić, obraził się i wyszedł, odprowadzany drwinkami kolegów.

Poszedł wprost na stanowisko czołgów, uruchomił jeden z nich i ruszył na polskie przejście graniczne. Rozbił zapory, przejechał przez most, rozwalil budkę wartowniczą i na pełnych obrotach ruszył na Berlin. Pruł środkiem drogi. Ominął przeszkody, najczęściej auta, zjeżdżał w pole, łamał drzewa. Spowodował panikę. Nie wiadano, jak go zatrzymać. Jednym słowem, nie wiadomo, czym by się skończyło szaleństwo polskiego oficera, gdyby nie zamknięty przejazd kolejowy w miejscowości Lieberose odległej prawie 35 km od granicy. Przed szlabanami stało kilkanaście trabantów i wartburgów. Nasz bohater chciał je ominąć, skręcił do rowu z zamiarem przedarcia się na tory i zarył się w nim. Coraz bardziej zapadał się w rytą gąsienicami jamę. Wreszcie otworzył właz i... poddał się Niemcom. Długo trwały pertraktacje między zaprzyjaźnionymi armiami. I właśnie wczoraj polska żandarmeria odebrała z rąk Ludowej Armii Niemieckiej polskiego porucznika Ludowego Wojska Polskiego. Przejechaliśmy się trasą naszego czołgisty aż do miejsca jego klęski. Rzeczywiście, wszędzie pozostały głębokie ślady po jego bojowym wozie.

Czas i mnie wyruszyć, ale z powrotem: wartburgiem na Warszawę. Podjąłem już nieodwracalną decyzję – poczułem zarazem ulgę i przygnębienie. Dyrektor szczerze żałuje, wręcza mi pismo i dyplom uznania: „W związku z zakończeniem pracy (...) składam Obywatelowi serdeczne podziękowania za wzorowo wykonaną pracę (...). Z uznaniem pragnę podkreślić (...) wkład pracy Obywatela włożony w zapewnienie wysokiego poziomu obsługi organizacyjnej i kadrowej polskich pracowników (...). Swoim zaangażowaniem w pracy zawodowej i społecznej przyczynił się Obywatel do integracji środowiska polskich budowniczych, zyskał ich zaufanie i uznanie przełożonych.(...)”.

Po wielu godzinach jazdy docieram do Warszawy. Bez pieniędzy, ale bogaty w nowe doświadczenia. Nimi się jednak nie najem! A czy je wykorzystam...?

## „Plakanda”

W moim małżeńskim życiu nigdy nie było dość pieniędzy, a co za tym idzie biżuterii, futer, wielu par butów i konta w najlepszym banku. Mimo tych „braków”, tworzyliśmy swój świat. Wspieraliśmy się w trudnych momentach.

Ponieważ po powrocie z NRD okazało się, że pieniędzy nadal brakuje, nawet na podstawowe potrzeby, a nową sytuację społeczno-gospodarczą po 1989 roku

można było określić hasłem „Ratuj się, kto może”, trzeba było znowu szukać jakiegoś zarobku.

Wszystko ulegało gwałtownym zmianom. Za komuny bieda nie była tak upokarzająca, jak w momencie nastania nowego. Wtedy, każdy, kto bardzo chciał, mógł się wyrwać z dolów społecznych. W PRL, w tej „czarnej dziurze”, można było się wykształcić. I to za darmo. Ludzie nie bali się, że stracą pracę, że ktoś ich może wyrzucić z mieszkania, bo nie mają pieniędzy na opłacenie rachunków za prąd, telefon, wodę. Może dlatego nikt tego nie szanował, podobnie jak bezpłatnego leczenia, tanich leków, niedrogiego dostępu do kultury.

Czytałem gazety głównie pod kątem ogłoszeń o pracy. Gorączkowo poszukiwałem jakiegokolwiek zajęcia. Ostatecznie nająłem się z żoną do liczenia, na niektórych skrzyżowaniach i przystankach, pieszych oraz wysiadających i wsiadających pasażerów autobusów i tramwajów. W znalezieniu tej pracy pomógł zięć, najlepszy człowiek, jakiego kiedykolwiek w życiu poznałem.

Pracowaliśmy na ulicy Kasprzaka, na rogu Grzybowskiej i Marszałkowskiej oraz na Łopuszańskiej. Lekki mróz i lutowy wiaterek 1990 roku zmuszały do noszenia rękawiczek. Utrudniało to utrzymanie zeszytu i ołówka, akcesoria te wyslizgiwały się z rąk, szczególnie w momentach, gdy trzeba było rozetrzeć zmarznięty nos i zaczerwienione uszy. Z uruchomieniem termosu też były kłopoty, nie dało się przecież zatrzymać potoku aut, tramwajów i pieszych. Musieliśmy nieustannie przez kilka godzin wpatrywać się w tłum, odnotowując kreskami w zeszytach – jak karbowi kiedyś, którzy na pańskich polach oznaczali nacięciami noża na kiju dniówki czy worki załadowywane na wozy – natężenie ruchu osób i pojazdów. Wybieraliśmy najczęściej miejsca osłonięte przed wiatrem i chłodem. Był to zwykle kiosk „Ruchu”, filar jakiejs budowy bądź wnęka bramy.

Trochę było przykro, że całe życie przeszło nam na pracy, w gruncie rzeczy dla innych. Nie zatroszczyliśmy się o zgromadzenie żadnych oszczędności ani majątku nieruchomego. Wada charakteru czy głupota? Myślę, że ani jedno, ani drugie. Po prostu realny socjalizm praktycznie dawał człowiekowi wszystko, co mu do życia było potrzebne. Rzadko kto myślał, że to zbyt mało. Wystarczało na wczasy, książkę, kino, teatr, spotkania towarzyskie, czynsz i ulgowe bilety kolejowe.

O tamtym czasie mówi się, że żyliśmy siermiężnie. Tak, istotnie, żyliśmy skromnie, ale godnie. Co to znaczy? Każdy miał pracę i płacę, szkołę za darmo i jedzenie w szkole dla dzieci – żadne nie głodowało. Rodziny miały stabilizację. Nikt się nie martwił o to, że nie będzie miał mieszkania ani pracy. Jak tylko sięgam pamięcią, w szkole podstawowej dzieci otrzymywały nieodpłatnie pół litra mleka i bułkę z masłem, serem lub marmoladą. W świetlicowej stołówce zaś – zupę z mięsem, a na podwieczorek bułkę z pasztetem, salcesonem, boczkem czy kielbasą. Z kolonii i obozów letnich korzystał każdy uczeń, który chciał

wyjechać. Świat stał otworem przed każdym dzieckiem, jeśli się tylko chciało uczyć dalej. Bieda to nie była żadna przeszkoda.

Dzisiaj część społeczeństwa, w tym bezrobotni, cierpi niedostatek lub skrajną nędzę. Dość, że wspomnę dzieci mojego nieżyjącego brata w Miastku, gdzie bezrobocie jeszcze nie tak dawno sięgało 30%. O dziesiątkach nędzarzy żyjących w byłych PGR-ach mówi film dokumentalny „Arizona” Ewy Borzęckiej z 1997 roku. Znam tę wieś, leży niedaleko Mzdowa koło Miastka.

Sen „Solidarności” o samochodach oraz o bułeczkach z masłem i szynką sprawdził się! Tylko że dla bardzo skromnej liczby Polaków: prezesów, członków rad nadzorczych, grupy urzędników zwanych działaczami związkowymi, posłów i właścicieli. A naród, który „powstał z kolan” teraz najczęściej chodzi po zasiłek.

Jacek Kuroń, którego miałem szczęście poznać, gdy pracowałem w Krajowym Urzędzie Pracy, a on był szefem Ministerstwa Pracy, pisał w grudniu 2002 roku w „Aneksie”: (...) „Niestety, bardzo szybko okazało się, że popełniłem błąd. Okazało się, że nie da się mechanicznie zastąpić jednego systemu podręcznikową wersją innego. W rezultacie powstało to, co mamy w Polsce dzisiaj, czyli najbardziej dziki i archaiczny kapitalizm. W gruncie rzeczy jest to system złodziejski (...), w którym wąska grupa posiadaczy przywłaszcza sobie pracę i bogactwa naturalne narodu. (...) Jeżeli spojrzymy na to, kto odnosi dzisiaj korzyści (...). Głównie kapitaliści. Nie głównie, ale tylko i wyłącznie”.

Rozgadałem się. Ale piszę to pod wpływem pewnej goryczy, która towarzyszy mojemu pokoleniu. Najmłodsi z tego przedwojennego pokolenia urodzili się w latach 1937–1939. Przeżyli więc okupację hitlerowską, Syberię, wygnania oraz wszelkie repatriacje i deportacje, odbudowali ze zniszczeń ojczyznę i ciężko pracowali, aby sobie i swoim dzieciom zapewnić lepszą przyszłość. I często, mimo swojego pracowitego życia stali się najuboższą częścią społeczeństwa. I jakby mało tego było, spotykają ich obelgi i wyzwiska: reżimowcy, komuchy. Te słowa odmieniane przez wszystkie przypadki w ostatnim dwudziestolecu mogą zniweczyć poczucie wartości nawet najtwardszych. Czy to wszystko, o czym piszę, oznacza, że w PRL było lepiej? Nie, nie było lepiej pod wieloma względami, o których wspominałem niejednokrotnie. Teraz na przykład droga jest wolna, granice otwarte, można szukać szczęścia gdzie indziej. Jednak i tak globalizacja dopadnie cię wszędzie, chyba, że jesteś Gudzowatym, Niemczyckim, Kulczykiem, Wróblem, Urbanem, Solorzem. Ale wtedy, po co wyjeżdżać?

No dobrze, ale dlaczego i za ile liczyliśmy tych przechodniów, i komu to było potrzebne? Za ile? Dokładnie nie pamiętam, chyba za 50 zł dziennie na osobę. Myślę, że za tę kilkudniową akcję zarobiliśmy kilkaset złotych. Pracowaliśmy dla firmy reklamowej, która szukała w Warszawie najbardziej uczęszczanych miejsc. Potem pojawiały się tam billboardy, na przykład o treści: „Tylko u nas kupisz najlepsze worki na twój kurz!”.

Ta jednorazowa akcja szybko się skończyła. „Plakanda” zwolniła rachmistrów. Należało czym prędzej znaleźć inne zajęcie.

Nie pamiętam okoliczności, w jakich spotkałem znajomego, od którego kiedyś zdecydowanie się odsunąłem. Nie odpowiadał mi jego język watażki bolszewickiego. Wciąż podkreślał, że jest bezpartyjnym stalinowcem. W Polsce Ludowej po długich staraniach osiągnął stanowisko zastępcy dyrektora wielkiej firmy ogrodniczej. Obecnie wyczuł zapach konfitur i założył firmę budowlaną. Zresztą jego spółka z ograniczoną odpowiedzialnością „Racamtin” zajmowała się, czym się dało, a najczęściej tym, na czym można było jak najprędzej zarobić, stosując wszelkie metody, nie wyłączając oszustw i przekupstwa.

Otrzymałem propozycję zorganizowania w jego firmie działu handlowego. Niechętnie ją przyjąłem, ale nie miałem wyboru. Niedługo będę miał 60 lat, i kompletnie się na tym nie znałem. I to właśnie mnie pociągało. Będę się musiał zmierzyć z zupełnie obcą dla mnie dziedziną. Miałem dostawać 10% od zysku. Zgoda, ale jak ten zysk osiągnąć?

Biuro spółki znajdowało się przy jednej z krótkich uliczek w centrum stolicy na parterze wielopiętrowego budynku remontowanego przez „Racamtin”. Miejsce było obrzydliwie brudne, a pomieszczenie zatęchłe, nieremontowane od 50 lat. Kilka razy, by uniknąć mandatu miejskiej straży porządkowej, musiałem w pośpiechu zamiatać ulicę przylegającą do mojego jednopokojowego biura handlowego. W tym okresie rozpadał się Centralny Związek Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych. Pracę straciła J.D. Zwróciła się do mnie o pomoc. W dziale handlowym była potrzebna księgowia. I tak razem usiłowaliśmy doprowadzić do jakiegokolwiek transakcji handlowej. Bez większego powodzenia. Już miałem zamiar rzucić tę robotę. Jak długo można pracować za darmo?

I oto, po wielu nieudanych próbach „zahandlowania” czymkolwiek, gdy zdecydowałem się szukać innego zajęcia, zadzwonił telefon. Profesor Uniwersytetu Warszawskiego chciał zamówić ogromną ilość cegieł z dostawą na miejsce budowy własnego domu na obrzeżach Wawra. Umowę podpisałem natychmiast, i dopiero później, jak ostatni ryzykant, zacząłem zastanawiać się, skąd i jak tę cegłę zdobyć po uzgodnionej cenie, i czy koszty nie zjedzą iluzorycznego zysku.

Znalazłem producenta w Szamotułach, a samochód z przyczepą – w Brwinowie. Umówiliśmy się z właścicielem działki budowlanej, że dostarczymy cegłę na miejsce najpóźniej do godziny 21 następnego dnia po podpisaniu umowy.

Pobrałem zaliczkę. O godzinie 3 w nocy podjechał pojazdem jego właściciel. Wszedłem do kabiny i omal nie zemdlałem z wrażenia. Silnik tego wysłużonego diesla był okryty jakąś blachą w niczym niepodobną do fabrycznej osłony. Smród spalanej ropy nie pozwalał na normalne oddychanie. Siedzenia wyłożone zgniłymi kocami przypominały barłóg bezdomnego koczującego w kanale. Kierowca odziany w kufajkę na watinie (wyłaziła ze wszystkich dziur na rękawach) był o wiele starszy od swojego zleceniodawcy.

Nie będę opisywał podróży. Niezliczone postoje służyły głównie temu, by szofer mógł obejść pojazd wokół i po wejściu do kabiny powiedzieć: „Niech się pan szanowny nie denerwuje, na razie wszystko gra, koła i opony na swoim miejscu, tylko lewe światło padło i burta w przyczepie wisi na jednym haku, coś się musiało od... Na miejscu, po załadunku, drutem przyfastryguję i będzie git”. Dużo opowiadał o powstaniu warszawskim i obozie pruszkowskim, przez który przeszedł podczas II wojny światowej. Tyle człowiek przeżył – pomyślałem – nie będę mu dokuczał, może dojedziemy.

Wiele razy ładowałem różne towary na samochody: meble, buraki cukrowe, kartofle, snopy, cukier w workach, siano, maszyny precyzyjne, ale załadunek cegieł okazał się koszmarem. Zdołałem, sam, załadować ćwierć ciężarówki. Nie miałem pieniędzy, aby nająć drobnych pijacków. Kierowcy nie chciałem męczyć. Wreszcie zagroziłem właścicielowi cegielni, że odjadę bez towaru, jeśli nie da do załadunku dwóch robotników. Upierał się, że tego w umowie nie było i zażądał dodatkowej opłaty. Zgodziłem się. Co miałem robić? Zysk mój topniał w oczach!

Dziadek-kierowca spał w pakamerze portiera. Ja nadzorowałem. Marcowy deszcz ze śniegiem opóźniał załadunek. Wreszcie odjazd. Było grubo po południu.

Wzywałem niebiosą, żeby miały w opiece tę wojenną maszynę pamiętającą szlak bojowy Ludowego Wojska Polskiego, załadowaną ponad dopuszczalne normy, i żebyśmy szczęśliwie dojechali do Warszawy. Zmęczenie zrobiło swoje, zobjętniałem na smród silnika, zdrzemnąłem się. Dawno zapomniałem o zjedzonej kanapce i herbacie z termosu.

Dotarliśmy do Warszawy o godzinie 23. Wskazano nam drogę na działkę. Pan profesor, wściekły, w gumowych butach, z latarką, oczekiwał na skraju pola. Do celu brakowało zaledwie 700 metrów. I właśnie w tym momencie, na skutek przechyłu na ostrym zakręcie na rozmokłej polnej drodze, złamała się burta przyczepy i cegły zsunęły się na ziemię. Do rana, profesor wraz z wyciągniętą z łóżek rodziną, ja i kierowca usuwaliśmy te cegły tak, by po wyładowaniu pozostałej części, ciężarówka mogła odjechać do Brwinowa. Rozgoryczony profesor zapłacił za cegły, potrącając za ewentualne najęcie kogoś, kto jutro przeniesie na budowę te, pozostałe jeszcze na polu.

Cały zysk z tej transakcji wyniósł 300 zł. Po południu następnego dnia rozliczyłem się z pobranej zaliczki i oddałem do kasy cały urobek. Księgowa, zgodnie z umową, chciała natychmiast wypłacić mi moje 10%. Nie przyjąłem. Pod koniec dnia do biura wszedł właściciel, wręczył mi 300 zł i powiedział, że to był mój chrzest bojowy jako kierownika działu handlowego. Firma nie poniosła żadnych strat, a pieniądze te niech będą zachętą do dalszego działania. „Przewyciężyłeś pecha, dalej wszystko pójdzie dobrze”.

Miał rację, od tego momentu dział handlowy zaczął się rozwijać. A mój drugi – w krótkim czasie po „Plakandzie” – zarobek dodał mi skrzydeł. Ja, najemnik, włączyłem się odważnie i z poświęceniem do budowania III Rzeczypospolitej.

„Racamtin” Sp. z o.o. zdobywała coraz więcej klientów. Powstawały spółki-siostry, zarządzane przez synów głównego właściciela. Likwidowano jedne, łączono inne. Wszystko po to, by unikać podatków i nie płacić ludziom za pracę, zacierać ślady po oszustwach. Synowie: Jacek – bez wykształcenia, prymityw ekonomiczny i Radek – magister prawa, cham i ordynarny krętacz odsunęli ojca od zarządzania. Trwała rodzinna walka o władzę.

Tymczasem dział handlowy rozwijał się. Organizowałem sklepy spożywcze i AGD. Wielu moich znajomych bez pracy i emerytury znajdowało w nich zatrudnienie. Mimo że kiedyś zajmowali różne wysokie stanowiska, potrafili w nowej sytuacji pracować z talentem i oddaniem. Wiele tygodni, w jednym pokoju, biurko w biurko rozwiązywałem problemy handlu w warunkach wolnego rynku. Jednym z kierowników sklepu spożywczego na Woli był znajomy doktor K.K. Pomagałem mu w zorganizowaniu tej dużej placówki.

Dowiedzieliśmy się, że administracja gmachu KC PZPR, po rozwiązaniu partii, rozprzedaje meble i sprzęt biurowy. Ludzie licząc, że się obłowią, rzucili się, by za małe pieniądze zdobyć te rzekome rarytasy. Zawiedli się. Meble biurowe były skromne, a urządzenia, na przykład powielacze i wszelkie maszyny drukujące, przestarzałe. A nam właśnie o takie meble chodziło. Miały posłużyć jako lada sklepowe.

Udało się kupić prawie za bezcen meble z pokoju, gdzie najwyżsi dostojnicy partyni spotykali się z zagranicznymi gośćmi różnych kongresów i zjazdów partyjnych. Zerwaliśmy okablowanie, do którego były podłączane mikrofony i słuchawki do tłumaczeń. Oprócz stołów, udało się jeszcze zdobyć po drodze drabinę i szafę pancerną. Wszystkie te meble, przy których kiedyś siedzieli wielcy minionego świata, sekretarze partii i prezydenci „bratnich” krajów, umiejętnie pomalowane i ustawione w czworokąt, długo służyły jako lada w sklepie spożywczym.

Szło nowe. Nowa dekada. Ludzie się gorączkowali. Potrzeba pieniądza była powszechna, natarczywość ogromna: jak najwięcej urwać z padającego realnego socjalizmu! Zdobyte pieniądze należało natychmiast zainwestować w coś, co da szybki zarobek, nieważne, że przy okazji zrujnuje się innego, wchłonie go lub poźre.

Nie zgadzałem się na oszustwa. Nie chciałem wpychać do sklepów towaru ostatniego sortu jako produktu najwyższej jakości, w dodatku bez faktur i ze sfalszowanymi papierami. Doszło do poważnej kłótni z właścicielem, która niemal skończyła się rękoczynem. Odszedłem. Nie żałowałem czasu spędzonego w tej firmie. Nauczyłem się dużo. Na przykład, co to jest marża i jak się ją oblicza, wypisywania faktur, obliczania zysku, przeprowadzania remanentów itp.

Wiedza ta przydała się prawie natychmiast. Pan Antosiński, znajomy z czasu pracy w resorcie administracji i gospodarki przestrzennej zaproponował mi stanowisko dyrektora biura jego firmy „Sekomtel”. Swego czasu ułatwiłem mu

wyjazd za granicę, gdzie działał w systemie różnych organizacji ONZ-towskich. To przyniosło mu pieniądze. Miał ponadto rozległe stosunki z polskimi służbami specjalnymi. Wykorzystywał też inne kontakty, ze swojego poprzedniego aktywnego partyjnego działania. Wspominam o tym, ponieważ rozwijając swoją firmę, towarzyszył A. mówił pracownikom, „że on teraz z żoną buduje nową Polskę, i pokaże, jak trzeba pracować”! Ot, nauczyciele...

Państwo Antosińscy wyjeżdżali często do Austrii, skąd przywozili w ogromnych ilościach stare stęchłe ubrania i skarpety. Pomagali Austriakom opróżniać magazyny. W Polsce wynajmując za bezcen różne składy, zwalali te buble, najmowali ludzi i sortowali skarpety, poszukując całych i do pary. W podobnym systemie sprowadzano drukarki, kserokopiarki i inne urządzenia biurowe. Pani Antosińska, kobieta o usposobieniu sekutnicy, często, będąc w Wiedniu, dzwoniła do mnie, pytając, co robią jej pracownicy w danej chwili. Doszło do pierwszego konfliktu. Kiedyś, na trzykrotne pytanie właścicielki, czym w tej chwili zajmuje się pani Krysia, odpowiedziałem: „Odeszła od biurka w bardzo ważnej sprawie, za chwilę wróci”.

– Ale co robi? – usłyszałem ponownie.

– S...a! – wrzasnąłem do słuchawki, przerywając rozmowę.

Zdarzało się, że pani A. wychodziła z biura, po czym, po okrążeniu siedziby firmy, która mieściła się we własnej willi małżonków, wracała innym wejściem i po zdjęciu pantofli skradała się pod drzwi, by podsłuchiwać rozmowy pracowników.

Mąż swojej żony, która wkrótce znalazła się na liście 100 najbogatszych Polaków, zamieszczonej w tygodniku „Wprost”, bał się jej jak ognia.

W którymś momencie pan A. sprowadził dla mnie, dyrektora biura, osiemnastowieczne biurko, mówiąc przy tym, abym uważał i przypadkiem nie pobrudził go butami. Przyjąłem to do wiadomości i od następnego dnia buty zostawiałem pod schodami, chodziłem po salonach biura w białych skarpetach... Po kilku dniach biurko zostało usunięte, zmieniłem więc kolor skarpet i ponownie wchodziłem do biura w butach.

Zbliżał się termin przyjazdu do Polski prezydenta Busha seniora. Państwo Antosińscy zaczęli się starać, aby w programie jego pobytu znalazła się kilkunastominutowa wizyta w „Sekomtelu”. Ktoś z Kancelarii Prezydenta dał taką nadzieję. Zaczęło się szaleństwo przygotowań. Antosińscy wypożyczyli ogromne obrazy z Pałacu w Wilanowie i z Muzeum Narodowego. Szkolono pracowników, jak mają siedzieć za biurkami. „Macie stać tutaj, przy biurkach bądź siedzieć jak w muzeum figur woskowych Madame Tussaud”. Niestety, prezydent do firmy nie zawiązał.

Właściciele, żeby sobie wynagrodzić rozczarowania, zrozumieli, że spełnieniu pychy i opętani manią wielkości, zaprosili prezydenta Warszawy Jerzego Bolesławskiego, który sprzyjał każdej inicjatywie gospodarczej, jeśli niosła ze sobą ożywienie ekonomiczne stolicy.

My, urzędnicy handlowi siedzieliśmy przy biurkach. Prezydent podszedł do mnie, przywitał się, i po starej znajomości zaprosił mnie do odwiedzenia go w ratuszu. Tego dla moich szefów było już za wiele. Zorientowałem się, że jestem podsłuchiwany. Nie wiem, czego się obawiali. Miałem dość. Pożegnałem się z pracownikami i w samo południe wyszedłem z biura na zawsze. Było mi żal tych Antosińskich. Synowie ich obronili doktoraty w USA i wrócili do bogactwa, które stworzyli im rodzice. Jeden z nich doprowadził jednakże do rozpaczki swoją mamusię: popełnił mezalians, żeniąc się ze zwykłą dziewczyną po maturze, i to w dodatku pracującą w firmie jego mamy.

Jakie to marne życie! Walka o pieniądze i miejsce w gronie najbogatszych jako jedyny cel w życiu. Zajęcie dla ludzi prostackich i pozbawionych refleksji, chociażby takiej, że wszyscy ludzie stworzeni są po to, by ponieść porażkę. Każdy kiedyś robi się stary i niedołężny, albo odejdzie na tamten świat, zanim się zestarzeje.

Mnie to nie grozi. Po pierwsze – nie mam nic, po drugie w chwilach, kiedy ogarnia mnie smutek, że nie mam nic, usiłuję przywołać na pamięć jakiś wierszyk, anegdotkę lub kalambur adekwatny do sytuacji. Na przykład taki, napisany przez Lecha Janerkę: „O Boże, nie mniej mnie lub może mniej mnie mniej”. Albo limeryk-refren Agnieszki Chylińskiej: „No i co – no i pstro, ch... sto!”. Pomaga!

Wiele razy zawieszałem emeryturę i zabierałem się do jakiejś roboty, by choć trochę zaoszczędzić na tak zwaną starość. Zawsze przecież może się przytrafić seronegatywne reumatoidalno-łuszczycowe zapalenie stawów bądź napadowe migotanie przedsionków czy też przerost gruczołu krokowego, nie licząc takich drobnostek, jak głuchota, zakrzep lub osteoporoza.

Czasami pomagała mi wyobraźnia, dzięki której mobilizowałem się do poszukiwania jakiejś pracy. Wyobrażałem sobie, że oto dożyję 85 lat. Może będę fajnym starcem, powrócę do papierosków, wódeczności, córka będzie miała 64 lata, syn 61... Może wtedy będzie czas na rozmowy?

Na razie założyłem spółkę z o.o. „Ekopromed” z udziałem niewielkiego kapitału amerykańskiego. Sprzedawaliśmy między innymi ciśnieniomierze. Odwiedzałem gabinety lekarskie, nosząc w teczce po kilka aparatów. Interes zaczynał się rozkręcać, jednak Amerykanie liczyli na szybkie zyski i w odpowiednim momencie zabrakło dofinansowania. Zakończyliśmy działalność.

Pewnego dnia znajomy, już od dwóch lat bez pracy, poprosił mnie, abym porozmawiał w jego sprawie z prezesem Krajowego Urzędu Pracy, którym był wtedy Andrzej Piłat. Przyjął mnie, znaliśmy się jeszcze z Płocka. Przyrzekł, że spróbuje pomóc. Kiedy już odchodziłem, zapytał, co ja robię zawodowo. „Obecnie nic” – przyznałem. „To o siebie nie walczysz, tylko o innych? Przyjdź do mnie na szefa zespołu doradców, zgoda?”. Głupi by się nie zgodził. Przyjąłem propozycję z radością. Premierem był wówczas Włodzimierz Cimoszewicz. Po nim nastał Jerzy Buzek. Nastąpiły zmiany na stanowiskach, prawica przegania-

ła lewicę. Taki los spotkał też szefa doradców prezesa Krajowego Urzędu Pracy. Każda następna ekipa rządowa po wyborach robiła to samo. Nie swój – trzeba potraktować go jak wroga. „Nie ma zmiłuj”.

Wszystko, o czym teraz piszę, to świeże wydarzenia, nieraz bolesne, innym razem wesołe. Wymagają dystansu, by je oceniać. Bohaterowie tych wydarzeń żyją. Jedni bogato, inni biednie. Młyny przemian nierówno męły. I dotąd nie ustają w swojej pracy. Teraz jednak miał grubsze ziarno i w innym gatunku: Orlen, ZUS, afera Rywina. I nie ma się czemu dziwić, nastąpiła bowiem nowa dekada. Tak musi się dziać. Bóg stworzył ludzi, ale pozwolił im spartaczyć świat, nie dając wyraźnych wskazówek, jak odróżnić dobro od zła.

W „Nowinach” z 7 lipca 2004 roku G. Szymański pisze: „Z. Wróbel był prezesem PKN Orlen. J. Waltoś pracował w zakładzie blacharskim pod Rzeszowem. Wróbel zarabiał 200 000 zł miesięcznie, Waltoś – 800 zł. Obaj stracili pracę i są bezrobotni. Wróbel dostanie 1,2 mln zł. Waltoś nie dostanie nic.

To niesprawiedliwe! Jeden nie ma na chleb, a drugi pławi się w luksusie. (...) Z. Wróbel ma 52 lata, żonę i trójkę dzieci. Kocha podróże, cygara i whisky. Jest prezesem Stowarzyszenia Koneserów Cygar i Single Malt Whisky. Wieczorem, w domu, lubi wypić łyceł Lagavulinu, szkockiej whisky dla arystokracji. Butelka tego ekskluzywnego trunku kosztuje ponad 300 zł.

(...) J Waltoś ma 43 lata, żonę i jedno dziecko. Słyszał o egzotycznych podróżach, cygarach i whisky, ale go na to nie stać. Czasami pozwala sobie na butelkę piwa. (...). Spotkaliśmy go w kolejce w Powiatowym Urzędzie Pracy w Rzeszowie. (...) Z. Wróbel ma ekskluzywny dom pod Warszawą. Kolekcjonuje dzieła sztuki i samochody. W garażu ma zabytkowego rolls-royce’a i limuzynę BMW z szoferem. Namiećnie żegluję. Posiada jacht MC Gregor-Motosail, którym pływa po całym świecie.

J. Waltoś mieszka w sypiącym się domu w Tejęcinie. Jeździ dwudziestocześ-roletnim polonezem na gaz, a o wakacjach może tylko pomarzyć. Teraz stracił pracę i został bez środków do życia.

Tego problemu nie ma Z. Wróbel, bo łąda dzień dostanie 1,2 mln zł odprawy (...). Odpocznie na zagranicznych wakacjach. Gdy wróci, będzie przebie-rał w ofertach pracy. J. Waltoś z Tajęciny na egzotyczne wakacje nie pojedzie. W urzędzie pracy będzie walczył o kilkaset złotych zasiłku”.

\* \* \*

Ale się rozgadałem! Na szczęście uświadomiłem sobie w porę, że taka długa opowieść może stać się nudna i należy ją czym prędzej zakończyć, ten i ów wątek wyrzucić, skrócić lub pominąć.

Trzeba kiedyś, tak czy siak, zamknąć ten kufer wspomnień, do którego usiłowałem włożyć fragmenty mojego i moich bliskich życia, nie zapominając

o dopływach wpadających do nurtu moich losów i zdarzeń... Będzie mi brakowało tego pisania, które wypełniało pustkę wolnego czasu przez kilka ostat-nich lat. Tego pisania, które dawało mi satysfakcję duchową, nieporównywalną z czymkolwiek innym.

Od tej pory mam jedynie do dyspozycji czas, który określa, cokolwiek miało-by to znaczyć, słowo TERAZ. Przeszłość zamknięta, a przyszłość... Może znowu będę więcej czasu poświęcał na oglądanie telewizji? Pokazują tam pasjonujące rzeczy, jak na przykład picie koktajlu ze zmiksowanych z krwią zwierzęcych wnętrzności, jedzenie robaków, chrupanie bawolich oczu, rozkoszowanie się smakiem truskawek oblepionych muchami. Ale jak często można oglądać takie rzeczy?

Pozostaje domek na działce w Lasku. Kilka dni temu zieć, jeden z najbar-dziej tolerancyjnych, koncyliacyjnych i najmielszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałem, skosił trawę. Jest pięknie. Na stole czereśnie i truskawki. Przyleciała wilga. Za chwilę przegoniła ją sroka. Mrówki snują swój odwieczny spacer ży-cia. Obok moja żona. Już ponad 55 lat przy mnie – ta moja męczennica. Mówi, że jutro przyjedzie Ela z mężem, a może nawet któraś wnuczka. Zastanawiamy się, co słysać u Waldków. Czytam jej wiersz Jana Skaćela w przekładzie Zbi-gniewa Macheja.

## Podziękowanie

*Podziękujmy jak dzieci za jabłko  
za wszystko co było i znów kiedyś będzie  
za to że noc wiernie przychodziła po dniu  
za wytrwale rano  
Podziękujmy jak dzieci za jabłko  
za to że przyszłe ongiś mamy już za sobą  
że czas miał nas  
jak rybak rybę w sieci*

*Podziękujmy jak dzieci za jabłko  
bez wymówek bez pokornej pychy  
za radość co nam pomogła przeboleć  
za odebrany dar  
Podziękujmy jak dzieci za jabłko*

Potem po prostu siedzimy. Ucichliśmy. Ptaki także. Zachodzi słońce. Zmierz-cha. Jak nasze życie... Wieczór wtapia się w noc. Jutro słońce znowu wstanie. Wkrada się niepokój, czy aby na pewno...

## Ludzie, książki i czasopisma, dzięki którym wiele sobie przypomniałem



- Axer E., *Ćwiczenia pamięci*, PIW, Warszawa 1984.
- Celine L.F., *Śmierć na kredyt*, PIW, Warszawa 1992.
- Chojnowski A., *Koncepcje polityki narodowościowej rządów polskich w latach 1921–1939*, Ossolineum 1979.
- Dunin-Kozicka M., *Burza od Wschodu*, Wydawnictwo Artus, Łódź 1990.
- Giersz R., *Płockie płomienie*, Książka i Wiedza 1966.
- Horyń R., *Przed czerwonym trybunałem*, Pozycja wydana staraniem autora, Warszawa.
- Jerofiejew W., *Encyklopedia duszy rosyjskiej*, Czytelnik, Warszawa 2002.
- Kosek K., „Od wyzwolicieli zachowaj nas Panie”. *Wspomnienia z Wołynia 1939–1944*, Wrocław 1997.
- Kraszewski J. I., *Złoty Jasieńko*, Wydawnictwo Lubelskie 1989.
- Kulik C., *Mazowieckie Preludium*, Iskry, Warszawa 1963.
- Maciejewski J., *Wspomnienia z tamtych lat*, Wrocław 1980.
- Passent D., *Choroba dyplomatyczna*, Iskry, Warszawa 2002.
- Olczak-Ronikier J., *W ogrodzie pamięci*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2002.
- Sapieżyna M., *My i nasze Siedliska*, Wydawnictwo Literackie 2003.
- Siemaszko W., Turowski J., *Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej na Wołyniu, 1939–1945*, Warszawa 1990.
- Stokłosa J., *A było tak...*, Oficjalne wydawnictwo Stan 2, Kielce 1999.
- Wittyg W., *Nieznana szlachta polska i jej herby*, Kraków 1908.
- Wierna pamięć młodości, *Opracowanie zbiorowe*, Iskry, Warszawa 1971.
- ZMS. *Ludzie i wydarzenia*, Iskry, Warszawa 1972.
- Płocka „Petrobudowa”. *Informator*, Wyd. własne, Płock 1961.
- Działalność organizacji ZMS i ZMW na ziemi płockiej. Próba analizy*, 1982.
- Herby Rycerstwa Polskiego*, Biblioteka Kórnicka PAN, Ossolineum, Wrocław 1983.
- Z Kresów Wschodnich RP na wygnanie. Opowieści zesłańców 1940–1946*, Londyn 1996.
- „Nowe Kontrasty”, *Od konfrontacji do strategicznego partnerstwa*, wywiad z prof. dr. hab. Henrykiem Strońskim.
- „Kresowe Stanice”, *kwartalnik*, Warszawa 2003, nr 3.
- Laskarys K., *Repatriacji nie było*, „Panorama kresowa” 2003, nr 30/38.

Sztec R., *List z Żółkwi...*, „Forum Klubowe” 2002, nr 1/3.  
 „Głos kombatanta Armii Ludowej” 2004, nr 11.  
 Katyń. *Lista ofiar i zaginionych*, Wyd. ALFA, Warszawa 1989.  
 „Tygodnik Krainy Miasteczkiej”.  
 Program udziału Prezydenta RP w uroczystościach 60 rocznicy tragedii wołyńskiej. Pawliwka 11.07.2003.  
 „Na Rubieży” 2001, nr 51 i 55.  
 „Głos Wołynia”, 1932.  
 „Razem” 1980, nr 11.  
 Łagowski B. artykuł, „Przegląd” 2002, nr 21.  
 Łappo H., *60-lecie deportacji ludności kresowej*, „Dziennik Polski” (Londyn), luty 2002.  
 Komedy S., *Pamięci Marii Sieradzan*, „Dziennik Polski” (Londyn), styczeń 2003.  
 Mączka-Gradosielska D., *Zsyłka osadników wojskowych*, „Dziennik Polski” (Londyn), luty 2003.  
 Bielecki A., *Ameryka odkrywana pod Płockiem*, „Sztandar Młodych”, 16.03.1962.  
 Bajorek A., Bielecki M., *Petrobigos*, „Sztandar Młodych”, 23/24.03.1962.  
 Wyh., *Zielona droga dla Płocka!*, „Sztandar Młodych”, 30.11.1960.  
 Kołodziejczyk T., *Rurociąg wzywa młodych*, „Sztandar Młodych”, 13.05.1960.  
 Stroński R., *Kierunek Płock, 19-stu na rurociąg*, „Sztandar Młodych”, 21.02.1961.  
 A.B., *Sztab Interwencyjny Patronatu. Blacha dla Płocka*, „Sztandar Młodych”, 24.02.1961.  
 „Sztandar Młodych”, 15.09.1961, *Narada sztabów interwencyjnych w KC ZMS*.  
 „Sztandar Młodych”, 06.10.1960, *Byliśmy w Płocku*.  
 „Sztandar Młodych”, 13.12.1960, *Sztab płocki alarmuje w im. 300 z Trzepowa*.  
 „Sztandar Młodych”, 10.06.1960, *Pakt ZMS – Płock ratyfikowany*.  
 „Sztandar Młodych”, 24.05.1961, *Czy chcielibyście wiedzieć, kto to jest R. Stroński?*  
 „Życie Partii” 1957, nr 7.  
 Netyszka A., *Artykuł o kresach*, „Życie Warszawy”, 1991.

## Spis treści

Przedmowa . . . . .	7
Kilka słów . . . . .	9

### 1933–1953

Depozyt pamięci . . . . .	13
Schrony . . . . .	25
Żółty cukier i buciory . . . . .	36
Tata, mama – sprawiedliwi wśród narodów świata . . . . .	42
A jeszcze dawniej? . . . . .	45
Trudodni . . . . .	57
Z Polski do Polski . . . . .	65
Bracia . . . . .	80
Gruszki . . . . .	87
Dają i odbierają . . . . .	92
„Wniknięcie w koncepcję” . . . . .	102
Bokser . . . . .	107
Pajdokracja . . . . .	109
Świetlica z trocin . . . . .	124
Felczer wojskowy . . . . .	131
Dzwony . . . . .	134
Mezaliany, łajka i drugie miasto . . . . .	137
Wółka . . . . .	150
Obrączka z tombaku . . . . .	162
Partia czuwa . . . . .	170
Tryzub i króliki . . . . .	177
List do marszałka . . . . .	183

### 1953–1960

Napis w toalecie . . . . .	195
Krowy partyjne . . . . .	197



Goździkowy kij z gwoździami . . . . .	201
Pomocna ręka. . . . .	212
Cyrankiewicz pije z nami . . . . .	218

## 1960–1964

Biała . . . . .	225
Błoto. . . . .	250
„Pięciu z Białej” . . . . .	256

## 1964–1973

Nie będzie Niemiec... . . . .	265
Skłonny do odkładania zadań . . . . .	272
Pies i kocięta . . . . .	278
„Stolik zarezerwowany” . . . . .	284
Narastanie Gdańska. . . . .	288
„Nie ta dupa” . . . . .	292
Przelicz te róże . . . . .	294
Celebrans . . . . .	286
Nowy ś(Ś)wiat . . . . .	300

## 1973–1977

Jajem o stół. . . . .	309
Łapa niedźwiedzia . . . . .	311
„Mój kraj jest w moich marzeniach” . . . . .	315

## 1977–2004

Nie jest mi potrzebny . . . . .	327
W kadrach decydują . . . . .	337
Likwidacja . . . . .	342
Atestacja . . . . .	347
Czołgiem na Berlin . . . . .	352
„Plakanda” . . . . .	354

Ludzie, książki i czasopisma, dzięki którym wiele sobie przypomniałem . .	365
---	-----